

Thomas Gifford

Zabójcy w habitach

Przełożyła Małgorzata Samborska

Dla Elizabeth

Od autora

Poświęciłem dziewięć lat na zbieranie informacji i napisanie książki. Było to niezwykle trudne zadanie. Wiele osób zarówno spoza, jak i z kręgów kościelnych pomagało mi, ale też i utrudniało pracę. Wszyscy niewątpliwie mieli wystarczające powody do tego, co robili, niezależnie czy było to bezinteresowne czy podłe. Ale na każdego, kto próbował powstrzymać ukończenie mojej książki przypadało wielu, którzy ofiarowali swój czas, energię i intelekt, aby mi pomóc. Oni wiedzą, kim są bohaterowie i złoczyńcy. Zwłaszcza troje ludzi było naprawdę niezbędnych.

Charles Hartman zainspirował całą pracę. Bez niego owa książka by nie powstała. Był źródłem ciągłej zachęty, niez mordowany, kiedy docierałem do kresu wytrzymałości. W najczarniejszych chwilach, gdy przeszkody wydawały się nie do pokonania, nigdy mnie nie zawiódł.

Kathy Robbins przebijała się przez niewyobrażalnie splątany gąszcz emocji oraz ogromny zbiór dokumentów prawniczych z umiejętnością, dobrym humorem i mądrością wielkiego dyplomaty. Przez prawie dziewięć lat walczyła ze smokami, nawet wtedy, gdy wyglądało na to, że smoki zwyciężają.

Beverly Lewis włączyła się do pracy, kiedy zagroził nam najgłębszy kryzys. Z inteligencją i determinacją jezuity doprowadziła wszystko do końca. Jej umiejętności redaktorskie przewyższa jedynie jedna cecha, która wyróżnia wielkich redaktorów od reszty - jej nie udawany szacunek i zrozumienie intencji autora...

Jeśli jest coś złego w napisanej przeze mnie powieści, to na pewno moja wina, a wszystko dobre z przyjemnością dzielę z wymienioną trójką.

Thomas Gifford

Londyn, listopad 1989

Prolog

Październik 1982 nowy Jork

Przypominał drapieżnego ptaka - cały w czerni i pikujący na srebrnym blasku lodu. Starszy pan. Doskonale jeżdżący na łyżwach.

Dobrze się bawił, słuchając świstu łyżew, wycinając staranne, dokładne zygzaki na lodzie, czując świeży, zimowy wiatr na twarzy. Jego zmysły były wyostrzone, jak zwykle w tak ważne dni. Zbliżające się zadanie przywróciło go do życia. W takie dni był sam ze swoim przeznaczeniem, sam ze swoim Bogiem. Cel własnego istnienia w podobne dni wydawał mu się jasny.

Świat stał się dla niego również wyraźniejszy. Wszystko wokół utraciło swą tajemniczość. W takie dni lepiej rozumiał ogół spraw.

Poranna mgła rozplynęła się i blask słoneczny spływał przez białe chmury. Wieże Centrum Rockefellera wyrastały przed nim, a muzyka z głośników narzucała rytm jego krokom. Zatracał się w dźwięku i sile jazdy, jakby jechał wstecz przez czas.

Gdy był małym chłopcem, uczył się jeździć na łyżwach na zamrzniętych kanałach w Hadze. Ciemne domy, zaśnieżone parki, ołowiane niebo z ciężkimi chmurami wiszącymi nisko nad starym miastem, tamy i wiatraki - wszystko to tkwiło w jego pamięci z zadziwiającą trwałością wspomnień z dzieciństwa, których często się nie zapomina. Nie miał znaczenia fakt, że nie było tam już wiele wiatraków. Dla niego istniały one nadal, obracające się powoli, na zawsze w jego umyśle. Myśl o wirujących wolno ramionach wiatraka i świszczący szmer łyżew na lodzie zawsze działał na niego uspokajająco. W takie dni, jak ten, kiedy miał do wykonania jakąś pracę, zawsze przygotowywał się do niej odpoczywając. Młodsze pokolenie nazwałoby to może medytacją, ale chodziło o to samo - o pewien stopień czystej, doskonałej koncentracji, tak doskonałej, iż się już dłużej nie zauważa, że się męczy. Już prawie mu się udało. Jazda na łyżwach mu to ułatwiała. Wkrótce czas przestanie istnieć. A on stanie się jednym, wszystkowidzącym okiem, świadomym wszystkiego, nie przeoczącym niczego, zdolnym do bycia jednością ze swoim zadaniem, jednością z celem Boga. Wkrótce. Zaraz.

Miał na sobie czarne ubranie z koloratką i czarny płaszcz, który fruwał za nim jak peleryna, gdy z wdziękiem sunął między innymi łyżwiarzami, w większości nastolatkami. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że rozwiany płaszcz może nadawać mu groźny, złowieszczy wygląd. Nie pomyślał o tym. Był księdzem. Był Kościołem. Miał szczególnie ośmielający, uprzejmy uśmiech. Był samą dobrocią, a nie kimś, kogo trzeba się obawiać. A jednak pozostali łyżwiarze odsuwali się, robiąc mu miejsce, przyglądali mu się ukradkiem, jak gdyby chciał ocenić ich moralność. Nie mogliby się bardziej mylić.

Wysoki, o sfalowanych białych włosach - zaczesanych do góry ze sklepionego, szlachetnego czoła - miał szczupłą twarz, długi nos i duże usta o wąskich wargach. Wyrozumiała twarz przypominała oblicze dobrego wiejskiego lekarza, który rozumie życie i nie obawia się śmierci. Widniała na niej przezroczyta kapłańska bladość, zrodzona w ciągu życia spędzonego w mrocznych kaplicach, źle oświetlonych celach i konfesjonach. Bladość zrodzona z długich godzin modlitwy. Nosił okulary w metalowych oprawkach. Jazda na łyżwach i koncentracja przyniosły jego szerokim ustom najbledszy z

uśmiechów. Miał siedemdziesiąt lat, a mimo to zachował smukłą sylwetkę i wciąż był w bardzo dobrej formie. Mknąc na łyżwach, wyciągał przed siebie ramiona, jakby tańczył z niewidzialną partnerką. Nosił czarne skórzane rękawiczki, pasujące jak własna skóra. Z głośników dobiegało trzeszczące nagranie głosu dziewczyny śpiewającej coś z jakiegoś filmu. Widział go na pokładzie samolotu 747 Alitalii, którym przyleciał do Nowego Jorku. Śpiewała, że ma zamiar żyć wiecznie, że zamierza wyjść i latać...

Krażył wśród jeżdżących dzieci, ślizgając się z gracją między ładnymi dziewczętami z długimi, kręconymi włosami i mocnymi zadeczkami o twardych mięśniach, ubranymi w obcisłe dzinsy, które prawie pękały na szwach. Dziewczeta w pewnym wieku zawsze przypominały mu rozbrykane żrebaki. Nigdy nie widział nagiej kobiety. Prawie nigdy nie myślał o czymś takim.

Swobodnie wyciągnął nogę przed siebie, ślizgając się na jednej łyżwie, i zręcznie kiwał się w tył i w przód, z ramionami pompującymi powietrze, ze zmrużonymi oczami, jak gdyby wpatrzonymi w rdzeń czasu, kiedy jego ciało sunęło naprzód, napędzane silnikami pamięci. Poruszał się jak wielki czarny ptak, objeżdżając lodowisko ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Jego oczy były błękitne jak lód i jasne, jakby nie miały dna, zupełnie jak jezioro położone wysoko w górach. Nie zawierały śladu uczucia. Po prostu w niczym nie brały udziału.

Niektóre dziewczeta szeptały i chichotały, przyglądając się staremu księdzu mknącemu obok nich, pogodnemu, wyprostowanemu, chociaż w ich spojrzeniach był szacunek - uznanie dla jego jazdy, siły i stylu, z jakim się poruszał. Ale on, wciąż zajęty rozmyślaniami o reszcie dnia, z ledwością je zauważał. Dziewczeta bez wątpienia myślały, że będą żyły wiecznie, że wyjdą i będą latać, lecz stary ksiądz wiedział wszystko lepiej.

Zobaczył przed sobą bardzo ładną dziewczynę - może czternastoletnią - padającą nagle na lód. Usiadła z podwiniętymi pod siebie nogami. Jej przyjaciółki się śmiały, a ona kręciła głowę, potrząsając końskim ogonem.

Podjechał do niej z tyłu, złapał pod pachami i postawił na nogi jednym płynnym ruchem. Śmignawszy obok jak nocny kruk, zobaczył na jej twarzy wyraz zaskoczenia. Rozjaśniła się w szerokim uśmiechu i zawołała „dziękuję”, na co on z powagą skinął głową.

Wkrótce potem spojrział na zegarek. Zjechał z lodu, zwrócił wypożyczone łyżwy i odebrał teczkę z szatni. Głęboko oddychał. Czuł się nadzwyczajnie rozluźniony i opanowany, z mile podwyższonym poziomem adrenaliny.

Wspiął się na schody, znajdujące się z tyłu lodowiska. Kupił gorący obwarzanek od ulicznego sprzedawcy, rozsmarował odrobinę musztardy na posypanej solą powierzchni. Stał jedząc metodycznie, a potem wrzucił serwetkę do kosza na śmieci. Pospacerował trochę wzdłuż arkady sklepów na Piątej Alei. Przeszedł przez ulicę i stanął, wpatrując się w katedrę Świętego Patryka. Nie był człowiekiem sentymentalnym, lecz widok wielkich budynków kościelnych - nawet tak współczesnych - nieuchronnie poruszał coś w jego piersi. Miał nadzieję, że zmówi modlitwę, ale jazda na łyżwach trwała zbyt długo. Mógł jedynie pomodlić się w myślach.

Chcąc stawić się na spotkanie, musiał przebyć długą drogę.

Nadszedł czas, by iść.

Rzym

Mężczyzna w łóżku nie oglądał meczu piłki nożnej na wielkim ekranie telewizyjnym. Jeden z jego sekretarzy włożył kasetę do magnetowidu i z troską włączył go przed wyjściem, ale człowiek w łóżku już dawno stracił zainteresowanie piłką. Gdyby o niej pomyślał, wspomniałby mecze ze swych chłopięcych lat, którymi cieszył się w Turynie, wiele, wiele lat temu. A co do materiału na kasecie, niedawno dostarczonego przez kuriera z Sao Paulo, no cóż - nic go to nie obchodziło. Mistrzostwa świata już nie należały do jego planów.

Mężczyzna w łóżku myślał o własnej zbliżającej się śmierci z uczuciem obojętności, które zawsze mu dobrze służyło. Jako młody człowiek doprowadził do mistrzostwa sztukę myślenia o sobie w trzeciej osobie, jako o Salvatore di Mona. Stał z boku i z rozbawionym uśmiechem obserwował pilną, systematyczną wspinaczkę Salvatorego di Mona przez stanowiska, z uznaniem kiwał głową, gdy Salvatore di Mona wykuwał koalicje z potężnymi ludźmi, był świadkiem, jak Salvatore di Mona osiągał końcowy, najwyższy szczyt swej profesji. W tym czasie Salvatore di Mona przestał istnieć: przyjął imię Kaliksta, stał się Namiestnikiem Chrystusa, Ojcem Świętym - Papieżem Kalikstem IV.

Osiem lat pracował jako Przewodniczący Rady. Nie był ani skromnym człowiekiem, ani specjalnie głębokim, ale miał zarówno szczęście, jak też potrafił być nadzwyczajnie praktyczny. Nie przywiązywał wagi do wymyślnych hokus-pokus, związanych z jego pracą, i zawsze patrzył na swoją karierę jak na niezbyt istotną, tak jakby był jakimkolwiek wyższym urzędnikiem większej wielonarodowej korporacji.

I to było prawdą, oczywiście, iż tylko cesarz Japonii zajmował starsze stanowisko na Ziemi. Nigdy jednak nie przyszło mu na myśl, że Bóg dosłownie wyrażał Swoją wolę przez człowieka, który był Salem di Mona - jasnookim, najstarszym synem zamożnego sprzedawcy Fiata z Turynu. Nie, mistycyzm nie był jego specjalnością, jak kiedyś powiedział ze swym czarującym angielskim wdziękiem monsignore Knox.

Nie, Kalikst IV był praktycznym człowiekiem. Nie dbał za bardzo o dramatyzm i intrygę. Udało mu się zostać wybranym przez konklawe kardynałów, przeprowadzając manewr, który wymagał pewnego prostego, niezgrabnego intrygowania, nie pozostawiającego wątpliwości co do wyniku. Pieniądze rozdzielane systematycznie odpowiednim kardynałom, przy pomocy wpływowego amerykańskiego świeckiego - Curtisa Lockhardta, dokonały całej pracy. Kardynał di Mona zbudował solidny fundament wsparcia, kierowany przez kardynała D'Ambrizzi. Pieniądze - łapówki, jeśli chce się powiedzieć wprost - były tradycją, która wprowadziła więcej niż jednego pocącego się *papabili* na szczyt. Odkąd został papieżem, starał się sprowadzić do minimum całe to intrygowanie, szeptanie, majstrowanie i oszczerstwa w kurii. Ale musiał się przyznać, że w takim cieplarnianym społeczeństwie, jakim jest Watykan, walczył w bitwie po przegrywającej stronie. Nie możesz całkiem zmienić ludzkiej natury, na pewno nie w tym miejscu, gdzie jest co najmniej tysiąc pokoi, stwierdził. Nigdy nie zdołał poznać ich dokładnej liczby, ale było oczywiste i nieuniknione, że jeśli ma się tysiąc pokoi, ktoś zawsze w kilku z

nich zdecydowany jest na coś niedobrego. W każdym razie sprawowanie czegoś przypominającego kontrolę nad machinacjami w kurii bardzo go zmęczyło. Chociaż kiedyś tak często wydawało się zabawne. Teraz już nikogo to nie bawiło.

Łoże, na którym leżał, było kiedyś miejscem spoczynku Borgii, papieża Aleksandra VI. Wywierało niezwykle wrażenie. Miało swoją historię, którą lubił sobie wyobrażać. Aleksander VI umiał bez wątpienia użyć go lepiej niż on, ale wszystko wskazywało na to, że przynajmniej w nim umrze. Resztę umeblowania sypialni można by opisać jako eklektyzm Pałacu Apostolskiego: trochę nowoczesnych mebli ze Szwecji - pochodzących z czasów Pawła VI - telewizor i magnetowid, wielkie gotyckie szafy na książki ze szklanymi drzwiami, kiedyś wypełnionymi ogromną kolekcją encyklopedii, które Pius XII lubił mieć pod ręką, krzesła, stoły, biurko i klęcznik odnaleziony w jakimś lamusie z warstwą kurzu sprzed stu lub dwustu lat. W sumie pstrokata zbieranina, ale przez ostatnie osiem lat miejsce to nazywał domem. Rozglądając się wokół zimnym spojrzeniem, odczuwał ulgę, że nie musi niczego zabierać tam, dokąd idzie.

Powoli spuścił nogi z łóżka i wsunął boscie stopy w kapcie od Gucciego. Wstał, zachwiał się lekko i podparł laską o złotej gałce, ofiarowaną mu rok wcześniej ze wzruszającym przeczuciem przez afrykańskiego kardynała. Nigdy nie był całkiem pewny, które z jego schorzeń powodowało jaki symptom, ale zawroty głowy łączył z guzem mózgu. Oczywiście nieoperacyjnym. Przynajmniej tyle domyślił się z nerwowego zachowania konowatów zaakceptowanych przez kurie, którzy się nim zajmowali. Wiedział, że miał to być filmowy finisz, niezależnie, co miało go w końcu zabrać: serce czy mózg. Jemu to nie sprawiało żadnej różnicy.

Wciąż musiał coś robić w czasie, jaki mu pozostał.

Kto obejmie po nim sukcesję?

Co powinien czynić, by wybrać swego następcę?

Malibu

Siostrze Valentine wydawało się, że nie może przestać płakać i bardzo ją to złościło. Zrobiła kilka nierozsądnych rzeczy w swoim życiu, szukała niebezpieczeństwa i z całą pewnością mnóstwo go znalazła. Poznała, co to strach. Ale nie był to ten spontaniczny rodzaj strachu, który wszyscy wokół niej czuli: obawa przez strzałem rozbrzmiewającym na samotnej drodze, strach przed kimś ze szwadronu prawdy czy kimś ze szwadronu śmierci, strach przed wojskiem rządowym albo przed głodnymi partyzantami, którzy zeszli z gór w poszukiwaniu kłopotów lub krwi. W pewnych częściach świata był to zwykły, normalny strach czy rodzaj codziennej odmiany lęku, i to ten, który świadomie się wybiera.

Strach, który teraz odczuwała, był zupełnie inny. Atakował jej wolę i system nerwowy jak złośliwy rak. Nadszedł z przeszłości. Istniał wciąż, odnalazł ją i wybrał. Teraz jechała do domu, bo już nie mogła go znieść dalej sama. Ben będzie wiedział, co zrobić. Jakoś tak się działo, że zawsze wiedział.

Najpierw musiała przestać płakać, trząść się i zachowywać jak idiotka.

Stała na brzegu patio. Palce stóp zanurzyła w mokrej trawie i patrzyła na srebrny, dziobaty plasek

księżycyca na niebieskoczarnym niebie. Poszarpane chmury płynęły wysoko, wyglądając jak na pozaginanej okładce płyty z „Sonatą Księżycową”, jaką pamiętała z dzieciństwa. Odgłos fal rozbijających się daleko w dole o brzeg plaży Malibu odbijał się od skał i niósł na bryzie oceanicznej, która muskała jej gołe nogi. Otarła oczy rękawem sukienki, obciągnęła ją i doszła przez trawę do białej poręczy na szczycie skał. Patrzyła, jak piana na fali zbliża się, rozpryskuje i zbliża znowu. Kilka podwójnych samotnych drogowskazów błyszczało wzdłuż autostrady Pacific Coast. Daleko, poprzez mgłę, Malibu Colony świeciła niewyraźnie jak statek kosmiczny lądujący na skraju wody. Mgła zbierała się na brzegu, jak gdyby przytrzymując wrogie statki z daleka.

Szła wzdłuż ogrodzenia, aż poczuła gasnący żar węgla, na których opiekali węgorze na późną kolację. Tylko ich dwoje, butelka wina Roederer Cristal, węgorz i gorący, chrupiący, kwaskowaty chleb. Posiłek, który uwielbiali, któremu towarzyszyła taka sama rozmowa, jaką prowadzili w Rzymie, Paryżu, Nowym Jorku i Los Angeles przez ostatnie półtora roku. Rozmowa, debata, kłótnia, nazwij to, jak chcesz, zawsze było tak samo. Czowała, że mu się poddaje, jak falochron, który nie może się oprzeć przyptywowi, ale walczyła nie po to, by ulec. Nie była jeszcze gotowa, by ulec. Na miłość boską, *chciała* ulec, załamać się, paść w jego ramiona, ale teraz nie mogła. Jeszcze nie. Jeszcze nie teraz. Cholera. Znowu płakała.

Zawróciła i poszła z powrotem ku niskiej, rozległej hacjendzie, obok basenu i kortu tenisowego, przeszła przez wyłożone kamieniami patio i stanęła patrząc przez szklaną ścianę o rozsuwanych drzwiach. Godzinę temu kochała się w tym łóżku.

Był postawnym, solidnie zbudowanym mężczyzną o twarzy przystojnego buldoga. Zdeterminowany. Siwe włosy były krótko obcięte i starannie zaczesane do tyłu. Wydawało się, że nigdy nie są potargane. Miał na sobie granatową piżamę w białe prążki, z monogramem CL na kieszonce. Jego prawe ramię spoczywało w miejscu, gdzie leżała wcześniej, jak gdyby zasnął w rytm jej oddechu, jej uderzeń serca. Leżał teraz nieruchomo. Wiedziała, że pachnie ich potem i wodą kolońską Hermes Equipage. Tyle o nim wiedziała, więcej niż musiała wiedzieć. Nigdy nie była tradycyjną zakonnica. Faktem było, iż jako zakonnica zawsze sprawiała cholerne kłopoty Kościołowi, Zakonowi. Zawsze wiedziała, co jest słuszne. Taka właśnie się urodziła i nic nigdy się nie zdarzyło, żeby to zmienić. Wiedziała, co jest słuszne a co złe i bardzo często jej poglądy i Kościoła bardzo się różniły. Poszła własną drogą i prowokowała ich, żeby coś zrobili. Stała się osobą publiczną - napisała dwa bestsellery, przez co w oczach wielu osób została bohaterką swoich czasów i ta popularność zapewniała jej bezpieczeństwo. Ośmieliła się zmusić Kościół, by przyznał, że jest zbyt mały, zbyt nieważny, zbyt kiepski, aby do niego należała i Kościół wycofał się z pretensji. Uczyniła z siebie niezbędny ozdobnik wielkiej fasady nowoczesnego Kościoła Rzymskokatolickiego. Jediną drogą, jaką mogli się jej pozbyć - tak uważała w owym czasie - to nogami do przodu.

Wszystko stało się przed dwunastoma miesiącami, zanim zabrała się do poszukiwania potrzebnych jej materiałów. Teraz - myślała z kwaśną miną, raz jeszcze ocierając oczy i pociągając nosem - wszystkie te sprawy, przemowy i popularność, to była dopiero rozgrzewka. Chociaż nic nie mogło przygotować jej lepiej do ostatniego roku, do narastającego strachu. Myślała, iż widziała już

wszystko. Myślała, że widziała zło we wszystkich jego przebraniach i kształtach. Podobnie jak miłość. Myliła się. Nie wiedziała nic o miłości ani też o tym, czym jest zło, ale, na Boga, dowiadywała się.

Osiemnaście miesięcy temu Curtis Lockhardt powiedział jej, że ją kocha. Byli w Rzymie, gdzie właśnie zaczynała nową książkę, która miała dotyczyć roli Kościoła w drugiej wojnie światowej. On został wezwany do Watykanu. Polecono mu, by wziął udział w uciszaniu rozrastającego się skandalu w Banku Watykańskim, obejmującym wszystko od defraudacji i wymuszania po zwykłe morderstwo. Lockhardt należał do nielicznych świeckich, do których Kościół - w tym wypadku Kalikst IV - zwracał się w czasie największych kryzysów. Większość świeckich nie była w stanie sobie nawet wyobrazić błyskotliwości umysłu i absolutnej bezwzględności, jakiej wymagało kontrolowanie takiej ośmiornicy jak Kościół. Lockhardt to potrafił: zrobił karierę właśnie dzięki tym przymiotom, pozostając jednocześnie najbardziej współczującym, czarującym i szczerym wobec ludzi. Jak zwykł mówić Kalikst, Lockhardt siedział bardzo blisko samego środka Kościoła w Kościele.

Znała Curtisa Lockhardta całe swoje życie. Kiedy była jeszcze Val Driskill, trzydzieści lat temu, tańczyła na trawniku swoich rodziców w wielkich łukach wody, wyrzucanych przez spryskiwacze. W kostiumie kąpielowym z koronkami wyglądała jak fantazyjnie zapakowany cukierek. Miała dziesięć lat, a Lockhardt był młodym prawnikiem i bankierem z imprimatur zarówno od Rockefellerów, jak i od rodziny Chase. Często odwiedzał dom w Princeton, by rozmawiać z jej ojcem o pieniądzach i interesach Kościoła. Gdy z zadartym nosem paradowała przed nimi, błyszcząca od wody i opalona słońcem, słyszała lód brzęczący w ich szklankach i widziała ich siedzących w białych wiklinowych krzesłach na ocienionej werandzie.

- Byłaś zachwycającą jak elf dziesięciolatką - powiedział jej w Rzymie tamtej nocy. - A jako piętnastolatka już stałaś się seksownym roztrzepańcem. Cholernie niewiele brakowało, bym przegrał z tobą w tenisa.

- Cały czas patrzyłeś na mnie, a nie na piłkę. - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko. Przypomniała sobie, jak zrozumiała, że jest dla niego pociągająca, gdy tak biega po korcie, a wiatr podnosi jej spódniczkę i osusza pot na twarzy. Lubiła go. Podziwiała go. Fascynowała ją jego władza. Oto świecki, który sprawiał, iż księża wstawali i słuchali. Miał wtedy trzydzieści pięć lat i zastanawiała się, dlaczego się nie ożenił.

- Kiedy skończyłaś dwadzieścia lat, śmiertelnie się ciebie bałem. Obawiałem się wpływu, jaki miałaś na mnie. Za każdym razem, gdy cię widziałem, czułem, że robię z siebie cholernego głupca. Pamiętasz dzień, kiedy zabrałem cię na lunch do Plaża, do Sali Dębowej z freskami na ścianach, przedstawiającymi bajkowe zamki w górskich królestwach? Powiedziałaś mi wtedy, co masz zamiar zrobić z resztą swego życia, pamiętasz? Tego dnia oświadczyłaś mi, że wchodzisz do środka, wstępujesz do Zakonu. Moje serce prawie zamieniło się w przecier pomidorowy. Poczułem się jak wzgardzony kochanek... Faktem jest, iż gdybym był całkiem normalny, patrzyłbym na ciebie jak na dziewczynę, córkę Hugh'a Driskilla... dziecko. Ale rzecz w tym, że nie byłem normalny. Byłem zakochany. I jestem nadal zakochany, Val. Obserwowałem cię, śledziłem twoją karierę, a kiedy przyjechałaś do Los Angeles, wiedziałem, że znowu będę widywał cię częściej... - Wzruszył ramionami jak chłopiec i wszystkie te lata

zniknęły. - Złą wiadomością było to, że wciąż kocham zakonnicę, dobrą zaś, iż wiem, że warto było czekać.

Ich romans zaczął się tamtej nocy w Rzymie, w jego mieszkaniu, położonym wysoko nad Via Veneto. Wtedy rozpoczął kampanię przekonywania jej, by opuściła Zakon i wyszła za niego za mąż. Złamanie ślubów - pójście z nim do łóżka - okazało się dla Val łatwe. Te śluby były zawsze częścią przymusu w jej pracy, złem koniecznym, ceną, jaką płaciła za możliwość służenia Kościołowi, służenia ludzkości przez tak potężne narzędzie jak Kościół. Ale opuszczenie Zakonu - zostawienie ram, wokół których zbudowała swoje życie - do tej pory stanowiło przeszkodę nie do pokonania.

Ledwie godzinę temu, popadłszy w głęboką rozterkę, kłócili się na zimno, z żalem, nie akceptując nawzajem swych racji, ale kochając, jak zawsze kochając. W końcu znaleźli pocieszenie w namiętności. Kiedy zasnął, wysunęła się z łóżka i wyszła na zewnątrz, by spokojnie pomyśleć. Chciała pobyc sama ze sprawami, o których nie miała odwagi mu opowiedzieć.

Tuż przed nią, gdzieś z nocy i rzadniejącej mgły, z rozłożonymi skrzydłami nagle sfrunęła mewa. Rozmazana plama minęła ją i wylądowała w patio. Ptak przeszedł kilka kroków z wyciągniętą szyją, spojrzął na swoje odbicie w szkle i odleciał, jakby przestraszony własnym widokiem. Wiedziała, co czuł.

Nagle pomyślała o najlepszej przyjaciółce, siostrze Elżbiecie z Rzymu, w której widziała czasami swoje lustrzane odbicie. Elżbieta była również Amerykanką, kilka lat młodszą, ale bardzo inteligentną, przenikliwą i rozumiejącą innych. Kolejna nowoczesna zakonnica, wykonująca wybraną przez siebie pracę, ale nie sprawiająca kłopotów jak Val. Poznały się w Georgetown, kiedy siostra Val robiła doktorat, a Elżbieta była przedwcześnie dojrzałą, liberalną magistrantką. Wykuły sobie przyjaźń, jaka przetrwała prawie dekadę krańcowych napięć wewnątrz Kościoła. Wtedy w Rzymie to właśnie siostrze Elżbiecie Val zwierzyła się z propozycji małżeństwa złożonej jej przez Lockhardta. Przyjaciółka wysłuchała całej opowieści i zawahała się chwilę przed odpowiedzią.

- Spróbuj rozważyć wszystko na zimno - rzekła w końcu. - A jeśli to jest kazuistyka, wiń za nią moją do gruntu jezuicką naturę. Etyka wynikająca z sytuacji. Pamiętaj o swoich ślubach, ale jednocześnie przemyśl to dokładnie. Nie jesteś więźniem, jak wiesz. Nikt cię nie zamknął w celi i nie wyrzucił klucza, zostawiając cię uwięzioną, aż się rozłożysz.

Dobra rada. Gdyby Elżbieta była teraz w Malibu, pewnie miałyby jeszcze więcej takich dobrych rad. Val wiedziała, jakby one brzmiały.

- Jeśli masz zamiar nadal z nim sypiać, Val - powiedziałyby - musisz opuścić Zakon. Po prostu nie ma sensu tego ciągnąć. Możesz to traktować jak nieważny szczegół, ale uświadom sobie, że tak nie jest. Przyjęłaś śluby. Każdy ma prawo się potknąć, ale nie można potykać się przez cały czas, czyniąc z potknięć zasadę. To głupie i nieuczciwe. Wiesz o tym, podobnie jak ja, a Opatrzność też zna całą prawdę.

Przypominając sobie pewność słów siostry Elżbiety, poczuła tylko wyczerpanie i strach. Lęk wypierał wszystkie inne uczucia.

Wszystko zaczęło się przy zbieraniu danych do książki. Cholerna książka! Co by teraz dała, żeby nigdy o niej nie pomyślała! Ale było już za późno. To strach przygnał ją z powrotem do Stanów i zaprowadził do domu w Princeton. To strach sprawiał, że wątpiła we wszystko - w Curtisa, w miłość, w

pozostanie lub odejście... Nie potrafi się myśleć jasno, gdy pożera człowieka strach. Zapędziła się za daleko w swych poszukiwaniach. Wciąż kopała, chociaż powinna mieć na tyle rozsądku, by zaprzestać, zostawić wszystko i wrócić do domu. Należało zapomnieć o tym, co znalazła, zająć się swoim życiem, Curtisem. Nie tylko o siebie się bała. Przejmował ją lęk o Kościół.

Wróciła do Ameryki z zamiarem wyłożenia wszystkiego Curtisowi. Ale coś ją ostrzegło, kazało jej się powstrzymać. To, co odkryła, było czymś w rodzaju piekielnej maszyny, bomby tykającej już od bardzo, bardzo dawna. Curtis Lockhardt, albo znał prawdę, albo - niech mu Bóg pomoże - w tym uczestniczył, albo też o niczym nie wiedział. Nie, nie mogła mu powiedzieć. Był zbyt blisko Kościoła, za bardzo do niego należał. Milczenie wydawało się mieć sens.

Bomba jednak istniała, a ona się na nią natknęła. Przypomniało jej to o pewnym wydarzeniu w ich domu w Princeton, kiedy brat Ben, przekopując się przez piwnicę w poszukiwaniu kijów do golfa - pochodzących z lat młodości ojca - znalazł siedem puszek z czarnym prochem, pozostałych z dawnych uroczystości 4 Lipca. Zeszła za nim po schodach, mijając wszystkie zebrane góry świadków historii rodzinnej, czując strach przed prawdziwymi czy urojonymi pająkami, które mogłyby zaplątać się w jej włosy. Nagle usłyszała jego głos zniżony do szeptu i mówiący, by - na miłość boską - zawróciła, na co odpowiedziała mu, że przysięga, iż na niego naskarzy.

Cóż, właśnie wtedy ostrzegł ją, że dom w każdej chwili może wylecieć w powietrze, bo czarny proch był już w tych puszkach, zanim się urodzili i jest cholernie niebezpieczny. Terma w tym samym pomieszczeniu miała jakieś zwarcie i strzelała iskrami. Nic nie wiedziała o czarnym prochu, ale znała swojego brata Bena. On nigdy nie żartował.

Zmusił ją, by schowała się w stajni o kamiennych ścianach. Tymczasem on, mokry od potu, prznosił ostrożnie po jednej puszcze z piwnicy na brzeg jeziora na końcu ich posiadłości, daleko za sadem. Wielokrotnie przechodził przez trawnik z tyłu domu, tuż obok ich rodzinnej kaplicy. Kiedy zadzwonił na policję w Princeton, przysłali kilku strażaków, a komendant policji osobiście przyjechał w czarnym DeSoto. Strażacy dokładnie oblali puszki wodą, a Ben został prawdziwym bohaterem. Policjanci dali mu coś w rodzaju honorowej odznaki. W tydzień później lub dwa Ben oddał ją Val, jako prezent, ponieważ ona też była bardzo dzielnym żołnierzem i dokładnie wypełniała rozkazy. Rozplakała się zaskoczona. Nosila odznakę codziennie przez całe lato, a przed snem wkładała ją pod poduszkę. Miała wtedy siedem lat, a Ben czternaście. I tak już zostało. Przez całe swoje życie biegła do Bena, kiedy potrzebowała kogoś, kto mógłby być dla niej bohaterem.

Teraz miała własną bombę, niebezpieczną i mogącą wysadzić w powietrze i rozwalić na kawałki wybory papieża. Więc jechała do domu zobaczyć Bena. Nie Curtisa ani ojca - przynajmniej na razie. Wiedziała, że do niego wróci. Zawsze uśmiechała się do siebie, gdy myślała o Benie, o bracie Benie - odstępcy od wiary. Jemu wszystko mogła wyłożyć, również to, co wyszło na jaw w dokumentach Torricelliego i w Tajnych Archiwach. Będzie się śmiał z jej kłopotu, a potem spoważnieje i poradzi, co zrobić. Wskaże, jak powinna przedstawić całą historię ojcu...

Rolls-Royce czekał już na lotnisku Kennedy'ego, kiedy pojawił się prywatny odrzutowiec Lockhardta. Natychmiast powiózł ich bezpośrednio przez prawie puste ulice do samego serca śródmieścia. Przybyli pół godziny przed czasem. Lockhardt powiedział kierowcy, by zawiózł go do budynku przy krótkiej przecznicy zwanej Rockefeller Plaza, która biegła między siedzibą RCA a lodowiskiem w Centrum Rockefellera. Siedząc na wygodnym tylnym siedzeniu, popatrzył w oczy Val i wziął ją za rękę.

- Jesteś pewna, że nic mi nie chcesz teraz powiedzieć? - spytał.

Było oczywiste, iż coś się kryje za tym pytaniem. Nie powiedział jej nic o telefonie od przyjaciela z Watykanu, który odebrał tydzień temu, kiedy była w Egipcie. Na wysokich stołkach martwiono się tym, co ona robi - rezultatami poszukiwań, na jakie natrafiła i jej determinacją w pójściu ich śladem. Przyjaciel Lockhardta z Watykanu prosił go, aby się dowiedział, co odkryła i przekonał ją, by zrezygnowała.

Lockhardt za bardzo szanował motyw Val i jej pracę, by otwarcie powiedzieć o ciekawości Watykanu. W każdym razie Watykan nie wywierał na siostrze Val żadnego wrażenia. Ale Curtis miał bardzo silny instynkt samozachowawczy, który mógł z łatwością rozciągnąć i na nią. Dlatego też bardzo zaniepokoił się tym telefonem. Nigdy nie wychodziło nikomu na dobre, jeśli w Watykanie myślano o jego sprawach. A ten telefon nie zadzwonił bez powodu. Coś poważnie kogoś zmartwiło i przekazano polecenia. Ale nie mógł naciskać Val. Sama powie mu o wszystkim, kiedy będzie gotowa. Należy dać jej czas.

Uśmiechnęła się nerwowo i pokręciła głową.

- Nie, naprawdę. Masz teraz tyle na głowie. Kalikst umiera. A ty, mój drogi, musisz zdecydować, kto będzie następnym papieżem... Sępy się zbierają.

- Czy przypominam ci sępa?

- Wcale nie. Jak zwykle bijesz sępy.

- Jeśli chodzi o wybieranie papieży, nie mam głosu.

- Nie bądź zakłamanym. Czy to nie *Time* nazwał cię kardynałem bez czerwonego kapelusza? - Roześmiała się, widząc jego gniewną minę. - Masz znacznie więcej niż głos. Wskazałeś ostatniego papieża...

- Przy pomocy twojego ojca, siostrze. - Uśmiechnął się. - Mogliśmy wybrać gorzej...

- Chyba nie - stwierdziła.

- Mój Boże, kocham cię, siostrze.

- Zajmujesz taką pozycję, że możesz wskazać następnego papieża. Bądźmy realistami. Ja też cię kocham. Wcale nie jesteś taki zły, jak na starszego pana.

- Nie powinnaś mieć zbyt wielkich podstaw do porównań - rzekł poważnie.

- Wierz mi. Nie mam. Wziął ją za rękę.

- Val, chciałbym, byś mi też ufała. Ten twój okropny sekret doprowadza cię do szaleństwa. Jesteś kompletnie wyczerpana. Cokolwiek to jest, płacisz piekielnie wysoką cenę. Wychudłaś, jesteś zmęczona, wyglądasz na wykończoną...

- Mój mioudousty diable ze srebrnym językiem...

- Wiesz, o co mi chodzi. Uspokój się, odpocznij, porozmawiaj z Benem. Musisz to z siebie zrzucić.

- Curtis, daj mi na razie spokój, dobrze? Nie chcę wyjść na idiotkę, jeśli poniosła mnie wyobraźnia. Może to równie dobrze poczekać do jutra. Wtedy wszystko ci opowiem - ścisnęła go za rękę.

- A teraz idź zobaczyć się z Andym. - Pochyliła się i pocałowała go delikatnie. Poczuła jego rękę na swoich włosach. Głaskał ją po głowie. Jego usta dotknęły jej ucha.

Wysiadł i stał przez chwilę na chodniku. Patrzył, jak macha mu ręką, gdy samochód odjeżdżał. Ciemna szyba podjechała do góry. Zniknęła. Następny postój - Princeton.

Spędził tak ogromną część swego życia w korytarzach władzy, że bardzo długo mylił zadowolenie i poczucie dyskretnego koleżeństwa ze szczęściem. Wtedy to siostra Valentine odkryła przed nim tajemnice zwykłego szczęścia, rozwiązała dla niego wielką zagadkę. Teraz był pewien, że zostaną ze sobą na zawsze.

Właśnie się nad tym zastanawiał, stojąc i przyglądając się łyżwiarzom płynącym rytmicznie wokół lodowiska. To prawda, że martwił się o Val. Była w Rzymie, Paryżu, wybrała się nawet do Aleksandrii w Egipcie - wszystko w imię szukania materiałów do książki. Starał się połączyć kawałki układanki. Wiedział, iż pracowała również w Tajnych Archiwach. To wtedy zadzwonił ten cholerny telefon z Rzymu.

Znalazłszy dobre miejsce do obserwacji, oparł się o poręcz ponad lodowiskiem i uśmiechnął się na widok starszego księdza, który z gracją i godnością jeździł między dziećmi. Przyglądał się z podziwem, jak ksiądz w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym z rozwianymi połami podjechał i postawił na nogi ładną dziewczynkę, siedzącą po upadku na lodzie. Curtis wątpił, czy widział kiedyś w życiu bardziej uduchowioną i pogodną twarz.

Spojrzał na swojego Patka - złoty plaster na przegubie dłoni. Monsignor Heffernan, który dopiero niedawno skończył czterdzieści pięć lat, a już został przeznaczony do kardynalskiego kapelusza w ciągu najbliższych pięciu czy dziesięciu lat, czekał na niego. Jako prawa ręka arcybiskupa kardynała Klammera, miał sporo władzy w jednym z najbogatszych miejsc w Kościele. Nie był znany ze swej godności ani powagi, lecz z tego, że wykonywano jego polecenia. I jak na takiego łatwego w pożyciu faceta przystało, był punktualnym draniem, który oczekiwał punktualności od innych.

Nadszedł czas, by iść.

Początki interesów Kościoła przy przecznicy, ciągnącej się prosto na wschód od katedry Świętego Patryka sięgały końca dziewiętnastego wieku, kiedy to zbudowano tam raczej skromny kościółek pod wezwaniem świętego Jana. Stanął na miejscu, w którym później - gdy Kościół sprzedał ziemię - zobaczono budowę słynnych domów Villarda, przypominających niektórym obserwatorom skromne budynki książąt Medici. Zbyt drogie, by mogły pozostać w prywatnych rękach po drugiej wojnie światowej, słynne domy zostały opuszczone i stały czekając na właściciela - eleganckie i puste wspomnienie innego wieku.

W 1948 Francis kardynał Spellman, arcybiskup Nowego Jorku, który przyzwyczał się do

przyglądania się budynkom Villarda ze swojej rezydencji przy katedrze Świętego Patryka, postanowił je odzyskać. W krótkim czasie Kościół - przy niezliczonych oficjalnych zaprzeczeniach - zagospodarował wspaniałe budynki. Złota sala przy 451 Madison Avenue stała się salą konferencyjną dla doradców diecezji. A sala balowa zamieniła się w miejsce spotkań metropolitalnego trybunału archidiecezji. Jadalnia przekształciła się w biuro kancelarii. Proteuszowa istota Kościoła rozpełzła się wzdłuż korytarzy i po marmurowych schodach...

A jednak czasy się zmieniają. W latach siedemdziesiątych dobra koniunktura dla handlu nieruchomościami minęła i Kościół stwierdził, że nie jest w stanie utrzymać domów Villarda, które znowu stały puste, przedstawiając sobą przykry ekonomiczny problem w wysokości siedmiuset tysięcy dolarów podatku.

Zostali uratowani przez Harry'ego Helmsleya. Zaproponował dzierżawę domów Villarda i pobliskiego terenu należącego do Kościoła, gdzie chciał zbudować hotel. Archidiecezja pomogła Helmsleyowi przy kłopotach z biurokratami i w końcu domy zostały ocalone w niezmienionym kształcie. Kościół był nadal właścicielem ziemi, a Helmsley miał wieloletnią dzierżawę. Zbudował też hotel w pobliżu domów i jak renesansowy księżę nazwał go „The Helmsley Pałace”.

To właśnie do owego pałacu skierował się Curtis Lockhardt, przeszedłszy pod dziewiętnastowieczną markizą z brązu i szkła na Piętnastej Ulicy. Minął cichy hol recepcyjny z lustrami i bogatymi wykładzinami z orzecha we francuskim stylu, potem skręcił nagle w prawo i wkroczył do małej ogrodzonej przestrzeni, w której znajdowało się biurko portiera i windy, obsługujące luksusowe apartamenty na najwyższych piętrach.

Andy Heffernan zarezerwował na to spotkanie potrójny apartament Kościoła. W świecie wielkiej polityki, do której należał, Curtis Lockhardt był jedną z jego kart atutowych i dlatego pragnął zachować jak największą tajemnicę. Lockhardt mówił o tak wielkiej sumie pieniędzy, że najmniejsza pogłoska o tym nie powinna wydostać się na zewnątrz. Stawką był wybór następcy Kaliksta. Gdyby spotkali się po drugiej stronie ulicy, przy katedrze Świętego Patryka, naraziliby się na plotki. Władza, luksus, zamiłowanie do spraw ziemskich i dyskrecja: - to był monsignor Heffernan.

Lockhardt wiedział, że cygara Dunhill Monte Cruz 200 i koniak Remy Martin, który Andy cenił najwyżej, będą przygotowane.

Monsignor Heffernan często twierdził w zaufaniu, iż bierze się wszystkie łapówki, jakie można dostać, a im więcej się bierze, tym więcej jest do wzięcia.

Lockhardt wysiadł z windy na pięćdziesiątym czwartym piętrze i zapadając się w gruby dywan dotarł do końca długiego holu, biegnącego równolegle do Madison Avenue. Nie natrafił tam na nic, co by wskazywało, że jest coś niezwykłego za tymi drzwiami. Nacisnął dzwonek i czekał. Odezwał się głos z małego głościka:

- Wejdz, Curtis, mój mały. - Zabrzmiało to tak, jakby szlachetny monsignor pocieszył się dwoma martini przed lunchem.

Lockhardt był przyzwyczajony do luksusu, a mimo to widok, który się przed nim roztaczał, zawsze wywierał wrażenie. Stał na szczycie kręconych schodów ze starannie wyrzeźbioną poręczą.

Rozległy pokój poniżej miał wysokość dwóch zwykłych pięter i był całkowicie otoczony szkłem. W dole dostrzegł Manhattan, rozpościerający się jak na mapie izometrycznej, Empire State Building, miękką secesyjną iglicę Chrysler Building, pierwotną nowoczesność wieżowców World Trade City, a za nimi w zatoce Statuę Wolności, wyspę Staten, wybrzeże stanu Jersey... Jego uwagę przykuło Radio City, Rockefeller Center, błyszcząca plama lodowiska... i widoczna prawie prosto w dole katedra Świętego Patryka. Jej bliźniacze wieże wyrastały majestatycznie nad Piątą Aleją.

Poczuł się tak, jakby stanął na chmurze. Trzymając się rzeźbionej poręczy, powoli zszedł po wyłożonych dywanem schodach. Nie mógł oderwać wzroku od tego widoku, który sprawiał, że czuł się jak dziecko postawione przed zabawkami, przerastającymi jego najdziksze marzenia.

- Właśnie się odlewam. - Głos Heffernana dobiegł go gdzieś zza ukrytych drzwi. - Przyjdę zaraz do ciebie.

Lockhardt odwrócił się znowu do panoramy miasta, niemal zahipnotyzowany przejrzystością i szczegółami miasta. Stał z nosem prawie przyciśniętym do szyby, wpatrując się w katedrę Świętego Patryka i myśląc o tym, że jej budowniczy nigdy czegoś podobnego sobie nie wyobrażali. Widok dla Boga. To było tak, jakby projekt ożył, jakby wrósł w trzeci wymiar.

- Niech Bóg błogosławi naszemu maleńkiemu domkowi. Monsignor Heffernan, duży mężczyzna z rzadziejnymi rudymi włosami i nosem, który wydawał się ukradziony kłownowi, ociężale sunął ku niemu. Był czerwony od opalenizny. Jego skóra zaczynała się łuszczyć. Miał na sobie czarną koszulę z koloratką, czarne spodnie i czarne pantofle z chwościkami. Jego wodniste, błękitne oczy mrugały zza zasłony dymu z cygara. Wywalczył sobie wejście na szczyt z irlandzkiej biedy wielonarodowego południowego Bostonu. Był już ważnym człowiekiem w swoim świecie i przez scementowanie koalicji z wielkim amerykańskim królotwórcą stawał się jeszcze ważniejszy. Bez trudności mogli wykorzystać się nawzajem, co - jak uważał monsignor - było równie dobrą definicją przyjaźni, jaką można było sformułować. Andy Heffernan był szczęśliwym człowiekiem.

- Wyglądasz na bardzo sprawnego i uczciwego faceta, niemal na bogacza, Curtis. Poczęstuj się cygarem. - Wskazał drewniane pudełko w kącie zaśmieconego wysokiego stołu, ze szklanym blatem grubości dwóch cali.

- Skręciłeś mi rękę - powiedział Lockhardt, wyszarpując dłoń z jego uścisku. Zapalił cygaro Monte Cruz specjalną zapalką Dunhill i delectował się jego smakiem. - Gdzie udało ci się nabrać tego wyglądu ugotowanego homara?

- Na Florydzie. Właśnie wróciłem stamtąd po tygodniu gry w golfa na cele dobroczynne. Wspaniały tydzień.

Podszedł do krzesła za stołem i usiadł. Przed nim znajdowało się kilka segregatorów, notatnik, telefon, cygara i pełna popielniczka. Lockhardt też zajął miejsce, patrząc na niego przez szklaną przestrzeń stołu.

- Świetni faceci - Jackie Gleason, Johnny, Tom i Jack, wszyscy. Cała kupa wspaniałych facetów tam na Florydzie. Zrobią wszystko dla Kościoła. Piekielnie dużo dobrego dla oddziału dziecięcego w szpitalu Naszej Pani Pokoju. Poza tym mnóstwo golfa. Nie uwierzysz, ale raz minąłem dołek w jednym

strzale nie więcej niż o trzy cale! Padłbym na miejscu trupem, gdybym trafił! Powinni to pokazać w telewizji - metalowy kij numer sześć, trzy nędzne cale na lewo. Raz w Szkocji, w Muirfield udało mi się trafić za pierwszym strzałem... Och, to były szczęśliwe dni... Piekielnie daleko od południowego Bostonu. Czego więcej może pragnąć człowiek, co Curtis? Cieszyć się, bawić się, bo już od dawna jesteśmy martwi...

- A co się stało z życiem wiecznym, niewidzialnymi chórami aniołów i parą wielkich skrzydeł?

- Och, to ty i teologia twoich zakonnic! Daj spokój. - Heffernan roześmiał się w charakterystyczny dla niego, energiczny sposób, który sprawiało, iż wydawało się, że jest otwarty jak burdel w sobotnią noc.

- Chcesz mieć spokój i dziesięć milionów dolców? - spytał z uśmiechem Lockhardt i wydmuchnął kółko z dymu. Suma była tak wielka, że tylko kilkakrotnie wymieniono ją w ich rozmowach. Z przyjemnością przyglądał się reakcji Heffernana.

- Dziesięć milionów dolców... - Śmiech Heffernana szybko umilkł. Tyle pieniędzy stanowiło poważny interes, nawet dla prawej ręki arcybiskupa kardynała Klammera. Lockhardt zawsze zastanawiał się, co działo się w głowie tego człowieka, gdy rozmawiał z Johnnym Millerem o dołku w jednym strzale i kiedy śmiał się w podobny sposób. Wyglądało na to, że nigdy się nie kontroluje. A jednak nigdy nie popełniał błędów.

- Dziesięć milionów - powiedział miękko Heffernan, napawając się brzmieniem tych słów. Złożył dłonie przed sobą, stukając palcami o siebie. - Wierzysz, że dziesięć milionów wystarczy, by załatwić całą sprawę?

- Mniej więcej. Ale mogę przynieść więcej. Zawsze jest gdzieś głęboko w kieszeniach rezerwa.

- Może u Hugh'a Driskilla, co? Lockhardt wzruszył ramionami.

- Andy, możesz zrobić założenia, jakie zechcesz. Ale czy naprawdę musisz wiedzieć? Czy rzeczywiście chcesz wiedzieć? Raczej w to wątpię.

- Zgoda. Przyniesiesz pieniądze. Pomogę, by znalazły się w odpowiednich rękach. - Heffernan uśmiechnął się jak człowiek, który wie, że jest zamożnym, radosnym Irlandczykiem. - Klammer zabije mnie po prostu, Curtis. Całe to chrzaniecie o czystych rękach, całe to gadanie, zaprzeczanie...

- Kardynałowie amerykańscy są inni. Mają skłonność do sądzenia, że ich głos jest święty i nie może stać się przedmiotem handlu. Uważam, że on sam nie chce mieć z tym w ogóle do czynienia, nie chce wiedzieć, iż to się kiedykolwiek zdarzyło. Łapówki go przerażają...

- Prezenty, prezenty! - Heffernan zrobił skruszoną minę. - To słowo nigdy nie może wyjść z naszych ust. Dziesięć milionów. A co my będziemy z tego mieli, ty i ja?

- Solidną jak skała amerykańską grupę wsparcia. Dodaj do tego Fangio, kardynałów, których wyniósł Kalikst. Też są nam coś winni... Więc chodzi o to, Andy, że to właśnie my wskazujemy następnego papieża. Kościół pozostaje na obranej wcześniej drodze. My tego dopilnujemy. - Przez moment w jego umyśle pojawiła się siostra Valentine, mówiąca mu, że to, co znalazła, może wpłynąć na wybór następnego papieża...

- Nie ma dezertów w szeregach?

- A dlaczego miałby ktoś zdezerterować? Święty Jaś skończył siedemdziesiąt sześć lat, nie może żyć wiecznie, a wtedy... no cóż, wtedy będziesz już nosił czerwony kapelusz i Kościół wybierze wielkiego człowieka na papieża. Nasz stary Kościół przeniesie się w dwudziesty pierwszy wiek, podążając wciąż w tym samym kierunku, w którym musi iść, jeśli ma przetrwać. Nadchodzi nowy świat, Andy, a Kościół musi się trzymać uciekającej ziemi. To takie proste.

- Powiniennem dać forszę tobie. W twoich ustach wszystko brzmi prosto. Pieniądze są pewne?

- Nigdy nie prowadzę interesów przy niepewnych możliwościach, Andy.

- Cóż, to wymaga obłania. - Monsignor Heffernan sięgnął po butelkę koniaku, stojącą na tacy obok dwóch ładnych przykładów kryształów Baccarata. Nalał i wręczył jedną szklanekę Curtisowi Lockhardtowi. - Za dobrze wydane pieniądze!

- Za starego Świętego Jasia! - powiedział Lockhardt cicho.

- Za przyszłość - dodał monsignor.

To Heffernan zobaczył go pierwszy. Oblizawszy wargi popatrzył w górę i zobaczył starego księdza. Jakoś udało mu się tak wejść, że go nie usłyszeli. Zszedł po schodach, gdy oni napawali się widokiem z okna i składali sobie nawzajem gratulacje. Monsignor Heffernan zadarł głowę żartobliwie i odezwał się:

- Słucham, ojcze, co mogę dla ciebie zrobić?

Lockhardt odwrócił się i zobaczył księdza. To był tamten łyżwiarz, Curtis uśmiechnął się, przypominając sobie scenę na lodowisku. A wtedy zauważył podnoszącą się dłoń w rękawiczce. Coś w tym geście było...

Nagle siła opuściła jego ciało i na jej miejsce pojawił się biologiczny, fizyczny, niekontrolowany szok. Próbował w ułamku sekundy pojąć; co się dzieje. Ten ksiądz do niczego nie pasował. Nie przyszedł żadnym z korytarzy władzy, znanym Curtisowi Lockhardtowi. W jego dłoni był pistolet.

Wydał z siebie dziwny, przytłumiony dźwięk, jak strzała uderzająca w mokry cel.

Andy Heffernan został uderzony przez przestrzeń szkła. Ciemna sylwetka na tle światła, z rozpostartymi ramionami, jakby czekająca na gwoździe, by znalazły się na swoim miejscu. Nadszedł znowu ten dźwięk i spalona słońcem twarz rozpadła się - nieodwołalnie rozpadła, skończyła się na wszystkie sposoby. Myśli przelatywały przez głowę Lockhardta, gdy tak stał, nie mogąc się poruszyć, uciec, rzucić na strzelca. Twarz, którą znał od tak wielu lat, rozpadła się w wybuchu krwi i kości. Pajęczyna spękań pojawiła się na ścianie ze szkła, rozchodząc się od otworu wielkości męskiej pięści.

Lockhardt patrzył na to, co zostało z jego przyjaciela. Wpatrywał się w śliski czerwony szlak, pozostawiony przez niego na szkłe. Curtis wyczuł koniec swojej drogi, gdy zbliżył się do ciała monsignora Heffernana. Ledwie się poruszał. Wszystko wydawało mu się takie odległe, jak za mgłą, jak gdyby działo się na końcu tunelu.

Powoli ksiądz skierował pistolet w jego stronę.

- Wola boża - powiedział, a Lockhardt próbował zrozumieć, odszyfrować ten kod. - Wola boża - znowu wyszeptał stary ksiądz.

Lockhardt wpatrywał się w lufę pistoletu. Spojrzał w oczy księdza, ale widział coś innego - małą

dziewczynkę w kostiumie kąpielowym - tańczącą, roześmianą i popisującą się w łuku wody wyrzucanej przez spryskiwacz, płaszącą w słońcu na mokrej, świeżo skoszonej trawie, która w tańcu przywierała do jej stóp.

Lockhardt usłyszał swój własny głos, chociaż nie mógł całkiem zrozumieć, co mówi. Może wołał tę małą dziewczynkę, wypowiadał jej imię, próbując ją dosięgnąć, zanim będzie za późno. Być może starał się schronić w bezpiecznej przeszłości, w niczym nie zagrażającej pajęczynie czasu...

Ksiądz czekał, z uprzejmym wyrazem twarzy, jak gdyby dawał Curtisowi Lockhardtowi czas na bezpieczne opadnięcie na ziemię...

Wtedy nacisnął spust.

Curtis Lockhardt leżał z głową opartą o szkło, w miejscu, gdzie stykało się z dywanem. Tonął we własnej krwi wypełniającej mu płuca. Zacierało mu się widzenie, jak gdyby zapadała prędko noc i już nie widział wyraźnie podskakującej dziewczynki. Zamiast niej mógł dostrzec kształt katedry Świętego Patryka, rozmazujący się w dole. Wieże wydawały się sięgać ku niemu jak wyciągnięte palce.

Zobaczył nogawkę czarnych spodni obok swojej twarzy. Poczul tępy ucisk z tyłu głowy.

Curtis Lockhardt z wysiłkiem mrugał powiekami, próbując zobaczyć radośnie tańczącą postać, ale zdołał tylko rzucić ostatnie spojrzenie katedrze Świętego Patryka.

Część pierwsza

Pamiętam ten pierwszy dzień zupełnie wyraźnie. Wtedy właśnie przywołał mnie do klubu na lunch Drew Summerhays - niezniszczalna szara eminencja naszego miękko wymoszczonego, prawniczego światka w firmie Bascomb, Lufkin i Summerhays. Miał najjaśniejszy, najbardziej giętki umysł, z jakim kiedykolwiek się zetknąłem, a nasze dyskusje przy lunchu były zarówno pouczające, jak zabawne. I zawsze miały cel. Summerhays skończył właśnie osiemdziesiąt dwa lata, czyli prawie wiek, ale wciąż niemal codziennie wyruszał na Wall Street. Był naszą żywą legendą. Przyjaciół i doradcą każdego prezydenta, zaczynając od pierwszej kampanii wyborczej Franklina Roosevelta, bohater drugiego planu drugiej wojny światowej, mistrz w szpiegostwie i powiernik papieży. Dzięki jego bliskim kontaktom z moim ojcem znałem go całe życie.

Wtedy, nawet zanim wstąpiłem do firmy i w konsekwencji zostałem wspólnikiem, wysłuchałby mnie, gdyż był świadkiem mego dorastania. Raz, kiedy już miałem rozpocząć nowicjat u jezuitów, udzielił mi rady, a mnie brakowałoby zdolności przewidywania, gdybym ją zignorował. Dziwne, że pomimo poważnego, nieprzystępnego wyglądu, był przez całe życie kibicem futbolu, a zwłaszcza moim fanem. Wtedy poradził mi, abym po ukończeniu Notre Dame pograł kilka lat zawodowo. Jezuiti, argumentował, będą jeszcze istnieli, kiedy odejdę ze sportu, ale teraz pojawiała się jedyna szansa, bym sprawdził swe zdolności na wyższym poziomie. Miał nadzieję, że los zawiedzie mnie do nowojorskich Gigantów. Chyba mogło się tak zdarzyć. Ale ja byłem wtedy bardzo młody i uważałem, iż wiem wszystko najlepiej.

Spędziłem lata moich studiów w Notre Dame jako obrońca bocznej linii, umazany błotem i krwią. Wściekły i rzucający się dookoła bardziej niż wynosił mój udział w swobodnie płynącej woli walki i wściekłości. Dwieście pięćdziesiąt funtów zdolności okaleczania upchnięte w dwieście funtów ciała. Hiberpola użyta przez dziennikarza sportowego. Red Smith tak właśnie mnie opisał. Faktem było, że wtedy stałem się niebezpieczny.

Teraz jestem całkiem cywilizowaną jednostką, na swój sposób oddzielną delikatną membraną od zwycięstwa zła i nierozsądku. Nieszkodliwą i praktycznie niegroźną dzięki służeńiu prawu, rodzinie, jej nazwisku i tradycji.

Summerhays nie zrozumiał tej prostej prawdy, że straciłem całkiem entuzjazm, jeśli w ogóle kiedykolwiek go miałem, do grania w piłkę. A mój ojciec pragnął, bym został księdzem. Summerhays zawsze uważał, iż mój ojciec był trochę za bardzo katolicki, niż mu, mówiąc krótko, mogło wyjść na dobre. Summerhays pozostał papistą i realistą. A mój ojciec, jak mi powiedział Drew, był naprawdę człowiekiem wierzącym.

W końcu nie zostałem zawodowym graczem i wyjechałem, by wstąpić do zakonu jezuitów. Była to ostatnia rada mojego ojca, której posłuchałem i jak sobie przypominam, ostatni raz zignorowałem zdanie Drewa Summerhaysa. Cena za mój brak prawidłowej oceny, jak się później okazało, była wysoka. Zgromadzenie Księży Jezuitów stało się młotem, Kościół kowadłem, a uśmiechnięty gracz dostał się

między nie. Bum, bum, bum.

Ostatecznie nie zostałem też jezuitą, o jakim marzył mój ojciec. Młody brat Ben Driskill, chłopak potężnego Hugh'a, poklepujący starsze panie pod brodą na wyprzedających dobroczynnych, grający w kosza z łobuziakami z sąsiedztwa i zmieniający ich w ministrantów, udzielający staremu, cuchnącemu pijakowi Leary'emu ostatniego namaszczenia, organizujący wycieczki nastolatków z siostrą Rosalie ze szkoły Zakonu Wizytek, kierujący śpiewaniem kolęd na Boże Narodzenie... Nic z tego, to nie dla mnie. Nie. Powiedziałem temu wszystkiemu „pa”, odłożyłem mój różaniec, odwiesiłem starą niezawodną dyscyplinę, schowałem włosiennicę i pocałowałem ich wszystkich na pożegnanie.

Nie byłem w środku kościoła katolickiego przez dwadzieścia lat, poza okazją, by uczcić moją siostrę Valentine, która podjęła odrzucony przeze mnie sztandar i wstąpiła do klasztoru. Siostra Val: jedna z tych nowoczesnych zakonnicek, biegających wokół i podnoszących wrzawę, doprowadzających Kościół do szaleństwa. Val znajdowała się na okładkach magazynów takich jak: *Time*, *Newsweek* i *People*. Stary Hugh - ku swemu potężnemu niezadowoleniu - spłodził piekielnicę.

Żartowaliśmy sobie z niego z Val, ponieważ ona знаła moje podejście do spraw wiary. Wiedziała, że byłem w środku Kościoła i rzuciłem okiem na rozgrzaną do czerwoności maszynę. Wiedziała, iż usłyszałem skwierczenie. Wiedziała, że bym spłonął. Rozumiała mnie, a ja ją. Była bardziej ode mnie zdeterminowana i miała mocniejsze nerwy.

Jedynym tematem, jaki nie cieszył mnie w pogawędkach z Drewem Summerhaysem, był futbol. Niestety, jak się obawiałem, tego dnia miał tylko rozgrywki w głowie. Trwał sezon piłkarski, jak zawsze pod koniec października, więc o niczym innym nie mówił, gdy wyruszyliśmy piechotą do jednego z licznych klubów, których był honorowym członkiem. Nosił nienaganny płaszcz z doskonale oczyszczonym aksamitnym kołnierzem, perłowszary kapelusz, a jego ciasno zwinięty parasol stukał o wąski chodnik, gdzie tłum pracowników dzielnicy bankowej w cudowny sposób rozstępował się i robił mu miejsce. Był zimny, słotny, wietrzny dzień. Ciężkie, ołowiane chmury pojawiły się jak odciski palców na naszym końcu Manhattanu po słonecznym, pogodnym poranku. Tak właśnie wyglądał przedsmak jesieni, zaczynającej swą wędrówkę w górę wyspy. Brudne, szare chmury przeciskały się przez Brooklyn, próbując utonąć w East River.

Gdy usiedliśmy i zaczęliśmy jeść, suchy metaliczny głos Summerhaysa opowiadał o meczu, w którym grałem dawno temu w Iowa City przeciwko drużynie Hawkeyes. Tamtego dnia siedem razy sam zatrzymałem przeciwnika biegnącego z piłką, w tym dwa razy zanim strzelił, ale ten pamiętny mecz mieszał się w głowie starego człowieka z końcówką meczu Notre Dame przeciwko Iowa na linii czterech jardów. Napastnik wybrał manewr brutalnego ataku na bramkę. Musiałem zwalczyć dwa przytrzymania, a kiedy spojrzałem w górę, piłka płynęła do napastnika z tyłu strefy końcowej. Mieliśmy tylko sześć punktów przewagi, ale na zegarze nie zostało już wiele czasu. Strefa końcowa była wypełniona graczami gotowymi do złapania odbitej piłki. Więc wykonałem oszalały skok z wciągającego mnie błota i przechwyciłem przelatującą piłkę. Każdy stojący w tym miejscu mógł tak zrobić. Zdarzyło się, że to byłem ja. Na początku czwartej kwarty złamano mi nos, krew z głębokiej rany na czole oślepiła mnie, ale miałem szczęście i złapałem to cholerstwo. Owo przechwycenie piłki przeszło do legendy Notre

Dame, która przetrwała do końca sezonu, a Drew Summerhays zapamiętał właśnie tamten strzał i chciał usłyszeć całą tę nudną historię jeszcze raz.

Kiedy więc ten stary drań sprowadzał mnie z powrotem na ziemię, przypomniałem sobie uczucie, które owładnęło mną tamtego letniego dnia na boisku, że nagle *zrozumiałem tę grę*. Zobaczyłem wszystko jakby z góry: napastnik naprzeciwko wypiętych tyłków i hełmów obrońców, jego rozbiegane oczy, intonacja jego szorstkiego, schrypniętego głosu - tak mogłem jakoś *zobaczyć* jego głos. Dostrzegłem napięte biegnące plecy, tak że mógłbym narysować wykres poruszających się cząsteczek, zobaczyłem odbierających unoszących swoje ciała, napinających się jak na smyczy. Widziałem blokujących obrońców. Zobaczyłem wewnątrz głowy jednego z nich, wiedziałem, o czym myśli, przewidywałem: jak gra się rozwinie, jak powinienem zareagować.

I od tamtego dnia zrozumiałem tę krwawą grę. Zobaczyłem, jak każdy mecz rozgrywa się jakby na zwolnionym filmie. Pojąłem absolutne podstawy tego, co się działo na boisku i stałem się piekielnie dobrym graczem. Dostałem się do drużyny wybranej przez czytelników *Look* i ścisnąłem rękę Boba Hope'a w programie telewizyjnym o futbolu.

Mówisz potem, że dzięki graniu w piłkę cholernie dużo nauczyłeś się o życiu i może rzeczywiście tak jest. Poznałeś, czym jest ból, zobaczyłeś zwariowanego drania z oszalałymi oczami na dnie dna swojej psychiki; nauczyłeś się wszystkich dowcipów z szatni, rozumiałeś uwielbienie dla drużyny Fighting Irish i dowiedziałeś się, jak to jest, gdy starzy absolwenci odwracają się od ciebie, kiedy przegrałeś pieprzony mecz; nauczyłeś się też tego, iż nawet jeśli jesteś graczem w piłkę, to nie oznacza jeszcze, że do czegoś cię to zaprowadzi z blondynami o dużych cyckach z programu Boba Hope'a. Jeśli tak wyglądało życie, no cóż, sądzę, że nauczyłeś się czegoś o życiu dzięki futbolowi.

Ale nigdy niczego nie poznałem, co by się równało z tą chwilą w kotle, gdy zobaczyłem wszystko z taką ostrością. Drew Summerhays nigdy tak nie rozumiał piłki. A tego, co on rozumiał, ja nigdy nie pojąłem. Summerhays rozumiał Kościół.

Przyglądałem mu się, jak z dokładnością chirurga kończy staranne krojenie i nabijanie na widelec ostatniego kaska ryby, którą jadł bez żadnych dodatków: bez sałatki, warzyw, bułki czy masła. Jedynie szklanka wody mineralnej Evian. Bez kawy, bez deseru. Ten człowiek będzie żył wiecznie, a ja chciałem od niego dowiedzieć się tylko jednej rzeczy: kto dba o jego koszulę. Nigdy nie widziałem tak nakrochmalonego arcydzieła. Ani jednej zmarszczki, po prostu koszula niczym idealnie białe pole śniegu. Czuję się jak wieśniak siorbiący sos, w którym pływały resztki mojego *ossobuco*. Jego twarz była bez wyrazu, chyba że cierpliwość, z jaką znosił mój apetyt, oznaczała jakieś uczucie. Wymusił na mnie wybór porto Fladgate i kelner serwujący wina pośpieszył do piwnic klubu. Summerhays wyciągnął z kieszeni kamizelki złoty zegarek z dewizką, sprawdził godzinę i doszedł do celu naszego spotkania, który nie miał nic wspólnego z Notre Dame i moimi dawnymi osiągnięciami na murawie.

- Dzisiaj przyjeżdża do miasta Curtis Lockhardt, Ben. Czy kiedykolwiek spędziłeś z nim trochę czasu?

- Prawie go nie znam. Spotkałem go kilkakrotnie. To znaczy, odkąd dorosłem. Kiedyś częściej

kręcił się przy naszym domu, gdy Val i ja byliśmy dziećmi.

- To jeden ze sposobów na określenie jego osoby. Ja bym go nazwał protegowanym twojego ojca. Prawie członek rodziny. Tak właśnie bym to nazwał.

Zagiętym palcem dotknął górnej wargi. Unikał możliwych powiązań, jakie mógłbym znaleźć w związku Lockhardta z moją siostrą. Cokolwiek by to było. Nie moja sprawa, do czego wasze nowoczesne zakonnice doszły w tych czasach.

- Oczywiście odwiedzi mnie - ciągnął Summerhays. - I twój ojciec także... Och, dziękuję, Simmons. Właśnie to chciałem zaproponować panu Driskillowi.

Simmons postawił butelkę na stole, zostawiając mi przywilej nalania sobie. Rozlałem wokół kieliszka. Simmons pojawił się znowu z cygarem marki Davidoff i obcinarką. W jednej chwili stwierdziłem, iż wspomnianie meczu z Iowa było zbyt niską ceną za to wszystko.

- I - powiedział cicho Summerhays - chciałbym, żebyś spędził z nim trochę czasu. Wydaje mi się, iż pewne interesy firmy... - Chyba wzruszył ramionami. To był ruch tak subtelny, że może go sobie wyobraziłem.

- Czyje by to były interesy, Drew? - Poczulem, jak nadchodzi w moją stronę zabawa we wciąganie w kocioł. Zostałem zbyt wcześnie wciągnięty w poświęcanie siebie. Gdybym nie uważał, Drew Summerhays złapałby pierwszą piłkę i zdobyłby gola w ciągu dziesięciu sekund.

- Nie próbowałbym wprowadzać cię w błąd - rzekł. - Rozmawiamy tutaj o Kościele. Ale, Ben, Kościół to interes, a interes jest interesem.

- Pozwól, że sprawdzę, czy dobrze cię rozumiem, Drew. Mówisz, że interes jest interesem?

- Pojąłeś samo sedno mojej myśli.

- Tego się obawiałem.

- Dwóch prawników - stwierdził - takich sprytnych. - Uśmiech pojawił się przez chwilę na jego cienkich wargach. - Może słyszałeś, że Ojciec Święty nie jest zdrowy?

Teraz była moja kolej na wzruszenie ramionami.

- Dlatego Lockhardt tu przyjeżdża. Ustala plany wyboru następcy Kaliksta. Może potrzebować naszej rady...

- Nie mojej - powiedziałem. - Mało prawdopodobne.

- Bardzo chciałbym, abyś znalazł się w tym gronie. To jest cenne dla firmy, tak że będziemy mieli wystarczająco dużo czasu, a zatem przewagi, kiedy podejmuje się podobne decyzje. Lub gdy poważnie są one rozważane.

Rozprowadziłem łyk porto, wart około dziesięciu dolarów, na języku. Wydmuchnąłem trochę dymu z cygara, gdy on tymczasem czekał z wielką pogodą ducha.

- Myślałem, że to kolegium kardynałów na konklawe nadal wybiera papieża. Zmienili zasady i nic mi nie napisali?

- Niczego nie zmienili. Wybierają papieży dokładnie tak, jak zawsze to robili. Wiesz, Ben, musisz trzymać na wodzy swój antyklerykalizm. To taka mała rada.

- Do tej pory dobrze mi służył.

- Wszystko się zmienia. Prawie wszystko. Ale nie, jeśli nawet tak się dzieje, to nie w samym sercu Kościoła. Chociaż nie wolno ci myśleć, że kiedykolwiek poprosiłbym cię o złamanie twoich zasad.

- Dzięki Bogu choć za to, Drew. Po chwili stracił swoją zwykłą ironię.

- Ale firma współpracuje blisko z Kościołem - powiedział. - Są sprawy, z którymi powinieneś się zapoznać... sprawy odbiegające trochę od zwykłego trybu. Dlaczego nie zacząć od porozmawiania z naszym przyjacielem Lockhardtem?

- Ponieważ Kościół jest moim wrogiem. Nie mogę tego powiedzieć wyraźniej.

- Tracisz poczucie humoru, Ben. Wycucie proporcji. Nie proponuję ci, żebyś pomagał Kościołowi w jakikolwiek sposób. Chciałbym tylko, byś słuchał, lepiej orientował się w naszych transakcjach. Zapomnij o osobistych zatargach z Kościołem. Pamiętaj, interes...

- Jest interesem.

- Tak jest na początku, Ben.

* * *

Z całą pewnością to miał być mój dzień dla katolików.

Kiedy wróciłem do biura, czekał na mnie ojciec Vinnie Halloran. Poczułem westchnienie, zbierające się w środku. Był moim rówieśnikiem, jezuitą i znałem go od dawna. Zakon nakazał mu zajęcie się ostatnią wolą nieboszczki Lydii Harbaugh, właścicielki Oyster Bay, Palm Beach i Bar Harbour, czyli ogólnikowym, pełnym pomyłek dokumentem, w którym zmarła zostawiła główną część ogromnych posiadłości Zgromadzeniu Jezuitów. To było duże zmartwienie jezuitów, chcących dowieść prawomocności testamentu, by wygrać z powództwem trzech zrozumiałe zawiedzionych, agresywnych, niedoszłych spadkobierców.

- Popatrz, Ben, cesarzowa wdowa z Oyster Bay oddała dwóch synów do jezuitów. Czy jest w tym coś dziwnego, że chciała, by Zgromadzenie najwięcej zyskało? Tak wyraźnie wskazuje jej ostatnia wola. Do diabła, przecież nie może być tak, jak chce jej trzech pozostałych potomków. Czy widziałeś ich, Ben? Bóg nie był dla nich łaskawy, ale nie mają zamiaru się usunąć. Żądają po parę milionów na głowę dla każdego z nich. Pazerne dranie.

Widziałem Vinnie'go w koloratce może pięć razy w życiu. Dzisiaj był ubrany w tweedową marynarkę, spodnie w prążki i muszkę. Spoglądał na mnie z nadzieją, że go podtrzymam na duchu.

- Mają zamiar dostarczyć wiele dowodów, iż przez ostatnie dwadzieścia lat życia była zwariowaną alkoholiczką. Bardzo przekonujący argument, moim zdaniem. A pod wpływem alkoholu przygotowała kompletną bzdurę zamiast testamentu. Jezuici koczowali u jej łóżka. I tak dalej.

- Czy tak właśnie ma mówić nasz rzecznik?

Vinnie pochodził z zamożnej rodziny i wbrew obiegowym opiniom pieniądze bardzo dużo dla niego znaczyły. Pieniądze Halloranów z Pittsburgha nie mogły się równać z pieniędzmi Driskillów z Princeton i Nowego Jorku, ale wystarczały, by nauczyć się określonych nawyków.

- Czy właśnie tego chce od ciebie Kościół, Vincent? Kręcenia się przy wątpliwych testamentach starszych bogatych pań?

- Nie moralizuj, Ben - odpowiedział łagodnie. - Tam na zewnątrz jest piesko pieski świat.

- Pies pożera psa - poprawiłem go. - Przerabialiśmy ten kawałek od lat.

- Kościół niczym się nie różni od innych wielkich organizacji. Wiesz o tym. Kościół i Zgromadzenie, musimy się o siebie troszczyć, bo z całą pewnością nikt tego za nas nie zrobi. Wykonuję moją robotę, zbierając resztki tu i tam. Kościół musi sam posiadać...

- Vinnie, Vinnie, to ja, Ben. Kościół nie posiada niczego od dni Konstantyna. Zawsze kurwi się dla kogoś. Sutenerzy się zmieniają, ale Kościół znowu jest na ulicy następnego dnia.

- A niech to, chłopcze, ty możesz być tym antychrystem, o którym tyle słyszeliśmy. Co za święto dla mnie... chociaż, nadal byłbyś idealnym jezuitą. Tyle że wciąż walczysz o swoje śmieszne wielkie prawdy ze zbyt wielkim entuzjazmem. Nigdy nie nauczyłeś się tego, by powiedzieć swoje i zamknąć się. I prawdą jest, że nigdy nie zrozumiałeś, o co chodzi Kościołowi. Nigdy nie byłeś w stanie położyć wełnistego baranka idealizmu obok drapieżnego lwa realizmu. Właśnie o to chodzi Kościołowi.

- Co z ciebie za szczęśliwy, pragmatyczny facet!

- Muszę nim być. Jestem księdzem. - Pochylił się i rozjaśnił w uśmiechu. - Muszę żyć w tym bałaganie. Bo to jest bałagan. Kościół nie jest wysprzątanym miejscem. Biegamy wokół, starając się działać, jak najlepiej umiemy, a jeśli mamy rację pięćdziesiąt jeden procent razy, no cóż, u diabła, to jest wszystko, czego można się spodziewać. Wierz mi, wdowa Harbaugh chciała, by Zgromadzenie dostało jej posiadłość, a jeśli nawet stara pijaczka nie chciała, to powinna chcieć.

Najbardziej obchodziło Vinniego i wszystkich pozostałych Vinniech właśnie to, w co sami *wierzyli*. Wiara Hallorana pozostała nietknięta. Zawsze powtarzał, że kiedyś wycięto mi wiarę. Wierzył nie tylko w Boga - może nawet głównie nie w Boga - ale w Kościół, co nas najbardziej od siebie dzieliło. Obserwowałem ich przy pracy, pojąłem, że możesz znaleźć Boga w wygodnym micie, czy nawet możesz uwierzyć, iż On żyje w twojej zmywarce do naczyń i mówi do ciebie w czasie cyklu płukania, ale to już nie miało znaczenia. Na niebiosa, lepiej, żebyś wierzył w Kościół.

Po lunchu stanąłem w oknie narożnego gabinetu, który zajmowałem przez prawie dziesięć lat i patrzyłem na Battery Park, wieże World Trade Center i na Statuę Wolności, ledwie widoczną przez mgłę gęstniejącą po południu. To było takie biuro, jakiego spodziewano się, że syn Hugh'a Driskilla będzie miał, a spełnianie oczekiwań stanowiło istotną część naszego życia w firmie Bascomb, Lufkin i Summerhays. Znajdowało się w nim angielskie biurko z czasów Dickensa, stół jadalny a la Ludwik XV, na tym Brancusi i popiersie Epsteina, i obraz Klee na ścianie. Mógłbyś dostać dreszczy, jeśli nie czujesz się zbyt pewny siebie. Prezenty od mojego ojca i mojej byłej żony Antonii, wszystko bardzo eklektyczne i ekstrawaganckie. W *New York Magazine* kiedyś opublikowano artykuł o gabinetach ważnych osób, między innymi i o moim. Dużo czasu mi zajęło, by nadać mu trochę życia. Sam wybrałem dywan i oboje - Hugh i Antonia uznali, że przypomina im on dno klatki kanarków, co jeśli pamięć mi dobrze służy, okazało się jedyną sprawą, w której kiedykolwiek się zgodzili. W końcu wszystko, co łączyło mnie z Antonią, to była głęboka niechęć do kościoła rzymskokatolickiego, ale to nie wystarczyło, by uratować nasze małżeństwo. Zawsze czułem, że swoją postawę odziedziczyła przy narodzeniu, podczas gdy ja

uzyskałem własną w bardziej staromodny sposób. Zasłużyłem na nią.

Mgła kłębiła się od Staten Island mącąc znajomy widok, jak chmury pamięci zakrywają codzienne banalne zdarzenia. Kiedy już osiągnąłeś połowę życia, jedno z takich odkryć dotyczyło wspomnień, przynajmniej tak mi się zdawało. Wydawały się takie ważne, że nigdy nie mogły być odsunięte na bok. Wypróbowały swoją władzę nad tobą i zaczynałeś się zastanawiać, czy trzymają wszystkie klucze do wszystkich zamkniętych drzwi twojej psychiki. Było to przerażające.

Zawsze wielu księży kręciło się po naszym domu, kiedy Val i ja dorastaliśmy. Gdy ojciec wrócił z wojny w 1945, miałem dziesięć lat i było lato. W tamtych czasach ojciec przebywał poza krajem i nie widywaliśmy go prawie wcale poza urlopami. Częstym gościem bywał taki starszy ksiądz z wielkimi kępkami białych włosów, wyrastających z nosa i uszu, co robiło na mnie ogromne wrażenie. Nazywał się ojciec Polański. Przychodził do nas odprawiać mszę w naszej kaplicy. Czasami spacerował razem z moją matką i ze mną po ogrodzie. Raz dał mi łopatkę, ale tak naprawdę nie znaliśmy go lepiej niż człowieka, który utrzymywał w porządku lodowisko, czy facetów przychodzących strzyc trawę, grabić lub prześwietlać drzewa w sadzie.

Dopiero kiedy ojciec wrócił do domu z wojny, zauważyliśmy, iż ksiądz to także istota ludzka. Stało się tak z konieczności, bo ojciec przywiózł jeszcze jednego duchownego ze sobą, prawdziwego Włocha, który mówił po angielsku z dziwnym akcentem. Utkwiło nam w głowach - Val i mnie, że ojciec - a może monsignor - Giacomo D'Ambrizzi w długiej sutannie, w wysokich czarnych butach o szerokich noskach i grubych podeszwach - był łupem wojennym, który ojciec zdobył w jakiś szczególny sposób - podobnie jak zakurzonego, pożartego przez mole wypchanego niedźwiedzia, stojącego w rogu jadalni, oraz głowy lwa i nosorożca w domku myśliwskim w Adirondacks. W jakiś dziwny sposób mała Val, mająca wtedy prawie cztery lata, i ja wyobraziliśmy sobie, iż ojciec D'Ambrizzi należy do nas. Wydawało się, że to nasze przekonanie sprawia mu przyjemność. Nie sposób było zliczyć jazd na barana, gier w warcaby, czarnego piotrusia czy krokieta, w które grał z nami tego lata, a także ile godzin spędził z nami owej pierwszej jesieni pokoju, ile razy jechaliśmy z nim na wozie. Uczył się razem z nami łapać jabłka wiszące na sznurku, wycinać latarnie z dyni i stać na łyżwach na zmarzniętym stawie za sadem. Wydawał się tak niewinny jak Val i ja. Gdyby inni duchowni, których potem poznałem, wyznawali te same cnoty, podejrzewam, że byłbym teraz księdzem, ale takie rozważania obecnie są bezprzedmiotowe.

Ojciec D'Ambrizzi lubił wykonywać różne przedmioty własnymi rękami, a ja zazwyczaj przyglądałem mu się godzinami siedząc obok niego zafascynowany. Zbudował huśtawkę w ogrodzie, zwieszając liny z mocnego konara wielkiej jabłoni. Nigdy nie widziałem nic równie pięknego - ale wtedy on przeszedł sam siebie, budując na drzewie domek, do którego można było wejść po drabince sznurowej. A jeszcze większe wrażenie robiło patrzenie, jak kładzie cegły, rozkłada zaprawę i wyrównuje z taką pewnością siebie. Wykonał pewne prace w kaplicy, gdyż jej mury wykruszyły się w kilku miejscach. Patrzyłem jak zaczarowany. Zacząłem niczym pies chodzić jego śladami, dokądkolwiek poszedł, ale nie wtedy, gdy zamykał drzwi do swego gabinetu, by „pracować”. Mógłbym powiedzieć, że jego praca była bardzo ważna. Nikt nigdy mu wtedy nie przeszkadzał.

Ale kiedy wychodził, stałem pod drzwiami, czekając na niego. Chwytał mnie w długie, owłosione, małe ramiona, jak gdybym był lalką. Miał grube włosy, czarne i skręcone, krótko przycięte tuż przy skórze, tworzące na czaszce coś w rodzaju czapki. Jego nos przypominał banana, a usta były wygięte jak u księcia na renesansowym obrazie. O dobre sześć cali niższy od mojego ojca. Zbudowany jak Edward G. Robinson - tak twierdziła moja matka. Spytałem ją, co to znaczy. Pomyślała przez chwilę i powiedziała: „No cóż, Benjy. Jak gangster, kochanie”.

Ojciec nie miał łatwego podejścia do dzieci jak ksiądz D'Ambrizzi. Musiał przeżywać chwile zazdrości, gdy widział zafascynowanie Val i moje tym egzotycznym stworzeniem. Nigdy nie przyszło nam do głowy zastanawiać się, dlaczego przyjechał i został z nami: byliśmy zadowoleni, że możemy go uwielbiać. Aż pewnego dnia zniknął, odszedł nocą, jakbyśmy go sobie wymyślili, jak gdyby był tylko snem. Ale zostawił nam krzyże z kości - dla Val delikatny jak z koronki, a dla mnie mocny i gruby.

Val nadal nosi swój. Mój, jak sądzę, już dawno zniknął.

Ojciec rozmawiał z nami o D'Ambrizzim w późniejszym czasie. Robił to w sposób, jak na niego, niezwykle subtelny. Nie wspominał imienia D'Ambrizziego, ale my spoglądaliśmy na siebie z Val, bo wiedzieliśmy, o kogo chodzi. Ojciec tłumaczył nam, dlaczego nie powinniśmy mylić księży - ludzi Boga - z samym Bogiem. Kiedy jeden miał nogi z gliny, inny w ogóle nie znał nóg, chociaż nikt o tym nie wiedział. Pamiętam ukradkowe spojrzenia, jakie rzucaliśmy później na stopy księży, pijących szkocką whisky w bibliotece z ojcem lub maszerujących, by odprawić dla matki mszę w kaplicy w ogrodzie. Nigdy nie widziałem glinianych stóp i to mnie zaskoczyło. Val na swój sposób małej dziewczynki spokojnie zasiadła do pracy ze słójkami modeliny i złożyła całkiem niezwykle hołd. Matka przyszła do pokoju dziecinnego, zatrzymała się, zrobiła dwa kroki i spytała, co to jest. Val odezwała się cieniutkim głosikiem, szczerą i słodką: „Stopy z gliny!” Dla matki było to szczególnie zabawne i namówiła ojca, by przyszedł popatrzeć. Później przyprowadziła przyjaciółkę z Kościoła, żeby jej też pokazać, ale Val powiedziała, że zgniotła je, by zrobić coś innego. Wiedziałem, iż skłamała. Schowała gliniane stopy wewnątrz bębena z pajacykiem, namalowanym na bocznej ścianie. Podważyła górę bębena i wykorzystywała środek jako najbardziej tajne schowanko. Minęły lata, zanim odkryła, że wiedziałem o nim. Nigdy nie znalazłem dla siebie takiego miejsca, ale wtedy nie miałem tajemnic. To Val była skryta i wszystko ukrywała.

Wspominałem Val jako małą dziewczynkę, uczącą się jeździć na łyżwach na stawie z naturalną łatwością, gdy tymczasem ja nieudolnie kręciłem się w kółko jak głupi. Byłem zziębnięty, mokry, posiniaczony i zazwyczaj wściekły. Sporty zimowe zawsze wydawały mi się nieszczęśliwą pogonią za niczym, karami za nieznanne winy, ale Val uważała, że jestem głupi. Pewnie byłem.

Myślałem o Val, kiedy pani Esterbrook, moja sekretarka, weszła i odchrząknęła za moimi plecami. Odwróciłem się od mgły i wspomnień.

- Dzwoni pana siostra, panie Driskill.

Wyszła. Usiadłem przy biurku, zanim podniosłem słuchawkę. Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- Cześć, Val. Gdzie jesteś? Co się dzieje?

Głos mojej siostry brzmiał dziwnie. Gdy powiedziałem jej o tym, roześmiała się i nazwała mnie bałwanem, lecz bez przekonania. Coś było nie w porządku, ale oznajmiła mi tylko, że chce mnie wyciągnąć do Princeton, bym zobaczył się z nią wieczorem w domu. Chciała o czymś ze mną porozmawiać. Stwierdziłem mimochodem, iż wydawało mi się, że jest w Paryżu czy gdzieś indziej.

- Byłam wszędzie. To długa historia. Przyjechałam dzisiaj po południu. Razem z Curtisem. Będziesz dzisiaj wieczorem, Ben? To ważne.

- Jesteś chora?

- Trochę przestraszona. Nie jestem chora. Ben, niech to poczeka do wieczora, dobrze?

- Jasne, oczywiście. Czy jest ojciec?

- Nie, ma spotkanie rady nadzorczej na Manhattanie.

- To dobrze.

- Co masz na myśli?

- To co zwykle. Lubię, kiedy jestem ostrzeżony dużo wcześniej, jeśli on czeka gdzieś na podorędziu jak dywersant.

- Ósma trzydzieści, Ben. I wiesz co? Kocham cię, nawet jeśli jesteś wielkim głuptasem.

- Dzisiaj Vinnie Halloran powiedział mi, że jestem antychrystem.

- Vinnie zawsze miał skłonność do przesady.

- Też cię kocham, siostrzyczko. Nawet jeśli jesteś zakonnica. Usłyszałem jej westchnienie i wtedy odłożyła słuchawkę. Siedziałem przez chwilę, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek była przestraszona, tak by strach było słyszeć w jej głosie. Doszedłem do wniosku, że nigdy. Wyszedłem z biura jak na mnie dość wcześnie, ponieważ mój normalny dzień pracy kończył się gdzieś między ósmą a dziewiątą. Potrzebowałem czasu, by wziąć prysznic i przebrać się, zanim wsiądę w samochód i wyruszę do Princeton.

Taksówka dowiozła mnie do rogu Madison i Siedemdziesiątej Trzeciej. Światło dnia rozplywało się we mgle, a zapalone latarnie zarzyły mokrym półcieniem. Poszedłem przez park, wciąż próbując wyobrazić sobie, co się działo z moją siostrą. Ulice były mokre i błyszczące. Zawody o mistrzostwo Stanów w baseballu skończyły się tydzień temu. Nagle zrobiło się chłodno jak w zimie, a mgła zmieniła się w kąśliwe, maleńkie pociski.

Siostra Val... Wiedziałem, że pojechała do Rzymu, by zacząć nową książkę, potem przysłała mi pocztówkę z Paryża. Nie spodziewałem się zobaczyć jej w Princeton przed Świętami Bożego Narodzenia. Zawsze kurczowo trzymała się planu pracy, a tu nagle się zjawia, robiąc sobie przerwę. Co ją wystraszyło do tego stopnia, że przyznała do domu?

Cóż, cokolwiek to było, dowiem się wieczorem. Nigdy nie mogłem przewidzieć, jaki rodzaj piekła roznieca moja siostra Val. Wiedziałem jedynie, że zbierała dane o roli Kościoła w czasie drugiej wojny światowej. Czy to właśnie spowodowało jej powrót? Mało prawdopodobne. Ale z Val nigdy nic nie było wiadomo. Nie reprezentowała sobą takiego typu zakonnicy, którą znało się w Szkole Podstawowej św. Columbkille'a: Ta myśl zawsze wywoływała uśmiech na mojej twarzy i szczerząc się jak głupiec dotarłem do mojej ulicy bogaczy. Nie znajdzie się nigdy nic, z czym Val i ja nie dalibyśmy

sobie rady. Nigdy nie było czegoś takiego.

Przekroczyłem rzekę Hudson, przejeżdżając przez most Jerzego Waszyngtona. Kierowałem się w stronę Princeton. Czułem chłód, wilgoć i ucisk w stopie, naciskającej pedał gazu. Ten zadawniony ból w nodze był pamiątką z okresu spędzonego u jezuitów. Jezuiti zostawili swój ślad, w porządku. W końcu ruch uliczny zmniejszył się i zostałem sam z szumem sunących po szybie wycieraczek i koncertem na wiolonczelę Elgara płynącym z magnetofonu. Noc stała się obrzydliwa, śliska, a deszcz zmienił się w paskudną przymarzającą mżawkę. Prowadzenie samochodu przypominało jazdę na nartach wodnych do lepszego świata.

Myślałem o innej nocy podobnej do tej, nocy sprzed około dwudziestu lat, tylko że wtedy był sam środek zimy i było białe, a nie brudnoszare, ale towarzyszyło mi takie samo uczucie zakłócenia równowagi. Wówczas też jechałem do Princeton, obawiając się rozmowy z ojcem, która mnie czekała. Nie chciałem mu powiedzieć, co się stało, a on z pewnością nie chciał tego usłyszeć. Nie interesowały go egzaltowane opowieści o porażkach, będących jego zdaniem niczym więcej jak cholernym tchórzostwem. Im bardziej zbliżałem się do Princeton, tym silniej pragnąłem nie brać w tym udziału. Byłem tam, w środku czegoś, co Bulwer-Lytton mógłby nazwać ciemną i burzliwą nocą. Śnieg i lód oblepiały mnie, uciekałem jak złodziej w nocy z mrocznych, zakończonych blankami murów klasztornych, gdzie starałem się zostać jezuitą. Próbowałem stać się takim człowiekiem, jakiego zawsze pragnął we mnie widzieć mój ojciec.

Hughowi Driskillowi podobał się pomysł mojego wstąpienia do Zgromadzenia Jezuitów. Lubił wiedzieć, że jestem w ryzach rygorystycznej dyscypliny, biorę udział w wymagającym życiu intelektualnym. Chciał mieć pewność, iż zająłem miejsce w świecie, który rozumiał. Świecie dającym się do pewnego stopnia kontrolować. Lubił wierzyć na swój własny, egocentryczny sposób, że on - ze względu na swoje bogactwo i oddanie Kościołowi, a także osiąganie dobrych rezultatów w sprawowaniu władzy - w końcu należy do tych, którzy powoływali samą górę, Kościół w Kościele. Zawsze sądziłem, iż mój ojciec oceniał siebie raczej zbyt wysoko, ale, u diabła, cóż ja wiedziałem.

Nie tak dawno przyszło mi do głowy, że może w końcu on sam miał dokładniejszą opinię o sobie. Drew Summerhays powiedział mi o kilku sprawach, które zdarzyły się w ciągu minionych lat. Usprawiedliwiały one wiarę mojego ojca we własne możliwości. Summerhays bardzo długo był mentorem i przyjacielem mojego ojca w ten sam sposób, jak on z kolei był opiekunem Curtisa Lockhardta. A teraz Summerhays powiedział mi, że mój ojciec i Lockhardt układają plany wyboru następnego papieża.

Oczywiście pamiętam różne sytuacje z mojego własnego życia, które potwierdzały opinię, jaką mój ojciec miał o sobie. Kiedy byłem dzieckiem, kardynał Spellman - musiał wtedy być chyba biskupem czy arcybiskupem, kto to pamięta? - zawsze przyjeżdżał z Nowego Jorku do Princeton na kolację, co chyba musiało oznaczać, że jesteśmy ważni. Pojawiał się w naszym domu w Princeton, jak również w ogromnym dwupoziomowym apartamencie przy Park Avenue, z którego wyprowadziliśmy się po wypadku mamy. Czasami słyszałem, jak moi rodzice mówili do niego „Frank” i kiedyś zaskoczył mnie,

gdy wyznał mi, że nosi buty ze skóry aligatora. Może sprawdzałem, czy ma stopy z gliny.

To ostatni telefon od Val musiał sprawić, iż zacząłem się martwić i wspominać dawne czasy. Teraz wracali do mnie Spellman, mój ojciec, buty ze skóry aligatora, jezuita i ta odległa noc, kiedy droga była śliska, padał śnieg, a ja jechałem do domu z ładunkiem niedobrych wieści, zastanawiając się, co powie mój ojciec, jak potraktuje nowe rozczarowanie, które mu zgotowałem. Dwadzieścia lat temu, a może nawet więcej. Wcześniej rano, gdy śnieg prawie przestał padać i ciemność nocy trochę zbladła, patrol policyjny pojechał szukać ofiar śnieżycy. Znaleźli mojego chevroleta prawie zupełnie wbitego w drzewo, tak że samochód, drzewo i ja stanowiły całość. Nie było dowodu na to, że próbowałem zatrzymać samochód na oblodzonej, śliskiej, zaśnieżonej drodze. Uznali więc, iż zasnąłem. Zdarza się to czasami. Cóż, gówno prawda. Miałem złamaną nogę i byłem na wpół zamrożony, ale wtedy w środku nocy uświadomiłem sobie coś bardzo ważnego - że umieranie jest lepsze niż opowiedzenie własnemu ojcu o jezuitach i o sobie.

Objawienie. Jedyna prawdziwa chwila objawienia, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła. Oczywiście, jak się okazało, mój ojciec dowiedział się prawdy o tym, co próbowałem zrobić tamtej nocy. Dostrzegłem to w jego oczach, płonących ogniem niegaszonej rozpacz, ostrzegawczych ogniskach na ciemnym i zdradliwym brzegu, przywołujących mnie do domu. Wiedział. Wiedział, że była to moja próba samobójstwa, najcięższy grzech katolik - Stała się ona jeszcze jedną rzeczą, której nie mógł mi nigdy wybaczyć.

Dzięki Bogu, że jest Val. To właśnie powiedział mi potem w szpitalu. Nie żeby mnie obrazić, czy upokorzyć, po prostu mruczał do siebie po cichu. Ale wtedy, po tym jak świadomie postanowiłem skończyć ze sobą, kiedy już wybrałem pustkę, wykluczyłem ojca z procesu podejmowania decyzji. I już nic mnie, do cholery, nie obchodziło, co on myśli. Tak sobie powiedziałem. To było moje zwycięstwo.

Okrążyłem krańce Princeton, skręciłem w zwirową aleję, na której kiedyś nauczyłem się prowadzić ojcowskiego lincolna, i zanim się zorientowałem, już reflektory przebijały się przez sieczącą zasłonę deszczu i śniegu, sięgając ciemności domu. Długi podjazd pod rzędami topól całkiem rozmiękł, a topniejący śnieg przyklejał się do opon. Żwir dookoła był żółty i błotnisty, a krzewy róż wyglądały żałośnie, jak gdyby nikt od stu lat nie mieszkał w domu. Długi kamienny garaż ze spadzistym dachem stał posepny i ciemny po prawej stronie wejścia. Nikt nie włączył zapraszających swoim blaskiem latarni, by oświetlić mój przyjazd. Dom rozciągał się po lewej stronie. Kamienne płyty tarasu błyszcząły jak kamyki na dnie potoku. Dom był ciemny i noc była ciemna, nieprzenikniona. Przemoczona. Gdzieś daleko światła ulic i reklam w Princeton migotały różowo w deszczu nad wierzchołkami drzew.

Wejście do ciemnego holu sprawiło, że zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Ale kiedy włączyłem światła, wszystko wyglądało tak jak zawsze: wypastowana dębowa podłoga - układana bez użycia gwoździ, kremowe listwy i schody, oliwkowozielone ściany, lustra w złożonych ramach. Poszedłem prosto do Długiej Sali, dwa kroki od holu, gdzie najczęściej siadywaliśmy po powrocie do domu.

Długa Sala. Kiedyś było to główne pomieszczenie w prawdziwej osiemnastowiecznej gospodzie,

dookoła której zbudowano resztę domu, co wciąż dawało się zauważyć dzięki pociemniałym belkom nad głową, porysowanemu i przypalonemu palenisku wysokiemu na sześć stóp i szerokiemu na dziesięć, i hakach na kotły. Ale przez lata nabierało się tu wiele różnych przedmiotów: nakrycia w kwiaty, półki pełne książek, ogromne chodniki w kolorach czerwieni i brązu, kubeł na węgiel, brązowe skórzane fotele z wysokimi oparciami, przyciągnięte do kamiennego paleniska, lampy o podstawach z brązu i żółtych abażurach, miski i miedziane naczynia na rośliny, a w odległym końcu sali z oknami wychodzącymi na ogród i strumień - sztalugi, na których czasami malował mój ojciec. Teraz też stało na nich wielkie, przykryte szmatą płótno.

W Sali panowało zimno, z zewnątrz wciskał się wilgotny chłód. Popiół w palenisku był zimny i mokry, pachniał jesienią. Deszcz wpadający przez komin zamienił go w błoto. W dawnych czasach William i Mary mieszkali we własnych pokojach i kręciliby się wokół, rozpalając ogień, witając mnie grzaną wódką, budząc to miejsce do życia. Ale William już umarł, Mary wyjechała do domu opieki w Scottsdale, a małżeństwo, które usługiwało mojemu ojcu, mieszkało w Princeton, a nie w pokojach we wschodnim skrzydle.

Zrozumiałem, że jej tu nie ma. Zawołałem na wszelki wypadek i właściwie po to, by usłyszeć jakiś dźwięk, ale odpowiedziała mi cisza. Podeszedłem do głównych schodów i jeszcze raz zawołałem jej imię. Usłyszałem znany odgłos tupotu, przypominający przelatujące przez rury kanalizacyjne suche gazety. Chłód i deszcz zagoniły polne myszy do domu i teraz biegały po strychu, starając się pewnie przypomnieć sobie, gdzie są, gdyż niezliczone pokolenia ich przodków zimowały tutaj przed nimi.

Kiedy byliśmy oboje z Val dziećmi, stwierdziliśmy, że hałasy, jakie słyszeliśmy w ścianach, wywoływał duch. Jego historię - jak nam się wydawało - znaliśmy od urodzenia. Był chłopcem, głosiła opowieść, który zabił angielskiego oficera za linią frontu i uciekł, a za nim w pogoni podążało kilka czerwonych kurtek. Dawny Ben Driskill schował chłopca na poddaszu, ale po tygodniu brytyjska grupa poszukiwawcza przyszła do posiadłości Driskillów i przeszukała dom. Znaleźli chłopca kryjącego się w mroku, prawie umarłego na zapalenie płuc, i od razu uznali go winnym. Zapowiedzieli też Benowi Driskillowi, że powieszą go razem z chłopcem, jako przykład dla okolicy, co natchnęło żonę Bena, Hannę, do pochwycenia rusznicy i wygłoszenia obietnicy wpakowania kilku uncji nagłej śmierci w kałdun najważniejszej czerwonej kurtki, jeśli nie zadowolą się tylko jednym więźniem i nie odejdą. Brytyjczyk skłonił głowę, zaproponował, żeby od tej pory Ben pomyślał dwa razy, zanim udzieli pomocy i gościny wrogowi dobrego króla Jerzego i z dumną miną odszedł, zabierając ze sobą więźnia. Poprowadzili chłopca do sadu i powiesili go na linie Driskilla, którą zarzucili na rozrosłą jabłoń. Ben wkrótce potem odciął go i pochował pod drzewem. Jego grób wciąż był widoczny i mieliśmy zwyczaj tam się bawić. Słuchaliśmy z szeroko otwartymi oczami historii o śmierci dzielnego buntownika i o jego duchu.

Wszedłem po schodach i czekałem, ale nikt - ani duch, ani wiewiórka, ani moja siostra - mi nie odpowiedział. Pomyślałem o mojej matce w jednej z jej powiewnych nocnych koszul i sukniach z koronki, stojącej w holu z wyciągniętą ręką, jakby próbowała mnie dotknąć. Jak dawno temu to się stało? Jej wargi próbowały wypowiedzieć słowa, które musiałem chyba słyszeć, ale już nie potrafiłem sobie

przypomnieć... Dlaczego nie umiałem powtórzyć słów, jakie wypowiedziała, a tak dokładnie pamiętałem zapach jej wody kolońskiej i pudru? I dlaczego jej twarz zagubiła się w cieniach holu? Czy była młoda? Czy była siwa? Ile miałem lat, kiedy podeszła do mnie z wyciągniętą dłonią, mówiąc coś, starając się, żebym coś zrozumiał?

Zszedłem na dół, wziąłem parasol i wyszedłem na zewnątrz. Deszcz padał ukośnie w widmowym świetle latarni. Podniosłem kołnierz płaszcza i ze schyloną głową przeszedłem przez wąskie przejście między dwoma skrzydłami domu. Deszcz stukał o szyby okienne powyżej i w ołowianych rynnach, wyrzucających z wściekłością wodę, zamieniającą się w lód, który narastając zazwyczaj zatykał rynnę. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Minąłem trawnik, gdzie kiedyś graliśmy w krykieta i badmintona. Światła z okien Długiej Sali wyciągały żółte palce ku kaplicy.

Oczywiście, mieliśmy własną kaplicę. Ojciec mojego ojca zbudował ją w latach dwudziestych, aby zaspokoić jedną z zachcianek mojej babki. Należała do epoki, jak piszą w przewodnikach - cegła, kamień i biało-czarne belki z czymś takim, o czym babka zwykła mówić: „Bardzo miła wieża, niezbyt dumna z siebie”. Niestety wciąż wymagała naprawy. Nie byliśmy anglikanami jak Evelyn Waugh i nie mieliśmy domowego księdza na rodzinnej liście płac, ale w dużej mierze wspomagaliśmy tych, co służyli w kościele św. Marii w pobliskiej wsi New Prudence. Kiedy dorastałem, wydawało mi się, że posiadanie własnego kościoła nie jest czymś normalnym, ale nauczyłem się trzymać gębę na kłódkę na ten temat. Kiedy poszedłem do szkoły św. Augustyna, własna kaplica okazała się nie taka niedorzeczna. Niektóre dzieciaki były w podobnych tarapatach.

Teraz kaplica ociekała deszczem, tak jak można zobaczyć na podwórku kościelnym w starej Anglii lub znaleźć w zapomnianym wierszu. Było ciemno i pośepnie. Gdzieniedzie przemykały myszy. Trawa wymagała skoszenia. Z cienką warstwą lodu wyglądała jak polakierowana. Chwyciłem za poręcz i wspiąłem się po schodkach ku dębowym drzwiom w żelaznej ramie. Klamka lekko skrzypnęła, gdy ją pchnąłem. Pojedynczy płomyk zadrzał w powiewie powietrza z otwartych drzwi. Jedna mała świeca. W kaplicy zalegały ciemności, z wyjątkiem owego małego światełka, zupełnie jak gdyby poza nim była tylko pustka. To tylko Val mogła zapalić świecę. A potem gdzieś poszła.

Wróciłem do domu i zgasłem światła. Nie mogłem znieść myśli, że mam zostać samotnie bez Val w tym zimnym gmachu. To nie było do niej podobne, tak zostawić mnie samego. Czułem, że to pechowa noc. Może miała coś jeszcze do załatwienia i gdzieś utknęła. Pojawi się pewnie później.

Byłem głodny i musiałem się napić. Wsiadłem do samochodu i obejrzawszy się na samotny stary dom, stojący w bębniącym deszczu, pojechałem do Princeton.

Usłyszałem przyjemny szmer rozmów w barze na dole w Nassau Inn. Bar był zatłoczony. Unosiła się w nim chmura tytoniowego dymu, atmosfera klubu, która przystaje do nazwy, jeśli nie do samego miejsca. Na ścianach wisiały oprawione fotografie Hobe'a Bakera i innych bohaterów odległej epoki, a na blatach stołów widniały głębokie szramy wryte przez pokolenia kibiców Tygrysów. Mgiełka dymu mogła być mgłą z dawnych czasów.

Usiadłem z boku, zamówiłem podwójnego Rob Roya i uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem spięty. To przez Val i strach w jej głosie. Gdzie była teraz? Tak bardzo nalegała, żebym przyjechał, a teraz nic. Czy to ona przyłożyła zapalnik do knotu tej świecy?

Właśnie zjawił się mój hamburger z sercem, gdy usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu.

- Ben! Ben, stary! Co za błysk z przeszłości!

Spojrzałem w chłopięcą, niebieskooką twarz Terence'a O'Neale'a - ojca Terence'a O'Neale'a, który był trochę starszy od Val, ale zawsze będzie wyglądał jak student pierwszego roku. Wszyscy nazywali go „Morela”, bo miał morelowo-śmietankową cerę. Wiecznie młody, zawsze niewinny. Zналиśmy się z Morelą od zawsze. Graliśmy w tenisa i golfa, a on wciąż twierdził, jakoby to ja upił go po raz pierwszy na tyłach naszego sadu. Uśmiechał się teraz do mnie z błyszczącymi oczami, wychylając się z otchłani przeszłości.

- Wskakuj, Morela - powiedziałem, a on wsunął się za stół naprzeciwko mnie i usiadł, trzymając w dłoni kufel z piwem.

Nie zaczynał od powołania na księdza. Właściwie to robota Val. Golf, motocykle i światowy rekord w picu piwa, to właśnie widział Terence O'Neale, gdy patrzył w swoją przyszłość. Żona z kupą dzieciaków, może praca na Wall Street. Val miała zostać panią O'Neale. Mnie to odpowiadało.

Nie widziałem go cztery czy pięć lat, ale nie zmienił się. Nosił białą koszulę i tweedową marynarkę. Vinniemu by się to spodobało.

- Co cię sprowadza na miejsce naszych zbrodni?

- Jestem człowiekiem pracy, Ben. Dostałem robotę w New Prudence. Jestem proboszczem u Świętej Marii. To trochę straszne - w czasie kazania rozglądałem się i ciągle mi się wydaje, że zobaczę nas: ciebie, mnie i Val.

Rozjaśnił się myśląc o tajemnych ścieżkach Pana.

- Od kiedy? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- Od lata. Widziałem twojego ojca. Powinieneś zobaczyć, jak go to zaskoczyło. Wymyśliłem sobie, iż złapię cię w Święta Bożego Narodzenia. Val powiedziała, że może urządzi przyjęcie połączone z jeżdżeniem na łyżwach w sadzie. Według niej nie mam szans zobaczyć cię na mszy.

- Zgadza się. Nie chodzę do kościoła od dwudziestu lat, jak z pewnością dobrze wiesz.

Zabrał mi frytkę z talerza.

- Więc co tu robisz? Twój ojciec twierdzi, że nie przyjeżdżasz zbyt często do domu.

- Sama prawda. Oczywiście nadal się zastanawia, czy jestem naprawdę jego synem. Może zaszła jakaś pomyłka na oddziale noworodków. To jedyna nadzieja, jaka mu została.

- Jesteś okropnie niedobry dla staruszka, prawda?

- Wcale nie. Zresztą nie przyjechałem tutaj, żeby się z nim zobaczyć. Dzwoniła do mnie dziś po południu Val, bardzo tajemnicza i zdecydowana spotkać się ze mną dziś wieczorem. Przyjechałem przez to blocko i nie ma jej w domu, by mnie przywitać. -

Wzruszyłem ramionami. - Kiedy ją widziałeś? Co to za przyjęcie łyżwiarskie? Nienawidzę łyżew...

- Kiedyś przejeżdżała tędy, wybierając się pod koniec lata do Rzymu. Zjedliśmy razem kolację. Na pamiątkę starych czasów. - Wziął następną frytkę. - Masz rację mówiąc o tajemniczości. Coś się dzieje. Prowadzi jakieś ważne badania... napisała do mnie potem z Rzymu i z Paryża. - Na chwilę jego twarz zachmurzyła się. - Pisała tę potworną książkę, Ben. O drugiej wojnie światowej i Kościele. - Zrobił poważną minę. - Ani razu Kościołowi nie zależało na chwaleń się...

- I chyba słusznie... - powiedziałem.

- Nie patrz tak na mnie. Nie miałem z tym nic wspólnego. Pius to Pius, a ja wtedy byłem małym dzieciakiem w Princeton, stan New Jersey.

Zjadł mi wszystkie frytki i uśmiechał się do mnie. Poczułem falę ciepła. Val zawsze bardzo poważnie podchodziła do Moreli. Powiedziała mi kiedyś, że mogłaby za niego wyjść za męża. Zostali kochankami, gdy miała siedemnaście lat.

Val czuła się winna, jak powinna czuć się dobra katolicka uczennica, straciwszy z nim dziewictwo pewnej letniej nocy w ogrodzie. Później, kiedy zaczęła myśleć o Kościele poważnie, Morela miał nadzieję, że jej to przejdzie. Potem sądził, iż uległa naciskowi ze strony ojca. Wreszcie zaczął podejrzewać, że po prostu zwariowała. Ale Val chciała, by jej życie oznaczało coś szczególnego - dla niej samej, dla świata, w którym żyła, dla Kościoła. Zamordowano Kennedy'ego i Morela powiedział: „Do diabła, jeśli chcesz ocalić świat, idź i wstąp do Korpusu Pokoju”. Nie chciała z nim walczyć. „To nie ja potrzebuję Kościoła. To raczej biedny stary Kościół potrzebuje mnie”. Val nigdy nie miała problemów ze swoim ego.

Jan XXIII pasował do jej idei zaczęcia wszystkiego od nowa po panowaniu Piusa, którego uważała za nieporozumienie. Ale wydawało się, iż Paweł VI jest gotów utracić wszystko, co zostało zdobyte, i jest zadowolony, że Kościół znów tonie w przeszłości. Val miała świadomość zmian zachodzących w świecie i potrzeby rozwoju Kościoła. Pragnęła, by dorósł do nowej, bardziej humanistycznej roli. Widziała Kennedy'ego, Martina Luthera Kinga, papieża Jana i chciała dołączyć do nich w tworzeniu nowego świata. A Morela, cóż, jak nie mógł mieć Val, to nie chciał nikogo innego.

Po pewnym czasie został księdzem. Nigdy nie wiadomo, jak się coś skończy.

Odprowadzał mnie właśnie wzdłuż baru, gdy zauważył w drzwiach faceta, na którego czekał, i pociągnął mnie ze sobą.

- Ben, chciałbym, byś poznał mojego przyjaciela.

Mężczyzna stojący w drzwiach miał na sobie stary, pożółkły płaszcz nieprzemakalny i ciemnooliwkowy kapelusz z szerokim rondem, przyozdobiony wąską skórzaną opaską. Jego krzaczaste, siwe brwi wyginały się łukiem nad jasnoszarymi oczami, osadzonymi głęboko w twarzy o różowych policzkach. Biel koloratki kontrastowała z ciemnozielonym szalikiem. Miał pięć stóp siedem cali wzrostu, liczył być może niewiele ponad sześćdziesiąt lat. Zmarszczki od śmiechu widoczne w kącikach oczu i ust sprawiały, że przypominał Barry'ego Fitzgeralda, który często grywał księży w filmach z lat czterdziestych. Fitzgerald grał również lekko pomyłonego Irlandczyka w *Zatrzymaj to dziecino* i sprytnego starego mściciela w *Nie było tam nikogo*. Dostrzegałem obie te możliwości w twarzy, którą

miałem przed sobą. W szarych oczach czaiła się niedostępność i chłód. Wydawały się nie pasować do jego pomarszczonej, uśmiechniętej twarzy. Rozpoznałem go dzięki często publikowanym zdjęciom.

- Ben Driskill, a to poeta, laureat Kościoła, ojciec Artie Dunn.

- Na miłość boską - zachnął się Dunn. - Proszę wybaczyć młodemu O'Nealowi, panie Driskill.

Czy nie jest pan przypadkiem synem Hugh'a Driskilla?

- Pan zna mojego ojca?

- Ze słyszenia oczywiście. Jak mi mówiono, nie jest jednym z moich czytelników. - Twarz Dunna zmarszczyła się w krótkim uśmiechu. Zdjął kapelusz, odsłaniając łysą różową czaszkę z wianuszkiem siwych włosów, kręcących się nad uszami i oplatającym szyję szalikiem.

- W jego wieku można tylko zaakceptować seks, przemoc, no i spowiedź. - Uścisnąłem mu rękę. - Może ofiaruję mu pańskie dzieła zebrane na gwiazdkę.

Widziałem raz ojca Dunna w telewizji. Udzielał wywiadu na temat jednej ze swoich powieści i jakoś udało mu się zmienić temat na jedną z jego pasji - baseball. Phil Donahue spytał go, czy - tak jak wielu graczy - ma jakieś przesady.

- Tylko Kościół katolicki - odpowiedział, czym natychmiast zachwyił publiczność.

- Niech pan nie poprzestaje na broszurach - powiedział. - Moje obwoluty do twardej oprawy są bezwstydne jak trzeba.

Morela zachichotał.

- Książ, który przypomina Toma Sellecka, jest uwodzony przez sobowtóra Joan Collins ubranego jedynie w skąpą sukienkę.

Dunn zapytał:

- Dlaczego pan się do nas nie przyłączy, panie Driskill?

- A może przełożymy to na później? Mam spotkać się z siostrą...

- Ach, bardzo *szanowana* pisarka. Prawdziwy naukowiec i działaczka. Jedyne w swoim rodzaju połączenie.

- Przekażę jej, co pan powiedział.

Zostawiłem ich i wróciłem do samochodu. Bardzo pasowała do charakteru Moreli, trochę wolnego ducha, ta przyjaźń z ojcem Dunnem - obrazoburczym księdzem i pisarzem, którego książki zawsze były bestsellerami, doprowadzającymi autorytety kościelne do białej gorączki. Wymyślił sposób, by wpłacać kwestie moralne do powieści poświęconych prawie wyłącznie seksowi, władzy i pieniądзом. Mój ojciec bez wątplenia uważał, że Dunn stał się bogatym człowiekiem dzięki bezczeszczeniu Kościoła. Poza bezczeszczeniem, Dunn był księdzem diecezjalnym, więc miał prawo zatrzymać zarobione przez siebie pieniądze. Z całą pewnością miał dobrze naładowaną kabzę. Tak jak Val cieszył się dużą popularnością i dlatego Kościół musiał ćwiczyć powściągliwość w traktowaniu go. W praktyce uznał, że najlepiej jest odwrócić głowę w drugą stronę.

Wciąż padał śnieg z deszczem i chodniki były zdradliwie śliskie. Na wystawach sklepowych wystawiono ozdoby i maski używane podczas zabaw zaduszkowych. Wiedźmy leciały na miotłach w stronę gór z czarno-pomarańczowych cukierków. Szczerbate latarnie z dyni świeciły oczodołami.

Ruszyłem do domu. Pragnąłem tylko usiąść przy kominku w Długiej Sali z moją siostrą Val i pomóc jej wszystko uporządkować.

Dom wciąż był ciemny i pusty. Deszcz tworzył zasłonę, a w światłach reflektorów zmieniał się w śnieg, zasypujący koleiny i mrozący błoto na podjeździe. Podjechałem do garażu. Wysiadłem z samochodu i zajrzałem przez okno. W środku stało auto. Rozsunąłem drzwi. Karoseria była mokra, padało od wielu godzin. Silnik zdążył całkiem ostygnąć. Wsiadłem z powrotem do swojego samochodu, podjechałem pod dom, zaparkowałem. Było już wpół do jedenastej i zaczynałem się o nią martwić.

Nie jestem całkiem pewien, po co poszedłem znowu do ogrodu. Może dlatego wybrałem się na spacer, że deszcz zamienił się w śnieg, pierwszy w tym roku, a spokój wydawał się wprost nierealny po hałasie w Nassau Inn. Zatrzymałem się, zawołałem jej imię na wszelki wypadek, gdyby zrobiła to samo, ale udało mi się tylko rozdrażnić psa, który gdzieś daleko zaczął szczekać.

Stałem w ogrodzie, nie zastanawiając się nad tym, gdzie jestem, a kiedy rozejrzałem się dookoła, spostrzegłem, że jestem pod drzewem, o którym nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Kiedyś dawno temu powiesił się na nim ksiądz. Wydawało mi się, iż całe moje życie spędziłem słuchając opowieści związanych z domem i ogrodem - ksiądz z pobożowiska drugiej wojny światowej, księża pracujący w ogrodzie i odprawiający msze dla matki, księża pijący szkocką whisky z moim ojcem i jeden biedny dziwak, który się powiesił. Były to opowieści opisujące z siłą mitu historię mojej rodziny, i oczywiście, jej religię.

Ogród zawsze pojawiał się w rodzinnych historiach, ale nigdy szczególnie go nie lubiłem. Jedynym powodem, dla którego w ogóle tam chodziłem, było to, że Val go lubiła. Kiedy miała cztery lata, nauczyłem ją grać w pokera na trawie z daleka od domu. Ale raz jadłem jabłko i znalazłem w środku połowę robaka. Od tej chwili ogród i ja rozstaliśmy się.

Namawialiśmy Fritza - naszego ogrodnika, żeby nam pokazał drzewo, na którym powiesił się ksiądz. Wpatrywaliśmy się w nie, gdy Fritz wskazując gałąź wyciągnął język i przewracał oczami, a potem śmiał się i twierdził, że ogród był tak samo nawiedzony jak poddasze. Nigdy nie widziałem artykułu w gazecie ani zdjęcia z miejsca tragedii i biednego, cholernego, martwego księdza. Spytałem o to matkę, ale zignorowała moje pytanie mówiąc: „To zdarzyło się milion lat temu i było okropnie smutne, Benjy”. Mój ojciec stwierdził: „Mógł wybrać jakiś inny ogród, czyjeś drzewo. Pech, że wybrał nasze”.

Poczułem się głupio, stojąc tak w padającym śniegu i wspominając księdza samobójcę sprzed cholernych pięćdziesięciu lat. Zastanawiałem się, gdzie u diabła jest moja siostra. Nie było jej w domu ani w kaplicy.

Zawróciłem i przystanąłem patrząc na kaplicę, która oblepiona śniegiem wyglądała jak z bajki. Zaczął wiać wiatr, gwizdząc nad strumieniem przepływającym przez ogród.

Wszedłem po śliskich stopniach i znowu otworzyłem drzwi, wpatrując się w mokry, zimny bezruch. Mała świeczka zgasła. Zostawiłem otwarte drzwi, gdyż dawało to nikłe światło i dotknąłem ściany, szukając kontaktów. Pstryknąłem pierwszym. Wejście ogarnęła przyćmiona szarość. Czuję się jak nurek w głębinach zatopionych ruin. Przesunąłem następny wyłącznik i drugi komplet przyćmionych

świateł zapłonął w samej kaplicy. Usłyszałem monotony szum skórzanych skrzydeł nietoperza czy dwóch przelatujących w ciemności nad moją głową.

Wewnątrz stało tylko dziesięć ławek, przedzielonych przejściami. Przeszedłem kilka kroków i zawołałem jej imię. Nigdy nie było tu tak pusto. Pojedyncza sylaba - Val - odbiła się od ścian i witrażowych okien. Usłyszałem monotony szum przeciekającego deszczu. Dach i wieża znowu wymagały remontu.

Wtedy w mroku, między pierwszym i drugim rzędem ławek, zobaczyłem błysk czerwieni. Czerwona wełna i niebieski skórzany rękaw trochę staroświeckiej ciepłej kurtki. Rozpoznałem ją. To była moja stara kurtka ze szkoły św. Augustyna. Na prawej piersi miała skręcone litery SA. Nie powinna leżeć na podłodze w kaplicy.

W katakumbach św. Kaliksta, głęboko pod Via Appia, znajduje się grób, z którego papież Paschalis w dziewiątym wieku zabrał ciało św. Cecylii. Złożył je na wieczny spoczynek w sarkofagu z białego marmuru pod ołtarzem kościoła pod wezwaniem św. Cecylii w dzielnicy Rzymu Trastevere. Wiele lat temu zwiedzałem katakumby Kaliksta i z ciemności galerii wyłoniła się nagle plama światła. Dostrzegłem leżące ciało jakby spokojnie śpiącej młodej dziewczyny. Przez ułamek sekundy myślałem, że zakłóciłem jej prywatność. Wtedy oczywiście rozpoznałem dzieło rzeźbiarza Maderny, przedstawiające ciało Cecylii, tak jak pojawiła się ona we śnie kardynałowi Sfondrati. Było to niezwykle realistyczne odwzorowanie i gdy tak patrzyłem na ciało kobiety w naszej kaplicy, poczułem się tak jak kardynał setki lat temu. Zagubiłem się jak we śnie, jak gdybym pomylił tę kobietę z zamęczoną Cecylią.

Leżała skręcona na boku. Upadła tam, gdzie klęczała i modliła się. Leżała nieruchomo jak rzeźba Maderny, spokojna, z głową ułożoną na podłodze. Oko, które widziałem, miała zamknięte. Dotknąłem jej dłoni, dotknąłem różańca zaciśniętego w zimnych palcach. Założyła moją starą ciepłą kurtkę na przejście z domu do kaplicy. Wełna była mokra. Wziąłem ją za rękę. Palce miała sztywne.

Moja siostra Val, zawsze dzielny mały żołnierz, pełna odwagi, której mi brakowało, była martwa.

Nie wiem, jak długo klęczałem przy niej. Wyciągnąłem rękę, by dotknąć jej twarzy, tak pustej bez jej ducha, i ujrzałem ją jako małą dziewczynkę. Słyszałem szczęśliwy dzwoneczek jej śmiechu, a kiedy dotknąłem włosów Val, natrafiłem na skorupę krwi. Poczułem jak zlepione włosy łamią się przy dotknięciu, zobaczyłem plamę rany, gdzie weszła kula. Klęczała modląc się. Ktoś przytrzymał pistolet cal od jej głowy i zabił, jakby gasił świecę. Byłem pewien, że niczego nie poczuła. Może dla jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny ufała swemu zabójcy.

Moja dłoń lepiła się od jej krwi. Val nie żyła, a ja nie mogłem oddychać. Ułożyłem jej głowę, tak jak była. Moja siostra, moja najdroższa przyjaciółka, ktoś, kogo kochałem najbardziej na świecie, leżała martwa u moich stóp.

Usiadłem w ławce, trzymając jej dłoń i próbując ją ogrzać. Bezskutecznie. Moja twarz skamieniała w rozpacz i nie chciałem z tym walczyć. Nie chciało mi się wstać i coś zrobić.

Podmuch chłodu zatrzepotał czymś, co tkwiło na drzazdze w rogu drewnianej ławki. Sięgnąłem po to. Trójkątny kawałek materiału, czarny, impregnowany jak płaszcz przeciwdeszczowy. Ledwie to zarejestrowałem, po prostu trzymałem go, by zająć czymś palce.

Usłyszałem skrzypienie frontowych drzwi kaplicy, a potem kroki na kamiennej podłodze.

Kroki zbliżały się do przejścia, gdy próbowałem powstrzymać dreszcze. Miałem nadzieję, że zabójca Val wrócił, by zastrzelić też mnie. Udusiłbym go gołymi rękami. Chciałem umrzeć zabijając go. Podniosłem oczy.

Morela patrzył na mnie z góry. Jednym spojrzeniem ogarnął wszystko i miał to wypisane na twarzy. Zniknęły kolory, nie było już śmietanki ani brzoskwiń. Otworzył usta, ale nic nie mówił.

Za nim stał ojciec Dunn i przyglądał się jej. Wyglądała na tak bardzo samotną.

- O, cholera - wyszeptał z nieskończonym smutkiem.

Myślałem, że mówi o mojej siostrze, ale myliłem się. Wyciągnął rękę i wyjął z moich palców kawałek czarnego materiału.

Nie trwało długo, jak maszyna śmierci zaczęła klekotać. Sam Turner, szef policji, pojawił się z kilkoma ze swoich policjantów, a wkrótce potem przyjechał ambulans i lekarz z czarną skórzaną torbą. Sam Turner był przyjacielem rodziny przez całe moje życie. Najwyraźniej obudzono go i przywieziono w tę piekielną noc; jego siwe włosy sterczały, a twarz pokrywał szary zarost, który podkreślał jego opadający podbródek. Był w prostej koszuli, kurtce przeciwdeszczowej, sztruksowych spodniach i zielonych kaloszach. Potrząsnął moją dłońią, ale wiedziałem, że też cierpi. Znał Val od dziecka, a teraz szedł przez deszcz i śnieg do kaplicy, by zobaczyć, jak się to wszystko skończyło.

Morela z zaciśniętymi ustami w bladej twarzy, przygotował kawę i przyniósł do Długiej Sali na tacy z filiżankami i łyżeczkami. Przyszli z Dunnem kierowani impulsem, by sprawdzić, czy Val przyjechała i wszystko jest w porządku. Morela bał się, czy nie miała wypadku. Zobaczyli światło w kaplicy, więc weszli. Zobaczyli mnie, trzymającego rękę mojej martwej siostry. Kiedy Morela i ja piliśmy kawę, Dunn wrócił do kaplicy z Samem Turnerem. Prawdopodobnie poszukiwał scenerii do powieści.

Turner był mokry i zziębnięty, gdy wrócili. Wziął kubek parującej czarnej kawy i głośno ją siorbał. Przez okno zobaczyłem, że zabierają na noszach do ambulansu ciało Val owinięte w plastikowy worek. Deszcz ze śniegiem padał powoli w światłach na podjeździe.

- Jezu, Ben, nie ma co gadać. Opieczętowuję kaplicę i ściągamy kilku chłopaków - fachowców od zabójstw z Trenton. Nie masz pojęcia, co się stało?

- Wiem to, co jest oczywiste - powiedziałem. Myślałem o stanie umysłu Val, kiedy do mnie zadzwoniła, ale nie wiedziałem, jak o tym powiedzieć Samowi Turnerowi. - Przyjechała dopiero dzisiaj. Zadzwoniła do mnie z Nowego Jorku, żebym zobaczył się z nią dzisiaj wieczorem. - Pokręciłem głową. - Założyłem po prostu, że się spóźnia, bo ma coś do załatwienia. Pojechałem do miasta na hamburgera, wróciłem, rozejrzałem się i znalazłem ją. To tyle.

Kichnął w czerwoną chustkę i wytarł nos.

- Coś mnie dopadło - zamruczał. - To śmieszne. Dzwoniła i do mnie dzisiaj po południu. Wspomniała ci o tym?

- Nie. Czego chciała?

- Cóż, to wszystko jest takie zwariowane. Nigdy byś nie zgadł. Zapytała, czy coś wiem o tym księdzu, który powiesił się w waszym ogrodzie, w trzydziestym szóstym czy siódmym. To był pierwszy rok mojej służby tutaj, stałem najniżej na drabinie. Właśnie wtedy się urodziłeś. Jedna z tych wariackich sytuacji: ksiądz zabija się w ogrodzie Driskillów. Pechowy pacan. Nie powiedziała, dlaczego pyta, stwierdziła tylko, że jest ciekawa, czy mamy na ten temat jakieś akta. - Pokręcił głową i pomasaował szarą szczecinę na podbródku.

- No? I macie akta?

- Cóż, do diabła, Ben. Nie wiem. Powiedziałem jej, że chyba dostałbym zeza, gdybym zobaczył takie akta, ale obiecałem, iż poszperam w starych pudłach w piwnicy na posterunku. Mogły zachować się jakieś dokumenty. Ale to było tak dawno temu, że mogli je też wyrzucić całe wieki temu. - Znowu głośno kichnął. - Zacząłem o tym myśleć, kiedy się rozłączyliśmy i przyszedł mi do głowy stary Rupert Norwich. Zajmował wtedy stanowisko zastępcy szeryfa, trochę mnie wówczas tresował, a potem przez następne dwadzieścia pięć lat był szeryfem. Do diabła, pamiętasz starego Rupe'a, Ben.

- Dostałem od niego mój pierwszy mandat za przekroczenie szybkości - powiedziałem.

- Tak, Rupe ma teraz ponad osiemdziesiąt lat, mieszka na wybrzeżu, obok drogi do Seabright. Wciąż jest całkiem sprawny. Wymyśliłem, że może zadzwoniłbym do starego Rupe'a w tej sprawie... Teraz oczywiście wydaje się, że nie ma takiej potrzeby. Nie wiemy, po co siostra Val potrzebowała tych akt - westchnął. Przypomniawszy sobie, dlaczego już nie jest to potrzebne.

- Czemu nie poszukasz tych akt i tak? - spytałem. - Znasz Val, zawsze miała dobry powód.

- Chyba nie zaszkodzi. - Przyjrzał mi się uważnie. - Dobrze się czujesz, Ben? Taki wstrząs...

- Nic mi nie jest. Popatrz na to tak, Sam, jak ja. Odkąd spędziła rok w Salwadorze, każdy kolejny dzień był jak darowany. Prowadziła w pewnym sensie cudowne życie. Jej szczęście skończyło się dzisiaj.

- Lubiła takie życie na krawędzi, cholernie głośno trąbiła, masz rację. - Podeszedł do okna. - Co za hańba, Ben. Co za hańba - przerwał na chwilę. - Jezu, nienawidzę czegoś takiego. - Jego oczy były przekrwione, a włosy przyklejone do głowy od padającego śniegu. Zdjął okulary i wytarł je brudną chustką. - Czy chcesz, żebym to ja jemu o tym powiedział?

- Nie, Sam - odparłem. - To robota dla Supermana.

Mój ojciec. Mógłbyś łatwo zostać bez grosza, gdybyś się założył, że zaszokujesz czymś mojego ojca. Albo przestraszysz, wzburzysz czy załamiesz. On po prostu nie padał ofiarą tych samych nacisków, które regularnie łamały resztę z nas. Jego życie było bardzo ekstrawagancko kolorowe, jak na kogoś tak obsesyjnie skrytego. Miał siedemdziesiąt cztery lata, ale doskonale wiedział, że nie wygląda na więcej jak sześćdziesiąt. „Dopóki nie podejdziesz cholernie za blisko” - zwykł żartować. Zbliżyłeś się do mojego ojca, bo zasłużyłeś na nagrodę. Raz czy dwa słyszałem, jak moja biedna obowiązkowa matka mówi to do siebie.

Był prawnikiem, bankierem, dyplomatą i zarządcą inwestycji rodziny. W latach pięćdziesiątych powstał nawet szum w czasie kampanii prezydenckiej, że weźmie w niej udział, ale zdementował te pogłoski natychmiast, ponieważ był katolikiem i wszyscy wiedzieli, co się stało z Alem Smithem. Avrell

Harriman przeprowadzał z nim rozmowy o zyskach z ogłoszenia, że Hugh Driskill będzie startował z nim w kampanii jako kandydat na wiceprezydenta, gdyby Harriman otrzymał nominację Partii Demokratycznej. W końcu mój ojciec powiedział „nie”, życie poza światłem reflektorów bardziej mu odpowiadało. Prawdę mówiąc, nie pokładał zbyt wielkiej wiary w elektorat. Zwykł mówić, że nie pozwoliliby im głosować, jaki krawat ma nosić, więc po co miałby się ich radzić, kto powinien zajmować Biały Dom.

Jako błyskotliwy młody prawnik pracował przed wojną - pod koniec lat trzydziestych - w Rzymie, poświęcając większość swego czasu kwestiom inwestycji Kościoła w amerykańskich spółkach, bankach i nieruchomościach. Niektóre z podjętych inwestycji nie były zbyt chwalebne i byłoby lepiej, gdyby zaangażowanie Watykanu pozostało tajemnicą. Pomagał tego dopilnować i nawiązał wiele przyjaźni wśród hierarchii, może też zyskał jednego czy dwóch wrogów. Cały ten okres, powiedział kiedyś do mnie, poświęciłem zdobyciu doświadczenia. Byłem na tyle bystry, by zrozumieć, że religia to jedna rzecz, a jej zinstytucjonalizowana forma to coś zupełnie innego, co musi walczyć, aby przetrwać. Chciałem zobaczyć, jak funkcjonuje maszyna Kościoła. Wtedy to był znacznie prostszy świat. Mussolini wykorzystywał Watykan jako przykrywkę do akcji szpiegowskich. I jak tu nie mówić o zdobywaniu doświadczenia! To było jak uzyskanie doktoratu z Rozwiniętej Rzeczywistości. Zachowaj swój idealizm dla religii. Kościół jest w całości praktyką, samą mechaniką.

Całe swoje życie mój ojciec był niezwykle bogaty, inteligentny i dyskretny. I bardzo, bardzo odważny, ten mój stary. Spędził dużo czasu w Waszyngtonie, gdzie wszyscy wiedzieli, że jesteśmy za wojną. Jego wiedza o tym, jak włoscy faszyci wykorzystywali Watykan do akcji szpiegowskich, bardzo się przydała, zdobyła mu sławę w pewnych raczej tajemniczych kręgach. Natknął się na kolegę Irlandczyka, wiele lat od niego starszego, którym okazał się Dzikie Bili Donovan. Kiedy Donovan kręcił się próbując uruchomić Biuro Służb Strategicznych - BSS - jednym z pierwszych bystrookich młodzieńców, wciągniętych przez niego na pokład, był Hugh Driskill. Donovan - sam będąc katolikiem - w tych radosnych wczesnych dniach, gdy się ważył los świata, otoczył się grupką dobrych katolickich chłopców, którym mógł zaufać. Jego kółko stało się z czasem sławne. Zyskało rozgłos pod przezwiskiem Templariuszy, głównie przez to, że wszyscy członkowie byli katolikami. Mój ojciec został jednym z templariuszy Dzikiego Billa.

Kiedy w Europie wojna dobiegała końca - dokładnie wtedy, gdy mój ojciec pojawił się w Princeton z monsignorem D'Ambrizzim - Jack Warner, który szefował Warner Brothers, spotkał się z Miltonem Sperlingiem - producentem, Fritzem Langiem - reżyserem i Ringiem Lardnerem, juniorem - scenarzystą, prawdopodobnie przy czymś basenie z palmami i początkującymi gwiazdkami, ruszającymi biodrami w jednym rytmie, i zaczęli podskakiwać z chęci zrobienia filmu o BSS. Pomysł polegał na upamiętnieniu nie opiewanej, tajnej pracy naszych służb wywiadowczych. Mieli zamiar stworzyć bohatera zbiorowego, postawić go w ryzykownej sytuacji za linią frontu, ot, po prostu nakręcić opowieść uniwersalną, utrzymaną w tym jedynym stylu Warner Brothers - nie do podrobienia. Zamieszczono by na końcu zaprzeczenie o jakichkolwiek związkach z prawdziwymi sytuacjami czy osobami, ale z drugiej strony dążono by do pewnej autentyczności. Ten film był powodem, dla którego Bili Donovan przyjechał

do Princeton, by porozmawiać z moim ojcem.

Bohater filmu, którego losy składałyby się z życiorysów kilku osób, miał być nieznacznie zakamuflowaną wersją Hugh'a Driskilla. Jedną z jego przygód w okupowanej Francji stałaby się podstawą fabuły - coś o przeszmygowaniu jakiegoś faceta na wolność.

Podnieciła mnie niezmiernie wizyta Gary'ego Coopera w Princeton w pewien weekend. Miał grać głównego bohatera. Ujrawszy go prawie straciłem przytomność z podekscytowania. Pamiętam, siedziałem na schodach werandy z wielką szklanką lemoniady i słuchałem Coopera, Donovan'a i mojego ojca, gawędzących o filmie i wojnie. Potem Cooper zabrał mnie na kort i pracował nad moim podaniem. Sam Pan Bóg, sierżant York i Lou Gehrig pomagali mi poprawić serw. Cooper wspomniał, jak kiedyś Bili Tilden wyjaśnił mu, że dziewięćdziesiąt procent świetnego podania polega na podrzucie. Wieczorem aktor wyciągnął szkicownik i narysował mnie i małą Val, a potem ojca, Donovan'a i D'Ambrizzi'ego. Zwierzył mi się, że zawsze wyobrażał sobie, iż będzie rysował komiksy, zanim zupełnie przez przypadek nie zaczął się zajmować aktorstwem. Przed odjazdem zaproponował, żebym mówił do niego Frank, bo tak się naprawdę nazywa i tak na niego wołają jego najdawniejsi przyjaciele, których ma jeszcze ze szkoły średniej Grinnell w Iowa.

Nigdy już go więcej nie widziałem poza filmami. W następnym roku, 1946, pojawił się na ekranie w filmie *Płaszcz i szpada*. Śmieszne było to, że bohater, którego grał, bardzo przypominał ojca. Hollywood dodało nieunikniony standardowy romans, powierzając jedną z głównych ról debiutującej Liii Palmer. Bardzo dokładnie wyjaśniono mi w domu, że te romantyczne bzdury zostały całkowicie wymyślone - czysta fikcja.

Mój ojciec miał coraz większe wątpliwości, słysząc o ciągłych zmianach, jakie w Hollywood wprowadzano do scenariusza. Pamiętam, jak pewnego letniego popołudnia Donovan odpoczywał na werandzie razem z ojcem i Curtisem Lockhardtem, jego protegowanym. Siedział w bujanym fotelu, a ja jak zwykle przycupnąłem na schodkach, popijając Kool-Aid, i usłyszałem, jak się śmieje i mówi:

- Cóż, Hugh, miejmy tylko nadzieję, że nie zrobisz z ciebie zbyt wielkiego dupka!

Ojciec mruknął z powątpiewaniem i powiedział:

- Chyba nie pozwolą, by Cooper wyszedł na dupka. A Donovan dodał:

- Powiedz mu, Lockhardt, powiedz mu, że musi mieć trochę wiary w tych sprawach.

Lockhardt skinął głową i rzekł:

- To racja, Hugh. Przede wszystkim wiara.

Słuchałem ich i przyglądałem się mojej małej siostrze, popisującej się nowym czerwonym kostiumem kąpielowym. Biegała dookoła spryskiwaczy, dokazując z nadzieją, że wszyscy na nią patrzą. Już jako dziecko zwróciła uwagę na Lockhardta.

Za moimi plecami odezwał się ojciec:

- Moja wiara nie ma tu nic do rzeczy. Ja po prostu nie ufam panu Warnerowi i jego marionetkom. Bardzo wątpię, czy są papistami.

Donovan wybuchnął głośnym śmiechem. Po chwili rozmowa potoczyła się już na inny temat. Rozważano możliwość stosunków seksualnych między Cooperem a bardzo ponętą Liii Palmer, ale

wtedy odesłano mnie do ogrodu, bym pomógł matce, która skulona wśród kwiatów, w kapeluszu osłaniającym twarz przed słońcem, paliła chesterfielda, piła martini i wrywała chwasty.

To prawda, że mój ojciec w swoim życiu wielokrotnie bywał w krzyżowym ogniu, dzięki czemu zahartował się i zmienił. Ale tej nocy, gdy usłyszał wiadomość o zamordowaniu Val, zobaczyłem coś więcej niż tylko siłę i zahartowanie powstałe z doświadczenia. Doświadczenie pomogło mu utrzymać kontrolę nad zachowaniem zewnętrznego spokoju, ale to jego wiara, nigdy nie poddawana w wątpliwość, zapobiegła załamaniu. Musiałem mu powiedzieć, a on przyjął wiadomość jak mężczyzna - nie uciekł, nie cofnął się przed prawdą.

Wszedł przez frontowe drzwi. Wyglądał jak ogromny, zaciekawiony, drapieżny ptak gotowy na wszystko. Stał - wzrost sześć stóp cztery cale, waga prawie dwieście czterdzieści funtów, gęste siwe włosy zaczesane do tyłu. Zobaczył mnie i Sama Turnera, stojącego za moimi plecami.

- Co jest, Ben - zapytał. - Cześć. Co za niespodzianka, Sam... Czy coś się stało?

Powiedziałem mu, a on nie odrywał ode mnie wzroku. Jego jasne niebieskie oczy były utkwione w mojej twarzy. Kiedy skończyłem, rzekł:

- Podaj mi rękę, synu. Wyglądasz na trochę zmęczonego. Nadszedł czas, żebyśmy trzymali się razem, Ben.

Poczułem jego siłę. Mogłem jej dotknąć. Jego energia popłynęła ku mnie.

- Żyła życiem, które sama wybrała. Wiedziała, że ją kochamy. Służyła Bogu - nie można pragnąć lepszego życia, jak właśnie takie. Nie była chora i nie poznała dolegliwości starości. Odeszła do lepszego miejsca. Nie zapomnij o tym. Pewnego dnia wszyscy będziemy razem i na zawsze. Bóg naprawdę kochał twoją siostrę. - Jego głos ani razu nie zadrżał.

Otoczył ramieniem moje plecy. Sam mam sześć stóp dwa cale, a on potrzęsnał mną w uścisku. Wszystko, co powiedział, to z pewnością gówno prawda, ale pomogło mi zebrać się w sobie. Zrozumiałem, że dam sobie radę.

- Sam, kto zabił moją córkę? - zapytał.

Nie czekał na odpowiedź. Od razu poprowadził nas do Długiej Sali. Przyjrzawszy się grupie ludzi za naszymi plecami, stwierdził:

- Potrzebuję pokrzepienia.

I otworzył butelkę whisky Laphroaig.

Biedny Sam Turner nie wiedział, kto zabił moją siostrę. Przez chwilę rozmawiał po cichu z moim ojcem. Morela doglądał wielkiego ognia, płonącego w ogromnym okopconym palenisku. Ojciec Dunn stał się częścią tła, gdy tylko Morela przedstawił go ojcu.

Morela zaproponował, że chętnie zostanie na noc - choćby po to, by siedzieć i rozmawiać, jeśli zechcę - ale uznałem, że nic mi nie jest. Chyba nie bardzo chciało mu się wracać na plebanię w New Prudence, by spędzić noc ze wspomnieniami. W końcu Sam Turner wszedł. Wtedy Morela i ojciec Dunn skończyli pić i zniknęli, tak jak się zjawili. Stałem w oknie, przyglądając się ich odjazdowi. Ojciec Dunn, powieściopisarz-milioner prowadził nowego jaguara XJS. A Morela miał starą półciężarówkę

dodge'a z dzwonkiem przy błotniku i brudnymi chlapaczami. Był to samochód służbowy.

Kiedy się odwróciłem, ojciec nalewał nową porcję szkockiej whisky na kostki lodu w naszych szklankach. Jego twarz zaczerwieniła się trochę od żaru ognia. Podał mi szklankę.

- To będzie długa noc. A whisky dobrze nam zrobi. Tak na marginesie, to co ty tu robisz?

Opowiedziałem mu całą historię. Czuję, jak ciepło rozplywa się w moich żyłach, uspokajając mnie. Usiadłem w jednym ze skórzanych foteli i wyciągnąłem nogi do ognia.

Popatrzył na mnie z góry. Obracał w dłoniach szklankę wypełnioną bursztynowym płynem z lodem. Pokręcił głową.

- A niech to. O co jej mogło chodzić?

- To miało związek z jej nową książką. Coś, co odkryła lub na co natknęła się - może w Paryżu czy... nie wiem...

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że przekopywanie się przez kupę zatechłych papierzyk z okresu wojny mogło ją aż tak zmartwić? - Był rozgoryczony. - Druga wojna światowa! Jaki może mieć związek z zamordowaniem jej tutaj w Princeton? - Wybierał gniew, a nie żal.

- Uspokój się - powiedziałem.

- To śmieszne. Nie, mam wrażenie, iż doszukujemy się czegoś tam, gdzie nic nie ma. Zapominamy, że żyjemy w czasach, gdy codziennie ludzie umierają przypadkiem. Poszła do kaplicy się pomodlić i zaniepokoiła jakiegoś maniaka, który skrył się tam przed burzą. Śmierć bez powodu!

Pozwoliłem mu, by próbował sam siebie przekonać, że Val umarła bez żadnej przyczyny. Ale on nie słyszał strachu w jej głosie. Była zbyt przerażona, by umrzeć przypadkowo.

- Tak - ciągnął dalej - zadzwoniła do mnie wczoraj z Kalifornii. Mieli przyjechać dzisiaj oboje z Lockhardtem do Nowego Jorku. Powiedziała, że będzie w domu dziś po południu, a on pewnie dołączy jutro. Miałem spotkanie w Nowym Jorku i nie byłem pewny, czy zdążę wrócić do domu wieczorem. Ani słowem nie wspomniała, że coś ją niepokoi.

Zdjął marynarkę i powiesił na oparciu jednego ze starych drewnianych krzeseł. Rozluźnił krawat i podwinął rękawy.

- Wiesz, czym się martwiłem, Ben? Miałem takie dokuczliwe przeczucie, że przyjeżdża do domu, by mi oświadczyć, iż opuszcza klasztor i wychodzi za mąż za Curtisa. Czy zwariowałem? Czy dobrze trafiłem?

- Nie wiem. Wydawało mi się, że Curtis jest ucieleśnieniem twojego wyobrażenia idealnego zięcia.

- To nie ma nic wspólnego z Curtisem. - Mój ojciec skrzywił się. - Rusz głową, Ben. Chodzi o Val. Jest zakonnicą i miała nią pozostać...

- Tak jak ja miałem zostać księdzem?

- Bóg tylko jeden wie, kim miałeś zostać. Ale Val była przeznaczona, stworzona dla Kościoła...

- Kto to powiedział? Nie Kościół, chyba że niczego nie rozumiem. Według mnie to oni zebrali na tacę, by wykupić jej bilet w jedną stronę. A zresztą, czyż to nie zależy od Val? Sama wybiera, co zrobi ze swoim życiem, prawda? - Z ledwością sobie uświadomiłem, że używałem nieodpowiedniego czasu. Nie

było już czegoś takiego jak życie Val.

- Spodziewałem się, iż przyjmiesz takie stanowisko. Nie ma sensu kłócić się z tobą na ten temat. Val i ja jesteśmy katolikami...

- Śmieszne, ale tylko ja noszę blizny...

- Gdybym był na twoim miejscu, Beniaminie, nie zakładałbym, że wiem, jakie blizny inni próbują ukryć. I może moglibyśmy, choćby dzisiaj, dać spokój twojej biednej sponiewieranej psychice.

Musiałem się roześmiać. Val też by się roześmiała. Teraz to była stara wojna i obaj wiedzieliśmy, tata i ja, że w niej nie ma zwycięzcy. Walczylibyśmy ze sobą i walczylibyśmy, aż jeden z nas by padł martwy, a wtedy - jeśli to nawet miało jakieś znaczenie przedtem - z pewnością zwycięstwo straciłoby znaczenie.

- Czy jestem blisko odgadnięcia prawdy o Val i Curtisie? - zapytał.

- Nigdy o tym ze mną nie rozmawiała.

- Pewnie mam rację. Zawsze kierowała się twoimi radami. Nagle podniósł do oczu drżącą rękę i uświadomiłem sobie, jak bliski jest łez. To nie było łatwe, nawet dla tak wytrawnego wojownika. Wstał nieostrożnie, przyglądając się płomieniom. Iskry migotały na kamieniach paleniska.

Zegar na gzymsie cichutko wybił drugą. Cienki, piskliwy dźwięk jak ze starego klawikordu. Wstałem, wyjąłem cygaro z pudełka, zapaliłem i poszedłem w odległy koniec Sali. Stanałem blisko przykrytych sztalug; wyglądałem przez okno w tę diabelską noc. Nieoczekiwanie zacząłem myśleć o psie, którego kiedyś mieliśmy. To był labrador - nazwaliśmy go Jake - który często szalał, próbując ugryźć piłkę do kosza. Kiedy zdechł, Val uparła się, że pogrzebie przedziurawioną piłkę razem z nim, żeby mógł gryźć tę cholerną piłkę przez całą psią wieczność. Cóż, wyglądało na to, że nie umiemy z ojcem dać sobie rady z tym, co się stało z Val, co się stało z naszym światem.

Ziewnął i powiedział coś o Lockhardzie. Odwróciłem się do niego pytająco.

- Kalikst umiera. Nie wiem, jakie są przewidywania, ale to nie może potrwać zbyt długo. Curtis się przygotowuje na swój sposób, by poprzeć następcę. Wybrać następcę. Chce ze mną rozmawiać. Mogę się założyć, że zbiera fundusze.

- Kim jest jego kandydat? - zapytałem.

- Ktoś, kto poprowadzi Kościół w dwudziesty pierwszy wiek. Cokolwiek to oznacza.

- Powodzenia.

- Z Curtisem nigdy nic nie wiadomo. Podejrzewam, że wszystko ustalili między sobą D'Ambrizzi i Indelicato. Może zaproponują Fangio jako rozwiązanie kompromisowe.

Wyglądał tak, jakby go to nic nie obchodziło. Był po prostu bardzo zmęczony.

- A kim jest twój kandydat?

Wzruszył ramionami. W swoim czasie grał dużo w pokera. Miał kandydata, asa, którym chciał zagrać w ostatniej chwili.

- Nigdy cię o to nie pytałem - zacząłem - ale zawsze zastanawiałem się, dlaczego przywiozłeś do nas D'Ambrizziego po wojnie? Uważam, że to było wspaniałe dla Val i dla mnie. Okazał się cudownym towarzyszem zabaw, ale musiałeś mieć jakiś powód, by tak postąpić. Poznałeś go w czasie wojny?

- To długa historia, Ben. Potrzebował przyjaciela. Niech ci to wystarczy...

- Jedna z twoich przygód w BSS? Taka, o której nigdy nie opowiadałeś...

- Zostaw to, synu.

- W porządku. - D'Ambrizzi, Indelicato, Fangio. Dla mnie to były tylko nazwiska. Poza moim wspomnieniem o D'Ambrizzim.

Tajemnicze dni, które mój ojciec spędził w BSS, zawsze w jakiś sposób sprawiały mi ból. Upłynęło tak wiele czasu, a on nadal traktował je jak tajemnice wagi państwowej. Kiedyś ojciec z matką zabrali nas do Paryża na letnie wakacje: apartamenty w hotelu George V, *bateaux mouches* nad Sekwaną, wizyty w Luwrze, msza w Notre Dame i mój pierwszy egzemplarz P.G. Wodehouse'a z księgarni Shakespeaere & Co. W pewien sposób najważniejszym momentem tej wycieczki okazało się zwiedzanie wieży Eiffla, gdzie spotkaliśmy jednego z najstarszych przyjaciół ojca z okresu BSS, biskupa Torricellego, który wtedy był już dość wiekowy. Miał najdłuższy, najbardziej haczykowaty nos, jaki kiedykolwiek widziałem i jak słyszałem, przezywano go Shylock. Miał przy sobie torebkę anyżkowych cukierków. Val mogła ssać je bez opamiętania. Opowiedział nam żart, jak to Jacques i Pierre przychodzili na obiad trzy, cztery razy w tygodniu do tej samej małej restauracji przez dwadzieścia lat. W końcu pewnego dnia Jacques zapytał Pierre'a, dlaczego przychodzą w to samo miejsce od dwudziestu lat, a Pierre odpowiedział: „Ponieważ, *mon ami*, to jest jedyna restauracja w Paryżu, skąd nie widać tej choleralnej wieży Eiffla”. Tak naprawdę nie za bardzo zrozumieliśmy ten żart, ale Val śmiała się jak szalona, bo bardzo smakowały jej cukierki.

Usłyszałem, jak mój ojciec i Torricelli wymieniają krótkie uwagi o Paryżu pod okupacją niemiecką. Torricelli żartował, jak to ojciec wyłonił się z piwnicy pełnej węgla po dwóch tygodniach ukrywania się przed gestapo, jak otworzył usta, żeby coś powiedzieć i jak bardzo przypominał wtedy Ala Jolsona śpiewającego „Swanee”, cały pokryty węglowym pyłem. To musiał być dla niego niezwykle czas, niebezpieczny i podniecający. Ale w końcu to był mój ojciec, tylko mój ojciec, nie mogłem więc wyobrazić go sobie jako szpiega przemykającego się nocą, by wysadzić w powietrze elektrownię czy magazyny amunicji.

- Wiesz, Ben - odezwał się, wypowiadając słowa bardzo powoli. Jego mózg w połowie zanurzył się już w małym jezioru whisky Laphroaig. - Wiesz, nie mogę znieść myśli, że muszę o wszystkim powiedzieć Curtisowi. Bardzo rzadko zdarzało mu się spotkać z czymś, co poszło nie po jego myśli. Biorąc wszystko pod uwagę, prowadził bardzo szczęśliwe życie.

- No to teraz będzie mu trochę ciężko... - Curtis Lockhardt nic mnie, do cholery, nie obchodził. Należał do nich. I nie marnowałem też mojego współczucia na własnego ojca, który był tak wrażliwy, jak gargulce zwisające ze ścian Notre Dame. Żałowałem tylko mojej małej siostrzyczki Val.

- Powiem mu jutro...

- Och, nie przejmowałbym się zbytnio na twoim miejscu. Jutro poinformują o zabójstwie w telewizji i w gazetach. Val jest znana. Nie, on się dowie o wszystkim wcześniej, zanim będziemy musieli mu o tym powiedzieć. Nam pozostanie otrzeć łzy jego rozpacz. Nie ciesz się, nie myśl o czymś takim.

Przygwoździł mnie jednym ze swych rentgenowskich spojrzeń znad szklanki.

- Czasami potrafisz być niewiarygodną kupą gówna, Ben.
- Jaki ojciec, taki syn! Mam to w genach.
- Możliwe - powiedział po chwili. - Bardzo prawdopodobne. - Chrząknął i skończył drinka. - Idę do łóżka.

- By spotkać demony ciemności.
- Coś w tym rodzaju. - Odwrócił się w drzwiach i machnął mi lekko ręką.
- I jeszcze coś, tato...
- Tak? O co chodzi? - Cienie korytarza już miały go połknąć.
- Sam Turner powiedział mi, że Val dzwoniła do niego dzisiaj i pytała o tego powieszzonego księdza...

- O czym ty mówisz?
- O tym powieszonym księdzu w ogrodzie. Był taki tylko jeden, mam rację, czyż nie? Rozumiesz coś z tego? Czy coś ci o tym napomknęła?

- Sam Turner jest starym plotkarzem - powiedział ojciec sucho. Niecierpliwili go głupcy. - Skąd mógłbym coś wiedzieć? Nie, nie wspomniała mi nic o tamtej starej historii...

- Co ty masz na myśli mówiąc „historia”? To się naprawdę zdarzyło... zwisający zimny ksiądz w ogrodzie...

- To bardzo stara historia. Zapomnij o niej. Nigdy się nie dowiemy, o co jej chodziło i tak jest w porządku. A teraz idę do łóżka. - Odwrócił się.

- Tato?

- Tak?

- Jeśli nie zdołasz zasnąć, to wiedz, że się nie kładę. Będę w moim pokoju wpatrywał się w sufit i folgowałem emocjonalnej słabości. Jeśli będziesz potrzebował towarzystwa... - Wzruszyłem ramionami.

- Dzięki za ofertę - powiedział. - Chyba się pomodlę. Mogę ci zaproponować, żebyś też spróbował? Oczywiście, jeśli pamiętasz, jak to się robi.

- Bardzo ładnie z twojej strony, że się o mnie troszczysz - odrzekłem.

- No cóż, chyba nigdy nie jest za późno. - W jego głosie dosłyszałem jakby ślad uśmiechu, chociaż nie widziałem jego twarzy zbyt wyraźnie. - Nawet dla tak zagubionej duszy jak twoja, Ben.

A potem odszedł. Dużo czasu zajęło mi sprzątnięcie kubków po kawie i szklanek po whisky. Paliłem cygaro i powoli gasiłem lampy. W kaplicy nadal paliło się światło.

Moja kontuzjowana noga karała mnie za popełnione grzechy, a whisky nic nie pomogła. Pokuśtykałem po schodach przez ciemny i pełen przeciągów korytarz do mojego dawnego pokoju. Oprawiona fotografia Joe DiMaggio z autografem dla ojca i dla mnie wisiała nad łóżkiem. Zobaczyłem znajomą jasnobrązową plamę na suficie, gdzie pewnej nocy deszcz przeciekł przed dziurę wygrzebaną przez wiewiórkę chowającą orzechy.

Zapaliłem lampę przy łóżku. Śnieg z deszczem uderzał w szyby. Szkic przedstawiający Val i mnie, narysowany przez Gary Coopera, nadal stał w srebrnej ramce na komodzie. Dziwne. Teraz tylko ja

żyłem z nas dwojga.

Połknąłem garść aspiryn, by uśmierzyć ból nogi i uciec przed zjawami pamięci, zbierającymi się na trawniku pod moim oknem. Przewracałem się z boku na bok, próbując ułożyć się wygodniej, a potem drzemałem pomiędzy gorzkimi rozmyślaniami i marzeniami, okropnymi, nieszczęśliwymi wyobrażeniami. I wtedy jakoś znowu znalazłem się między jezuitami, jakby mój duch wyszedł z ciała...

Armia ubrana na czarno - kiedyś do niej należałem - wyroiła się z nocy ku mnie, jak gdyby była bezwzględnie zdecydowana, by zająć moje pozycje, by mnie znowu mieć w swoich szeregach. Co niekoniecznie musiało być tak, jak kiedyś naprawdę się zdarzyło. Sprawiało mi przyjemność życie w nowicjacie. Od pierwszego dnia znalazłem miejsce między błyskotliwymi i mądrymi, którzy zawsze tworzyli rdzeń Towarzystwa Jezusowego. Profesjonalni mądrale. Zawsze byli bardziej cenieni za buntowniczą inteligencję, niż za nabożność. Tamte pierwsze tygodnie podstawowego treningu szybko nabrały charakteru wyzwania - wyzwania naszej wyostrojonej indywidualności mądrali, co się mieli zanurzyć w pokorze, modlitwie, nudzie rutyny, ciągłego krzątania się, w dźwiękach i zapachach dormitorium.

A wtedy przyszedł dzień, kiedy brat Fulton, jedynie kilka lat dłużej przebywający w zakonie i nieco bardziej zaawansowany w procesie transformacji od nas, zaprosił nas na pogawędkę.

- Będziecie się na pewno zastanawiali nad niektórymi egzotycznymi aspektami naszego szczęśliwego małego zakonu - zaczął. Brat Fulton okazał się klasycznym jezuickim mądralą. Miał proste jasne włosy, ostre lisie rysy twarzy, jasnobrązowe oczy, które wydawały się zaprzeczać możliwości traktowania czegokolwiek zbyt poważnie. - Uważamy je za praktyki pokutnicze, ale nie ma się czego bać, ponieważ wszyscy jesteśmy dzielnymi facetami i Towarzystwu leży na sercu nasz najlepszy interes. Przede wszystkim chodzi o siłę ducha, żywotność, zdecydowanie i rozwój wewnętrzny człowieka. Jakkolwiek... - Uśmiechnął się do grupy skupionych młodych ludzi, czekających na dalsze wyjaśnienia. - Jakkolwiek nie wolno nam zupełnie zignorować naszej fizyczności. Mamy doświadczenie w Zamku Czaszki - to taki jezuicki dowcip, panowie - że odrobina umartwienia ciała nigdy nikogo naprawdę nie rani. Czasami nawet dobrze robi. Ból, mogę was zapewnić, ułatwia koncentrację umysłu wprost cudownie. Ale ból jest jedynie po to, by przypomnieć nam o prawdziwej przyczynie - chwytacie, w czym rzecz? To dobrze. Wystarczy powiedzieć, że będziecie odczuwać ból, a wasze umysły - jeśli działają tak, jak powinny - zwrócą się ku takim odpowiednim przedmiotom medytacji, jak wasza miłość Boga. Rozumiecie?

Jego żywe brązowe oczy tańczyły od jednej kiwającej ulegle twarzy ku następnej.

- Panowie, rzućcie okiem na nasze cacka. - Z szuflady w biurku wyciągnął dwa przedmioty i niedbałym ruchem położył je na bibularzu. - Proszę bardzo, weźcie je. Poznajcie to uczucie. Spróbujcie go doświadczyć.

Ująłem w dłonie pleciony biały sznur, patrzyłem, jak zwisa z moich palców niczym cenny naszyjnik. Dotykanie łańcucha było tak dziwnie podniecające, że aż prawie zawstydzające. Trzymałem go ostrożnie, jakby mógł ożyć i uderzyć mnie, gdy tymczasem brat Fulton mówił dalej.

- Te maleńkie przyrządziiki, bat i łańcuch, pomogą wam. Ułatwią rozmyślanie o waszym oddaniu

Bogu. I o waszym posłuszeństwie. Bat i łańcuch są w znacznej mierze symboliczne. W poniedziałki i środy wieczorem obnażycie się do pasa i uklękniecie przy łózkach. Usłyszycie bicie dzwonu. Będziecie chłostać swoje plecy, uderzając się przez ramię. Róbcie to odmawiając jedno Ojczy Nasz. Nic wielkiego.

- A co z tym? - podniosłem łańcuch.

- Aha, zauważycie małe znaki na tablicach ogłoszeń, kiedy wrócicie do swoich pokoi - odparł brat Fulton. - „Bat dzisiaj, łańcuch jutro rano”. Stara jezuicka maksyma. Beniaminie, dostrzegłeś coś niezwykłego w tym łańcuchu?

- Ognia - odpowiedziałem. - Jedna strona jest podpiłowana, tak że jest bardzo ostra. Druga strona pozostała zaokrąglona, tępą.

Brat Fulton pokiwał głową.

- Powiedz mi tak bez zastanowienia, którą stroną łańcuch będzie dotykał ciała? Tępą czy ostrą?

- Zaraz wyciągniesz coś w rodzaju Żelaznej Dziewicy - powiedział Vinnie Halloran. - A ja wychodzę przez drzwi...

- To zostawiamy na siódmy rok nowicjatu - zauważył brat Fulton. - Wtedy już ciebie dawno tu nie będzie. - Uśmiechnął się uszczęśliwiony. - Trzymajcie bicz i łańcuch pod poduszką. Łańcuch jest do zadawania prawdziwego bólu, obiecuję go wam. Będziecie mocować łańcuch wokół uda, pod spodniami, we wtorki i czwartki rano. - Wstał, zrobił gest odprawienia nas. - Przypatrzcie się zapięciu i przygotujcie się. Jedna sprawa. Zapinajcie mocno. Mocno. Bardzo mocno. Nie ma nic gorszego niż uczucie, że wasz łańcuch luźno ześlizguje się po nogach i upada z brzękiem na podłogę. -

Zatrzymał się na chwilę przed wyjściem. - To się zdarza i będziecie się wtedy czuli jak prawdziwe dupki. Zapamiętajcie moje słowa.

Rzuciłem się w owo umartwianie cielesne z właściwą sobie determinacją. Łańcuch to nie były żarty. Zakładałeś go wokół uda, zaciskałeś mocno ogniwa, a kiedy wciągał włosy na nodze i szczypał skórę, wtedy zapinałeś. Stałeś nieruchomo, zakładając łańcuch i regulowałeś napięcie mięśni. Nie było tak źle. Potem zaczynałeś iść. Mięśnie uginały się. Ostre brzegi wbijały się w ciało. Obrzeże kęsało.

Nowicjusz MacDonald uważał, że cała sprawa jest nienormalna, ogolił więc włosy na udzie i umocował łańcuch luźno na nodze taśmą samoprzylepną. Nikt inny nawet nie dyskutował o łańcuchach. To była osobista bitwa i walczyłeś sam, najlepiej jak umiałeś.

Najbardziej bolało, kiedy musiałeś usiąść. Na mszy. Podczas śniadania. W czasie zajęć. Zaostrzone ogniwa wbijały się w ciało. Wszystko ze słusznego powodu. Mój ojciec byłby ze mnie dumny. *Ad Maiorem Dei Gloriam*. Bóg. Towarzystwo Jezusowe. Święty Ignacy Loyola. Sanctus Pater Noster. Lepiej usłuchać, służyć. Będę ponad to. Niech mnie szlag trafi, jeśli nie będę ponad to.

Pływaliśmy, kiedy odezwał się do mnie Vinnie Halloran.

- Hej, Ben, spójrz na swoją nogę, człowieku. Tylko na nią popatrz. - Nie chciałem patrzeć. Widziałem ją taką od kilku tygodni. - Powinieneś się tym zająć, człowieku. Naprawdę, coś nie jest w porządku. Ta opuchlizna i to zielone świństwo. Spójrz na moją nogę, na małe czerwone kropki. Wiesz, że MacDonald maluje sobie takie malutkie czerwone kropki? Gówno! Ależ stary, tobie coś zielonego z tego wycieka... - Vinnie zadrżał i skurczył się w sobie.

Ale ja nie chciałem się poddać. Nie nędznemu jezuickiemu łańcuchowi. Nie Ben Driskill. Tak właśnie miało być.

Wdała się infekcja i rozwinęło zakażenie. W końcu brat Fulton znalazł mnie nieprzytomnego w kiblu. Leżałem w kałuży moich własnych wymiocin. Lekarze w szpitalu św. Ignacego ocalili mi nogę i cieszyłem się bardzo, że im się udało. Wyjaśnianie braku nogi mojemu ojcu byłoby mordercze. I chciałem żyć z tym stałym bólem, rozpalającym się od czasu do czasu. Ale było coś, co sprawiło, że czułem się lepiej. Nie poddałem się. Czasami przegrywałem, każdy mógł przegrać. Ale nigdy, nigdy się nie poddałem. Nawet jezuitom. Nawet mojemu ojcu.

Kiedy się obudziłem, za oknem panowała zamglona szarość.

Mogłem dostrzec parę mojego oddechu w chłodzie pokoju. Suchy śnieg wiał wzdłuż parapetu, przedzierał się przez szparę i moczył mi twarz. Gdzieś daleko dzwonił telefon. Usłyszałem cztery dzwonki. Wkrótce umilkły. Na zegarku była za piętnaście siódma. Następnym razem wyszedłem z mgły osiem po siódmej, zostawiając za sobą sen, w którym ktoś krzyczał.

Rzecz w tym, że nie zostawiłem go za sobą. Krzyk należał do rzeczywistości, nie został w śnie. I to nie był krzyk, tylko zduszony płacz i trwał chyba nie dłużej jak sekundę, może dwie, a potem nastąpiło piekło trzasków, jak gdyby ślepiec usiłował się wydostać z płonącego budynku.

Ojciec leżał u stóp schodów. Był owinięty w szlafrok. Zastygł z rozrzuconymi ramionami i twarzą zwróconą ku podłodze. Ta chwila wydawał się ciągnąć bez końca i wtedy uklęknałem obok niego. Wyglądał jak ktoś obcy - stary człowiek z jednym okiem zamkniętym, drugim wpatrującym się we mnie. Wtem oko mrugnęło.

- Tato? Słyszysz mnie? - Oparłem jego głowę o ramię. Jedna strona ust skrzywiła się w uśmiechu. Druga strona nie poruszyła się zupełnie.

- Telefon - powiedział dość wyraźnie - Arcybiskup... - Wciągnął trochę powietrza. - Kardynał... Klammer... - Można zaufać mojemu ojcu, że wszystkie tytuły zostaną wymienione w należyтым porządku. Łza wypłynęła z zamkniętego oka.

- On zadzwonił? Czego chciał?

- Lockhardt... Heff... Heffernan... - To było dla niego za trudne do wymówienia. Hugh Driskill doszedł do tego, że jąkał się leżąc na podłodze.

- Lockhardt i Heffernan - ponagliłem go. - Kim u diabła jest Heffernan?

- Martwi... - To był szept, jakby się wyczerpywał, jakby przestawały działać baterie.

- Jezu... Nie żyją? Lockhardt nie żyje?

- Zamordowani... wcz... wczoraj... - Mrugnął znowu. Palce drżały na moim ramieniu. Po chwili stracił przytomność.

Zadzwoniłem do szpitala. Potem wróciłem i usiadłem obok mojego ojca, trzymając jego dłoń. Chciałem przekazać mu trochę mojej energii, oddając mu to, co mi dał.

Pragnąłem, by mój ojciec żył...

Biegła już z powrotem w stronę nowoczesnego budynku na Via Veneto i zatrzymała się, by złapać oddech w holu wykładanym marmurem i lśniącym od chromu. Czekwała na windę. Pot kapął jej z czubka zadartego nosa. Jej ciemnobrązowe włosy, sięgające ramion, przytrzymała zielona opaska. Ściągnęła z głowy słuchawki i taśma ze starymi nagraniami Pink Floyd nagle ucichła. Otarła czoło rękawem szarej bluzy.

Przebiegła właśnie trzy mile i wybierała się na basen, znajdujący się na dachu budynku. Zatrzymała się w mieszkaniu na osiemnastym piętrze, ściągnęła dres, przebrała w kostium kąpielowy, otuliła grubym frotowym szlafrokiem i wbiegła po trzy stopnie na dach. Miała cały basen tylko dla siebie i pływała powoli, w równym tempie. Jak zawsze narzuciła sobie dystans - trzydzieści nawrotów. Słońce było purpurowe, wylaniało się nad horyzontem - widok wywołujący przerażenie zapyleniem zatrutego powietrza Rzymu.

Wstała o piątej, a o szóstej trzydzieści przygotowywała w swojej kuchni kawę. Pomodliła się, pobiegła i popływała, nadszedł więc już czas, by przestała się guzdrać i zajęła bieżącymi sprawami.

Siostra Elżbieta cieszyła się z własnego życia. Nie została zakonnica z nierealistycznych pobudek. Przemyślała to na swój uporządkowany sposób i wszystko poszło dobrze. Zakon był z niej dumny. Apartament przy Via Veneto należał do Curtisa Lockhardta. Osobiście porozmawiał z siostrą Celestyną, zajmującą się takimi sprawami w Zakonie i urzędującą w biurze na szczycie Hiszpańskich Schodów. Szybko została wydana zgoda na jej przeprowadzkę tutaj. W Zakonie zazwyczaj traktowano jego członkinie jak osoby dorosłe, którym można zaufać.

To siostra Valentine przedstawiła ją Lockhardtowi i wspomniała o mieszkaniu. Lockhardt zaprzyjaźnił się z Elżbietą i stał się cennym źródłem informacji, ważnym w jej pracy. Był to doskonały przykład połączenia, które w tak zamkniętej społeczności jak Kościół czyniło życie znacznie przyjemniejszym. Sztuczka polegała na tym, by maszyna pracowała dla ciebie, a nie przeciw tobie. Elżbieta zdradzała duży talent w sztuce strategii. Była uczciwa wobec Zakonu i wobec samej siebie, co stanowiło podstawę, dzięki której maszyna pracowała dla niej. Siostra Val nazywała to naciskaniem odpowiednich guzików. Obie wiedziały, jak to robić, chociaż zazwyczaj nie naciskały identycznego zestawu.

Wypiła kawę, zjadła tosta i wyciągnęła kalendarz, by sprawdzić plan dnia. O dziewiątej miała przyjść delegacja francuskich feministek, katolickich świeckich z Lyonu, prowadzących nie kończącą się wojnę podjazdową przeciwko Watykanowi. Chciały zdobyć materiał do artykułu w ich czasopiśmie. Niech Bóg ma nas w swojej opiece...

Od trzech lat zajmowała stanowisko naczelnego redaktora *Nowego Świata* - dwutygodnika wydawanego przez Zakon. Przedtem jego czytelniczkami były katoliczki należące do górnej warstwy grupy, która wywołała społeczny i religijny przewrót lat sześćdziesiątych. Nie trwało zbyt długo, by zdecydowanie liberalna postawa zapanowała w piśmie. Potem nadeszły oskarżenia o wpływy marksistowskie; efektem było przejście od liberalizmu do radykalizmu, który działał jak magnes nie tylko

dla wszystkich słuszych głosów z lewa, ale także dla większości najdzikszych nawiedzonych z chrześcijańskiego świata. Odezwały się tak głośne głosy protestu, że zmusiły Kaliksta do obudzenia się z pontyfikalnego snu i zadeklarowania poufnie władzom na górze Zakonu, iż już nadszedł czas, by sprawie ukreć łeb. Dla ich własnego dobra.

Wkrótce potem siostra Elżbieta została mianowana redaktorem naczelnym. Pierwsza Amerykanka, która otrzymała to stanowisko. Przez ostatnie trzy lata musiała chodzić na paluszkach po linie, zrećnie zajmując się ważniejszymi kwestiami interesującymi Kościoła, bezstronnie, ale nie pomijając niczego: kontrola urodzeń, wyświęcanie kobiet, aborcja, lewacki kler w krajach trzeciego świata, rola Kościoła w polityce międzynarodowej, skandal w Banku Watykańskim - krótko mówiąc, praca jak inne.

Nowy Świat czterokrotnie zwiększył nakład. Stał się czymś w rodzaju klubu dyskusyjnego, gdzie omawiano ważne dla Kościoła kwestie. Elżbiecie udało się zachować skromność, choć to ona właśnie sprawiła, że o Kalikście zaczęto mówić. Teraz wyglądało na to, że czasopismo go przetrwa.

Już od lata wiedziała, podobnie jak wszyscy dziennikarze w Rzymie, że dni papieża Kaliksta są policzone. Śmierć czatowała w przedpokojach Watykanu. Plotki mnożyły się na wytwornych przyjęciach, w których kler brał udział, w salonach pełnych ciężkich draperii i w willach, stojących nad miastem. Atmosfera nabrzmiała oczekiwaniem.

Elżbiecie przywodziła na pamięć niewinne czasy, gdy przyjeżdżała do dziadka do małego miasteczka Oregon w Illinois. Odwiedzała go co lato, wyruszając z domu rodzinnego w Lakę Forest. Pamiętała jeszcze podniecenie i oczekiwanie, kiedy dziadek zabierał ją do cyrku.

„Cyrk” - to była doskonała przerośnia. Papież umrze i przedstawienie cyrkowe zacznie się z krzykliwym klekotaniem katarynki i małpami na łańcuchu, fanfara trąbek z filmów Felliniego, kłownami, karłami, akrobatami trzymającymi się za ręce, tańczącymi i skaczącymi na arenie. Zawsze będzie też kilku księży - ukłon w stronę miejscowych obyczajów, dla dodania kolorytu. Rzym czekał na rozpoczęcie przedstawienia. Przypomniła sobie, jak kiedyś babcia obudziła ją wcześniej rano. Dostrzegła wtedy dziadka nalewającego benzyny do półciężarówki. Jechał na targ o chłodnym poranku: bezchmurnym i błękitnym, obiecującym kolejny upalny dzień. Chciał, by zobaczyła, co się dzieje, zanim dyrektor cyrku trzaśnie z bicia i rozpocznie przedstawienie. Pragnął jej pokazać, że najlepsze części przedstawienia działy się, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Tygrysy i słonie, miotające się w klatce lub wywołujące trzęsienie ziemi, stojące na tylnych nogach jak kolumny i unoszące przednie nogi w powietrze, by się popisać... Cyrk - zanim zacznie się przedstawienie.

W takim stanie był teraz Rzym. *Papabili*, ludzie z oczami pilnie wpatrzonymi w główną szansę - władzę, kilka linijek w historycznych książkach - zbierali się jak wielkie słonie i tygrysy, pod ich ciężarem drżała ziemia, pokazywali szablaste zęby w ohydnych uśmiechach... Kardynałowie. Ludzie, którzy zrobili wszystko, co musiało być zrobione, by zbliżyć się do Tronu Piotra. A ich pomocnicy to pośrednicy władzy, fachowcy od interesów, ustawiacze. Slonie, tygrysy, całe stada szakali i hien, a w zasięgu wzroku nie było baranka.

Mój Boże, jak ona to kochała!

Kochała politykowanie, intrygi, ujawniające się zdenerwowanie przeciwników, napięcie wzrastające w walce do granic wytrzymałości, spojrzenia rzucane do tyłu, obawę przed symbolicznym nożem w plecy, lęk przed fałszywym krokiem, słowem wypowiedzianym w ciemności konfesjonałów do nieodpowiedniego ucha, rzuceniem kariery w błoto. Kto mógłby najlepiej manipulować kardynałami? Kto mógłby schlebiać, przymilać się i zastraszać? Czy Amerykanie starali się rzucić na szalę cały swój autorytet i pieniądze? Kto byłby najbardziej skłonny do ustępstw po otrzymaniu jednej czy dwóch obietnic? Kto znał najlepszych kelnerów w najlepszych restauracjach, kto będzie zaproszony na najlepsze przyjęcie, kto stoczy się i rozbije obozowisko u Hasslera? Kto mógłby czekać cierpliwie, by uderzyć? Kogo mogłyby zniszczyć plotki?

Tego ranka siostra Elżbieta miała na sobie granatowy kostium ze szkarłatną rozetką - znaczkiem Zakonu - w klapie. Była wysoka i smukła, miała dobre nogi i doskonałą figurę, a kardynał D'Ambrizzi uważał, że wygląda bardzo seksownie w tym mundurku i nie wstydził się tego powiedzieć.

Poszła na mszę w dobrym nastroju. Policzyła jak zwykle błogosławieństwa. Cieszyła się, że będzie towarzyszyła D'Ambrizziemu i spotka amerykańskiego bankiera w trakcie jednej ze słynnych wycieczek kardynała po Rzymie. To stanowiło dobrą okazję, by przyjrzeć się z bliska D'Ambrizziemu: przygotowywała dłuższy artykuł o *papabili*, który byłby opublikowany od razu po śmierci Kaliksta. Miał przynieść spojrzenie od środka na prawdopodobnych faworytów, między którymi żadne nazwisko nie przybierało tak groźnych kształtów jak D'Ambrizzi. Próbowwała ustawić przeszkody na boisku: wyobrażała sobie prowadzących zawodników. D'Ambrizzi był jednym z nich. Święty Jaś, jak nazywała go siostra Valentine.

Jak zwykle brała udział w porannej mszy, odprawianej w małym kościółku. Zapaliła świecę i zmówiła modlitwę za siostrę Valentine. Bardzo pragnęła już dostać od niej jakąś wiadomość, bo gdy Val wszystko jej wyznała, siostra Elżbieta zaczęła się o nią martwić. Val wydawała się wtedy taka poruszona i nie chodziło tylko o Curtisa Lockhardta. Elżbieta obliczyła szansę i uznała, że wynoszą osiem do pięciu. Val wystąpi z zakonu i wyjdzie za niego. I będzie miała więcej władzy. Nie, nie chodziło o Lockhardta. To była owa reszta, o której wspomniała Val.

Kiedy Francuzki wyszły, miała dla siebie kilka godzin. Spędziła je przy biurku, za spuszczonej żaluzjami, by skryć się przed słońcem, a jej redaktorka siostra Bernardyna odbierała telefony w innym pokoju. Przed sobą na biurku ustawiła segregatory z aktami *papabili*. Dokładnie przeczytała swoje notatki o dwóch prowadzących kandydatach. Wróciła do komputera Apple II. Podzieliła świecący ekran po środku linią, wystukała dwa nazwiska i zaczęła pisać zwięzłą charakterystykę każdego z nich.

Giacomo kardynał D'Ambrizzi

Watykański specjalista od pieniędzy, dyrektor od inwestycji, głos decydujący w Banku Watykańskim, ale nie należący do jego pracowników. Nie brał udziału w skandalu. Światowiec, znana osobistość w dyplomacji, pragmatyk, kulturalny, ale nie ma prezencji - muskularny stary wieśniak a la Jan XXIII - i wygrywa swoją przyziemność, jak tylko potrafi; kumplowski, przyjacielski człowiek z

uśmiechem krokodyla i oczami przysłoniętymi ciężkimi powiekami; *żelazna*, wola - oznacza: nie wariuj, wyrównaj rachunki, a potem dostań swoje; smakosz, znawca trunków, miłośnik wygodnego życia. Pragmatycznie postępowy - w sprawach kontroli urodzeń, praw gejów, wyświęcania kobiet, otwarty na propozycje; nie jest watykańskim doktrynerem; słyszano powtarzające się plotki, że jest religijny i może chcieć, by Kościół pozbył się jednej ze swych moralnie kwestionowanych inwestycji; bardzo popiera walkę o prawa człowieka w krajach totalitarnych; obawiają się w pewnych kręgach.

Manfredi kardynał Indelicato

Gdyby Watykan miał swoją CIA lub KGB, byłby jego szefem (pracuje jako doradca papieski, jest Sekretarzem Stanu). Wysoki, chudy, ascetyczny, ponury - przetłuszczające się czarne włosy (farbowane?), bardzo proste czarne garnitury - jak najdalszy od pompy, nie związany z nikim poza kręgiem swoich najbliższych współpracowników, mało znany w świecie poza Kościołem; szczery uczeń Piusa w czasie wojny; związany z Mussolinim w latach trzydziestych; pochodzi z arystokratycznej rodziny; w przeszłości przodkowie związani z klerem; brat - bogaty przemysłowiec zamordowany przez Czerwone Brygady, siostra zamężna z legendarną gwiazdą filmową - Octavio Russo; prywatna kolekcja sztuki w jego willi jest bezcenna (z grabieży hitlerowskiej?); ulubione zajęcie - szachy, bez końca rozgrywa wielkie partie. Konserwatysta, tradycjonalista, nawet Kuria się go boi; zwolennik bogatego, wpływowego Kościoła, głęboko zaangażowanego w świat że stanie się zbyt miękki - liberalny na starość. Bliski przyjaciel ważnej figury w amerykańskim kościele katolickim - Hugfaa Driskilla. Co on robił w domu Driskillów w Princeton zaraz po wojnie? *Tajemnica*. Czy to była znajomość z Driskillem z czasów wojny? Lata wojny w Paryżu z Torricellim, *realpolitik*; przed wojną związany blisko z D'Ambrizzim, kiedy obaj rozpoczynali karierę. D'Ambrizzi stał się bardziej humanistą, gdy poglądy Indelicato usztywniły się. Uczeń Piusa, na którym się wzorował. Arogancki. Spędził wojnę w Rzymie z Piusem, jak twierdzi, pracował nad uratowaniem Rzymu.

Zastanawiała się, co leży za tymi lakonicznymi uwagami o dwóch kandydatach, gdy siostra Bernardyna przypomniła o jej planach. Monsignor Sandanato czekał na dole w limuzynie.

Pojechali watykańskim mercedesem w czwórkę: Kevin Higgins - bankier z Chicago o dobrych powiązaniach, kardynał D'Ambrizzi i siostra Elżbieta z tyłu przy otwartym oknie, monsignor Sandanato za kierownicą. Higgins był starym przyjacielem ojca Elżbiety i przywitał się z nią ciepło. W rozmowie wiele wspominali. Od wielu lat nie odwiedzał Rzymu i nic nie mogło sprawić mu większej przyjemności jak powrót w towarzystwie kardynała i córki przyjaciela. Przyszło jej na myśl, że on musi się czuć tak samo jak ona. Gdy kardynał o czymś mówił, to wydawało jej się, że widzi Wieczne Miasto po raz pierwszy.

D'Ambrizzi powitał ją ojcowskim uściskiem i naleganiem, żeby została przy nim przez jakiś czas. Musiał z nią w spokoju porozmawiać, gdy już Higgins pójdzie sobie. Sandanato zachowywał się bardzo oficjalnie - układny, powściągliwy, niezwykle kontrastujący z żywiołowym kardynałem, stojącym obok

czarnej limuzyny z twarzą w słońcu. D'Ambrizzi wysłuchiwał z uwagą Higginsa, gdy monsignor ją przyprowadził.

Jazda przez gorące, zakurzone, zatłkane korkami miasto była przerywana na krótkie przechadzki w różnych miejscach. Kardynał D'Ambrizzi bez zastanowienia wziął ją pod rękę, jakby zastępowała mu nieobecną Val, która często mu towarzyszyła. Chodzili powoli, a w ślad za nimi Higgins pod opieką Sandanato. Monsignor jak czarny cień, gotów otworzyć drzwi, przetrzeć ławkę czy zapalić kardynałowi kolejnego czarnego egipskiego papierosa.

D'Ambrizzi mówił bez przerwy. W pewnej chwili Sandanato przypomniał mu o porze przyjęcia lekarstwa. Popił je szklanką granity od ulicznego sprzedawcy. A teraz, kiedy jechali wzdłuż Tybru, kardynał zamilkł, uśmiechając się do niej i do bankiera, pozwalając Higginsowi sycić się widokami i snuć refleksje o tym, gdzie byli i co widzieli.

- Ja nie tylko kocham to miasto - powiedział D'Ambrizzi, gdy ruszyli. Jego angielski był doskonały, chociaż mówił z niezwykłym akcentem. - Jestem tym miastem. Czasami wydaje mi się, że byłem tu już z Remusem i Romulusem, kiedy karmiła ich wilczyca, i jestem tu już od tamtej pory - nie wygląda to na bardzo katolicki pogląd, ale dla mnie jest prawdziwy, czuję to całą moją duszą. Byłem tu z Kaligulą i Konstantynem. I z Piotrem, Medyceuszami i Michałem Aniołem. Czuję, że ich znam. - Patrzył na nich spod opuszczonych powiek; w jego oczach było coś odwiecznego i tajemniczego. Nagle uśmiechnął się, jakby ciesząc się z siebie tylko znanego żartu lub magicznej sztuczki, której nie potrafi wyjaśnić dzieciom. W takich chwilach Elżbieta przypominała sobie, co opowiadała jej Val, jak bawił się z nią i jej bratem Benem w Princeton po wojnie.

- Jak Montaigne - mówił - mogę powiedzieć, że lepiej znam pogańskie świątynie starożytnego Rzymu niż pałace dzisiejszego Kościoła. Widzę je, słyszę głosy konsulów i senatorów na Wzgórzu Kapitołińskim, gdzie zebrała się cała dostojałość i godność... i widzę to samo wzgórze ponad tysiąc lat później, kiedy pomniki rozpadły się w pył, a wielkich ludzi zastąpiły kozy skubiące liście. Ach, oto jesteśmy - wysiadźmy i przejdźmy się. - Był wyższy niż się wydawało, gdy tak sztywno stapał w zwyczajnej czarnej sutannie. Przypominał George'a C. Scotta w roli generała Pattona.

Wspięli się na Wzgórze Kapitołińskie, lub jak jest teraz znane - Campidoglio, inaczej centrum miasta. Wszędzie widzieli nieśmiertelne inicjały o wiele, wiele lat wyprzedzające chrześcijaństwo - S.P.Q.R. - *Senatus Populusque Romanus*. Jak wizja kardynała o swojej obecności w tym miejscu, tak ta uroczysta inskrypcja, widoczna współcześnie na wszystkim od autobusów po pokrywy włazów kanalizacyjnych, łączyła erę pogańską i chrześcijańską. To najbardziej fascynowało Elżbietę w tym mieście - i jako historyczkę, i jako zakonnice. Ten niezwykły punkt na planecie był kiedyś środkiem pogańskiego świata - wszystkie drogi przed Chrystusem prowadziły do Rzymu - i dlatego to miasto stało się początkiem, prądem świata chrześcijańskiego.

Życie wokół nich tętniło, mieszały się hałasy, kolory, czas wracający i mijający, przeszłość i teraźniejszość jednocześnie, pogaństwo i chrześcijaństwo tak nierozzerwalnie ze sobą związane, że to co je dzieliło, stawało się nieistotne. Siostra Elżbieta poczuła coś w rodzaju niefrasobliwości, wyrosłej z zadziwienia zmysłowością i człowieczeństwem miasta współżyjącego tak łatwo z nakazami i

wyrzeczeniami Kościoła, ale kiedy odwróciła się, zobaczyła, że kardynał D'Ambrizzi przygląda się jej z zaskakującą powagą.

Hałas dochodzący z Piazza Venezia ucichł w spokoju Wzgórza Kapitońskiego. Minęli mały ogród oddzielający Via San Marco od Piazza d'Aracoeli. Gestem ramienia D'Ambrizzi ogarnął pałace, piazza i kolumny Kapitolu, wyrzekł dwa słowa: „Michał Anioł”. Radośnie wzruszył ramionami i pociągnął ją ku Piazza del Campidoglio.

Błyszcząc w jasnym słońcu, stała tam elegancka statua Marka Aureliusza, unoszącego się na koniu z wyciągniętą dłonią. Z jaskrawo świecącym złotym Palazzo del Senatore w tle. Gdy Michał Anioł po raz pierwszy zobaczył ocalony pomnik starożytnego świata, był tak poruszony realnością ruchu, że zawołał do niego: Jedź!

Zatrzymali się, przyglądali pomnikowi, a D'Ambrizzi powiedział;

- To przez pomyłkę, jak wiecie, możemy teraz oglądać tego jeźdźca. W średniowieczu, w czasach fanatyzmu religijnego - którego konsekwencją było wiele aktów wandalizmu - sądzono, że jest to pomnik pierwszego chrześcijańskiego cesarza Konstantyna i dlatego uniknął przetopienia. Gdyby wiedzieli, że to Marek Aureliusz, na pewno zostałby zniszczony, tak jak inne.

Począł, aż monsignor Sandanato zapali mu kolejnego papierosa.

- Tak jak twoje Chicago, Kevinie, Rzym jest zbudowany na fundamencie z legendy. Znana jest tu taka, że gdy ta statua raz jeszcze pokryje się złotem, koniec świata będzie bliski, a z końskiego czoła usłyszymy głos Ostatniego Sędziego. - Wziął głęboki, chrapliwy oddech i poszedł dalej. - Ten pomnik wykorzystywano na wiele dziwnych sposobów. Raz na bankiecie wino płynęło z jednej dziurki końskich nozdrzy, a woda z drugiej. Czy ci to nie przypomina konwencji bankierów, Kevinie?... Pewien zezłoszczony papież powiesił prefekta miasta na pomniku za włosy. - Roześmiał się głucho. - Powiedziałeś mi, że interesuje cię przemoc w historii Rzymu. - Finansista wzruszył ramionami z zakłopotaniem. - To było jedno z miejsc średniowiecznych egzekucji. Egzekucje miały miejsce wszędzie, gdziekolwiek przyszła oprawcom na to ochota.

Elżbieta poczuła woń cyprysów i kwiatów oleandrów, nagrzewanych promieniami słońca, rozsiewających wokół swój zapach. Odwróciła się i zobaczyła wielkie, ciemne oczy Sandanato, wpatrzone w nią. Uśmiechnęła się, ale on tylko odwrócił spojrzenie na wspaniały ogród.

Wydawało jej się, że D'Ambrizzi bardziej pragnie pokazać Higginsowi ślady świata sprzed chrześcijaństwa, choć uważała za oczywiste, że jego znajomość historii Kościoła jest dokładniejsza. Weszli do Passagio del Muro Romano, gdzie kardynał wskazał kilka masywnych, zniszczonych przez czas szarych kamiennych bloków, które wydawały się nie zasługiwać na żaden komentarz.

- To są pozostałości świątyni Jowisza, widzicie je przed sobą. Szósty wiek przed naszą erą. Wtedy żołnierze rzymscy nie byli niczym więcej jak tylko pasterzami i w ich umysłach nie powstała jeszcze koncepcja bogów przypominających ludzi. A już na pewno nie wznoszono świątyń na ich cześć. Rzymianie czcili swych bogów na otwartej przestrzeni, na ołtarzach z torfu. Ale nieśmiertelny Liwiusz mówi nam, że żołnierze przynieśli tutaj swój łup i ułożyli pod dębem. Tu królowie Rzymu postanowili wznieść świątynię Jowisza. - Rozejrzał się powoli dookoła, jakby coś zobaczył lub usłyszał znajomy

dźwięk. - To tutaj odbywano wielkie triumfy, świętowanie nieskończonych zwycięstw. Ciało zwycięskiego generała malowano krwawoczerwoną barwą i ubierano w tunikę obramowaną purpurą, a purpurowa toga była haftowana złotem. Otrzymywał wieniec laurowy i niósł berło z kości słoniowej oraz gałązkę wawrzynu. - Otworzył szeroko oczy, które do tej pory przykrywały powieki, jak gdyby widział rozgrywający się przed nim spektakl. Elżbieta czuła rodzący się w niej entuzjazm, wpływ maga.

- Oto stoi, odziany jak bóg, składający ofiarę Jowiszowi, a jego wrogowie, zamknięci w więzieniu mamertyńskim, tam na dole, poniżej nas, są oddawani mieczowi... Moja droga siostrze Elżbieto - szepnął ochryple - te pogańskie rytuały zwycięstwa przekraczają moje umiejętności opowiadania. Otoczeni przez złoto, marmur i rzeźby, które uważamy teraz za standard wdzięku i piękna, odziani w purpurowe szaty, uczestniczyli w składaniu ofiar ze świń, kozłów i byków. Odór krwi unosił się wszędzie, ludzie mdleli od niego, ich togi sztywniały od posoki, kwiki zabijanych zwierząt wypełniały powietrze gęste od dymu pieczonego mięsa, piazza była śliska od krwi... Nasi przodkowie... tu gdzie stoimy, zbierali się, wierzyli w swoich bogów, tak jak my wierzymy w swoich, jesteśmy jednym... jesteśmy tacy sami. - Jego głos cichł, a obrazy ogarnęły ją. Higgins pochylał się do przodu, jakby chciał lepiej usłyszeć. Elżbieta czuła się oszołomiona żarem opowieści.

Stanęli w chłodnym cieniu małego ogrodu, skąd mogli przyjrzeć się niezłomnym ruinom Forum przez mgłę upału i kurzu. Higgins mówił cicho do D'Ambrizziego i usłyszała słowa:

- To było coś, co zawsze mnie fascynowało, paradoks... zło i dobro współistnieją ze sobą. Jak wasze zainteresowanie pogańskimi przodkami chrześcijaństwa.

Sandanato szedł z przodu, wdychając zapach kwiatów w jasnym słońcu.

- Paradoksy - powtórzył D'Ambrizzi. - Są tym, co leży na sercu Kościoła. Dwie strony, dwa walczące ze sobą podejścia do życia, zawsze wpływające na siebie w rozgrywkach o przeżycie... Próbowałem te dwa przeciwne elementy połączyć w harmonii. W końcu nie jesteśmy przecież organizacją ascetów, prawda? Och, mamy facetów modlących się w klasztorach, mamy dobre siostry, które pozostają w klauzurze - modlą się dość za nas wszystkich, czy zgodzicie się ze mną? - Dym unosił się w górę z papierosa trzymanego w krótkich, poźółkłych od nikotyny palcach. - Siostrze Elżbieto, jesteś przekonana o cudach płynących z modlitwy, prawda?

- Obawiam się, że nie. Żadnych cudów. - Uśmiechnęła się.

- Wiedziałem o tym - powiedział usatysfakcjonowany. - Ty i ja, wino z tej samej winnicy, siostrze. A weźmy monsignora Sandanato, jest wielkim znawcą klasztorów, uwielbia je: klasztory w ruinie, klasztory opuszczone, wypalone do gołej ziemi przez niewiernych czy wyludnione po kilku falach dżumy. Nie zawsze całkiem pochwała nacisk, z jakim mówię o świeckim świecie, pieniądzu i grach władzy. - Uśmiechnął się i przenosił rozpromienione spojrzenie z jednej twarzy na drugą.

Pozostawili wygodę cienia i zalało ich słońce, oślepiając na chwilę. Sandanato czekał cierpliwie - smukła postać w czerni, przypominająca rzymskiego kalwinistę.

- W gry ktoś musi grać - powiedziała Elżbieta, wciągając w płuca słodki zapach ogrodu - albo świat nas pożre. Zło mogłoby zatriumfować, ubrać się w purpurowe togi i pomalować na czerwono...

Pokiwał głową z ożywieniem.

- Istnieją tacy, którzy mogliby powiedzieć, że świat już nas pożarł. W każdym razie to bitwa, w której walka jest prowadzona na światowych warunkach, a nie na naszych. Gram więc w moje gry i pozwalam innym jak mój wierny Piętro, troszczyć się o duchowość. Kościół jest wystarczająco wielki dla nas wszystkich. - Jego oczy błyszczały zza przymrużonych powiek.

Wszyscy czworo oddychali ciężko po wspięciu się na szczyt kolejnej starożytnej rzymskiej ulicy, Clivus Argentarius za Basilica Argentaria, która kiedyś stanowiła centrum rzymskiego handlu. Słońce obniżyło się na tyle, że teraz szli prawie przez cały czas w cieniu. Gdy doszli do Via del Tulliano, zastanawiała się, czy wycieczka kardynała jest tylko wymyślnym żartem, dokuczliwą próbą, by bankierowi przebiegł dreszcz po plecach i jej też, czy też D'Ambrizzi zamierzył sobie coś w rodzaju lekcji o związkach, które na zawsze połączyły światy pogan i chrześcijan? A może to była tylko, jak to powiedział, refleksja o jego identyfikacji z nieśmiertelnym, zagadkowym miastem. Niezależnie od intencji kardynała, jej wyobraźnię wypełniały obrazy i wizje, które on stworzył w jednej chwili.

- A tu - rzekł zatrzymując się, by złapać oddech - na rogu znajduje się kościół pod wezwaniem San Giuseppe del Falegnami. Nic nadzwyczajnego, ale pod kościołem jest fascynująca komora - kaplica San Piętro in Carcere - poświęcona na więzienie, gdzie Neron przetrzymywał samego świętego Piotra. Chodźcie, pokażę wam to miejsce.

Przeszedł przez ulicę, za nim podążył Higgins, który zaczął wyglądać na zmęczonego i przygnębionego, a nieco dalej szła Elżbieta. Sandanato zamykał pochód.

- Opowiedz im tę historię, Piętro.

Kardynał sprawiał wrażenie zmęczonego. Ogromny nos jakby opadł nad pełnymi wargami, które wydawały się zawsze ściągnięte w skrzywionym uśmiechu, odsłaniającym pozółkłe zęby. Czarny papieros ze złotą banderolką był przyklejony do zwisającego brzegu dolnej wargi. Oczy prawie zakryte, gdy mrużył powieki przed falującą chmurą dymu.

- Jego Eminencja ma dziwne zamiłowanie do niektórych strasznych widoków Rzymu - powiedział monsignor Sandanato. - Ale nie porzucamy nadziei, zbliżamy się już do końca. Tullianum nie była niczym okropnym, tylko zwykłą cysterną na wodę, prawdopodobnie zbudowaną krótko po tym, jak Galowie splądrowali Rzym. Później została przekształcona w więzienie, służyła jako niższy oddział więzienia mamertyńskiego, które - jak może przypominać sobie państwo z historii Rzymu - było ostatnim domem dla takich pokonanych wrogów jak Szymon Bar Giora, Jugurtha i Wercyngethoryks, najczęściej głodzonych na śmierć, oraz takich wrogów państwa jak spiskowcy Katyliny, prawdopodobnie uduszonych. Śmierć pozostaje zawsze śmiercią, a wiele umierania miało miejsce właśnie tutaj.

Zeszli po nowoczesnych podwójnych schodach i skierowali się do wejścia do kaplicy. Minęli górną komorę. Elżbieta nagle poczuła migotanie w piersi. Nie mogła oddychać. Czoło i skóra nad górną wargą pokryły się potem. Połyskliwa zasłona z czarnych kropek pojawiła się przed jej oczami. Prawie już mdlała, więc stanęła, by przytrzymać się poręczy. Było jej gorąco, aż tu nagle ogarnęło ją lodowate zimno. Poczła, że coś w żołądku skręca się buntowniczo. Ciepły dzień, początek miesiączki, długi spacer, rozmowa, intensywność wizji Rzymu kardynała, okropności i osobliwości, które opisał - wszystko to nagle zapanowało nad nią. Chciała tylko przez chwilę odpocząć i jakoś nie przynieść sobie

wstydu. Sylwetki trzech mężczyzn rozpląwały jej się przed oczami. Stwierdziła, że kiwa głową udając zainteresowanie, szukając oparcia dla rąk, starając się nie zwracać na siebie uwagi. W kaplicy panowało przyćmione światło. Modliła się, złościła ją własna słabość. Wyciągnij mnie z tego i już nigdy nie będę niegrzeczna...

Siostra Elżbieta zamknęła oczy, spróbowała zmusić się do opanowania słabości, zastanawiając się gdzieś w odległym zakątku mózgu, czy właśnie umiera.

- Z Tullianum było tylko jedno wyjście, właśnie znajdujemy się przy nim: kanał prowadzący do Cloaca Maxima. Podobno czasami bywał zupełnie zatkany przez rozkładające się ciała. A teraz, oczywiście, widzimy nad ołtarzem relief, na którym św. Piotr chrzci swego strażnika...

Wydawało jej się, że upłynęły godziny, zanim dotarli z powrotem do mercedesa. Teraz, gdy wiatr znad Tybru chłodził jej twarz, kardynał wyglądał w milczeniu przez okno, a bankier został odwieziony do hotelu. Wycieczka się skończyła. Elżbieta była wyczerpana. Jechali w kierunku Via Veneto. Stopniowo odzyskała już coś, co przypominało równowagę.

Uśmiechnęła się na myśl, jak opowie siostrze Val o tym popołudniu i usłyszy jej interpretację wycieczki z kardynałem. Święty Jaś. Może następny papież...

A wtedy Święty Jaś wziął jej rękę w swoją wielką, mięsistą łapę, przytrzymał łagodnie, aby jej nie zabrała i powiedział, że siostra Valentine została zamordowana.

Siedziałem w kawiarence w szpitalu i próbowałem zastanowić się, co się dzieje. W kącie stał włączony telewizor. Historia morderstw Curtisa Lockhardta i monsignora Andrew Heffernana zajmowała większą część czasu antenowego, ale dziennikarz prowadzący dziennik miał bardzo mało do powiedzenia. Wiedziałem dość o metodach, jakich używała archidiecezja, chcąc dopilnować, by wieko opadło na miejsce. Nowojorski prokurator okręgowy wydał oświadczenie o długości czterech zdań. Tak więc cała sprawa została załatwiona szybko razem ze wspomnieniem pośmiertnym o Lockhardcie i krótkim przypomnieniem kariery Heffernana.

Wiadomość o zamordowaniu siostry Valentine jeszcze się nie ukazała. Ale musiało się to stać wkrótce i już sobie wyobrażałem komentatorów telewizyjnych dodających dwa do dwóch. Otrzymanie wyniku cztery nie wymagało mózgu konstruktora rakiet kosmicznych.

Wyglądałem przez okno kawiarenki na zaduszkowy świat, patrzyłem na dekoracje przygotowane przez dzieci przebywające w szpitalu. Te wszystkie pomarańczowe, czarne wiedźmy na miotłach i szczerzące się dynie... Im więcej o nich myślałem, tym wyraźniej wydawało mi się, że widzę coś mrocznego i nieubłagane złowrogiego, jak armia Wandalów lub Gotów, zbierająca się na horyzoncie. A była tam tylko kępa drzew z grubymi gałęziami, rozpaczliwie nieodpowiednia osłona parkingu przed wiatrem. W mojej głowie widmowy, nie nazwany wróg zbierał się za tymi żałosnymi drzewami. Siostra Val została przyłapana na odkrywaniu brudnej roboty Kościoła. Kościół właśnie zaczął pieprzyć moje życie. Znowu.

Dwóch lekarzy, którzy znali mojego ojca od zawsze, w końcu zeszło do kawiarenki, głaszcząc się po szyi jak aktorzy na próbie sztuki o wampirach *Fantastyczna obsesja*. Ojciec przeszedł masywny atak serca, o jakich czyta się w książkach. Nie wyglądało to dobrze. Ale mogło wyglądać gorzej. Teraz należało tylko czekać. Dyrekcja szpitala martwiła się dziennikarzami, obawiając się możliwości, że oddział stanie się cyrkiem pełnym reporterów czekających, by zobaczyć, jak Hugh Driskill wyciąga nogi. Personel szpitala nie wiedział, iż moja siostra została zabita, a ja nie chciałem o tym mówić. Mogli dowiedzieć się wtedy, kiedy i reszta. Około południa wyszedłem z doktorówki - jak Val nazywała szpital, gdy była mała - i pojechałem przez gęstniejącą mżawkę do domu.

Małżeństwo pracujące dla mojego ojca, państwo Garrity, czekało na wiadomości. Wypełniało ich niezgrabne współczucie. Zadzwoiłem do nich ze szpitala, przekazałem im smutne wieści. Przyszli, aby coś ugotować i posprzątać, na wypadek gdyby zjawili się goście, którzy mieliby zostać na noc. Przygotowali szynkę, indyka i Bóg jeden wie, co jeszcze, a potem odeszli. Zostałem sam. Zadzwoiłem w kilka miejsc, a także do mojego biura i firmy ojca. Kiedy odłożyłem słuchawkę, poczułem się bardziej samotny niż kiedykolwiek.

Było późne popołudnie i szare światło szybko zanikało. Usiadłem w Długiej Sali. Nie chciało mi się włączać lamp ani też podpalić starannie ułożonych kłód w ciemnym palenisku. Przesiewałem w

myślach poplątane wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin jak poszukiwacz złota wyglądający błysku bezcennego kruszcu, mrugającego spośród wszystkich fałszywych nadziei. A wtedy coś mnie uderzyło.

Wszedłem na górę, stanąłem wpatrując się w mroczny hol ku pokojowi Val, do którego drzwi stały otworem. Ze szpitala zadzwoniłem do Sama Turnera, by powiedzieć mu o ojcu. Sam uprzedził mnie, iż rano przyjadą specjaliści od zbrodni. Garrity powiedzieli mi, że ci specjaliści przekopali się przez kaplicę, powąłęsali się po domu, ale nie zobaczyłem żadnych śladów ich działalności. Drzwi do pokoju Val były otwarte. Czy przejrzeliby wszystko, co przywiozła ze sobą do domu?

Starąłem się na coś skoncentrować. Błysk złota, ukryty w błocie klejnot, który mógłby ktoś wyciągnąć.

Korytarz - długi, mroczny i tak bardzo cichy - przypominał opuszczoną galerię w muzeum poświęconym niezidentyfikowanemu, na pół zapomnianemu, wyblakłym obrazom i doświadczeniom, wspomnieniom mojej matki, pytaniom bez odpowiedzi: dlaczego tak właśnie umarła, co starała się mi powiedzieć, kiedy wyciągała do mnie ręce, gdy pierścionki tak bardzo drżały na jej palcach. Było to muzeum rozczarowania, wyszeptanych pytań bez odpowiedzi, jak gdyby tylko fragmenty obrazów pozostały widoczne w ramach, a ty masz odgadnąć, co naprawdę jest na kompletnym dziele. Nasz dom zawsze stanowił muzeum zagadki, pałac niejasności, gdzie wszystko nie było tym, czym się wydawało. Mieszkałem w tym domu i nigdy naprawdę nie wiedziałem, co się w nim dzieje, a teraz Val nie żyła, ojciec umierał i nie rozumiałem tego lepiej niż kiedyś.

Godzinę później stałem w pokoju Val, przyglądając się zawartości dwóch walizek rozłożonej na łóżku. Kilka spódnic, swetrów, bluzek, wełniana sukienka, bielizna, kosmetyki, przybory toaletowe, pończochy, podkolanówki, para trzewików, para pantofli na wysokim obcasie, dżinsy, wełniane spodnie, dwa broszurowe egzemplarze powieści Erica Amblera, małe skórzane pudełko na biżuterię...

Przeszukałem każdą szufladę, przejrzałem komodę, zajrzałem pod materac. Stałem na środku pokoju i poczułem, jak oblewa mnie zimny pot. Coś było cholernie nie w porządku.

Brakowało teczek. Nie widziałem też notatników. Nigdzie ani skrawka papieru. Ani pióra. Ani notesu. Pamiętnika czy też zwykłego dziennika. Zeszytu z adresami. Ale przede wszystkim - nie było teczek. Przed laty podarowałem jej ciężką teczkę od Vuittona z mosiężnym zamkiem. Stała się nieodłączną częścią jej codziennego życia. Powiedziała, że to jest jeden z owych doskonałych przedmiotów jak Rolex, doskonale wyważone pióro Watermana czy komputer IBM Selectric. Jej niezniszczalna teczka od Vuittona. Zazwyczaj była załadowana, aż prawie pękała i zawsze Val wozila ją ze sobą. Po prostu nie mogłem uwierzyć, że mogłaby nie zabrać jej do domu. Pisała przecież książkę. Nigdy nigdzie nie wyjeżdżała bez teczek. Mogła zostawić pudła z materiałami w biurze w Rzymie... ale teczka powinna tu być.

Niestety nigdzie jej nie było. Ktoś ją zabrał...

Minęła szósta. W Długiej Sali zrobiło się ciemno jak w piekle. Odłożyłem słuchawkę i zapaliłem ogień. Stan zdrowia ojca nie zmieniał się. Nie odzyskał przytomności. Lekarz delikatnie oświadczył mi,

że ogromnie mu przykro z powodu mojej siostry. Wiadomość zaczęła się rozchodzić.

Płomienie lizały suchą korę, zwijały się wokół gałązek i grubych pni. Usiadłem w głębokim fotelu, w którym mój ojciec siedział poprzedniej nocy. Czułem jego obecność. Czułem zapach cygar, wymieszany z dymem płonącego drzewa z paleniska. W cieniach na końcu pokoju stały jego sztalugi z zakrytym płótnem, nad którym pracował. Odgłos podjeżdżającego samochodu wyrwał mnie ze wspomnień. Blask reflektorów przebiegł przez okna.

Otworzyłem frontowe drzwi i wszedł ojciec Dunn, a za nim wdarł się nagły podmuch lodowatego wiatru. Wyglądał na zmęczonego i spokojnego. Elastyczny człowiek, który pasuje wszędzie, bo nigdy nie jest zbyt świadomy siebie. Jego twarz wydawała mi się znajoma i wynikało to raczej z jej rysów niż z faktu umieszczania na obwolutach książek.

Ściągnął płaszcz przeciwdeszczowy. Nosił czarne ubranie duszpasterza i białą koloratkę.

- Jak się czuje twój ojciec?

- Bez zmian - odpowiedziałem. - Ale skąd o tym wiesz? - Zatrzymałem się nagle, idąc do Długiej Sali, a on minął mnie i rzucił płaszcz na jedno z drewnianych krzesel, stojących przy stole.

- Od kardynała Klammera. Dzwoniłeś do niego, prawda?

- Mój ojciec rozmawiał z nim i wtedy właśnie to się stało. Kardynał powiedział mu o Lockhardcie i Hefferkanie.

- Tak. Spędziłem kilka godzin z Klammerem, próbując powstrzymać go od wybiegnięcia nago na Piątą Aleję i wrzeszczenia, że nie miał z tym nic wspólnego. Jego Eminencja i Lockhardt nie byli kumplami, rozumiesz. Stąd widzi siebie jako podejrzanego w ów sprytny, paranoiczny sposób, bo taki już jest. Klammer, oczywiście, żyje w szesnastym wieku, kiedy mężczyźni byli naprawdę mężczyznami. Nie miałbyś ochoty na maleńką kropelkę whisky Laphroaig? - Nalałem whisky do szklanki z lodem, a on wypił od razu połowę. - Tak, Klammer nie będzie należał do żałobników, ale morderstwo dokonane praktycznie w jego pokoju aż się prosi o szybką zmianę bielizny. - Dunn uśmiechał się przez chwilę. Nalałem sobie jeszcze whisky. - Opowiedziałem mu o siostrze Valentine. Naprawdę musiałem... Śmiem twierdzić, że dostałem łaski obejrzenia niekiepskiej reakcji. Nasz arcybiskup kardynał przybrał najżałośniejszą minę, zazgrzytał zębami... jakby rzekł nieśmiertelny Wodehouse, twarz Klammera przypominała pysk beznadziejnie pogrążonej w smutku owcy. A potem powiedział: „O Panie, czemu mnie tak doświadczasz? Czemu?” Walnięty teutoński kretyń od początku do końca. Mam pewne informacje, Ben. To był dla mnie pracowity dzień.

- A co ty właściwie robisz? - spytałem. - Dla Kościoła?

- Dzisiaj bardzo dużo słuchałem. Jestem dobrym słuchaczem. Od Klammera poszedłem do gliny prowadzącego śledztwo w Nowym Jorku - Randolph Jackson, znam go od dwudziestu lat. Miał mi coś do opowiedzenia... - Popatrzył na mnie jednym z tych swoich ostrych spojrzeń: oczy jak świdry i brwi przypominające zaniedbany żywopłot z ligustru. - Czy mogę sprawić ci kłopot i poprosić o cygaro? - Skinąłem głową ze zniecierpliwieniem, a on tymczasem obciął koniec, zapalił i wypuścił chmurę dymu. - Takie coś wygląda zupełnie nieprawdopodobnie - dwa ciała w pałacu. Co możesz z tym zrobić? Jackson zaczął od rozmawiania z ludźmi, którzy byli wtedy gdzieś blisko. A to prowadzi do twojej siostry, Ben.

Czy zapiąłeś już pasy przy swoim fotelu?

- Prowadzi do mojej siostry - powtórzyłem. Wandalowie i Goci zbliżali się coraz szybciej.

- Sekretarka pracująca dla Heffernana widziała zabójcę. - Patrzył na mnie, gdy jego słowa powoli docierały do moich uszu. - Była na dole, programując dla niego komputer i miała jakieś pytania; pojechała więc do apartamentu na górę. Zobaczyła tego faceta wychodzącego z drzwi Heffernana i wsiadającego do windy. Nikt nie odpowiadał na brzęczyk ani na telefon, więc w końcu weszła do środka i zastała niespodziankę swego życia.

- A co z zabójcą?

- Ona twierdzi, że to był ksiądz. - Wydał z siebie gorzki chichot, jak człowiek przekazujący światu najgorszy dowcip.

- Ksiądz. Lub mężczyzna przebrany za księdza...

- Ona twierdzi, że zawsze odróżni księdza... pracuje dla diecezji od trzydziestu pięciu lat. Jest zakonnica.

- Czy na tym świecie nie ma już ani jednego protestanta?

- Nie w tej historii, obawiam się.

Wiatr uderzył mocno w okna i przeciąg wypełnił pokój, podnosząc zasłony. Zamigotały płomienie.

- Ona ma absolutnie rację - powiedział Dunn. - Ale mówi też, że nie potrafiłaby go zidentyfikować. Czy choćby opisać. Twierdzi, że dla niej wszyscy księża wyglądają tak samo. Choć ten miał pewną charakterystyczną cechę. To starszy pan o siwosrebrnych włosach.

- Jak go znaleźć w Nowym Jorku? - Pokręciłem głową. Beznadziejne.

- Ale on wcale nie jest w Nowym Jorku. Wczoraj był tutaj. Uważam, że to on zabił twoją siostrę, Ben.

Moja twarz zwilgotniała.

- Myślałem o tym dzisiaj. Troje katolików. Hat trick. Mamy do czynienia z zaplanowaną operacją.

- To coś było w kaplicy... Wczoraj w nocy miałeś to w dłoni, zupełnie nieświadomie. Kawałek materiału oddarty z brzegu płaszcza. Od razu się domyśliłem. Dzisiaj to zostało udowodnione.

Wyjął coś z kieszeni i zamachał mi tym przed twarzą. Mały kawałek czarnego materiału.

- Nie rozumiem - powiedziałem.

- To kawałek oderwany z płaszcza przeciwdeszczowego. Czarnego płaszcza. Widziałem miliony takich płaszczy. Płaszcz księdza. Jestem jak stara zakonnica. Rozpoznałbym księdza wszędzie.

Zadzwoił Morela, nalegając, żebyśmy przyjechali na plebanię do Świętej Marii w New Prudence na kolację. Nie uznawał odmownych odpowiedzi.

Pojechałem z Dunnem jego jaguarem. Kiedy dojechaliśmy do New Prudence, niezliczone potwory, duchy i szkielety wypełniały wszystkie ulice, strasząc i bawiąc przechodniów. Rodzice czekali na chodnikach, a dzieciaki łążyły od domu do domu, ściskając w rękach batony Marsa, torebki z popcornem i ciasteczkami. Wiał wiatr, rozpraszając lekką mgłę, w tę noc pełną okrzyków i śmiechów.

Edna Hanrahan, gospodyni Moreli, wpuściła nas frontowymi drzwiami starego wiktoriańskiego domu z długimi oknami, kutym z żelaza ogrodzeniem i dachem krytym dachówką. Morela właśnie wrócił z wycieczki, na którą zabrał dzieci z parafii. To, co się działo w dolnym kościele, przypominało pandemonium, jakiego nie widziałem od czasów dzieciństwa. Morela przewodził stadku ośmio-, dwunastolatków, ochrypłych od krzyku, z zaróżowionymi policzkami, śmiejących się do łez z własnych żartów. Morela miał siano we włosach i kichał od kurzu. Wyglądał jak z reklamy nawołującej do kapłaństwa. Ogarnął mnie ramieniem.

- Kiepski dzień? - spytał.

- Już nie - odparłem. - Właśnie się skończył. Powtarzaliśmy te zdania całe nasze życie. Morela uśmiechnął się smutno. Jego oczy były pełne współczucia i wspomnień.

- Jak się czuje twój ojciec? - Wyglądało na to, że już wszyscy wiedzą.

- Pozostało tylko czekanie. Ale jeszcze nie umarł.

Morela wyszedł, by doprowadzić do pomyślnego końca zabawę. Śliczne młode matki pomagały przeprowadzać konkurs jedzenia jabłek bez pomocy rąk, otwierały pudełka z zapiekankami, rozdawały fanty, układały drożdżowe ciastka z rodzynkami na talerzach i wsypywały kartoflane chipsy do misek. Spotkałem się z Dunnem w miejscu, gdzie wydawano parówki, nałożyliśmy sobie na talerze. Staliśmy żując i przyglądając się dzieciakom szalejącym na całego. Morela świetnie sobie z nimi radził, jak dobry nauczyciel czy trener. W końcu ojciec Dunn nie mógł już dłużej opierać się natarczywym prośbom dziesięcioletniej blondynki z kucykami, która nalegała, by zagrał z nimi w ciuciubabkę. Zawiązano mu oczy i ze szczęśliwym chichotem przyglądano się, jak zaczął poszukiwania.

Podszedł do mnie Morela i powiedział:

- Wyjdźmy, Ben. Muszę odetchnąć.

Wyszliśmy na trawnik za kościołem. Nieco dalej płynął strumień. Księżyc skrył się za ciemnymi chmurami o szarych brzegach, a mgła osadzała się wilgocią na mojej twarzy. Morela kopnął kupkę uschłych liści, wystającą ze zmarzniętego, płytkiego śniegu.

- Nie nadaję się do zabaw - stwierdził. - Ryzyko zawodowe. Proboszcz zawsze to robił, więc jego następca też musi. Widziałeś, jak dzieciaki się cieszą.

- Masz do nich podejście - pochwaliłem go.

- Tak, naprawdę mam. - Okna w dolnym kościele świeciły jasno. Słyszałem śmiech i okrzyki dzieci. - Mielibyśmy z Val fantastyczne dzieciaki, Ben.

Kiwnąłem głową. Nie było nic do powiedzenia.

- Do diabła! Dlaczego nie mogła pójść inną drogą? Żyłaby teraz. Jestem tylko zwykłym księdzem, Ben. Doszedłem tak daleko, jak mogłem, nie tak jak Artie Dunn - żadnych ważnych kumpli w Rzymie, żadnych ściśle poufnych informacji. To jest dla mnie... ale byłbym naprawdę dobrym mężem. Świetnym ojcem. Cholera. Tyle razy śmieliśmy się, byliśmy szczęśliwi i dorośliśmy razem. Ale teraz ona nie żyje, a ja urządzam zabawę dla dzieci innych ludzi. - Otarł oczy. - Przepraszam, Ben. Musiałem to wszystko komuś powiedzieć.

Szliśmy powoli wzdłuż brzegu strumienia, a potem zawróciliśmy w stronę kościoła.

Opowiedziałem mu, czego dowiedziałem się od Dunna, że zabójcą był ksiądz.

Morela pokręcił głową.

- Znam kilku księży, którzy w sercu są mordercami, ale wydaje mi się, że to brzmi trochę głupio. Ksiądz zabija Lockhardta, Heffernana i Val. Kto wie, w jakie piekło zajrzała Val - ale dlaczego Lockhardt i Heffernan? To szaleństwo. Byli członkami rad nadzorczych.

- Wydaje się, że Dunn traktuje to dość poważnie.

- Księża - powiedział Morela. - To mi coś przypomina. Pani Hanrahan wie o czymś, co chciałbym, żebyś usłyszała. Zostań, aż skończę z dziećmi.

Edna Hanrahan przygotowała dzbanek świeżo zaparzonej kawy. Przysunęła talerz ciasteczek na środek stołu. Miała siwe włosy, pobrużdżoną twarz, ale jej oczy patrzyły bystro zza grubych szkielec. Z łatwością można było sobie ją wyobrazić jako młodą dziewczynę. Miała ręce staroświeckiej zakonnicy, noszące ślady gorącej wody i sodowego mydła. Nie była zakonnica, ale opiekowała się proboszczami u Świętej Marii od trzydziestu pięciu lat. Pod koniec lat trzydziestych uczęszczała do szkoły parafialnej. Uczył ją nauczyciel, o którym nigdy nie słyszałem, ojciec Vincent Gouverneau. Co miała mi do powiedzenia?

- Opowiedz im o ojcu Gouverneau, Edna - zachęcił ją Morela. - To, co opowiedziałas mi dzisiaj po południu.

- Tak, wiecie, jakie głupiutkie są dziewczęta, a on był taki przystojny. Jak gwiazdor filmowy. Przypominał Victora Mature. - Dotknęła delikatnie ciasteczek, jakby były kośćmi jakiegoś świętego. - Ciemny, śniady. I tak zawsze miło się z nim rozmawiało. Bardzo wrażliwy. Obrazy, religijne obrazy, właśnie o nich nam wykladał. Kochał obrazy, jakby znał ludzi, którzy je namalowali. Pokazywał nam portrety papieży i mówił o nich, jakby ich naprawdę *znał*. Był taki przyjazny. Podziwialiśmy go. - Odchrząknęła. - Ciasteczko?

Wziąłem jedno, a ona westchnęła z wdzięcznością.

- A o czym jeszcze rozmawialiście? Głupiutkie dziewczynki? - Morela uśmiechał się łagodnie - mistrz śledczy.

- No tak, wydawał nam się łakomym kąskiem. Myślałyśmy, że lubi nas wszystkie, więc flirtowałyśmy z nim. Byłyśmy naprawdę okropne - ale to tylko dla dobrej zabawy. Nigdy przedtem nie widziałyśmy takiego księdza. - Upiła łyk kawy, smakując wspomnienia z odległej przeszłości. - Była też i zakonnica, siostra Maria Teresa, śliczna dziewczyna. Kiedyś zobaczyłyśmy tych dwoje, jak rozmawiają, spacerując pod drzewami. Wyglądali tak słodko i uważałyśmy, że to hańba, iż nigdy się nie pobiorą. A niektórzy chłopcy mówili, jakoby ojciec Gouverneau miał, wiecie, stosunki... i zastanawialiśmy się, czy to z naszą siostrą Marią Teresą. - Spojrzała na nas żałośnie, jakby z nadzieją, że nie będziemy mieli jej tego za złe. - Tak, z pewnością należało pilnować własnego nosa. Potem skończyłyśmy szkołę i zostawiłyśmy nasze szczęśliwe szkolne dni za nami. Wyprowadziłam się do Trenton, a życie potoczyło się swoją drogą.

- A potem? - nalegał Morela.

- Nigdy więcej nie widziałam ojca Gouverneau. - Edna wzięła następne ciastko, obracała je powoli

w zgrubiałych palcach, wpatrując się w nie. - Aż zobaczyłam jego zdjęcie w *The Trentonian*. Nie żył... Nie mogłam wprost w to uwierzyć.

- Księża też umierają - zauważyłem.

- Ale nie tak! Nie z własnej ręki! Nigdy bym w to nie uwierzyła, nawet przez milion lat. - Spojrzała na mnie. - Ale myślałam, że pan wie wszystko o ojcu Gouverneau, panie Driskill.

- Dlaczego, Edno? Nigdy o nim nie słyszałem.

- Przecież to się stało w waszym sadzie, przecież on się powiesił w waszym... więc myślałam po prostu, że pan wie, to tyle. Jasne, był pan wtedy taki mały...

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy - powiedziałem.

Wracaliśmy do Princeton. Wycieraczki pracowały ciężko, usuwając zamarzającą na szybie mgłę.

- Dlaczego Val pytała o tego powieszzonego księdza? - zapytałem. - Wiesza się w naszym sadzie, a Val - która nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania nim - nagle po tylu latach chce oglądać akta u Sama Turnera.

Dunn wpatrywał się w śliską drogę.

- Jako pisarz przypuszczam tylko, że powieszony ksiądz może być kluczem do tej zagadki...

- Ale ona naprawdę poprosiła o akta. To fakt. I mam jeszcze jeden fakt dla ciebie - ów człowiek, twój zabójca-ksiądz, jak się upierasz, który zabił moją siostrę, ukradł również jej teczkę. Notatki, jakie wozila ze sobą. Notatki do książki, może coś jeszcze. Wszystko to zniknęło.

- Skąd wiesz?

Wytłumaczyłem mu, a Dunn skinął głową.

- Pamiętam jedną taką swoją książkę, nie uwierzyłybyś, góry papierów. Nieśmiertelny Wodehouse rzekł, że notatki do pewnej jego powieści zapełniłyby więcej tomów niż sam manuskrypt. Poświęciłem osiem lat, by skonstruować akcję, a książkę pisałem cztery razy. - Przez chwilę nucił fałszywie. - Powieszony ksiądz. Po ponad czterdziestu latach Val pyta o powieszzonego księdza, a inny ksiądz zabija ją i kradnie jej teczkę. No i jesteśmy w dołku, przyjacielu. Kiedy jesteś sam we mgle na bezludnej wyspie, kiedy nie widzisz, dokąd idziesz lub gdzie byłeś, kiedy jesteś w dołku... zabawa polega na tym, by nie nadepnąć na minę. Musisz poruszać się bardzo ostrożnie. Bo ksiądz przyjdzie do ciebie w nocy i też cię zabije.

Podjechaliśmy do przejazdu prowadzącego do domu. Wiatr uderzył w samochód, zatrzęsł nim.

- Byłeś doskonały w ciuciubabce - stwierdziłem. - Widziałem, jak wygrałeś trzy razy z rzędu. Jak ty to zrobiłeś?

- W jedyny możliwy sposób. Oszukiwałem. Dzieciaki bardzo łatwo oszukać. Kochają to. Oczekują tego od księdza i za nic w świecie bym ich nie zawiódł. To część wielkiego uwiedzenia... Weź młody umysł, kiedy się rozwija... - uśmiechnął się do mnie, prowadząc tak, by koła trzymały się zamarzniętych kolein - i uwiedź go. Będzie twój na zawsze.

- Dziękuję za radę.

Przed domem stał zaparkowany samochód policyjny. Policjant wymachiwał w naszą stronę czerwoną latarką.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- Ach, to pan, panie Driskill. Szeryf Turner uważa, że przez kilka dni powinniśmy mieć na oku to miejsce. Będziemy się zmieniali co cztery godziny. - Wyglądał na zmarzniętego i miał zaczerwieniony nos.

- A może byście weszli do środka?

- W porządku, proszę pana. W samochodzie jest ciepło. Szeryf powiedział, że możemy zostać w aucie. Mam termos z kawą. Wystarczy.

- Jak pan chce. Dziękuję.

Dunn patrzył, jak policjant wraca do samochodu.

- No tak, wczoraj w nocy ktoś nam rozkwaślił nos, Ben. Wiesz, co mój tata zwykł mówić do mnie? Wracałem do domu ze szkoły, cały poharatany po bójce na boisku, a on wtedy mówił: „Artie, nikt jeszcze nie umarł od rozkwaszonego nosa”. Chodź, prześpij się trochę. Jutro się wszystkim przyjrzymy jeszcze raz.

Wszedłem do środka. Dom skrzypiał, jęczał i prawie wydawał się uginać pod stopami, niczym żaglówka przepływająca przez przesmyk przy Long Island w nocy. Z ognia została tylko kupka ledwie żarzących się węgli. Położyłem w palenisku kilka grubych szczap i przyciągnąłem bliżej skórzany fotel, by popatrzeć, jak rozpalają się płomienie.

Przypomniałem sobie uwagi ojca Dunna o oszukiwaniu dzieciaków - jakie to łatwe, jak Kościół prowadzi uwodzenie młodych umysłów - i to sprawiło, że się uśmiechnąłem. Ale z niego drań. Jeszcze mi nie powiedział, co robi. Miał dostęp do arcybiskupa kardynała Klammera. I do glin, które mu przekazywały poufne informacje. A co o nim powiedział Morela? Dunn ma ważnych kumpli w Rzymie...

Czułem nacisk Kościoła, zdradziecki, kiwający palec wyciągnięty w moją stronę, prawdziwe uwiedzenie. Moje myśli kłębiły się chaotycznie, bezładnie: od teczki od Vuittona do księdza wiszącego na gałęzi w naszym sadzie, po innego księdza spokojnie przyciskającego pistolet do potylicy mojej siostry, gdy tymczasem jeszcze inny ksiądz bezbłędnie odnajdywał cel w ciuciubabce. Byłem zbyt zmęczony, by opanować ten chaos myśli. Nie mogłem mu się oprzeć.

Tak dawno nie myślałem o sobie jako o katoliku. Tyle czasu minęło, odkąd byłem katolikiem. Cholera. Bycie katolikiem... to zawsze oznaczało miłość i nienawiść, od samego początku.

To nie był nawet sen, raczej wspomnienie próbujące wydostać się na powierzchnię. Między jawą a snem zobaczyłem ptaka i poczułem zapach mokrej wełny; lata odpłynęły i znowu znalazłem się w mroczniejącym marcowym popołudniu dawno, bardzo dawno temu.

Mokry, zimny dzień: wiosna jeszcze nie zdecydowała się przyjść. Ze szkolnego okna widziałem sterty brudnego śniegu, topniejącego i zamieniającego się w błoto. Mokry żwirowy podjazd skręcał wzdłuż wysadzonej drzewami ulicy. Nad miastem wisały nisko szare chmury. Klasa była przegrzana, ale mimo to czułem wiatr i zapach deszczu.

Miałem osiem lat i byłem śmiertelnie przerażony. Rano nie udało mi się powtórka z katechizmu i siostra Maria Angelina zerwawszy się zza stołu przemaszerała całą długość przejścia między ławkami z zaciśniętymi wargami i wytrzeszczonymi oczami. Trzymała metalową linijkę w białej, kościstej dłoni. Nie mogłem oderwać wzroku od jej cienkich, bezkrwistych warg i bladej, gładkiej twarzy. Habit cicho szumiał, gdy się do mnie zbliżała. Syczały grzejniki. Moi koledzy odwrócili się, poważni, z otwartymi szeroko oczami, zadowoleni, że to ja, a nie oni.

Usłyszałem jej głos, ale byłem zbyt przerażony, by w pełni zrozumieć, co mówi. Jąkałem się, psułem odpowiedź, zapomniałem, czego tak pracowicie uczyłem się wczorajszego wieczora. Pojawiły się łzy. Zaświszczała metalowa linijka i skóra pękła na kostkach dłoni. Poczułem gorący rumieniec, okrywający moją twarz. Płakałem. Przełykałem łzy, by nie rozplakać się głośno i usłyszałem własny, przynoszący wstyd pisk.

Przez resztę dnia byłem pogrążony w ponurych myślach, siedząc ze spuszczonej powiekami. Udawało mi się unikać spojrzenia siostry Marii Angeliny. Ale strach, który zaczynałem rozpoznawać jako nienawiść, narastał i sprawił, że znalazłem się drżący w toalecie dla chłopców. Obmywałem zimną wodą kostki dłoni. Po lunchu wróciłem do klasy z ustalonym planem. Benjy Driskill miał dość. Przemyślałem wszystko, wyszukałem możliwe konsekwencje i nie znalazłem niczego, co byłoby gorsze od ciągłych konfrontacji z siostrą Marią Angeliną.

Gdy zbliżyło się popołudnie, utorowałem sobie drogę na tyły szkoły. Wynurzała się z szarości - wiele wejść, wieżyczki i cofnięte okna. Ciemnoczerwone kamienie z czarnym obramowaniem, przyćmione żółte światła świecące ze środka. Forteca. Chciałem z niej uciec.

Czekałam w krzakach rosnących blisko nie używanego garażu. Popołudnie ciągnęło się. Nikt nie przyszedł mnie szukać. Lekcje skończyły się, dzieciaki wypadły na zewnątrz, pobiegły do domów lub do czekających na nie samochodów. Mój plan polegał tylko na tym, by nie wrócić do klasy. Kiedy podwórko opustoszało - żadnych dzieci, żadnych zakonnic - poczułem się cudownie sam. Mgła przyklejała się do mokrej trawy i oplątywała wokół wiecznie zielonych drzew.

Gdy tak stałem drżąc cały, minęła następna godzina i ciemność zaczynała panować nad popołudniem. Odkryłem, że ucieczka przed siostrą Marią Angeliną to nie było wszystko. Podniecenie chwilowym zwycięstwem zniknęło. Przyszedł czas, by wrócić do domu i stanąć twarzą w twarz z prawdą o mojej ucieczce. Szedłem wzdłuż wysokiego, czarnego, żelaznego ogrodzenia, gdy zobaczyłem ptaka.

Był przebity jednym z przypominających strzałę zwieńczeń ogrodzenia. Martwy i rozkładający się ptak, niewiele więcej niż kupka piór przyklejonych krwią do szczątków szkieletu. Wisiało tam, jedno otwarte błyszczące oko, bez mrugnięcia wpatrujące się złośliwie we mnie.

Czułem przerażenie na myśl, że nie pamiętam katechizmu dla siostry Marii Angeliny. Sparaliżował mnie widok wychudzonego, umierającego Chrystusa ukrzyżowanego i ociekającego krwią, wiszącego tuż naprzeciw drzwi do trzeciej klasy. W moich oczach ptak był w niepojęty sposób uosobieniem zła, punktem kulminacyjnym, ku któremu zmierzał długi, nieszczęśliwy dzień.

Już nie mogłem spojrzeć w oczy siostrze Marii Angelinie - czarne oczy płonące za płaskimi, okrągłymi kołami szkieł, w bladej, białej twarzy jak twarz kłowna, która bez przerwy wpatrywała się we

mnie w moich snach...

Rzuciłem się do ucieczki, ślizgając się i upadając, biegłem przez moką, oszronioną trawę. Dobiegłem do żwirowej ścieżki i bez tchu gnałem do wysokiej czarnej furtki i do wolności za nią, daleko od zakonnic i martwych ptaków.

Zdyszany i obłany potem rozejrzałem się, gdy dotarłem do furtki. Moja matka szła dróżką. Nie wyglądała na szczęśliwą.

Odwrociłem się i na ślepo pobiegłem z powrotem do szkoły.

I nagle ogarnęła mnie chmura ciężkiej, mokrej, czarnej wełny. Zapach otoczył mnie, jak gaz, jak mgła. Wyciągnąłem ramiona, walczyłem z peleryną, próbowałem uwolnić się, ale silne ramiona przytrzymały mnie mocno i ścisnęły. Płakałem przerażony, zawstydzony i chory.

To była siostra Maria Angelina.

Kiedy zobaczyłem jej twarz przez łyż, mogłem tylko rozróżnić przenikliwe oczy za okularami... Przebity ptak, krwawiący Chrystus, ciemność korytarzy szkolnych... Zobaczyłem nienawiść i strach, te wszystkie blade kobiety w długich, czarnych sukniach, zlatujące ku mnie kruki...

- Benjy, Benjy, wszystko w porządku, kochanie, już dobrze, nie płacz...

Głos siostry Marii Angeliny był łagodny. Klęczała przy mnie na błotnistym żwirze. Otaczała ramieniem moje plecy, rozluźniając uścisk. Przez palce, którymi zakrywałem oczy, zobaczyłem, że się uśmiecha. Dostrzegłem jej błyszczące i ciepłe oczy. Próbowałem coś powiedzieć, ale zdołałem tylko kaszlnąć i czknać. Osłaniała mnie swymi ramionami, klepała po plecach, mruczała mi cicho do ucha.

- Nie płacz, Benjy, nie ma powodu do płaczu, nic się nie stało...

Wszystko w moim małym wszechświecie się załamywało, nic nie miało sensu, ale nie mogłem zaprzeczyć jej dotykowi, jej kojącemu głosowi.

Wydawała się młoda, a nie stara. Wydawała się być kimś innym, inną siostrą Marią Angeliną. Zrobiła gest w stronę mojej matki, by zaczekała. Szeptala do mnie. Jej wełniana peleryna ciągnęła się po żwirze, brudziła, ale wydawało się, że siostrę to nie obchodzi.

Przytuliłem się do jej ramion, ukryłem twarz w wilgotnym materiale. Nagle, choć nie wiadomo dlaczego, wszystko się odmieniło na lepsze.

Siostra była kimś. I gdy to sobie uświadomiłem, skończył się mój pierwszy bunt przeciwko Kościołowi.

Nic nie pozostało takie, jak się wydawało. Nienawiść zniknęła pod wpływem dobroci. I siostra Maria Angelina uległa transformacji, metamorfozie. Stała się kimś, do kogo można się zwrócić w potrzebie.

Nikt nigdy mi nie wytłumaczył, jak to się dokonało. Ale chciałem być wciąż blisko niej, chciałem się do niej przytulać, czuć jej ramiona obejmujące mnie i siłę jej ciała.

Zabrało mi dużo czasu zrozumienie, że zaczęło się wielkie uwodzenie.

To była Val. Coś się pomieszało. Mrugałem jak głupiec, próbując się obudzić. Wzrost, fryzura, figura zniknęły, gdy minęły ją światła reflektorów taksówki.

Val zrobiła krok do przodu w światło holu.

- Ben - powiedziała. - To ja. Siostra Elżbieta.

Ocknąłem się, gdy usłyszałem walenie do frontowych drzwi. Otrząsnąłem się ze wspomnień przeszłości, ziewnąłem i podreptałem przez Długą Salę do holu. Policjant wołał moje nazwisko i stukał do drzwi.

Kiedy je otworzyłem, nie był sam. Poczułem, jak serce skacze mi do gardła.

W mroku tuż za nim, obrysowana światłami taksówki zakręcającej właśnie na zwirowym podjeździe, stała kobieta. Nie widziałem jej twarzy, ale wydawała mi się znajoma, jak ktoś, kogo już kiedyś widziałem.

- Ona mówi, że przyjechała z Rzymu, panie Driskill. - Głos policjanta docierał do mnie, ale go nie słyszałem.

Patrzyłem za niego.

Siostra Elżbieta. Staliśmy w Długiej Sali. Blask płomieni migotał na jej twarzy, w dołeczkach, odbijał się w zielonych oczach. Trzymała mnie za rękę, opowiadała o Val, kręciła głową, a jej gęste włosy kołysały się; było coś w jej fizycznej obecności, co powodowało, że wypełniała sobą cały pokój, usuwała wszystko w cień. Wysoka, szeroka w ramionach, ubrana w gruby sweter opadający nisko na biodra, ciemną spódnicę i czarne botki. Swe ożywione szczerością i energią oczy utkwiła we mnie.

Opowiedziała mi, jak kardynał D'Ambrizzi przekazał jej złe wiadomości, jak oddała magazyn w ręce swojej zastępczyni, spakowała torbę i złapała pierwszy samolot do Nowego Jorku. Limuzyna czekała na nią, by zabrać ją do Princeton.

- Umieram z głodu - powiedziała w końcu. - Masz konia? Mogłabym zjeść konia z kopytami i zapolować na jeźdźca.

Dziesięć minut później siedzieliśmy przy kuchennym stole, uginającym się od czegoś, co wyglądało jak eksplozja pod tytułem: Królewska kolacja. Nie była kobietą, która miałaby jakieś opory, jeśli chodziło o jedzenie. Uniosła głowę znad talerza.

- Dla mnie jest już jutro rano. - Wyglądało na to, że szykuje sobie czterowarstwową kanapkę. - Zawsze muszę coś wyjaśniać, kiedy zaczynam jeść. „Dziewczynka rośnie”, to wystarczało przez wiele lat, ale kiedy skończyłam trzydziestkę, musiałam wymyślić coś nowego. Nie masz przypadkiem dietetycznej coli? - Dobrała się do słoiczka z musztardą.

- Obawiam się, że nie.

- No tak, nie można mieć wszystkiego. Nie sposób jej dostać w Rzymie. A jest jakaś szansa na piwo?

Wyjąłem dla niej piwo i zrobiłem sobie kanapkę. Kiedy skończyłem jeść, powiedziała:

- A może zjem jeszcze jedną kanapkę... no może pół, dobra?

- Masz wąsy z piany, siostrze.

- Jak zawsze, gdy piję piwo. Zniosę to, jeśli i ty to zniesiesz. Knajpka u Pete'a. Irving Place. Pamiętam.

- Jestem zdumiony.

- Dlaczego? Spójrz, będąc zakonnicą, jestem też istotą ludzką. Wszyscy znają mnie nie tylko z tego, iż dobrze się bawię, ale również że to pamiętam, Ben... - Otworzyła jeszcze jedno piwo i naląła sobie.

Też pamiętałem tamto spotkanie.

Kilka zim temu moja siostra przyjechała do Nowego Jorku, by odebrać jedną z nagród dla humanistów roku od narodowej grupy kobiecej. Wygłosiła mowę w hotelu Waldorf, w holu ze złotymi kolumnami, gdzie kiedyś brałem udział w kolacji zespołu Jankesów, wracających z wiosennego treningu. Tysiąc osób jadło kurczaki z groszkiem, a ona przechodziła przez salę jak profesjonalistka z Las Vegas, ciągnąc mnie za sobą i mijając ławice grubych ryb.

Po kolacji i przemówieniach zorganizowała spotkanie z inną zakonnicą, przyjaciółką z Georgetown i z Rzymu. Wzięła mnie pod ramię i powiedziała:

- Musisz ją poznać. Na pewno się znienawidzicie! - A jej złośliwy uśmiech wracał do mnie jak za czasów dzieciństwa.

Przyjaciółką okazała się siostra Elżbieta. Najpierw zauważyłem ich niezwykle podobieństwo, gdy stanęły obok siebie w ciemnoniebieskim holu hotelu Waldorf, przy wielkim ozdobnym zegarze, wskazującym dziesiątą. Gęste, kręcone włosy, błyszczące oczy, opalona i zdrowa cera. Twarz Val bardziej owalna, a jej przyjaciółki raczej pociągła. Uścisnęliśmy sobie z siostrą Elżbietą dłonie, a kiedy uśmiechnęła się do mnie, miała lekko jezuickie przemądrzałe spojrzenie. Przechyliła nieco głowę, jak gdyby wyzywała mnie, by dotrzymać jej kroku. Val przyglądała się nam z oczekiwaniem. Dwoje ludzi, którzy wiele dla niej znaczyli. Siostra Elżbieta obserwowała mnie uważnym spojrzeniem.

- I w końcu poznałam upadłego jezuitę. Zerknąłem na Val.

- Gaduła najwyraźniej opluła rodzinną czarną owcę. Elżbieta roześmiała się. Ironicznie, ale jednocześnie ciepło.

- Nie będziemy się nienawidzić, prawda? - spytała.

- No cóż, w każdym razie nie możemy powiedzieć, że nie zostaliśmy ostrzeżeni.

Wyładowaliśmy na przyjęciu wydawanym przez przyjaciela kilku jezuitów, którzy zaliczali się do szczególnych wielbicieli mojej siostry. Okna mieszkania wychodziły na park Gramercy. Gęsto od dymu, mnóstwo wina i wzniosłych rozmów, wiele dowcipów o papieżu. Biedna Val znalazła się w centrum uwagi.

Przesuwałem się do chłodnego przeciągu otwartego okna. Było już po Świącie Dziękczynienia. Burza śnieżna krążyła nad miastem. Wszystko zbieleło, nadając parkowi Gramercy wygląd wystawy na Boże Narodzenie. Siostra Elżbieta podeszła do mnie i stanęła obok. Zapytała, czy uważam, że ktoś poczuje się urażony, jeśli wyjdziemy, by położyć po śniegu. Nie sądziłem. Ojciec John Sheehan, jezuita, którego znałem od lat, spojrział na nią z zachwytem, gdy przechodziliśmy przez hol, zrobił kółko z kciuka i palca wskazującego i pokiwał z zadowoleniem głową. Nie miał pojęcia, że jest zakonnicą.

Śnieg był głęboki. Dokazywała jak mała dziewczynka, której pozwolono pobawić się dłużej. Rozkopywała śnieg, lepiła śnieżki i rzucała nimi w drzewa za żelaznym ogrodzeniem. Park Gramercy zmienił się w śnieżny klasztor, cienie wyglądały jak mnisi zmierzający prędko ku sali kapitulnej. Mijaliśmy przyćmione światła, połyskujące w barze na dole Players Club, aż doszliśmy do Irving Place, gdzie zaparkowane samochody zamieniały się w zaspę śniegu.

Zatrzymaliśmy się w knajpce „U Pete’a” i wypiliśmy piwo przy pokiereszowanym, starym barze ze zdjęciem Sinatry, patrzącym na nas z góry jak ikona albo opat własnego specjalnego zakonu. Opowiadała o swojej pracy w Rzymie, a ja stwierdziłem, jakie to dziwaczne uczucie być otoczonym przez katolików po raz pierwszy po tylu latach. Zapytała mnie o moją żonę Antonię, a ja odrzekłem, że nie jesteśmy już małżeństwem. Pokiwała tylko głową i napiła się piwa, które zostawiło pianę na jej górnej wardze.

Kiedy wyszliśmy, wpadliśmy na Val i Sheehana. We czwórkę ruszyliśmy na piechotę w drogę

powrotną w górę Lexington, do centrum, śmiejąc się i szalejąc jak dzieciaki. Nie myśleliśmy o Val jako kandydatce do Pokojowej Nagrody Nobla. Przez chwilę odkrywaliśmy od nowa dzieciństwo i udawaliśmy, że wszystko dobrze się skończy. Ale tak się nie stało i teraz moja siostra nie żyła.

- Ben, musimy dotrzeć do sedna sprawy. Kochałam twoją siostrę. Ale jeszcze po niej nie płakałam. Nie wiem, dlaczego. - Siostra Elżbieta otarła pianę z górnej wargi i zwinęła serwetkę w małą twardą kulkę.

- Ani ja. Może ona nie chciałaby, żebyśmy...

- Ludzie zawsze tak mówią. Może to prawda. Chyba jednak jestem zbyt wściekła, by płakać.

- Dokładnie tak, siostrzo.

Chciała wiedzieć wszystko, więc jej powiedziałam. O Lockhardcie, Heffernanie, Val, moim ojcu. O ojcu Dunnie i jego teorii księdza-zabójcy. Wszystko.

- Tak - rzekła - masz absolutną rację, jeśli chodzi o teczkę. To była jej wersja mojego segregatora. Zabierała ją wszędzie. Miała ją przy sobie, gdy widziałyśmy się ostatni raz. Pełna papierów, notatników, kserokopii, piór, flamastrów, atlasów historycznych, nożyczek - trzymała cały swój warsztat pracy w tej teczce.

- Zabili ją i ukradli teczkę. Nad czym pracowała, co było takie ważne? - myślałam głośno. - I dla kogo ważne? Co sprawiło, że Lockhardt, Heffernan i Val stanowili dla nich zagrożenie? Co zamierzali Lockhardt i Heffernan?

Popatrzyła na mnie zupełnie zaszokowana.

- Ty naprawdę straciłeś kontakt z Kościołem! Wierz mi, tych dwóch facetów rozmawiało o wyborze następnego papieża. To jedyna rzecz, o której wszyscy mówią w Rzymie, a Lockhardt i Heffernan zabierali ze sobą Rzym, dokądkolwiek jechali. Kogo popierali? Lockhardt zawsze miał własny punkt widzenia. Słyszałam, jak mówiono, że może przechylić szalę. Bez żartów.

- Ale co to miało wspólnego z Val? Czy jej poparcie nie byłoby gwoździem do trumny dla każdego kandydata?

Wzruszyła ramionami.

- To zależy... oczywiście, była tak ściśle związana z D'Ambrizzim wspomnienia z dzieciństwa, twój ojciec i Święty Jaś, cała ta historia...

- Nie widzę jej bawiącej się w papieską politykę...

- To było podwórko Lockhardta.

- Ale to była teczka Val.

- Prawda - przyznała. - Aż nazbyt prawdziwa.

- Może Heffernana zastrzelono przez przypadek. Może to Val i Lockhardt stanowili cel.

- Jeśli tak było, to dlaczego Lockhardta nie zabito gdzieś indziej? A teraz pomyśl, Ben - w jaki sposób zabójca w ogóle dowiedział się o ich spotkaniu w Pałacu? Nie rozumiesz? Mamy dowód, że to ktoś z wewnątrz. - Mówiła szybko, robiła najróżniejsze założenia, a ja starałam się za nią nadążyć. - Sekretarka jest pewna, że to był ksiądz. No cóż, pewnie ma rację. Kto poza księdzem, kimś należącym do Kościoła, mógłby wiedzieć o umówionym spotkaniu takich grubych ryb jak Lockhardt i Heffernan? Val

powiedziała mi, że Lockhardt to najbardziej skryty człowiek na świecie, poza waszym ojcem, oczywiście. Lockhardt musiał być skryty ze względu na sprawy, jakimi się zajmował. - Wzięła głęboki oddech i ciągnęła dalej. - Jak wiesz, nikomu nie powiedział o tym spotkaniu. A Heffernan, to był stary pokerowy gracz, blisko związany z największymi. Nie, to domowa robota. - Zamilkła, jakby przestraszona własnym wnioskiem, pułapką zbudowaną własnymi rękami. - W końcu morderstwo jest starym zwyczajem w Kościele. Ale jakoś zawsze myślisz o tym jak o historii, a nie o czymś, co się może zdarzyć teraz.

- Kiedy dzwoniła do mnie, była przestraszona. Chciała o czymś ze mną porozmawiać. Morela twierdzi, że zdobyła jakieś trefne informacje, które ją zmartwiły. Byłaś z nią blisko, tak jak nikt inny. Czego się bała? Czy kiedykolwiek coś zdradziła?

- Ostatni raz widziałam ją w Rzymie. Ze trzy tygodnie temu. Pracowała jak szalona. W Paryżu, w Rzymie. W Bibliotece Watykańskiej, w fajnych Archiwach. Niełatwo *to* zorganizować. Nie przyznała się, nad czym pracuje, ale to była stara sprawa - mam na myśli coś naprawdę *starego*, czternasty, piętnasty wiek. Tylko tyle mi powiedziała...

- Ale jak, u diabła, właśnie to mogło spowodować jej śmierć? Co robiła w Paryżu? Wydawało mi się, że jej książka miała być o drugiej wojnie światowej.

- Pracowała nad tym całe lato. Miała w Paryżu mieszkanie. Przyjeżdżała do Rzymu bardzo często, nurkowała w Tajnych Archiwach, a potem wracała do Paryża. Kiedy widziałam ją ostatni raz, właśnie jechała do Egiptu. Do Aleksandrii. Nazwałam ją Lisem Pustyni, bo właśnie wykopywała materiał o wojnie.

- Czternasty wiek, druga wojna światowa, ksiądz powieszony w naszym sadzie... Czy wspominała ci o nim?

- Nigdy.

- Ale wraca do domu z całym tym bałaganem w głowie i pierwszą rzeczą, jaką robi, to dzwoni do Sama Turnera i pyta o tamto dawne samobójstwo. - Poczuję, że moje zniecierpliwienie rośnie i nie mogę go powstrzymać.

- Zanim wyjechała do Egiptu, naprawdę ją naciskałam, by mi powiedziała, co udało jej się odnaleźć i w końcu miała dość mojego natręctwa. Poprosiła, żebym dała spokój. Wyjaśniła, że to dla mnie lepiej - nie wiedzieć. „Bezpieczniej, Elżbieto - powiedziała - jesteś bezpieczniejsza nie wiedząc”. Chroniła mnie, ale przed czym? No tak, przed zabiciem, jak się okazuje. To dotyczy Kościoła. - Ugryzła kostkę ręki. Zmrużyła oczy. - Tkwi *wewnątrz*... coś bardzo *złego* - a ona się dowiedziała...

- Z czternastego wieku? - zapytałem. - Ktoś sięga z czternastego wieku i zabija ją? Albo inaczej, jakiś wariat, który chce być papieżem, strzela do niej? Daj spokój, siostro!

- Kiedy jest to sprawa Kościoła, Ben, wtedy nigdy nie możesz być niczego pewien. Masz do czynienia z ośmiornicą. Jeśli jedna macka cię nie dosięgnie, zrobi to inna. A zresztą tak miał brzmieć tytuł jej nowej książki - *Ośmiornica*.

Westchnąłem tak głęboko, że aż prawie poruszyły się krokwie.

- Gdybyśmy odgadli, co odkryła, mielibyśmy motyw. Nie powiedziała ci, bo sądziła, że to narazi cię na niebezpieczeństwo. Miała zamiar mi się zwierzyć, ale nie zdążyła, zanim ją dostali. Musiała jednak

powiedzieć coś Lockhardtowi...

- Albo im się wydawało, iż to zrobiła.

- A może oni myślą, że mnie też powiedziała. Przez telefon. To zachęcający pomysł. Lockhardt i Val - czy byli ze sobą blisko?

- *Wydaje mi się*, że w końcu opuściłaby zakon i wyszła za niego za mąż. To był dobry człowiek. Uosabiał wszystko, czego potrzebowała: dostęp do informacji, swobodę pisania i szukania, władzę. Trochę wywoływał strach, ale...

- Co przez to rozumiesz?

- Och, jego wielki wpływ, mnóstwo tajemnic, które miał. Ja uważam, że to trochę straszne. Ale Val uwielbiała to. Pomagał mi bardzo. Wynajął mi mieszkanie w Rzymie, wprowadził w wiele miejsc... nawet do kardynała Indelicato, którego bardzo trudno poznać. I, oczywiście, był tak blisko z D'Ambrizzim. - Skrzyżowała palce od uroku. - Lockhardt, D'Ambrizzi i cień kardynała, Sandanato. I Val. Kiedy Lockhardt przebywał w Rzymie, *t&* czwórka trzymała się razem. Tak naprawdę to od poślubienia Lockhardta wstrzymywała ją tylko konieczność...

- ...powiedzenia ojcu.

- Racja. Nie wiedziała, jak ma to zrobić.

- Nie potrzebowała jego błogosławieństwa...

- Ben, ale go chciała!

Była już prawie druga w nocy i silny wiatr uderzał w okna, jak ostatnie zaduszkowe straszidło.

- A jak się w tym wszystkim znalazł Artie Dunn? - spytała.

- Przypadkiem. - Opowiedziałem jej o spotkaniu w Nassau Inn z Morelą. - Dlaczego robisz miny?

- Dunn. On zawsze jest jokerem, w każdej talii.

- Znasz go?

- Raz w Rzymie przeprowadziłam z nim wywiad. O jego powieściach, jak odpowiadają koncepcji powołania kapłańskiego. Jest bardzo wygadany i ma dobre kontakty. Odgrywa taką sztuczkę pod tytułem „Jestem - zupełnie - zwyczajnym - facetem”, a potem D'Ambrizzi wysyła po niego limuzynę. Zna wszystkie grube ryby. Włączając w to Jego Świątobliwość. Po prostu trudno mi uwierzyć, że Artie Dunn robi cokolwiek przypadkiem...

- Wierz mi, spotkałem go przypadkiem...

- Z pewnością. Chodzi mi tylko o to, że w nim jest więcej, niż się rzuca w oczy. I nigdy nie spotkałam ani jednej osoby, która by wiedziała, co on naprawdę robi.

- Rozumiem. Zapytałem go o to dzisiaj wieczorem i nie otrzymałem odpowiedzi.

Oboje byliśmy wyczerpani. Posprzątaaliśmy kuchnię. Wziąłem jej torbę i zaprowadziłem Elżbietę do pokoju gościnnego. Zatrzymałem się w progu.

- Dobrze widzieć cię znowu, Ben. I tak mi cholernie przykro. - Podeszła i pocałowała mnie w policzek. Zamknąłem drzwi i poszedłem spać.

Po pierwszym spotkaniu z Elżbietą ze świeżymi wspomnieniami knajpki „U Pete'a” i parku

Gramercy w śniegu, umówiłem się z Val w hotelu Waldorf na śniadanie. Elżbieta jeszcze nie wstała. Val zastanawiała się czy dobrze się bawiłem poprzedniego wieczora. Odrzekłem, że rzeczywiście doskonale.

- To skąd ta ponura mina? Wzruszyłem ramionami.

- Ranek przynosi ze sobą twardą rzeczywistość. Może za dobrze bawiłem się wczoraj. Może złość się, bo nie powinno to tak trwać, może nie podoba mi się, że się starzeję.

- Chyba dobrze wam ze sobą: Elżbiecie i tobie. - Uśmiechnęła się promiennie. - Czasami jestem z nią tak blisko, że aż mnie to przeraża. Ona jest drugą stroną mnie, Ben. Z łatwością mogłybyśmy się zamienić życiem.

- Jest piękna. Jak ty - stwierdziłem.

- Mężczyźni - powiedziała. - Mężczyźni zawsze zakochują się w Elżbiecie. To nie jej wina, ale sprawiło to, że stała się ostrożna. Jest *belle* rzymskiego korpusu prasowego. Zaginanie parolu na zakonnicy jest dla facetów bardziej podniecające i stanowi większe wyzwanie. Doprowadza ją to do szału. Dlatego jestem taka zadowolona, że pozwoliła sobie na odrobinę radości wczoraj wieczorem.

- Pozostanie zakonnica?

Moja siostra długo nie odpowiadała. Skubała skórki rogalika.

- Czy któraś z nas pozostanie? To jest pytanie, Ben. Należymy do pierwszej generacji nowoczesnych zakonnicy. Bez związku ze starymi metodami. Wybieramy życie w świecie, ale nie według światowych zasad. Jesteśmy aktywistkami w ten lub inny sposób i żadna z nas naprawdę nie wie, jak długo będziemy dla Kościoła do strawienia. Przez nas biurokraci z Kurii dostają wrzodów żołądka. Wymuszamy na Kościele zmiany, nie jesteśmy subtelne, napieramy mocno... ale Kościół zawsze może nam oddać. Jeśli wystarczająco się wkurzą, to lepiej by było, żebyśmy uważały.

Każdy, kto stanie na drodze wielkiej strategii - kimkolwiek jest - niech lepiej obejrzy się za siebie.

- A co z tobą? Pozostaniesz?

- Zależy to od nacisku, rozumiesz? Ty miałeś dosyć i odszedłeś. Moja intuicja podpowiada mi, że Elżbieta zostanie w zakonie. Myśli w kategoriach, co jest słuszne, a co nie. Wierzy w podstawową dobroć celów Kościoła - aleja? Nie wiem. Brak mi jej intelektualnego przekonania, jej filozoficznego zaangażowania. Ja sprawiam kłopoty, wywołuję piekło, jestem egoistycznym nieprzyjemnym typkiem. Jeśli pozwolą mi być taką, jaką jestem, jak skrzypiące koło - no cóż, to może pozostanę zakonnica aż do śmierci.

Z jakiegoś powodu wzięła mnie za rękę, jakby chciała mnie pocieszyć w smutku, o którym wiedziała, że mnie czeka. Powiedziałem jej, żeby zjadła jajka, zanim zupełnie wystygną, ponieważ płaciłem prawie dziesięć dolarów za jedno. Później pocałowałem ją na do widzenia i wróciłem do biura na Wall Street.

Przez nas Kuria ma wrzody na żołądka. Wymuszamy na Kościele zmiany, nie jesteśmy subtelne, napieramy mocno... ale Kościół zawsze może nam oddać. Jeśli wystarczająco się wkurzą, to lepiej by było, żebyśmy uważały. Każdy, kto stanie na drodze wielkiej strategii - kimkolwiek jest - niech lepiej obejrzy się za siebie...

Obudziłem się z moich snów i wspomnień o Val i Elżbiecie, walczyłem, by wydobyć się na powierzchnię. Była szósta rano, panowała ciemność i wiał wiatr. Wszędzie przeciągi. Naciągnąłem kołdrę pod brodę. Na w pół śniłem o Val, słyszałem jej głos z przeszłości i to mnie przywróciło z powrotem do terażniejszości. Strach, który ostatnio brzmiał w jej głosie, zmusił mnie do myślenia - cokolwiek to było, okazało się gorsze, niż się spodziewała.

Czy wszystkie odpowiedzi kryły się w teczce od Vuittona?

Jeśli te materiały były tak cholernie ważne i jeśli bała się, że oni... są na jej tropie, to dlaczego pozwoliła im je dostać? Dlaczego nie zabezpieczyła ich w jakiś sposób?

Pojawiła się jakaś logiczna niekonsekwencja w moim odczytaniu zachowania Val. Wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie. Musiała zdawać sobie sprawę, iż ma w teczce dynamit. Val nie była niewinna - we wszystkich znaczeniach tego słowa. Znała reguły gry. Odkryła, gdzie grzebią ciała... A jednak pozwoliła im dostać swoją teczkę.

Musiała zostawić polisę ubezpieczeniową. W razie jej śmierci, zamordowania, utraty teczki...

Zerwałem się jak oszalały. Oczywiście! Potrzebowała skrytki, miejsca, gdzie źli faceci nigdy nie zajrzą.

Wyskoczyłem z łóżka i okryłem się moim starym szlafrokiem. Drżałem, uderzyłem się w palec u nogi o biurko, szukając wyłącznika światła.

Pokój zabaw!

Panował tam zapach stęchlizny. Pokój był pusty. Opuszczone żaluzje, oderwany kawałek tapety, zwisający ze ściany. Drzwi stały otworem jak brama do wspomnień. Prawie widziałem Val w krótkiej sukience i w białych skarpetkach, stojącą w kącie, gdzie zawsze trzymała swoje książki i farby. Ja też tam byłem, wszystko poprzewracałem w poszukiwaniu mojej gry, stukałem kijem w fotografię Joe DiMaggio, mówiłem jej, by przestała mnie nudzić...

Usłyszałem szelest, skrobanie, hałas gdzieś w cieniach. Wiewiórka przebiegła przez pokój, wyjrzała z pustego kominka, a potem zniknęła za pudełkami z rzeczami Val, które stały w jej ulubionym kącie między biblioteczką a oknem. Zapaliłem światło nad głową. Kształty w cieniach ukazały się w świetle: samochód przypominający stary model buicka, rower, tablica, piramida pudeł z książkami i bębenek, który pojawił się w pewne Boże Narodzenie. Val robiła nim piekielny hałas, bezbożny wściekły tumult. A potem znalazła lepszy dla niego użytek.

Przeszedłem przez pokój, uklęknąłem na zakurzonej podłodze przy bębenu. Ktoś był tam przede mną. Musiała zostawić coś w swojej starej skrytce, gdzie byłoby bezpieczne.

Brzegi bębena pokrywała gruba warstwa kurzu, ale boki z uśmiechającym się kłownem były wytarte do czysta. Nie mogłem dosięgnąć czubkami palców pod ściankę boczną, więc użyłem łopatkę do piasku z zestawu plażowego. Podważyłem ją, kopnąłem to cholerstwo nogą i narobiłem hałasu. Ścianka odstawała.

Wepchnąłem ramię do środka i poczułem, że moje nadzieje pryskają.

Wewnątrz nic nie było.

Nie mogło się tak zdarzyć. Przyszła tu przecież. Klęczała przy bębenu, zostawiła na jego

zakurzonej powierzchni ślady swoich palców. Wykorzystała starą kryjówkę...

Wtedy znalazłem.

Wystawało ze szczeliny, w którą zostało wepchnięte. Prawie to zlekceważyłem, uważając za jakiś relik z dzieciństwa. Wyciągnąłem coś z bębenka.

- Co robisz? Ćwiczysz grę na perkusji?

Siostra Elżbieta stała w drzwiach. Miała na sobie za dużą piżamę w paski, przecierała oczy i ziewała.

- Umieram z głodu - powiedziała. Zajrzała do lodówki, prowadząc inwentaryzację. - Jajka, szynka, indyk, ser gorgonzola, cebula, masło. Do tego można by coś dodać. Bułeczki. - Rozejrzała się po kuchni. Dałem jej swój stary szlafrok, a ona znalazła parę podkolanówek Val. Odkryła patelnię do omletów, wiszącą na haczyku. - Jabłka. Posiekam też trochę jabłek. - Uśmiechnęła się do mnie. - Z pewnością wiesz, że śniadanie jest najważniejszym posiłkiem dnia, ale nie, ja nie jadam w ten sposób w domu. - Zaczęła rozbijać jajka. - Wszystko zależy od przegubu... Robię to jak Audrey Hepburn w „Sabrinie”. A co tam masz?

Siedziałem przy kuchennym stole, wpatrując się w zdjęcie, które znalazłem w bębenku. Bardzo stare, pożółkłe i popękane, zupełnie jak fotografia, jaką mój ojciec i matka zrobili sobie w trzydziestym szóstym przy Lago Maggiore. Tylko że nie byli to mój ojciec i matka. Zdjęcie przedstawiało czterech mężczyzn. Z tyłu napisano coś po francusku. Wspomnienie z czyjegoś albumu.

- Nic z tego nie rozumiem. Czterech facetów przy stole dawno, dawno temu. Miejsce przypomina jakiś klub - ściany z cegły, świeca wetknięta w butelkę po winie, dużo cienia... Czterech facetów.

Siekała cebulę i jabłka na grubej desce. Dobrze jej to szło. Szybko. Nie widziałem żadnych śladów krwi. Pochyliła się, by rzucić jeszcze jedno spojrzenie na zdjęcie.

- Pięciu.

- Czterech - poprawiłem.

- Założę się, że jakiś kumpel zrobił to zdjęcie. - Popatrzyła na mnie, a ja skinąłem głową. - A ty masz jednego z nich. To ten obok czwartego. Czwartego nie można w żaden sposób rozpoznać, tutaj jest widoczny głównie tył jego głowy. Ale numer trzeci, patrząc od lewej, pokazuje nam profil. Przyjrzyj się bliżej. Rozpoznasz to nosisko?

Miała rację, nosisko było znajome, należało do kogoś, kogo znałem. Ale nie mogłem sobie przypomnieć.

- No tak - powiedziała. - Mam nad tobą przewagę, bo widuję go raczej często, a nos jak ten nie zmienia się tak łatwo. - Skończyła siekanie. Poczulem zapach masła na patelni. Wrząca woda przepływała przez kawę w ekspresie, aromat wypełniał kuchnię. Ubijała pół tuzina jajek z jedną łyżką wody. - To młodsza wersja ojca Giacoma D'Ambrizziego.

- Oczywiście! Nie ma jednak wąsów - miał gęste, czarne, bandyckie wąsy, kiedy tata przywiózł go do nas do domu po wojnie. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego poza filmem o Cisco Kidzie. Jak jesteś taka sprytna, to powiedz, jakie znaczenie ma ta fotografia?

- Ja tu tylko gotuję. - Podsmażała cebulę i jabłka na maśle. Odwrócona do mnie plecami, pracowała jak zawodowiec. - Ale jedno wiemy na pewno. To jest bardzo ważna fotografia. Schowała ją przed całym światem... poza nami.

- To moim zdaniem nic nie oznacza - powiedziałem. - Val nigdy się nie dowiedziała, że znałem jej kryjówkę, nie mogła więc przewidzieć, iż tam zajrzę...

- Mylisz się. Val dużo mi o tobie opowiadała. Na przykład o tym, jak znalazłeś czarny proch w piwnicy...

- Żartujesz!

- Opowiedziała mi o słynnych stopach z gliny, jak schowała twój prezent pod choinkę, jak domyśliłeś się, że ma schowanko w bębenu. Nigdy nie zdradziła ci tego, że wie. Wkładała tam rzeczy, które chciała, byś znalazł - to taka gra, Ben. Byłeś starszym bratem, robiącym jej kawały, ale ten jeden ona mogła robić tobie. - Zamilkła na krótką chwilę. - Ben, Val włożyła tam to zdjęcie, żebyś je znalazł, gdyby jej się coś stało. I znalazłeś. To jest klucz. - Odwróciła się do kuchenki, wlała jajka na patelnię.

- Fotografa D'Ambrizziego znaleziona w bębenu stanowi klucz?

Mieszała jajka, bo się ścinały. Ta niesamowita istota sprawiła, że znowu poczułem się głodny.

- Może D'Ambrizzi wcale nie jest tu taki ważny - powiedziała.

- Myślisz, że ktoś z pozostałej trójki?

- Czwórki. Nie zapominaj o tym, który zrobił zdjęcie.

Sekretarka mojego ojca, Margaret Korder, przyjechała o dziewiątej i zrobiła to, co zawsze wychodziło jej najlepiej: wszystko przejęła, ogrodziła i broniła mnie przed wezwaniem ze świata zewnętrznego, właśnie tak, jak robiła dla mojego ojca przez trzydzieści lat.

Pojawił się Sam Turner z przyjacielem ojca Dunna - Randolphem Jacksonem z nowojorskiego biura prokuratora okręgowego, Murzynem, który kiedyś grał jako łącznik w Gigantach. Zostali od południa aż do drugiej. Bardziej przypominało to pogawędkę, niż oficjalne przesłuchanie. Jackson pił sok pomarańczowy i zastanawiał się, co mogło łączyć jego morderstwa w Nowym Jorku z morderstwem Sama w Princeton. Postanowiłem, że nie ma sensu zbaczanie z ubitej drogi faktów. Przestałem mówić o Kościele, związku Val z Lockhardtem; nie wspominałem o teczce, planowanej książce Val, czternastym wieku i drugiej wojnie światowej, ani o księdzu, który powiesił się w naszym sadzie tak dawno temu. Nie miało sensu wciąganie ich dalej w sprawy Kościoła: nie wiedzieliby, co z tym zrobić, a ja nie miałbym pojęcia, od czego zacząć.

Kiedy wstali, żeby się pożegnać, a Jackson rozmawiał z siostrą Elżbietą, Sam Turner odprowadził mnie na bok i powiedział, że nie mógł znaleźć żadnych akt z czasów, gdy ksiądz się powiesił.

- Przypomniałem sobie nazwisko - rzekł. - Francuskie. Gouverneau. Ojciec Vincent. Zabrałem się do dzwonienia do starego Rupe'a Norwicha. Było mu ogromnie przykro z powodu twojej siostry, Ben. Rupe powiedział mi, że wziął te akta ze sobą, kiedy odchodził na emeryturę. Nie mogłem w to uwierzyć - taki prawomyślny człowiek. Mówię mu, iż to wbrew przepisom, a on mi na to, że może powinienem przyjechać i go aresztować! Co za facet, ten stary Rupe!

Ledwie Jackson i **Turner** zniknęli z pola widzenia, od razu wsiedliśmy z siostrą Elżbietą do mojego samochodu i wyruszyliśmy ku wybrzeżu Jersey, jakąś godzinę jazdy z Princeton. Był szary, zimny dzień. Na drodze powstawała warstewka lodu, a wiatr spadał z ogromną siłą ze ścian parowów i wiał przez pola skute zbyt wczesnym mrozem, nawiewając piasek z wydm.

Znaleźliśmy drewniany bungalow Rupe'a Norwicha. Słone sztormy odarły ściany z farby, ale dom i trawnik wykazywały taką staranność, jaką zawsze znajdziesz w domostwach starszych ludzi na emeryturze i bez wystarczająco absorbującego zajęcia. Norwich miał pewnie z osiemdziesiąt lat lub coś koło tego i bardzo lubił towarzystwo. Znał mnie z czasów, kiedy jeszcze byłem dzieckiem i zrobiło mu się piekielnie przykro z powodu Val. Zapytał mnie też o ojca. Czuł się prawie winny, że Val nie żyje, a mój ojciec leży unieruchomiony, gdy on tymczasem jest tak zdrowy.

- Nie jestem jak twój tata, decydujący o losach świata i Kościoła - powiedział, zaginając kciuki za szelki i prowadząc nas do zagraconego przegrzanego saloniku. - Ale ciągle staram się być zajęty. Wiesz, trzeba mózg utrzymywać w gotowości. Gry wideo - ciągnął, wskazując na swój komputer IBM - to klucz do dzisiejszych czasów. Latam na myśliwcach, gram w golfa, baseball, nie wychodząc z domu. Komputer to jest to. Staram się być na bieżąco, słucham muzyki: U2 i Beastie Boys, oczywiście Springsteena, bo to chłopak z Jersey. A potem wyciągam moją starą płytę Teda Weemsa z siedemdziesiątego ósmego. Śpiewa tam Perry Como. Oto widzicie tutaj osiemdziesięciodwulatka, próbującego przekonać swoją dwudziestoosmioletnią wnuczkę, że nadal wie, o co chodzi. - Ćwierkał bez przerwy, zadowolony, że ma słuchaczy. - Jej matka zachorowała na Alzheimera kilka lat temu i umarła, a ja jestem tak cholernie zajęty z tym moim sprzętem tutaj. Ale patrzcie, jaki ze mnie stary gaduła, nie mogę przestać paplać, zawsze muszę wtrącić swoje trzy grosze. Sam Turner mówił, że chodzi wam po głowie młody Vincent Gouverneau. Biedny sukinkot. - Usiadł w bujanym fotelu, kiedy my usadowiliśmy się na kanapie. Był bardzo chudy, ubrany w bluzę od dresu i dzinsy. Przyglądał się uważnie Elżbiecie, a potem raptownie nabrał powietrza w płuca, gdy przedstawiłem ją informując, iż jest zakonnica.

- Sam mówił, że może jeszcze masz te akta - powiedziałem.

- Wziąłem je ze sobą, kiedy odchodziłem piętnaście lat temu, bo nie chciałem, żeby to wróciło i prześladowało Sama. Wtedy wyobrażałem sobie najgorsze rzeczy. Nie chciałem też, by i mnie nie dawało spokoju. No i spaliłem je. - Zaśmiał się nagle. - Zniszczyłem dowód.

- Dowód czego? - spytała siostra Elżbieta.

- Dowód na to, co teraz nazywa się przykrywką. Nigdy tego nie zapomniałem. Tak zostałem wykształcony. Nauczono mnie, kiedy pasuję do schematu. Wielu facetów jest ważniejszych niż glina z Princeton. Cenna lekcja, biorąc wszystko pod uwagę. - Uśmiechnął się przyjacielsko na samą myśl. Mogłeś zobaczyć, że nic go nie powstrzyma od wciśnięcia gazu do dechy.

- A co zostało zatuszowane?

- No cóż, siostrzo, nie w tym rzecz. Było ważne, kto tuszował. Ben, nie sądzę, by twój tata w ogóle wiedział o tym całym manewrowaniu, które przeprowadzono za kulisami. Żałowałem go wtedy, prawdopodobnie jedyny raz w życiu nic nie wiedział. Wybrali mnie zastępcą szeryfa, a Clinta O'Neilla szeryfem. Wszystko spadło z góry, z bardzo wysoka, i wylądowało na Clincie - był ostrym chłopcem,

wszyscy woleli z nim nie zaczynać, a raz walnął sobie parę piw wieczorem i przyznał, że prawie go żywcem pogrzebali przy tej sprawie Gouverneau. I musiał zachowywać się grzecznie - nie możesz dyskutować z gubernatorem, senatorem, arcybiskupem. Zleciało się więcej przedstawicieli wagi ciężkiej, niż ci pokazują na walce o mistrzostwo...

- Wszystko z powodu księdza, który uczył historii sztuki nastoletnie dziewczynki, zwariował i powiesił się? - odrzucałem ów pomysł. - Co to za wielka sprawa?

- Kłopot polegał na tym, iż on nie zabił się sam - chyba że wymyślił sposób, żeby rozwalić sobie tył czaszki młotkiem, a potem się powiesić, kiedy już nie żył. Właśnie tak się stało. Jeśli nie popełniono morderstwa, to co to było, no co?

- I cała historia nigdy nie wyszła na jaw?

- Nigdy. - Skrzywił twarz i dłonią przeciągnął po krótko ostrzyżonych siwych włosach. - Iz pewnością nie wyjdzie. Nigdy nie było śledztwa. Mówiono o samobójstwie. Twojego tatę na zawsze połączyli z ciałem w sadzie, a plotki - wiecie, jak ludzie gadają - cholernie go wnerwiały, ale co mógł zrobić?

- Jakie plotki?

- Bardzo przepraszam, siostrzo, jestem pewien, że siostra może sobie wyobrazić...

- Ciężarne zakonnice ukrywane w klasztorach - dokończyła. - Coś takiego?

- Jasne, jasne - powiedział Rupe Norwich. - A cóżby innego? Ludzie upierają się, żeby być ludźmi, no nie?

- Nie podejrzewali, że zabiła go zakonnica, na pewno?

- Nie, Ben. Niektórzy myśleli, iż jakaś uczennica zaszła przez niego w ciążę i jej stary go zabił. Wszyscy tylko gadali. Nigdy nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni, a zresztą, do diabła, nigdy go nie szukaliśmy. Dociera to do was? To było samobójstwo.

- No cóż, nic dziwnego, że mój ojciec nigdy o tym nie mówił. Plotki doprowadzają go do pasji. Ale dlaczego Val pytała o to teraz? - zadałem pytanie retoryczne, ale Rupe Norwich znał odpowiedź.

- Nie przychodzi ci do głowy, że coś właśnie odkryła? - spytał. - Albo miała jakiś pomysł, co? Teorię, może podejrzenie. Prawie pięćdziesiąt lat... długo... zimny trop. - Wzruszył szerokimi, kościstymi ramionami. - A mnie się wydaje, jakby to było wczoraj. Biedny drań. Pechowiec, no nie, zabili go i nikt nawet się nie obejrzy, żeby poszukać zabójcy. Trafia do archiwów jako samobójca. Wszawie szczęście, nie uważacie? I to ksiądz?

Kiedy przyjechaliśmy do domu, Margaret Korder wszystko trzymała w ręku. Zjawiło się kilkoro przyjaciół rodziny i Margaret zajęła się nimi. Przygotowania do pogrzebu były w toku, ciało miało zostać zwrócone jutro, a uroczystości zaplanowano na pojutrze. Człowiek z domu pogrzebowego obiecał przyjechać, by pokazać mi zdjęcia trumien. Powiedziałem Margaret, że chcę coś prostego i solidnego, i żeby się tym zajęła. Organizowała pogrzeb mojej matki. Była to jeszcze jedna rzecz, którą wiedziała, jak zrobić.

Ojciec Dunn zadzwonił z Nowego Jorku i miał zamiar dzwonić znowu. Odezwał się Morela. Były

dwie wiadomości z Rzymu, z biura kardynała D'Ambrizzi, i mieli skontaktować się ponownie. Telefonowano z kancelarii Ojca Świętego, ale nie posunięto się poza przekazanie wyrazów współczucia. Nic nie wskazywało na to, że zadzwonią raz jeszcze.

- Nic nie musisz robić - powiedziała Margaret. - Wszystko już zostało ustalone. Włączyłam automatyczną sekretarkę. Potem rozmowy będą łączone do mojego pokoju w Nassau Inn. Wprowadziłam się tam na jakiś czas. Twój ojciec leży na oddziale intensywnej terapii. Co jakiś czas budzi się, jeszcze oszołomiony, i zaraz zasypia. Zadzwonią, jeśli coś się zmieni. To chyba wszystko.

- Margaret, jesteś prawdziwym cudem.

- Płacą mi za to, Ben - powiedziała z chłodnym uśmiechem. Była świadkiem wojen między moim ojcem a mną i nigdy nie stawiała po którejś ze stron. I zawsze ograniczała się jedynie do dawania dobrych rad. - Teraz najważniejsze jest, abyśmy się nie dali i przeciągnęli twojego ojca przez to wszystko.

- I dowiedzieli się, kto zabił moją siostrę - dodałem.

- Ale najpierw zatroszczmy się o żywych - odrzekła, zwracając się do siostry Elżbiety. - Czy napiłaby się pani herbaty, siostrze? Odesłałam małżeństwo Garrity do domu. Robili za dużo zamieszania, jak na mój gust. Pani Garrity za często wybuchała łkaniem. Naprawdę już nie mogłam tego dłużej znieść. Herbata może mnie podnieść na duchu.

- Z największą przyjemnością - powiedziała Elżbieta i poszły razem do kuchni. Elżbieta ubrana w spodnie, trzewiki na płaskim obcasie i gruby, niebieski sweter coraz bardziej przypominała mi Val.

Poszedłem na górę i moczyłem się w gorącej wodzie przez godzinę, myśląc o fotografii, którą Val schowała w bębunku i o zatuszowaniu morderstwa naszego księdza samobójcy. Czy zdjęcie było tak dawne jak morderstwo? Dlaczego jest na nim napis po francusku? Kim są ci faceci - D'Ambrizzi i kto jeszcze? Co przynagliło Val, by jej ostatnią czynnością na ziemi był telefon do Sama Turnera i pytania o powieszzonego księdza? Co chciała mi przekazać? Kto wiedział, że zabicie mojej siostry nie wystarczy i jeszcze trzeba ukraść jej teczkę?

Kiedy zszedłem na dół, Margaret już wróciła do gospody, a Elżbieta oglądała dziennik prowadzony przez Dana RATHERA. Spojrzała na mnie.

- Dzwonili do ciebie z kancelarii papieża. Nie wiem, czy mam być pod wrażeniem czy się przestraszyć. Val nie mogła być jego ulubienicą.

- Nie, ale mój ojciec tak. Mniej więcej. Jesteś głodna?

- Zakładam, że to pytanie retoryczne. - Wstała i wstawiła filiżanki do zlewu. - Aha, odpieczętowali kaplicę. Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym spędziła tam kilka minut? Nie będę długo. Nie ukrywam, potrzebuję pomocy, a tę tylko tam mogę dostać.

- Chyba po to ją postawiono. Chciałabyś, żebym cię odprowadził?

- Nie, dam sobie radę. Zjemy jakąś kolację, kiedy wrócę, dobrze?

Ojciec Dunn pojawił się, kiedy Elżbieta modliła się jeszcze w kaplicy.

- Dzwoniłem wcześniej - powiedział. - Ale nie zastałem cię w domu. Rozumiem, masz gościa. Niezwykła dziewczyna. Gdzie byliście? - Na zewnątrz panował dokuczliwy chłód. Dunn ogrzewał się przy ogniu w Długiej Sali. Rzucił pożądliwe spojrzenie stolikowi z alkoholami, więc otworzyłem butelkę

Laphroaig. - Dobry pomysł - rzekł. - Poproszę w szklance. Dzięki.

- Małe poszukiwania - wyjaśniłem.

- Dotyczące życia ojca Gouverneau?

- Tylko jego śmierci. - Wręczyłem mu drinka i nalałem sobie. - Odkopaliśmy przeszłość.

- Jak twoja siostra i...? I? - Zerknął na mnie spojrzeniem spod zmarszczonych brwi Barry'ego Fitzgeralda.

- To nie było samobójstwo - stwierdziłem. - Człowiek, który pełnił wtedy funkcję zastępcy szeryfa mówi, że popełniono morderstwo. Zatuszowane. Gubernator, senator, arcybiskup postarali się, by nie wszczęto śledztwa.

Dunn wpatrywał się we mnie nad szklanką ze szkocką. Zacisnął wargi i usiadł. Upił łyk.

- Ta cholerna sprawa staje się coraz paskudniejsza. Czuję, jakby ktoś porozrzucił kawałeczki historii, a nasza praca będzie polegała na ich połączeniu w całość. Takie splecenie wątków w fabułę. Nie drażni cię, że mówię jak pisarz? Pisanie to gra dla frajerów, ale jest znacznie trudniejsza niż podejrzewają amatorzy. - Jego okrągłe, szare oczy wydawały się nieruchome, jak gdyby czekały na coś, na kogoś. - Byłem w Nowym Jorku. Stamtąd też nie przywiozłem dobrych wiadomości, chociaż może te, które uznałbyś za pomyślne, mi umknęły. A jeśli mamy jakieś wątpliwości, to lepiej o nich zapomnijmy... Z tego samego pistoletu zabito twoją siostrę, Lockhardta i Heffernana. - Wypił znowu łyk, spojrzał na mnie, uśmiechnął się, ale nie zmienił się wyraz jego oczu. - Gdybym nie był taki odważny, pewnie zacząłbym czuć czyjś gorący oddech na plecach.

- Cieszę się, że jesteś taki dzielny, ojczu. Ale cała ta konspiracja przy morderstwie i zabicie mojej siostry czterdzieści osiem godzin temu przeraża mnie śmiertelnie. A tak na marginesie, co to według ciebie oznacza? - Wyłowiłem z kieszeni koszuli zdjęcie i wręczyłem mu.

Wziął fotografię, rzucił na nią szybko okiem, a potem zaniósł ją do stołu i obejrzał przy świetle.

- Skąd, u diabła, to masz? - Opowiedziałem mu. Pokręcił głową i z podziwem w głosie rzekł: - Schowała w bębenku. Kobiety są zadziwiające. Pomysłowe. Zastanawiam się, skąd to miała...

- Czy ci to coś przypomina?

- Jasne. Facet z bananem zamiast nosa to Giacomo D'Ambrizzi oczywiście. Zrobione na francuskim papierze. Powiedziałbym, że sprzed czterdziestu lat. Druga wojna światowa chyba. Paryż.

- Dużo wyciągnęłaś ze starej zniszczonej fotki... Wzruszył ramionami.

- D'Ambrizzi przebywał w Paryżu w czasie wojny. Byłem wtedy w armii, wiesz, taki młodzieńki kapelan. Dotarłem do Paryża po wyzwoleniu. Tam właśnie poznałem D'Ambrizziego. To wystarcza, by wywnioskować, z jakiego okresu pochodzi zdjęcie, prawda? Spotkałem go w Paryżu jeden jedyny raz... i ponownie dopiero po wielu, wielu latach. Pozostali mężczyźni? Mogli być kimkolwiek.

- Dlaczego więc ta fotografia oznaczała tak wiele dla Val? Dunn oddał mi zdjęcie.

- To dla mnie za skomplikowane, Ben.

Otworzyły się frontowe drzwi i Elżbieta weszła do Długiej Sali. Jej twarz była zaczerwieniona od wiatru i zimna.

- Siostra Elżbieta, moja droga! - Dunn podszedł do niej. Różne emocje pojawiły się na jej twarzy,

zanim się zbliżył. Zdecydowała się na nieznaczny uśmiech. - Tak mi przykro z powodu siostry Valentine.
- Ujął jej rękę w obie dłonie.

- Ojciec Dunn - stwierdziła chłodno. - Co za spotkanie.

- Obsesja seksualna - powiedział Dunn, przeżuując kanapkę z szynką. Popatrzył na resztki whisky w swojej szklance, czknał cicho i dodał: - Chyba przerzucę się na mleko. Prawdopodobnie do końca życia. - Podszedł do zlewu, opłukał szklankę i nalał sobie mleka. - Tak, obsesja seksualna, cytuję dokładnie. Nie ma drogi wyjścia, siostrzo. To było czarno na białym. Założę się, że umknęła ci jej recenzja mojej ostatniej książki, Ben, ale autorzy czytają je wszystkie.

- I nigdy nie zapominają złych - zauważyłem.

Siostra Elżbieta wsparła głowę na łokciach, siedząc przy kuchennym stole.

- Czy nazwiesz to złą recenzją, ojcze?

- Mój dobry Boże, nie. Raczej recenzją, dzięki której książki się sprzedają. Nie mógłbym sam wymyślić lepszej. I jak zauważyłem, niektórzy z moich kolegów patrzą teraz na mnie z szacunkiem o nowym odcieniu.

- Moje koleżanki też - powiedziała. - Masz wielkie powodzenie w klasztorach. Seks to dobry interes. Tak więc jesteś mi coś winny.

- Czy taki był twój cel, siostrzo?

- Wytknięcie seksualnej obsesji? Doprawdy, ojcze, po co miałabym kłamać? Jak mi się wydaje, pytanie brzmiało: czy miałam rację? *Wydajesz się* dobrze poinformowany na polu literackiego seksu. - Prowokacyjnie wzruszyła ramionami. - Może masz żywą wyobraźnię. - Mrugnęła do mnie.

- Wyobraźnia bardzo pomaga, nie sądzisz? Na przykład, wspomniałaś klasztory - ale, zastanawiam się, co wiesz o życiu w klasztorze?

- Dość dużo, ojcze - uśmiechnęła się. - Po prostu wystarczająco.

Nie rozmawialiśmy odtąd o niczym innym tylko o morderstwach, koncentrując się na Val i próbując unikać emocji. I oczywiście Elżbieta przybiła Dunna jednym ze swych taksujących spojrzeń.

- Nie rozumiem zupełnie, jak to się stało, że tak się w tę sprawę zaangażowałaś. Znałaś Val? A może to ma jakiś związek z Princeton?

- Nigdy nie spotkałem siostry Valentine, a obecny tu Ben jest moim pierwszym Driskillem w życiu. Nie, jestem tutaj przez przypadek. Takie przypadkowe ukazanie się na ekranie, ale jak się okazało, znam w Nowym Jorku człowieka prowadzącego śledztwo dotyczące tych morderstw. Pomyślałem, że mógłbym być Benowi w czymś pomocny. Oczywiście, znałem też trochę Lockhardta...

- Wybacz mi, ojcze, ale czy masz swoją parafię? Biuro? Musisz gdzieś przynależeć...

- O tak, oficjalnie jestem związany z archidiecezją w Nowym Jorku i z kardynałem Klammerem, niech spoczywa w spokoju. Nie patrz na mnie taka zmartwiona, siostrzo, to tylko jego *umysł* umarł. Klammer korzysta z moich rad. Potrzebuje tyle rad, ile tylko się da. Może powinienem napisać komedię sytuacyjną na ten temat... - Uśmiechnął się do niej szeroko. - Popatrz siostrzo, nie należę do osób szczególnie łatwych we współżyciu, ale nasi władcy wykorzystują mnie, jak umiej. Mieszkam w Princeton i mam dom w Nowym Jorku. Jestem niekonwencjonalny na swój sposób, ale mam taki rodzaj

umysłu, który Kościół zawsze może wykorzystać.

- A jaki to jest rodzaj umysłu?

- Chyba przebiegły. Teraz mogłabyś powiedzieć, że jestem oczami i uszami kardynała Klammera. Masz jeszcze jakieś inne pytania, siostrze? Możesz je nam przedstawić? - Uśmiechał się, ale miał dosyć.

- Jestem po prostu ciekawa - odrzekła. - Prowadzenie dwóch tak odmiennych trybów życia - księdza i powieściopisarza - wydaje się wyczerpujące. - Nie wycofywała się tylko dlatego, że on jest księdzem, mężczyzną. Ona i Val musiały być solą w oku rzymskich męskich szowinistów. Kościół z trudem tolerował zabieranie głosu przez kobiety z dużym wpływem i prestiżem. Ale Dunna bawiło parowanie jej ciosów.

- Staram się, jak potrafię najlepiej - powiedział. - Badam Kościół raczej jak naukowiec, oglądający przekrój na szkiełku...

- Ale rozmaz na szkiełku niczego nie dyktuje naukowcowi.

- Punkt dla ciebie, siostrze. Ale ja nadal badam Kościół. Śledzę, jaka powinna być reakcja na nacisk. Po pierwsze, zacząłem od siebie. Przekonałem się, jak jednostki i cały mechanizm postępował ze mną. A potem obserwowałem, jak obchodzi się z aktywistami począwszy od Berrigansa poprzez siostrę Valentine po walczących o prawa dla homoseksualistów... Kościół jest ogromnym organizmem. Popchnij go, a skręci się z bólu, wyzywaj go, zagroź mu, a zacznie walczyć w swej obronie. A przez kilka ostatnich lat Kościół był szturchany dość dokuczliwie. - Uniósł brwi, krzaczaste siwe zarośla. Zamrugnął okrągłymi szarymi oczami. - Patrzę. Badam. To praca na całe życie.

- Kościół czasami poszturchiwano - powiedziałem. - Prawdopodobnie to Val szturchała, a organizm wił się z bólu. Ale teraz, czy nie zobaczyliśmy, jak Kościół oddaje cios, by przetrwać?

Siostra Elżbieta pokręciła głową.

- Bóg wie, że nie jestem apologetką Kościoła, wierzcie mi lub nie. Ale nie mogę uwierzyć, że Kościół sankcjonuje morderstwo. Nie w dwudziestym wieku. Kościół nie wysłał mordercy, by popełnił taką straszną rzecz.

- A czym jest Kościół? - zapytałem. - To ludzie. Niektórzy z nich mogą dużo stracić.

- Ale jest tyle innych sposobów na załatwianie spraw...

- Daj spokój, Elżbieto! Kościół zawsze zabijał ludzi - zawołałem. - Przyjaciół i wrogów. Mamy dowód, który wskazuje, że to był ksiądz, co...

- To mógł być każdy - stwierdziła. - Mężczyzna przebrany za księdza... Zeznanie zakonnicy o niczym nie świadczy. Nie powinniśmy być tacy łatwowierni! Zawsze ktoś próbuje oczernić Kościół, rozerwać na kawałki...

- Chwileczkę - wtrąciłem. - Kto miałby coś do Val? Kogo wkurzała poza Kościołem?

- Tego właśnie *nie wiemy*, Ben!

- Spójrz - odezwał się Dunn. - Starłem się przemyśleć tę sprawę tak, jakby była jedną z moich powieści. Spróbujmy to zrobić wspólnie. No jak? Zaspokoicie mój kaprys?

Budzik na lodówce głośno tykał. Znowu zaczął padać śnieg z deszczem, uderzając w okna.

- Ustalmy, jakie znamy fakty - dodał po chwili. Przystąpiłem na jego propozycję i popatrzyłem na

Elżbietę. Dunn ją niepokoił i nie potrafiła mu zaufać. Ale wyczuwałem, iż była zafascynowana jego rolą i funkcjonowaniem w strukturze władzy Kościoła. Uświadomiłem sobie, że patrzyła na nas dwoje jak na zespół, jakby łączyły nas wspólne uczucia do Val. Nie chciała, żeby ojciec Dunn poprowadził mnie dziwną, zdradliwą ścieżką literackich analiz. Nie chciała, by rozbił nasz zespół.

- Jasne - powiedziała w końcu. - Chcesz zagrać w swoją grę. Zagram i ja.

Obrazoburcza postawa Dunna zmuszała ją do obrony Kościoła. Zdając sobie z tego sprawę, czuła się wytrącona z równowagi.

Przenieśliśmy się do Długiej Sali, gdzie płonął ogień na kominku. Stał tam długi stół z krzesłami o wysokich oparciach i gramofon. Nastawiłem płytę z koncertem na wiolonczelę Elgara i wcisnąłem przełącznik powtarzania. Nieziemska mistyczna muzyka wypełniła salę. Przyciągnęliśmy krzesła do stołu: prawnik, dziennikarka, pisarz. Troje ludzi, którzy zarabiali na życie dzięki swojej umiejętności układania nie pasujących do siebie fragmentów informacji.

Zaczęliśmy od podróży Val. Paryż, Rzym, Aleksandria, Los Angeles, Nowy Jork, Princeton. Została w limuzynie, która podwoziła Lockhardta do lodowiska przy Centrum Rockefellera. Według raportu policyjnego przywieziono ją do domu za kwadrans czwarta jej ostatniego popołudnia.

Zadzwoiła dwukrotnie, raz do Sama Turnera, by zapytać o powieszzonego księdza, a drugi raz do mnie do Nowego Jorku. W tym czasie Lockhardt i Heffernan - zostali zamordowani przez tajemniczego zabójcę - „księdza”. Siostra Elżbieta upierała się przy cudzysłowie.

Znalazszy się w domu, Val ukryła w bębenku zdjęcie zrobione w Paryżu w czasie wojny - przynajmniej tak Dunn je umiejscowił - prawdopodobnie po to, bym je znalazł, gdyby jej się coś stało: wiedziała, iż jest w niebezpieczeństwie nawet w Princeton i liczyła na mnie, że coś zrobię, kiedy znajdę fotografię. Zdjęcie przedstawiało czterech mężczyzn. Jednym z nich był D'Ambrizzi. Piąty mężczyzna, którego Elżbieta włączyła też do grupy, zrobił zdjęcie. Co, u diabła, sprawiało, że ta fotka była taka ważna? Czy D'Ambrizzi ją pamięta?

Potem Val poszła do kaplicy - mniej więcej między piątą trzydzieści a szóstą - gdzie została zabita z identycznego pistoletu, co Lockhardt i Heffernan. Z całą pewnością zrobił to ten sam człowiek, który zostawił po sobie tylko oderwany kawałek czarnego płaszcza przeciwdeszczowego. Dunn stwierdził, że to okrycie księdza.

Zabójca wszedł do domu, znalazł teczkę Val i zabrał ją ze sobą.

Jak twierdził Rupe Norwich, powieszony ksiądz został tak naprawdę zamordowany w 1936, po czym szybko zatuszowano zbrodnię na rozkaz grubych ryb, które zdecydowały, że to było samobójstwo. Czego się bali? Kogo ochraniali?

Kiedy skończyliśmy, widzieliśmy fakty nieco wyraźniej, ale - jak zauważył ojciec Dunn - na ich podstawie można by też napisać tysiące powieści. Ogień się wypalił, policjant stał na zewnątrz na straży i już nic nie pozostawało do zrobienia, jak tylko spróbować się przespać.

Wygląd miał odpowiedni. To była moja pierwsza myśl, kiedy spotkałem monsignora Pietra Sandanato. Wyglądał na księdza, jak gdyby przez przypadek w rysach jego twarzy życie wpisano na zawsze, jak gdyby wolność była mu odmówiona, po prostu dlatego, że miał taką twarz. Wyglądał jak torturowany renesansowy święty, namalowany na niezliczonych płótnach, wiszących w licznych muzeach - taka artystyczna konwencja. Oczywiście z drugiej strony wyglądał jak zabójca mafii, którego kiedyś spotkałem. Wrażliwy, zmartwiony, zmęczony, ze stałymi czerwonymi smugami pod oczami, które błyszczały jak antracyt pod ciężkimi, ciemnymi powiekami.

Przypominał pomnik Giacomettiego - wychudły, ale z chłopięcą gładką, smagłą twarzą, prostymi czarnymi włosami, dołkiem po ospie na lewym policzku, niczym piętno zakłócające idealną skórę. Zauważyłem, że nosi koloratkę. Miał na sobie czarny płaszcz narzucony na ramiona, miękki, czarny kapelusz z szerokim rondem i czarne rękawiczki z cielejącej skóry, które natychmiast zdjął, kiedy ojciec Dunn wprowadził go do holu i przedstawił nas sobie. Było po dwunastej. Dunn spotkał go na lotnisku Kennedy'ego i przywiózł do Princeton.

- Panie Driskill - powiedział cicho Sandanato. Głos miał zachrypnięty po podróży. - Przywożę wyrazy najgłębszego współczucia od serdecznego przyjaciela pańskiej siostry, kardynała D'Ambrizzi oraz od jego Świątobliwości, papieża Kaliksta. Nasz smutek po tej tragedii jest naprawdę głęboki. Ja też, oczywiście, znałem pańską siostrę.

Zabrałem ich do Długiej Sali. Siostra Elżbieta przyszła z punktu dowodzenia Margaret Korder. Sandanato zwrócił się do niej, uścisnęli sobie dłonie.

- Taka tragedia, siostro - wymruczał.

Pani Garrity podała nam kawę. Sandanto odmówił zjedzenia z nami lunchu. Siedziałem przyglądając się, jak rozmawiają we troje - kościelni zawodowcy. Nie zwracałem uwagi na to, co mówią. Sandanato miał być moim gościem przez kilka dni i próbowałem go ocenić. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy poznałem już kiedyś kogoś tak nieustannie napiętego. Jego twarz, nawiedzone oczy, całe ciało, wywołały we mnie lawinę wspomnień kościelnych i rzymskich, które tak całkowicie były mi teraz obce. Wracałem wciąż myślą do umierających świętych w galeriach, twarzy Jezusa w koronie cierniowej, z krwią spływającą z czoła - wisiała, jak przypomniałem sobie, w mrocznym końcu korytarza w szkole - do wyprężonej z bólu postaci Chrystusa wyrzeźbionej przez Giacomettiego. Przypominał mi również statystów, którymi Fellini miał zwyczaj zapełniać ekran, by zbudować w jednym czy dwóch ujęciach świat Watykanu. Włosy błyszczały mu jak szkło. Kiedy go obserwowałem, wypalił trzy papierosy. Jego dłoń nieznacznie drżała. Sprawiał wrażenie kogoś tak bardzo napiętego, że mógłby mu pęknąć kręgosłup.

Garrity zaniósł bagaże Sandanato na górę, do jego pokoju, a mój gość poszedł za nim. Ciemny cień w pantoflach od Gucciego.

- Czy ty nigdy nie sypiasz? - spytałem Artiego Dunna.

- Cztery godziny na dobę w zupełności mi wystarczają. Sen sprawiedliwego. Czasami zapadam w krótką drzemkę jak kot. Och, przypomniałem sobie o Kołtunie. Muszę iść.

- Słucham? - spytała Elżbieta.

- Kołtun - powiedział Dunn. - Mój kot. Nazywa się Kołtun. Przez dwa lata nie miał imienia - a potem jakoś samo do mnie przyszło. Mój kot przypomina kołtun. Bardzo irytujące stworzenie. Ale nie chcesz chyba, bym zaczął...

- Wierz mi, że nie chcę - przerwała. - To wstrętne.

- Też tak uważam. - Dunn uśmiechnął się do niej. - Muszę nakarmić to biedactwo.

Kiedy wyszedł, odwróciła się do mnie.

- Co za niezwykle tajemniczy człowiek! Ma swój plan - dałabym wszystko, żeby wiedzieć jaki. Jest w nim coś, co mnie przeraża.

- Mówimy o czymś tajemniczym, przerażającym... Opowiedz mi zatem o Sandanato.

- Nigdy nie widziałam go bez D'Ambrizziego. Stworzył go D'Ambrizzi, jemu zawdzięcza karierę. Zabrał go z sierocińca, wychował, a teraz polega na nim w - najdrobniejszych sprawach. Sandanato jest jego adiutantem w trwającej właśnie bitwie z kardynałem Indelicato...

- A o co walczą?

- O przyszłość Kościoła, naturę Kościoła. Wiszą sobie u gardeł przez całe swoje życie. Pięćdziesiąt lat podgryzania, przynajmniej tak mówią. A teraz, no cóż... - Wzruszyła ramionami i zaczęła układać od nowa bukiet suchych kwiatów w miedzianym dzbanie stojącym na stoliku.

- A teraz co? Wiem, że nie należę do wewnętrznego kręgu katolickiego ani też kościelnego. Straciłem moją kartę członkowską, ale możesz mi zaufać...

- Pomyślałam tylko, że nie będą interesowały cię te sprawy...

- Spróbuj, siostrze.

- Chciałam powiedzieć, jakie to dziwne, że tych dwóch przeżyło pięćdziesiąt lat, te wszystkie bitwy, zwycięstwa i porażki i dotarło do tego punktu - dwóch starców i obaj mają w zasięgu ręki końcowy triumf - pontyfikat.

- Czyż nie są strasznie starzy? Żaden z nich nie poprowadzi Kościoła w następny wiek...

- Obaj są bardzo krzepcy - stwierdziła - i wiek naprawdę nie jest tu taki ważny. Praca, którą należy wykonać, to ustalenie priorytetów, wprowadzenie Kościoła na szlak. I szczerze mówiąc, trochę nam brakuje młodszych kandydatów. Może Federico Scarlatti, ale on jest za młody, ma tylko pięćdziesiąt lat.

- Nazwałabyś Sandanato szefem kampanii wyborczej D'Ambrizziego?

- Wiesz, że to tak nie funkcjonuje, Ben...

- Niech mnie diabli, jeśli nie. Linia partyjna marnuje się na takiego starego jezuitę jak ja, Elżbieto. Uśmiechnęła się do mnie wyrozumiale.

- Stajesz się niemożliwy, ale podejrzewam, że napawa cię to dumą. W każdym razie Sandanato jest raczej szefem sztabu. Jeśli upierasz się, by szukać szefa kampanii, to sądzę, iż mógłby nim być Curtis Lockhardt. To tylko domysły z mojej strony, ale ostatnie spotkanie Heffernana i Lockhardta potwierdza

ich słuszność.

- Jakie wnioski można z tego wyciągnąć? Że ktoś, kto nie chciał, by D'Ambrizzi wygrał...

- Mój Boże, nie wygrasz papieżstwa, to nie gra w piłkę!

- Oczywiście, że się wygrywa i oczywiście to jest gra w piłkę, siostró. Tak więc ktoś zabił Lockhardta i Heffernana, by zmniejszyć szansę D'Ambrizziego? Czy tak?

- Ależ to brzmi absurdalnie! Naprawdę, Ben, nie mamy do czynienia z kolejnym kryminałem pióra Dunna, niezależnie od tego, co on mówi!

- Absurd? Według mnie absurdem jest zamordowanie trojga ludzi z zimną krwią. Ale nie wydaje mi się takie absurdalne, że zostali zabici bez powodu... tak, teraz to nie miałoby sensu. Był motyw, siostró

- Uwierz mi. I jestem go cholernie ciekawy. Chcę, żeby człowiek, który zabił moją siostrę, zapłacił za to. Ale nie znajdziemy go, dopóki nie będziemy znali jego motywów. A w świecie Kościoła - papieżstwo może jest warte zabójstwa.

Biegłem zbyt daleko, za długo i z większą gwałtownością, niż miałem zamiar. Mój gniew wychodził na jaw i nawet mnie samego zaskoczył. Było to jak rzut oka na czerwonoookiego potwora, skrytego pod maską normalności.

Popatrzyła na mnie zimno, ramiona splotła na piersi. Kółka kręciły się w tej królewskiej głowie i w końcu potrząsnęła brunatną grzywą. Oceeniła sytuację. Jej twarz złagodniała, jakby postanowiła dać mi jeszcze jedną szansę.

- A jednak - powiedziała - to brzmi absurdalnie. Znam ludzi z kręgu Kościoła. Nie są mordercami, Ben. Nie udaję, że mam jakiś pomysł, by wyjaśnić, co się tutaj stało. Nie wyciągam wniosków, które wydają się tak fascynować ciebie i Artie Dunna. Powiedzmy, że staram się zachować rozsądek i otwartą głowę.

- Byle nie była pusta - powiedziałem.

Roześmiała się, co znowu sprawiło mi ból, bo tak bardzo przypominała mi Val.

- Wszystko psujesz od samego początku, chcesz się kłócić?

- Masz rację - potwierdziłem. - Cholernie chcę.

- Chyba zostałam ostrzeżona. Jesteś przecież bratem Val.

- I synem mojego ojca. Nie zapominaj o tym. W środku jestem bezwzględny sukinsynem. - Usiadłem w fotelu i siłą woli rozluźniłem się. - Muszę wypracować sobie sposób na przeżycie tej sytuacji. Nawet nie zacząłem godzić się z jej śmiercią - jak widzisz, siostró. Nie zdecydowałem jeszcze, co dalej robić. Wydaje mi się, że wiem, ale nie jestem całkiem pewien jak - więc możesz zaspokajać swoje kaprysy przez jakiś czas. Mów do mnie. Opowiedz mi więcej o Sandanato, a potem powiem ci, co w nim zauważyłem. Mów do mnie, siostró.

Westchnęła.

- Cóż, mam mieszane uczucia co do naszego dobrego monsignora. Przez kilka dni wydaje mi się idealnym przedstawicielem wysokiej hierarchii Watykanu, doskonałym technokrata, zimnym i kalkulującym, człowiekiem, który pracuje i potrafi grać na tym systemie jak na Stradivariusie... ale następnego dnia dochodzę do wniosku, że jest absolutnie religijny, prawie zakonnik. Fascynują go

klasztory i może tam właśnie przynależy. Ale i tak dla Sandanato Kościół jest światem, świat jest Kościołem. Istnieje różnica między nim a D'Ambrizzim. Kardynał uświadamia sobie istnienie zarówno Kościoła, jak i świata, a co ważniejsze, dobrze wie, że jeden musi istnieć w drugim. Kardynał D'Ambrizzi jest prawdopodobnie najbardziej światową osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

- Wyglądają więc na dziwacznie dobraną parę.

- Poza tym - dodała, patrząc przez okno na kaplicę z pobielonym szronem dachem, stojącą posepnie na zamarzniętym trawniku - wydaje mi się, że Sandanato jest sumieniem D'Ambrizziego. Oczywiście Val uważała go za fanatyka, maniaka. - Roześmiała się na samo wspomnienie.

Zapadła cisza. Na zewnątrz było ponuro, a cienie zbierały się jak wrogie armie. Myślałem o Val, wyobrażając sobie, jaki człowiek mógł ją zabić. Zastanawiałem się, co mu zrobię, jeśli uda mi się go odnaleźć.

Zapaliła jedną lampę, a potem następną. Podmuch wiatru zaświszczał w kominie, wzbijając w górę popiół w palenisku.

- Miałeś mi powiedzieć o czymś, co w nim dostrzegłeś - powiedziała cicho.

- Ach, tak. Jest w tobie zakochany, siostrze Elżbieto. Otworzyła usta, zamknęła je i powoli zaczerwieniła się. Przez chwilę nic nie mówiła.

- To jest dopiero absurdalne, Benie Driskill. Po prostu śmiechu warte! I obłąkane! Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak mogłeś dojść do tak idiotycznego...

- Siostrze, uspokój się. To było tylko przelotne wrażenie. Choć jest oczywiste. Nie mógł oderwać od ciebie wzroku na dłużej niż pięć sekund. Pomyślałem, że to miłe.

- Och, Val uprzedzała mnie, jak potrafisz być irytujący, ale to...

- Siostrze, nie powiedziałem, że ty jesteś w nim zakochana. Uspokój się.

Przewróciła oczami, wciąż zaczerwieniona.

- Musisz się jeszcze czegoś nauczyć, chłopcze.

Przeszła przez cały pokój, zatrzymała się na moment, by jeszcze na mnie spojrzeć przed wyjściem. Nie mogła nic wymyślić, co miałaby mi powiedzieć w ostatniej chwili i tylko tak przez chwilę stała. Usłyszałem, jak wchodzi na górę.

Na krótko mój gniew zniknął. Potem znowu zacząłem myśleć o zabójcy. Kim był i gdzie jest.

Mój ojciec leżał zupełnie nieruchomo na wykrochmalonych białych prześcieradłach. Twarz szara jak popiół. Oczy zamknięte, tylko powieki drżały jak maleńkie skrzydła. Pokój wyglądał wprost jak z serialu telewizyjnego, łącznie z monitorem, który wydawał z siebie ciche pikanie, niczym muzyka w tle. Była to separotka, skromna, ale najbardziej zbliżona do wygod przesydenckich, jakie mógł mu zaofiarować szpital. Nawet podłączony do maszyny i przypominający bardziej umarłego niż żywego, pozostawał piekielnie niezwykłym facetem. Masywny, dobrze zbudowany; musiałem chyba spodziewać się, że będzie wyglądał jak stary, słaby i kruchy człowiek, jakiego trzymałem w ramionach, gdy upadł na schodach. Pomyliłem się. Prawdopodobnie był teraz w lepszym stanie, niż wtedy.

To nie widok mojego ojca mnie zaniepokoił, lecz zakonnica w czarnym habicie, pochylająca się

nad nim, szepcząca coś do niego, jak anioł śmierci zadający ostatni cios.

Pielęgniarka, która mnie przyprowadziła z holu, była wysoka, dobrze zbudowana, rumiana: uosobienie zdrowego rozsądku. Podeszła do łóżka, szepnęła coś, a zakonnica, starsza kobieta, pokiwała głową i opuściła pokój, zostawiając za sobą smugę czystego zapachu mydła, który pamiętałem z dzieciństwa. Gdy mijala mnie, jej habit szumiał. Wydawało mi się, że słyszę, jak wymawia moje imię - Ben, Ben - ale odeszła, a pielęgniarka odezwała się swym niskim, przyjemnym, dobrze wytrenowanym głosem.

- Odpoczywa bardzo wygodnie. Już nie jest w śpiączce, ale nadal dużo śpi. Jest podłączony do tego - wskazała dłonią pikającą maszynę. - I możemy obserwować jego stan z dyżurki. Nie było już potrzeby trzymania dłużej pacjenta na oddziale intensywnej terapii. Doktor Morris za dzień, dwa, zechce z pewnością, by pacjent wstawał. Doktorowi będzie przykro, że się z panem nie spotkał, panie Driskill. No tak... - dodała, sprawdzając przewody podłączone do mojego ojca, poprawiając poduszki powolnymi ruchami. - Zostawię pana na kilka minut.

- Siostró, widziała pani ze mną księdza? Chciałby porozmawiać z moim ojcem...

- Och, tylko członkom rodziny wolno, obawiam się...

- To może mi pani powie, jakie pokrewieństwo łączy mnie z tą zakonnica, która kręciła się przy moim ojcu, chociaż nie jest jeszcze całkiem zimny?

- No cóż, nie wiem. Przychodzi tu codziennie. Rano i po południu. Wydawało mi się, że dostała od kogoś pozwolenie...

- Widzi pani, ksiądz, który jest ze mną, to emisariusz z Rzymu wysłany przez papieża Kaliksta. Nie sądzę, byśmy mogli odesłać go z powrotem do Rzymu z pustymi rękami, czy nie tak, siostró?

- Oczywiście, panie Driskill.

- I byłbym zobowiązany za sprawdzenie, kim jest ta zakonnica.

- Dobrze, panie Driskill.

- A teraz proszę mnie zostawić samego z moim ojcem. Zamknęła za sobą drzwi. Stałem odwrócony plecami do okna, patrzyłem na niego. Mój cień padał na jego twarz.

- A to dopiero przemowa. Dobry z ciebie chłopiec, Ben. - Lewe oko mojego ojca otworzyło się trochę. - Nigdy nie miej ataku serca, radzę ci. Czujesz się potem tak, jakby pocisk MX uderzył cię w piersi. Nie rób tego, jeśli nie masz zamiaru zrobić tego dobrze i kopnąć w kalendarz.

- Głos masz całkiem niczego - powiedziałem. - Piekielnie mnie wystraszyłeś.

- Spadając ze schodów?

- Nie. Odzywając się tak znieczeka. Nie spodziewałem się...

- To wszystko gra - stwierdził.

- Jaka gra?

- Moje świergotanie. Czuję się okropnie. Podniesienie ręki to praca na pół dnia. Nie rozmawiam zbyt wiele z lekarzami. Podnoszą mnie i każą biegać w miejscu, przekłęci sadyści. - Oddychał ze świstem - wdech miał płytkie, szybkie. - Ben, ciągle śni mi się Val... Pamiętasz ten dzień, kiedy Gary Cooper narysował was oboje?

- Myślałem o tym przedwczoraj.

- Moje sny pełne są umarłych. Val, Gary Cooper, twoja' matka... - Zakaszłał cicho. - Cieszę się, że tu jesteś, Ben. Pocałuj swojego ojca.

Pochyliłem się i przytuliłem policzek do jego twarzy. Poczułem, że jest ciepły i suchy. Miał krótki zarost, który może tłumaczył szarość jego skóry.

- Weź mnie za rękę, Ben. - A gdy to zrobiłem, mówił dalej: - Jesteś trudny, synu. Wiesz o tym. Trudny. I zawsze taki będziesz, jak podejrzewam. - Odchyliłem się i powiedziałem mu, że uważam swoją naturę pokrzywy za część mojego czaru.

- Tak, tak.

- Będziesz zachwycony, jak się dowiesz, że za drzwiami czeka emisariusz papieża.

- Och, mój Boże, czy ze mną jest aż tak źle?

- Przyjechał też z powodu Val. Dwie pieczenie...

- Ben, jesteś świętokradcą. Grzesznikiem.

- Nie odejdzie, dopóki go nie przyjmiesz, wiesz o tym?

- Tak myślałem. Ben, jesteś usatysfakcjonowany, że wciąż żyję i macham nogami? - Pokiwałem głową. - Nie bądź taki zimny. Zastanawiałem się, kiedy przyjdiesz.

- Powiedzieli mi, że jesteś w śpiączce. - Uśmiechnąłem się do niego. - Ciesz się, że w ogóle przyszedłem.

- Ale mam szczęście.

- A co to za osobista zakonnica, która się przy tobie kręci?

Pokręcił głową.

- Ben, daj mi wody, proszę.

Podtrzymałem plastikowy kubek, z którego napił się przez rurkę. A potem powiedział:

- Wpuść tego człowieka od papieża. Jestem cholernie zmęczony. Przyjdź do mnie znowu, Ben.

- Przyjdę - odpowiedziałem. Byłem już prawie za drzwiami, kiedy odezwał się znowu.

- Ben... czy coś wiadomo o zabójcy? Val, Lockhardt, Andy... Złapali kogoś?

Pokręciłem głową.

- Chociaż to ten sam pistolet. I ten sam zabójca. Zamknął oczy. Wróciłem do poczekalni.

Sandanato palił papierosa, wyglądając przez okno na stary budynek z czerwonej cegły. Deszcz przechodził w śnieg i zapalały się światła w gęstniejącej ciemności. Przedtem zdrzemnął się trochę, ale nie wyglądał na wypoczętego. Miał bardzo długą podróż za sobą - przyjechał z Rzymu - i każda przebyta mila odcisnęła na nim swój ślad.

- Jest przytomny - powiedziałem. - Lepiej skorzystać z okazji. Popatrzył mi w oczy, skinął głową, zdusił papierosa i ruszył korytarzem.

Elżbieta wróciła do poczekalni. Obok niej stała starsza zakonnica z pokoju mojego ojca. Kontrast był uderzający. Starsza kobieta z pewnością nie mogłaby wyobrazić sobie bycia zakonnice i prowadzenia jednocześnie takiego trybu życia jak Elżbieta. Elżbieta popatrzyła na mnie i zwróciła się do niej.

- Musisz więc znać ten okropnie zepsuty egzemplarz.

- O tak - odparła.

Miała tak delikatną twarz, kości i skórę, że mogłaby uchodzić za dzieło ze starej porcelany, której wiek sprawił, iż stała się cenniejsza. Oczywiście jej włosy pozostawały ukryte, a twarz otaczała biel. Była jeszcze teraz taka ładna. Pomyślałem, jaka piękna musiała być kiedyś. Zawsze miałem szczęście zapamiętywać ładne zakonnice. Chyba te z brodawkami na nosie i obrośniętymi podbródkami od razu zapominałem.

- Znam Bena od czterdziestu lat. - W jej oczach błyszczała złośliwość. - Ale wydaje mi się, że mnie zapomniał.

Przypomnienie przyszło w mgnieniu oka, jednym uderzeniu serca.

- Zapomnieć? Siostrę Marię Angelinę? Co za pomysł! Siostra Maria Angelina pomogła mi przeżyć mój pierwszy kryzys wiary.

- Źle się stało, że nie mogła iść za tobą przez resztę twojego życia, by podnieść cię za każdym razem, kiedy się potknąłeś - stwierdziła Elżbieta. Uśmiechała się słodko, ale oczy jej płonęły.

- Co masz na myśli, Beniaminie? - Siostra Maria Angelina wpatrywała się we mnie z ciekawością.

- Pewnego dnia w szkole miałem już dosyć wszystkiego. Uderzyłaś mnie linijką po dłoniach i uciekłem, schowałem się na podwórku, ale zrezygnowałem i biegłem, a ty mnie złapałaś. Wyobraziłem sobie, iż zabawa się skończyła i dopiero teraz dostanę... ale ty zamiast tego objęłaś mnie, pogłaskałaś i powiedziałaś, że wszystko będzie dobrze. Nigdy tak naprawdę z tego nie wyrosłem. I nigdy do końca nie zrozumiałem, co się stało. Tak, możesz być pewna, że cię nie zapomnę, siostro.

- Czy to nie dziwne? - odparła. - W ogóle tego nie pamiętam. Ani trochę. Mam prawie siedemdziesiątkę i może już zaczynają mi wypadać trybiki.

- Podejrzewam, że to zdarzało się w twojej pracy często.

- Cóż, tyłu miałam uczniów przez te wszystkie lata.

- Nie wiedziałem, że znasz tak dobrze mojego ojca.

- Twojego ojca i twoją matkę. Tak, zawsze się przyjaźniliśmy. Odwiedzałam właśnie panią Francis, kiedy twój ojciec miał atak i przywiozłeś go tutaj - to był szok. Twój ojciec jest... tak, spodziewamy się, że ktoś taki jak Hugh Driskill będzie, będzie i będzie. - Popatrzyła mi badawczo w oczy i zwróciła się do Elżbiety. - Niektórzy są tacy. Jak gdyby brakowało im genu śmiertelności... ale oczywiście wszyscy jedziemy na tym samym wózku, jeśli o to chodzi, nieprawdaż? - Westchnęła i na jej ustach pojawił się miły, przyklejony uśmiech zakonnicy. - Ben, dobrze cię znowu widzieć. I bardzo, bardzo ci współczuję. Siostra Valentine była takim kochanym dzieckiem. Ale przynajmniej twój ojciec zdrowieje całkiem szybko. Będę się za ciebie, za was wszystkich, modlić.

Siostra Elżbieta pociągnęła mnie za rękaw, kiedy zostaliśmy sami. Popatrzyłem na nią. Uśmiechała się nieśmiało.

- Val zawsze ciągnęła mnie za rękaw - zauważyłem.

- Przepraszam. - Puściła materiał natychmiast.

- Nie - powiedziałem. - To mi się nawet podobało. Czułem, że tak... jest dobrze.

- Czy obiecujesz teraz grzecznie się zachowywać? - Jej głos był cichy.

- Dlaczegoż by nie? - spytałem. - Teraz już na to za późno. Kiedy siedzieliśmy w samochodzie, przyszła mi do głowy pewna myśl.

- Siostra Maria Angelina. Zastanawiam się, czy znała ojca Gouverneau? Jeśli tam wtedy była i jeśli on lubił panie, mogła go znać. Czy to głupia myśl?

- Zastanawiam się - odparła.

Nie pozwalała mi zasnąć. Wypalała dziurę w mojej nocy, w ciemności, w samym pojęciu odpoczynku. Zamknąłem oczy, lecz jej twarz przychodziła do mnie jakby we śnie. Ale to nie był sen. Nie spałem i wszystko działo się właśnie tak, jak chciała Val.

To było tak, jakby dała mi kilka dni, żeby osłabł szok spowodowany jej śmiercią. A teraz przychodziła do mnie z interesem. Wystarczy tej żałoby, jak gdyby wykrzyczała do mnie. Duży bracie, co masz zamiar z tym wszystkim zrobić? Jakiś żałosny drań rozwała mi głowę, a ty jak teraz postąpisz? W moich myślach nie kłóciła się ze mną, nie grała w jakąś grę, lecz żądała odpowiedzi. Była stworzona do działania, gotowa, by wyruszyć. Zrobiłam, co do mnie należało, mówiła do mnie, podejmowałam ryzyko i zostawiłam ci dość przesłanek, by rozwiązać tę tajemniczą historię... Przypomniałam sprawę ojca Gouverneau i schowałam zdjęcie w bębenku... A teraz, na miłość boską, podnieś piłkę i pobiegnij z nią... Och, wielki Benie, dlaczego nie mogę do ciebie dotrzeć, z ciebie taki głuptas... Bądź dzielny dla mnie, Ben, rozwal to święte piekło!

Gdzieś koło północy, gdy cały dom spał, miałem już prawie dość mojej kochanej zmarłej siostry. Nawet jej duch był hałaśliwy. Powinienem się tego spodziewać. Nawet po śmierci pozostała tak żywa jak zawsze, uparta, zdeterminowana. Wstałem i otuliłem się szlafrokiem. Nie miała zamiaru zostawić mnie w spokoju i kiedy mówiłem do siebie, przerywała mi. Jutro mnie pogrzebiesz, Ben, jutro mnie pogrzebiesz... wtedy naprawdę odejdę, odejdę naprawdę...

- Nie zmuszaj mnie - szepnąłem. - Nigdy się od ciebie nie uwolnię, siostrzyczko, oboje o tym wiemy, i nigdy nie będzie inaczej. - Prawie słyszałem jej cichnący głos, nazywający mnie głuptasem.

Potrzebowałem porcji brandy. Może uda mi się zasnąć. Val była - jako duch - projekcją mojej psychiki. Zszedłem na dół, słyszałem, jak dom trzeszczy i jęczy na wietrze. Wszystkie upiory uciekły.

W Długiej Sali płonęło światło.

Sandanato siedział w skórzanym fotelu, odwrócony plecami do zimnego kominka.

- Można tu zamarznąć - powiedziałem.

Na stole przed nim stała butelka brandy. Kieliszek trzymany w obu dłoniach spoczywał na piersi. W popielniczce palił się papieros. Powoli popatrzył na mnie. Powieki mu opadały, a jego twarz była ściągnięta od bezsenności. Nie okazał zdziwienia widząc mnie.

- Nie mogłem zasnąć - rzekł. - I znalazłem brandy. Obudziłem pana?

- Nie, nie, też nie mogłem zasnąć. Myślałem o jutrzejszym pogrzebie. Jutro będzie tu piekło. Połowa żałobników spodziewa się, że moja siostra powstanie z martwych i ogłosi zbawienie wszystkich dobrych katolików, a druga połowa sądzi, iż zawarła pakt z szatanem i poszła wprost do wiecznego ognia

piekielnego. Jestem na skraju wyczerpania nerwowego.

Pokiwał głową.

- Mówi pan tak, jakby miał tyle samo kłopotów, co ja... Mogę panu zaproponować trochę pańskiej brandy, panie Driskill?

- Oczywiście, że tak.

Nalał mi hojną dawkę i zaproponowałem, by dolał jeszcze sobie. Przestał nalewać i wręczył mi kieliszek.

- Dziękuję, monsignor. Może sen nas odnajdzie. - Wypiliśmy za to, by się tak stało.

- Czy jest pan malarzem? To niezwykła praca. Godna uwagi. Prawdziwe uczucie. Duchowość.

Przez chwilę zupełnie nie kojarzyłem, o co mu chodzi. Sandanato zaciągnął się papierosem i machnął ręką w stronę końca Sali. I wtedy zobaczyłem.

Zdjął tkaninę ze sztalug. Oczywiście w żaden sposób nie mógł wiedzieć o niechęci mojego ojca do oglądania obrazu w trakcie pracy. Wychyliłem się, by zobaczyć płótno w przyćmionym świetle lampy, stojącej na stole.

- To mój ojciec jest malarzem.

- Niezwykły zmysł dramatyzmu. Jak również uchwycenie historii Kościoła. Czy kiedykolwiek namalował ruiny klasztoru? Są tam niekiedy niewiarygodnie dramatyczne widoki... Ale ten obraz jest niezwykły. Nie widział go pan wcześniej?

- Nie, nie widziałem. Ojciec nigdy nie pokazuje swojej pracy przed skończeniem.

- Zatem to będzie nasza tajemnica. Próżność prawdziwego artysty. - Odchylił się w fotelu i zobaczyłem jego oświetlony profil z orlim nosem. Na twarzy pojawiła się mu cienka warstewka potu, chociaż w pokoju było bardzo zimno. - Podejźmy, przyjrzyjmy się dokładnie. Wierzę, że uzna pan tę pracę za szczególnie fascynującą. Jeśli nadal lubi pan katolickie dzieła. - Zaciągnął się papierosem, a chmura dymu przesłoniła jego twarz.

- Nadal?

- Pańska siostra kiedyś wspomniała mi, że przez jakiś czas był pan jezuitą. A potem... - Wzruszył ramionami. - Odpadł pan.

- Jak delikatnie powiedziane.

- Ach, muszę przyznać, że ujęła to w dialekcie ulicy. Pańska siostra ma... lubiła... bardzo szczególnie dobierała idiomy.

- Założę się, że tak. Wiem, że tak.

- Niech mi pan powie, dlaczego opuścił pan seminarium?

- Kobieta.

- Naprawdę była tego warta?

- Czy nic o niej nie napisali w moim dossier?

- Ależ... Co pan ma na myśli? Nie ma żadnego dossier...

- Proszę mi wybaczyć. To była uwaga nie na miejscu. Jest w końcu środek nocy...

- A więc, czy ta kobieta była tego warta?

- Kto wie? Może pewnego dnia znajdę odpowiedź.

- Czyżbym słyszał smutek w pana głosie?

- Wydaje mi się, że pan całkowicie się myli, monsignor. Odszedłem z powodu Dziewicy. Już nie mógłbym uwierzyć w nią i całą resztę tej zabawy...

- I teraz zastanawia się pan, czy Ona stanowiła wystarczający powód, by odejść?

- Żałuję, że wykorzystałem ją jako wymówkę. Było znacznie więcej lepszych powodów.

Jego uśmiech zniknął.

- I tyle autobiografii. Chodźmy, popatrzmy na obraz pańskiego ojca.

Podeszliśmy do sztalug i włączyłem jeszcze jedną lampę. Obraz przedstawiał cesarza Konstantyna, wypatrującego znaku na niebie. W swym pełnym siły, prymitywnym stylu - stylu opowiadania - mój ojciec uchwycił moment, w którym zmieniała się historia Zachodu po wsze czasy. Monsignor Sandanato oglądał płótno, z podbródkiem opartym na dłoni, rzucał ukradkowe spojrzenia przez chmury dymu i zaczął mówić, jak gdyby informował poganina, co się stało dawno temu na drodze do Rzymu. Mówił o krwawym, czerwonym krzyżu...

Historia Kościoła zawsze była pełna krzyczących twarzy, utopionych w krwi przez nieokiełznaną ambicję, chciwość i korupcję, intrygę i wojnę. Zawsze należało równoważyć zło i pragnienie władzy z dobrem, bezinteresownością, wiarą i nadzieją, którą Kościół dawał człowiekowi, nadzieją i obietnicą, sprawiającą, że istnienie nie do zniesienia stawało się w jakiś sposób znośne. Bez względu na to, kogo Kościół torturował i zabijał, istnieli ludzie, którzy to robili, ludzie, a nie wiara, o jaką walczył Kościół. Ludzie zawsze byli dobrzy i źli, ale wiara w ideę, że Chrystus umarł za nasze grzechy, że człowiek w swej słabości zostanie odkupiony na wieczność w Chrystusie - przesłanie wiary zawsze przeważało szalę. Uczono nas, iż dobro jest większe, choć czasami w to wątpiliśmy. Po prostu wątpliwości pojawiały się znacznie częściej.

- Aż do dwudziestego siódmego października roku 312 - mówił Sandanato - bycie chrześcijaninem było proste, choć może nie całkiem przyjemne. Mogłeś zostać pożywieniem dla lwa lub spędzić życie w podwójnych dybach - przegub do kostki. Rzymscy chuligani mogli zabić cię na ulicy tylko dla czystej przyjemności lub można było zostać ukrzyżowanym przy rzymskiej drodze, aby służyć jako przykład, ale wiedziałeś, jak sprawy stoją między tobą a resztą świata. Bogactwo, władza i przyjemność były złem... a ubóstwo, wiara w Boga i obietnica zbawienia wszystkim, na czym polegało twoje istnienie. - Tak wyglądało wyobrażenie Sandanato o burzy mózgów o północy, ale musiałem przyznać, że dzięki temu wróciłem w przeszłość. Czułem się dziwnie dobrze, nie miało sensu temu zaprzeczać. To sprawiało, iż znowu zacząłem myśleć jak katolik.

Dwudziesty siódmy października 312.

Konstantyn, Germanin, trzydzieści jeden lat, mówiący płynnie sześcioma językami, był pogańskim wojownikiem-królem, który rządził Zachodem od Szkocji po Morze Czarne, przygotowywał ważną bitwę przy jednym z największych mostów Rzymu, Milwianie. Gdy nadszedł zmierzch, wiedział, że rano przyniesie okrucieństwo bitwy. Konstantyn miał wizję... i świat był już potem zupełnie innym

miejszem. Na niebie, czerwonozłotym w blasku zachodzącego słońca, zobaczył krzyż Jezusa i usłyszał głos, tak jak Paweł go usłyszał na drodze do Damaszku. „Z tym znakiem zwyciężysz”. Rankiem rozpoczął bitwę, a tarcze jego żołnierzy i głowy ich koni nosiły namalowany znak krzyża. Wygrał bitwę. Rzym należał do niego i nie miał wątpliwości dlaczego. Moc Jezusa dała mu zwycięstwo.

Dwudziesty ósmy października 312 roku.

Wciąż spływający potem, umazany krwią i oblepiony gnojem bitwy, zażądał, by zawieziono go do Trastevere - dzielnicy Rzymu, gdzie przyprowadzono mu przerażonego, małego, ogorzałego człowieka. Miltiades - papież. Miltiades spędził swoje życie w ukryciu, wciąż obawiając się złapania i nieuniknionej egzekucji. Teraz oczekiwał najgorszego. Był tak mało wykształcony, że poprosił o tłumacza, by zrozumieć perfekcyjną łacinę Konstantyna. Drżał przed wysokim, jasnowłosym Teutonem. Ale przesłanie było wyraźne. Prawie zemdał, gdy go wysłuchał.

Od tej chwili wszystko powinno stać się inne, nowe, lepsze. Rzym był chrześcijański. Cesarz miał nosić gwóźdź z ukrzyżowania Jezusa w swej koronie, drugi gwóźdź chciał umieścić w wędzidle konia, by zawsze mieć go przy sobie w czasie bitwy.

Następnego dnia Konstantyn z rodziną, Miltiadesem i jego pierwszym księdzem Sylwestrem przyjechali obok stadionu Kaliguli, świątyni Apollina i Cybele do cmentarza na szczycie Watykańskiego Wzgórza, gdzie Konstantyn ukląkł do modlitwy nad kośćmi Piotra i Pawła. Gdy spacerowano po cmentarzu, cesarz przedstawił swój plan: bazylika pod wezwaniem Piotra będzie zbudowana tutaj, nad jego szczątkami, a kości Pawła zostaną przeniesione do tego miejsca na drodze do Ostii, gdzie został zabity, i powstanie tam następna bazylika. Ale to nie było wszystko. Konstantyn uważał się teraz za człowieka z misją. Pojechano na Wzgórze Laterańskie, zabudowane pałacami starożytnej rzymskiej rodziny Laterani. Konstantyn otworzył na oścież bramy i rzekł: „Odtąd będzie to dom Miltiadesa i każdego następcy błogosławionego apostoła, Piotra”.

Piętnaście miesięcy później Miltiades nie żył, a papieżem został Sylwester, koronowany przez Konstantyna. Sylwester - pierwszy prawdziwie świecki papież - pochwyił, z bystrością daleko większą niż Miltiades, nową i niezaprzeczną przyszłość Kościoła. To właśnie on wykuł więź między Kościołem a cesarstwem, gwarantując w ten sposób, że pierwszy Kościół o światowym zasięgu rozszerzał się będzie wzdłuż prostych rzymskich dróg do każdego zakątka rozległego dominium. To Sylwester wysłuchiwał spowiedzi Konstantyna. To Sylwester zobaczył, że triumf Chrystusa nie musi czekać aż do Drugiego Przyjścia. Jezus Chrystus miał rządzić poprzez władze Rzymu całym światem, władać przez urzędy następców Piotra. Kościół wydawał się nieskończony w swych możliwościach.

- Trzy stulecia prawie nie istnieliśmy na świecie - powiedział Sandanato. - Polowano na nas, męczono, więc się ukrywaliśmy. A teraz Sylwester miał ogromną szansę sprawienia, że Kościół stanie się kościołem świata. Jezus mówił do Konstantyna, nawrócił go, a cesarz posiadał środki, by nawrócić resztę świata. Duchowość została na dobre oddana bogactwu, wystawności i sile. Z Konstantynem u boku Sylwester mógł teraz powrócić do słów, które Jezus powiedział do Piotra na górze Hermon. - Sandanato przerwał, popatrzył na mnie, jakby chciał, żeby moja katolicka pamięć podsunęła mi cytat. Jakoś wynurzył się z głębin podświadomości.

- Daję ci klucze do Królestwa Niebieskiego - wyrecytowałem. - Cokolwiek ustanowisz na Ziemi, będzie tym, na co niebiosy zezwalają, a cokolwiek zabronisz na Ziemi, będzie tym, co niebiosy zabraniają.

- Dokładnie - stwierdził. - Po raz pierwszy w historii następcą Piotra miał siłę, którą każdy mógł zrozumieć. I oczywiście on, wraz ze swoim Kościołem, stał się tego ofiarą. Bardziej niż kiedykolwiek, w nadchodzących stuleciach miała prześladować nas przemoc, nigdy nie zostawiając w spokoju... To cena Konstancy - ciągnął Sandanato. - Kiedy już pogodziliśmy się ze świecką władzą, musieliśmy zapłacić świecką cenę. Z władzą przyszli żądni władzy wojownicy, pragnący odrzec nas z naszych wojskowych sojuszy i ogromnego bogactwa, które było własnością Kościoła. Nasza historia jest historią gróźb, jakie wobec nas wygłaszano, kompromisów, na które musieliśmy się zgodzić. Ale, aż do tej pory, panie Driskill, zawsze wiedzieliśmy, kim są nasi wrogowie. Nawet jeśli wyzwanie było najbardziej drastyczne, wiedzieliśmy, co się dzieje. Pan oczywiście przypomina sobie, że w niemiłosiernie upalnym sierpniu 1870 roku...

Dobrze pamiętałem, co się wówczas stało, tak jak każdy seminarzysta miał obowiązek pamiętać. To właśnie wtedy świecki świat ostatecznie obrócił się przeciw Kościołowi. Wszystko, co wydarzyło się w czasie tego długiego, dręczącego lata ponad sto lat temu, naprawdę zaczęło się w 1823 i ciągnęło przez dwadzieścia trzy lata poprzez pontyfikaty Leona XII, Piusa VIII i Grzegorza XVI: dwadzieścia trzy lata papieskiego ucisku i dyktatury w Rzymie i Stanach Papieskich, gdzie rządili królowie-papieże. Prawie ćwierć miliona obywateli skazano na śmierć lub na dożywotnie uwięzienie, lub na banicję za przestępstwa polityczne - to jest za powodowanie niezadowolenia Kościoła. Książki cenzurowano, społeczeństwu zabroniono zbierać się w grupki liczniejsze niż trzy osoby, podróżowanie zostało ściśle ograniczone, a trybunały odbywały sesję wszędzie, by osądzić jak najsurowiej oskarżonego. Przewód sądowy prowadzono wyłącznie po łacinie; w konsekwencji rzadko kto rozumiał, o co go oskarżano. Sprawiedliwość przestała istnieć, a zastąpił ją gwałtowny kaprys, przywrócona przez Leona XII inkwizycja i jej nieludzkie tortury. Papieże nie słuchali błagań podległego im ludu. Na każdym placu w mieście stała szubienica, zawsze gotowa, by przyjąć tych, którzy zbłądzili na ścieżkach Kościoła.

Mnożyły się tajne stowarzyszenia. Zabójstwa stały się sposobem na życie. A kiedy lud Bolonii zbuntował się, bunt został brutalnie zduszony. Wydawało się, że wojska austriackie są zawsze gotowe na każde wezwanie papieża przekroczyć granice Stanów Papieskich, by ćwiczyć sztukę walki na zbuntowanym społeczeństwie. Ale nurt historii płynął tym razem wbrew dawnym regułom i w 1843 lud - *motłoch* w oczach Kościoła - opanował Rzym.

Piusa IX wybrano na papieża w 1846 roku. Świat, który odziedziczył, przepełniała rozpacz. Przynajmniej tak wyglądało z okien papieskiego pałacu. Garibaldi i Mazzini zostali wypędzeni. Wkrótce po wstąpieniu na Tron Piotra Pius uciekł nocą z Rzymu w otwartym powozie bawarskiego ministra. Nie zatrzymywał się nigdzie po drodze, aż dotarł do Neapolu. Potem pośpiesznie zmieniał kryjówki, aż Rzymianie proklamowali republikę, symbolicznie wymierzili sprawiedliwość papieżowi, wymordowali kler i ograbili kościoły... Mógł wrócić do Rzymu dopiero cztery lata później, kiedy armia francuska

zdobyła miasto, Mazzini zbiegł do Szwajcarii, a Garibaldi wrócił w góry. Papież powrócił, to prawda, wspierany przez moc obcej władzy.

Pius IX rozpoczął swoje panowanie na fali popularności i próbował przypodobać się ludowi, dając mu to, czego pragnął. Wypędził jezuitów, wyraził zgodę na drukowanie popularnej gazety, zniósł getto, dopilnował wprowadzenia kolei żelaznej w Stanach Papieskich, ogłosił świecką konstytucję - wszystko, by zwyciężyć zło ostatniego ćwierćwiecza. Ale nic z tego nie wyszło. Historia, jak uciekająca karetka, przejechała go. Ludzie pragnęli przyszłości, a nie przeszłości, a przyszłość nie polegała na należeniu do papieża, ale na przynależności do nowego narodu włoskiego.

Kryzys przyszedł wraz z zamordowaniem na schodach Kwirynału papieskiego premiera, Rossiego, eleganckiego arystokraty. Tłum zebrał się, gdy Rossi wychodził z głównych drzwi, u szczytu sławnych schodów. W połowie drogi błysk sztyletu w rękę młodego człowieka, cios w krtań. Wtedy Rossi upada, krew spływa po schodach, a tłum warczy z prawdziwą nienawiścią... Pius patrzy na to z okna swego gabinetu. Ów obraz nawiedzał mnie przez wszystkie lata moich studiów i pozostał wryty w czymś, co kiedyś było moim katolickim sumieniem.

W przeszłości, kiedy sprawy tego świata zależały od władzy papieża, zawsze była jakaś świecka ucieczka, jakaś armia do zebrania. Sylwester I, Leon III, Grzegorz VIII, Klemens VII - wszyscy przeciwstawili się świeckiemu wyzwaniu, najmuąc żołdactwo, ale w 1869 nie mieli gdzie się zwrócić o pomoc, nie znaleźli armii, która wezwana mogłaby ocalić papieża. De facto decyzję podjęto w stolicach Europy: papieża było skończone. *The Times* w Londynie nawiązał do „końcowej rozgrywki czcigodnej instytucji”.

Kiedy po raz pierwszy studiowałem ten okres, pamiętam, jak z zaskoczeniem zastanawiałem się, czy mój ojciec wiedział, iż w przeszłości Kościoła było tak źle? Wydawało mi się niemożliwe, że taka sytuacja zaistniała, a on mi o tym nie powiedział, nie ostrzegł. On oczywiście robił wszystko, co mógł, by podobne fakty się nie powtórzyły.

Nigdy, przez całe stulecia - od chwili gdy Konstantyn zobaczył znak - sytuacja nie była tak ciężka, ale wciąż Pius trzymał asa i nie miał wyboru, musiał nim zagrać. Zwrócił się do mocy, którą Jezus obdarzył Piotra - mocy ducha. W lipcu 1869 zasada nieomyślności została zadeklarowana przez biskupów, tak jak to, co Kościół nazywał prymatem. Papież stał się teraz niezdolny do błędów w kwestiach moralności i wiary; należało bezwzględnie być mu posłusznym. Dzięki przyznanemu prymatowi jego nauki orzeczenia papieża nie mogły zostać zakwestionowane ani zmienione przez jednostkę czy jakąś grupę w całym Chrześcijaństwie. Kościół ogłosił stojącego na jego czele człowieka najwyższym przywódcą duchowym i autorytetem na ziemi, a nikt nie śmiał temu zaprzeczyć lub zignorować. Było to słabe uzasadnienie takiego żądania i nikt o tym lepiej nie wiedział od Piusa. Może bitwa duchowa została wygrana, ale w świeckim świecie świecka bitwa zakończyła się przegraną.

I nie chodziło tu tylko o metaforę. Bitwa była faktem. Francuzi wycofali się przed zbliżającymi się Prusakami. Dziewiętnastego sierpnia 1870 opuścili Rzym. Armia generała Kanclera, mniej niż cztery tysiące, stała między uczciwością ostatniego papieża-króla a włoską narodową sześćdziesięcioletnią armią generała Cadorny o mniej niż dzień marszu od murów Rzymu. Pius nie mając gdzie się zwrócić,

rozkazał tylko symboliczny opór, a potem poddanie. Król Wiktor Emmanuel, przewodzący swemu nowemu narodowi, zwyciężył. Rzym będzie stolicą całych Włoch. Dwudziestego, o wschodzie słońca, włoskie armaty zaczęły strzelać.

Niecałe pięć godzin później biała flaga pojawiła się nad kopułą św. Piotra.

W październiku w Stanach Papieskich przeprowadzono plebiscyt. Głosów za przyłączeniem do Republiki Włoskiej było 132681. Przeciwnych - tylko 1505. Wiosną 1871 roku włoski parlament zagwarantował papieżowi władzę w zmniejszonym świecie, który od tej pory składał się z Watykanu, Wzgórza Laterańskiego i siedziby letniej w Castel Gandolfo. Pius powiedział wtedy z goryczą, i powtarzał to do końca swego życia: „Będziemy więźniem”.

Nie wcześniej niż w 1929, kiedy Pius XI osiągnął porozumienie z Benito Mussolinim i podpisał Układy Laterańskie, Kościół mógł wrócić do swobodnego działania w świecie władzy, finansów i polityki.

Zapłonęła małeńka złota zapalniczka Sandanato, poczułem zapach gauloise'a, dym musnął mi twarz.

- Przemoc nie jest niczym nowym - powiedział. - Obaj to wiemy. Przemoc w Kościele bardzo fascynowała pańską siostrę. Przynajmniej tak mówił mi Jego Eminencja. Zawsze cierpieliśmy z tego powodu, ale teraz to po prostu amok, prawda? I nie możemy zidentyfikować wroga. Pan rozumie, w przeszłości zawsze wiedzieliśmy, kto jest naszym wrogiem. Ale teraz mamy troje zabitych i boimy się, bo nie znajdziemy armii, którą moglibyśmy wezwać, by nadeszła niszcząc i ratując nas... Tamte dni przeminęły. I oto jesteśmy zupełnie sami, bezbronni w ciemniejącym świecie.

Wyczułem, że mimo ponurych słów uśmiechał się smutno. Wydawał się rozluźniać, gdy tematem rozmowy była przemoc. Może tylko chciał porozmawiać o tym otwarciu. Łączyło nas morderstwo. Podniósł kieliszek z brandy. Zbliżała się czwarta nad ranem. Dzień pogrzebu mojej siostry. Wreszcie byłem zmęczony, gotowy zasnąć.

- Za zmylenie naszych wrogów - rzekł. Popatrzyłem na niego ostro.

- Powiedz to jeszcze raz, stary.

Pogrzeb mojej siostry minął mi w rozmazanej mgłę czynności wykonywanych automatycznie. Wszystko działo się w pewnej odległości ode mnie. Grałem swoją rolę i ku mojemu zdumieniu poszło całkiem nieźle. Nieźle, chociaż miałem powyżej uszu sokolookich katolików, najważniejszego rytuału i tej całej napuszonej mszy. Zawsze się zastanawiałem, co też oni świętują na mszy pogrzebowej. Oczywiście otrzymałem standardową odpowiedź o uczczeniu życia świętej pamięci zmarłego gościa honorowego. Przez prawie ćwierćwiecze uderzało mnie to jako największy nonsens. Nigdy więcej tego wszystkiego, co się działo na pogrzebie mojej matki. Nie uważałem śmierci za powód do uroczystości. Biedna, samotna i nieskończenie obłąkana kobieta.

Pogrzeb Valentine był inny. Jej życie - warte uczczenia, jej śmierć - warta zemsty.

Morela odprawił mszę w małym kościółku w New Prudence. Ograniczyliśmy liczbę obecnych do może pięćdziesięciu, sześćdziesięciu osób, większość z nim wybrana z szeregów możnych, możniejszych i najmożniejszych. Przedstawiciel prezydenta, kilku gubernatorów, trzech senatorów, paru członków

gabinetu, prawników i ważniaków oraz cała reszta tej hałasty, która postanowiła wierzyć, że to dzięki niej świat się kręci. Było pięć czy sześć ekip telewizyjnych, trzymanyh z daleka przez policję stanową. Staraliśmy się, jak mogliśmy - Margaret, ojciec Dunn, siostra Elżbieta i ja - by mieć wszystko pod kontrolą, ale nadal było to naznaczone piętnem *wydarzenia telewizyjnego*.

Nigdy przedtem nie widziałem Moreli przy pracy i wywarł na mnie wrażenie. Dla niego musiała to być próba ogniowa. Zapach kadzidła - tak dobrze pamiętany przez te wszystkie lata - wypełniał kościółek. Trumna błyszczała jak polerowane złoto. Wysłuchałem całego tego bajdurzenia, które poznałem przy poprzedniej okazji. Przyjąłem komunię, pierwszy raz po tylu latach, ale wszystko odbywało się inaczej - nie trzeba już było klęczeć przy ołtarzu, przyjmując nie tylko hostię, ale i krew Chrystusa. Może te różnice trochę ułatwiały obrządek. Ale nic nie wydawało się realne. Na miłość boską, tam w środku była moja siostrzyczka.

Wygłosiłem mowę pochwalną: brat, który ocalał i tak dalej. Dosłyszałem szlochy, dostrzegłem też uśmiechy, potakiwanie głowami. Ocenilem, że odniosłem sukces. W swej wypowiedzi unikałem wyrażania własnych uczuć. Val rozbawiłyby moje uprzejme i świętoszkowate słowa. Stale żartowaliśmy na ten temat. Nie potrafiłbym zachować się inaczej. Nie pozwoliłbym zebranyh ludziom oglądać mojej obnażonej duszy. Kiedy msza się skończyła, zaśpiewano hymn i żałobnicy wylali się z kościoła. Przedstawienie zbliżało się do finału.

Val pogrzebano na cmentarzu przylegającym do kościółka. Na kamieniach nagrobnyh zapisano długą historię. Był tu również grób rodziny Driskillów. Leżała tam moja matka, rodzice mojego ojca. A teraz Val. Zostało dużo miejsca dla mojego ojca i dla mnie. Nie dla nas wielkie pomniki, lecz proste skromne kamienie. „Nasza praca będzie naszym pomnikiem” - zwykł mówić mój ojciec. To zawsze przypominało mi wiersz *Ozymandiasz*, którego uczyłem się w szkole. „Spójrz na me dzieła, o potężny, i rozpaczaj...”

Wiatr był ostry i zimny, przenikał nas. Złościłem się, stojąc tam ze szczękającymi zębami, łzami zamarzającymi na policzkach. Patrzyłem, jak trumna znika w ziemi. Już poruszała mnie irracjonalna nienawiść, że oto ona spoczęła w spokoju, pochowana: nienawiść wywołana dziecinnym, a jednak przemożnym przekonaniem, iż świadoma, żywa Val pojawi się w nadchodzących mroźnyh nocach. Pozostawiłem krąg najbliższyc przyjaciół rodziny, którzy brali udział w końcowym akcie spektaklu dnia, i odszedłem. Siostra Elżbieta i Margaret Korder zostały z nimi.

Znalazłem się pod ciemnoszarymi chmurami. Stałem przy czarnym, żelaznym ogrodzeniu otaczającym cmentarz. Za ogrodzeniem leżało kilka wystających z ziemi płyt. Otworzyłem furtkę i wyszedłem. Nigdy przedtem nie zauważyłem tych smutnyh małych nagrobków, a teraz - moja podświadomość, a może mój los - przyciągnął mnie ku nim.

Grób ojca Vincenta Gouverneau pokrywały osty i trawa. Płyta leżała płasko na ziemi. Litery nazwiska i cyfry dat były małe i ledwo widoczne - 1902-1936. Nie pozwolono na pogrzebanie go w poświęcanej ziemi.

Musiałem stać tam dłużej, niż sobie to uświadamiałem, bo siostra Elżbieta przeżegnała się przy grobie i dołączyła do mnie. Uklęła, by sprawdzić, co przyciągnęło moją uwagę. Miała na sobie

zmodyfikowaną wersję tradycyjnego zakonnego habitu, który znalazła w szafie Val. Gdy ją w tym zobaczyłem po raz pierwszy, doznałem wstrząsu. Wyglądała jak ktoś zupełnie inny, ktoś w przebraniu. Kiedy dostrzegła nazwisko na płycie, jej dłoń pobiegła ku wargom.

- Och, mój Boże!

- Biedny sukinsyn - powiedziałem. - Możesz sobie wyobrazić, jaki pogrzeb zafundowali mu dobrzy ojcowie Kościoła. Całe jego życie zamietli pod dywan. Wrzucili go do dołu i udawali, że nigdy nie istniał. Ponieważ popełnił samobójstwo. Kiedy tak naprawdę został zamordowany. Siostrzo, on powinien leżeć na cmentarzu, a nie tutaj w ziemi niczyjej...

Szliśmy obok siebie przez cmentarz. Wzięła mnie za rękę.

- Byłeś świetny w kościele, Ben. Val z pewnością...

- Zrywałaby boki ze śmiechu. Nie oszukuj się.

- Naprawdę wypadłeś bardzo dobrze. Twoja siostra byłaby dumna...

- Chcesz usłyszeć coś naprawdę śmiesznego?

- Co?

- Nawet nie pamiętam, co mówiłem.

- Och, Ben. Gdybyś w połowie był tak twardy, jak udajesz, że jesteś, znienawidziłabym cię.

- Nie przyglądaj mi się zbyt dokładnie, moja droga. Val знаła mnie naprawdę. Dlatego zostawiła mi zdjęcie.

- Zastanawiam się...

- Val spędziła całe swoje życie walcząc o coś, co uważała za słuszne. Podeszłabyś do niej ze złej strony, a dowiedziałabyś się, że jest aniołem zemsty. Była ode mnie znacznie twardsza.

- Może nigdy tak naprawdę jej nie znałam...

- Znałaś ją. *Znałaś ją*. Lepiej się przed sobą przyznać. A teraz przygotuj się na hecę w domu.

- Widziałeś siostrę Marię Angelinę?

- Niewiele widziałem.

- Powiedziała, że przysłała prosto od twojego ojca. Chciał, żeby zaraz wróciła i opowiedziała mu, jak wszystko się odbyło...

- A co to jest, siostrzo? Powieść?

Dom był pełen ludzi, których prawie nie znałem. Wątpiłem, czy Val znała choćby jednego z dziesięciu. Większość stanowili przyjaciele i znajomi ojca. Koledzy z banku, emeryci z CIA, z Uniwersytetu Princeton, aspirujący do fotela prezydenckiego z obu partii, Kościół, przedstawiciele prawa - wszyscy jak wilki rzucili się na indyka, szynkę i trunki, niczym uciekinierzy z domu opieki społecznej. Garritowie zatrudnili dodatkową obsługę. Cała sytuacja wydawała się niesamowita.

Ojciec Dunn prowadził ogromnego arcybiskupa kardynała Klammera od grupki do grupki jak słonia w początkowym stadium tresury. Morela, Sam Turner i kilku mieszkańców okolicy starali się nie wybałuszać zbytnio gał na tyłu weteranów programów telewizyjnych „Spotkanie z prasą” i „Przed narodem”. Siostra Elżbieta pomagała Margaret Korder. Tworzyły obie parę wodzirejów, dzięki której

cały cyrk kręcił się bez przeszkód.

Ale człowieka, którego szukałem, nie było tutaj.

Tego dnia nie wpuszczono gości do biblioteki. Wiedziałem, że właśnie tam go znajdę.

Drew Summerhays stał przy oknie pokoju pełnego książek, wertując pierwsze wydanie *Ashenden'a*, zawierające dedykację dla mojego ojca napisaną przez Somerseta Maughama. Summerhays przedstawił ich sobie pewnego lata w Cap d'Antibes i od razu przypadli sobie do gustu. Obaj byli tego samego pokroju.

Podniósł wzrok znad książki, kiedy wszedłem. Uśmiechnął się do mnie cienkimi, bezkrwistymi wargami. Chudy jak tyka, ubrał się w szaroczną marynarkę i kamizelkę, w wypolerowane do błysku pantofle z Jermyn Street, czarny tkany krawat i białą koszulę. Nosił klucz na złotym łańcuszku - mak stowarzyszenia Phi Beta Kappa z Harvardu, oczywiście purpurową wstążeczkę Legii Honorowej nad kieszonką na piersi i sygnet na małym palcu prawej ręki. *Prawnik przez duże „p”*. Był człowiekiem, który zawsze grał w jednoosobowej lidze.

- Czy mówiłem ci kiedyś, Ben, że Maugham jest moim ulubionym autorem?

- Raczej nie, nie przypominam sobie.

- Wiesz, Willie bardzo się jąkał. Jako dzieciak miałem tę samą przypadłość. Wyleczyłem się i on się wyleczył. Wysilek woli. Dobry powód, jak inny, by został moim ulubionym pisarzem. Twój ojciec lubił Williego. Kiedyś wymieniali się opowieściami szpiegowskimi. Dwie różne wojny, oczywiście. A jakie są ostatnie wiadomości o twoim ojcu, Ben?

- Jest bardzo dzielny. Wyjdzie z tego, Drew. Trochę było strachu.

- Twojego ojca trudno przestraszyć.

- Chodziło o mnie. Ja byłem przestraszony. Łatwo mnie przestraszyć.

- Ty i twój ojciec - zaczął, ale nie dokończył zdania. Wierzył, że mój ojciec i ja należymy mimo wszystko do tego samego gatunku i jesteśmy bardziej do siebie podobni, niż któryś z nas jest skłonny się przyznać. Powtarzał to wielokrotnie w przeszłości.

- Tak łatwo cię przestraszyć? Mówisz jak ktoś rozkoszujący się fałszywą skromnością. Lub ktoś, kto chce mnie zbałamucić, draniu.

- Jestem po prostu ciekawym draniem. Szukałem cię, Drew.

- Przyszedłem tu, by schować się przed tłokiem. Pogrzeby i następujące po nich spędy... Zbyt wyraźnie sobie uświadamiam, że sam niedługo będę główną atrakcją czegoś takiego. Biedna droga Val. Co za przykry dzień...

- Czy byłeś jednym z jej popleczników?

- Wiem zbyt wiele, by popierać kogokolwiek, przynajmniej tak jak ty to rozumiesz. Szanowałem jej poglądy. I czasami dostarczałem pieniędzy na jej pracę.

- Kto więc ją zabił, Drew?

- Najpierw musisz się dowiedzieć - dlaczego, Ben. A *kto* wyniknie samo.

- Myślałem o tym samym. Dlaczego ktoś zabił moją siostrę? Czy umarła za swoje poglądy na Kościół?

- Nie sędzę... Nie za jej podejście filozoficzne ani nawet za próbę wprowadzenia go w życie. Ale to jednostkowa opinia. Ktoś musi niezwykle dokładnie przyjrzeć się życiu Val... szukając owego *dłaczego*. Na pewno jest ono do odnalezienia dla kogoś, kto patrzy uważnie. Myślałem o tym przez ostatnie kilka dni. Patrzysz na jej śmierć jak prawnik, nie masz wyboru, prawda? Zbierasz dowody, budujesz sprawę, odtwarzając słońca. - Dostrzegł zaskoczenie na mojej twarzy. - Wiesz, co powiedział Rodin, kiedy zapytali go, jakby wyrzeźbił słońca? Powiedział, że zaczęłyby od dużego bloku kamienia i usunąłby wszystko, co nie byłoby słońcem. I tak, masz podłogę usłaną kawałkami życia Val. Sprawdź, czy do siebie pasują, a zobaczysz profil mordercy. Val odejdzie, ale poznasz zabójcę. - Odwrócił się i wstawił książkę z powrotem na półkę.

- Chcę wiedzieć wszystko o Curtisie Lockhardcie. I o Heffernanie... Zostali wybrani, by umrzeć razem z Val. Val zastanawiała się nad wystąpieniem z Zakonu i poślubieniem Lockhardta...

- Zapomnij o Heffernanie, Ben. Został zabity z powodu Lockhardta. Był tylko - jak lubił mówić o sobie - jeszcze jednym irlandzkim księdzem, robiącym karierę. Przynieś mi mój płaszcz, Ben. Pójdziemy na spacer. Porozmawiamy o zmarłym Panu Lockhardcie.

Włożył miękki kapelusz, czarny kaszmirowy szalik, czarne rękawiczki, czarny płaszcz z wąskimi rękawami i kwadratowymi ramionami. Kantem spodni mógłby podciąć komuś gardło. Jego wąska twarz zaróżowiła się od wiatru, szeleszczącego w liściach na zamarzniętym trawniku. Przeszliśmy obok kaplicy w stronę sadu i stawu, gdzie lata temu jeździliśmy na łyżwach.

- Curtis Lockhardt - zaczął, gdy tylko uwolniliśmy się od gwaru panującego w domu - widział siebie w wielu rolach, jak aktor grający w różnych sztukach. Ale od początku zdawał sobie sprawę, że jest aranżerem starej daty z rodowodem sięgającym okresu powojennego. Można stwierdzić, że Lockhardtowie zawsze byli aranżerami, w taki sposób jak inni ludzie pracowali rękami i potrafili zrobić półkę, schody, kurnik czy koszyk na homary...

Summerhays opowiadał o człowieku, który zawsze przebywał między tworzącymi „tajny rząd”, „rząd w rządzie” i „Kościół w kościele”. Lockhardt pobierał nauki u boku mojego ojca.

- Ale - mówił Drew, gdy staliśmy wśród bezlistnych drzew w sadzie, gdzie kiedyś mój ojciec znalazł Vincenta Gouverneau zwisającego z gałęzi - Curtis zawsze uważał za swoje największe osiągnięcie zrobienie z maleńkiego Salvatore di Mona papieża Kaliksta IV. Musisz to przyznać Lockhardtowi, Ben, naprawdę musisz. Postanowił kupić papieża i, mój Boże, naprawdę dopiął swego.

Lockhardt zasiadał w radzie nadzorczej Fundacji Conwaya. Patrzył w zadziwieniu, jak Ord Conway - zwany „starym pierdołą” przez swoich pracowników - stwierdził, że chce mieć własnego osobistego papieża. Na koniec Ord zwrócił się do Lockhardta, a ten nabył papieża za sześć milionów dolarów i trochę drobnych, piętnaście milionów mniej niż kosztowało Nelsona Doubledaya kupienie Metsów z Nowego Jorku. Faktem było, że bardzo niewiele ludzi wiedziało, że *można* kupić papieża. Ord przeżył dwa lata pontyfikatu Kaliksta, ale wtedy powszechnie już wiedziano, iż życie jest pełne zabawnych niespodzianek.

Przez jakiś czas Lockhardt uważał Orda Conwaya za rozmamłanego, starego faszystę, za kiepski

koniec wielkiej rodziny. Ord po prostu lubił Kościół takim, jakim był, gdy on jako dzieciak uczył się katechizmu. Lockhardt obserwował proces zmian, wyczuł poziom zaangażowania tego człowieka w odkręcenie paru reform i odwrócenie postępu od czegoś, co nazywał „demokratycznym kościołem”. Ord zawsze powtarzał, że demokracja jest w porządku tutaj, ale, do cholery, Kościół nie jest tutaj. „Katolicy - zwykli mówić - nie mają głosować, w co, kurwa, mają wierzyć! Nie mają nic do powiedzenia i o to chodzi!”

Lockhardt opracował plan. Uświadomił sobie, że Conway chce tylko powrotu do starych czasów, chce odnaleźć spokój, a to sprawiało, że stawał się idealnym narzędziem. I ta cudowna symetria poszczególnych składników. Conway pragnął wierzyć, iż zobaczy powrót Kościoła z jego lat chłopięcych. Monsignor Andy Heffernan chciał znaleźć się na tej szczególnej ścieżce prowadzącej do kapelusza kardynalskiego. A Lockhardt chciał zachować status quo, mniej więcej. Pochłonęłoby to trochę pieniędzy, ale to nie stanowiło problemu: Ord Conway aż się prosił, by mu pomóc rozstać się z nimi. I trzeba było jeszcze zawrzeć układ: natura rzeczy tego wymagała. Curtis Lockhardt znajdował się w idealnym położeniu.

Klinika kontroli urodzin w Boliwii stała się doskonałym wybiegiem. Panował tam liberalizm, ale nie za bardzo. Był to znak, jak wiele się zmieniło. Sporo katolików u władzy - nawet jeśli nie w bastionie biurokratycznego konserwatyzmu w Kurii w Rzymie - wierzyło, że powstanie kliniki stanowiło istotny, odpowiedzialny społecznie krok. To już nie stało w sprzeczności z podtekstem nauki kościoła, nie od czasów rozpoczęcia prac przez komisję papieża Pawła, które było głównym wydarzeniem w najnowszej historii Kościoła.

Curtis Lockhardt niczego tak nie kochał, jak dopasowywania fragmentów układanek. Dać mu kilka dziwnie wyglądających kawałków i od razu mógł wykorzystać swój talent. Mógł to zaaranżować. Nie bez powodu kardynał Salvatore di Mona w wieczór poprzedzający jego wybór powiedział Lockhardtowi, że minął się z powołaniem.

- Tobie należy się ta purpurowa szata, mój drogi Curtisie, szata i biret. Nic by cię nie powstrzymało.

Lockhardt był zadowolony.

- I tak nic mnie nie powstrzyma, Eminencjo. Odpowiednia chwila nadeszła długo po tym, jak Lockhardt znalazł sposób, by wykorzystać biedną znękaną duszę Pawła VI jako dźwignię w czymś, co nazywał sprawą Conwaya.

To zaczęło się za Jana XXIII. Na początku była jego komisja kontroli urodzeń. Po swoim wyborze Paweł VI zwiększył jej liczebność, usuwając spod kontroli Rady Watykańskiej, sprawiając przez to, że stała się ogromnie ważna. Katolicy całego świata w latach sześćdziesiątych zwrócili się ku pigułce antykoncepcyjnej. Dziesiątki milionów katolików ignorowało oficjalną naukę Kościoła. A teraz komisja Pawła została upoważniona przez samego papieża, by znaleźć dziurę w obowiązującej doktrynie i znaleźć sposób, aby z tych wszystkich praktykujących antykoncepcję znowu zrobić uczciwych katolików. Oczywiście, gdyby Paweł nie chciał żadnej zmiany w doktrynie, wówczas „wrzuciłby komisję do Tybru”, jak wyraził się kiedyś jeden z kardynałów.

Kiedy raport komisji został ukończony, okazało się, że znalazła ona wyjście, dowodząc, że dopóki małżeństwo jako całość jest gotowe mieć dzieci, to nie każdy stosunek pary musi prowadzić do zapłodnienia.

To właśnie owo krytyczne przełamanie doktryny mogło wprowadzić Kościół, zdaniem Lockhardta, w dwudziesty wiek. I mogło przywrócić tylu wiernych na jego łono.

Ale sumienie Pawła - i zakulisowe działania watykańskich konserwatystów, grających na jego uczuciach - zmusiło go do zignorowania raportu komisji. Jego encyklika *Humanae Vitae* w całości odrzuciła wnioski komisji i stanowiła dla Kościoła cios, z którego do końca jeszcze się nie podniósł. Zawsze był jakiś punkt zwrotny, wierzył Lockhardt, a jego zdaniem *Humanae Vitae* znaczyło koniec starego konserwatywnego Kościoła. I teraz Kościół miał pójść tą lub inną drogą, do tyłu lub w przód. Albo zostanie w rękach konserwatystów i rozsypie się w proch, albo przejmą go umiarkowani liberałowie, którzy mają wizję przyszłości i zmian dostosowujących do niej Kościół.

Daleko było jeszcze do podejmowania decyzji w tej kwestii - punkt zwrotny mógł potrwać lata, czy dziesiątki lat - kiedy zaczęła się sprawa Conwaya. Lockhardt zobaczył wszystko w jednej chwili - początek, środek i koniec - pewnego popołudnia na zebraniu rady nadzorczej Fundacji Conwaya. To musiało przypominać ową chwilę, kiedy zrozumiałem istotę piłki nożnej. Lockhardt grał w swoją grę, a ja w swoją.

- Właśnie wtedy - mówił Summerhays, gdy staliśmy wpatrując się w szary horyzont za stawem pokrytym lodem - Lockhardt zwrócił się do dwóch członków rady - twojego ojca i do mnie - i zaproponował drinka po zakończeniu posiedzenia. Lockhardt naprawdę wierzył, że tylko Hugh Driskill i ja równamy się z nim w aranżowaniu spraw na ziemi.

We trójkę poszli do klubu Lockhardta w Filadelfii. Hugh Driskill słuchał spokojnie, a potem powiedział:

- Pytanie, Curtis, jest proste. Czy możesz przekonać Orda Conwaya, że potrafisz kupić ośrodek kontroli urodzeń w Boliwii i wyciągnąć od niego sześć milionów papierów na ten jego pomysł bardziej konserwatywnego papieża?

- Mogę.

- W porządku, Curtis - powiedział Hugh Driskill, mrugając do Summerhaysa. - Wyjaśnij nam jak.

Jak wiele genialnych pomysłów, tak i ten był nadzwyczaj prosty.

Conway miał przekazać Kościołowi sześć milionów dolarów za pośrednictwem monsignora Heffernana z Nowego Jorku. Pieniądze zostałyby przeznaczone na ośrodek kontroli urodzeń, do rady którego weszłoby kilku umiarkowanie postępowych kardynałów z Trzeciego Świata i paru intelektualistów europejskich. Ale naprawdę pieniądze byłyby wykorzystane jako zastaw pożyczki udzielonej przez bank w Rzymie bankowi w Panamie, a potem przekazanej rządowi Boliwii. Sześć milionów dolarów Conwaya istniałyby na papierze zastawnym, a także w innej formie, i stałyby się w efekcie dwunastoma milionami. Lub nawet większą sumą. Chodziło o to, że tacy ludzie jak Lockhardt, Hugh Driskill, Summerhays i kardynał D'Ambrizzi, który zarządzał dla papieża *L'Instituto per le Opere di Religione* - Instytutem Dziej Religijnych - jak eufemistycznie nazywano Bank Watykański - rozumieli,

jak się prowadziło interesy, kiedy chodziło o Watykan.

- Po co te drugie sześć milionów? - zapytał retorycznie Summerhays. Wpatrywał się w psa, sprawdzającego grubość lodu na stawie, posuwającego się do przodu ostrożnie, otrząsającego łapę po każdym kroku. - By kupić papieża. Zgodziliśmy się, Ben, twój ojciec i ja. Plan był po prostu mistrzowski.

W owym czasie Octavio kardynał Fangio prezesował Świętej Kongregacji Biskupów, która mieściła się przy małym placu zwanym Placem Piusa XII, Zbawcy Miasta, tuż za Bazyliką św. Piotra. Fangio głosił umiarkowane poglądy, był pragmatyczny i dość chciwy, a miał więcej wpływu na powoływanie biskupów, niż ktokolwiek inny na świecie. Papieże słuchali jego rad, a on okazał się dobry w tej robocie. Z szeregów jego faworytów wywodzili się nie tylko biskupi i arcybiskupi, ale również kardynałowie. Fangio pozwolił, aby wiadomo, że jest kandydatem do papiestwa - jednym z *papabili* - ale był za młody i zdawał sobie z tego sprawę. Za dziesięć, dwadzieścia lat już nie będzie za młody, a do tej pory zdobędzie wielu przyjaciół.

Hugh Driskill zrozumiał to od razu.

- Chcesz, by sześć milionów było dostępne dla Fangio?

- W pewien sposób - odparł Lockhardt. - Fangio ma brata w Neapolu, Giovanniego, nieudanego prawnika. Nierozważne inwestycje zepchnęły go na dno. Willa w górach, dom po przodkach, może trzeba będzie je sprzedać. Część sześciu milionów uratowałoby willę i postawiło biednego Giovanniego z powrotem na nogi.

- I - zamruczał - sugerujesz mały rewanż ze strony kardynała Fangio.

Papież niedawno ogłosił skład nowego konsystorza - wybór dwudziestu dwóch nowych kardynałów, by uzupełnić ich malejącą liczbę. Lockhardt zaproponował, żeby wraz z Hughem Driskillem, Summerhaysem i przyjaciółmi z Kurii oraz kardynałem Fangio przedyskutować kandydatów na przyszłych kardynałów i uzgodnić może nazwiska piętnastu do zaakceptowania przez obie strony. Za swoje wysiłki Fangio ocaliłby brata i jednocześnie stworzyłby twardy rdzeń grupy wspierającej jego kandydaturę na papieża, gdzieś kiedyś na długiej drodze, gdy obecny kandydat Lockhardta zniknąłby ze sceny, a jego osoba by wypłynęła. A tymczasem tych piętnastu głosowałoby tak, jakby zalecał Fangio. Monsignor Andy Heffernan mógłby zyskać w Fangio niezwykle cennego przyjaciela na bardzo szybkiej ścieżce, która prowadziłaby go do czerwonego kardynalskiego kapelusza. Każdy wygrywał, nawet Ord Conway, który by w efekcie wybrał papieża, oczywiście na propozycję Lockhardta.

Summerhays odwrócił się i popatrzył ku domowi przez nagi sad. Nadciągała ciemność.

- Lockhardt poświęcił rok, a może dłużej, na poskładanie wszystkiego do kupy. A ludzie Fangio okazali się dobrymi żołnierzami. I tak się stało, Ben, że Sal di Mona - dobry słuchacz o umiarkowanych poglądach - został Kalikstem IV. A teraz Curtis Lockhardt przyjechał do Nowego Jorku na spotkanie z Andy Heffernanem, gdy tymczasem Kalikst umiera w Rzymie. Curtis wiedział, że gra zaczęła się od początku, nie rozumiesz? Ale już się nie dowie, jak się skończy. Ale i tak miał dużo szczęścia. - Popatrzył na zegarek i westchnął. - Trzeba iść. A teraz, Ben, słówko rady tylko dla twoich uszu. Pogódź się jak najszybciej - chodzi mi o śmierć Val. Odeszła, ale też miała dużo szczęścia. Nie rozumiesz? To jest niebezpieczny interes, poważni gracze. Zrób po prostu krok do tyłu i ułatw sobie wszystko. Nie próbuj

ułożyć kawałków na podłodze. Nigdy ci się to nie uda, nigdy nie dostrzeżesz profilu zabójcy. Mówię jak katolik do kogoś, kto kiedyś był katolikiem. Pozwól mi powiedzieć, żebyś katolików zostawił, Ben, ich własnym sprawom. Życie i tak jest za krótkie.

Wziął mnie pod ramię. Prawie nie czułem ciężaru jego ręki. Zupełnie, jakby już zaczął odchodzić, przygotowując się do ostatecznego odejścia.

W drodze powrotnej do domu pokazałem mu fotografię zostawioną przez Val. Pokręcił głowę, powiedział, że dla niego nic ona nie znaczy. Rozpoznał D'Ambrizziego, ale jego umysł był już pochłonięty innymi sprawami. Co może zmienić jakaś stara fotografia?

Dzień po pogrzebie Val był pogodny, zimny i jasny. Poprzedniej nocy zasnąłem w końcu, ale z trudem. Obwody zostały przeciążone i na mojej sali sądowej Drew Summerhays był ostatnim świadkiem. Zanim zasnąłem, zdecydowałem, co muszę zrobić. Właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że nigdy nie było żadnych wątpliwości, w ogóle żadnych.

Monsignor Sandanato składał w Nowym Jorku kurtuazyjną wizytę arcybiskupowi kardynałowi Klammerowi. Siostra Elżbieta wyjeżdżała po południu do Rzymu. Chciałem opowiedzieć jej o moim planie i - jeśli to możliwe - wciągnąć na listę pomocników. Nie byłem przygotowany na to, że wszystko pójdzie na opak.

Czekaliśmy na ojca Dunna, który miał po nią przyjechać. Powiedział, że jego samochód zna drogę na lotnisko Kennedy'ego. W domu panowała cisza, a w Długiej Sali bukiety świeżych kwiatów rozjaśniały nieco atmosferę. Jaskrawe słońce wlewało się przez okna. Na dworze panował przenikliwy ziąb, ziemia była zmarznięta i biała. Ubywało nas. W południe odesłałem Garritych do domu, a Margaret zajmowała się interesami w swojej kwaterze głównej w Nassau Inn. Umówiła się tam z ludźmi z prasy i telewizji. Sam Turner wciąż trzymał strażnika na zewnątrz. Planował, że ochrona będzie stała tam tak długo - jak to określił - aż wszystko diabli wezmą.

- Ben, dobrze cię znowu widzieć - powiedziała Elżbieta. Była ubrana do podróży, tak jak wtedy, gdy przyjechała w Zaduszki. - Chciałabym nie musieć teraz wyjeżdżać... wszystko wydaje się takie niedokończone. Ale powinnam wrócić do biura. Kalikst może umrzeć w każdej chwili i wtedy cały mój świat będzie opisany w prasie. Muszę tam być. Ale - położyła dłoń na moim ramieniu i popatrzyła mi badawczo w twarz zielonymi oczami - martwię się o ciebie. Myślałam o tym, co mi powiedziałeś; jak bardzo jesteś bezwzględny, syn swojego ojca, i zaczęłam się zastanawiać... - Zabrała rękę i odsunęła się ode mnie, jakby nagle zawstydzona, że podeszła zbyt blisko i w wyobraźni, i fizycznie. - Jak sądzę, teraz wrócisz do pracy... - Zmienił się ton jej głosu, stał się daleki.

- Jeszcze nie teraz - odparłem. - Biorę urlop. Rozmawiałem dzisiaj rano telefonicznie z moimi współpracownikami. Masz rację, siostrze, to jest niedokończone. Dopiero się zaczęło. Mam zamiar doprowadzić to do końca. Skończyć.

Patrzyła na mnie, zaskoczona, jakbym zaczął krzyczeć.

- O co ci chodzi?

- Mam zamiar dowiedzieć się, kto zabił moją siostrę.

- Jak? Co możesz zrobić?

- Val chciałaby, żebym spróbował. Dlatego zostawiła mi tę fotografię, pamiętasz? Nie mam zamiaru jej zawieść. To wszystko.

- Wiesz, że nie masz racji - powiedziała spokojnie. - Val nigdy by nie chciała, byś wystawiał swoje życie na niebezpieczeństwo. Och, to wydaje się w porządku i nie obwiniam cię - chcesz wyrwać się stąd i pomścić jej śmierć. Ale uświadom sobie, Ben, nie masz żadnych szans. Ten człowiek zniknął, nie

masz kogo śledzić...

- Zrozum, wiem co robię...

- Och, Ben! Proszę, daj spokój! Ja też o tym myślałam. Nie spałam przez całą noc i wtedy po raz pierwszy naprawdę mnie uderzyło, że Val została zabita! Zabito troje ludzi... i może wszystko miało związek z tym, co robiła Val. Zabicie ciebie nie miałoby dla nich żadnego znaczenia. Nic o nich nie wiesz, ale będą cię obserwować... nie widzisz tego? Mogą cię zabić, kiedy będą chcieli. - Popatrzyła na mnie, zakłopotana, jakbym był opóźnionym w rozwoju chłopcem. - Jeśli za bardzo się do nich zbliżysz, to jak sądzisz, zawahają się przed zabiciem ciebie? Spróbuj zrozumieć, to naprawdę przypomina jedną z powieści Dunna... proszę, Ben, daj spokój!

- Nie mam zamiaru kłócić się z tobą, siostrzo. Mam zamiar doprowadzić to do końca. Nie sprzecyjamy się.

- W porządku. Powiedzmy, że ci się uda i co wtedy? Dowiadujesz się, o co chodzi i oni wtedy cię zabijają. Zrozum, Val *wiedziała*, w co się wpakowała, znała ryzyko, ale wierzyła, że warto. Ben, na miłość boską, nawet nie wiesz, co ona uważała za ważne...

- Tracisz czas... - stwierdziłem.

- Wolalabym, żebyś zostawił tę sprawę władzom...

- Wiesz dobrze, że nie wiedzą od czego zacząć. Naprawdę myślisz, że Val chciałaby, abym to zostawił?

- Val nie żyje, Ben. Wypadła z gry. Posłuchaj mnie, Ben, Val postępowała... po prostu. Była odważna, ale lekkomyślna, a ja nie. Mam nadzieję w Bogu, że ty też nie jesteś. Budowała barykady na polu walki, a ja obserwowałam i pisałam o nich. Tylko dlatego, że naciskała za mocno i została zabita, nie oznacza, że mamy dług honorowy i musimy pójść w jej ślady... Znam siebie i wiem, że nie zostałam stworzona, by umrzeć za moje zasady. A ty jesteś? Naprawdę?

- Nie mam zamiaru robić tego ze względu na moje zasady. I nic mnie, do cholery, nie obchodzi, co moja siostra dowiedziała się o tym twoim cholernym Kościele...

- Szaleniec w Kościele, może i tak. Ale nie sam Kościół! Nie będę tego słuchała, Ben, po prostu nie będę...

- W porządku! Chryste! Ktoś zabił moją siostrę i za swój czyn zapłaci! Dlaczego tak nie rozumiesz, Elżbieto? To dość proste.

- A ty dlaczego nie widzisz, że osobą, która na pewno za to zapłaci będziesz ty sam?

- A więc zdecydowałaś? - powiedziałem. - Zostawiasz wszystko tak jak jest?

- A czego oczekujesz ode mnie? Wzruszyłem ramionami.

- Tak. Mam zamiar odejść i zostawić wszystko tak jak jest... nie wyniosą mnie nogami do przodu. Zamierzam żyć dalej moim własnym życiem - prawdziwym życiem. Policja może się zająć tą sprawą i... i jeszcze jest Kościół... W Rzymie, gdy Sandanato złoży raport, kiedy usłyszą, co Dunn ma do powiedzenia, będą musieli coś zrobić.

- Mogłabyś o tym napisać. Byłaś najbliższą przyjaciółką Val. Masz czasopismo...

- Napisać o szalonych podejrzeniach dotyczących zabójcy - o księdzu, o oddartym skrawku

płaszcz, podniszczonych fotografiach, a nawet o księdzu piszącym bestsellery, biorącym udział w akcji... Naprawdę myślisz, że powinnam o tym wszystkim napisać? Ben, daj spokój! Już czas, żebyś podszedł do sprawy realistycznie i tyle. To jedna rzecz siedzieć przy stole w środku nocy i wymyślać fabułę. A coś zupełnie innego...

- Ciebie po prostu już to nic nie obchodzi, prawda? Stało się zbyt niewygodne dla ciebie...

- To obrzydliwe, co mówisz, Ben. Prawda jest taka, że miałam czas, by się zastanowić, czas, by na wszystko spojrzeć z perspektywy...

- Zatem - powiedziałem, czując zimno i skręcający się żołądek - zostałem zdradzony - nie mamy już o czym rozmawiać, siostrzo. - Pomyślałem, że katolicy zawsze zostają katolikami. Pozwoliłem sobie za bardzo się do nich zbliżyć. Pozwoliłem sobie zaufać jej. Stary chwyt.

Ojciec Dunn uparł się, że ją odwiezie na lotnisko. Kiedy przyjechał, by ją zabrać, nie był świadkiem serdecznego rozstania. Zaciśnięte wargi, krótkie skiniecie głową i odeszła. Może to wszystko, co powiedziała, było prawdziwe i nieuniknione. Ale nie chciałem słuchać.

Gdybym pozwolił jej przekonać mnie, gdybym pozwolił, by sprawa skończyła się w ten sposób, gdybym pozwolił, by morderstwo mojej siostry nie zostało rozwiązane, jak morderstwo ojca Gouverneau pół wieku temu, nie mógłbym żyć sam ze sobą. Nie chodziło o to, co chcę zrobić. Zastanawiałem się, co muszę zrobić.

Jeśli nie ja, kto ujmie się za umarłymi?

Resztę popołudnia spędziłem wpędzając się w naprawę podły nastrój. Kłótnia z Elżbietą bardzo mnie dotknęła, wydawała się tak smutno zasadnicza. Wierzyłem w rzeczywistość tego, co zdarzyło się Val; dla Elżbiety rzeczywistością była reszta jej życia - jej życie w Rzymie, przywiązanie do sposobu, jak się wszystko toczyło, rzeczywistość Kościoła. Miałem nadzieję, do diabła, *założyłem*, że nasza miłość do mojej siostry sprawiała, iż zostaliśmy sprzymierzeńcami w poszukiwaniu jej zabójcy. Byłem przekonany, że to przez nią tak się czułem: wiedziałem, że nie wymyśliłem sobie tego. Nie wymyśliłem sobie tego. Ale nie powinienem był nigdy tak zakładać, nie z zakonnicą, nie z jedną z *nich*. Bo kiedy chodziło o Kościół, odważna gadka taniała: gdy Kościół był wplątany w morderstwo, wtedy siostra Elżbieta wycofała się.

Sandanato wrócił z Nowego Jorku. Znalazł mnie siedzącego i wpatrującego się w obraz mojego ojca, gdy tymczasem popołudniowe światło powoli niknęło. Spojrzałem w górę, a on rzucił płaszcz na krzesło i podszedł, by ogrzać dłonie przy ogniu. Powiedziałem mu, że wygląda zbyt źle, by go znosić, co było żartem. Ale użyłem wyrażenia, którego nie zrozumiał, więc wyjaśniłem mu; osunął się na krzesło z żalonym uśmiechem na ciemnej, uduchowionej twarzy.

- Klammer - powiedział - z pewnością może kogoś znosić do cna. Nie wiem, jak ojciec Dunn to wytrzymuje. Bardzo trudno z tym człowiekiem prowadzić rozmowę. Nic, co mówi, nie wiąże się logicznie z poprzednią kwestią. Mój mózg jest zmęczony. I jest mi zimno. Jest mi zimno, odkąd tu przyjechałem. Zmusił mnie do pójścia z nim na spacer. Piąta Aleja, Centrum Rockefellera, łyżwiarze. Pięknie. Ale zimno. - Zadrżał i pochylił się do ognia. - Pan też nie wygląda dobrze...

- Wszą wy dzień - odparłem. Potrzebowałem przyjaciela, kumpla. Dobrze czułem się z Sandanato, co mnie zaskoczyło. Swobodne porozumienie z Dunnem było proste: on całym sobą zachęcał do tego. Ale atmosfera napięcia, która otaczała Sandanato, sprawiała, iż trzymałem się na dystans aż do tej chwili - nie wiem dlaczego, może przez to, że zaczynałem wsiąkać znowu w myślenie po katolicku. Może rozpoznawałem napięcie, jakie sam tak długo nosiłem w sobie.

- A gdzie siostra Elżbieta? Cieszyłem się przez cały dzień na godzinę picia koktajli tylko w trójkę.
- Przypomniałem sobie, co powiedziałem do Elżbiety. A teraz zacząłem się zastanawiać: czy on ją kocha?

- Wyjechała. - Spostrzegłem, że jego uśmiech znika. - Dunn zawiózł ją na lotnisko. Jest teraz w drodze do Rzymu.

- No tak, musi trzymać się swoich planów. Tyrania terminarza.

- To przez nią miałem tak popsuty dzień.

- Naprawdę? Wydawało mi się, że z was dwojga są wielcy przyjaciele.

- Pewnie. Ale chyba już nimi nie jesteśmy, nie po dzisiejszym dniu. - Był zaciekawiony, a ja chciałem z kimś porozmawiać, więc opowiedziałem mu, co zaszło między Elżbietą a mną, jak zareagowała na moje postanowienie odkrycia, dlaczego Val została zamordowana. Słuchał cierpliwie, ze współczuciem. Kiedy skończyłem i usiadłem spokojnie, wpatrując się w ogień, przyszedł czas na jego odpowiedź. Przygotował nam po szkockiej whisky z wodą i powędrował przez całą Długą Salę; stanął, kontemplując obraz przedstawiający Konstantyna.

- Kobiety - westchnął. - Patrzą na sprawy inaczej, prawda? My jesteśmy mścicielami, a one uzdrowicielkami. Jest tak, jak powinno być. Siostra Elżbieta pragnie, by życie toczyło się dalej: postrzega śmierć pańskiej siostry jako okropne odstępstwo. Nic, nad czym warto się zatrzymać. Rozumie pan? Ale mężczyzna - musi coś zrobić, kiedy zabito jego siostrę... Jestem Włochem. Wiem, jak pan się czuje, ale... ale...

- Ale co?

- Racja jest po jej stronie. - Wzruszył ramionami zrezygnowany. - Musi pan o tym wiedzieć. Mogą pana zabić, to oczywiste.

- Oni? Kim właściwie są?

- Kto wie? Pewnie nigdy się nie dowiemy.

- Myli się pan. Mam zamiar się dowiedzieć.

- Bardzo jest pan podobny do swojej siostry. Widzę ją, kiedy patrzę na pana, przyjacielu. Słyszę, kiedy pan mówi. I tak jak ona nie ma pan racji i nie boi się pan niczego. To jest niebezpieczne połączenie. Przypominała beczkę prochu z zapalonym lontem. Pan jest taki sam.

- Czułby się pan tak samo na moim miejscu.

- Tak, a pan mówiłby mi, że nie mam szans. Pańskie emocje zabijają pana. Niech pan pomyśli - oni pana znają, a pan ich nie. Właśnie to jest naprawdę ważne, czyż nie tak?

- Moja chęć jest silniejsza.

- Ach, tak. A skąd pan to wie? Nie ma pan pojęcia, o jaką stawkę grają, prawda?

Zlekceważyłem jego uwagi. Logika to była ostatnia rzecz, o której chciałem słyszeć.

- A co pan sądzi o teorii Dunna? Że ksiądz jest mordercą?

- Wyznaję, że nie wiem, do czego wy Amerykanie zmierzacie. Tu zawsze jest strzelanina i zawsze znajdzie się jakaś broń. Może istnieje ów szalony ksiądz. - Pomysł wydawał się go męczyć.

- To nie jest obłąkany ksiądz - odparłem. - Coś niedobrego dzieje się wewnątrz Kościoła. Wrzód pękł i zginęło troje ludzi. Kościół ma kłopoty, a ktoś próbuje je rozwiązać za pomocą pistoletu. - Postanowiłem zaspokoić swoją ciekawość. Elżbieta powiedziała, że Sandanato albo należy do osób wtajemniczonych w poczynania Watykanu, albo jest zakonnikiem. Podejrzywałem, że może być i jednym, i drugim. Nazwała go również sumieniem D'Ambrizziego. - Co się dzieje wewnątrz Kościoła? Musi pan wszystko wiedzieć. Mówi się, że papież umiera... a teraz macie te trzy morderstwa. Czy jest jakiś związek? Czy Kościół sam się niszczy? Czy to wojna domowa?

- Kościół zawsze sam siebie niszczył - oświadczył.

Palił gauloise'a. Palce z plamami nikotyny, oczy jak zwykle lekko zezujące. Pasma czarnych włosów przecinało czoło, ale odgarnął je na bok. Trzydzieści pięć lat? Może czterdzieści? Zastanawiałem się, jak długo wytrwa. Wyglądał na kogoś, kto spala się od środka. Elżbieta powiedziała, że Val uważała go za fanatyka, maniaka. Nie wydawało się to prawdopodobne. Bez wątplenia Val chodziło o to, że Sandanato się z nią nie zgadzał. Zastanawiałem się, co myślał o mojej siostrze, kiedy zaczął o niej mówić.

- Pańska siostra jest szczególnym przypadkiem - powiedział. - Nikt nie mógł kwestionować szczerości jej wiary, chociaż wielu wątpiło w jej rozum. Ale stała się uciekającym pociągiem. Prasa, wywiady, książki... dzięki swojej naturze była kimś takim, kto rwie i niszczy tkanę Kościoła. Zawsze oddana idei zmieniania Kościoła.

- Rozumiem, że pan również wątpił w jej rozum.

- Pańska siostra i ja podchodziliśmy do Kościoła w całkowicie różny sposób. Czuję się zafascynowany dziełem Kościoła, systemem wiary, Kościołem, jaki jest, jaki zawsze był. Siostra pańska była w swym sercu najpierw humanistką, a potem katoliczką. Wiem, że Kościół w swej naturze jest zamkniętym społeczeństwem. A ona wierzyła, że postawa Kościoła powinna być określana w jakiś demokratyczny sposób. Mnie bardziej interesuje dusza ludzka i sposób jej ocalenia. A siostra Valentine wierzyła, że Kościół jest czymś w rodzaju biura opieki społecznej o szerokich kompetencjach, poświęcający się dla swoich dzieci na ziemi...

- A pan uważa, że każdy powinien dbać o siebie?

- Kościół może zrobić tylko tyle - uśmiechnął się, odmawiając połknięcia przynęty. - A przede wszystkim musi borykać się z kwestiami wiecznego zbawienia. To jest w końcu cel istnienia Kościoła, czyż nie? Świeckie rządy powinny zajmować się warunkami życia obywateli. Ale nie Kościół. A kiedy angażuje się w takie zajęcia, osłabia swoją rolę centrum moralnego. Kościół nie jest na *teraz*. Kościół jest na *zawsze*. Ludzie są obecnie skłonni o tym zapominać, chcą lepiej żyć, chcą głosować... Zwracasz się do Kościoła po modlitwę, a nie głosowanie. Są inne miejsca, gdzie można głosować.

- Pan i moja siostra byliście zatem przeciwnikami.

- Proszę, aby pan nie przywiązywał do tego zbyt wielkiej wagi - odparł. - Czasami stwierdzam, że

nie zgadzam się z moim szefem, kardynałem d'Ambrizzi. Obecnie niezgoda jest normą w Kościele...

- Nie uważa pan, że moja siostra została zabita za swoje przekonania?

- Nie mam pojęcia, dlaczego ona, Lockhardt czy Heffernan zostali zamordowani.

Myślałem o Val, Sandanato i o tym, jak Summerhays opisał Lockhardta przy pracy. Jakim cudem oni wszyscy byli tak bardzo, głęboko, bez reszty zaangażowani w sprawy tego samego Kościoła? Wydawało mi się, że każde z nich miało do czynienia z innym Kościołem, swoim własnym.

- Mam zamiar się dowiedzieć - powtarzałem jak pęknięta płyta.

Może chodziło mi to, że mam zamiar odkryć, czy Kościół jest prawdziwym Kościołem... lub czy Kościół przetrwa. Może potrafiłbym zatrzymać na chwilę kalejdoskop, unieruchomić na tak długo, by wyraźnie zobaczyć wzór.

- A zatem muszę panu powiedzieć, przyjacielu, że moja rada jest taka sama jak siostry Elżbiety. Proszę dwa razy pomyśleć, a potem jeszcze raz. Będzie pan się poruszał po nieznanym terenie. A jeśli popełni pan błąd, to pana pochłonie jak bagno. Pakuje się pan w coś, czego do końca naprawdę nie ma pan szansy zrozumieć. - Zdusił papierosa. - Ale jeśli jest pan zdecydowany, to proponuję polecieć ze mną do Rzymu. Zada pan parę pytań, porozmawia z kardynałem D'Ambrizzim... Wiem, że pan go zna od dzieciństwa. Jestem pewien, że pańska wizyta sprawiłaby mu przyjemność.

- Może moje poszukiwania zaprowadzą mnie do Rzymu - powiedziałem niezręcznie, ale nie mogłem nic na to poradzić. - Ale jeszcze nie teraz. Nie chcę, by cała władza Kościoła kazała mi się odczepić i pilnować własnego nosa.

- Przepraszam - odparł. - Wie pan, jak to jest. Kościół zazdrośnie strzeże swoich sekretów.

- Ja też przepraszam, ale jestem w to zaangażowany...

- Wszyscy jesteśmy zainteresowani odnalezieniem prawdy. Chcemy wiedzieć, co rzeczywiście się zdarzyło...

- Ale jest pewna różnica. To jak jajka na szynce. Świnia jest zaangażowana, a kura zainteresowana.

Zdanie dopiero po dłuższej chwili stało się jasne, przekraczało bowiem jego znajomość języka, i powoli się uśmiechnął, kiwając głową, że rozumiał.

Sandanato wyraźnie mi wskazał, o co mu chodzi. Nie obawiał się powiedzieć, jak i dlaczego on i Val poszli w dwóch kierunkach. Doceniałem jego gotowość wyjaśnienia mi wszystkiego, tak jak on to widział. Był, według mnie, prawdziwym watykańskim skazańcem. Potrafił zachować swój punkt widzenia na rolę Kościoła z dala od osobistych związków, a jednak kiedy należało, popierałby Kościół do końca. Resztę czasu z radością poświęcał rozważaniom, prowadzeniu intelektualnej gimnastyki. Mógłby wymieszać teorię z praktyką, zrównoważyć je. W końcu był nie tylko sumieniem D'Ambrizziego: Elżbieta powiedziała, że jest też szefem sztabu kardynała, a kardynał światowy człowiek. Ostatecznie mogłeś założyć się o wszystko, że połączyłby praktykę z teorią dla większego dobra Kościoła, tak jak on je widział. Rozmowa z nim krótko po kłótni z siostrą Elżbietą uspokoiła mnie, dała mi wyraźniejszy zestaw sposobów dalszego postępowania. Wiedziałem, jakie jest jego podejście. Ale nic nie zmieniło mojej decyzji i nie pozwoliłem monsignorowi Sandanato wątpić w to.

Pojechaliśmy razem do Princeton i zabraliśmy Margaret Korder na kolację do małej francuskiej knajpki. Rozmawialiśmy najpierw o podejmowanych przez prasę męczących próbach dotarcia do mojego ojca lub do mnie. W końcu mieli te dwa morderstwa w Nowym Jorku. Sandanato pożegnał się z Margaret w holu Nassau Inn, mówiąc, iż ma nadzieję zobaczyć ją w Rzymie. Powiedziałem, że chciałbym spotkać się z nią rano w domu.

Była jasna, zimna noc. Księżyc lśnił jak srebrny rekwizyt teatralny. Gwiazdy mrugały w nieskończonych głębiach granatowoczarne nieba. Sandanato wyjeżdżał następnego dnia. Kiedy wróciliśmy do domu, poszedł na górę, by się spakować. Zamierzałem nazajutrz odwiedzić ojca i powiedzieć mu, że mam zamiar pójść śladami Val i prześledzić jej ostatnie tygodnie - pierwszym celem była Aleksandria. Musiałem się dowiedzieć, co robiła przez te ostatnie dni w Egipcie. Zastanawiałem się nad planem podróży, gdy Sandanato zszedł na dół.

Stanął przede mną z nieśmiałym uśmiechem, w rękę trzymał parę starych łyżew.

- Znalazłem je w szafę. Kiedyś uczyłem się jeździć. Miałem dziesięć lat i ojciec zabrał nas na wakacje do Szwajcarii. Nie ślizgałem się od tamtej pory. Jak pan sądzi, moglibyśmy wyjść i spróbować? - Popatrzył na zegarek. - Dziesiąta. Prawdopodobnie nie będę miał nigdy następnej szansy. Dobrze zrobiłoby mi trochę ruchu. Spałbym lepiej.

To było tak głupie i niespodziewane, że zerwałem się i powiedziałem, iż oczywiście możemy iść. Do stawu za domem wpływał strumień, który krążył i pienił się, mimo że cała okolica zdążyła już zamarznąć. Zauważyłem parę ślizgających się dzieciaków, gdy spacerowałem z Summerhaysem. Po raz pierwszy od kilku dni poczułem się lepiej. Znalazłem łyżwy w stosie przyborów sportowych w schowku i wyruszyliśmy, by się poślizgać na stawie. Val by to zrozumiała. Gdy szliśmy przez oszroniony trawnik, prawie słyszałem, jak się z nas śmieje.

Księżyc świecił jasno, była prawie pełnia. Staw leżał przed nami jak srebrny dolar za czarnymi sylwetkami sadu. Kaplica - ze światłem księżyca spływającym z wieży - wyglądała niczym staroświeckie malowidło. Starłem się nie przypominać sobie niczego - ani widoku mojej siostry skurczonej pod drewnianą ławką, ani drzewa, na którym morderca powiesił ojca Gouverneau.

Usiedliśmy na zamarznętej ziemi, zmieniliśmy buty na łyżwy; śmieliśmy się z siebie, żartowaliśmy, który z nas będzie gorszym łyżwiarzem. Sypał suchy śnieg. Miałem palce zimne jak lód, gdy walczyłem ze sznurowadłami. Staw wydawał się prawie gładki. Zostały na nim ślady zamiatania. Dzieciaki, które na łyżwach przyjechały strumieniem z New Prudence, były tak przewidujące, że zabrały ze sobą miotłę.

Stanęliśmy wyprostowani, chwiejąc się nieco. Trzymając się siebie podeszliśmy do brzegu stawu. Dwie śmieszne postaci - on w czarnym płaszczu, ja w prochowcu. Drobiące na paluszkach przez śliską gładkość, wypróbowujące wytrzymałość własnych kostek. Moje mięśnie przypominały sobie, co należy zrobić. Odepchnąłem się i pojechałem kawałek, niepewnie, ale bez upadku. Po kilku minutach spływałem potem od niezwykłego wysiłku, słyszałem własne mruczenie i sapanie, a gdzieś z daleka w głowie dobiegał mnie śmiech Val. Podstawy umiejętności przypominały mi się, a kiedy w końcu wróciłem do

brzegu, by się zatrzymać, zobaczyłem, że Sandanato chwieje się gwałtownie, macha komicznie ramionami i nagle siada z hukiem i spogląda w niebo, jakby prosząc o boską interwencję. Ślizgał się i osuwał na lód, starając się wstać. Podjechałem do niego, chcąc podać mu rękę i jak dwóch aktorów w niemym filmie obaj daliśmy się złapać w pułapkę naszej niezgrabności i razem upadliśmy. Usiedliśmy z nogami wyciągniętymi przed siebie, łapiąc oddech i śmiejąc się. W końcu udało nam się wstać. Mokre białe obłoczki pary wydobywały się z jego ust i nosa.

- Matko Boska! - wymruczał. - Czyj to był pomysł?

Poszukał w kieszeni, wyciągnął paczkę papierosów, sapiąc zapalił jednego i wrzucił małą złotą zapalniczkę z powrotem do kieszeni. Popatrzył na mnie ostrym spojrzeniem, z zaciśniętymi szczękami. Znowu się odepchnął i udało mu się stanąć prosto. Zarys jego postaci rozplynął się na ciemnym tle.

Suchy śnieg uderzał mnie w twarz, poczułem wysychający pot, pękający jak lód. Przyglądałem mu się przez chwilę, mając nadzieję, że dla niego jest tak przyjemne, jak tego oczekiwałem. Zacząłem znowu koncentrować się na własnych wysiłkach. Poczułem, jak mięśnie rozciągają się i rozluźniają, napinając zgodnie z rytmem moich ruchów. Mój Boże, Val zazwyczaj dostawała histerii, gdy patrzyła, jak jeżdżę na łyżwach. Nazywała mnie tresowanym niedźwiedziem. Kapał ze mnie pot, gdy kątem oka dostrzegłem jeszcze jednego faceta, który wyszedł tej nocy, by zainaugurować sezon łyżwiarski.

Sandanato i ja znajdowaliśmy się po przeciwnych stronach podłużnego stawu. Ledwie go dostrzegałem. Właściwie nie ślizgał się, tylko powoli, metodycznie próbował nie upaść.

Jechałem w kierunku miejsca, gdzie strumień wpływał do stawu. Obcy facet był oddalony ode mnie jakieś pięćdziesiąt jardów. W świetle księżyca ślizgał się w dół strumienia, łagodnie poruszając ramionami, gdy się zbliżał. Zwolniłem, kiedy do mnie podjeżdżał, przyglądając mu się i zazdroszcząc gracji. Zataczałem wielkie leniwe koła, dumny z siebie, że nie padłem niezgrabnie, chociaż zachwiałem się, gdy usiłowałem utrzymać równowagę i pomachać przybyszowi.

Uniósł dłoń w pozdrowieniu. Był znacznie lepszym łyżwiarzem. Zbliżał się równomiernie, wiatr chwycił jego płaszcz i rozwiewał go za nim. Na głowie miał czarny kapelusz, a gdy do mnie podjechał, dostrzegłem odbłask księżyca w jego okularach.

- Ładna noc - powiedziałem, kiedy się zbliżył. Ciężko oddychałem. Jego twarz zaczerwieniła się od wiatru. Był starszym człowiekiem - twarz pobrużdżona głębokimi zmarszczkami, o wyraźnych rysach, z dużym nosem i szerokimi, wąskimi wargami.

- Tak, ładna noc - potwierdził, a ja nie mogłem zrozumieć, dlaczego się nie zatrzymuje, dlaczego jedzie prosto na mnie. Nierozsądnie pomyślałem, że może nie umie się zatrzymywać. I wtedy w ostatnim ułamku sekundy zrozumiałem - coś nie jest w porządku.

Trzymał w ręce jakiś przedmiot, nisko w fałdach czarnego płaszcza. Coś błyszczało w świetle księżyca.

Odwrociłem się ku Sandanato, który wciąż walczył, by stanąć prosto, dobre pięćdziesiąt jardów ode mnie, odwrócony w przeciwnym kierunku. Chciałem, by moje nogi ruszały się, chciałem zdobyć dla siebie trochę miejsca, ale nie posuwałem się do przodu. Ślizgałem się i czołgałem jak człowiek uwięziony w koszmarze sennym, opanowany strachem i obłany zimnym potem, niezdolny do ucieczki, gdy

poczułem jego rękę na swoim ramieniu. Starał się mnie podtrzymać... o gówno, podtrzymać mnie dla błyszczącego ostrza...

Próbowałem krzyknąć do Sandanato - może nawet mi się to udało i właśnie wtedy poczułem ból, przeszywający moje plecy pod prawym ramieniem. To było dźgnięcie zimnego, czystego bólu, jak kostka lodu wsuwająca się pod moją skórę. Poczułem, że padam, zobaczyłem lód śpieszący na spotkanie mojej twarzy, próbowałem się podźwignąć, chciałem poderwać nogi, skoczyć, odepchnąć go, gdy jego dłoń zamierzała mnie przytrzymać, usłyszałem jego głos mruczący prawie bezgłośnie: *jeszcze chwileczkę, panie Driskill, spokojnie, spokojnie...* Usłyszałem śmignięcie jego ramienia, gdy jeszcze raz zamachnął się ostrzem, posłyszałem, jak ostrze przedziera się przez materiał mojego płaszcza i wtedy leżałem na lodzie, próbując przewrócić się na plecy, ale jakoś zabrakło mi sił...

Moja twarz uderzyła mocno o lód, poczułem, jak łamie się mój nos, napływa smak krwi, jedno oko pozostawało naprzeciw lodu, a drugim dostrzegłem łyżwy obok mojej twarzy. Próbowałem odwrócić głowę i znowu zobaczyłem jego twarz. Wpatrywałem się w płaskie szkła okularów, które wydawały się bez dna, puste. Kiedy spojrzałem na niego, poczułem, że moje plecy stają się coraz cieplejsze i mokre. Zobaczyłem czubek czarnego kapelusza zsuwającego się z jego głowy, powoli opadającego na lód, odsłaniającego siwosrebrne włosy zaczesane do tyłu, sfalowane, nieprawdopodobnie srebrne w świetle księżyca.

Wtedy podniósł kapelusz i zniknął. Usłyszałem jedwabisty szelest łyżew, gdy odjeżdżał ode mnie. To wszystko trwało z dziesięć sekund. Wydawało mi się, że nie mogę się poruszyć, a wtedy biedny Sandanato walcząc i padając zbliżał się do mnie na kolanach. Zobaczyłem rozdarcie spodni i usłyszałem, jak mówi: *Słyszysz mnie, słyszysz?* Odpowiedziałem mu natychmiast, ale on wydawał się mnie nie słyszeć. Jego głos stawał się coraz cichszy i cichszy, a potem zniknął i poczułem, że twarz zamarza mi na gładkim lodzie...

Część druga

Chandra. Tak właśnie nazywała to jej matka. Elżbieta nigdy nie stanowiła dla niej łatwego łupu - była zbyt aktywna, zbyt zajęta światem zewnętrznym - ale kiedy dopadła ją w samolocie w drodze powrotnej do Rzymu, rozpoznała ją natychmiast. Chandra.

Nie miała nic wspólnego z wstrząsem i smutkiem po śmierci Val. Z tym mogłaś spróbować sobie poradzić. Twój religijny trening pomoże ci to zwalczyć. Ale chandra wślizgiwała się pod skórę, przedostawała do twojego obiegu krwi tak, że Kościół, wiara i dyscyplina nie mogły jej zatrzymać, chwyciła cię, kiedy nie zwracałaś na nią uwagi, a potem było już za późno. Wtedy już trzeba piekielnie słono zapłacić.

Wszystko przez tę małą dziewczynkę, dzięki niej mogła ją zidentyfikować. Mała dziewczynka w rzędzie przed nią, sześć może siedem lat, przyglądała się jej z nadoparcia w przyciemnionej kabinie. Prawdopodobnie były jedynymi pasażerkami, które nie spały. Mała dziewczynka z ogromnymi, błyszczącymi, ciemnymi oczyma, krótkim, szerokim noskiem, bardzo poważnymi ustami i niebiesko-złotą wstążką zawiązaną na końskim ogonie. Był środek nocy, gdzieś nad Atlantykiem, a Elżbieta poczuła wpatrzone w siebie oczy.

Uśmiechnęła się do poważnej twarzyczki, która natychmiast ożyła. Mała położyła brodę na oparciu.

- Nazywam się Daphne. Mój ojciec mówi do mnie Daffy. Szepczę, bo nie chcę obudzić mamy. A ty jak się nazywasz?

- Elżbieta.

- Moja mama ma lekki sen. Dlatego muszę być cicho, chodzić na paluszkach i tak dalej. A ty dlaczego nie śpisz?

- Zamyśliłam się.

- Ja też. - Mała głowa pokiwała ze zrozumieniem. - Myślałam o moich przyjaciółach. Zobaczą ich jutro. A ty o czym myślałaś?

- O przyjaciółach, tak jak ty.

- Zobaczysz ich jutro?

- Nie, obawiam się, że nie.

- Mieszkaś w Rzymie?

- Tak? A ty?

- Mamy dom w Chicago, ale mój tata pracuje w Rzymie, dlatego tam mieszkamy. A ty gdzie masz dom?

- Przy Via Veneto.

Mała twarzyczka rozjaśniła się.

- Wiem, gdzie jest Via Veneto. A czy masz córeczkę? Mogłybyśmy się razem bawić...

- Och, przykro mi, nie mam... chciałabym...

- Co? Czego chcesz, Elżbieto? Chciałabyś mieć córeczkę?

- Tak, Daphne. Chciałabym mieć córeczkę. Taką jak ty.
- Naprawdę? - Zachichotała, zakrywając usta ręką.
- Naprawdę.
- Możesz mówić do mnie Daffy, jeśli chcesz.

To załatwiało wszystko. Chandra. Nastąpiła długa noc dla Elżbiety.

Czuła się tak, jakby duch Val dogonił ją w samolocie tej nocy. Coś jej dokuczało, Val próbująca coś jej przekazać, ale to coś nie było wyraźne. Elżbieta nałożyła słuchawki i wkładała taśmy jedną po drugiej do magnetofonu. Billie Holiday, Stan Getz, Astrud Gilberto, Moody Blues, Jefferson Airplane, symfonia Mozarta „Jowisz”, nagranie Gustava Leonhardta Bachowskich koncertów na klawesyn, jedna taśma po drugiej wyjmowana z torebki, skrzyp pióra sunącego po kartce notatnika, gdy jej myśli uciekały gdzieś w poszukiwaniu Val...

Val. Próbowwała nadać jej sygnał, jakby gdzieś z odległej stacji, ale bez skutku. To było coś, co Val chciała, by Elżbieta sobie przypomniała: To wróci, powtarzała w myślach, to musi do mnie wrócić.

I tak było źle, ale kiedy myślami wróciła do Bena, to miała wrażenie, iż jest jeszcze gorzej. Poczuli się parszywie, że tak zostawili sprawy między sobą. Nienawidziła siebie za sposób, w jaki się zachowała, za kłótnię. To przecież on miał rację, absolutną rację, a teraz zastanawiała się, jak i kiedy tak wszystko spieprzyła. Chciała pracować razem z nim, by dowiedzieć się, co przydarzyło się Val; była podekscytowana jego pomysłem, to pomogło jej poradzić sobie ze śmiercią Val: odnalezienie emerytowanego gliny na ponurej listopadowej plaży, słuchanie o zamordowanym tak dawno temu księdzu, opracowywanie różnych teorii późno w nocy razem z Benem i ojcem Dunnem... Dlaczego więc tak wszystko źle się skończyło tą jej nagłą świętoszkowatą obroną Kościoła? Co jej się stało? Może to był zwykły strach? Uderzyło ją mocno, zaciśniętą pięścią rzeczywistości, że Val nie żyje. Zamordowana, jakby prawda, której szukała, obróciła się przeciw niej i zmiotła ją.

Strach. Strach o siebie, gdyby dołączyła się do poszukiwań, strach o Bena, gdy on się upierał przy znalezieniu mordercy. Jej najdroższa przyjaciółka nie żyła, a ona rozchorowała się z tchórzostwa i nienawidziła siebie za to. Była tchórzem i... i nie potrafiła całkiem uwierzyć, że to Kościół uderzył i zabił Val, by ochronić siebie. Mogła uwierzyć w tyle innych rzeczy o Kościele, poznaczonym bliznami ran z wielu bitew, ale nie w to.

A przecież nigdy nie była potulną rzeczniką Kościoła, jego apologetką. Nie bardziej niż Val. Nigdy nie zrobiła tego, o co ją oskarżył Ben. I to nie było w porządku, że on tak o niej myślał. Czuła, że to jest... *niesprawiedliwe*.

Wtedy Daphne wychyliła głowę nad oparciem, porozmawiały przez chwilę i Elżbieta rozpoznała nadejście chandry. I nie miała ona nic wspólnego z Val, nic wspólnego z Kościołem. Przynajmniej nie bezpośrednio.

Daphne sprawiła, że zaczęła myśleć o małych dziewczynkach i miłości. Patrząc w błyszczące okrągłe oczy, zobaczyła siebie pełną gorącej nadziei i oczekiwania tak dawno temu w Illinois, gdy miała życie przed sobą, jak nie kończące się przedstawienie w cyrku. Patrzyła w oczy dziecka i poczuła

przyśpieszające tętno, szybsze bicie serca, blask miłości. Uderzenie, o którym ludzie zawsze pisali pieśni. Daphne. Mała dłoń na chichoczących ustach. „Mama ma lekki sen”, pytanie „Czy masz małą córeczkę?...”.

Miłość.

Miłość była problemem dla Elżbiety. Kiedy się odsłoniła, mogła ją zaskoczyć, wypełnić jej serce, wywołać łzę tęsknoty w kąci oka. Zawsze przychodziła znikąd, a gdy się zaczynała - niezbyt często - miała wprawę w podtrzymywaniu nieustannej krzątaniny, zwalczaniu jej, obiecywaniu sobie, że to komplikacja, której ani chce, ani potrzebuje... Kiedy się zaczynała, była jak choroba, jak gorączka, która wysysała jej żywotność, mogła trwać wiele dni. Ucisk w żołądku, ból w sercu tęskniącym za ciepłem, dotykiem, podległością innej ludzkiej istocie... Co to było jeśli nie tęsknota za miłością, której po prostu jej odmówiono przez jej powołanie?

Czasami ta tęsknota ogarniała ją. Patrzyła w oczy Daphne i myślała, że nigdy nie będzie miała swojej Daphne. Rozmowy przy kuchennym stole, łagodzenie burzy, podpatrywanie, jak Ben Driskill siedzi i patrzy na nią...

Podpatrywanie, jak Ben Driskill patrzy na nią.

Tak było dobrze dzielić z nim śnieżną noc w parku Gramercy, pić piwo w knajpce „U Pete’a”. Tak było dobrze. Te kilka dni spędzonych z Benem w tak nieszczęśliwych okolicznościach. Razem w domu, gdy wiedziała, że są pod tym samym dachem, słyszała, jak się porusza, nawet kiedy nie byli w tym samym pokoju, wspólna rozmowa ze starym policjantem, siedzenie razem przy ogniu, odnalezienie fotografii w bębenu... wyczuwanie ironii i bólu Bena, gdy chodziło o katolików, nawet znoszenie ciężaru jego gniewu skierowanego ku niej... Był życiem. Rozpoczął bitwę, gotów podjąć ryzyko...

Cholera! Jej wyobraźnia rozpędzała się, ale, ale...

Zawiodła go, choć chciała, by stworzyli zespół. Był nieunikniony związek kobiecości i męskości w czasie, który razem spędzili: jak mogło go nie być?

Nie powinien się jednak pojawić.

Tak się cieszyła, przebywając z nim. I była taka wściekła, kiedy zasugerował, że monsignor Sandanato jest w oczywisty sposób w niej zakochany. Jej twarz ogarnął płomień, ponieważ myślała o Benie i zastanawiała się, czy się z niej śmieje? To było szalone powiedzieć, że... śmiał się z niej, niech go cholera, zakonnica jako obiekt miłości, cha, cha, a to dobre!

I miała te nerwowe sensacje, których zakonnica nie powinna mieć, i wydawało jej się, że Ben je wyczuwa. Śmiał się z jej braku doświadczenia, jej nieśmiałości.

Czy dlatego odwróciła się od niego w końcu?

Czyjej obrona Kościoła, zaprzeczenie jego cech, które przedtem chwaliła - wygłosiła dlatego, że poczuła się przez niego upokorzona?

Czy po prostu dlatego, że bała się, iż mogłaby się w nim zakochać?

Inna kobieta - nie zakonnica - uważałyby, że wieczór spędzony razem w przeszłości i kilka dni ogarniętych smutkiem po śmierci ukochanej osoby z trudem dają podstawę do zakochania się. Ale kontakty tej kobiety z mężczyznami byłyby zupełnie inne. Zakonnica została przygotowana do kontaktów

z mężczyznami, w większości z księżmi, prowadzonych w pewien sposób, bardzo szczególny, który usuwał romantyzm, zmysłowość. Jeśli miałas dość zdrowego rozsądku.

Jej uczucia do Bena były inne.

Ale odwróciła się od niego i sprawiła, że nią pogardza.

Dobra robota, siostrzo.

Przyleciała do Rzymu z zaczerwienionymi oczami i zupełnie wyczerpana, z pękającą głową. Daphne uściskała ją na do widzenia, a jej matka z dumą temu się przyglądała. Elżbieta znowu poczuła magnetyzm ogromnych, błyszczących oczu. Ani Daphne, ani jej matka, oczywiście nie domyślały się nawet, że jest zakonnica.

W taksówce nerwowo kartkowała kalendarz, sprawdzając notatki nabazgrane pośpiesznie w czasie lotu. Poprosiła kierowcę o zawiezenie do wieżowca przy Via Veneto. Przebrała się w strój do biegania, włożyła *Biały Album* Beatlesów do walkmana i wyszła na ciężki czterdziestopięciominutowy bieg, by spocić się i pozbyć sztywności mięśni po nocy spędzonej na siedząco.

Po lodowatym prysznicu wpatrywała się nieszczęśliwa w swoje odbicie w lustrze wiszącym nad umywalką. Bez makijażu, z mokrymi, potarganymi włosami, wyciągniętą twarzą, otępiłym wzrokiem. Twarz spoglądająca na nią przypominała jej siostrę Claire z pierwszego roku jej nowicjatu. To Claire wezwała przedstawiciela firmy Revlon, aby odwiedził „rekrutki”, jak je zawsze nazywała, i poinstruował o subtelnych, lecz efektywnych sposobach wykorzystywania kosmetyków.

- Jak możecie oczekiwać, że będziecie szły do przodu i niosły słowo Boże - mówiła - jeśli łądzie wyglądając jak Absolutne Piekło? - Dało się słyszeć wielkie litery, gdy to mówiła. Lekcje podziały. Teraz bez wątpienia wyglądała jak Absolutne Piekło, ale dziesięć minut później naprawiła szkody powstałe po nieprzespanej nocy i była gotowa stanąć twarzą w twarz ze światem.

Wiele godzin później, kiedy pełny zajęć dzień dobiegał końca, siedziała sama w swoim biurze. Nagromadzone kryzysy czasopisma w końcu zostały zażegnane i miała pierwszą przerwę, by pomyśleć. Sączyła z filizanki zimną kawę, odłożyła na bok kilka kopii do sprawdzenia i zamknęła oczy. Jej podświadomość przez cały dzień pracowała, próbując odgrzebać przelotną uwagę Val, która uciekła z jej pamięci.

Nagle otworzyła oczy. Usłyszała głos w pokoju. Zabrało jej to sekundę, zanim sobie uświadomiła, że mówi sama do siebie, nie, nie tak, mówi do Val, a co ją przeraziło to to, że Val jej odpowiadała... To było wspomnienie, oczywiście, taka krótka podróż w czasie. Czekają pewnego wieczoru w biurze, Curtis Lockhardt miał po nie przyjechać. Szli we trójkę na kolację, do jednej z jego ulubionych wyrafinowanych knajpek, gdzieś w nowe miejsce. Val czuła się podniecona, adrenalina była pompowana bez przerwy. Elżbieta zapytała ją, co się dzieje, ale Val pokręciła tylko głową, uśmiechając się, i stwierdziła, że nie może jej powiedzieć, ale o mało nie pękła z chęci podzielenia się wieściami. Przy kolacji Lockhardt wspomniiał o kimś, kto niedawno umarł, kto miał do czynienia z Kościołem - cholera, Elżbieta nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska, czy to był Irlandczyk? Wydawało jej się, że nazwisko gdzieś tkwi w

jej głowie - oczy Val na ułamek sekundy spotkały wzrok Elżbiety i wtedy Val powiedziała: „To już pięć”, a Lockhardt zachnął się i spytał: „Co to znaczy?”, a Val odparła: „Pięć w tym roku”, a Lockhardt stwierdził tylko, że nie jest odpowiedni czas i miejsce, a Val przybrała minę Gildy ze starego programu telewizyjnego *Sobotnia noc na żywo* i odparła: „Nic nie szkodzi...”.

Pięć w tym roku...

A wtedy wyczerpanie uderzyło w nią z całą siłą. Obudziła się kilka godzin później przy swoim biurku. W końcu dotarła do domu po to tylko, by paść i spać bez przerwy dziesięć godzin.

* * *

Praca pochłoneła jej kilka następnych dni.

Postępowała zgodnie ze zwykłym harmonogramem, co oznaczało, że musi bardzo się starać, by codziennie znaleźć siedem czy osiem godzin na sen. Były wywiady, kolegia redaktorskie, spotkania z drukarzami, egzemplarz sygnałny dostarczony w ostatniej chwili, z którym trzeba coś zrobić, tłumacze, których trzeba było nakłonić do pracy po godzinach, konferencje prasowe, wizyty dygnitarzy, którym trzeba było towarzyszyć przy herbacie w kwaterze głównej zakonu na szczycie Hiszpańskich Schodów, kolacje z delegacjami z Afryki, Los Angeles czy Tokio. Z całego świata niestrudzenie, nieskończenie, przybywali do Świętego Miasta pielgrzymi, bogaci i biedni, święci i cyniczni, nieśmiali i chciwi, zanosząc modlitwy i nadzieje swojego Kościoła, szukając polepszenia bytu, lub uzupełnienia kieszeni, zdecydowani pracować nad nieskończoną, rozłazącą się konstrukcją, jaką jest Kościół Rzymu. A Elżbieta opisywała, tłumaczyła i nagrywała ich przyjazdy i wyjazdy. I słuchała, nigdy nie przestawała słuchać.

W dniach po jej powrocie, dokądkolwiek poszła, rozmawiano o śmierci papieża. Dziennikarze nawet założyli pulę zakładów, przewidując datę śmierci. Zainteresowanie zakładami wzrastało i opadało wraz z pogłoskami. Zawsze krążyła informacja, że w zdrowiu Jego Świątobliwości zaszła zmiana, a czy na lepsze, czy na gorsze zależało od informatora. Liczba różnych *papabili* rosła i spadała jak rtęć w termometrach. D'Ambrizzi i Indelicato należeli do faworytów, ale inni też mieli swoich zwolenników. Każdy miał jakiś atut.

Omawiano też zamordowanie siostry Val, Lockhardta i Heffernana w odległej Ameryce, gdzie takie rzeczy zdarzały się na każdym kroku. Chociaż, nawet jak na Amerykę, było to dużo. Osaczały ją pytania. Walczyła z nimi najlepiej, jak umiała. Udawała nieświadomą. Nikomu nie powiedziała o teorii, że zabójcą jest ksiądz: w Rzymie to był lont, którego wiedziała, że lepiej nie zapalać. Nigdzie nie pojawiło się ani jedno słowo na ten temat i nie miała zamiaru zostać źródłem takiej zapalnej plotki. W konsekwencji, sama z teorią księdza zabójcy rozbijającą się jej w głowie, zaczęła się czuć osaczona, złapana samotnie w pułapkę z czymś co wiedziała doskonale, że jest prawdą.

Musiała z kimś o tym porozmawiać. To było takie dziwne - nie mieć Val... I chciała się dowiedzieć o „pięciu w tym roku”. Pięć *śmierci* w tym roku...

Prawie podniosła słuchawkę, by zadzwonić do Bena, pragnąc usłyszeć jego głos, przeprosić go, ale kiedy wyciągnęła rękę, cofnęła się; nie, zrobi to jutro. Jutro.

To był zły sen i dobrze o tym wiedział, w taki sposób, jak możesz przyzwyczać się do okropnej, cieknącej rany, czegoś, na co nie ma lekarstwa, czegoś, co cuchnie i zaraża całe twoje życie i zostawia cię na pół obłąkanym, oszalałym i niedołącznym.

W tych chwilach tuż przed przebudzeniem, w plamie jak siatce zbliżającej się świadomości, kiedy człowiek prawie potrafi opanować tkwiącą wewnątrz bestię, Sandanato śnił, że wędruje w ciemnym miejscu, które czekało na niego co noc. Czasami udawało mu się je ominąć, czasami nie. Przechodził bezszelestnie od pokoju do pokoju, ale za niektórymi drzwiami i sklepionymi przejściami, które mijał, leżały nie pokoje, ale komnaty wyłożone płonącym piaskiem, miedziane ściany z kamienia wyrastające wokół niego, tysiące stopni wyciosanych w urwisku, a krąg rozpłomienionej bieli widniał w błękitnie daleko, wysoko nad nim, widziany jakby przez człowieka uwięzionego na zawsze na dnie zatrutej studni...

W swoich snach był zawsze na dnie, nie mogąc znaleźć wyjścia, samotny i pełen bólu, potykający się w ciemności z kpiącym niebem, nieosiągalnym tam wysoko. Jego sen zawsze nosił zapach kadzidła i tego szczególnego odoru wionącego z płonącego piasku i krzewów, na które nie spadł deszcz. W jego śnie zawsze było to ciemne miejsce bez nazwy, pulsujące własną mocą, drgające od czarnej krwi płynącej ze strumieni, które wryły się w kamień jak rany.

A wtedy to niemożliwe się wydarzało. Cud.

Dno doliny drżało pod stopami, czarna krew bulgotała i pieniała się na polerowanych ścianach z kamienia, a kamień rozsuwał się przed nim. Widział przed sobą wyjście, ścieżkę przez bramę wyciętą w murze, a za nią bezkresną połąć... Pustynia w krzykliwym rozkwicie, a na horyzoncie, obmyty mgłą promieni słońca i księżyca, niewiarygodny, bo to był przecież sen, zamek, nieskończenie bezpieczny i święty...

W swoim śnie nie był już dłużej samotny, ale otaczali go bracia w kapturach, ktoś kogo znał, ktoś go wyprowadził z więzienia skrytego pod owiewanymi wichrem urwiskami. Stał się raz jeszcze całością, kimś, nowym. Ochrzczony w gorącej, czarnej krwi, stał się w końcu wojownikiem, gladiatorem jakiegoś starożytnego zakonu, wysłanym ze świętą misją.

Dolina Łez, taką nazwę nadał piekielnemu miejscu, skąd udawało mu się uciec.

A wtedy wszystkie obrazy bladły, a miejsce czarnej krwi cofało się do podświadomości. Otwierał oczy. Jego ciało i prześcieradła były przesiąknięte potem. Zaczynał się dzień.

Była czwarta rano pierwszego dnia, po powrocie monsignora Sandanato do Rzymu.

Giacomo kardynał D'Ambrizzi prowadził większość swego życia bardzo dyskretnie, a czwarta rano to bardzo dyskretna godzina.

Zza kierownicy monsignor Sandanato badał we wstecznym lusterku twarz swojego starego mentora. Kardynał opadł na tylne siedzenie najmniej rzucającego się w oczy z samochodów zarejestrowanych w Watykanie - niebieskiego fiata z zardzewiałym zadrapaniem na tylnym błotniku. Jego obsesja dyskrecji była w pełnym rozkwicie. Czwarta rano w burej szarości zimnego jesiennego poranka. Boczne ulice Rzymu wznosiły się ospale, starożytne budynki sięgały ku sobie jak bardzo słabi starzy

przyjaciele. Jechali przez noc jakby w tunelu.

Kardynał powoli wyjął czarnego egipskiego papierosa ze starej wyłożonej skórą papierošnicy, położył na dolnej wardze i zapalił. Zaciągnął się głęboko. Sandanato, patrząc przez gęste rzęsy, zobaczył palce kardynała - krótkie, grube i z plamami nikotyny. Palce wieśniaka. Twarz wpatrująca się z uwagą w książkę o Sherlocku Holmesie nosiła cechy wielbiciela przyjemności, Borgii. Jego wargi były pełne, zęby nierówne i przebarwione od nikotyny, oczy niebieskie i bystre, kiedy dostrzegłeś ich błysk za ciężkimi powiekami.

Kardynał miał na sobie cywilne ubranie. To ta jego obsesja dyskrecji, ale monsignor Sandanato rozumiał go. Nawet teraz, siedząc spokojnie z tyłu małego samochodu, starszy człowiek w starym kapeluszu - część jego kamuflażu - nie powiedziałby ani jednego słowa głośno. Z obawy, że w samochodzie jest podsłuch. W grze o wysoką stawkę, zwykł mówić, wszystko jest możliwe. Bezmyślne słowo może zatopić statek.

Kapelusz miał wciśnięty głęboko na oczy. Jego kiedyś gęste czarne włosy zbieleły; przylegały do mocnej czaszki jak czapka. Niczym nie wyróżniający się szary garnitur wydawał się dla niego trochę za ciasny, za krótki, jakby kupiony z drugiej ręki. Był przysadzistym, mocno zbudowanym, krzepkim mężczyzną, wywołującym lęk nawet po skończeniu siedemdziesiątki. Kiedy dorastał w Trieście, zyskał sobie reputację: szybka głowa, szybsze pięści.

Przez lata Sandanato obserwował kardynała, ten jego naturalny sposób ukrywania się, który wykorzystywał do najwyższego stopnia. Miał wprowadzające w błąd obwisłe policzki i wargi gadatliwej starej plotkarki. Jego naturalną postawą było przygarbienie. Zawsze jakoś rozczochrany, bez względu na to, jak ważna zbliżała się okazja. Było zupełnie nie do pomyślenia nawet wyobrazić sobie go wyprasowanego, wykrochmalonego i schludnego. Ale to wszystko okazywało się fałszywą fasadą. Ostry intelekt błyszczał za starą twarzą sybaryty, przenikliwy, z intuicją tak precyzyjną jak logika komputerowa. Giacomo kardynał D'Ambrizzi, jeden z najbardziej skrytych ludzi, znał kilka sekretów monsignora Sandanato.

Sandanato wiedział od samego początku, że kardynał jest zaangażowany w najważniejsze sprawy Kościoła. Miał rozważny, wyrachowany, chłodny umysł, poszukiwany u pomocników, a ci na stanowiskach władzy rozpoznali go w tym młodym człowieku z Triestu. Pieniądze zawsze robił najlepiej. Zaczął od ich zbierania, a potem je inwestował. Przewyższał swoich rówieśników w owym czasie, zbudował i kierował bogactwem Kościoła.

Z czasem kardynał dowiedział się, jak podatny jest Kościół, jak odwdzięcza się dotykowi kochanka. Jak ludzi, tak i Kościół można było zmusić, by robił to, czego chce kardynał. Najbardziej z wszystkiego pragnął zachować Kościół, obronić go przed złem i wrogami wewnątrz i spoza jego murów. To było przygniatające zadanie, ale okazał się do niego stworzony. A Piętro Sandanato stał zawsze przy jego boku, kiedy dojrzewała jego władza.

Kardynał często opowiadał mu o chwili, gdy zrozumiał swoje powołanie i pojął, jak najlepiej może służyć Kościołowi. To było w zrujnowanym biurze w Neapolu, do którego przyjechał prawie pięćdziesiąt lat temu. Odłóżące linoleum, zapach potu, talerze z zaschniętym makaronem ustawione w

stos w rogu zarzuconego papierami biurka. Biuro skromnego niewykształconego magnata, którego nadzieje ściśle wiązały się z Kościołem. Ojcu D'Ambrizzi udało się wydobyć sto tysięcy dolarów od niechlujnego człowieka w koszuli z plamami potu pod pachami. To właśnie tak się zaczęło, a D'Ambrizzi wiedział, gdzie przekazać pieniądze.

Wiele lat później, mówiąc o kontroli, jaką sprawuje kardynał D'Ambrizzi nad ogromnym portfelem inwestycji watykańskich i prawie przygniatającej ochronie otaczającej wszystkie jego ruchy i działania, amerykański kardynał powiedział:

- To ma związek z terytorium, po prostu. Uśmiechniesz się do nieodpowiedniego bankiera w Zurychu lub zjesz obiad z nieodpowiednim doradcą w Paryżu, a giełdy nowojorska i paryska doznają szoku. Ale, mój przyjacielu, zastanawiałeś się kiedyś, gdzie tu pasuje Bóg?

To była prawda, oczywiście, co kardynał rzekł Sandanato. Jego życie wiązało się z dyskrecją i ochroną, a także z terytorium. Ale również była to część jego natury. A tak długo, jak postępowało Boże dzieło, kardynał już dawno przestał teoretyzować. Pewnego dnia wszystko bez wątpienia się wyjaśni.

Monsignor Sandanato wprowadził fiata w ukrytą alejkę i zaparkował w ślepej uliczce, gdzie niczyje, wiekowe śmiecie bezładnie zrzucano na stos. Zgasił światła. Znajdowało się tam boczne wejście do szpitala, tak ukryte, że wydawało się kulić. Kupka cegieł tuż przed rozpadnięciem. Klientela była biedna i niewymagająca, dlatego nikt nigdy by nie uwierzył, że kardynał w ogóle postawi tam nogę.

Właśnie dlatego, oczywiście, D'Ambrizzi go wybrał. Trzy tygodnie temu pewien polityk został postrzelony przez Czerwone Brygady mniej niż pięćdziesiąt stóp od wejścia, a jednak zabrano go samochodem do innego szpitala o dwadzieścia minut drogi. Ten szpital idealnie nadawał się dla celów kardynała.

Ledwie oświetlony korytarz był pusty, poza dwoma mężczyznami w fartuchach poplamionych krwią. Żaden z nich nie zwrócił najmniejszej uwagi na przystojnego księdza i krępego starszego mężczyznę, który pochyłony szedł powoli. Weszli do małego pokoju za mrocznym rogiem i usiedli na chwiejących się drewnianych krzesłach. Kardynał wyjął z kieszeni opowieści o Sherlocku Holmesie i zaczął czytać. Poruszał ustami, gdy czytał po angielsku. Sandanato siedział wyprostowany. Czekali.

Dr Cassoni wszedł cicho z przeprosinami. Jego pobrużdżona twarz była poważna. On i kardynał znali się przez prawie całe swoje życie. Dlatego właśnie w ciągu kilku ostatnich miesięcy włączył się do tajnej gry, w którą grał D'Ambrizzi. Normalnym miejscem pracy Dr Cassoni było miejsce tak eleganckie i pełne pieniędzy, jak maleńki szpital był zaniedbany. Cassoni pokręcił głową przygnębiony.

- Wyglądasz okropnie - powiedział cicho kardynał. - Mógłbyś pójść do doktora. - Zachichotał ironicznie i zapalił papierosa ogniem ze złotej zapalniczki, podanej mu przez Sandanato.

- Och, Giacomo, czuję się okropnie. - Cassoni osunął się na brzeg starego drewnianego biurka. - I to nie całkiem przez tę bezbożną godzinę.

Guillermo Cassoni był osobistym lekarzem papieża Kaliksta. To D'Ambrizzi polecił Cassoniego Ojcu Świętemu, kiedy zaczęły się jego bóle głowy prawie dwa lata temu.

- Pomyliłeś zdjęcia rentgenowskie? - zapytał kardynał z uśmiechem.

- Znacznie gorzej, Eminencjo - odparł Cassoni. - Nie pomyliłem zdjęć ani wyników tomografii mózgu, ani całej reszty. - Podniósł się z krawędzi biurka i ze zmarszczonymi brwiami mówił dalej. - Nasza rozgrywka, twoja... przegraliśmy, przyjacielu. Ojciec Święty już dłużej nie przetrzyma. Guz mózgu. - Wzruszył ramionami. - To jest poza naszą kontrolą. Powinien być teraz w szpitalu. Zdziwiam mnie, że jeszcze nie zaczął zachowywać się... no cóż, dziwacznie. Wiem, wiem, musi zostać tam, gdzie jest. Musi wytrzymać najdłużej jak to możliwe. Musi zwiększyć dawki leków... ale mówimy teraz o tygodniach. Miesiąc, sześć tygodni, może Boże Narodzenie...

- To niestosowne - powiedział kardynał. Dr Cassoni roześmiał się ostro.

- To nie moja wina, Giacomo. To ty jesteś szefem Oddziału Cudów. Jego Świątobliwość przydałby się jakiś...

- Każdy umiera, przyjacielu. Śmierć to nic. Ale *kiedy* umierasz, może być ważne. Tyle jest przedtem do zrobienia...

- A tak mało czasu - powiedział lekarz. - To częsta skarga. Codziennie ją słyszę. Śmierć tak często przychodzi w nieodpowiednim czasie.

Kardynał cicho czknał, kiwając głową.

Monsignor Sandanato słuchał ich nie kończącej się rozmowy o bólu, stopniu niewydolności, nazwach leków, objawach ubocznych. Chciał krzyknąć. Ale słuchał. Ich trzech w małym pokoiku w zaniedbanym szpitalu, tylko ich trzech w całym Rzymie znało prawdę o stanie zdrowia papieża. Nawet sam podmiot ich rozmowy nigdy nie słyszał tej prawdy. W takim czasie wiedzieć, byłoby nieobliczalną przewagą. Tak rozpaczliwie brakowało czasu. Wkrótce nastanie nowy cesarz. I musi być to odpowiedni człowiek.

W drodze powrotnej korytarzem minęli mężczyzn w zakrwawionych fartuchach. Rozmawiali o tenisie i nie zadali sobie trudu, by kiwnąć księdzu i staremu człowiekowi. Monsignor Sandanato poczuł zapach krwi, gdy przechodził obok.

Ranek wciąż był szary, ale zabarwiony delikatną, rozszczeplającą światło mgiełką wiszącą w powietrzu, kiedy wyszli z małego szpitala. Puszysty czarny kot siedział na dachu fiata i zszedł dopiero po zdecydowanym zepchnięciu przez kardynała. Mokre ślady zostały na lakierze.

- Zabierz mnie na wieś, Piętro - powiedział kardynał. - Zawieź mnie do Campo di Maggiore.

Kardynałowi zawsze sprawiał przyjemność widok Rzymu w pierwszym blasku dnia. Tego ranka minęli Castello SanfAngelo, gdzie papież Klemens VII schronił się przed wrogami w 1527. Kardynał zawsze współczuł biednemu staremu Klemensowi, osaczonemu przez francuską armię i kto wie kogo jeszcze. A Klemes starał się tylko utrzymać przy władzy. A przecież próbowali robić to wszyscy papieże. Kościół znowu był osaczony, wrogowie wdzierali się na mury z pikami w dłoniach. Myślał o morderstwach, kończących się na trojgu Amerykanów. Boski plan? Zastanawiał się z goryczą.

Z tylnego siedzenia kardynał dostrzegł, że Sandanato przygląda mu się we wstecznym lusterku. Uśmiechnął się, złożył ręce na brzuchu i patrzył na przesuwający się za oknem krajobraz tak naprawę nic nie widząc. Znał go, potrafił zobaczyć z zamkniętymi oczami. Ale teraz rozmyślał, a najlepiej myślało mu się z opadniętymi powiekami i umysłem wyłączonym z otoczenia. Odłożył Sherlocka Holmesa na bok.

Kardynał ufał Sandanato bardziej niż innym. Do pewnego stopnia był z młodszego człowieka dumny, jak rzeźbiarz może być dumny z rzeźby, która w całości jest jego dziełem, która okazała się właśnie taka, jaka istniała w jego marzeniach. Tak, monsignor Sandanato był człowiekiem kardynała. A jeśli stary człowiek nie ufał mu zupełnie, to tylko dlatego, że wiedział, iż coś takiego jak pełne zaufanie nie istnieje. Nigdy. Ludzie, którzy za bardzo ufali, znaleźli się przedwcześnie w grobach.

To była długa wspinaczka.

Wszystko - samochód, drzewa, drogę, ubrania - pokrywała cienka warstwa pyłu, który przypominał kardynałowi czas spędzony na Sycylii. Tylko, że tam pył był żółtoczerwony, a słońce oświetlało stare psy zdychające na ulicy.

Sandanato wziął kardynała pod rękę, kiedy ten potknął się o kamień. Razem wspięli się byle dalej od blasku słońca w cień i usiedli pod skarłowaciałym drzewem tak starym, jak chrześcijaństwo. Było chłodno w cieniu lasu. Poniżej dolina znikła w jasności dnia, strumień płynął chłodny i błękitny. Po obu stronach leżał czysty zielony dywan trawy, udekorowany kilkoma sztukami bydła. Owca czy dwie, kilka przeżuwających krów, człowiek poruszający się wolno jak we śnie. Stok po przeciwnej stronie był usiany głazami. Cała sceneria czekała na pejzażystę, który oddałby jej sprawiedliwość, a potem uświadomił sobie ze smutkiem, że ta sprawiedliwość byłaby bez wątpienia beznadziejnie zwykłym bohozem, sprzedawanym turystom za grosze ze stolika na poboczu drogi.

Usiedli pod drzewem.

- Napiłbyś się trochę wina? Chcesz butelkę piwa? Cokolwiek?

- Nic, dziękuję - powiedział kardynał. - Po prostu usiądź i odpocznij, Musisz się uspokoić - ostatnio żyłeś w dużym napięciu. - Mówił o jego podróży do Ameryki. - Zawsze powinienes nosić ze sobą powieść kryminalną, Piętro. Dzięki niej szybciej płynie czas niż dzięki twojemu brewiarzowi czy kontemplacjom nad odwiecznymi prawdami. Te historie nie są wymagające, a można myśleć i czytać jednocześnie. Ale mówiłem ci to już przedtem. A teraz... - Rozejrzał się obojętnie dookoła. - Jesteśmy sami. Poza zasięgiem mikrofonów, nieprawdaż? Teraz muszę usłyszeć wszystko o twojej podróży do Princeton.

Przybyli tam po raz pierwszy dwadzieścia lat wcześniej, do tego wspaniałego miejsca, gdzie szesnastowieczny dyplomata z Neapolu, Bernardo di Maggiore, wpadł w zasadzkę zwolenników Aragonii i został oskarżony o stanięcie przeciw nim w konflikcie z papieżem. Pomimo jego szczegółowych wyjaśnień został wypatroszony żywcem w trakcie trwającego cały dzień rytuału i przybity do pnia oliwki, aby służyć jako ostrzeżenie dla tych, którzy byli przeciwnikami dynastii aragońskiej. Za służby papieżowi kanonizowano go, zaliczono w poczet męczenników i w końcu zapomniano.

Poprzez wiatr wiejący znad doliny, Sandanato prawie słyszał krzyki Bernarda di Maggiore. Wyobraził sobie wykrzywione twarze jego oprawców, ostateczną chęć ofiary, by zostać zarżniętym, poddać się, zostać rozciągniętym i zostawionym jak zwykły strzep z tego, co kiedyś było ludzką istotą, ale co teraz stało się czymś więcej, czymś nieśmiertelnym. Mógł nawet umrzeć za coś ważnego, jakąś

ważną ideę, ale teraz nikt już jej nie pamiętał... Nieśmiertelność nie wymaga zresztą wielkich idei.

Kardynał wysłuchał raportu Sandanato. Kiedy go rozważał, otworzył butelkę chianti i oderwał kawałek chleba ze świeżego bochenka. Sandanato mówił spokojnie, jedli chleb i ser, i pili. Kardynał starał się panować nad sobą, ale opowieść zezłościła go i zdenerwowała. Śmierć obrabowała go... Morderstwo obrabowało go i nienawidził tego. Jego własna śmierć mniej by go obeszała, ale nie mógł zaakceptować śmierci swoich nadziei, poświęcenia, jakie dawno temu oddał Kościołowi. Napił się łyk wina, które było tak czyste, że nigdy nawet nie spowodowałoby bólu głowy. Otarł usta. Musiał pracować szybko, zanim maszyna wyskoczy z szyn, zanim spadnie z łoskotem w ciemność. Zwrócił się do monsignora Sandanato.

- W porządku - powiedział, z dłoni robiąc daszek nad swoją twarzą Borgii. - A teraz powiedz mi o Benie Driskillu... i jaką rolę gra nasza siostra Elżbieta w tej niebezpiecznej grze. To nie jest miejsce dla kobiet, Piętro.

- Nic nie rozumiem z tego, co mówisz: ksiądz zranił go, gdy ty tam po prostu sobie stałeś? - Nie potrafiła ukryć niedowierzania w głosie.

Wiatr znad placu pochwycił brzegi parasoli nad stołami i poklepał liście palm. Spaliny wisiały nad samochodami jak stara koronka trumienna. Słońce po południu przygrzewało mocno jak na jesień, świeciło malowniczo zza mgły. Kawiarenka na zewnątrz była pełna, ale jej ciche wnętrze pozostawało oazą spokoju w hałasie i blichtrze Rzymu.

Monsignor Sandanato zadzwonił do niej poprzedniego dnia ze swego biura w Watykanie, a ona chętnie przyjęła zaproszenie na lunch. Teraz siedziała z otwartymi ustami, wstrząśnięta opowieścią, którą właśnie wyrzucił z siebie. Wyglądał na bardzo spokojnego, ale oczy go zdradzały, głębiej zapadnięte niż zwykle o czerwonych spojówkach, i zdążył wypić pół butelki wina, zanim przyszała. Dobierał starannie słowa, jak gdyby sam sobie redagował tekst, gdy mówił. Tak zawsze postępowali księża w jej obecności: zachowywali wielką ostrożność. Była dziennikarką i kobietą - dwiema najbardziej niebezpiecznymi istotami na świecie.

- Nie, nie. Byłem daleko, po drugiej stronie stawu. Nie zauważyłem niczego, aż było za późno. Przedtem dostrzegłem tylko, że ktoś inny jeszcze wyszedł wieczorem pojeździć na łyżwach... tam jest mała rzeczka czy strumień, który się rozszerza za domem i sadem... to musiała być pierwsza jazda sezonu. - Oddzielił widelcem kęs ryby w ziołach i jadł od niechcienia. - Już go nie było, kiedy dotarłem do Bena... Ben leżał na lodzie, krwawiąc. Zaciągnąłem go do domu. Tyle krwi...

- Ale czy teraz czuje się dobrze? Zostałeś w Princeton, żeby upewnić się, że...

- Tak, tak, oczywiście. Wraca do zdrowia: to była bardzo poważna rana. - Wskazał niezgrabnie swoje palce i bok. - Na szczęście jakoś ominęła istotne organy wewnętrzne... Jego ojciec też lepiej się czuje, ale to jest starszy człowiek, dłużej dochodzi do siebie.

Napotkała jego oczy wpatrujące się w jej twarz, gdy podniosła wzrok. Coś w jego uczuciach leżało tuż pod powierzchnią, jak gdyby dotknięcie czubka palca mogło go sparaliżować. Czego szukał w jej oczach? Czego jej nie mówił? Przypomniała sobie, co powiedział Ben Driskill: „On cię kocha”.

- Ale to ksiądz go zranił?

- Mogę tylko powtórzyć, co powiedział Driskill. Znajdowałem się zbyt daleko, żeby zobaczyć. Twierdził, że to był ksiądz, mężczyzna z siwymi włosami, którego widziano w Helmsley Pałace. Driskill mówi, iż to ten sam człowiek. - Zadrżał. Skuter zakaszlał niedaleko i włączył się do ruchu. Kelnerzy w białych marynarkach poruszali się elegancko między stolikami.

- Ale ty sam nie widziałeś księdza?

- Jak mógłbym, siostrze? Najpierw byłem za daleko, a potem starałem się nie upaść, żeby dotrzeć do Driskilla...

Siostra Elżbieta westchnęła i odłożyła sztucce. Delikatne plastry cieleciny leżały prawie nietknięte na jej talerzu. Wypiła łyk orwieto, starała się nie skupiać spojrzenia na niczym. Znał sposoby przytrzymywania wzrokiem. Cierpiące oczy męczennika.

- Cała sprawa z każdą chwilą staje się coraz bardziej szalona... - powiedziała. - A po pierwsze, czyj to był pomysł, żeby pójść na łyżwy? Ben powiedział mi, że nienawidzi łyżew.

- Przyznaję, to był mój pomysł. Wydawał się...

- Wiem, wtedy wydawał się dobry. Ale poza tym, pani Lincoln, jak pani podobała się sztuka?

- Nie rozumiem - powiedział.

- Daj spokój. Kiepski żart. A więc to był twój pomysł.

- Myślałem, że trochę ruchu nie zaszkodzi. Sposób na rozjaśnienie w głowie. Kto mógłby przypuszczać, że coś takiego się zdarzy?

- To, co mnie niepokoi, monsignor, to sposób, w jaki mógł się ów ksiądz dowiedzieć, że Ben Driskill wyjdzie na zewnątrz pojeździć na łyżwach.

- Z całą pewnością nie mógł tego wiedzieć, siostrze. Nie, myślałem już o tym. Musiał mieć zamiar zaatakować Driskilla w domu... Ale wtedy go zobaczył, nadarzyła się fantastyczna okazja i ją wykorzystał. Zdobycie łyżew było prostą sprawą, leżały po prostu za kuchennymi drzwiami do domu, a w końcu już znał drogę.

Słońce się przesunęło. Oświetlało teraz czubek głowy Sandanato, rozjaśniając jego gęste, czarne włosy i tworząc trójkąt w poprzek czoła jak znamię.

- Kiedy się włamał i ukradł teczkę Val... tak. Tak właśnie musiało się stać. Boże, co za szczęście!

- Prawdziwe? - zastanowił się Sandanato. - Może jest jakaś iskierka nadziei? To była bardzo poważna rana. Mógł umrzeć, ale nie umarł. Może zmieni zdanie, bo przeżył.

- Zmieni zdanie?

- Chce sam odnaleźć zabójcę - to prawdziwe szaleństwo.

- Naprawdę tak myślisz, monsignor?

- Nie miałby żadnej szansy. Tylko inny zabójca miałby w ogóle jakąś szansę. Może tak bliski kontakt ze śmiercią zmieni jego decyzję?

- Zastanawiam się...

- Naprawdę, przemyślałbym wszystko raz jeszcze, gdyby ktoś wbił mi nóż w plecy.

- Zastanawiam się, czy to wywrze na niego jakiś wpływ? Jest uparty i zdecydowany. Nie

pomyślałeś, że to mogłoby go umocnić w jego postanowieniu?

- Mój Boże, mam nadzieję, że nie. Umrze i nie będzie wiedział, ani dlaczego, ani kto go zabił. Nigdy nie dowie się, co stało się przyczyną...

- A jaka to mogłaby być przyczyna morderstwa?

- Teraz właśnie - mówił dalej, jakby w ogóle się nie odzywała - jego ojciec będzie potrzebował go w domu. Powiedział mi, że próbowałaś go przekonać, nakłonić do porzucenia zamiaru poszukiwania zabójcy, do zostawienia całej sprawy władzom.

- Próbowałam, ale osiągnęłam wprost przeciwny efekt. Sandanato wzruszył ramionami, znużony szaleństwem innych.

- Mam nadzieję, że sobie wszystko przemyśli.

- Zrozum, władze w Princeton i w Nowym Jorku nie mają zamiaru w tym grzebać. Po prostu nie chcą próbować dostać się do Kościoła, by znaleźć tego człowieka...

- Zakładasz więc, że jest księdzem...

- Tylko mnie wysłuchaj. Kościół teraz ustawia wozy w kółko i będzie się bronił do upadłego. Nie wpuści żadnego gliny do środka, jeśli zabójcą jest ksiądz. Co się ma zatem stać? Oboje to wiemy. Kościół przeprowadzi własne śledztwo, a jeśli jakieś niegrzeczne typy są wewnątrz Kościoła, możemy mieć do czynienia z przypadkiem, że niegrzeczne typy śledzą samych siebie. - Usiadła wygodniej i pociągnęła duży łyk zimnej jak lód wody mineralnej. Spaliny wysuszyły jej język i utkwily w krtani. Jesienny wiatr na piazza stawał się coraz chłodniejszy.

- Jesteś niepotrzebnie cyniczna.

- Naprawdę? Ty też jesteś w środku. Jakie śledztwo mają zamiar przeprowadzić?

- Chwileczkę, sostro. Nie mogę ot tak po prostu założyć, że prawdziwy ksiądz, ktoś należący do Kościoła, jest odpowiedzialny za zabijanie...

- Ale może to założenie jest słuszne. I co wtedy? Kim jest ów ksiądz? Kto zna jego tożsamość? Kto wydaje mu rozkazy? A może działa sam, sam wybiera swoje ofiary? Pytania są przerażające...

- Nie możesz tak mówić, sostro! Przecież Kościół jest tutaj ofiarą, to nasi ludzie są zabijani!

- Jeszcze chwila, a powiesz mi, że kardynała D'Ambrizziego w ogóle nie interesuje, co się stało...

- Uwierz mi, jest naprawdę zajęty innymi sprawami. Na pewno nie zabraknie nam skandali.

- To - powiedziała uśmiechając się - można zakwalifikować jako bardzo, bardzo starą informację. Sandanato odchrząknął. Wiedziała, co za chwilę nastąpi.

- A mówiąc o informacjach, to chyba nie planujesz napisania o tym w swoim czasopiśmie...

- Nie mogę udawać, że Val żyje i ma się dobrze, prawda? Ona jest jedną z oficjalnych bohaterek, monsignor. - Patrzyła, jak unosi się niezręcznie w białym metalowym krześle. - Ale nic *nie wiem*. Co mogłabym napisać? - Dostrzegła, że się rozluźnia. Bawiła ją okazja pobawienia się nim. - Ale mam pytanie. Pytanie od Val, naprawdę.

- Jakie?

- O co Val chodziło, gdy mówiła o śmierci jakiegoś ważnego świeckiego. Wydaje mi się, że to był świecki, nazwiska nie mogę sobie przypomnieć... ale Val stwierdziła: „To daje pięć w tym roku”. Co to

według ciebie znaczy? Pięć śmierci? Jakich śmierci? Pięciu katolików? Których pięciu? O co jej chodziło?

- Siostró, nie mam pojęcia.

Odpowiedział szybko, przerywając jej, nie dając sobie ani chwili do namysłu. Już to kiedyś widziała. Nie musiał i nie chciał myśleć. Jego oczy zachmurzyły się, wymazując ją z pola widzenia, gdy tylko minęła pewien punkt. Jako kobieta zawsze miała być kimś z zewnątrz, jeśli chodziło o pewne sprawy, *poważne sprawy*, sprawy dotyczące Kościoła.

* * *

Jego Świątobliwość papież Kalikst IV wciąż jeszcze miał przyjemne poranki. Wiedział, że zapas tych poranków już się kończy, więc kiedyś jakiś nadchodził, próbował się nim cieszyć, tak jakby radość coś jeszcze znaczyła, ale co było ważniejsze, starał się, by coś zostało zrobione. Mógł mieć tylko godzinę czy dwie przed zjawieniem się bólu, albo w jego piersi albo w głowie. A wtedy pomagało tylko coraz więcej tabletek, a w końcu utrata przytomności. Musiał więc liczyć się z czasem. Ten poranek należał do dobrych. Wezwał ludzi, których chciał widzieć, i teraz czekał, próbując się rozluźnić.

Stał przy oknie swojego gabinetu na trzecim piętrze Pałacu Apostolskiego i patrzył, jak wstaje słońce nad wzgórzami Świętego Miasta, nad migoczącymi zakolami Tybru, tworzącymi pyliste fale na horyzoncie. Kiedyś w przeszłości zastanawiał się, o czym myśli papież, oglądając świat ze swojej wieży, ale nigdy nie wyobrażał sobie takiego stanu ducha, w jakim teraz sam się znajdował. Nie był zbyt sentymentalny i nigdy nie wybierał zaangażowania, jeśli mógł wybrać rolę obserwatora. Pewnie dlatego wyróżnił się z grupy, by zostać *il papa*. Przez wiele lat stał się tak odporny na zmieszanie, lęk, namiętność, ambicję, a nawet na coraz dalej wdzierający się brak wiary. Co to miało zresztą za znaczenie teraz, w ostatnim akcie jego życia. Obserwując piękno wschodu słońca, zastanawiał się, czy któryś papież przed nim kiedykolwiek tak bardzo bał się tego, co leżało za tym oknem? Oczywiście wiedział, że to idiotyczne pytanie. Wiedział doskonale, iż jest jedynie ostatnim z długiego szeregu przerażonych papieży.

Był przerażony zabójstwami. Morderstwa. Ten ostatni horror w Nowym Jorku... i ta irytująca, sprawiająca kłopoty zakonnica. Kiedy u diabła to się skończy? Dokąd to prowadzi?

Westchnął i nalał sobie filiżankę mocnej czarnej kawy ze srebrnego dzbanka. Talerz bułeczek stał nietknięty na stole. Ze swojego okna widział tę dzielnicę Rzymu, w której mieszkał jako młody student. Zaniepokoiło go, gdy sobie uświadomił, że z jednego z tych anonimowych wzgórz mógł wychylić się człowiek z bronią, który dzięki ekwipunkowi nowoczesnej technologii mógł go dostrzec przez okno, zaczekać na Kaliksta IV, biskupa Rzymu, aż zatrzyma krok i stanie nieruchomo zachwycony widokiem wschodzącego słońca, a wybuch rozrzuci jego mózg po całym gabinecie.

Melodramatyzował tylko sytuację. Nikt do niego nie strzelał. Jeszcze nie.

Wypił kawę właśnie w chwili, gdy zadzwonił na jego przegubie alarm w zegarku Piaget, zrobionym na zamówienie - prezent od sławnej gwiazdy filmowej - przypominając mu, że jego pierwszy gość już pewnie czeka w przedpokoju.

Wyjął z kieszeni staroświeckie emaliowane pudełeczko na pigułki, zastanawiając się nad ironiami

ukrytymi w ludzkim zachowaniu. Zawsze lubił refleksje nad dwuznacznością, ironią, absurdem: to miało związek z pracą. Nie po raz pierwszy stwierdzał, że byłoby mu łatwiej - lepiej by się przygotował do nieoczekiwane absurdałnego charakteru jego roli jako papieża - gdyby był pobożny. Chociaż pobożności nie wymagano przy spisie kwalifikacji na stanowisko papieża w drugiej połowie dwudziestego wieku.

Kawa tylko podniecała, powiększała zaniepokojenie, które odczuwał. Tabletki w niezwykle pudełeczku to był propranolol, lek uspokajający. Zwalniał szybkość uderzeń serca, chronił dłonie przed poceniem i drżeniem, sprawiał, że jego głos brzmiał spokojnie i stanowczo. Zatrzymywał strach, by go nie osaczył w jakiejś ważnej chwili. Połknął tabletkę, popił zimną wodą z kryształowego kubka, stojącego na tacy ze śniadaniem i zaznaczył na liście, którą przechowywał w kieszeni. Wziął tabletkę na serce, tabletkę na nadciśnienie, tabletkę na uspokojenie.

Przyszło mu do głowy, że gdyby dane mu było tylko trochę dłużej pożyć, mógłby zostać pierwszym syntetycznym papieżem. Podniósł słuchawkę i powiedział do sekretarza:

- Poproś Jego Eminencję, aby wszedł.

Manfredi kardynał Indelicato zawsze przerażał małego człowieczka, który był tylko prostym ojcem di Mona, kiedy Indelicato wspinał się po drabinie watykańskiej kariery jeszcze w latach czterdziestych, a surowa postać Piusa siedziała na najwyższej grzędzie. Niektórzy sądzili, że wzorował się na Piusie, ale mylili się. Indelicato pochodził z arystokratycznej rodziny - rodziny, która wywodziła się chyba z epoki lodowcowej - był ogromnie bogaty z całym szykiem niezwyklej willi i służby, lecz prowadził życie ascetyka. Intelktualnie, moralnie, genealogicznie, fizycznie wydawał się kimś lepszym. Lepszym od Piusa, lepszym od di Mona. Ale Sal di Mona był papieżem. Nic innego nie miało znaczenia. Gdybyż tylko papież o tym pamiętał.

Spojrzał na bladą twarz Indelicato, na czarne włosy, które prawdopodobnie sobie farbował, w oczy przypominające ślepia cierpliwie czekającego drapieżnego ptaka. Długonogiego ptaka, wyczekującego, obserwującego, gotowego zanurzyć swój dziób i pazury w czymś małym, puszystym i przerażonym.

- Wasza Świątobliwość - powiedział cicho, tak że słowo to zabrzmiało złowieszczo. Wszystko mogło zabrzmieć w jego ustach złowieszczo. W pewien sposób należało to do jego obowiązków.

- Usiądź, Manfredi. Nie bądź taki groźny. - Kalikst zawsze próbował ustalić ich związek mówiąc kardynałowi po imieniu, łagodnie go lekceważąc. Indelicato usiadł, skrzyżował niezwykle długie, chude nogi. - Twój przyjaciel, święty Jaś, przyjdzie tu za kilka minut. Czy robiłeś to, o co cię prosiłem?

Długa, wąska głowa pochyliła się nieznacznie, jakby tego pytania nie trzeba było zadawać.

- Zatem wysłucham twojego raportu. - Papież oparł się i założył ręce na piersi. Zastanawiał się, czy jest już na to za późno, by wytresować Manfrediego Indelicato - człowieka, którego najbardziej obawiano się w Watykanie, szefa watykańskiego wywiadu i bezpieczeństwa - by od czasu do czasu całował go w pierścień. Oczywiście, *było* za późno. Ale mogłoby to być zabawne. Tak rzadko udawało się komuś dokuczyć czarnemu ludowi. - Rzeczony osoby pozostawały pod nadzorem, Wasza Świątobliwość. Dr Cassoni jest wzorem dyskrecji, oczywiście, we wszystkim... poza jednym wypadkiem. Wczoraj wstał w środku nocy i pojechał do szczególnie nieeleganckiego szpitala daleko w slumsach. Tam

miał spotkanie i obawiam się, że jest słusznym założeniem, iż Wasza Świątobliwość był tematem tej rozmowy.

Chodziło o to, aby stan zdrowia papieża nie został ujawniony poza sposobem wybranym przez Watykan, Kaliksta i Kurię. Właśnie kardynał Indelicato zaproponował, by stale obserwowano osobistego lekarza papieża.

- Nie szukam tu podejrzeń, Manfredi. Chcę informacji. Z kim miał to spotkanie?

- Proszę pozwolić mi zadać sobie pytanie, jak Cassoni stał się lekarzem osobistym Waszej Świątobliwości?

- D'Ambrizzi go polecił.

- Powiniennem to podejrzewać - zamruczał Indelicato ze skrucą.

- Nawet ty nie możesz oczekiwać, że wiesz wszystko.

- Może nie, ale to właśnie z kardynałem D'Ambrizzi spotkał się nasz dobry doktor.

Papież nie był w stanie wymyślić nic, co mógłby odpowiedzieć. Spoglądając znad filiżanki z zimną kawą, zastanawiał się, czy coś, co mogło uchodzić za uśmiech w repertuarze Indelicato, rzeczywiście pojawiło się w kącikach wąskich, bladych warg.

Kardynał D'Ambrizzi wszedł i po powitaniu papieża zwrócił się do Indelicato:

- Fredi, Fredi, czemu masz taką smutną minę? Myślisz, że masz kłopoty... ha! Co mógłbym ci powiedzieć! - Wstał ponownie i spojrzał na wysokiego, chudego mężczyznę w nieskalanie skrojonej sutannie zwykłego księdza. D'Ambrizzi uśmiechnął się, wyciągnął rękę i zgniół tkaninę w grubych palcach. - Świetny materiał, świetny krój. Twój krawiec, jak zwykle? Ja w ogóle nie mam do tego figury. Dobry krawiec dla mnie to marnotrawstwo. Im obszerniejsza szata, tym lepiej wyglądam, co Fredi?

Indelicato spojrzał w dół z wysokości swego wzrostu.

- Giacomo. Musimy częściej się spotykać. Brakuje mi twego fantastycznego rozumu. - Odwrócił się. - A, monsignor Sandanato, jak to miło z twojej strony, że dołączyłeś do nas tego ranka. Przyniesiono więcej kawy i bułeczek, gdy tymczasem papież czekał, aż kardynałowie przestaną sobie nawzajem deptać po odciskach. Przypominało to przyglądanie się Don Kichotowi i Sancho Pansie, jeśli się ich nie znało. Indelicato siedział ledwo sącząc czarną kawę, gdy D'Ambrizzi nasypał do swojej filiżanki cukru i wlał śmietankę. Sandanato prawie na niego nie patrzył. Całe lata Indelicato i D'Ambrizzi łączyli się w głowach obserwatorów Watykanu - przeciwności, przeciwnicy, koledzy posiadający wspólny cel: służyć Kościołowi.

- Osiem - powiedział papież w ciszy i zobaczył, że oczy wszystkich zwracają się ku niemu. - Stoimy przed faktem, że popełniono osiem morderstw. Osiem morderstw wewnątrz naszego Kościoła. Nie wiemy dlaczego. Nie wiemy, kto to robi. Nie znamy motywu... Nie możemy przewidzieć ofiary następnego zabójstwa. Ale możemy mieć pewność, że będzie ich więcej. - Przerwał. - Rozważaliśmy możliwych zabójców... naszych przyjaciół, mafię. Ekstremistów... Opus Dei. Propaganda Due.

Indelicato potrząsnął głową.

- Moi śledczy nie odkryli niczego, co wskazywałoby na zaangażowanie któreś z tych organizacji.

Mówię nie, nic tam dla nas nie ma.

- Nikt nam nie udziela lekcji?

- Nie, Wasza Świątobliwość. Nie z tych grup.

- Faktem jest - mruknął D'Ambrizzi - że ci ludzie zawsze są na coś wściekli. Jezuici są wściekli, bo wydaje im się, że Wasza Świątobliwość ich trochę lekceważy, a faworyzuje Opus Dei. Opus Dei ma dosyć, bo chcieli uwolnienia od biskupów i kontroli nad radiem watykańskim, a Wasza Świątobliwość nie dał im ani jednego, ani drugiego. Marksisci uważają nas za kapitalistycznych tyranów, działających poza Watykanem. A konserwatyści widzą w nas cieplarnię dla komuchów niszczących Kościoł. Bóg jeden wie, co myśli Propaganda Due, lecz powinni się wstydzić - oni przerażają nawet mnie. Ale jeśli chodzi o mordowanie ludzi wewnątrz Kościoła... - Pokręcił głową. - Wydaje się, że są zabijani bez różnicy, bez związku z ich orientacją filozoficzną. Czy kogoś ominąłem, Wasza Świątobliwość?

Kalikst machnął ręką z rezygnacją.

- Postaw trzech księży na rogu ulicy i będziesz miał nowy odłam, który z jakiegoś powodu jest wściekły. Ale zabójcy? Nie... ale powiedzcie mi, czy dobrze słyszałem, że tych troje w Ameryce zabił ksiądz?

Oczy D'Ambrizziego rozszerzyły się pod głębokimi zmarszczkami, przecinającymi jego czoło.

- Czy mogę zapytać, gdzie Wasza Świątobliwość usłyszał coś takiego?

- Giacomo, proszę. *Jestem* papieżem...

- Zrozumiałem - przytaknął kardynał.

- I cóż? Czy to prawda?

- Piętro? - spytał D'Ambrizzi.

Sandanato zreferował to, co wiedział, a kiedy skończył, Kalikst podziękował mu ostrożnym mruknięciem.

- Musimy dotrzeć do korzeni. To należy powstrzymać.

- Oczywiście, Wasza Świątobliwość - powiedział D'Ambrizzi. - Ale to stwarza pewien problem.

- Ale, ale... - Wydawało się, że Indelicato przygotowuje jakieś zaprzeczenie, lecz w końcu nie sprostął zadaniu. - Ma rację. Możemy tylko próbować...

- Chcę, aby to się skończyło. Jeśli pochodzi ze środka Kościoła, musi zostać zatrzymane, a każdy ślad zatarty. Nie zależy mi szczególnie na zdemaskowaniu zabójców... Zajmiemy się nimi w odpowiednim czasie. - Przymknął oczy, walcząc z bólem, który pojawił się w jego głowie. - Przede wszystkim chcę wiedzieć dlaczego. - Wziął głęboki oddech. - I nie wolno pozwolić, by jakiegokolwiek władze z zewnątrz swobodnie wtrącały się do spraw Kościoła... tu w Rzymie, w Ameryce, ani nigdzie indziej. Rozumiecie? To jest *sprawa Kościoła!*

- Wasza Świątobliwość - powiedział D'Ambrizzi, wstając i podchodząc do niego.

- Poczuję się nagle zmęczony, Giacomo. To wszystko. Muszę odpocząć.

Wspierając się na potężnym ciele D'Ambrizziego, z Indelicato u boku Kalikst wstał i pozwolił, by go poprowadzono.

Siostra Elżbieta klęła w duchu, że jest zbyt zajęta, by wszystko porządnie przemyśleć.

Przychodziły jej do głowy pomysły, które powinny się tam zjawić kilka dni wcześniej. Teraz pomyślała o matce przełożonej, Francuzce, zakonnicy w średnim wieku, która była kimś w rodzaju dyrektora naczelnego Zakonu. Mieszkała i pracowała w budynku o brzoskwińowo-szarych murach. Był to kościół, klasztor, a w części zamek, na szczycie Hiszpańskich Schodów. Bardzo lubiła siostrę Valentine. Elżbieta znała ją dość dobrze od blisko dziesięciu lat. Matka przełożona potrafiła okazać ciepło i uczucie, ale zawsze wracała do bardziej oficjalnego postępowania, jeśli odpłacała jej tą samą monetą. Ona kontrolowała przedstawienie - świat, w którym żyła, ale mogła wywołać piekło, jeżeli zgrywałaś damę, kiedy przyszedłaś do jej gabinetu.

W gabinecie matki przełożonej panowały barwy brzoskwini, beżu, a także delikatnej perłowej szarości. Był tam bardzo nowoczesny krucyfiks, który wydawał się wisieć w powietrzu dwa cale od ściany, oświetlony bocznym punktowym światłem, rzucając dramatyczny cień. Wyglądało to jak ściana w małym prywatnym muzeum. Misy z kwiatami i lśniącymi zielonymi liśćmi stanowiły idealne dopełnienie. Za oknem turyści przechodzili w słońcu. Matka przełożona stała z założonymi rękami, wyglądając przez okno, a potem zwróciła twarz ku Elżbiecie. Przypominała bardzo aktorkę Jane Wyman, która kiedyś była panią Ronaldową Reagan.

- Chcesz porozmawiać o Valentine?

- Powinam przyjść już dawno - stwierdziła Elżbieta. - Ale teraz tyle się dzieje, utknęłam w drobiazgach. Zastanawiałam się po prostu, czy często się spotykałyście w ciągu ostatnich sześciu miesięcy?

- Ależ tak, oczywiście, że tak. Mieszkała tutaj, moja droga.

- Ale najczęściej siedziała w Paryżu.

- Nic nie wiem o tym „najczęściej”. Wydawało się, że dzieli swój czas. Była jak zwykle bardzo bujną, ale i skrytą naturą. - Uśmiechnęła się czule do wspomnienia. Układała kwiaty w kryształowej wazie. - Dałam jej jedną z tych wielkich sypialni tutaj, wnieśliśmy też tam biurko. Bardzo ciężko pracowała. Jak zwykle.

- Czy już sprzątnięto ten pokój?

- Jeszcze nie, siostrze. To takie przygnębiające zadanie. Nie miałam do tego serca. Właściwie, to nawet zamierzałam do ciebie zadzwonić i spytać, co zrobić z jej rzeczami, papierami, książkami... Zawsze zbierała tego całe stosy, prawda?

- Nie miałam pojęcia, że zatrzymywała się tutaj - zauważyła Elżbieta w zamyśleniu.

- Nie wolno ci czuć się zlekceważoną. Tak pochłaniało ją to, co robiła. Zawsze była szczerą, prawda? Spędzała bardzo dużo czasu w Tajnych Archiwach. Nadal miała duże wpływy - jakie jest to amerykańskie wyrażenie?

- Wejścia?

- Oczywiście, *wejścia*. Nadal miała wejścia do wysoko postawionych.

- To znaczy?

- Kardynała D'Ambrizzi, oczywiście. Smarował gdzie trzeba - to takie wyrażenie amerykańskie, prawda? - i tak Tajne Archiwa stały się jej osobistym terenem łowieckim.

- Mogłabym zobaczyć jej pokój?

- Oczywiście. Zresztą, jak cię już tu teraz mam, nie puściłabym cię bez tego. Sama cię tam zaprowadzę, moja droga.

Matka przełożona zostawiła ją samą w słonecznym pokoju. Za dwoma wąskimi oknami bujnie rozkwitała bugenwilla. Przez pół godziny Elżbieta siedziała w wyściełanym krześle, przedzierając się przez notatniki, luźne kartki, zeszyty. Wydawało się, że wszystko ma związek z poprzednimi książkami, artykułami, nawet przemówieniami, które wygłosiła kiedyś Val. Westchnęła przygnębiona i wzięła do ręki paczkę teczek i notatników, ściągniętych trzema gumkami.

Na górnej te czce widniał tytuł napisany mazakiem. Jedno słowo. MORDERSTWA.

Poleciałem z Nowego Jorku przez Paryż do Kairu, łykając tabletki przeciwbólowe, pijąc szampana i tracąc poczucie czasu. Gdy zamykałem oczy, widziałem koszmar z siwymi włosami i błyszczącym ostrzem w dłoni, i tyle było mojego spania. Liczyłem czas nie w godzinach, ale w dniach; właśnie minęło dziewięć dni od pogrzebu mojej siostry. Byłem w szpitalu, gdzie założono mi setkę szwów na moich plecach i boku, i tak się jakoś stało, że następne, co zauważyłem, to własną obecność na lotnisku w Kairze. Czekałem na samolot Egyptair do Aleksandrii. Było gorąco i tłoczno, a przepychanie się nie robiło dobrze moim plecocom. A potem, o jedną pastylkę przeciwbólową i jeden koszmar z siwymi włosami dalej, spadałem z jasnego nieba ku niewielkiemu lotnisku w Aleksandrii, które musieli przebudować po poróżnieniu się z Izraelem w 1973. Z jednej strony samolotu widziałem pustynię, rozciągającą się w nieskończoność płonącego piasku, a z drugiej płaskie, niebieskie Morze Śródziemne, po czym pustynia uciekła z pola widzenia i zobaczyłem długi, cienki strumień miasta. Wąski, zielonkawy, wyginający się wokół krzywizn dwóch wielkich portów na północy i jeziora Maryut na południu.

Wsiadłem do jednej z pracowitych, małych czerwono-czarnych taksówek, która przebrnęła przez korki na Delta Road. Na tym samym szlaku, cztery godziny jazdy w przeciwnym kierunku, leżał Kair. Cztery godziny drogi na zachód od Aleksandrii położone są El Alamein, Matruh, Libia i Tobruk - duchy drugiej wojny światowej. Poczucie beczasowości, nie po prostu historii, ale zwykłej beczasowości wznoszących się wydm i zmarszczonej powierzchni morza - tak niedostępne dla człowieka, jego miast, imperiów i tymczasowych kulturalnych punkcików - było przygniatające, nawet w pełnym ruchu taksówki, egzotyczności miasta i jego czterech milionów mieszkańców.

Mój kierowca skręcił w ulicę Kanału Sueskiego, a potem w malowniczą Corniche, okrążającą Wschodni Port, stary port, gdzie chłodna bryza obniżała temperaturę miasta i wywoływała lekkość głowy, którą odczuwałem. Dowiózł mnie na plac Sa'd Zaghlul i stanął przed hotelem Cecil. Po drugiej stronie ulicy przy plamie zielonej trawy w prażącym słońcu pasażerowie ładowali się do autobusu zmierzającego do Kairu. Łagodna bryza morska znowu ożywiła mnie, gdy wysiadłem z taksówki. Hotel był zwrócony w stronę Portu Wschodniego naprzeciwko łagodnie zakręcającego zakola szerokiej ulicy Corniche. Za nim migotało Morze Śródziemne. Właśnie wtedy, gdy pozostawałem zawieszony między tym co było a tym, co będzie, wydawało mi się, że jest jak w niebie.

Aleksander Wielki odebrał Egipt Persom trzy i pół wieku przed narodzeniem Chrystusa. Po zaznaniu entuzjastycznego przyjęcia w Memfis podążał wzdłuż wybrzeża ku oazie Siwa, by odwiedzić wyrocznię w Amun. Miał przecucie, że wyrocznia może mu powie, że jest synem boga Wiwy. Zatrzymał się, by odpocząć w uroczej osadzie rybackiej z niezwykłym naturalnym portem. I tak, jak to wielokrotnie czynił w ciągu swego krótkiego życia, rozkazał, aby wybudowano miasto wokół portu. I jak to było w jego zwyczaju, rozkazał, by to miasto nosiło jego imię. Zostawiając za sobą zespół architektów, poszedł dalej, by pogawędzić z wyrocznią. Nigdy nie zobaczył nowego miasta - Aleksandrii.

Umarł w dziewięć lat później. Jego ciało zgodnie z ostatnią wolą transportowano do Siwy na pogrzeb, kiedy wielki generał Ptolemeusz zaskoczył procesję i po fantastycznej ceremonii pogrzebał szczątki wielkiego człowieka na głównym placu nowego miasta. Teraz, oczywiście, całe dzieło Ptolomeusza zniknęło, zagrzebane gdzieś pod współczesną Aleksandrią, pod tymi wszystkimi ścigającymi się czerwono-czarnymi taksówkami.

Euklides wymyślił geometrię w Aleksandrii. Ptolemeusz wybudował prawie niewyobrażalną latarnię na wyspie Faros o wysokości czterystu stóp - jeden z cudów starożytnego świata. Później i Rzymianie nie mogli się oprzeć powabom miejsca, jakie stało się ekonomicznym centrum Wschodu, i tak nadeszli Juliusz Cezar, Kleopatra, Marek Antoniusz i Oktawian, który później został cesarzem Augustem. A jeszcze później święty Marek przyniósł chrześcijaństwo do Egiptu i założył to, co w końcu okazało się być kościołem koptyjskim. A jeszcze później wrócili jako zdobywcy Persowie. A potem Arabowie. To była długa, długa historia. W dwudziestym wieku Brytyjczycy z Lawrence'm Durrellem i E.M. Forsterem mieli też coś do powiedzenia, aż w końcu Egipcjanie...

A wtedy do Aleksandrii przybyła moja siostra. Musiałem dowiedzieć się dlaczego.

Podłoga w moim pokoju była z pastowanego twardego drewna; błyszcząca słabo, jak gdyby bez końca nacierano ją woskiem. Meble były stare, lekko podniszczone w szlachetny, arystokratyczny sposób. Balkon wystawał w stronę Corniche i portu. Bryza wypełniała pokój, chłodząc moje zaczerwienione, piekące oczy. Miałem telefon, ale jeszcze nie czułem się gotowy. Stał również telewizor, ale nie mogłem pogodzić się z myślą o serialu *Dallas* albo, co bardziej prawdopodobne, starożytnym *Pociągu towarowym* po arabsku. Była też lodówka z niezłym zapasem lodu. Zamówiłem w barze butelkę dżinu, kilka butelek toniku i zielone cytryny. Wyciągnąłem z torby buteleczkę tylenolu i kodeiny. Byłem obładowany aspiryną i środkami przeciwbólowymi. Mój lekarz w Princeton powiedział mi, żebym nie liczył, że znajdę w Egipcie aspirynę.

Poszedłem do łazienki i ściągnąłem koszulę. Ostrożnie sprawdziłem opatrunek na mojej ranie. Był beznadziejny, więc zacisnąwszy zęby zerwałem go i założyłem nowy. Cholernie niezręcznie. Z niechęcią przyglądałem się ranie. Ten sam lekarz powiedział mi, że przypomina mu archaiczne cięcie przy usuwaniu nerki. Ciało spuchło w miejscu, gdzie zostały zszyte dwie połówki skóry. Powiedział mi, że oszalałem i szukam kłopotów, wyruszając w tak długą podróż ze świeżą raną. Miał prawdopodobnie rację. Jednym z problemów było to, że czułem się tak, jakby z niej cały czas wyciekały całe kubły krwi, spływające wzdłuż kręgosłupa. To złudzenie bardzo mnie irytowało.

Przygotowałem sobie dżin z tonikiem i ostrożnie położyłem się na łóżku, głowę wsparłem o dwie potwornie puchate poduszki. Widziałem bladoniebieską płaszczyznę morza rozciągającą się aż po mleczny horyzont. Wyglądało to tak, jakbym kamieniem rzuconym z mojego balkonu mógł je stłuc. Byłem okropnie, przerażająco zmęczony. Dopiero teraz do mnie dotarło, że jestem bardzo daleko od domu.

Lód na mojej twarzy zapobiegł utracie przytomności.

Sandanato nie wiedział, co u diabła ma robić. W pierwszej chwili nie uświadamiał sobie, co się w ogóle stało, a potem zobaczył krew ciekącą ze mnie jak ropa ze starego gruchota. Ledwie go słyszałem mruczącego trochę do siebie, trochę do mnie, czy powinien zostawić mnie tutaj, iść do domu i zadzwonić po pomoc, czy powinien zacząć krzyczeć z nadzieją, że glina od Sama Turnera stojący na straży usłyszy go, czy powinien pomóc mi wstać i wrócić. Wtedy musiałem chyba coś do niego powiedzieć, bo przyklęknął, a ja chwyciłem go i zacząłem gramolić się, próbując wstać. Nie czułem zbyt wielkiego bólu, ale straciłem dużo krwi. Byłem na granicy szoku, lecz wiedziałem z całą pewnością, że nie chcę stracić przytomności na lodzie, w zimnie.

W końcu pomógł mi wstać. Opierałem się na nim i zataczając się przeszliśmy sto jardów do domu, co wydawało nam się, że trwa wieki. Człowiek Turnera będący na służbie pomógł mi zdjąć łyżwy, trwało to i trwało. Zadzwonił do szpitala, a Sandanato usiadł na podłodze obok sofy, na której leżałem, i bez przerwy coś mówił. Była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętałem aż do popołudnia następnego dnia.

Kilka następnych dni przyniosło dużo bólu i minęło w czymś w rodzaju zamroczenia, głównie z powodu ludzi mówiących mi, że muszę całkowicie porzucić pomysł wyjazdu do Egiptu. To było zadziwiające, jak bardzo mijali się z celem.

Ksiądz o srebrnych włosach, który zabijał ludzi, który zamordował moją siostrę, kiedy się modliła, pojawił się znikąd, z ciemności i zimna, i próbował mnie zabić. Wbił nóż we mnie, a jeszcze jeden czy dwa cale dokończyłyby dzieła. Lekarze bez końca powtarzali mi, jakie to miałem szczęście. Szczęście, jak sądziłem, to bardzo względna sprawa.

Morela odwiedzał mnie codziennie. Na jego twarzy wciąż malował się wyraz zaskoczonej niewinności, jakby każde następne nieszczęście uderzało w niego z większą siłą. Jego wiarę poddano próbie. Atak na mnie przekonał go, zdaje się, że jesteśmy daleko w strefie mroku bez mapy, mając tylko Boga za przyjaciela. Kiedy się już pozbierałem, kręcił głową, jakby oczekując, że się za chwilę rozpadnę. Powiedział, że dla siebie samego robi wszystko, by przez cały czas być zajęтым, by uniknąć myślenia o tym, co zdarzyło się Val i mnie. Chciał, żebym się nigdzie nie ruszał, kiedy wyjdę już ze szpitala. Po raz pierwszy od samego objęcia parafii St. Mary w New Prudence zaczął grzebać w zawartości strychu na plebanii i w lamusie, przerzucając rupiecie zbierane przez pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Sądził, że przyjdę popatrzeć, pogadać, dotrzymać mu towarzystwa. Ale powiedziałem mu, że nie mogę tego zrobić.

Ojciec Dunn kilkakrotnie zajrzał do szpitala. Ostatni raz po drodze na lotnisko. Jechał do Los Angeles na spotkanie z producentem, który robił film na podstawie jednej z jego powieści.

- Przeze mnie Klammer jest nerwowy jak kot - powiedział. - Jest zadowolony, że może mieć mnie z głowy. A jeśli o ciebie chodzi, Driskill, co ci mogę powiedzieć? - Spróbował łyżkę mojej tapioki, przyniesionej mi na lunch. - Proponuję ci, żebyś się nie przejmował. To cud, że żyjesz. Potraktuj to jako ostrzeżenie. Nie jesteś supergliną. Ani Jamesem Bondem, ani Supermanem. Brakuje ci tego, czego najbardziej ci trzeba... Zastępcy-kaskadera. Jedź na Antiguę albo na wyspy św. Tomasza, albo do Hobe Sound, gdzie pofiglujesz sobie z bogatymi tak jak ty; oni nauczą cię błogosławionych radości lenistwa. Nie zostaniesz zamordowany... Jesteś głupcem, jeśli będziesz szukał dalej, głupcem, jeżeli chcesz zrezygnować z życia. A z całą pewnością tak się stanie, jeśli się uprzesz przy swoim zamiarze.

Rozumiesz, Driskill? Coś strasznego się dzieje, znacznie gorszego niż w moich książkach... Musisz pozwolić władzom, by robiły, co do nich należy. Kościół też powinien zainteresować się tym. Spróbuj zrozumieć, to sprawa Kościoła. - Jego blade oczy zapłonęły, jak zamarzniete klejnoty z ogniem w środku. - Trzymaj się z daleka, Ben. Nikomu na nic się nie przydasz, jeśli będziesz martwy. I nie zwrócisz Val życia.

Uśmiechnąłem się do niego.

- Mam zamiar zmusić kogoś do zapłacenia za to wszystko.

Nie mogą tego robić, ani mnie, ani mojej rodzinie. To jest proste, naprawdę.

- Stajesz się prawdziwym nudziarzem, Ben. Nie jesteś bohaterem. Uwierz mi.

- Och, Artie, przypomnij sobie prawo Driskilla. Rozpaczliwe czasy zmieniają w bohaterów zrozpaczonych ludzi.

Nie wywarło to na ojcu Dunnie żadnego wrażenia.

- Popełniasz błąd idąc dalej. Monsignor Sandanato zgadza się ze mną...

- I siostra Elżbieta, nie pomijaj jej. Potrafisz sobie wyobrazić, jak ja sobie cenię ostrzeżenia dwóch księży i zakonnic?

Roześmiał się głośno.

- No dobrze, nie mogę cię przekonać. Życzę ci wszystkiego najlepszego.

A gdy wychodził z mojego pokoju, rzucił mi jedno ze swych spojrzeń złośliwego skrzata.

- Całkiem przypadkowo, przez kilka ostatnich dni spotykałem twojego ojca. Przeszedł bardzo wiele, Ben. Nie będzie żył wiecznie...

- Tak, właśnie będzie.

- Podrzuciłem mu kilka moich książek i ośmieliłem go, by je przeczytał. Podniosą mu poziom adrenaliny. - A potem jeszcze raz namawiał mnie, żebym dwukrotnie przemyślał swoje plany. Wreszcie włożył kapelusz, zsalutował mi i wyszedł.

Sandanato ustawicznie prosił mnie, abym się usunął z tej bezbożnej awantury.

- Widziałeś, co potrafią zrobić, mogą uderzyć w ciebie znikąd. - Jego ciemne oczy były głęboko schowane w purpurowych spojówkach. Palił bez przerwy. - Biorąc twoją siostrę...

- Nikt jej nie brał. Ktoś ją zabrał...

- Twój ojciec jest w stanie krytycznym, a ty leżałeś rozpruty jak królik... *basta!* To nie jest twoja bitwa. Nawet nie jesteś katolikiem!

W końcu wyjechał do Paryża, gdzie pochowano Curtisa Lockhardta ze względu na jakieś rodzinne powiązania. Był tak przygnieciony epidemią morderstw i atakiem na mnie, że wydawał się bliższy załamania niż ja. Widziałem już przedtem taki typ. Potrafił przyjąć prawie nieskończoną ilość napięcia. Żywił się nim. Wymógł na mnie, żebym poczekał, aż dowie się, co Rzym ma zamiar zrobić w sprawie zabójstw. Odparłem, że nie dbam, co Rzym robi. Rzym to był jego problem.

Mój ojciec w pewien sposób mnie zaskoczył. Nie wściekał się tak, jak się po nim spodziewałem. Lekarze poinformowali mnie, że pogorszyło mu się, gdy dowiedział się o ataku na mnie, tak jakby to był ostatni gwóźdź do trumny. Powiedzieli, że wyciągnęło to z niego całą wolę walki o wyzdrowienie.

Jego reakcja zaskoczyła mnie: to byłoby inaczej, gdyby poddał się z żalu po śmierci Val. Ale z mojego powodu? A poza tym, wciąż żyłem...

Kiedy go zobaczyłem, zrozumiałem, że lekarze mieli rację. Był błyśnięty jak płótno, cichy, a powieści ojca Dunna leżały nietknięte na stoliku przy jego łóżku. Zacząłem z nim rozmawiać i pożałowałem tego. Pragnąłem, bym tego nie był zrobił.

- Czasami wydaje mi się, że jednak umrę, Ben. Nagle czuję się sam, dezorientowany...

- Tato, to śmieszne i wiesz o tym. Poza tym armia przyjaciół czeka na twój telefon, masz swoją wiarę... Pamiętasz? Czy właśnie teraz nie jest czas, kiedy wiara ma spełniać swoje zadanie?

Wydawało mi się, że mnie nie słyszy.

- Mylisz się. Samotność nie jest kwestią *ludzi*. Oni nie mają znaczenia... Jestem zmęczony, już nie panuję nad sprawami tak jak kiedyś. Nie rozumiem, co się dzieje... Och, sam już nie rozumiem, o co mi chodzi. Próbuję uzmysłwić sobie coś nieuchwytnego, ale tak cholernie realnego. Nigdy przedtem tak się nie czułem.

Nie powiedział ani słowa o wierze. Może nie chciał o niej rozmawiać z niewiernym synem.

- Zrozum, przeszedłeś ostatnio kilka ciężkich chwil, nie możesz spodziewać się, że po prostu tak sobie przez nie przejdiesz...

- Cóż, Ben, mam nadzieję, że się nie mylisz, mam nadzieję, że z tego wyjdę. Będę niezmiernie szczęśliwy, mając cię przy sobie. Możemy razem wracać do zdrowia. Chciałbym, żebyś zamieszkał przez jakiś czas ze mną w Princeton. Po prostu żebyś tam był, witał mnie w domu. Firma może dać ci urlop na sześć miesięcy... Moglibyśmy wybrać się na morską wycieczkę albo pojechać do Londynu i zatrzymać się tam, aż będę zdrowy... - Samo mówienie o tym podnosiło go na duchu.

Pozostała część rozmowy nie poszła już tak dobrze.

Nie chciał, żebym szukał mordercy Val, nie chciał wiedzieć, co Val robiła, dlaczego została zabita. Powiedział, że jestem lekkomyślnym głupcem, że nie tylko tracę czas, ale ryzykuję złamanie karku. Czy nie mam dość rozsądku, by zrozumieć, że zostałem ostrzeżony? Czy nie rozumiem, że miałem szczęście, że nie zostałem zabity? Czy nie uświadamiam sobie, że odwracam się od niego, kiedy mnie najbardziej potrzebuje?

Nigdy nie słyszałem, żeby mój ojciec o coś mnie prosił, nie mówiąc już o błaganii. Czułem się tak, jakbym go nie znał. To sprawiło, że było mi łatwiej odejść. Nie łatwo. Tylko łatwiej. Byłem synem mojego ojca. Nauczyłem się, jak odwracać plecami. Zobaczyłem łzę spływającą z zaciśniętego oka.

- Przykro mi, tato. Muszę iść. Ale wrócę... może wtedy będziemy mogli...

- Opanowała cię obsesja. Jesteś tylko o krok od szaleństwa i nawet o tym nie wiesz. Nie wrócisz, Ben. - Przełknął głośno ślinę, odwrócił wzrok. - Nie wrócisz - powtórzył.

Łzy płynęły mu po szarych policzkach. Po kim płakał? Po sobie? Po Val? Może nawet po swoim synu - czarnej owcy? Ale nie, to niemożliwe. Na krótką chwilę poddałem się sentymentom...

W powodzi różnych religii, które można znaleźć w Egipcie, muzułmanie naturalnie ogromnie przeważają, a Koptowie są głównym chrześcijańskim ugrupowaniem. Ale jak wszędzie, w Aleksandrii

też znajdowało się przedstawicielstwo Rzymu. Byli jezuici i Zakon, księża i zakonnice, troszczące się o małą, ale zdeterminowaną enklawę katolików.

Po szesnastu godzinach snu, przerwanych tylko dwoma przeraźliwymi wezwaniami muzułmanów do modlitwy - dźwiękiem słyszalnym w każdym zakątku miasta, jak też na tyle głośnym, by dotrzeć do mojego oszołomionego mózgu - zadzwoniłem do biura Zakonu, mieszczącego się w szkole, jaką zarządzał. Połączono mnie z siostrą Lorraine, matką przełożoną, która szybko przypomniała sobie, że spotkała siostrę Valentine w czasie jej wizyty w Aleksandrii. Oczywiście moja siostra zatrzymała się w pokojach gościnnych Zakonu. W angielskim z francuskim akcentem siostry Lorraine znalazłem kompetencję i uśmiech. Powiedziała, że z przyjemnością się ze mną zobaczy, gdy tylko do niej dotrę.

Złapałem taksówkę przy hotelu i w piętnaście minut później wprowadzono mnie do jej gabinetu. Przez okno było widać plac zabaw pełen dzieci w mundurkach. Krzyki i śmiechy dolatywały do mnie - szczęśliwy akompaniament każdego dnia przełożonej. Palmy otaczały plac zabaw.

Siostra Lorraine była niską, ciemnowłosą kobietą około pięćdziesiątki, drobną, o ogromnych oczach i haczykowatym francuskim nosie. Nosiła niebieski kostium z wąskim żakietem bez guzików, który tak rozslawił Chanel, z kremową jedwabną bluzką z kokardą pod brodą. Po drodze do gabinetu dostrzegłem kilka zakonnice ubranych w tradycyjne habity. Szefowa natomiast wyglądała na nowoczesną administratorkę. Jak wszystkie Francuzki, które znałem, prezentowała się atrakcyjnie dzięki jakiejś niezwyklej alchemicznej reakcji czy instynktowi. Całość wydawała się bardziej zachwycająca niż poszczególne cechy.

Czytała o zamordowaniu Val i była szczególnie wstrząśnięta ze względu na ich niedawne spotkanie. Pochyliła się nad biurkiem i bawiąc się złotym piórem słuchała, gdy mówiłem jej, że chciałbym odtworzyć ostatnie tygodnie życia mojej siostry.

Pokiwała ze zrozumieniem małą, ciemną głową, jeszcze zanim skończyłem.

- Tak, tak, rozumiem. Pragnęłabym tylko móc opowiedzieć panu, co działo się w jej głowie, ale tego niestety nikt nie może wiedzieć, prawda? Ale polubiłam pańską siostrę, podziwiałam jej pracę i byłam jej bardzo życzliwa. Pańska droga siostra najwyraźniej martwiła się, kiedy ją spotkałam. Napięta, czujna... jest takie wyrażenie, które słyszałam - oglądała się za siebie. Czy pan rozumie, co mi chodzi? *Oglądała się za siebie?*

- Bała się?

- *Oui*. To był... określony lęk. Przed czymś, czy też przed kimś. Proszę mnie zrozumieć, to było moje *sposprzeżenie*. Pańska siostra nie mówiła o lęku. Dostrzegłam go i pomyślałam sobie: tak, ona ogląda się za siebie. Jak gdyby spodziewała się, że gdy się odwróci, to zobaczy, kto za nią idzie. Moja ciekawość została podrażniona, rozumie pan?

- A czego tu szukała? Tylko miejsca do spania?

- Och, czegoś więcej niż łóżka. Przyjechała tutaj, by odnaleźć człowieka nazywającego się Klaus Richter. Nie podała mi żadnego powodu, poza tym, że jest to jej potrzebne do pracy. Do książki. Z odnalezieniem Klause Richtera nie było żadnego kłopotu. Sama go znam. Dobry niemiecki katolik, uczęszcza do kościoła regularnie. - Pozwoliła, by kpiący uśmiezek opromienił opis Niemca. - Jest

właścicielem firmy eksportowo-importowej, a także dużego magazynu w zachodnim porcie - bardzo różniącym się od waszego portu w Cecil. Jest dobrze znanym biznesmenem, lubianym - z tego co słyszałam. Zapamiętała gra w golfa, często w prasie zamieszczają jego zdjęcia. Oczywiście, jest *tres, tres* niemiecki, klepięcie w tyłek, kufel piwa z pianą, to wszystko. Jest dość ważnym członkiem Niemieckiej Starej Gwardii - weteranów z Afrika Korps, którzy wrócili, by zamieszkać w Egipcie. Odwiedzają cmentarze na pustyni, kładą wieńce na grobach zarówno swoich zmarłych towarzyszy, jak i ich dzielnych wrogów. Richter jest bardzo podziwiany przez kolejne rządy w Egipcie, zaczynając od Nassera. Uważam, że Richter pomógł mu jako pośrednik w jakichś interesach z bronią dawno, dawno temu.

- A Val przebyła całą tę długą drogę do Egiptu, żeby się z nim zobaczyć?

- Na to wyglądało. - Spojrzała na zegarek. - Muszę iść na spotkanie, panie Driskill. Ale jeśli ma pan jeszcze jakieś pytanie... - Wzruszyła nieznacznie ramionami, tak po galijsku. - Albo gdyby pan chciał po prostu porozmawiać, to proszę do mnie zadzwonić.

Podawała mi adres biura Richtera. Gdy tylko wyszedłem z jej gabinetu, natychmiast zaczęło mi jej brakować. Uświadomiłem sobie, że mam nadzieję, iż może przyjdą mi do głowy ze dwa pytania.

Obskurny szary magazyn firmy Global Egypt Import Export, wciśnięty między inne z tej samej parafii, jeden z całej flotyli budowli przypominający żaby bez jakiegokolwiek śladu liści lilii, sflamszonych przy porcie handlowym. Statki towarowe, parszywe i nieoznaczone, siedziały przy przystani między zardzewiałymi kolumnami dźwigów. Ładowanie, rozładowywanie, piszczące tryby, kopące kominy, zapach ropy i benzyny, nieharmoniczne okrzyki Arabów, głosy po niemiecku, angielsku, francusku. Wszyscy wrzeszczeli. Jeśli zamknąłeś oczy, mogłoby ci się zdawać, że jesteś na jakimkolwiek nabrzeżu na świecie. Ale wtedy ktoś zaczynał krzyżeć po arabsku i wszystko wracało na swoje miejsce.

Klaus Richter musiał mieć około sześćdziesiątki, ale był zbudowany jak mercedes - aby trwać. Gęste, siwe włosy miał obcięte i wyszczotkowane w sposób, który prawdopodobnie niczym się nie różnił od fryzur z dawnych dni w Afrika Korps. Ciemna opalenizna golfisty, rozjaśnione, żółtawe brwi, złoty zegarek Breitling, który wskazywał wszystko poza wynikami mistrzostw Stanów w baseballa, a na stopach buty pustynne od Clarke'a. Nosił starą, nieskazitelnie upraną, bawełnianą marynarkę i bladoniebieską, cienką, lnianą koszulę rozpiętą pod szyją; kręcone siwe włosy wystawały nad górnym guzikiem. Jego spodnie khaki miały ostry kant. Kiedy sekretarka wprowadziła mnie do gabinetu, właśnie ustawiał na zielonym dywanie piłkę do golfa. Stanęliśmy jak wryci, a on wbijał piłkę do dołka małym metalowym przyrządem. Kiedy ją uderzył, wydała dźwięczne „klink”, dźwięk, który już kiedyś słyszałem.

- Kij Juliusa Borosa - powiedziałem. Spojrzał na mnie, uśmiechając się szeroko.

- Julie dał mi kij dwadzieścia lat temu. Pomogłem mu i wykupiłem na licytacji. Grałem z nim w turnieju. Wygrał, a potem podarował mi jeden ze swoich kijów. Najlepszy, jaki kiedykolwiek miałem. - Wciąż się uśmiechał, ale jego spojrzenie stawało się coraz bardziej pytające. - Czy będziemy robili interesy, przyjacielu? A może porozmawiamy o golfie? - Miał niemiecki akcent, ale założyłbym się, że

mówi kilkoma językami. Przedstawiłem się, powiedziałem, że moja wizyta jest prywatna, a on kiwnął głową, by sekretarka nas zostawiła.

Przeszedł przez duży gabinet w stronę worka do golfa i wsunął kij na miejsce.

- Grałem w golfa wszędzie, nawet w Auguście i na Pebble Beach. I te fantastyczne dołki w Szkocji. A gdzie mieszkam? W największej na świecie dziurze z piasku. - To było dobrze wyuczone zdanie i uśmiechnął się wypowiadając je. - Co mogę dla pana zrobić, panie Driskill?

- Rozumiem, że niedawno moja siostra przyjechała zobaczyć się z panem. Zakonnica - siostra Valentine...

- Och, mój Boże! Była pańską siostrą! Och, mój drogi przyjacielu, czytałem o jej śmierci...

- Zamordowaniu... - poprawiłem go.

- Tak, tak, oczywiście. Co za tragedia! Po prostu brak mi słów! Spotkałem się z nią, tutaj w tym biurze, na tydzień wcześniej czy trochę więcej, a potem było o niej w telewizji i w gazetach. Niezwykła kobieta. Z pewnością jest pan z niej dumny. - Usiadł za biurkiem, zavalonym notami księgowymi, rachunkami z ładowania, katalogami, podstawkami do piłek golfowych, kartami wyników golfa, kolorowymi broszurami. Na ścianach gabinetu wisiały setki fotografii, uwieczniających jak gdyby każdy moment z jego życia. Szybko wylapałem wielkie zdjęcia bardzo chłopięcego Klause Richtera, stojącego na pustyni w olśniewającym słońcu przed czołgiem, inne z piramidą w tle, jeszcze inne, na którym trzymał srebrny puchar w klubie golfowym. Na jego biurku stała złota ramka, zawierająca zdjęcie, jak podejrzewałem, jego dwóch synów.

- Moje serce pęka, panie Driskill. Naprawdę. Piaski czasu zawsze płyną, czyż nie? - Chcąc zilustrować swój punkt widzenia, pochwycił klepsydrę o wysokości prawie stopy z rogu biurka, przekręcił ją i patrzył, jak piasek zaczyna się przesypywać na dno. - Widziałem śmierć. Tam na Pustyni Zachodniej. Dzielni młodzieńcy ścięci w kwiecie młodości. Po obu stronach. Umieramy zbyt wcześnie, w najlepszej chwili, czyż nie? Ten piasek to piasek z Pustyni Zachodniej, panie Driskill. Tutaj nigdy nie zapomną tych, którzy padli. - Podniósł wzrok znad klepsydry. - Tak, widziałem się z pańską siostrą.

- Dlaczego przyszła zobaczyć się z panem?

Uniósł brwi, zmarszczył czoło. Jego spalona słońcem czaszka lśniła przez krótko obcięte, gęste włosy.

- No cóż, pomyślmy. - Utonął w głębokim fotelu ze skóry i pogłaskał się po jakby kamiennym podbródku. - Tak, moja droga przyjaciółka, siostra Lorraine zadzwoniła do mnie w tej sprawie, a potem ją przysłała. Muszę powiedzieć, że byłem zaskoczony. Pochlebiło mi, szczerze mówiąc, to zainteresowanie pańskiej siostry bardzo zwykłym starym żołnierzem. Czy pan wiedział, że pisała książkę o Kościele w czasie tych wojennych lat próby?

- Wspominała mi o tym - powiedziałem. Dźwięk młota zaczął dobiegać z portu. Brzmiało to jak ciężki karabin maszynowy. - Czy przyszła przeprowadzić z panem wywiad? Czy tak?

- Tak, ale z początku wszystko źle zrozumiałem. Byłem adiutantem Rommla, oczywiście jednym z najmłodszych, ale przebywałem bardzo blisko wielkiego człowieka. Naturalnie sądziłem, że chodziło jej o Rommla - marszałka polnego, moje prawo do sławy. Ale nie, nie interesowała ją wojna na pustyni,

wcale nie. Tylko Paryż! Paryż. Kiedy myślę o mojej wojnie, nigdy nie myślę o Paryżu. Paryż w niczym nie przypominał wojny, rozumie pan? Nikt do mnie nie strzelał! Byliśmy armią okupacyjną, Paryż należał do nas, ale nie było to miasto w płomieniach... przynajmniej bardzo długo. To było coś, co wy Jankesi nazywaliście dobrym obowiązkiem - mogłem zostać wysłany na wschodni front! Ale pańska siostra zbierała materiały o Kościele w Paryżu w czasie naszej okupacji. Biskup Torricelli był głównym bohaterem. A ja znałem go w tym czasie ze względu na moje obowiązki administracyjne - Kościół i Kwatera Główna Armii Okupacyjnej potrzebowały dobrych kontaktów, po prostu by uporać się z codziennymi sprawami. Starano się zachować kościoły wolne od komórek Ruchu Oporu. - Zadrżał.

Przypomniałem sobie Torricelliego, starego człowieka przynoszącego cukierki, które Val uwielbiała. Przypomniałem sobie jego opowieść o moim ojcu, wyłaniającym się z piwnicy na węgiel gdzieś tam - prawdopodobnie w kościele - wyglądającego jak przemalowany Murzyn. To było dziwne - z perspektywy czterdziestu lat wyobrażać sobie takiego człowieka jak Torricelli, próbującego wymanewrować sobie miejsce pośrodku między hitlerowcami a ruchem oporu, a mającego zarówno Klausa Richtera, jak i Hugh'a Driskilla. Cóż, nikt nie manewrowałby lepiej od katolickiego biskupa. Czy gdyby mój ojciec spotkał teraz Herr Richtera, czy usiedliby w klubowych fotelach i wymieniali się opowieściami z czasów wojny?

Patrzyłem na Richtera, jak wspominał dawne dni, a moje spojrzenie skupiało się na fotografii za nim na ścianie: młodego, ale już zaprawionego w bojach Klausa Richtera, stojącego z paroma kumplami w szarym paryskim dniu, a za nim wieża Eiffle'a. Twarz wprost wpatrywała się we mnie. Zwrócona lekko w bok, by popatrzeć na znaki drogowe. Cienie wypełniały jego oczy. Twarz.

- Proszę mi powiedzieć - odezwał się. - Czy kiedykolwiek w Paryżu spotkał pan księdza D'Ambrizzi? Krępy facet, duży nos, silny jak wół. Jest teraz kardynałem...

Przerwał mi z nutą zdziwienia w głosie.

- Doprawdy, panie Driskill, jestem katolikiem - nie trzeba mi mówić, kim jest kardynał D'Ambrizzi! Jest jedną z najbardziej wpływowych osób w Kościele... Tak, wiem *kim* jest. I z całą pewnością zapamiętałbym, gdybym go kiedykolwiek spotkał. Ale nie, nigdy go nie spotkałem. Jaki on ma z tym wszystkim związek? Czy to ważne?

- Wcale nie ma związku. To tylko ciekawość. Moja siostra wspomniała mi kiedyś o nim. Zastanawiałem się, czy był pan w Paryżu w tym samym czasie.

Rozłożył ręce bezradnie. - Oczywiście mogliśmy być. Było tam całkiem sporo kleryków i od cholery niemieckich żołnierzy. To teraz brzmi dziwnie, ale staraliśmy się nie stać się utrapieniem. Nie bardziej niż to było absolutnie konieczne. Rozumieliśmy, jak oni kochają Paryż. I my go kochaliśmy. Gdybyśmy wygrali wojnę, mogą panu to jedno powiedzieć, że Paryż by nas zmienił, a my nie zmienilibyśmy Paryża. Ale szkopów z powrotem zapędzono do klatki i jaki jest rezultat? Wszyscy zostaliśmy zamerykanizowani! - Wybuchł jego śmiech, a oczy czekały na odzew.

- Czasami myślę, że to wygodna wymówka dla reszty świata.

- Może. - Kiwnął głową. - Cóż, wracając do pańskiej siostry - obawiam się, że byłem dla niej wielkim rozczarowaniem. Znałem Torricelliego, ale tylko przelotnie, a nigdy nie prowadziłem

dzienników, notatników, ani nie przechowywałem listów, tego wszystkiego, co kochają historycy...

Zapisał interkom na biurku, sekretarka powiedziała, że ktoś czeka w biurze, by się z nim zobaczyć. Spojrzał na mnie i rzekł:

- Przepraszę pana na chwilkę, dobrze? Mój nadzorca chce ze mną zamienić słówko. Proszę, niech pan zostanie. Może pan wypróbować mój kij, jeśli ma pan ochotę. Wracam do pana za sekundę! - Chwył plik żółtych kartek i wyszedł do sekretariatu.

Podszedłem, by dokładniej przyjrzeć się fotografiom. Na ścianach wisiało dość szczegółowe sprawozdanie z jego życia. Oglądałem zdjęcia na kolejnych ścianach. Zauważyłem że w najciemniejszym kącie pokoju była luka, po prostu małe miejsce, gdzie brakowało fotografii. W kącie - przy długim bibliotecznym stole, zavalonym instrukcjami obsługi, notatnikami, cennikami, słownikami w pół tuzinie języków, teczkami i kilkoma przykurzonymi planami zwiniętymi w rulony, przy tym zaśmieconym stole odciągającym uwagę od fotografii powyżej - można było nie zauważyć tej luki przez miesiące i lata. Musiałbyś dokładnie przyglądać się ścianom, żeby ją dostrzec. Ja zobaczyłem. Oto była. Coś zniknęło z opowieści o życiu Klause Richtera. A ja wiedziałem, gdzie to jest.

Podziwiałem kij Juliusa Borosa, kiedy Richter wrócił. Usiadł na krawędzi biurka i trzymając plik białych kartek powiedział coś o nie kończących się formalnościach przy prowadzeniu działalności eksportowo-importowej. Przyglądał się piaskowi przesypującemu się w klepsydrze.

- To o czym mówiliśmy?

- O Paryżu.

- Ach, tak, tak. Cóż, nie byłem za bardzo pomocny pańskiej siostrze. Przyjechała z tak daleka...

- Może okazał się pan jej bardziej pomocny, niż pan myśli.

- Drogi stary Torricelli, tak, to był człowiek, o jakim marzą wszyscy historycy. Prawdziwy chomik. Przechowywał wszystko, kartę dań i rachunek z pralni, każdą notatkę. Gdybym mu przyniósł jakieś papiery, natychmiast wpiąłby je do segregatorów. Zorganizowany, absolutnie zadziwiający. Zawsze uważałem, że to przez jego monstrualne ego, czy zgodzi się pan ze mną? Ten człowiek musiał wierzyć we własną ważność, by wszystko przechowywać. - Westchnął na tę myśl. A mnie się wydało, że ktoś, kto obrócił całe swoje miejsce pracy w fotograficzną historię własnego życia, też ma niezgorsze ego. Ale zawsze tak łatwo oceniać innych. Uważałem, że mógłbym odnaleźć zabójców siostry. Ego jest wszędzie. - Pańska siostra była dla mnie tego dnia bardzo cierpliwa. Wpadałem i wypadałem, prowadziłem negocjacje przez telefon... Była taka wyrozumiała, ale obawiałem się, że przyniosłem jej wielkie rozczarowanie.

Jeszcze kilka minut rozmawialiśmy, ale wydrążyłem już żyłę z całego kruszcu, jaki mogłem wydobyć. Powiedział mi, iż jest umówiony na golfa. Podziękowałem mu, że poświęcił mi swój czas i wyszedłem.

Skinąłem głową sekretarce. Odbierała właśnie paczkę od gońca

- małą, płaską, obłożoną w brązowy papier i obwiązaną sznurkiem. Na zewnątrz, na zatłoczonej ulicy, dostrzegłem niebiesko-białą ciężarówkę z pracującym silnikiem. Na bocznej ścianie widniał niebieski napis w kilku językach. Po angielsku brzmiał Galerie LeBecq.

Profil z nosem jak banan. D'Ambrizzi pochylony do przodu, jakby nadśluchujący, co mu ktoś szepcze, ciemne wąsy bandyty opadły. Młody, o zaciętej twarzy mężczyzna obok D'Ambrizziego: czyżby nosił mundur? Coś jakby Wehrmacht ze sztywnym kołnierzem... Mężczyzna obok niego - wąska twarz, ostre linie przecinające pionowo policzki wypełnione cieniami, twarz kogoś, kto przeszedł surowe sądy, pojedyncza prosta gruba krecha nad oczami... A czwarty, który w pierwszej chwili wydawał się poza granicą ostrości, niewyraźny... ale było w nim coś, było w nim *coś*... dwie świece na stole, butelki wina, zdjęcie zrobiono z fleszem, wywołując dziwne cienie na ścianie z pomalowanej cegły... Siedziałem w popstrzonej przez muchy, brudnej, ciasnej kantynie, gdzie robotnicy pili kawę i colę. Próbowałem mieć na oku frontowe i boczne drzwi do magazynu Global Egypt. Piłem mocną gorącą kawę i spoglądałem to na magazyn, to na fotografię, którą Val zostawiła mi w bębenku. Wyglądziłem ją. Myślałem o tych czterech mężczyznach. I prawie usłyszałem siostrę Elżbietę mówiącą *nie, nie, pięciu, pięciu mężczyzn*.

Klaus Richter wydawał się być potężnie zarozumiałym facetem. Bez wątplenia grał zawsze bez pudła i niech mnie, jeśli nie rozumiał, jak bardzo Paryżanie kochają Paryż. Uwielbiał te wszystkie fotki z sobą, z życia, z którego był dumny. A Julie Boros dał mu jeden ze swoich wykonanych na zamówienie kijów. Siostra Lorraine powiedziała, że jest filarem katolickiej społeczności. Niezłe poczucie humoru - nazywać Egipt największą na świecie kupą piasku... Cholernie nadęty pacan.

I kłamca.

Znał D'Ambrizziego w Paryżu i okłamał mnie.

Wiedziałem, że kłamie, bo znalazłem jego zdjęcie w bębenku mojej siostry. Siedział obok D'Ambrizziego na fotografii. Młody, bez wyrazu, z twarzą kogoś, kto już bardzo dużo wiedział, zanim dotarł do Paryża. I już byłem całkiem pewny, skąd moja siostra miała tę fotografię.

Val przyjechała do Aleksandrii, szukając mężczyzny z fotografii i znalazła go. A wtedy człowiek z siwymi włosami zabił ją.

Klaus Richter.

Siedziałem w kantynie ze słońcem błyszczącym jasno jak nowa półdolarówka. Uświadomiłem sobie po raz pierwszy, odkąd to się zaczęło, że naprawdę się boję. Byłem sam, pogrążony we własnych myślach, bez siostry Elżbiety, ojca Dunna czy monsignora Sandanato, z którymi mógłbym je dzielić. Słońce świeciło, piłem filiżankę wysokooktanowej kawy i nikt przez cały dzień nie próbował mnie zabić. A ja trząsałem się, bo tak cholernie się bałem. To dopadło mnie całkiem zniecka. Kiedy zrozumiałem, że Klaus Richter jest jednym z mężczyzn na zdjęciu... a było to na tyle ważne, by mnie okłamać. Poczułem ciarki na całym ciele. Strach sprawiał, że czułem się, jakby moje plecy przeciekały, jakbym był skąpany we krwi.

Nienawidziłem tego.

Nienawidziłem się bać. Val się bała...

W godzinę później bocznymi drzwiami wyszedł Klaus Richter. Niósł worek z kijami. Wrzucił go do bagażnika czterodrzwiowego czarnego mercedesa, zaparkowanego w alejce, wsiadł i odjechał,

wywołując wiatr wzbijający za nim pył i piasek.

Włożyłem zdjęcie do kieszeni i przeszedłem z powrotem przez ulicę. Zobaczyłem, że sekretarki nie ma przy jej biurku, a drzwi do gabinetu Richtera są otwarte. Ktoś walił w jego biurze. Podeszedłem do drzwi. Sekretarka miała młotek i przechylała się przez stół młócąc w ścianę.

Zastukałem w drzwi i powiedziałem: „Przepraszam”. Podskoczyła, odwróciła się z młotkiem w ręce i otwartymi w zdumieniu ustami.

- Nie miałem zamiaru pani przestraszyć.

- Uderzyłam się w palec - odparła, potrząsając dłonią. - Ale... - uśmiechnęła się szerokimi, ciemnoczerwonymi wargami w ciemnej twarzy - ...uderzyłabym się pewnie i bez pańskiej pomocy. - Rozpoznała mnie. - Właśnie się pan minął z Herr Richterm. Wróci dopiero jutro.

- Golf, mógłbym się założyć.

- Oczywiście. Czy mogę coś dla pana zrobić?

- To nie jest takie ważne, ale pomyślałem, że może zostawiłem tu swoje pióro. - Pretekst cieniutki, ale co tam u diabła?! - Proszę mi pozwolić wbić to za panią.

Podawała mi młotek i wskazała gwóźdź. Był właśnie tam, gdzie miałem nadzieję go znaleźć.

- Jakie to było pióro?

- Wieczne. Duży stary Mont Black. - Przechyliłem się przez stół, wyciągnąłem skrzywiony gwóźdź ze ściany, przytrzymałem następny i wbiłem dwoma szybkimi uderzeniami. - A gdzie zdjęcie?

Rozpakowała paczkę w brązowym papierze. Ściągnęła papier i podała mi małą oprawioną fotografię. Była identyczna z tą w mojej kieszeni. Wziąłem ją od niej, a sekretarka znowu uśmiechnęła się nieśmiało.

- Cieszę się, że to nie był Herr Richter, tylko pan - powiedziała. - Bardzo jest przewrażliwiony na punkcie swoich zdjęć, a chciałam tu ją powiesić, zanim zauważy, że jej nie ma. Postawiłam rośliny i góry papierów w nadziei, że nie zauważy...

- A co się stało z oryginałem? - Powiesiłem ramkę na gwoździu i wyprostowałem, wypełniając puste miejsce. Wiedziałem, że to Val je zabrała, prawie ją widziałem, jak je znajduje, a kiedy Richter wybiega z pokoju prowadząc negocjacje, wsuwają do swojej teczki. *Ale dlaczego?* Co było na tym zdjęciu tak cholernie ważnego?

- Nigdy nie powiedziałabym tego Herr Richterowi - odparła, zniżając głos do szeptu - ale jestem pewna, że to kobieta, która przychodzi do sprzątania biura zrzuciła, jak wycierała kurze. Szkło było popękane i zamiast się przyznać, wyrzuciła je... Oczywiście, twierdzi, że o niczym nie wie. Na szczęście Herr Richter miał jeszcze jedną odbitkę w albumie. To był wyścig z czasem, żeby zdążyć z oprawieniem i powieszeniem z powrotem na ścianie, zanim zauważy. - Chodziła za mną, gdy udawałem, że szukam pióra. W końcu uklęknąłem, wyciągnąłem pióro z kieszeni i „znalazłem” je pod stołem.

Odprowadziła mnie do wyjścia, dziękując mi za pomoc. Odparłem, że każda chwila sprawiła mi przyjemność. Prawie czułem Val za moimi plecami, klepiącą mnie po ramieniu i mówiącą, że jestem głupcem.

Ale co to za sprawa z tym zdjęciem?

Łączyło ono Klause Richtera, uznanego w Aleksandrii biznesmena, z D'Ambrizzim czterdzieści lat temu w Paryżu. W czasie okupacji. Ale co sprawiało, że było takie ważne? Dlaczego Richter kłamał? I dlaczego Val mi je zostawiła? Czy miało to coś wspólnego z zamordowaniem jej?

Po powrocie do hotelu Cecil zastałem czekającą na mnie wiadomość. Siostra Lorraine dzwoniła. Chciała, żebym się z nią skontaktował. Poszedłem na górę do swojego pokoju, umyłem twarz, sprawdziłem opatrunek na plecach i przygotowałem dzin z tonikiem. Popiłem kilka proszków przeciwbólowych. Stałem w oknie i przyglądałem się, jak późne popołudnie układa się na wodzie i placu z wielkim pomnikiem na środku. Dochodziły tu dźwięki tramwajów i autobusów na dworcu Ramil, a chłodny wiatr wiał równomiernie od morza. Skończyłem drinka. Wpatrywałem się w port, obserwując jak wydłużają się cienie i zapalają lampy wzdłuż Corniche. Po lewej jachtklub lśnił światłami jak ziemia obiecana, gdzie wszyscy moglibyśmy pójść i spędzić cudowną, niezwykłą noc. *Dlaczego Richter musiał mnie okłamać?* Prosta prawda i może miałbym z głowy tajemnicę poszukiwań Val, i może, może zrezygnowałbym...

Byłem na zewnątrz, na krawędzi koła. Byłem wciąż na zewnątrz, gdzie panowała szarość i paliły się bezpieczne światła. Jeszcze mogłem powiedzieć do diabła z tym wszystkim i jechać do domu. Miałem jednego kłamiącego Niemca i nie wiedziałem, dokąd się zwrócić. Egipt się nie poddawał. Mogłem wrócić do Richtera, skonfrontować go z fotografią... Mogłem nadal pchać się ku ciemności w środku koła, ku czarnej dziurze, która połknęła moją siostrę... Tam były tajemnice, tam były odpowiedzi... Czy przyniosłyby szczęście i spokój? I miłą wieczność dla mojej małej siostrzyczki?

Zadzwoiłem do siostry Lorraine.

Zapytała mnie, jak mi idą poszukiwania. Wyjawiłem, iż wydaje mi się, że zostałem przyparty do muru i zaczynam oglądać się za siebie. Zaśmiała się ostrożnie i powiedziała, że przypomniała sobie coś jeszcze, co może zainteresowałoby mnie, gdybym to usłyszał. Przerwałem jej.

- Sostro, mógłbym poznać nazwę restauracji? - Zaczęła coś mówić, ale ciągnąłem: - I może byłaby pani gościem tego biednego, bezradnego podróżnika? Bez pani pomocy przemierzyłbym tę długą drogę nadaremnie.

Wydawało mi się, że tak właśnie się stało, ale nie byłem w nastroju, by samotnie spędzić wieczór z butelką dzinu z Bombaju i wspomnieniami o siwych włosach i ostrzu w świetle księżyca. Dzięki Bogu powiedziała, że sprawi jej to ogromną przyjemność, więc jeszcze raz podziękowałem Mu za małe łaski, za Zakon i za nowoczesność reguły. Nowy, wspaniały świat. Podała mi nazwę restauracji, powiedziała, jak się tam dostać i obiecała, że się spotkamy na miejscu.

Tikka Grill mieścił się blisko jachtklubu El Kashafa el Baharia, którego światła widziałem z balkonu. Sala jadalna znajdowała się na pierwszym piętrze. Siedząc przy naszym stoliku, mogliśmy patrzeć na port i białe jachty rozjaśnione światłami przyjęć na pokładzie. Przypominało to scenę z filmu z Humphreym Bogartem. Muzyka grała cicho, a moja zakonnica uśmiechała się do mnie w blasku świec. Miałem wrażenie, że teraz znam wyłącznie zakonnice. Wspominałem o tym siostrze Lorraine, a ona przechyliła swą małą, zgrabną głowę i szeroko otworzyła oczy.

- To sposób Boga, by ocalić pana przed sobą samym, nie uważa pan?

- Wolałbym, żeby Bóg nie martwił się mną tak bardzo.

- Niech pan się wstydzi - odrzekła. - Bóg jest wszędzie, martwi się wszystkim, a Aleksandria nie jest wyjątkiem. - Sączyła białe francuskie wino, poleciła mi rybny kebab. Rozmawialiśmy jedząc i poczułem, że wreszcie uspokajam się, odprężam. Ściany restauracji wykonano z białego stiuku. Sala była przyjemnie zatłoczona. Obrusy i serwetki jasnoróżowe, wino wytrawne i zimne, ryba doskonała. Uspokajająca oaza rzeczywistości, gdzie przynajmniej przez chwilę czułem się bezpieczny. Powiedziałem jej, że Richter był dość miły, ale nie powiedział mi nic o Val, czego nie wiedziałem.

Odłożyła srebrne sztucce.

- Panie Driskill, nie wierzę, że przyjechał pan tak daleko bez przyczyny. Nie jestem detektywem, ale cały świat wie, iż pańska siostra została zamordowana. Pan przyjechał tutaj, bo pańska siostra była tu... Mam wrażenie, że pan postanowił - jak to się mówi po angielsku? Wziąć byka we własne ręce?

- Sprawy, nie byka. Albo za rogi, a nie we własne ręce...

- Tak właśnie. Czy mogę być szczerą?

- Wydaje się, że każdy chce być szczerą, jeśli o to chodzi.

- Wydaje mi się, że jest pan trochę lekkomyślny. Myślę o tym od wczoraj i prawie zdecydowałam, żeby nie zawracać sobie głowy panem i tym, co pan zamierza... ale wtedy pomyślałam, że dotarł pan tak daleko. A pańska siostra była taką ważną - ważną kobietą. Takim autorytetem w Zakonie. I... - Zrobiła nieznaczny gest rezygnacji - ...nie mogłabym powstrzymać pana przed zrobieniem tego, co pan zamierza. Mam rację, prawda?

- Proszę mi powiedzieć, co pani sobie przypomniała, siostrze.

- Siostra Valentine spotkała jeszcze jednego mężczyznę, gdy była tutaj. Lub, raczej, zamierzała go spotkać. Wspomniała o tym siostrze Beatrice, która z kolei powiedziała o tym mnie... Uciekło mi to z pamięci, aż do wczoraj, gdy o tym wszystkim myślałam. - Westchnęła z uczuciem, jak gdyby wiedziała, że powinna ukryć to nazwisko na zawsze. Siostra Lorraine miała wrodzoną skłonność do flirtowania.

- Proszę podać mi to nazwisko - powiedziałem.

- Jeśli to zrobię, czy powie mi pan, co pan zamierza?

- Siostrze. - Ból w plecach zabijał mnie, pojawił się znikąd, jak człowiek z nożem. - Ja... nie wiem, co zamierzam.

- Czy dobrze się pan czuje? - Pochyliła się ku mnie, zważając te swoje wielkie oczy. - Jest pan taki blady...

- Nie mogę pani nic powiedzieć. - Myślałem o tym, co zrobiła Val, gdy siostra Elżbieta zapytała ją, co się dzieje. Chroniłem siostrę Lorraine, sam nie wiedząc przed czym. - Ale muszę znać to nazwisko, siostrze.

- LeBecq. Etienne LeBecq. Właściciel galerii. *Tres Mc. Kair* i Aleksandria. To taki typ człowieka, który ma własny samolot. Jeden z moich rodaków, obawiam się. Jego rodzina zajmowała się sztuką od pokoleń. W Paryżu. Z ludźmi takimi jak Wittgenstein i Duveen Gobelin, od tkanin. LeBecq najwyraźniej przyjechał do Egiptu po wojnie, jako młody człowiek... - Zrobiła zdegustowaną minę. - Rodzina

LeBecqów była związana, pan wie, z Vichy, jak sędzę.

- Zna go pani? - Potrzebowałem proszku przeciwbólowego. Potrzebowałem nowego życia i jednego dnia bez lęku. Dreszcze wstrząsały mną.

Pokręciła głową.

- Żadna katolicka zakonnica, nawet z Zakonu, nie może poruszać się w kółku monsieur LeBecq.

- Jest jednym z kumpli Richtera?

- Nie wiem. Francuz z przeszłością z Vichy i żołnierz okupanta? - Wzruszyła ramionami. -

Dlaczego pan pyta?

- Moja siostra ich łączy. A jedna z ciężarówek LeBecq dostarczyła dziś po południu paczkę do biura Richtera. - Poruszyłem się ostrożnie na krześle, próbując zmniejszyć ból. Moje plecy były mokre.

- Co się dzieje? Panie Driskill? Czy wezwać lekarza?

- Nie, nie, proszę. Mam chore plecy. I może to wpływ różnicy czasów.

- Wydaje mi się, że pora, by poszedł pan do łóżka. Poprosiła o rachunek. Próbowwała zapłacić to cholerstwo, ale udało mi się wcisnąć do ręki kelnerowi kartę kredytową.

Prowadziła kabriolet volkswagena i zimne powietrze od wody orzeźwiło mnie. Wysiadłem przy hotelu Cecil, zapewniłem, że czuję się dobrze, podziękowałem jej za pomoc i podreptałem do swojego pokoju. W jednej z powieści ojca Dunna źli faceci przeszukaliby pokój, lub czekaliby na mnie z pistoletami, albo pulchna blondyna - która siedziała obok mnie w czasie lotu z Kairu - leżałaby naga w moim łóżku, ale pokój był cichy i nietknięty. Poczuję się bardzo samotny. Łóżko było przygotowane, a zasłony powoli poruszała bryza.

Wyciągnąłem butelkę proszków, sprawdziłem plecy, były w porządku, i położyłem się myśląc o tym, czy nie powinienem zacząć się modlić.

Galeria LeBecq wychodziła na morze. Wielkie szyby okien na dwóch piętrach, z palmami chwiejącymi się na froncie, odbijały drzewa. Galeria wydawała się sterylna: chrom, pleksiglas, szkło i białe ściany. Kilka ogromnych obrazów wisiało na tle rozległych plam bieli. Odnalazłem Rauschenberga, Nolandai, Diebenkorna, wyglądającego blado, chłodno i niezwykle. W oknach na parterze, po obu stronach drzwi wejściowych, na chromowanych trójnogach stały dwa wielkie obrazy Hockneya - mnóstwo wody, słońca, płaskich odbijających światło powierzchni i zachęcających cieni. Kilkoro dobrze ubranych klientów wędrowało wewnątrz przed płótnami, a potem weszło na górę po schodach, które wydawały się płynąć tuż nad podłogą jak sen o wielkim bogactwie.

Zadzwoniłem z restauracji odległej o pięć minut drogi i powiedziałem, że chciałbym spotkać się z monsieur LeBekiem osobiście po południu w sprawie obrazów Hockneya. Dziewczyna miała miękki, czysty, uspokajający głos. Zastanawiała się, czy mogłaby mi w czymś pomóc. Kilka minut później byłem umówiony z LeBekiem o trzeciej. Zjadłem lunch i usiadłem na ławce, czytając *Zostawmy to Psmithowi* Wodehouse'a którą odkryłem w holu hotelowym. Zjawiłem się w galerii kilka minut wcześniej i rozejrzałem. To było bardzo obszerne, niedostępne, chłodne, przewiewne, pozbawione wszelkich uczuć miejsce. Sztuka do letnich domów wyrastających na plażach, gdzie bogacze z Kairu uciekali przed żarem

delty Nilu.

Kobieta, która wprowadziła mnie do gabinetu LeBecq'a była niska, zgrabna. Ostre rysy twarzy, zaokrąglone kobiece ramiona i biodra. To jej głos poznałem. Miała na sobie plisowaną spódnicę w kolorze tytoniu, która szumiała na biodrach. Dziewczyna była mocno opalona. Owalna twarz, lekko zadarty nos, wydatne kości policzkowe, dużo złota. Przypomniała mi, od jak dawna nie chciałem dotknąć kobiety. Zawsze może pojawić się coś w rodzaju potrzeby, ale pragnienie było czymś zupełnie innym. Mruknęła coś i wyszła z gabinetu, a monsieur LeBecq' wszedł kilka sekund później. Była tam dźwiękoszczelna ściana z podwójnego szkła, wychodząca na wewnątrz galerii. Kiedy wchodziłem po schodach do orlego gniazda LeBecq'a, to draństwo chwiała się jak most linowy nad otchłanią z wszystkimi odpowiedziami po drugiej stronie. Odwróciłem się od tego widoku, gdy LeBecq' zakaszłał cicho i dyskretnie, a zobaczywszy go musiałem szybko odetchnąć.

Był blady, jak gdyby właśnie wstał z trumny pełnej ziemi z jego rodzinnego kraju. Ubrany w czarny garnitur, białą koszulę ze sztywnymi mankietami, złote spinki z onyksami, czarno-szary krawat. Wydawał się stary, ale w jakiś nieokreślony sposób, wysoki, chudy jak kij od szczotki. Miał wąską twarz o ostrych rysach. Przypominał kogoś ze Starego Testamentu, sędziego wydającego wyroki śmierci - samą surowość. Trudno było wyobrazić go sobie przysysającego się do bogaczy i spełniającego ich potrzeby, znajdując coś w kolorze jasnej zieleni, by pasowało do pasków na tapicerce kanapy. Nosił ciężkie okulary w czarnej oprawce, a jego oczy pływały za grubymi szklami jak wielkie opite wodą żuki.

- Dzwonił pan do mnie w sprawie obrazów Hockneya, jak sądzę - powiedział. - Są to, oczywiście, bardzo cenne dzieła, panie Driskill.

- Skłamałem. Mam dwa obrazy Hockneya i bardzo je lubię. Dwa wystarczą mi na całe życie.

- Nie rozumiem, m'sieur. Zadzwoił pan w sprawie Hockneyów w oknie...

- Tak... Ale po prostu chciałem być pewny, że spotkam pana osobiście. Widziałem się wczoraj z Klausem Richterem. Nie dzwonił do pana przypadkiem, co? Słówko ostrzeżenia, może?

- Herr Richter? Nie, nie dzwonił do mnie. - Stał zwrócony plecami do wielkiej ściany ze szkła. Jego garnitur był bardzo wąsko skrojony, co sprawiało, że wyglądał jak bocian w żałobie. - A teraz muszę pana prosić, by określił pan, o co panu chodzi, jeśli jakiś... lub... - Wskazał drzwi. Usłyszałem jakiś utwór Vivaldiego dobiegający z ukrytych głośników:

- Moja siostra przyjechała tu, by spotkać się z panem, a kilka dni później ktoś ją zabił. Chcę się dowiedzieć, dlaczego tu przyjechała...

- O czym pan mówi? Nie znam pańskiej siostry!

- Nazywała się siostra Valentine. Przyjechała do Aleksandrii, aby spotkać się z panem i Richterem. Jestem tu, by dowiedzieć się dlaczego.

Wyglądał tak, jakby ktoś przeciął trzymające go razem druty. Jego ramiona i nogi wykonały nerwowy dyg, opadła mu głowa. Kiedy się pochyliłem, zobaczyłem odklejające się od czaszki czarne pasmo włosów. Podeszedł chwiejnie do biurka, pomacał oparcie krzesła, przestawił je na miejsce i usiadł. Wydawało się, że jeszcze zbladł. Ułożył dłonie na biurku.

- Siostra Valentine - powiedział niewyraźnie. - Tak, czytałem o tym morderstwie... - Mówił do

siebie. - Czego pan ode mnie chce? Czego pan ode mnie oczekuje?

- Dlaczego przyszła do pana?

- Och! - Przesunął drżącą dłońią po twarzy. - Nic. Grzebała w przeszłości. Nie mogłem jej pomóc.

- Jaki był pański związek z Kościołem?

- Z Kościołem katolickim? Nie miałem nic wspólnego z Kościołem. Pan rozumie - zajmuję się sprzedażą dzieł sztuki. Zawsze się tym zajmowałem, tak jak moja rodzina. - Walczył, by pochwytać coś, co by przypominało mu spokój ducha. Wyciągnął rękę i wyprostował fotografię w ramce, znajdującą się na biurku. Przedstawiała go stojącego na pasie startowym, z jedną ręką na skrzydle lekkiego samolotu. Był ubrany w czarny garnitur.

- Nic dla pana nie ma, m'sieur. Proszę mnie zostawić w spokoju, mam dużo pracy. - Za szklami żuki latały bez wytchnienia.

- Nie wyjdę bez kilku odpowiedzi. - Pochyliłem się nad jego biurkiem, patrząc na niego z góry. - Mam pańskie zdjęcie, LeBecq. - Rzuciłem zniszczoną fotografię na blat. Podskoczył i odchylił się gwałtownie. Przerażałem go, ale nie wiedziałem dlaczego. - Popatrz! - powiedziałem. Odwrócił się. Wyciągnąłem rękę, schwyciłem go za ramię i przekręciłem w obrotowym krześle. - Patrz na to cholerne zdjęcie!

Zsunął okulary i ostrożnie pochylił się do przodu, jakby myślał, że mógłbym zmiażdżyć jego twarz o biurko. Trzymałem zdjęcie płasko na blacie. Zamrugał, pochylił bardziej głowę, zmrużył oczy. Nie mogłem go sobie wyobrazić prowadzącego samolot z tak złym wzrokiem.

- D'Ambrizzi, Richter... i pan - powiedziałem. Chudy człowiek, przypominający trupa, pojedyncza czarna brew. Czterdzieści lat temu, ale to był ten sam człowiek. - Proszę mi opowiedzieć o tym zdjęciu. Proszę mi wyjaśnić, kim jest ten czwarty mężczyzna - przerwałem. - I kto zrobił zdjęcie? - Czekałem. - Mów do mnie!

- Jak mogę ci pomóc? - mamrotał żałośnie. - Skąd mogę wiedzieć, kim jesteś?

Moja pięść opadła na biurko. Fotografia w ramce przewróciła się.

LeBecq skulił się. Poruszał ustami, ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk. A potem wychrypiął:

- Może to ty ją zabiłeś... Nie, nie, nie bij mnie! Nie dotykaj mnie!

- Powiedz mi o spotkaniu na zdjęciu. Ty, Richter i D'Ambrizzi... Powiesz mi. Im szybciej, tym lepiej.

- Może przyszedłeś mnie zabić - powiedział zrezygowany, w końcu patrząc wprost na mnie, jakby zastanawiał się nad swoim nieuchronnym losem. Te wielkie oczy mówiły do mnie. Mówiły mi, że nie tylko ja miałem zły dzień. - Może zabijesz nas wszystkich...

- O czym pan mówi? - Zwolniłem tempo. Musiałem skłonić go do mówienia. - Zabić was wszystkich? Kogo?

- Przyjechała tutaj, pańska siostra, pytała o dawne dzieje... Wiedziałem, że do tego prędzej czy później dojdzie. Przeszłość zawsze nas dogoni... Kto pana przysłał? - Oczy płynęły w stronę mojego spojrzenia. Jego dłoń macała blat biurka, szukając ciężkich okularów w czarnej oprawie.

- Powiedziałem panu, dlaczego przyszedłem.

- Czy to był Simon? Czy Simon cię przysłał?

- Kim u diabła jest Simon? To ten czwarty? Czy człowiek z aparatem?

Powoli pokręcił głową. Miał bardzo duże trudności próbując poradzić sobie z tym, co się z nim działo.

- Czy przyjechał pan z Rzymu? Czy tak? - Oblizał suche, popękane wargi. - Na miłość boską, nie zabijaj mnie teraz... nie po tych wszystkich latach... Twoja siostra nie żyje... mój brat nie żyje... to wystarczy, prawda?

- Pański brat? A co pański brat ma z tym wspólnego?

- Jest na twoim zdjęciu - powiedział. Odchrząknął, próbując pozbyć się strachu. Starzał się na moich oczach. - To nie ja jestem na pańskiej malutkiej fotografii. To mój brat... Guy LeBecq. *Ojciec* Guy LeBecq. Dziesięć lat ode mnie starszy. Ksiądz. Nic nie wiem o tym zdjęciu... Proszę, musi mi pan uwierzyć. - Zaczął się odradzać. Teraz był ponury, ale nie przestraszony. - Jak pańska siostra, panie Driskill, on też został zamordowany... dawno temu w Paryżu. W czasie wojny. Zamordowany na cmentarzu przy kościele. Został znaleziony oparty o nagrobek... ze złamanym karkiem, życie wyduszono z jego ciała...

Zrobiłem krok do tyłu od biurka, wciąż ściskając zdjęcie w palcach. Wpadłem na krzesło i usiadłem.

- Przykro mi - powiedziałem w końcu. - Skąd miałem wiedzieć?

Oddychał ciężko, gdy nadal było słyhać Vivaldiego.

- Co to znaczyło, że przyszedłem, żeby pana zabić? Kto to jest Simon? Dlaczego to Rzym miał mnie przysłać? Nie rozumiem, co tu się dzieje...

- Niech mnie pan posłucha - powiedział powoli. Włożył okulary na miejsce, schwycił za poręcz krzesła. - Też pana zabijają. Nie ma żadnej wątpliwości. Jest pan daleko od domu i miesza się pan w sprawy, które nie są pańskim zmartwieniem. To przeszłość, nigdy pan z tego nic nie zrozumie... niech pan jedzie do domu, panie Driskill, zapomni o nas, na miłość boską, niech pan o nas zapomni... a może pozwolą panu żyć - czy pan rozumie, co ja do pana mówię? Niech pan jedzie do domu, opłakuje swoją siostrę, a może pan przeżyje. Jest pan niewinny... a pańska niewinność jest jedyną pańską ochroną! Proszę się nią otoczyć, schować w swojej niewinności. A teraz niech mnie pan zostawi. Już nic więcej nie mam panu do powiedzenia. Nic!

Siedział w milczeniu, wpatrując się w swoje dłonie, gdy wychodziłem.

Po drodze w dół po rozhuśtanych schodach piękna dziewczyna, która wprowadziła mnie do gabinetu, minęła mnie wchodząc na górę. Uśmiechnęła się i zapytała, czy wszystko dobrze poszło. Wzruszyłem ramionami. Schodząc czułem jej wzrok utkwiony w moich plecach.

Kiedy dotarłem do głównego holu, popatrzyłem do góry na ścianę z grubego szkła - biurko Etienne LeBecq. On był niewidoczny, ale dostrzegłem wchodzącą dziewczynę.

Wyszedłem i powoli wróciłem do hotelu.

Jego brat?

Jezu Chryste! Każdy jest komikiem i zawsze jest jakaś szpilka, której się nie spodziewałeś. Wyzaczyłem prostą linię z holu hotelu do baru. Ten hol widział już lepsze dni, ale musiały być też niezwykle. Teraz bogactwo trochę przybladło, choć wspomnienia jak te, należące do starego rozpustnika, były czułe. Bar wychodził na ulicę Corniche i wodę. Promienie zachodzącego słońca ozłacały widok.

Ułożyłem moje plecy wygodniej i wychyliłem dzin z tonikiem. Zasygnalizowałem potrzebę kolejnego drinka. Trochę pary ze mnie uszło po rozmowie z LeBekiem i zaczynałem czuć się znacznie lepiej, kiedy mi powiedział, że ten facet na zdjęciu to jego brat. A jego brat nie żył. Co było tak przerażającego? Myślał, że przyjechałem z Rzymu, wysłany przez Simona Jakiegoś tam, żeby go zabić... *żeby zabić ich wszystkich. Musiał coś z tego powiedzieć Val. Pańska niewinność jest jedyną ochroną.* Czy to znaczyło, że Val wiedziała o czymś, o czym ja oczywiście nie miałem pojęcia? Jakoś nie mogłbym zostać w jego biurze przygważdżając go. Ale musiałem się z nim znowu zobaczyć. Był wszystkim, co miałem i musiał mi się wytłumaczyć. Oczywiście, pozostawał jeszcze Richter, ale on był znacznie twardszym zawodnikiem.

Zapytałem siebie, dlaczego nie zahaczyłem Richtera o zdjęcie - a odpowiedź brzmiała: to dlatego, bo uświadomiłem sobie, że Val mu je ukradła. Nie miało sensu poruszanie tego bałaganu, jeśli nie wiedziałeś, co zobaczysz.

Dlaczego nie wspomniałem żadnemu z nich o siwym człowieku, księdzu, który zabił Val i próbował zabić mnie? Na to nie miałem odpowiedzi, przynajmniej takiej, z której mogłem być dumny. Może bałem się, że są częścią tej samej strasznej konspiracji... może bałem się, że on pojawi się przy mnie znowu.

- Pan Driskill, telefon do pana Driskilla. - Boy hotelowy przechodził przez bar, wywołując moje nazwisko. Zamachałem do niego, a on powiedział mi, żebym odebrał telefon w kabinie w holu.

Kiedy mówiłem „halo”, miałem nadzieję, że to siostra Lorraine zabiera mnie pod swoje skrzydła na następną kolację. Ale nie. Dzwoniła kobieta, lecz mówiła szeptem. Nie mogłem stwierdzić, czy próbuje zmienić głos, czy też po prostu chce być pewna, że nikt jej nie usłyszy.

- Panie Driskill, muszę się z panem zobaczyć dziś wieczorem.

- Kim pani jest?

- Później: Spotkajmy się...

- Spotykam się z nieznanymi tylko w miłych, bezpiecznych miejscach, proszę pani.

- Przy pomniku Sa'd Zaghlul na placu. Tuż przy pańskim hotelu. Wystarczająco bezpiecznie?

- Jak panią rozpoznam?

- Znam pana. O ósmej.

Odłożyła słuchawkę, zanim mogłem jej odpowiedzieć bardziej olśniewającą ripostą. Wróciłem do baru i połknąłem dwie tabletki przeciwbólowe z trzecim dzinem z tonikiem. Potem poszedłem do mojego pokoju, wziąłem bardzo ostrożną kąpiel, zmieniłem opatrunek i usiadłem przy oknie, próbując zanotować to, czego dowiedziałem się w Egipcie. To nie była zła lista, ale kiedy się zaczęło dodawać jedno do drugiego, rozczarowała. Po prostu zbiór jakichś prawd, ale bez niczego, co by je łączyło. Może moja tajemnicza rozmówczyni dostarczy mi czegoś nowego.

Kilka minut przed ósmą założyłem parę miękkich sztruksów i gruby sweter. Wyszedłem w chłodny, jednostajny wiatr. Ogromny pomnik górował nad placem. Musiała mnie obserwować, bo dołączyła do mnie od razu, gdy tylko przeszedłem przez ulicę. Wciąż była w spódnicy o barwie tytoniu z wieloma fałdami, w pasujących do niej zamszowych pantoflach i skórzanej kurtce. Powiedziałem, że to dla mnie miła niespodzianka, ale moje próby oczarowania jej uznała za niewystarczające. Była bardzo ładna, ale jej twarz zamieniła się w ponurą maskę. Wiatr nie mógł potargać hełmu ciemnych włosów. Nosiła złoty łańcuch z ciężkim amuletem.

- Po co ta cała tajemnica? Jak pani mnie znalazła?

- Cecil był pierwszym hotelem, do którego zadzwoniłam. - Wzruszyła ramionami. - Bałam się, że pan nie przyjdzie, jeśli będzie pan wiedział, kim jestem.

- Tak, więc kim pani jest? Pracuje pani w galerii i jest pani najładniejszą dziewczyną w Aleksandrii - coś jeszcze?

- Gabrielle LeBecq. To galeria mojego ojca. - Zatrzymała się przy pomniku górującym groźnie nad nami. Musiała mieć bardzo piękną matkę.

- Przynajmniej nie jest pani zakonnica - powiedziałem.

- A co to ma znaczyć? - Szła z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki. - Nie jestem nawet katoliczką. Jestem Koptyjka.

- To dobrze.

- Nie rozumiem. - Rzuciła mi zakłopotane spojrzenie.

- Nieważne.

- Jestem Egipcjanką. Moja matka była Koptyjka.

- W porządku. To naprawdę nie ma znaczenia. - Jej usta miały miękki kształt, delikatne brzegi wypukło obrysowywały wargi. Złote kolczyki. - Co będziemy robić?

- Muszę z panem poważnie porozmawiać. Chodźmy, napijemy się kawy.

Przeszliśmy plac i skierowaliśmy się do kawiarni Trianon. Była milcząca, patrzyła na mnie bez uśmiechu. Nie powiedziała ani słowa, dopóki nie dostaliśmy kawy.

- Musi pan zostawić mojego ojca w spokoju. Musi pan. Nie wolno panu go niepokoić. On nie czuje się dobrze. - Przyglądała się, jak piłem gorący mocny napar. - Niech pan coś powie.

- Przyjechałem spotkać dwie osoby. Pani ojciec jest jedną z nich. Przykro mi, że go zaniepokoiłem...

- Nie rozumiem, czego pan od niego chce. Był... płakał, kiedy weszłam do niego. Miał już jeden atak serca. Nie wolno mu mieć następnego. Powiedział mi, kim pan jest. Przysiągł, że powiedział pańskiej siostrze, co mógł...

- A co to było, panno LeBecq?

- Nie wiem. Powiedział mi, że zrobił, co mógł.

- Moja siostra została zamordowana po rozmowie z pani ojcem. Chcę wiedzieć, co jej powiedział. Kręciła głową.

- Mój ojciec jest uczciwym człowiekiem. Jej pytania miały coś wspólnego z... - nie wiem - czymś

sprzed czterdziestu lat. Jakże może to mieć teraz znaczenie?

- To coś miało takie znaczenie, że moja siostra umarła, bo wiedziała. A wniosek z tego jest taki, że nie mogę się przejmować pani ojcem.

- Ale mój ojciec był marszandem, nie miał nic wspólnego z wojną, musi pan to zrozumieć. - Zagryzła wargi bliska łez. - Jego brat, ksiądz, był starszy. Umarł śmiercią bohatera w czasie wojny. Należał do ruchu oporu. Czy czegoś takiego. - Zamrugła oczami. Miała bardzo długie rzęsy. - Mój ojciec i jego ojciec pracowali w Galerii LeBecq. Mój ojciec wyjechał z Francji i osiedlił się tu, kiedy wojna się skończyła...

- Dlaczego? Dlaczego nie został w Paryżu?

- A co to za różnica, panie Driskill? Przyjechał tutaj, ożenił się z moją matką, a ja urodziłam się w 1952. Jest szanowanym człowiekiem, a pan nie ma prawa go zaszczuć!

- A jakie jest jego powiązanie z Richterem? Zesztywniała.

- Są przyjaciółmi, robią ze sobą interesy, są dobrymi katolikami - ale to nie ma związku. Nie, to nie ma zupełnie związku. Najpierw przychodzi pańska siostra, a teraz pan...

- Niech pani mnie uważnie wysłucha, panno LeBecq. Proszę pomyśleć - jak coś zupełnie *nieistotnego* mogło tak bardzo zdenerwować pani ojca? Jak mógł mnie spytać, czy ktoś, kogo nazwał Simon, przysłał mnie, żebym go zabił? Dlaczego mnie spytał, czy przyszedłem „zabić was wszystkich”? To są jego własne słowa. Mnie to się nie wydaje nieistotne. Proszę, niech mi pani szczerze odpowie, a dla pani? Moja siostra nie żyje, a pani ojciec jest śmiertelnie przerażony... dlaczego pani ojciec tak się boi?

- Nie wiem. Wiem tylko, że boi się... pana! To wiemy na pewno, prawda?

Wstała raptownie.

- Proszę posłuchać...

- Błagam pana - powiedziała. - Niech go pan zostawi w spokoju. Niech pan wróci tam, skąd pan przybył i zostawi nas w spokoju...

Odeszła, zanim mogłem zaprotestować. Po chwili zapłaciłem za kawę i wyszedłem na zewnątrz. Nie było już śladu po Gabrielle LeBecq...

* * *

Obudziłem się następnego ranka trochę oszołomiony po garści tabletek nasennych. Miałem gorączkę, nic strasznego, powiedziałem sobie, a stan moich pleców nie wydawał się gorszy. Ale przez całe popołudnie go sprawdzałem. Wzdłuż szwu było niewielkie zaczerwienienie i pojawiła się wydzielina. Miałem na to odpowiednie pastylki, więc dołączyłem je do zestawu i wymieszałem z dżinem.

To był pusty, bezsensowny, zmarnowany dzień. Próbowałem nie myśleć o nie wiążących się ze sobą informacjach, które wydobyłem od Etienne LeBecq. Okazał się oczywiście niezwykle istotnym źródłem, ale jak miałem cokolwiek od niego wyciągnąć, jeśli nie chciał mówić? Uderzyłem w następną ścianę. Nie myślałem zbyt twórczo, ale jak mówią, nawet ślepej kurze trafia się czasem ziarno.

Zamówiłem rozmowę z Margaret Korder w Princeton. Powiedziała mi, że historia morderstw w Helmsley Pałace i Val znika już z dzienników. Policja nie zanotowała żadnych postępów i nie było już o

czym mówić w wieczornych wiadomościach. Powiedziała mi, że mój ojciec jest bardzo przygnębiony, dużo śpi i nie odpowiada, kiedy próbuje się z nim rozmawiać. Wydawało się, że za mną tęskni, a porzucenie przez mnie pościgu byłoby jedyną rzeczą, która mogłaby ugasić jego gniew i żal. Zmartwiłem się i poprosiłem o połączenie ze szpitalem. Ale mój ojciec odpoczywał, a oni nie uważali, że powinno się go budzić. Poprosiłem więc, by mu powiedzieli, iż dzwoniłem, czuję się dobrze, i niech się nie martwi.

Gdy nad Egiptem zapadała noc, a zimny wiatr wznosił piasek za moim oknem, odezwał się telefon. Dzwoniła Gabrielle LeBecq i tym razem nie bawiła się w żadne sztuczki. Była przygnębiona i dało się to słyszeć, bo brakowało jej tchu. Powiedziała mi, że długo zastanawiała się, czy do mnie zadzwonić, ale uświadomiła sobie, że stanowią część jej problemów i dlatego jestem odpowiednią osobą do zatelefonowania. Poprosiłem, by się uspokoiła, powtórzyła wszystko po angielsku, bo mój francuski jest żaloszny, i wytłumaczyła mi, o co chodzi...

Powiedziała, że zaginął jej ojciec. Nikt go nie widział od czasu, kiedy wyszedł z galerii tuż po rozmowie ze mną. Nie wrócił do domu, nie zostawił dla niej żadnej wiadomości.

- Boję się, że coś bardzo złego mu się stało. Był taki wytrącony z równowagi po rozmowie z panem. - Wzięła głęboki oddech. - To z pana powodu odszedł... Mam tylko nadzieję, że wszystko, co sobie zrobił... jeśli sobie coś zrobił... - Stłumiła szloch udręki. - Dlaczego pan tu przyjechał? O co tu naprawdę chodzi?

- Właśnie próbuję zrozumieć... Dlaczego moja siostra musiała umrzeć...

- Muszę z panem jeszcze raz porozmawiać. Proszę przyjechać... Jestem w domu. Są rzeczy, które muszę panu powiedzieć, pokazać... Pan jest tym, na kogo mój ojciec czekał tyle lat. Proszę się pośpieszyć, panie Driskill, zanim będzie za późno.

Podana mi adres. Zszedłem na dół, na chwilę zapominając o gorączce i plecach. Złapałem taksówkę i pojechałem. Nie wiedziałem, o czym do diabła ona mówi? Ale mogłem coś zrobić, stworzyć złudzenie, że dokądś zmierzam.

Dom był niski i olśniewająco biały w świetle księżyca. Wyglądał tak, jakby wyrósł na grzbiecie wydmy piasku za skinięciem głowy Franka Lloyda Wrighta. Szedłem długim podjazdem od bramy obok wielu palm, krzewów i kwiatów. Kiedy tam dotarłem, w domu panowała ciemność. Obejrzałem się za siebie, zdawało mi się, że usłyszałem jakiś nienaturalny dźwięk za plecami. Siostra Lorraine okazała się dobrym prorokiem. Zacząłem oglądać się za siebie i to sprawiło, że pomyślałem o Val, która nie patrzyła za siebie zbyt uważnie. Nasłuchiwałem, szukając w świetle księżyca siwych włosów i błysku ostrza. Ale usłyszałem tylko uderzenia fal o plażę poniżej domu i wiatr szeleszczący w palmach. Nie dostrzegłem w ogóle oznak życia.

Drzwi frontowe składały się z dwóch par: wewnętrznej płyty z drewna i oddzielnej warstwy, filigranowej, czarnej, kutej kraty. Wpatrywałem się w nie szukając jakiegoś dzwonka, kiedy drewniana płyta nagle się rozsunała. Uniósłem się nad ziemię na wysokość stopy i poczułem się tak, jakbym miał za chwilę zwymiotować. Żelazna krata uchyliła się i Gabrielle powiedziała:

- Nie miałam zamiaru przestraszyć pana.

- Ale się pani cholernie dobrze udało.

Nad jej głową słabo paliła się lampa, oświetlając twarz. Kiedy popatrzyła na mnie, zobaczyłem, że ma oczy zaczerwienione od płaczu.

- Proszę, niech pan wejdzie. - Zrobiła krok do tyłu i przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że zostałem wciągnięty w pułapkę. Potem uczucie to minęło.

Poprowadziła mnie przez ciemne pokoje ku światłu na końcu długiego, szerokiego korytarza. W cieniach, które mijaliśmy, dostrzegłem obraz Rouaulfa, ikonę bizantyńską, kilku Monetów na ścianie przeznaczonej tylko dla nich. Pasowały do niskich, ciężkich mebli i grubych dywanów: wszystko subtelne, delikatne, odpowiednie dla przyćmionego światła, pochodzącego tylko z promieni księżyca w oknie.

- Tutaj - powiedziała - starałam się zrozumieć, o czym myślał mój ojciec. Narobiłam bałaganu. - Rozejrzała się po gabinecie, popatrzyła na sterty papierów. Szuflady biurka były wyciągnięte. Paliły się trzy lampy. Na ścianie naprzeciwko biurka wisiał obraz Degasa. Biurko było ciężkim meblem ze złożonymi figurkami na rogach i intarsjowanym blatem. Wyprostowała kilka papierów, a potem oparła biodra o długi stół, odgarnęła ciemne włosy z czoła i zapaliła papierosa ciężką, złotą zapalniczką.

- Niech mi pan opowie wszystko, co powiedział pan mojemu ojcu... Musi być jakaś przyczyna jego... jego odejścia. - Papieros drżał w jej palcach.

- Pokazałem mu zdjęcie zrobione bardzo dawno temu w Paryżu. W czasie niemieckiej okupacji. Właśnie wtedy wydawał się załamywać. Podejrzewał, że zjawiłem się, by go zabić. Obawiał się kogoś, kogo nazywał Simon i spytał mnie, czy to Rzym mnie wysłał. Zgadza się z panią, że się bał. Był śmiertelnie przerażony. Ale wtedy zamilkł i kazał mi wyjść.

- To zdjęcie - powiedziała. Miała na sobie kaszmirowy sweter z dekoltem w serek i spódnicę. Rękawy podciągnęła do łokci. Brzęczały złote bransolety. Twarz miała ściągniętą, zmęczoną. Kręgi pojawiły się pod błyszczącymi, ciemnymi oczami. Była bliska załamania: jej ojciec zaginął ponad dwadzieścia cztery godziny temu. Miała trzydzieści lat, była dorosła, ale coś się działo, z czym nie potrafiła dać sobie rady.

- Czy mogę zobaczyć to zdjęcie?

Stałem obok niej, położyłem więc fotografię na stole w plamie światła. Pochyliła się, żeby się jej przyjrzeć. Para okularów wisiała na łańcuszku na szyi. Założyła je, żeby dokładniej obejrzeć zdjęcie.

- Richter - wymruczała. - A czy to jest mój ojciec? Chyba nie...

- Powiedział, że to jego brat Guy. Ksiądz.

- Tak, tak, to nie jest mój ojciec, ale jest bardzo duże podobieństwo. - Wskazała palcem jedną z postaci i popatrzyła na mnie pytająco.

- D'Ambrizzi. Jest teraz kardynałem. Może niedługo zostanie papieżem.

- A ten? Przypomina Shylocka...

- Właśnie! - szepnąłem, bo było tak cicho w domu. - Wiedziałem, że jest coś w tym profilu... To Torricelli! Biskup Torricelli. Jego nazwisko miałem na czubku języka. Był bardzo ważną figurą wśród katolików w Paryżu w czasie wojny. Spotkałem go raz w dzieciństwie. Ojciec zabrał nas do Paryża po wojnie. Znał Torricelliego... Pamiętam, że ktoś go nazwał Shylockiem, a moja mała siostra spytała, co to

znaczy Shylock. Torricelli wybuchnął śmiechem i zwrócił się do niej profilem, wskazując swój nos, nieprawdopodobnie haczykowany nos - bardziej Poliszynela, moim zdaniem. Jak tańczący mężczyzna, którego namalował Lautrec. - Wpatrywałem się w fotografię. - Mój Boże - myślałem głośno. - Teraz znam ich wszystkich... Monsignor D'Ambrizzi, Klaus Richter z Wehrmachtu, ojciec Guy LeBecq, a teraz biskup Torricelli.

- Co znaczy ta fotografia? - Pozwoliła, by okulary spadły jej na piersi. - Po co pokazywał pan ją mojemu ojcu?

- Myślałem, że jest na niej. Moja siostra miała to zdjęcie ze sobą, kiedy została zabita. To wszystko, co mam, by szukać dalej... Muszę się dowiedzieć, co oznaczało dla niej. Dlaczego sprawiło, że pani ojciec uciekł?

Przez dłuższy czas milczała. Stałem patrząc na Morze Śródziemne, obmywające kamyki na plaży. Mój umysł bezładnie się wysilał, do nikąd nie dochodząc. Potrzebowałem pomocy, kogoś z umysłem jaśniejszym i sprawniejszym od mojego. Kiedy odwróciłem się do niej, nie poruszyła się. Stała paląc ostatniego papierosa, wpatrując się we mnie.

Skinąłem głową w kierunku papierów, które przedtem przeglądała.

- A co z tym? - spytałem.

Podeszła do biurka. Poruszała się z wdziękiem, kołysząc się elegancko na wysokich obcasach. Wyglądała na zmęczoną, napiętą i była taka piękna. Chciałem rozbić tę chwilę na kawałki i złożyć od nowa w coś romantycznego. Chciałem ją dotknąć. Próbowałem wyrzucić tę myśl z głowy. To była piekielnie duża strata czasu i koncentracji.

- Przeglądałam wszystkie papiery, jakie znalazłam. Szukałam czegoś, co wyjaśniłoby mi, dlaczego pańska siostra tak przeraziła mojego ojca... nie zachowywał się normalnie, odkąd się z nią zobaczył. - Odgarnęła papiery na jedną stronę. - Znalazłam jego dziennik. Przyszedł wczoraj do domu po wyjściu z galerii - nie wiedziałam o tym, dopóki nie znalazłam jego dziennika... kiedy dotarłam do domu po jego odejściu. Napisał kilka notatek - wkrótce po tym, jak rozmawiał z panem. Tutaj, proszę niech pan sam zobaczy.

To był kołonotatnik - kalendarz i notes jednocześnie. Napisał w nim coś po francusku. Chciałem to dokładnie zrozumieć.

- Proszę przetłumaczyć - powiedziałem.

- Co się z nami stanie? Czym to się skończy? W piekle! - Jej głos załamał się. Zagryzła wargi, odwróciła się do mnie. Łzy połyskiwały na jej policzkach, tusz się rozmazał. - Mój wuj umarł śmiercią bohatera... teraz mój ojciec czterdzieści lat później... Wiem, że stało się coś okropnego... Wiem, że nie chciał pan, żeby do tego doszło...

- Nie, Gabrielle, nie chciałem. Po prostu wędruję w ciemności. - Położyłem ręce na jej ramionach, poczułem miękkość kaszmiru zsuwającego się po skórze. Podeszła do mnie, położyła głowę na mojej piersi. Trzymałem ją w ramionach, czułem jej drżenie. Była drobna, jej budowa sprawiała, że wydawała się krucha. Przywierała do mnie, do nieznanego, w chwili strachu. Pocałowałem pasmo włosów. Wdychałem jej zapach. Chciałem powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że ojciec jest bezpieczny, ale

nie mogłem. Zbyt wiele osób zginęło. Trzymałem ją tak i pozwoliłem jej się wyplakać. Może LeBecq miał rację. Może był już w piekle. Fałszywe uspokajanie nie dawało pocieszenia.

Z głową wciąż na mojej piersi zapytała:

- Dlaczego panu ufam?

- A co ma pani do stracenia? Wie pani cholernie dobrze, że nie jestem tutaj, by kogokolwiek zabijać. I jestem sprytny, jak na starszego pana, co?

Uśmiechnęła się i pociągnęła nosem. Potem strzeliłem w ciemno.

- Ponieważ wie pani coś, czego mi pani nie powiedziała... coś, co według pani też powinienem wiedzieć. Ufa mi pani, ponieważ chce mi pani ufać.

Powoli oderwała się ode mnie.

- Tak, jest coś jeszcze w jego dzienniku. - Przerzucała strony, a potem zatrzymała się. - To jest dzień, w którym spotkał pańską siostrę. W ogóle nie wspomina jej nazwiska... Ale tutaj, widzi pan, napisał listę imion.

Simon.

Gregory.

Paul.

Christos.

Arcyksiążę!

Popatrzyła na mnie, kiedy czytałem imiona głośno, a potem powiedziała.

- Czy są to prawdziwe imiona, panie Driskill? Czy coś w rodzaju pseudonimów? Arcyksiążę...

Skinąłem głową.

- Ale co oznacza tak wielki tytuł? Co powoduje, że Arcyksiążę jest taki ważny?

- Jest czterech mężczyzn na pańskim małym zdjęciu... - powiedziała.

- Jestem prawie całkiem przekonany, że moja siostra pokazała tę samą fotografię pani ojcu. Pani ojciec widzi zdjęcie, nie pisze notatki o mojej siostrze... ale wpisuje imiona...

- Ale to nie pasuje, czy pan nie widzi? Tam jest jedno imię za dużo!

- Nie, jest w porządku. Piąty mężczyzna fotografował. Staliśmy wpatrując się w siebie, obserwując własne zmieszanie.

- Panie Driskill, czy chciałby pan przejść się plażą? Może świeże powietrze rozjaśni nam w głowie.

- Dlaczego nie mówisz do mnie Ben? Wzięła zamszową kurtkę z oparcia krzesła.

- Musisz więc mówić do mnie Gaby, dobrze? Uśmiechnąłem się i skinąłem głową.

- Chodźmy.

Rozsunęła szklane drzwi. Zimne powietrze i zapach soli wypełniły pokój. Zrzuciła pantofle na wysokich obcasach.

Zeszliśmy po drewnianych schodach na mocno ubity piasek. Fale uderzały o brzeg, lśniąco srebrne w świetle księżyca. Łuna Aleksandrii świeciła na wschodzie. Doszliśmy do miejsca, gdzie piasek był mokry i twardy, a potem podeszliśmy tuż do zasięgu fal. Przez chwilę rozmawialiśmy o sprawach

osobistych, o moim życiu prawnika w Nowym Jorku, śmierci człowieka, którego miała poślubić w 1973, w czasie wojny z Izraelem, mojej klęsce w radzeniu sobie z Kościołem i jezuitami, o jej życiu jedyne dziecko z ojcem po śmierci matki. Znała tylko kilku Amerykanów, a roześmiała się, gdy powiedziałem jej, że nigdy nie znałem żadnej egipskiej dziewczyny.

- Każdy spodziewa się Kleopatry - powiedziała cicho, podając mi ramię. Wiatr niósł słońce mgiełkę wprost w nasze twarze, kiedy odwróciliśmy się i ruszyliśmy w drogę powrotną do domu.

Zapytałem, czy sądzi, że jej ojciec mógł zadzwonić do swojego kumpla Richtera, jeśli musiał z kimś wczoraj porozmawiać po moim wyjściu od niego.

Roześmiała się chrypliwie - gorzki dźwięk w porównaniu z jej normalnym głosem.

- Richter? Uwierz mi, on nie jest „kumplem” mojego ojca... on jest strażnikiem więziennym mojego ojca!

- Co to znaczy?

- Wejdźmy do środka. Zmarłam. Przygotuję kawę i opowiem ci wszystko o Herr Richtersze i rodzinie LeBecq.

Kiedy usiedliśmy w pokoju z tkaninami na ścianach, starymi perskimi dywanami, niskimi kanapami, misami kwiatów i ciężkimi, przysadzistymi lampami, rzucającymi łagodne plamy światła, opowiedziała mi niezwykłą historię, którą - jak stwierdziła - sama poskładała z kawałków przez lata i nigdy o tym nikomu nie powiedziała.

Jean-Paul LeBecq, ojciec Guya i Etienne'a był bardzo konserwatywnym katolikiem i sympatyzował z marionetkowym rządem ustanowionym w Vichy z marszałkiem Petainem jako główną postacią. Guy został księdzem. Etienne pracował w galerii jako spadkobierca interesu ojca. Pod czujnym okiem starszego LeBecq, nie miał wyboru, jak tylko naśladować polityczne sentymenty swojego ojca. Na początku wojny Jean-Paul został unieruchomiony przez wylew i Etienne, mając dwadzieścia pięć lat, przejął galerię i pozostałe interesy w całości. I odkrył, że starszy pan działał jako ktoś w rodzaju dyplomaty bez listów uwierzytelniających, starając się wygładzić stosunki między okupacyjnymi siłami nazistowskimi a Kościołem katolickim w Paryżu.

To było ważne, by drogi komunikacji pozostały otwarte, ponieważ wielkie organizacje potrzebowały siebie nawzajem. Właśnie wtedy Etienne spotkał Klause Richtera, który pracował po tej samej stronie ulicy. Pośredniczył w interesach między armią okupacyjną a Kościołem. Wszystko, co opowiadała, pasowało do skrawków informacji, jakie wyciągnąłem od Richtera. Niewiele wiedziała o zaangażowaniu ojca Guya LeBecq w te sprawy, zawsze mówiono jej tylko, że zginął śmiercią bohatera - znowu ten frazes - podczas wojny.

Dzięki uważnemu słuchaniu, kiedy pracowała jako najbliższa pomocnica ojca, a on poddał się jednemu z ataków depresji, dowiedziała się, że stary Jean-Paul handlował skarbami sztuki zagrabionymi przez hitlerowców z prywatnych kolekcji należących przeważnie do Żydów. A gdy stan zdrowia uniemożliwił mu prowadzenie interesów, jego zadanie przypadło młodemu Etienne.

- Ale po co hitlerowcom potrzebny był marszand? - spytałem. - Przecież po prostu *brali*, co chcieli.

- Tak - odpowiedziała. - Ale nie zapominaj o Kościele. Chciał swojego udziału w łupach... w zamian za współpracę.

- A co to była za współpraca? Pokręciła głową.

- W czasie wojny - kto wie?

- Ale reszta z tego, co mi opowiadasz, jesteś pewna, że to fakty?

- Nie zachowuj się jak jakiś cholerny prawnik! Nie byłam przy tym, jeśli o to ci chodzi. Ale jestem pewna, że tak. - Rozzłościła się na mnie. - To zjadało mojego ojca przez te wszystkie lata. Jak mógłby coś podobnego zmyślić? Tak, tak właśnie było. Starłam się o tym zapomnieć, ale najpierw twoja siostra, a potem ty... To wy przywróciliście tamten koszmar do życia. Wstydzę się tego, co robił mój ojciec...

- Gaby, Kościół i hitlerowcy w jednym łóżeczku w czasie wojny to nie jest ładny widok, ale też nie taka znowu sensacja. Kościół robił wówczas mnóstwo rzeczy, które nie stanowią powodu do dumy. A twój ojciec, nie oceniał go zbyt surowo. Wydaje mi się, że był między młotem a kowadłem, jako pośrednik dostarczający Kościołowi zrabowane przez hitlerowców dzieła sztuki. Gaby, trwała wojna, kto wie, jakie wywierano na niego naciski... Był młody, poszedł w ślady swojego ojca.

Ale myślałem: Czy aby na pewno o to chodzi? Czy właśnie to odkryła Val? Nie. Owa sprawa za bardzo należała do przeszłości, odległej przeszłości. Jeden punkt w starej mowie oskarżycielskiej. Kogo by to teraz obeszło? Komu mogłoby zaszkodzić oskarżenie sprzed czterdziestu lat?

- Ale tego procederu nie przerwano po zakończeniu wojny - powiedziała. - O to właśnie chodzi! Co gorsze, mój ojciec stał się *ich* narzędziem! Zmusili go, by założył galerie w Kairze i w Aleksandrii, i dalej prowadził sprzedaż dzieł sztuki, tak by nikt nic nie zauważył... Przez nich to „pośrednictwo” się ciągnęło!

- Przez nich? Przez kogo? Wojna się skończyła...

- Tylko Amerykanin może być tak naiwny! Nie dla nas, tutaj my nie możemy sobie pozwolić na taki pogląd na świat, nie wtedy, kiedy Niemcy z nowymi, ślicznie pachnącymi życiorysami pojawiają się w Kairze: bogaci, wpływowi, udzielający rad naszemu rządowi. Naziści, Ben, naziści - mieli ukryte dzieła sztuki warte miliony, miliony dolarów: złoto, biżuterię i szlachetne kamienie wszystkich odmian... ale ten cały łup był dla nich bezużyteczny. Co mogli z nim zrobić? Musieli mieć pieniądze... Czy jakiś sposób na zamianę na pieniądze. Wszędzie byli ocaleni naziści - Legion Kondor w Madrycie, die Spinne, wszyscy starzy esesmani, którzy wydostali się z Europy do Afryki, Egiptu, Ameryki Południowej, do twoich szlachetnych, prawomyślnych Stanów Zjednoczonych! Stara gwardia, która marzyła o Czwartej Rzeszy - to nie tylko Mengele, Barbie czy Bormann, to setki, setki ludzi, o których nigdy nie słyszeliśmy, a wszyscy potrzebowali pieniędzy. Jedynym sposobem dofinansowania ich, ustawienia w jakimś interesie, zaopatrzenia w kapitał inwestycyjny, było sprzedawanie dzieł sztuki. Ale nie łatwo znaleźć kupca, któremu mogliby zaufać - więc musieli posłużyć się czymś w rodzaju szantażu, nie rozumiesz?

- Mówisz mi, że sprzedawali cały ten *bagaż* Kościołowi? I właśnie tak się finansowali...

- Naziści, ci co przeżyli, trzymali Kościół w szachu. Kupujcie ten chłam albo... - Patrzyła na mnie, jakby czekając, aż ją pochwalę.

- Kupujcie albo powiemy światu, jak dostarczaliśmy wam zagrabione skarby *w czasie wojny!* To jest szantaż... ale też dawali co nieco Kościołowi za jego pieniądze! - Westchnąłem i usiadłem na niskiej kanapie, uważając na plecy. - A niech to. Kościół zawarł pakt z diabłem.

- To była - jest - niepewna równowaga - odrzekła. - Kościół nie pozostaje bezbronny - mógłby ujawnić miejsca schronienia wielu ludzi, których uznano za zbrodniarzy wojennych. I tak żyjący naziści też boją się Kościoła - to jest stężony, obopólny strach. A mój ojciec znalazł się między nimi... On też coś z tego miał. Wzbogacił się za swoją uległość, za swoje grzechy. Nie znam mechanizmu, ale wykorzystywali mojego ojca do sprzedaży, zakupu, przemytu i rozprowadzania dzieł sztuki poza Europą w taki sposób, by w końcu stawały się własnością Kościoła. A on przekazywał płatności nazistom...

- Przez Klausa Richtera - powiedziałem. Skinęła głową.

- Wydaje mi się, że tak właśnie działali. Nie mogę niczego udowodnić, ale mój ojciec powiedział mi wystarczająco dużo, bym mogła odgadnąć resztę. Ojciec bał się przez te wszystkie lata, że zostanie zdemaskowany. Jest słabym człowiekiem. Nie ma dość silnych nerwów, by wytrzymać taką grę. Richter uważa go za najsłabsze ogniwo. To on trzyma koniec smyczy. Jest strażnikiem... A teraz boję się, że mój ojciec załamał się pod ciężarem poczucia... winy... - Płakała cicho.

Podszedłem do niej i uklękłem obok. Wyciągnęła do mnie ramiona. Przytuliłem ją. Wydawało się, że nie może przestać płakać, próbowała coś powiedzieć, ale słowa były niewyraźne. Potem popatrzyła na mnie. Twarz mokra i lśniąca od łez. Pocałowała mnie. W chwilę później zaprowadziła do sypialni. Kochaliśmy się, jakbyśmy byli wygłodniali, tak jak zawsze robią to nieznajomi. Każde z nas bez wątpienia szukało potrzebnego mu nagle schronienia. Kiedy zasnęła, wstałem, założyłem ubranie i wszedłem na szczyt drewnianych schodów prowadzących na plażę. Zimny wiatr osuszał pot na mojej twarzy. Nie pamiętałem, czy w czasie wysiłku ostatnich kilku godzin bolały mnie plecy. Wyglądało na to, że opatrunek jest nadal na miejscu i nic mi się straszego nie stało poza zmęczeniem.

Patrzyłem na odbijające się w wodzie światło księżyca. W ciszy tylko z szumem fal na plaży, próbowałem dotrzeć do mojej siostry, do Val, próbowałem zapytać ją, czy to właśnie było to... czy to było wszystko...

Może nakryła kółko złodziei sztuki, które powstało w czasie wojny w taki sposób, jak ja to rozumiałem: kilku kleryków, kilku starych, zatwardziałych, hitlerowskich drani tkwiących w najdziwniejszych kątach globu z ich zrabowanymi obrazami, rzeźbami i jajkami Faberge'a, ze strzępami marzeń o świecie w ich rękach. Niezbyt miłe, ale nie dość, żeby mieć wpływ na wybór nowego papieża, nie dość, by zabijać Val, Lockhardta, Heffernana: rachunki się nie zgadzały. Znalazłem tylko brzydki kawałeczek na wielkiej tkaninie, jaką jest Kościół... ale to było wszystko.

Pozostawała jeszcze fotografia. Richter nadal prowadził interesy z Kościołem, a na zdjęciu siedzieli trzech kleryków, dwóch z nich już nie żyło, a trzeci mógł być już wkrótce wyniesiony na Tron Piotra. I miałem słowo Gabrielle, że to wciąż działało - przepływ dzieł sztuki i pieniędzy. A jeśli miała rację, to w Kościele nadal tkwili ludzie zamieszani w starą grę we wzajemnym szantażu... Musiał znajdować się wewnątrz Kościoła ktoś, kto był mistrzem hitlerowców...

Może ktoś z odległej przeszłości. Lub ktoś nowy, kto podtrzymywał tradycję.

D'Ambrizzi był ogniwem, które przetrwało po stronie Kościoła.

Czy mogłem mieć pewność, że taka sensacja nie zburzyłaby teraz szans kardynała D'Ambrizzi na zdobycie najważniejszego stołka? D'Ambrizzi - mój cudowny towarzysz zabaw z lata i jesieni 1945...

Val była z nim bardzo związana. Siostra Elżbieta dobrze go znała.

Fakty mąciły mi się w głowie i nie mogłem ich ustawić. A gdzie pasował dzisiejszy Paryż? Val spędziła dużo czasu w Paryżu w ostatnich kilku miesiącach swego życia, odkopując coś, co właśnie tam zostało zakopane... ale co? A Paryż kiedyś? Do diabła, od tamtej pory wszyscy byli w Paryżu!

Zastanawiałem się, dokąd uciekł Etienne LeBecq. Myślałem, jak bardzo chciałbym zadać mu kilka pytań, kiedy usłyszałem coś za swoimi plecami. Gaby, opatulona w gruby szlafrok, stała w drzwiach.

- Chyba wiem, gdzie jest mój ojciec - powiedziała. - Często mówili o tym miejscu z Richterem. To jakieś miejsce należące do katolików, miejsce, dokąd mogli pójść, gdyby kiedykolwiek chcieli zerwać ze wszystkim. Śmiali się z tego. Richter mówił, że niekoniecznie musi to być koniec świata, ale że możesz go stamtąd zobaczyć...

- Miejsce należące do katolików? Co to znaczy? Kościół? Klasztor? Dom opieki?

- Nie wiem. Ale wiem, jak to nazywali.

- Jak, Gaby?

- L'inferno.

- Jakby już było zrobione. Ale to zabierze nam trochę czasu.

- Dobrze, więc przyciśnij w imieniu Matki Kościoła każdego, kto będzie tego potrzebował. To ważne. I zachowaj wszystko dla siebie.

1. Claude Gilbert 2-81
2. Sebastien Arroyo 8-81
3. Hans Ludwig Mueller 1-82
4. Fryce Badell-Fowler 5-82
5. Geoffrey Strachan 8-82
6. Erich Kessler

Notatnik znaleziony między rzeczami Val był dla Elżbiety rozczarowaniem, znalazła dwadzieścia kilka pustych stron. Tylko pierwsza kartka zawierała listę nazwisk, opatrzonych datami. Poza Erichem Kesslerem, przy którym nic nie było. Jeśli zebrała jakieś dodatkowe informacje, to zniknęły. Prawdopodobnie zabrała całość ze sobą w teczkę.

Na drugiej kartce w notatniku znajdowało się coś poza czystą bielą. Mieszanina wielkich liter, które Elżbiecie nic nie mówiły. Kod Val, niemożliwy do rozszyfrowania. Wydawał się nie do złamania. Ale go zabrała na wszelki wypadek.

W biurze panowało szaleństwo. Dopiero następnego dnia udało jej się znaleźć wolną chwilę, by usiąść z siostrą Bernardyna nad dwoma puszkami coli. Podała jej listę.

- To zadanie specjalne, siostró - powiedziała. Siostra Bernardyna paliła papierosa, jedyne, na którego pozwalała sobie po południu. Zawsze wydawała się sobie doroślejsza i bardziej inteligentna, kiedy paliła. Złudne wrażenie, bo była zachwycająco dorosła i inteligentna, paliła czy nie. Elżbieta wręczyła jej kserokopię listy. - Rozpoznasz bez wątpienia jedno czy dwa nazwiska, tak jak ja. *Założę się*, że wszyscy nie żyją. Prawdopodobnie zmarli i to są daty ich śmierci. Wszystko dotyczy z grubsza ostatnich osiemnastu miesięcy. Chcę dostać nekrologi, które ukazały się w gazetach w ich rodzinnych miastach, w oryginale. Ale przełóż je dla mnie na angielski, tak żebym nie popełniła jakiegoś głupiego błędu. Dobrze?

Siostra Elżbieta wiedziała, że nie ma na świecie niczego podobnego do Tajnych Archiwów Watykanu.

Dwadzieścia pięć mil półek. Tysiące woluminów położone na tysiącach tomów zbyt ciężkich, by uniósł je jeden człowiek.

Wiedziała, że historycy nazywali je „kluczami św. Piotra”. Bez owych kluczy nie można by napisać żadnej istotnej książki o średniowieczu.

Gdzieś w Archiwach kryły się odpowiedzi na pytania, które naukowców dręczyły od wieków.

Czy w szesnastym wieku książę Orsini naprawdę udusił swoją żonę Izabelę w małżeńskim łóżku... czy wynajął kogoś, by to zrobił za niego?

Kim była św. Katarzyna? Czy jej długie jasne włosy oznaczały, że była to naprawdę Lukrecja Borgia?

Jakie tajemnice kryły się w siedmiu tysiącach tomów odpustów? Jakiej ceny żądano jako pokuty za grzechy? A jakiej za potrzebne zwolnienie od prawa kanonicznego? Pieniądzy i kosztowności wszelkiego rodzaju, tak. Ale czego w formie osobistych przysług wyświadczanych papieżowi i jego książętom?

Jaka intryga kryła się za kradzieżą rękopisu Petrarki?

A czy tam gdzieś w Archiwach znajdowała się odpowiedź na pytanie nurtujące w dwudziestym wieku siostrę Elżbietę? Nad czym pracowała Val? I dlaczego musiała umrzeć?

Może odpowiedź leżała w jednym z prawie pięciu tysięcy papieskich rejestrów, zaczynających się od listów Innocentego III z 1198, a wszystkich oprawionych w tomy wielkości atlasu świata, w których atrament zmienił przez stulecia barwę na złotą...

I te wszystkie *fondi*, jak nazywano każdy zbiór dokumentów. Nikt naprawdę nie wiedział, ile ich jest. Było jedno *fondo*, zwane Miscellanea, które zajmowało piętnaście pomieszczeń. Ich zawartość pozostawała nieskatalogowana, ot taki worek z różnościami.

Powtarzano to tysiące razy i zawsze w dobrej intencji - Bóg jeden wie, co spoczywa w Tajnych Archiwach.

Wszystkie raporty z procesu Galileusza.

Korespondenta Henryka VIII i Anny Boleyn.

Prywatne listy papieża Aleksandra Borgii i kobiet, które go kochały: Lucrezii, Vanozzy del Cattanei i Julii Farnese.

Sprawozdania Świętej Roty dotyczące najbardziej poufnego świadectwa związanego z unieważnieniami święceń.

Archiwa Kongregacji Ceremoniału - rozważania prowadzące do beatyfikacji i kanonizacji, włączając argumenty Adwokatów Diabła.

Pełne sprawozdanie z procesu Monacii di Monza, które wyjawiało najbardziej intymne szczegóły z życia zakonnicy z Monza i pozostałych w tym klasztorze.

Fondo dotyczące nuncjatury w Wenecji, które dołączono do Archiwów po upadku Republiki Weneckiej w 1835, zawierające historię trzech religijnych instytucji rygorystycznie zniesionych w siedemnastym wieku.

Wszystko to było częścią pracy Elżbiety, a zwłaszcza pracy Val, która wiedziała, jakiego rodzaju materiały można *znaleźć* w Archiwum. Elżbieta słyszała wielokrotnie opowieści, że to prawie niemożliwe odnaleźć cokolwiek według planu w ogromnej ilości książek, pergaminów, *buste* czy teczek.

Wiedziała o maleńkim pokoiku w Komnacie Południowej w Wieży Wiatrów. W tym kwadratowym niewielkim pomieszczeniu stała szafa, w której mieściło się dziewięć tysięcy *buste*. Nie skatalogowanych, nie zbadanych, nieznanych. Do spisania tych dziewięciu tysięcy teczek potrzeba było dwóch badaczy nie pracujących nad niczym innym, poza zawartością szafy z prawie dwóch stuleci. Jedna szafa.

Jedyny indeks do Tajnych Archiwów został wymyślony dawno temu przez kardynała Garampi i składał się z wielu tomów. Był również niepełny, niedokładny i bardzo denerwujący. Kardynał napisał go

swoim własnym szyfrem.

Wiedziała, że szczęściarz zawsze mógł coś znaleźć. I dlatego Tajne Archiwa były warte wysiłku.

Znała zasadę „stu lat”. Archiwa dotyczące poprzedniego stulecia były zamknięte. Absolutnie zamknięte.

Przypomniała sobie, jak Curtis Lockhardt opowiadał jej o zasadzie stu lat.

- Gdyby nie stosowano tej zasady - powiedział - połowa ludzi, którzy rządzą światem, musiałyby popełnić samobójstwo. Dzięki Bogu za zasadę stu lat. My katolicy wiemy, jak należy załatwiać podobne sprawy. Chwała wszystkim świętym.

Tajne Archiwa Watykanu obsługiwał zespół składający się z siedmiu mężczyzn, nadzorowany przez jednego z nich, którego nazywano prefektem.

Elżbieta miała spotkać monsignora Petrellę za pół godziny w Belwederze, siedzibie Tajnych Archiwów. Monsignor Petrella był prefektem, Sandanato, który z nim rozmawiał w jej imieniu, można było uznać za jego przyjaciela, ale nawet monsignor Sandanato nie wiedział, po co ona tam idzie.

Za pół godziny będzie próbowała zrozumieć, co tak fascynowało siostrę Val w czasie ostatnich miesięcy jej życia.

Plac Świętego Piotra leżał cichy w chłodnym, jasnym słońcu i cieniach wczesnego poranka, gdy tamtędy przechodziła. Minęła mury Leona i weszła do miasta Watykan bramą Świętej Anny. Przymaszerowała zdecydowanym krokiem obok budynku *Osservatore Romano* do Dworu Belwederu, tuż obok Biblioteki Watykańskiej.

Wszystkie papiery miała w porządku, a wśród nich był list od papieża zezwalający na jej pracę, i karta identyfikacyjna ze zdjęciem. Ale to właśnie podkreślenie przez Sandanato jej związków z Lockhardtem wszystko przyśpieszyło, wygładziło drogę. Ze względu na niego udzielono jej pozwolenia na szperanie w określonych miejscach, a szperanie nigdy nie było dozwolone, Curtis Lockhardt osobiście zebrał miliony, by wspomóc Tajne Archiwa w technologiach konserwacji papieru.

- Pewnego dnia - żartował - wejdę do środka i odkryję, że Petrella nazwał moim imieniem pomieszczenie z ksero.

Monsignor Sandanato czekał na nią tuż za drzwiami, w zaskakująco nowoczesnym pokoju z posadzką z jasnego marmuru i wielkim stołem, przy którym powinna wpisać się do książki.

- Byłem tu jakiś miesiąc temu, by rzucić okiem na listy Michała Anioła - powiedział, gdy szli do recepcji. - Petrella jest arogancki, ale tym razem trafił swój na swego. Stwierdził, że nie mogę od razu zobaczyć, a ja chciałem się dowiedzieć, dlaczego nie. Okazało się, że Ojciec Święty czytał je u siebie od jakiegoś czasu, a Petrella bał się upomnieć o zwrot. Oczywiście, nikt nie ma prawa nic stąd wynieść. A oto i on. Tonio, przyjacielu!

Obszerna recepcja była umeblowana antykami, które Kalikst oddał ze swoich apartamentów. Na niskim stole leżała tkanina wyobrażająca św. Piotra żeglującego po wzburzonych falach, całkiem niezłe ostrzeżenie dla każdego zaczynającego pracę w Tajnych Archiwach.

Monsignor Petrella przypominał eleganckiego dworzanina - właściciela niedostępnego księstwa.

Wysoki, jasnowłosy. W długiej czarnej sutannie. O doskonale zakonserwowanej twarzy, o znamionach próżności, niepokojącej, bez zmarszczek jak na człowieka pięćdziesięcioletniego. Powitał ją cienkim uśmiechem i mocnym uściskiem dłoni. Po przedstawieniu jej Sandanato przeprosił ich oboje, że musi wracać do kardynała i Elżbieta została sama z Petrella.

- Jak siostra jest pewne świadoma - powiedział Petrella jedwabistym angielskim - są tutaj pewne kłopoty organizacyjne. Faktem jest, że po prostu zawartość Archiwów nigdy nie zostanie porządnie skatalogowana. Jest tego za dużo i zbyt szybko przybywa. Życie obsadziło mnie w roli Syzyfa i tylko nieporadnie próbuję robić, co mogę. Mam nadzieję, że siostra jest na to przygotowana.

- Wydaje mi się, że wiem, którym *fondi* jestem najbardziej zainteresowana, ale prawdopodobnie możecie mi pomóc. To jest, kończę pewne badania, na którymi pracowała siostra Valentine...

- Taka tragedia - westchnął. - Taka zagadka. - Obrzucił ją spojrzeniem plotkarza, czekając jakby na jakiś dalszy ciąg.

- Czy przez przypadek przypominacie sobie, nad czym najczęściej pracowała? Byłoby to bardzo pomocne...

- Ach tak. Borgiowie, jak sądzę. Zawsze bardzo popularni, ci Borgiowie... Nuncjatura w Wenecji... Spędziła dużo czasu w dziale Miscellanea. Niektóre *buste* w Wieży Wiatrów. - Rozłożył szeroko ręce w geście mówiącym - Oto tyle.

- Wydaje mi się, że muszę poznać ducha tego miejsca. Wiem, jakie to trudne. Ale jestem jej winna przynajmniej znalezienie materiału do przypisów.

Petrella pokiwał głową.

- Dobrze. Realistyczne podejście pozbawione niecierpliwości jest kluczem do zachowania zdrowia psychicznego. Nasze zbiory to prawdziwa *terra incognita*. Proszę iść za mną, a ja pokażę tylko ten skrawek, dokąd się siostra wybiera. Ale byliście tu już przedtem, prawda?

- Bardzo krótko. Niewiele widziałam. Pisaliśmy o Archiwach w naszym piśmie. Można by powiedzieć, że byłam turystką. A dzisiaj jestem pracownicą.

Uśmiechnął się, kiwając głową. Poszedł przodem. Zaczęli od czytelnicy z ogromnymi czarnymi biurkami i stołami na tomy zbyt ciężkie, by je unieść, wielkim zegarem i wysokim krzesłem, na którym powinien siedzieć prefekt nadzorujący salę. Zazwyczaj jednak był zbyt zajęty, by tu przychodzić.

- Ważny jest sam symbol - wyjaśnił Petrella.

Przez okno zobaczyła patio, potężne czerwone oleandry, drzewa pomarańczowe i kilku studentów, palących papierosy w czasie przerwy.

Szła dalej wzdłuż ciemnych korytarzy, na ścianach których do wysokości drugiego piętra wisiały ogromne metalowe półki. Tutaj lampy włączały się i wyłączały automatycznie, gdy wchodziło się w odpowiedni korytarz. Pojawiały się w kuli światła nad morzem ciemności. Zobaczyła Hol Papirusów, gdzie starożytne dokumenty stały się blado purpurowe na skutek zarażenia grzybem, który w końcu je zniszczy. W najstarszej części Archiwów zobaczyła szafy z drzewa topoli, sporządzone przez największych mistrzów siedemnastego wieku dla Pawła V Borghese. Zostały na nich ślady rąk papieża. W tych szafach schowano papieskie rejestry.

Wspięli się po wąskich, ciemnych schodach na górę Wieży Wiatrów. W oddali, poniżej, leżały ogrody Watykanu jak miniaturowa zielona mapa. Pokój Południowy na górze był pusty. Dwie ściany pokrywały freski, przedstawiające wiatry jako bogów w rozwianych podmuchami szatach. Pomieszczenie zostało zaprojektowane na obserwatorium astronomiczne.

- Nie mogę przestać myśleć, że Galileusz, którego podpisaną spowiedź przechowujemy na niższym piętrze, byłby z tego zadowolony - zauważył Petrella.

Posadzkę wyłożono w znaki zodiaku, oświetlone promieniami słońca przechodzącymi przez wąską szczelinę w ścianie z freskami. U sufitu wisiał wiatrowskaz, poruszający się lekko.

- To tutaj opracowano kalendarz gregoriański - powiedział Petrella. - W Wieży nie ma oświetlenia z bardzo słusznej przyczyny. Ponieważ brak tu sztucznego światła, najmniejszy nawet blask wskaże albo pożar, albo intruzów. Sprytne. - Roześmiał się cicho.

Po południu Elżbieta usiadła na niewiarygodnie niewygodnym krześle i posłała po pierwsze materiały. Zaczęła od *fondo* związanego z nuncjaturą w Wenecji.

Złościło ją wszystko, co przeszkadzało w spędzaniu czasu w Archiwach, ale miała pracę do wykonania. Przez kilka następnych dni mogła w najlepszym razie posiedzieć tylko trzy godziny dziennie w czytelni, ale nawet to oznaczało, że Bernardyna musiała przejąć obowiązki szefowej redakcji. Przez co zwolniła tempo poszukiwań właścicieli sześciu nazwisk. W końcu jednak znalazła dość informacji, by zaryzykować raport.

Elżbieta z każdym dniem stawała się coraz bardziej zmęczona, bo musiała łączyć pracę w redakcji z poszukiwaniami w czytelni. Postanowiła w nagrodę zaprosić Bernardynę na lunch do ulubionej *trattorii* blisko biura.

Choć nic jeszcze nie odkryła, co mogłaby połączyć z Val, Archiwa zaczęły ją wciągać. Natknęła się na kilka interesujących rzeczy o nuncjaturze w *fondo* o Wenecji, a także na smakowite kąski w materiale o Borgiach. Wzmianki o tym i owym, o seksie, przemocy i zdradzie - wszystko tak znane i tak charakterystyczne dla epoki. Czytała notatki pisane na odwrotnej stronie listów, zobaczyła maleńkie obsceniczne rysunki na marginesach dokumentów, stawiane tam jak gryzmoły impertynenckich kopistów, martwych już od trzystu, czterystu, pięciuset lat. Spędzała całe godziny trzymając w dłoniach historię Kościoła i cywilizacji, czując że jest uwodziona i wciągana na ścieżki, na których nie powinna tracić czasu... ale nie mogła się oderwać. Teraz, gdy prawie została mołem książkowym, musiała wrócić w wiek dwudziesty i pójść na lunch.

Bernardyna znalazła odosobniony stolik w rogu i czekała na nią. Szybko zamówiły jedzenie. Bernardyna otworzyła swoją aktówkę.

- Wstępny raport - powiedziała - uzupełniony życiorysami. Wszystkie sprawdziłam. Miałas rację, to były daty śmierci. Wygląda na to, że mamy tu kilku pechowych katolików. Przedstawię ich chronologicznie.

- Pierwszy - ojciec Claude Gilbert. Francuz, wiejski proboszcz, siedemdziesiąt trzy lata. Był kimś, kogo mogłabyś nazwać nieudacznikiem. Spędził całe życie w Kościele. Mieszkał w wiosce niedaleko wybrzeża Bretanii. Poświęcił się walce o zachowanie języka bretońskiego. Można by sądzić - dobry,

nieszkodliwy człowiek... W latach pięćdziesiątych napisał nawet kilka książek, dzienników wiejskiego proboszcza z Bretanii, znasz te rzeczy...

- Musiał spędzić we Francji całą wojnę - powiedziała Elżbieta. Siostra Bernardyna skinęła głową.

- Tak, wydaje mi się, że tak było. Wiek by się zgadzał. Cóż, został zabity w Bretanii, gdy szedł wiejską drogą, potrącony przez samochód w czasie burzy. Kierowca nie zatrzymał się i nigdy nie został odnaleziony. Kilku wieśniaków widziało wypadek. Mówili, że kierowca nawet nie zwoznił...

Elżbieta skinęła głową, zanurzając kawałek chleba w gorącej, dopiero co podanej zupie.

- Następny...

- Sebastien Arroyo. Hiszpański przemysłowiec, na emeryturze, ale pracujący jeszcze w kilku radach nadzorczych, siedemdziesiąt osiem lat. Przed wojną znany playboy. Lubił ścigać się szybkimi samochodami. Wielki kolekcjoner sztuki. Stał się jedną z ważniejszych osób zbierających fundusze dla Kościoła... Bardzo oddany, dużo dobrej roboty, ta sama żona przez czterdzieści lat. Mieszkał w Madrycie i na swoim jachcie. On i jego żona zostali zastrzeleni w Biarritz, w jakiejś ciemnej ulicy, gdy ich jacht stał w porcie. Nikt nie widział, jak to się stało, nikt niczego nie usłyszał... Bardzo fachowa robota. Powszechnie uważano, że musiała być dziełem baskijskich terrorystów, chociaż się do tego wcale nie przyznali.

- Hans Ludwig Muller był Niemcem, uczonym, teologiem amatorem. Siedemdziesiąt cztery lata. Pasuje do wzoru konserwatywnego katolickiego intelektualisty. Walczył dla Rzeszy w czasie wojny, ale też brał udział w jakimś spisku antyhitlerowskim. Przeżył tortury na gestapo. Dostał po wojnie świadectwo moralności od Komisji Badań Zbrodni Wojennych. Pod koniec życia unieruchomiony na wózku inwalidzkim ze względu na chore serce. W czasie wizyty u brata w Bawarii odszedł na dobre - wszyscy domownicy poszli pewnego wieczora do teatru, a gdy wrócili do domu, on nadal siedział w swoim fotelu... tylko, że ktoś mu poderżnął gardło.

Elżbieta przestała interesować się jedzeniem, dziobała w talerzu nie próbując niczego.

- Miłe, ciche morderstwo - powiedziała. Nóż jak ten w plecach Bena Driskilla. - Dalej.

- Pryce Badell-Fowler, Anglik, katolik, historyk. Siedemdziesiąt dziewięć lat, wdowiec. Przeszedł dwa zawały. Mieszkał na wsi koło Bath. Nadal pisał, ale już bez ikry. Pracował nad jakimś, opus magnum, ale coś bardzo niemiłego stało się tamtej ostatniej nocy na farmie. Był w stodole, którą zamienił na bibliotekę i gabinet. Zaczęło się palić, spłonął cały budynek, stary człowiek też. Kiedy ludzie znaleźli jego ciało, myśleli, że udusił go dym. Spotkała ich jednak niespodzianka... Kula w tyle głowy. Miłe? Miłe. - Siostra Bernardyna przerwała na chwilę, by przełknąć i napić się czerwonego wina.

- Pożar nie miał nic wspólnego z jego śmiercią. - Siostra Elżbieta gryzła kciuk. - Ogień miał coś zniszczyć...

- Mmmm. - Siostra Bernardyna podniosła wzrok. - A to dobre. Skąd ci to przyszło do głowy? Z kryminalów?

- Mam taki podły charakter. A co z następnym?

- Geoffrey Strachan. Miał osiemdziesiąt jeden lat. Odwiedzał swój zamek w Szkocji. Urzędnik administracji państwowej i katolik. Sir Geoffrey. Otrzymał szlachectwo w latach pięćdziesiątych za

zasługi w czasie wojny. Brytyjski kontrwywiad, MI-5 czy MI-6, nigdy tego nie pamiętam. Zawsze sam prowadził swego bentleya, patrolując granice posiadłości. Najwyraźniej znał swego zabójcę - ludzie we wsi przysięgają, że widzieli go, jak jechał pewnego niedzielnego poranka z jakimś mężczyzną w samochodzie, ale kiedy znaleziono bentleya na poboczu drogi, leżał skulony na kierownicy...

- Z kulą w tyle głowy - Elżbieta wyciągnęła za nią wniosek.

- Zgadłś za pierwszym razem!

- Nie zgadywałam, siostrzo - odrzekła Elżbieta.

Siostra Bernardyna westchnęła i podniosła zdumiona brwi. - Och, och.

- A co z Erichem Kesslerem?

- Nie było daty. - Wzruszyła ramionami. - Może jeszcze żyje. Wciąż go szukam.

- Siostrzo, mam przecucie, że lepiej byłoby, gdybyś się pośpieszyła.

Elżbieta tej nocy nie mogła zasnąć. Leżała na wielkim łóżku słuchając zgrzytów i jęków rzymskiej ulicy biegnącej przy jej domu, a wrażenia z całego dnia kłębiły jej się w głowie z zawrotną prędkością. Wróciła do Archiwów po lunchu, ale wciąż myślała o liście zabitych, i do jednego nazwiska człowieka, który prawdopodobnie żył jeszcze. Val poskładała pięć tragicznych śmierci i wzór stał się dla niej wystarczająco przekonujący, by przewidywać szóstą. Ale kim jest Kessler? Dlaczego miałby być szóstą ofiarą? Co łączyło pozostałą piątkę? Co miało tych pięciu ze sobą wspólnego, że zostali zabici? Oczywiście, ale czy trzeba do tej listy teraz dodać Val, Lockhardta i Heffernana? Val wiedziała, że tych pięciu już jest martwych. I... Curtis Lockhardt znał Val... Heffernan był z Curtisem... i co z tego?

Nie mogąc zasnąć narzuciła szlafrok i wyszła na balkon zwieszający się nad ruchliwą ulicą. Rzym błyszczał u jej stóp. Wiał zimny wiatr. Otuliła się ściślej szlafrokiem, świadoma samotności, z której nie potrafiła się otrząsnąć. Wspomnienie małej dziewczynki w samolocie, wszystkie wspomnienia o Val... Mój Boże, jak bardzo za nią tęskniła! Co, zastanawiała się patrząc na światła tworzące daleko gdzieś jakiś wzór, co powiedziałby Ben Driskill na listę nazwisk i czy miałby pomysł, z czym ona się wiązała? Tylko z nim, wydawało jej się, mogłaby o tym porozmawiać, ale on był prawie tak daleko jak Val. Jeszcze raz pragnęła, by na miły Bóg, nie była taką kretynką przy Benie. Jak to odkręcić? Czy już nigdy nie będzie miała szansy? Myślała o tym, czy on wie, w co się pakuje... i czy by wyruszył w pogoń za zabójcą, gdyby wiedział o istnieniu listy umarłych ułożonej przez Val?

Przez kilka następnych dni starała się nie pamiętać o kłopotach związanych z Benem Driskillem, o uczuciu osamotnienia po stracie Val. Próbowwała skoncentrować się na pracy. Wróciła do grzebania w *fondo* o nuncjaturze w Wenecji, chcąc odnaleźć coś, co widziała wcześniej, pierwszego czy drugiego dnia w Archiwach. Doprowadzało ją do wściekłości, że musiała znów przeglądać różne świstki i kartki, próbując przypomnieć sobie, jak to coś wyglądało. Z początku zapisek nie wydawał jej się interesujący, oczy tylko przesunęły się po nim, ale teraz utkwiał w pamięci Elżbiety. Do cholery!

Po lunchu z siostrą Bernardyna postanowiła go odnaleźć. Ale zgubiła się w labiryncie papierów.

Zezłoszczona wyszła na korytarz i podeszła do dziwacznie nowoczesnego automatu z colą. Dwóch księży rozmawiało ze sobą siedząc na ławce w kącie, paląc i pozwalając ciepłym promieniom

słońca padać na ich blade twarze. Była w spodniach. Nie domyślali się, że jest zakonnica. Przyglądali się jej z uśmiechem. Skinęła im w odpowiedzi głową. Nie widziała innej kobiety w Tajnych Archiwach od dnia rozpoczęcia tu pracy. Świat mężczyzn. A przecież jedną z ofiar morderstwa była zakonnica - jedna z ośmiu. Zaczęła się zastanawiać, czy ci dwaj przyjemnie otyli księża w średnim wieku po drugiej stronie korytarza potrafili sobie wyobrazić myśli wypełniające jej głowę - o rzeczach, które dzieją się w Kościele.

Wróciwszy do poszukiwania śladów, które mogły zainteresować Val, wiedziała, że jest na krawędzi ich zupełnego zgubienia. Była gotowa zrezygnować.

I wtedy znalazła.

Zadzwoił dzwonek. Wpadł pieniążek do kapelusza. To ją zmusiło do pracy.

Pojedyncze słowo.

Assassini.

Przez jakąś sztuczkę systemu nerwowego zarejestrowała napisane słowo nie znając go, bez uświadomienia sobie, że je widziała. Ale ono tam było. I gdzieś w jej korze mózgowej powstało połączenie.

Assassini.

Znalazła to słowo nabazgrane na odwrocie menu. Wspaniałego menu obiadu wydanego dla bardzo ważnej osobistości, bez wątplenia. Nie było śladu nazwiska gospodarza, ani niczego, co by je zdradzało. W gruncie rzeczy owo menu mogło być czymś zupełnie innym niż oficjalna karta ze spisem potraw, może notą do szefa kuchni. W każdym razie ona szukała zapisku nabazgranego na jej odwrocie. Świat się przewrócił i znieruchomiał.

Zaczęła notować tłumaczenie.

Kardynał S. wystąpił o pozwolenie na wynajęcie Claudio Ticmo, tokańskiego zabójcy, do rozwiązania kwestii zgwałcenia przez Massaro swej córki Beatrice, kochanki kardynała. Otrzymał je.

W ten oto sposób Tricino niewątpliwie pchnął ostrze w Massaro, który najwyraźniej popełnił dwa duże błędy. Dopuszczał się kazirodztwa z córką i przyprawił rogi kardynałowi. Wszystko za jednym zamachem, tak to było.

Nabazgrana, wyblakła notatka z pewnością nie miała nic wspólnego z materiałem, w którym się znalazła, tak jak tajemnicze menu. W tym materiale nie było wzmianki o kardynale S., ani o Massaro czy Tricino. A jednak zauważyła coś. Zaczęła się zastanawiać, czy Val też to dostrzegła?

Dziwne, ale jedno słowo tak utkwilo w jej pamięci. *Assassini*.

Assassini. Złoczyńcy. Zwykłe słowo określające fakt z życia średniowiecza i renesansu. Każdy z odpowiednią władzą i pieniędzmi mógł ich wynająć do zrobienia, co było potrzebne... by ochronić władzę i pieniądze. Szlachcic spiskujący przeciw swoim wrogom, książę i jego rywal, bogaty człowiek z niewierną żoną czy kochanką, która sprawiała kłopoty... brat z siostrą, która wiedziała zbyt dużo... Ślady, które można znaleźć w listach i dokumentach z tamtego czasu, są niezliczone. Ale dość o śladach.

A jeśli chodzi o Kościół... cóż, Kościół specjalizował się w przelewaniu krwi. Niektórzy mówili,

że *assassini* zabijali na zlecenie papieża. To nie musiał wcale być papież. Kardynał, bogaty ksiądz... Zapłaciłeś i ktoś umarł. Takie były fakty.

Elżbieta kiedyś nawet zapytała jednego ze swoich profesorów w Georgetown o *assassini*. Ojciec Davenant uśmiechnął się i pokręcił głową, jakby chcąc powiedzieć: a po co ładnej dziewczynie taka informacja? Ugryzła się w język. Ale on odpowiedział:

- Oczywiście, istnieli, byli zjawiskiem normalnym, bo życie ludzkie nie przedstawiało wtedy zbyt dużej wartości. Stąd szczupłość komentarzy na ich temat. Zbrodni nie studiowano wówczas tak wnikliwie jak obecnie, stanowiła po prostu jedną z ciemnych stron życia. Niezdrową. Nieładną. Mój dziadek przyjechał tu z Włoch na przełomie wieku dwudziestego. Zawsze nazywał wszystkich przestępców *assassini*. Zwykł mówić, że wszystko zaczęło się od pierwszych *assassini* wynajmowanych na Sycylii, tak powstała mafia. Ale oczywiście tyle jest legend...

Ojciec Davenant miał bardzo kiepskie pojęcie o legendach i nie znał Elżbiety. Nalegała. Jakie legendy?

- Siostrzo, czy nie jesteśmy historykami? O czym właściwie rozmawiamy?

- Proszę zrozumieć, ojciec jest historykiem. Ja chodzę na zajęcia. Bardzo dużo rzeczy zaczęło się jako legenda...

- To dobrze brzmi, ale nie jest zbyt dokładne.

- Proszę zaspokoić moją ciekawość, ojczu.

- To tylko stare legendy. Ukryte klasztory, własna armia papieża - *assassini*... Możesz sobie wyobrazić cały bezmiar bzdur, jakie ludzie wymyślają. Kościół zawsze był zachęcającym celem...

- Ale z całą pewnością są to sprawdzalne bzdury - chciałabym wiedzieć, czy są prawdziwe, czy nie.

- Byli tacy ludzie. A poza tym, jak proponujesz, by przeprowadzić badania?

- Oczywiście w Tajnych Archiwach. Ojciec Davenant roześmiał się.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda, siostrzo. Nie potrafisz sobie wyobrazić zamieszania panującego w Archiwach. Po prostu sobie go nie wyobrażasz. Mają tam specjalny sposób chowania dokumentów. Wiesz, jacy są archiwiści, niczego nie potrafią wyrzucić. Tak więc, jak znajdą coś, powiedzmy, o delikatnym charakterze, nie mogą się zmusić, by wyrzucić... więc chowają. Po prostu jest to czyste szaleństwo.

Ojciec Davenant nigdy nie spróbował ponownie dyskutować z nią o *assassini*. Wyjaśnił jej tylko, jak w Archiwach chowa się papiery. Miał rację. To było czyste szaleństwo.

Mogła spędzić cały rok na poszukiwaniach. Albo przewrócić jeden z siedemnastu tysięcy pergaminów czy dokumentów - w *fondo* i znaleźć to, czego szuka. Naprawdę jednak istniał w Archiwach pewien porządek i następnego dnia zlokalizowała dokumenty związane ze zniesieniem klasztorów, zarządzane przez papieża, a wprowadzone w życie przez urzędników nuncjusza w Wenecji. Opis losu klasztoru w San Lorenzo wywoływał dreszcze przerażenia.

Rozwiązanie tego tokańskiego klasztoru w połowie piętnastego wieku wiązało się z taką historią,

jaka mogłaby posłużyć za temat do jednej z tkanin piekielnych owego okresu, które od tamtej pory pozostały ukryte w prywatnych kolekcjach. Miało związek z czarną magią, kazirodztwem, bezczeszczeniem kościoła, morderstwem, torturami, cielesnym obcowaniem z całym zakonem mniszek, czczeniem pogańskich bałwanów, tyranią we wszystkich możliwych do wyobrażenia odmianach, zdradą, podpaleniami i polityką. Tkanina, gdyby obfitowała w szczegóły, byłaby zapchana okropieństwami.

W samym środku znajdowałby się szlachcic z Florencji, Vespasiano Ranaldi Sebastiano, który sam siebie obwołał biskupem Kościoła, płacąc skrzynią dukatów za ten zaszczyt. Rodzina papieża potrzebowała pieniędzy i nikogo szczególnie nie obchodziło, skąd pochodzą.

Jako biskup, Sebastiano wybrał kpienie sobie z Kościoła, niszczenie na wszystkie sposoby jego godności, jego misji, jego świętości. Jako oficer w prywatnej armii należącej do Sigismondo Malestesa, doprowadzał do ruiny ziemie Kościoła, gwałcił zakonnice, łupił i plądrował skarby Kościoła. Miał zwyczaj ubierania się w szaty biskupie, obdarzając swoje stadko obscenicznymi żartami na temat nieprawdopodobieństwa niepokalanego poczęcia. W swoim zamku praktykował najstarsze rodzaje czarnej magii ze zmianami wprowadzonymi przez siebie...

Zamienił najbliższy klasztor w prywatny burdel dla siebie i najętej straży. Przykłady torturowania i poniewierania były na porządku dziennym, ale opowieści uciekinierki potraktowano jak bredzenie szalonej.

Sebastiano również stworzył raj dla *assassini* w swoim zamku. Kiedy ich liczba zbyt wzrosła - wynajmował ich za odpowiedni zysk, stanowili coś w rodzaju legionu śmierci - wtedy zwrócił uwagę na klasztor San Lorenzo, tylko dzień drogi od Castel Sebastiani, by ich tam zakwaterować. Wpadł na logiczny pomysł, skoro wielu jego *assassini* rekrutowało się z mnichów. W końcu Sebastiano był czarująco rozrzutny w swej gościnności, niezwykle wysoko wykształcony, obdarzony mądrością i umiejętnościami mówcy, a poza tym miał tytuł biskupa. Liczono się z tym, co mówił o Kościele. Jego argumenty były brane pod uwagę przez tokańską szlachtę, księży, zakonnice, mnichów, uczonych obserwatorów i uważane za dobrze uzasadnione i przekonujące, chociaż stanowiły zupełną herezję.

Sądząc, że to, czego Kościołowi najbardziej potrzeba to kadry zaufanych zabójców, przejął klasztor, wymordował tych, którzy postanowili nie włączać się do jego planów i ustanowił własnych tokańskich *assassini*, lojalnych biskupowi księciu Sebastiano, ale - oczywiście - do wynajęcia na życzenie.

Papież wiedział o działalności księcia biskupa, ale nie zdradzał szczególnego pragnienia, by się nim zajmować. Wierzył po prostu, że bardziej rozsądne będzie pozwolić mu samemu posłać łóżko: jeden z *assassini* musiał z nim skończyć wcześniej czy później. Co właściwie zrobił Sebastiano? To pytanie zadano w sądzie. Przejął zrujnowany klasztor; zamordował kilku niepiśmiennych mnichów, zgwałcił kilka zakonnice, które były niskiego pochodzenia. Praktykował trochę czarnej magii, ale to prawdopodobnie po to, by dodać trochę pieprzu do życia seksualnego. I dowodził własną armią najemników, jak i zazdrosnymi *assassini*. Lepiej zostawić go w spokoju.

Chociaż taki arogancki megaloman jak Sebastiano musiał przekroczyć granice papieskiego *noblesse oblige*. Sebastiano obraził się po uwadze wypowiedzianej przez kardynała-bratanka, dwu-

dziestodziewięcioletniego *bon vivanta* wysłanego na posterunek we Florencji, o którym mówiono dość powszechnie, że złożył nieodpowiednią propozycję siostrze Sebastiana, Celestynie... propozycję, którą przyjęła z ochotą.

Jako bardzo praktyczny maniak, książę zażądał odpowiedniego zadośćuczynienia w zamian za to, co pozostałoby z często szarganej czci jego siostry od dnia jej kapitulacji. Prawdopodobnie zaproponował figurę własnej osoby na koniu odlaną ze złota. Kardynał-bratanek odrzucił tę sposobność i książę wysłał brata Scipione, swego najbardziej doświadczonego i zaufanego zabójcę, by załatwił sprawę. Kardynał-bratanek został zamordowany w sypialni, we własnym łóżu, które dzielił w owym czasie z Celestyną. Na nieszczęście ona też posmakowała ostrza dobrego mnicha.

Teraz, kiedy zło Sebastiana uderzyło w jego własną rodzinę, papież nie miał wyboru. Musiał zastosować surowe środki. Po pierwsze wyznaczył innego bratanka, dwudziestojednoletniego, kardynałem. Po drugie zebrał armię własnych najemników, nominalnie zatrudnionych przez nowego kardynała-bratanka, który szukał zemsty za zamordowanie swojego brata, i wysłał ich do Castel Sebastiani. Klasztor został zaatakowany jako pierwszy. Wszyscy *assassini* poza dziewięcioma dali gardło. Książę, będąc pozbawiony swych najbardziej zaufanych przyjaciół i obrońców, próbował układów. Niestety dowiedział tylko, że nie wie mu się w dyplomacji tak dobrze, jak w rozpuście. Wszyscy mieszkańcy zamku, z wyjątkiem księcia, zostali zapędzeni do lochu i spaleni żywcem.

Księżu uroczyście usunięto żebra. Jeszcze żywy korpus i głowę zostawiono, by umarł samotnie na kawałku piaszczystego ugoru pełnego much.

Papież był zadowolony z wyników kampanii, poza sprawą ucieczki dziewięciu *assassini*. Mówiono, że zbiegli do Hiszpanii. Twierdzono, że ukryli się w klasztorze w górach, od dawna opuszczonym, którego dokładne położenie było nieznane. W każdym razie to tylko opowieść. Papież już się tym dłużej nie martwił.

Historia Sebastiana i tokańskich *assassini* wyczerpała i przygnębiła Elżbietę. Ale nie mogła przestać się dziwić.

Jaka była różnica między tym, co działo się w piętnastym wieku, a tym, co wydarzyło się teraz?

Wracała tej nocy do mieszkania na piechotę, a okropieństwa *assassini* i ich panów tkwiły żywo w jej pamięci. Bolała ją piekielnie głowa i poszła do łóżka wcześniej wykończona, rozkojarzona, rozczarowana, że nie ma z kim tego wszystkiego przedyskutować w nocy, siedząc nad kanapkami i filiżankami kawy.

Czy był jakiś sens w jej poszukiwaniach? Czują się tak, jakby zapomniała, po co zagrzebała się w Tajnych Archiwach. Ostrzeżono ją o ich sile. Ale nikt nie ostrzegł Elżbiety o *assassini* kryjących się w ciemnościach jej pokoju, o duchu Val, o zapamiętanym gniewie i wyrazie krzywdy na twarzy Bena Driskilla. Teraz to była znajoma litania. Wkrótce będzie musiała komuś ją powiedzieć.

Wkrótce.

Ojciec Morela O'Neale z parafii Świętej Marii w New Prudence starał się, jak mógł, by żyć dalej po śmierci Val, jedynej kobiety, jaką kiedykolwiek kochał. Nosił swą zwykłą maskę uśmiechu, gdy

przedzierał się przez jasne dni wczesnej jesieni. Wcześniej robiło się ciemno. Wieczorami - kiedy wiatr jęczał pod okapem starej plebanii, a ogień płonął na kominku - Morela budził się co jakiś czas w bujanym fotelu, z mózgiem otumanionym dobrą whisky i widokiem twarzy Davida Lettermana na ekranie, uśmiechającego się kwaśno po jakiejś sztuczce ze zwierzętami. Szkocka była metodą na pogodzenie się ze śmiercią Val, ale miał zamiar nie przedawkować. Zbyt wielu księży zaginęło na tej samotnej drodze.

Nadal zajmował się grupami młodzieżowymi przy kościele. Pracował z zespołem pomocy paniom. Przyjmował wszystkie zaproszenia na kolacje i kontaktował się z ojcem Dunnem. Codziennie odwiedzał Hugh'a Driskilla w szpitalu. Obserwował wysiłki starego człowieka walczącego o powrót do życia. Patrzył, jak nieporadna wola wdziera się w to wielkie niewspółpracujące ciało. Niewątpliwie Hugh Driskill powoli powracał do zdrowia. W pewien sposób Morela poczuł, że stał się zastępczym synem, substytutem Bena, który wyjechał Bóg wie gdzie. Miał świadomość, iż nie jest tym, kogo stary człowiek potrzebował, ale był, a to lepsze niż nikt. Morela był dla Hugh'a kimś, z kim ten mógł porozmawiać o Benie i Val. Widział, że stary człowiek wciąż myśli, głęboko skoncentrowany. Rozmyślał o Val i Benie, ale co myśli, pozostało jego tajemnicą. Ktoś inny może byłby bezradny, ale nie Hugh Driskill. Nie doświadczył nigdy bezradności. Słuchał się tylko swoich własnych rad, gdy gwarzył o niczym z Morelą i wspominał lepsze czasy.

Morela odwiedzał również grób Val na małym cmentarzu, oplakując nie tylko ją, ale również marzenia, jakie mogło być jego życie. Czasami wychodził przed ogrodzenie i wpatrywał się przez chwilę w grób ojca Gouverneau, myśląc o tamtej dawnej historii, zastanawiając się, jak to było, gdy Edna Hanrahan i jej przyjaciółki podkochiwały się w przystojnym, przeklętym księdzu. Morela próbował z całych sił oprzeć się na swojej wierze, by przetrwać ten okres w życiu. To była piekielna próba.

Natomiast nic go tak nie zajmowało jak sprzątanie piwnicy, strychu i całej różnorodności szaf, które wypełniały rupiecie zebrane przez jego poprzedników w ciągu długich życiorysów, spędzanych w parafii Świętej Marii. Ci faceci byli beznadziejnymi chomikami.

Pudła listów z lat trzydziestych. Raporty dla diecezji, sprawozdania finansowe, tuziny teczek wypełnionych wycinkami, sklejonymi i luzem. Potwornie ciężkie pudła książek. Tomy religijne, natchnione rozprawy, bestsellery, przewodniki, klasyka oprawiona w imitację skóry, jeszcze cięższe pudła z tysiącami egzemplarzy czasopism *Life*, *National Geographic*, *The Saturday Evening Post*, *Collier's*, *Harper's*, *The Atlantic*, *The Saturday Review* i wielu, wielu innych. Kije do golfa, rakietki tenisowe, młotki do krykieta i piłki, sprzęt do badmintona, wliczając w to siatki i pożarte przez mole lotki. Ryzy papieru, notatniki, notesy, ołówki, pióra, znaczki z czasów, gdy za dwa centy kupowałeś przesyłkę ekspresową. To było niewiarygodne. Edna Hanrahan pomagała mu godzinami. *Znaleźli* dość starych ubrań, by zorganizować pchli targ. Albo ubrać teatr amatorski. Nie mogli ich wyrzucić. Nie mogli nic innego robić, poza przygotowaniem stoiska wyprzedaży, a Edna z poświęceniem się tym zajęła.

Pewnego wieczora Morela usadowił się przed kominkiem i telewizorem z butelką Glenfiddich pod ręką i zaczął przeglądać pudło wycinków pochodzących z końca drugiej wojny światowej. Pod dwiema teczkami znalazł żółtą kopertę, zaklejoną taśmą i obwiązaną mocnym sznurkiem. Pokusa była nieodparta. Scyzorykiem przeciął sznurek i wyciągnął około czterdziestu stron, ręcznie zapisanych

atramentem, który już zbladł na liniowym papierze.

Zaczął czytać. Przeczytał rękopis dwukrotnie i w czasie czytania dwukrotnie wstał, by przejść się po pokoju. Skonsumował również połowę Glenfiddich i usiadł, wpatrując się w telewizor. Próbował się uspokoić. Co robić?

Uważnie przeczytał tekst po raz trzeci.

Wielokrotnie słyszał od Bena i Val, opowieść o tym, jak Hugh Driskill przywiózł do domu z wojny włoskiego księdza Giacomo D'Ambrizzi, jak ten zamknął się w gabinecie Hugh'a wykonując jakąś pracę, a wtedy dzieciom zakazano absolutnie przeszkadzać... A teraz on, Morela O'Neal, na miłość boską wiedział, co się działo w gabinecie.

Trzymał w drżących dłoniach testament Giacomo D'Ambrizziego, który pewnego dnia mógł zostać głową Kościoła rzymskokatolickiego... Tutaj przeleżał przez te wszystkie lata, zabezpieczony w swym ukryciu, zapomniany. Zapomniany? Wrócił do pierwszej strony, do tytułu. *Fakty w sprawie Simona Verginiusa*. Przewrócił ostatnią kartkę, popatrzył na wyblakły podpis, datę.

A potem, dobrze już po północy, podniósł słuchawkę i sprawił ojcu Artie Dunnowi wielką niespodziankę.

Ojciec Dunn spędził kilka dni zamknięty w swym apartamencie w jednej z wież w centrum Manhattanu, wysoko nad miastem. Ignorował beczenie arcybiskupa kardynała Klammera, dochodzące z sąsiedztwa katedry św. Patryka. Lekceważył telefony od swego agenta i wydawcy. Pracował nad morderstwami, jak gdyby leżały w samym środku jednej z powieści: snuł wątki do przodu, do tyłu i na boki, próbując pochwycić wątek główny w odpowiednim świetle - tak by był widoczny w całej okazałości. Oczywiście, nie udało mu się, ale nie był to czas stracony. Myślał o Val, Lockhardcie, siostrze Elżbiecie, Benie, Hughu, Moreli, D'Ambrizzim, Sandanato i papieżu, notował coś, prześledził różne niewiadome, mając nadzieję, że z poznania wynika zrozumienie. Rozmyślał o podróżach Val. Czego, u diabła, szukała? Cóż, niezależnie od wszystkiego rodzina Driskillów wydawała się zamieszana, jak by na to nie spojrzeć...

Zamordowany ojciec Gouverneau zwiślał z drzewa w sadzie i to był *ich* sad...

Druga wojna światowa. Kto latał po Europie dla BSS Dzikiego Billa Donovana, jak nie Hugh Driskill...

Wojna się kończy i w Princeton zjawia się D'Ambrizzi, przywieziony do domu przez Hugh'a Driskilla... ale czy ktoś wie, dlaczego? Artie Dunn chciał wiedzieć dlaczego. Do diabła, ten człowiek wkrótce może zostać papieżem...

Siostra Val sprawiała kłopoty w zeszłym roku, kogoś śmiertelnie przerażając... i ktoś w końcu ją zabił, by przerwać to, co robiła. Ale co robiła?

A Ben Driskill po prostu nie zrezygnuje. Jego podejście nie oznaczało odsunięcia się na bok i czekania, aż wszystko nabierze jakiegoś sensu. Bardzo przypominał słonia w składzie porcelany. To nie było typowe zachowanie prawnika. Pojawił się z powrotem piłkarz...

Co za rodzinka!

W końcu Dunn wymyślił taką teorię, która nie przyszlaby do głowy nikomu innemu. Po przejrzeniu notatek i stwierdzeniu, że są zbyt pogmatwane i niejasne, postanowił wrócić do początku, do sadu, gdzie ojciec Gouverneau kołysał się na przenikliwym, zimowym wietrze.

Pewnego słonecznego, wietrznego poranka Dunn opuścił Nowy Jork i pojechał do klasztoru leżącego niedaleko głównej drogi między Princeton a Trenton. Był to budynek z szarego kamienia, otoczony zielonym trawnikiem, teraz zbrązowiałym od mrozu. Śnieg stopniał, ale szron wczesnej zimy wciąż okrywał żółtą trawę. Dunn był przyzwyczajony do prawdziwie nieziemskiego bezruchu. Wiązało się to z zasadami jego religii. Odczuwał go setki razy.

Czekał w recepcji, gdy tymczasem stara zakonnica wstała zza biurka i poszła po siostrę Marię Angelinę. Przyszła z ciepłym uśmiechem powitania. Ale nie był to uśmiech, który wszystko darował. Uścisnęły sobie ręce. Zaprowadziła go do pokoju przyjęć, w którym wisiało kilka reprodukcji obrazów religijnych. Pokój był zimny i smutny, ale rozjaśniała go piękna twarz mniszki, uśmiechnięta i ożywiona.

Wróciła do klasztoru po okresie pracy w szkole podstawowej, której Ben, Val i Morela byli uczniami; w końcu została przełożoną. Dunna poznała na pogrzebie Val.

- Znała siostra Hugh'a Driskilla i jego żonę, Marię, prawda?
- Oczywiście, że ich znałam. Wydaje się, jakby to było wczoraj.
- Musiała wtedy siostra znać wszystkich katolików w okolicy.
- Chyba tak, sądzę, że tak. To dlatego, że uczyłam, nie uważa ojciec?
- A więc znała siostra także ojca Gouverneau?
- Tak, znałam. Byłam tu przez cały czas.
- Zastanawiam się tylko... Czy siostra pamięta ojca Gouverneau?

Pojawiła się zakonnica z serwisem do herbaty na srebrnej tacy. Postawiła ją na stoliku obok kanapy, na której siedzieli. Siostra Maria Angelina pochyliła się z szelestem habitu i nalała herbaty do filiżanek. Ojciec Dunn dodał mleka i dwie kostki cukru. Zwróciła swój zadowolony uśmiech anioła, który Ben Driskill uznał kiedyś za uwodzicielski, w jego stronę.

- Czy dlatego ojciec do mnie przyjechał, ojcze Dunn?
- Właśnie dlatego, siostrze. Z powodu ojca Gouverneau.
- Cóż, muszę się przyznać, że oczekiwałam ojca.
- Nie rozumiem, jak to w ogóle możliwe.
- Tak, ojca lub kogoś takiego.
- Naprawdę?
- Moje doświadczenie zawsze mówiło mi, że za wszystko się płaci. Zgodzi się ojciec ze mną? Nie miałam dość siły, by zapłacić, gdy przyniesiono rachunek - mówię - w przenośni, rozumie ojciec? Ale czekałam prawie pół wieku na kogoś, kto przyjdzie do mnie i zapyta o ojca Gouverneau...
- Ja jestem tym kimś. Dlaczego siostra czekała?
- Bo wiem, dlaczego umarł, tak jak umarł. A kiedy i ona umarła, byłam jedyną osobą...
- Ona?
- Maria Driskill. Ona też wiedziała...

- Dlaczego się zabił? Uśmiechnęła się ze spokojem.

- Proszę poczęstować się ciastkiem, ojczy, wygodnie usiąść, wypić herbatę, a ja opowiem całą historię o ojcu Gouverneau, niech spoczywa w spokoju...

Wynajęty dodge przegrał bitwę po trzystu gorących, zakurzonych, wietrznych, piaszczystych milach - część z nich wiodła wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego, a długa reszta w cuchnących okolicach miejsca zwanego Inferno. Zjechałem na pobocze blisko kilku pomp paliwowych, wyglądających jak pozostałości po prehistorycznym lesie. Były tam dwa psy o sierści w kolorze piasku, jakiś człowiek oliwiący pompę, czterech odpoczywających Egipcjan i obsługujący, który stwierdził, że moje przemówienie do niego brzmiało jak gówno. Miał na głowie czapkę baseballową nowojorskich Jankesów, a na sobie niebieski firmowy kombinezon Forda. Za jego plecami stał budynek wyglądający jak fatamorgana, jeśli oczywiście nie spodziewasz się zbyt wiele po fatamorganie, hotel niczym wielki piernik piekący się na słońcu. Jedno piętro, opadające żaluzje, brak nazwy.

Kiedy człowiek w czapce Jankesów dość dokładnie mi się przyjrzał - przyczynie hałasu i dymu, wszedłem w chłodniejszy mrok hotelu. W recepcji nikogo nie było, a hol świecił pustkami poza kilkoma starymi wyściełanymi krzesłami i stolikami na trzech nogach. Wszystko podniszczone, na podłodze zebrała się warstwa piasku. Schody prowadziły na balkon i do kilku pokoi. W radio grała muzyka, której nie rozumiałem. Blaszany szyld coca-coli z arabskimi napisami przybito do ściany. Minęło późne popołudnie. Mój samochód był śmiertelnie ranny. Znalazłem się w środku odludzia, szukając człowieka, którego mogło tu wcale nie być, nawet jeśli udałoby mi się dotrzeć - wbrew przeszkodom - tam, dokąd zmierzałem. Dokuczał mi głód, chciało mi się pić, a ból pleców dobijał mnie. Może nadszedł czas, by wrócić do domu?

Co, pomyślałem, powiedziałyby Val lub siostra Elżbieta na moim miejscu? Siostra Elżbieta, niech ją piekło pochłonie, ją i jej fałszywą dwulicową przyjaźń, bez wątpienia popija teraz koktajle u Hasslera z nuncjuszem papieskim aż po samą koloratkę zanurzonym w intrygach... A ja, czułem się upieczony na słońcu i trochę nieprzytomny z gorąca i niewygody. Daleko mi było do dni mojej najlepszej formy.

Psy warczały, a faceci stojący dookoła dodge'a śmiali się z czegoś. Kobieta w kombinezonie Forda wyszła z drzwi pod schodami. Dokładnie mnie obejrzała i spytała po angielsku, czego chcę. Wskazałem znak coli i powiedziałem, że chciałbym trochę tego z dużą ilością lodu. I coś do jedzenia. Odeszła na chwilę i wróciła z dwoma hamburgerami i szklanką coli z lodem. Dzięki temu moje życie i zdrowie psychiczne zostały uratowane. Nie spakowałem się, nie pojechałem do domu.

Rozmowa z mechanikiem była naprawdę krótka. Uruchomienie samochodu miało potrwać dwa, trzy dni. Odkryłem, że wiedzą, gdzie jest stary klasztor nazywany Inferno, chociaż wydawało mi się, że uważali jazdę tam za szczyt głupoty. Ale, jeśli jestem zdecydowany, Abdul, kierowca ciężarówki będzie przejeżdżał obok rano i za pewną cenę niewątpliwie mnie tam dostarczy. Na noc mogłem dostać pokój na górze. Nie miałem dość energii, by zostać i pogawędzić z moimi nowymi przyjaciółmi. Nie interesowała ich dyskusja o moich planach podróży, więc wypilem jeszcze kilka coli i poszedłem do łóżka.

Sen nadchodził wolno. Zrobiłem, co mogłem, dla moich pleców. Opłukałem się i położyłem na wąskim łóżku, poczułem piasek między skórą a materacem. Naciągnąłem koc pod brodę, gdyż na

zewnątrz na pustyni zrobiło się chłodno. Ale w ogóle nie mogłem zasnąć.

Jeszcze raz przypomniałem sobie wszystko, co powiedziała mi Gabrielle LeBecq o swoim ojcu, o hitlerowskich grabieżach, ludziach ze zdjęcia - wiadomości beznadziejnie pomieszane, życiorysy sprzed czterech, pięciu dziesięcioleci. Zbyt skomplikowane.

Niczego nie potrafiłem połączyć z zamordowaniem mojej siostry. Dlatego próbowałem odnaleźć LeBecq. Czułem głęboko w moich zmęczonych kościach, że LeBecq jest na krawędzi, że będę mógł go złamać, popchnąć, puścić i znowu go złapać... i zmusić do powiedzeniami wszystkiego. Gdzieś wreszcie usłyszę dość i będę wiedział, dlaczego zamordowano Valentine. Musiałem współpracować z Le-Bekiem. Gdyby nie uciekł na pustynię, mógłbym go sobie darować. Mógłbym, ale uciekł i musiałem pójść za nim.

Drogi zbudowane w czasie kampanii w Afryce Północnej jakieś czterdzieści lat temu leżały od tamtej pory w słońcu i wietrze, a każda nierówność wbijała się jak ostrze w moją ranę. Zaciskałem zęby, zostawiłem odciski palców na zardzewiałej, zakurzonej desce rozdzielczej i modliłem się o wybawienie. Ciężarówkę Abdula zostawili uciekający Włosi. Wiedzieli, co robią. Upływ lat w niczym nie poprawił stanu starego gruchota. Ta jazda przypominała mi dzień, w którym obrzygałem na targu mojego wujka. Ale to był niestety jedyny sposób, by dostać się do klasztoru św. Krzysztofa, chyba że zdecydowałbym się wyruszyć pieszo. Jak powiedział tamten człowiek w hotelu, może rzeczywiście byłem głupi, ale nie zwariowałem. Koszula przykleiła mi się do pleców. Pokładałem nadzieję w Bogu, że nie była to krew.

- Daleko jeszcze? - wykrzyczałem, by zagłuszyć klekot, ale Abdul pochylił się tylko nad kierownicą, mruknął coś i dalej żuł mokre, dawno temu zgaszone cygaro. Zerkałem przez muchy rozmazane na popękanej przedniej szybie, ale drogę skrywały chmury kurzu i piasku. Nawet ukryty za ciemnymi okularami czułem, że oczy płoną mi od słońca. Od wiatru. Od piachu. Chwyciłem manierkę leżącą na siedzeniu między nami, poparzyłem palce o lśniące aluminium i powoli sączyłem wrzącą wodę, by nie popękały mi wargi. Od siedmiu godzin siedziałem zamknięty w ciężarówce jak w pułapce. Nie byłem całkiem pewien, czy długo jeszcze wytrzymam. Zastanawiałem się, jaki gatunek ludzi trafiał w to miejsce z własnej woli.

Zderzaki trzepotały na każdym zakręcie i uderzały w każdą rozpadlinę na drodze. Za każdym razem, gdy łyse opony zsuwały się w piasek, musieliśmy wysiadać, wyciągać ciężarówkę i wypchać z powrotem na drogę. Wóz był tak podziurawiony przez piasek zwiewany przez wiatr z wydm, że wyglądał jak memento dla wojny gangów w Chicago. Jeśli dojedzie do klasztoru i w końcu się rozpadnie, to jak stamtąd wrócić? Czy będę musiał dołączyć do mnichów? Czy jak raz dostanę się do środka, to nigdy nie wyjdę na zewnątrz? A może srebrnowłosa czeka tam na mnie z ostrzem i już nie będę musiał martwić się o powrót?

Wtedy zobaczyłem klasztor wyłaniający się zza zasłony piasku. Zamajaczył groźnie, przycupnięty blisko ziemi, o poszarpanych krawędziach, w kolorach wydm piasku w tle: szarym i brudno-brązowym. Potem znowu zniknął.

Ciężarówka zaklekotała. Abdul wskazał przed siebie, coś tam jeszcze burknął, użył resztek hamulców - metal trący z piskiem o metal - kilka podskoków i klekot ucichł. Bardzo powoli wypuściłem

powietrze z płuc, otarłem oczy oleistą szmatą, którą Abdul podniósł z podłogi i założyłem okulary.

- Droga kończy się tutaj - zauważył, usuwając mokry liść tytoniu z kącika ust. - Pospaceruj teraz, draniu. - Roześmiał się tajemniczo i splunął przez dziurę w samochodzie, tam gdzie powinno być okno. - Abdul wraca jutro. Być gotowy, draniu. Płacić mi teraz, a za powrót jutro. Abdul urodzić się dawno temu. Abdul nie wczoraj. - Roześmiał się znowu z wykazania się taką mądrością, a ja wręczyłem mu garść monet.

- Abdul - powiedziałem - sam jesteś cholernym draniem.

- Mówić to jeszcze raz.

Zapalił silnik, a ja pochwyciłem torbę i spojrzałem na ledwie widoczną ścieżkę. Koła dokładnie opluły mnie piaskiem i kurzem, gdy odjeżdżał, ale nie zrobiło mi to żadnej cholernej różnicy. Dotarłem do absolutnie zakazanej dziury świata i byłem doskonale ubrany na tę okazję.

Klasztor był ruiną. Strzeżoną przez ducha czołgu.

Piasek przykrywał mu osie. Miał na bokach oznaczenia Afrika Korps Rommla. Farba odłaziła. Długa lufa wskazywała szeroki łuk drogi, jakby zawierała ostatni pocisk, ostatnie hurra! Jak odwieczny weteran bitwy o al-Qarsrayn czekający, by pozdrowić Pattona ostatnim śmiertelnym błyskiem, przypominał sen, koszmar ze szczekotem karabinów maszynowych i strumieniami krwi. Ale lufa wskazywała pustkę, samotność piasku i znużonych, poszarpanych wiatrem palm. Wróg dawno odszedł. Historia i czas wezwali wszystkich, zostawiając tego starego, rozpadającego się gruchota, smutniejszego niż łysa choinka po Świętach.

Wychudzony pies wyciągnął sterczące kości z cienia rzucanego przez niski mur, otaczający ściany klasztoru. Zakotłosał się, by stanąć, popatrzył na mnie z żalnym wyrazem rozczarowania i wrócił do cienia. Usiadł jak rozpadające się krzesło. Powoli potrząsnął głową, odganiając bzyzące muchy. Były wielkości mojego kciuka i pomyślałem, że może pies bawi się z nimi. Wyglądały tak, jakby mogły zjeść go na miejscu albo bez trudu zanieść żonie i dzieciakom na przekąskę. Kilka tuzinów oderwało się od niego i poleciało za mną do wnętrza klasztoru, wyczuwając większy łup. Muchy otaczały mi głowę, ostry żar oblepiał mnie ze wszystkich stron. Poczułem się jak ktoś, kto przedsięwziął długą, uciążliwą podróż, by znaleźć schronienie w żarówce.

W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Palma zwieszała się nad kałużą błotnistej, zapiaszczonej wody, gdzie inny pies chlapał się, przerywając tę czynność długimi westchnieniami. Przez szorstki chrzęst piasku osypującego się ze ścian głównego budynku, przez monotonne bzyczenie much, usłyszałem coś jeszcze. Niski pomruk, głosy pochwycone przez wiatr i przyniesione ku mnie. Poszedłem w stronę głosów i zbliżyłem się do muru. Dźwięk stał się głośniejszy. Przypominał coś w rodzaju śpiewu, który umilkł, gdy podszedłem do kolejnej zniszczonej bramy, zwisającej krzywo na zawiasach ze sznura. Przeszedłem przez nią. Zatrzymałem się natychmiast i stanąłem w cieniu, przyglądając się mnichom.

Grzebali kogoś.

Stałem w cieniu, pochylony, obserwując kształty przedmiotów, których kontury zacierały migocące fale gorąca. Próbowałem ręką dotknąć pleców, by sprawdzić, czy krwawię. Wiedziałem, że krew płynie w mojej wyobraźni. Wiedziałem, że to tylko pot... Ale nie mogłem dosięgnąć. Rana była zbyt

sztynna, zbyt napięta i bolała jak diabli. Kleiła się. Oparłem się o mur, przypatrywałem mnichom. Próbowałem zobaczyć wyraźnie każdego z nich. Szukałem wysokiego mnicha o siwych włosach i oczach jak otwór lufy czołgu.

Oczywiście nie było go tam. Wszyscy wydawali się mali, chudzi, otyli, skurczeni, przygarbieni. Mnich stojący z boku - z brodą, o ostrych rysach - przypominał postać ze Starego Testamentu, która wierzyła, że ogniem trzeba zwalczać ogień. Miał stempel na sznurze zwieszającym się z szyi, i jak zauważyłem, jako jedyny z całego zgromadzenia mnie dostrzegł. Gość honorowy podróżował w zamkniętej drewnianej skrzynce prosto do jamy zięjącej w gąbczastej, piaszczystej ziemi. Mały cmentarz wyznaczały zwykle proste drewniane krzyże, sterczące pod różnymi kątami, mówiące o przeszłości, wskazujące zakończenie rozdziału. Brodaty nosiciel ognia podszedł do grobu i zaczął mówić. Stałem za daleko, by słyszeć, o czym mówi, ale tak właśnie chciałem.

Pogrzeby. Zmarli przechodzili obok mnie, widma w żarze i bólu. Moja siostra... Lockhardt... Poczułem pot wysychający na mojej twarzy. Wiatr go osuszył, zostawiając tylko słoną skorupę, która zaczęła pękać, jak coś bardzo młodego wyłaniającego się z kokonu lub bardzo starego wychodzącego z krypty.

Trumnę spuszczone do grobu. Mnisi zasypali ją ziemią. Zobaczyłem, że podchodzą do mnie. Szli powoli jak ożywione trupy z horroru. Nosili grube suknie. Kilku miało połatane spodnie, a jeden dzinsy sprane prawie do białości. Bez wieku, opaleni lub grobowo szarzy, brodaci, pachnący potem i piaskiem.

Ten o ostrych rysach, który przemawiał jako ostatni, podszedł bardzo blisko i przystanął.

- Jestem tu opatem - powiedział cicho, zaskakując mnie. Jego głos nie pasował do surowej twarzy. Próbowałem coś odpowiedzieć, ale miałem zbyt wysuszone wargi. - Pan krwawi - stwierdził. Patrzył na mur.

Odwrociłem się. Ściana, o którą się opierałem, była zabrudzona krwią. Chciałem zakląć, ale język przykleił mi się do podniebienia.

- Proszę pójść ze mną.

Ruszyłem za nim w ciemne korytarze klasztoru Świętego Krzysztofa, świętego, którego już tu nie było.

Wysoki, gruby mnich, którego nie zauważyłem przy grobie, posadził mnie na stole w skromnie umeblowanym gabinecie opata. Było tam chłodno i ciemno, błyski światła przebijały się przez wąskie okna w murze grubości trzech stóp. Mnich nazywał się brat Tymoteusz. Miał co najmniej siedmiodniowy zarost, przekrwione oczy, zniszczony nos wieloletniego pijaka i dotknięcie anioła miłosierdzia. Ściągnął ze mnie sztywną, sklejoną koszulę i bandaż. Obmył ranę i stwierdził, że widział już gorsze. Potem roześmiał się pod nosem.

- Ale oni byli martwi!

Opat stał blisko stołu, przyglądając się zabiegom mnicha.

- Brat Tymoteusz - powiedział - jest naszym mędrcom. Rozjaśnia nasze dni.

Siedziałem nieruchomo, marząc o drzemce, kiedy nowy opatrunek został przygotowany i przyklejony na miejscu grubymi plastrami. Brat Tymoteusz przyjrzał się swojej robocie. Pomógł mi

wstać, a potem zajął się wkładaniem medycznych narzędzi z powrotem do popękanej torby lekarskiej. Wydmuchał nos w rękaw wyblakłej sutanny.

Usiadłem na drewnianym krześle. Opat spoczął na takim samym z grubą, postrzępioną poduszką. Dłonie położył na prostym stole z desek.

- Wody dla naszego gościa, Tymoteusza.

Wielki mnich wyszedł powłócząc nogami. Oczy opata zwróciły się ku mnie, jak podwójne lampy ciekawości i ostrożności.

- Nikt tutaj nie zjawia się przez przypadek - stwierdził. - Muszę więc zakładać, że miał pan jakiś powód do złożenia nam wizyty. Przebył pan długą drogę. Widać ją na pańskiej twarzy. Padł pan ofiarą próby zabójstwa, sądząc z wyglądu pańskich pleców. A fakt, że pan tu jest, dowodzi, że jest pan bardzo zdeterminowanym człowiekiem. Czego pan szuka w klasztorze Świętego Krzysztofa?

- Człowieka.

- Nie jestem zaskoczony. Tylko polujący na człowieka potrafi pokonać przeszkody, które pan pokonał. Kogo? I dlaczego?

- Człowieka nazywającego się Etienne LeBecq. Możecie go znać po prostu jako kogoś, kto zjawił się tu po schronienie...

- Jeśli w ogóle go znam.

Wyjąłem zdjęcie z torby, podałem mu. Jego twarz niczego nie zdradzała. Wskazałem Guya LeBecqa, mając nadzieję, że podobieństwo wskrzesi pamięć opata. Brat Tymoteusz wrócił z dzbankiem wody i buteleczką aspiryny. Połknąłem cztery od razu, opłukałem gardło zimną wodą, obmywając je z piasku.

Opat wpatrywał się w twarz na fotografii, ostrożnie rozprostował ją na stole. Jedyнным dźwiękiem było drapanie piasku o mur i dziwny śpiew dochodzący z pustyni - wiatr świszczący w piasku. Odchylił się w krześle i patrzył na mnie uważnie.

- Zastanawiam się, kim pan jest - przyznał z niechęcią.

Wydawał się tak nieprzychylny jak krajobraz. Nie mogłem pozbyć się przekonania, że nagle stał się dla mnie najważniejszym człowiekiem w życiu. Bez jego wsparcia byłem bezbronny w tym miejscu zapomnianym przez Boga.

Jego twarz wyglądała tak, jakby pustynia oczyściła ją piaskiem dawno temu. Mięśnie opinały szkielet. Czekał, aż wyjaśnię niewiadome, więc zrobiłem to. Zaakceptował wszystko: moje nazwisko, powody lotu do Egiptu. A skąd wiedziałem, dokąd przyjechać? Nie miał zamiaru pozwolić mi się bronić. To był jego klasztor. Zachowywał się jak sierżant, chociaż opat zawsze powinien być taki. Opowiedziałem mu o zamordowaniu mojej siostry. Powiedziałem, że LeBecq spotkał się z nią na krótko przed jej śmiercią. Przyznałem mu się, że miałem piekielnie mało śladów, a LeBecq był jednym z nich.

- Ten człowiek, o którym pan mówi, że rozmawiał z pańską siostrą, zanim została zamordowana...

- Wydawało mi się, że ma belgijski akcent. Może francuski. - A co pan robi, gdy go pan odnajdzie?

- Porozmawiam z nim. - Wzruszyłem ramionami. Czuję, że spokojne, chłodne oczy przyglądają mi się z zainteresowaniem badacza, jak gdyby nic nie miało wystarczająco wielkiego znaczenia, by

zwrócić jego uwagę. - Czy mi ojciec pomoże?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, panie Driskill. Nie zajmujemy się tutaj pomocą. W tych murach zapomniano o pomocy i nadziei. Proszę pozwolić mi opowiedzieć sobie, kim jesteśmy, proszę pozwolić mi porozmawiać ze sobą, panie Driskill, by pan wiedział, co pan znalazł w klasztorze Świętego Krzysztofa. - Postukał palcami w stół, jakby przygotowując się do wyjaśnień, których - jak wiedziałem - lepiej było nie przerywać. - Jesteśmy czymś w rodzaju legii cudzoziemskiej składającej się z mnichów. Jest nas tu tylko dziewiętnastu... tych, którzy nigdy nie opuszczają, którzy... *nigdy*... nie opuszczają tego miejsca. Jest też kilku takich, co przyjeżdżają i odjeżdżają co jakiś czas. Modlimy się, czekamy na śmierć. Rzym nas ignoruje. Czasami człowiek jak ten pański Etienne LeBecq zjawi się tutaj szukając schronienia, by oczyścić się ze zła, jakie w sobie odkrył. Wszyscy z nas znaleźli zło w sobie, może jak ten mężczyzna, którego pan szuka. Wielu z nas umiera - przez nieuleczalne choroby lub te nie leczone z wyboru... może ze zwykłej rozpaczyny nad kondycją człowieka. Jestem opatem umarłych, panie Driskill, i zapomnianych.

Klasztor założono w dwunastym wieku, tak przynajmniej przekazuje tradycja ustna. Założyli go cystersi, a dokładniej zrobił to radykalny biskup, który uważał, że cysterska reakcja przeciw panom Europy - mnichom z Cluny - nie poszła zbyt daleko. A gdy mnisi z Cluny coraz bardziej zwracali się ku światowym uciechom, dostrzegł rozszerzanie się ich władzy politycznej i ekonomicznej. Cystersi poszukali ucieczki od świata uprzywilejowanego. Mnich ślubujący ubóstwo nie mógł żyć w świecie bogaczy, dlatego cystersi usunęli się... Ale ich credo - praca - nie zgadzała się z koniecznością pozostania biednym. Pod ich opieką niedostępne, jałowe doliny i stoki górskie rozkwitały. Łamigłówa nie do rozwiązania. Praca i ubóstwo były nie do pogodzenia. W 1075 brat Robert i siedmiu mnichów z klasztoru St. Michelle de Tonnere uciekli do lasu Molesme. Ale do 1098 ich wysiłki przyniosły taki ziemski sukces, że zmącił on nadzieję na stworzenie prawdziwego klasztoru. Wkrótce potem inna grupa wybrała się w niebezpieczną podróż do Afryki, w ciszę północnej pustyni, gdzie nie wyrosną zboża, a bogactwa i władza nie będą mogły rozkwitać. Mnisi zbudowali tam klasztor pod wezwaniem świętego Bernarda. Kiedy i dlaczego zmieniono wezwanie na świętego Krzysztofa, opat nie wiedział.

- Tutaj w słonecznym żarze i całkowitym ubóstwie, z dala od wszelkich światowych pokus Europy, rozkwitała asceza mnichów. Fanatyzm, samozaparcie i niespotykana gdzie indziej gorliwość w zaprzeczeniu potrzeb ciała stały się zasadami, według których żyli. A nie żyli długo. Rzadko który osiągał trzydzieści lat. Większość poddawała się szybciej, umierali ledwie przekraczając dwadzieścia pięć lat.

- Zostaw swoje ciało za tą bramą - narzucali młodym. - Tylko dusza tu wchodzi. Ciało nie nadaje się do niczego.

I dlatego wszystko, co było podziwiane na świecie, w tych murach odrzucano. Wiedzę, literaturę, wszystko, co zazwyczaj nadaje sens życiu człowieka. Pracę. Tylko nicość. Czekali na pustyni, aż skończy się świat, wierząc, że tylko dzięki ich wzniosłej dobroci, modlitwie i rozrastającej się nicości, przetrwa świat człowieka.

- W końcu - trwało to krócej niż połowa stulecia, nie tak dawno, panie Driskill - wszyscy odeszli, umarli, kości bieleły w słońcu, nie oplakani, nie dostrzeżeni przez Europę. Nie było nikogo, kto mógłby zanieść światu opowieść o nich... Minęło pokolenie, nim ktoś z Europy przybył tu i odkrył, co zawierały ocalałe księgi. - Opat odgonił muchę. Brat Tymoteusz wyglądał, jakby zasnął na stołku ustawionym w kącie. Opat opowiadał od dłuższej chwili, nie mogąc najwidoczniej przepuścić okazji, by porozmawiać z kimś ze świata zewnętrznego. Poza pytaniami, które zadał mi na początku, moje życie wydawało się go nie interesować: bardziej chciał opowiedzieć ponownie swoją historię, smakować ją, ocenić jej szaleństwo.

- Klasztor stał od tamtej pory pusty, konserwowany przez upał, brak wilgoci, przez setki lat. Proszę o tym pomyśleć, panie Driskill... stulecia bez modlitwy, bez mnichów, oczyszczony ze śladów ludzkości dzięki przemijaniu czasu i zamiarom Boga. - Uśmiechnął się nieznacznie, oblizał wargi i mówił dalej - urodzony mówca w świecie bez słuchaczy.

- W końcu zaginiony klasztor, klasztor - piekło, Inferno, stał się legendą. Przeszedł pod kontrolę papieża. Został wykorzystany jako niedostępne miejsce, dokąd można było wysłać niewygodnych księży lub mnichów z absolutną pewnością, że umrą zanim tu dotrą. I nigdy nie wrócą. Niektórzy z nich - prawdziwi eremici pożądamy najwyższej próby, pragnący satysfakcji z odrzucenia wszystkiego - błagali, by móc tu przybyć. Wyruszyli z własnej woli, przedsięwzięli podróż z nadzieją, że odnajdą to miejsce. Przybywali, by umrzeć w ostatnim spazmie arogancji, pełnej pogardliwego odrzucenia świata.

Ciemność przedzierała się przez wąskie okna razem z chłodem pustyni. Wieczór nadchodził, tocząc się nad wydmami jak obłok mgły. Opat przestał mówić. Nie wiedziałem, jak długo siedzimy w milczeniu. Patrzył na mnie, jakby czekał na jakąś reakcję z mojej strony. Był przygotowany na długie czekanie.

- Dlaczego ojciec tu przyjechał?

Wydawało mi się, że mnie nie usłyszał. Pochylił się, oparł łokcie na stole i splótł palce. Przyglądał się swoim dłoniom, jakby chciał sobie udowodnić, że nie drżą, bo jeszcze nad nimi panuje.

- Sami narzucamy sobie dyscyplinę - wyszeptał. - Mamy tu kilku eremitów, którzy prawie cały czas przebywają na pustyni. Większość z nas rozmawia, ale kilku nie. Jesteśmy słabymi ogniwami łańcucha, kryjemy się tu przed czymś. Nie mamy złudzeń, co do poprawienia naszych stosunków z Bogiem. Nie mamy złudzeń, co do stanu łaski. Nie pytamy o wyjaśnienia. Powstrzymaliśmy się przed popełnieniem ostatniego grzechu - zamordowaniem samych siebie. Dlaczego? Jak podejrzewam, bo obawiamy się, co nas czeka po tamtej stronie... czy gdziekolwiek. Ukrywamy się, ukrywamy się w lęku i wstydzie, ponieważ staliśmy się właśnie istotami pełnymi lęku i wstydu.

W jego głosie brakowało uczucia, które mogłoby nadać znaczenie tym słowom. Dreszcz, który poczułem, sprawił, że napięła mi się skóra na plecach i zjawił się ból. Nie miało to nic wspólnego ze spadkiem temperatury. Dostrzegłem odpowiednik pustki, którą zobaczyłem zionącą w oczach siwowłosego księdza.

- Przybyłem tutaj - dodał łagodnie - bo zasłużyłem na to miejsce. Zobaczyłem zło w moim klasztorze, lata temu w Dordogne - sodomie, korupcję wszelkiego rodzaju, więc ująłem miecz Boga we

własne dłonie. Miałem wizję w swojej celi... Widziałem ich kątem oka, kiedy byliśmy w kapitularku, odczytując Prawo. Plugawili to miejsce. Poszedłem do ich cel w środku nocy, znalazłem ich zamkniętych razem i własnymi rękami położyłem kres ich korupcji. Moja suknia zakonna była sztywna od krwi... Odszedłem - oszołomiony - nikt nie poszedł za mną... Dwa lata później dotarłem tutaj. W wiele lat później Pius XII zauważył mnie, wysłano listy i mianowano mnie opatem.

Nie powiedział ani słowa o LeBecqu, aż skończyliśmy głodowy posiłek w refektarzu. Byłem zbyt zmęczony, by naciskać w tej sprawie, ani nawet za bardzo nie zwracałem uwagi na otoczenie. Aspiryna na pusty żołądek dostarczyła mi najlepszego lekarstwa - zmaconej perspektywy. Ból pleców zelżał, a dziurę w tamie zatkał brat Tymoteusz.

- Chodźmy - powiedział opat po posiłku. - Nocne powietrze dobrze panu robi. A potem od razu do łóżka. Jeśli nie ma pan nic przeciwko spaniu na pryczy zmarłego. - Prawie do mnie mrugnął.

- Co to ma...

Ale opat wstał i odchodził od stołu. Poszedłem za nim.

Na zewnątrz panowało zimno. Szliśmy w milczeniu pod popartowym księżycem na czarnym niebie. Wyglądał jak dziura widziana od środka wielkiej metalowej kuli.

- Oczywiście znam pańskiego Etienne LeBecqa.

- Tak myślałem.

- Przyjeżdżał do nas od czasu do czasu przez wiele lat. Bardzo skryty człowiek, ale rozmawiałem z nim w rzadkich chwilach zwierzeń. Nieugięta wiara, która sprawiała, że czułem się słaby i grzeszny. Mówiliśmy o Kościele i jego roli, jakie każdy z nas ma zadanie do wykonania, choć mogłoby to się wydawać niespodziewane. Nigdy się nie dowiedział, że był dla mnie wielkim pocieszeniem, kiedy wątpiełem w swoją wiarę... Jego wiara w Kościół pozostawała niezłomna, panie Driskill. Ale gdzieś głęboko nosił straszliwą tajemnicę. Jaką? Nigdy mi nie powiedział. - Pies pobiegł za nami w noc. Zaczął węszyć i kopać w dolinie między wydrami. - Był tu kilka miesięcy temu, tylko na noc czy dwie - nie pamiętam. Czas tu nie ma znaczenia. Przyjeżdżał i odjeżdżał. Nie zadawał pytań. Czasami wydawało mi się, że próbuje ukryć się przed swoją duszą... Jeśli chodzi o informacje, nie mogę panu pomóc, panie Driskill. Jeżeli miał przeszłość lub przyszłość, nic o nich nie wiem. Nie mamy żadnych dóbr, nic, co moglibyśmy nazwać własnym... nic poza naszą przeszłością. Większość z nas nie ma przyszłości, poza tym, co pan widzi. Ale naszej przeszłości strzeżemy z największą zazdrością. Jeśli ktoś miał szczęśliwą przeszłość, po co przybywałby do tego miejsca? A jeśli był nieszczęśliwy czy podły... to nie chce o tym mówić.

Pies kopał z rosnącym ożywieniem. Dotarł do głębszej warstwy piasku.

- Czuje śmierć - powiedział opat. Podeszedł do psa i łagodnie odsunął go stopą. Zobaczył moje zaskoczone spojrzenie. - Tutaj znaleźliśmy ciało jednego ze starszych braci. Rozmawiałem z nim krótko. Był bardzo gadatliwy, trochę jak stara kobieta. Od pewnego poranka nigdzie go nie widziano. Jak minęło kilka dni, zrozumiałem, że jego koniec jest bliski, a pragnąłem dać mu czas, by umarł, tak jak wybrał... samotnie na pustyni. Mamrotał coś o zielonych polach, gdy rozmawialiśmy po raz ostatni. Jestem pewien, że tam właśnie umierał, na zielonych polach. Pies go znalazł. Najwidoczniej podeszedł do wydmy, ułożył

się i po prostu umarł. Jego wybór.

Szanujemy czyjś wybór. Pies odnalazł go na pół zasypanego piaskiem, z wyciągniętą ręką. Wyglądał jak mały grobowiec. Pochowaliśmy go dzisiaj, gdy pan przybył. - Podrapał opadające uszy psa, pogłaskał chudy, sparszywiały kark. - Dlaczego tak umarł? Z woli Boga, tylko to będziemy wiedzieli... Miał szczęście, to była dobra śmierć, panie Driskill.

Zaprowadził mnie do celi, gdzie miałem spać. Tu właśnie zmarły mnich, uciekający od tajemnic ukrytych w mrokach jego przeszłości, zwykł sypiać. Zapalił świecę. Cienie biegały po ścianach maleńkiej celi... Drewniany krzyż nad wąskim łóżkiem. Przejmujący zapach piasku i nocy. Złożony koc na brzegu łóżka. Opat przyjrzał się pustemu pomieszczeniu.

- Do mieszkania, choć nie jest to luksus, panie Driskill. Kiedy odwrócił się, by odejść, odezwałem się.

- Jeszcze jedno pytanie. Taka przypadkowa myśl. O innym człowieku, który może przybył tu, a potem odszedł. Może wraca od czasu do czasu.

- Tak?

- Nie wiem, jak się nazywa. Nie wiem nawet, czy jest księdzem, mnichem, czy świeckim jak LeBecq. Ale na pewno ojciec będzie go pamiętał: wysoki, bardzo sprawny fizycznie, chociaż, jak podejrzewam, pod siedemdziesiątkę, okrągłe okulary w złotej oprawie, włosy zaczesane dokładnie do tyłu... Niezwykłe oczy, bez dna...

Opat stał w drzwiach, cienie tańczyły na jego surowej twarzy. Ta sprawność, którą przed chwilą opisałem, była również i jego udziałem. Musiał też być w tym samym wieku. I on nie zaznał działania czasu. Czekałem, patrząc na niego i obserwując pająka, jak chodzi po ścianie i zatrzymuje się, jakby chciał posłuchać.

- Tak - odpowiedział w końcu. - Znam go. Brat August... ale nic o nim nie wiem. Jeśli jest to ten sam człowiek, to mieszkał tu przez dłuższy czas, dwa czy trzy lata, niepokonany przez cenę, jaką płaci się w tym miejscu. Mówił niewiele. Uczestniczył w modlitwach. A potem - to było bardzo zaskakujące - ten bandyta, który prowadzi ciężarówkę i dostarcza nam żywność, ten łotr przywiózł list do brata Augusta... Nigdy przedtem nic podobnego się nie wydarzyło, rozumie pan? List z Rzymu... Następnego dnia zniknął, odjechał razem z bandytą w ciężarówce. - Wzruszył ramionami.

- Zastanawiam się, czy myślimy o tym samym człowieku...

- Uderzający wygląd - odparł opat. - Jak mogę się mylić? Nie był podobny do nikogo stąd. Nie wymierzał sobie kary, po prostu jakby dbał o swój interes, przygotowywał się do czegoś. Zdziwiająco silny człowiek o bardzo łagodnym obejściu. Wykształcony. Czasami odchodził na pustynię na wiele dni, a potem wracał, bez problemu, zawsze sprawny... Czasami wydawał się niezniszczalny... bez ludzkich słabości...

- Tak. Brat August - powiedziałem. - To jest ten człowiek, z pewnością. - Opat sprawiał, że mówiłem w nienaturalny sposób. Nic nie mogłem na to poradzić. Czułem się jak aktor odczytujący rolę. Informacje o bracie Auguście dopadły mnie nieprzygotowanego. Walczyłem z tą myślą. Wreszcie wiedziałem coś o tym człowieku, a pojawiło się to znikąd. - Kiedy wyjechał?

- Czas - zadumał się opat. - Dwa lata temu. Chyba tak. - Znowu wzruszył ramionami na myśl o czasie i jego miarach.

Leżałem kilka godzin nie śpiąc i rozmyślając, że teraz coś o *nim* wiem. Tajemnica już nie jest taka głęboka i nieprzenikniona. Brat August. Dwa lata w tym piekle, a potem ktoś w Rzymie wzywa go... Wysyła z misją. Dwa lata później moja siostra, Lockhardt i Heffernan nie żyją. Dwuletnia podróż od Inferno do Nowego Jorku i Princeton. Czułem ogromne zmęczenie, ale obracałem w głowie fragmenty informacji, dostrzegając błysk ostrza noża, ślad, skrawek nieprzewidzianego dowodu. Byłem zbyt zmęczony i zbyt zaskoczony wątkami tej historii, zbyt zaciekawiony tym, co przyniosą owe wątki, jaka powstanie z nich tkanina, byłem zbyt znużony i zbyt podniecony by zasnąć, ale i za bardzo wyczerpany, by uporządkować góry faktów i zależności, które wznosiły się wokół mnie. W końcu zasnąłem bez snów. Budziłem się powoli, drżąc pod cienkim kocem. Moje plecy opierały się niewygodnie o drewnianą ramę łóżka. Obróciłem się powoli, próbując ułożyć się bez ściągania bandaża, nie godząc się na otwarcie oczu i przyznanie samemu sobie, że już się obudziłem. Najpierw wydawało mi się, że usłyszałem coś, szuranie na podłodze z ubitej ziemi. Jakie stworzenia pojawiają się nocą na pustyni? Nerwowa myśl przebiegła mi przez głowę: gdybym musiał wstać, to na co bym nadepnął? Szuranie ucichło, jakby to coś zrozumiało, że wyczułem jego obecność. W celi było prawie tak ciemno jak w grobie. Wąska szczelina w murze wpuszczała blask księżyca, który okazał się niewystarczający, kiedy już zmusiłem się do otwarcia oczu. Zastłona wisiała na drzwiach, a noc stała za nią.

Wtedy poczułem czyjś zapach. Zapach człowieka.

Włosy na moim karku podniosły się.

Ktoś był ze mną w celi.

Gdy moje zmysły zaczęły pracować, wolno, zbyt wolno, usłyszałem oddech - kogoś, kto próbował nie spowodować żadnego dźwięku. Zapach człowieka w przepoconym ubraniu zbliżył się jeszcze bardziej. Oddychanie stało się szybsze. Podchodził do mnie. Linijkę światła księżyca zastłonił zbliżający się kształt. Leżałem płasko na plecach, zobaczyłem w pamięci koszmar, ostrze spadające na mnie...

- Mam wycelowany w ciebie pistolet - wychrypiałem słysząc, że głos mi drży. Wszystko zatrzymało się: szuranie, oddychanie, wszystko poza zapachem. Bałem się czegoś bezimiennego i bez twarzy, ale wiedziałem, że to ksiądz, który przyszedł skończyć ze mną. Obserwował mnie przez cały czas, śledził mnie. - Dotknij mnie, draniu, a umrzesz... - blefowałem, by ocalić życie. Co za kiepski żart.

- To ja, brat Tymoteusz. - Głos był cichy i wysoki. - Bandażowałem panu plecy... nie musi się pan mnie bać. Proszę, niech pan odłoży pistolet. Mam świecę. Mogę zapalić? Muszę z panem porozmawiać.

Usłyszałem trzask zapalki na drasce; płomień zapłonął kilka stóp od mojej twarzy. Pojawił się wielki kształt. Brat Tymoteusz uśmiechnął się, jego podbródki opadły jak kaskada opadających ciast. Wyjąłem rękę spod koca, wycelowałem w niego palec i powiedziałem: „Bang, bang”.

Zachichotał jak ktoś próbujący udowodnić, że jeszcze pamięta, jak się to robi, ale zaraz jego uśmiech zgasł. Płonęła świeca. Tęskniłem za ciepłem prawdziwego ognia.

- Co mogę dla brata zrobić - spytałem - kiedy już jestem śmiertelnie przerażony?

- Musiałem sam z panem porozmawiać. Opat nie pochwaliby, że się wtrącam, ale muszę. To, co muszę panu powiedzieć - nie powiedziałem nawet jemu. Ale słyszałem historię, którą pan mu opowiadał, o człowieku nazwiskiem LeBecq i zobaczyłem jego zdjęcie... - Dyszał ciężko, jego twarz błyszczała od potu, mimo że było zimno. Oblizął wargi, podszedł do drzwi, wystawił głowę za zasłonę i wrócił. - On jest wszędzie - rzekł przepaszajaco. - Zawsze wszystko widzi. Różne historie się o opacie opowiada, historie o jasnowidzeniu... Nonsens, oczywiście, ale zastanawiam się, kim jest. - Zamyślił się jakby na śpiąco, a potem gwałtownie wrócił do rzeczywistości. - Nie wolno nam tracić czasu. - Otarł czoło szerokim rękawem i popatrzył na mnie błyszczącymi małymi oczkami.

- Proszę mówić dalej - powiedziałem, otulając się kocem.

- Widziałem LeBecq. Jest teraz na zewnątrz, na pustyni. Może się pan z nim zobaczyć. Zaprowadzę pana do niego. Zobacz pan sam.

Podążałem za jego ogromnym ciałem na zewnątrz, przez budynki klasztorne, mijając cele, w których mnisi jęczeli, chrapali i mamrotali przez sen. Światło księżyca pokryło scenerię lodem. Wiatr bez przerwy unosił piasek, miotając nim o skórę, wypychając do oczu. Przy bramie ogromny czołg wyglądał jak widmo rzucające dziwaczny cień z długą trąbą lufy.

Tymoteusz ruszył różnym krokiem, trzymając się ubitego piasku. Nie potrafiłbym ocenić odległości. Wcisnąłem tylko głowę w ramiona, szedłem za moim przewodnikiem i próbowałem udawać, że nie bolą mnie plecy. Minęliśmy wyciągnięte palmy, wepchnięte między zsuwające się wydmy. Po pół godzinie marszu Tymoteusz zatrzymał się i chwycił mnie za ramię.

- Tuż na wprost na płaszczyźnie za następnym wzniesieniem. Zaprowadzę pana prosto do niego.

Następną rzeczą, jaką zobaczyłem, gdy dotarliśmy na grzbiet wydmy, był samolot. Nie mogłem oderwać od niego wzroku. Widziałem go już na fotografii wiszącej w gabinecie LeBecq w galerii. Nieruchomy i srebrny, błyszczący od rosy w świetle księżyca. Nie dostrzegłem LeBecq. Co robił siedząc na pustyni, gdy mógł schronić się w klasztorze? Tymoteusz zsuwał się w dół po piasku, by dotrzeć do samolotu, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie. Skinął na mnie, coś zawołał, co wiatr pochłonał.

Schodząc ze zbocza wzniesienia, dostrzegłem LeBecq. Siedział na piasku, opierając się o koło przy dziobie. Nie zwracał na nas uwagi. Był środek nocy. Spał, a wszelkie dźwięki, jakie powodowaliśmy, tłumił wiatr.

Kiedy Tymoteusz stanął tuż przed LeBekiem, wskazując na niego i przynaglając mnie do pośpiechu, zrozumiałem, że coś nie jest w porządku.

Obszedłem skrzydło i zobaczyłem, że głowa LeBecq jest skrzycona pod dziwnym kątem. W jego skroni widniała czarna dziura, mały zagłębiony w dół krater. Niewielki pistolet kalibru 22 leżał na piasku obok jego dłoni. Miał otwarte usta, tworzące małe kółko. Owady piaszkowe wpełzały i wypęły z nich. Zobaczyłem, że dziura w jego skroni porusza się, ale to tylko były owady zwabione przez krew. Zaczynał puchnąć. Siedzenie w słońcu przez dzień lub dwa żadnemu ciału nie wychodzi na dobre. Jego peruczka przesunęła się trochę na bok od uderzenia kuli.

Pochyliłem się, zgarnąłem pistolet i wrzuciłem go do kieszeni marynarki.

Tymoteusz znalazł go w ciągu dnia, ale kiedy wrócił do klasztoru, zaczął się już pogrzeb, potem ja

zjawiłem się i cała reszta dnia upłynęła.

- Pański przyjaciel skończył ze swymi kłopotami - powiedział brat Tymoteusz. - Wielkim ciężarem musiały leżeć na jego głowie. Jak na dobrego katolika to zbyt... To zbyt złe. Muszę go zanieść z powrotem. - Pochylił się i pochwycił za klapy marynarki LeBecqa.

- Dałbym sobie teraz z nim spokój - stwierdziłem. - Całkiem dojrzał. Lepiej by było, gdybyśmy teraz sobie poszli i wrócili jutro, z kilkoma z was, by włożyć go do jakiegoś worka czy czegoś takiego, by nie wypadł.

- Ma pan rację. - Skinął wielką okrągłą głową. - Potem go pochowamy.

- A co z zawiadomieniem jego córki?

- Miał córkę? - Brat Tymoteusz popatrzył na księżyc. - Opat będzie wiedział co zrobić.

Wracaliśmy do klasztoru znacznie wolniej, niż gdy szliśmy w tamtą stronę. Obudził się jeden z psów i łaził dookoła, węsząc powietrze. Wydawał się zadowolony, że nas widzi. Przed oczami wciąż widziałem dziurę w głowie LeBecqa... Poczerniałe, przypalone włosy mojej siostry Val...

- Bracie Tymoteuszu?

- Tak, panie Driskill?

- To ja zabiłem tego człowieka na pustyni!

- Naprawdę?

- Zamordowałem go tak samo, jakbym to ja przycisnął pistolet do jego głowy. Byłem sprawcą jego koszmaru, uosobieniem wszystkich jego grzechów, wracających do niego, by go straszyć i nie opuściłbym go. Byłem jego wszystkimi lękami i grzechami, zapakowanymi w śliczną, schludną paczuszkę... Byłem przeznaczeniem spadającym z jasnego nieba, przed którym uciekł jak oszalały na pustynię... A potem usiadł, spojrzał swemu losowi prosto w oczy i zrozumiał, że jest tylko jedna droga uwolnienia się od wszystkiego...

- Czy był strasznym człowiekiem?

- Wcale nie.

- A teraz przez wieczność będzie się smażył w ognistym dole.

- Naprawdę w to wierzysz, Tymoteuszu?

- Tak mnie uczono.

- Ale czy naprawdę w to wierzysz?

- A czy pan naprawdę wierzy, że go pan zabił?

- Zabiłem go. Tak.

- Cóż, a ja wierzę, że będzie płonął przez wieczność w ognistym dole.

- To kwestia wiary, prawda?

- Wiara. To jest sprawiedliwie. Człowiek, który sam siebie zabija, płonie przez wieczność.

Może później spałem. Noc wydawała się ciągnąć bez końca. Zastanawiałem się nad wszystkim od początku i bez względu na to, jak zaczynałem, wynik był identyczny. Dla mnie ten biedny drań mógł nadal żyć. Może odezwało się moje katolickie sumienie. Myślałem o siostrze Elżbiecie, która zawiodła moje zaufanie, choć teraz nie wydawało się to takie istotne. Ona nikogo nie zabiła. Moja ostatnia myśl tej

nocy była o niej, potem moje sny też. Chciałem powiedzieć jej, co zrobiłem. Chciałem, by usłyszała moją spowiedź.

Czekałem na Abdula. Najpierw dostrzegłem chmurę pyłu, a potem usłyszałem chrzęst jego piekielnej maszyny, zanim zobaczyłem sam pojazd. Słońce paliło prosto z góry, nie dając cienia, tam gdzie stałem z moją torbą, osłaniając oczy ręką jak daszkiem. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny trwały wieczność. Czuję się jak trędowaty. Nikt nie pożegnał się ze mną, nawet brat Tymoteusz. Wiedziałem, że taki jest ich tryb postępowania, nic szczególnego, ale przez to moje odejście było bardziej samotne. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na to zapomniane miejsce, migające nierzeczywiście w gorącym powietrzu i wyglądające tak, jakby pewnego dnia mogło po prostu wyparować i nikt by nie opłakiwał ani jego, ani grupy przeklętych. Wsiadłem do ciężarówki, gdzie Abdul, mój wybawiciel, czekał na mnie, szczerząc do mnie zabarwione piaskiem dziąsła, a mokre cygaro zwisało mu w kąciku ust.

Ruszyliśmy w wiejący pył i piasek jak tonący holownik po burzliwym morzu. Po chwili spytałem go, czy pamięta mężczyznę, którego zabrał kiedyś, i opisałem mu brata Augusta. Skinął głową, splunął i powiedział mi, że nie ma nic za darmo, a z całą pewnością nie ma informacji. Dałem mu jeszcze trochę pieniędzy, a on wepchnął je do kieszeni koszuli i stwierdził, że jestem cholernie dobrym draniem. Nosił nędzną starą koszulę i słomkowy kapelusz z dziurą jakby po kuli. Roześmiał się jak bandyta, którym był, i podrapał pod mokrą pachą, prawie tracąc kontrolę nad ciężarówką.

Pamiętał siwowłosego mężczyznę. Zawiózł go do wioski nad Morzem Śródziemnym i tam zostawił. Nie widział go od tamtej pory. Zapłaciłem mu za nic. Ale nie miało to już żadnego znaczenia. Wiedziałem, co musiałem wiedzieć o bracie Auguście. Dostał rozkazy z Rzymu.

Gdy przedarła się przez okropieństwa domu Vespasiano Sebastiano i rozwiązania toskańskiego klasztoru *assassini*, siostra Elżbieta lękała się wrócić do *fondo* o nuncjaturze w Wenecji. Było przytłaczające przez opisy zła i rozlewu krwi. Zastanawiała się właśnie, jaki zrobić krok, by rozwiązać problem Tajnych Archiwów, gdy wśród papierów znalazła kartkę z notatnika Val z zapiskiem, który wydawał się prostym szyfrem, ale nie do złamania. Nigdy przedtem nie zwróciła na niego uwagi. Zrobiła to teraz.

TA WW IV PDZ. PO. PBF.

Elżbieta nagryzmoła litery na osobnej kartce. Przepisywała je wielokrotnie, próbując myśleć o Val. O co jej chodziło? Zasypiała myśląc o szyfrze. Budziła się rozważając litery w głowie. Nie mogła pozbyć się ich z pamięci. Były jak numer telefonu kochanka, wybity w sercu. Uśmiechnęła się na wspomnienie chłopaka z college'u. Równie dobrze mógłby żyć w epoce renesansu, być współczesnym księżęciem, o których teraz czytała. Tak dawno, dawno temu, przeminęło. Prehistoria.

Zaczęła rozmyślać o literach szyfru w czasie spaceru po Watykanie.

Powiedzmy, że TA oznacza Tajne Archiwa. A potem zaczęła się domyślać, co oznaczają litery WW. Poszła do monsignora Petrelli, prefekta, i poprosiła go, by zaprowadził ją do Wieży Wiatrów.

Kiedy dotarli do eleganckiego pokoju ze znakami zodiaku na podłodze, Petrella rzucił niespokojne spojrzenie na półki.

- Rozumiecie, siostrze, iż rzadko się zdarza, by zostawiać tutaj kogoś, kto może grzebać w *buste*. Nigdy, bez względu na cele i powody, nie było to praktykowane. Ale dla siostry Valentine zrobiono wyjątek. Przyjaciółka nieboszczyka pana Lockhardta... - Wzruszył ramionami i powiedział resztę. - Był takim dobrym przyjacielem dla nas, pracowników Archiwów. Ten sam wyjątek uczynimy dla siostry.

- Jestem waszą dłużniczką, monsignor. Val spędziła tu dużo czasu, prawda?

- Tak, wydawała się mieć - zaraz, jak ona to powiedziała? Ach, tak, powiedziała, że odkryje tu złotą żyłę.

- No to ja znajdę swoją, monsignor, jeśli mi się uda. Monsignor Petrella skinął głową i uśmiechnął się blade. Została sama i obejrzała pokój, próbując zrozumieć resztę szyfru Val. Może nie miał nic wspólnego z Wieżą Wiatrów, a może miał.

Nie potrafiła odszukać rzymskiej cyfry IV, która wydawała się istotna. To zatrzymało ją na jakiś czas. Czwarta szafa? Czwarta od lewej czy prawej? Trzeba ustalić, która jest pierwsza, by znaleźć czwartą...

Spędziła kilka godzin, szukając bezowocnie w teczkach, co skończyło się tak, że zrezygnowała spocona, zakurzona i zniechęcona.

Może w ogóle była na mylnym tropie? Zastanawiała się, czy Driskill miał tyle sama zabawy co ona, grzebiąc dookoła Aleksandrii na innym tropie zostawionym przez Val. Zabawa! Pomyślała o jego raniu, a potem zmusiła się, by przestać o nim myśleć.

Przedzierała się w dalszym ciągu przez materiał, szukając czegoś, czegokolwiek. *Assassini*. To

był jej cel, musiał być, to wszystko, co miała. *Assassini* i pięciu martwych mężczyzn z listy Val. Pięciu martwych, ale jeden wciąż żył. Erich Kessler. Dlaczego Val uważała, że zginie jako następny?

Wciąż bez celu przeglądała teczki, wąpiąc teraz, czy jest jakiś sens w tym, co robi. Przeczesała bez końca skrawki i karki papieru, mając nadzieję, że odkryje następną informację o *assassini*. W sercu wiedziała, iż to bezsensowna robota. Równie dobrze mogła tego nie robić. Jeszcze kilka zmarnowanych dni, to co? Świat nie przestanie się kręcić.

Wstała, otrzepała się, tak jak pewnie Val robiła to przed nią, i podeszła do okna. Patrzyła na Watykan, nagle nieświadoma, który to dzień tygodnia, niepewna, czy uczestniczyła we mszy kilka godzin wcześniej, a może to było wczoraj? W owej chwili utraty samokontroli wyprowadziło ją z równowagi uświadomienie sobie, jaką wartość dzieliła z Val - szczególną umiejętność zatopienia się w pracy aż do wyłączania się ze świata zewnętrznego. Tak zawsze się z nią działo, od dzieciństwa. Praca zawsze była na pierwszym miejscu w jej życiu. Natomiast Val potrafiła ogarnąć więcej. Poświęciła się zawodowi nawet bardziej wymagającemu niż zajęcie Elżbiety, ale również znalazła sposób, by dać sobie radę z Curtisem Lockhardtem. Ale to było postępowanie Val, życie Val. Elżbieta poczuła wiatr na twarzy wiejący przez okno, ciepło słońca. Nie była Val i nie mogła żyć jej życiem, tak jak ona. Musiała pogodzić się z ograniczeniami, które narzuciła swojemu życiu - powstrzymującemu przed... Nagle pomyślała o innym sposobie odgadnięcia szyfru Val.

Zapomnieć o IV. Przejść do PDZ. Jedyne PDZ, jakie znała to skrót dla południowego zachodu. A pokój w wieży był zbudowany według znaków zodiaku i kompasu. Ustaliła kierunki i odwróciła się ku południowemu zachodowi. Tam, ściśnięte między szafami, stało małe pudełko ze skórzanymi paskami, przypominające pudło na męskie kapelusze z dziewiętnastego wieku. PO. Pudło. *Val!*

PBF.

Rozwiązała rzemyki i ostrożnie podniosła twardą skórzaną pokrywę.

Tam, schludnie zapakowany w osobny karton, leżał oryginał maszynopisu dzieła Pryce Badell-Fowlera *Władza i polityka Kościoła* z 1934 roku. Najwyraźniej przez połowę wieku pozostało ono nieskatalogowane i przemknęło przez oka sieci zasady stuletniego zakazu. Upchnięto je w niepozorne małe pudełko, zostawione, by gromadziło kurz i zostało znalezione przez przyszłego naukowca lub pracownika, który się jeszcze nie urodził.

Uklęknęła przy pudełku, wyjęła maszynopis, wpatrywała się w nazwisko. Pryce Badell-Fowler. PBF. Zamordowany we własnej zmodernizowanej stodole pod Bath ledwie sześć miesięcy temu. Jeden z pięciu...

Przypięte spinaczem do strony tytułowej dwie kartki z papeterii autora, jego nazwisko zwyczajnie wydrukowane na górze kartki, a pod nim tylko *Bath, Anglia...*

Pierwsza kartka nosiła datę 4 stycznia 1931. Był to list do papieża Piusa XI, najwyraźniej dziękczynny list, dziękujący jego świątobliwości za umożliwienie „dostępu do pewnych materiałów, do tej pory nietkniętych przez uczonych”.

Drugi list datowany 28 marca 1948 i adresowany do papieża Piusa XII stwierdzał, że autor musiał tylko zrobić „jeden lub dwa ostatnie kroki, by zakończyć drugi tom. Jak Wasza Świątobliwość dobrze

wie, musiałem skonfrontować kwestię wykorzystania w przeszłości przez Kościół zawodowych zabójców do prowadzenia polityki. Doceniam powściągliwość Waszej Świątobliwości w rozważaniu tych spraw w przypisach, ale jestem równie wdzięczny za otwartość w naszych mniej formalnych rozmowach. Nie muszę chyba dodawać, iż w pełni doceniam drażliwość, która pojawia się, gdy prześledzimy tę kwestię w naszym wieku, jak choćby w sprawie zmarłego Benito Mussoliniego. Mogę mieć tylko nadzieję, że Wasza Świątobliwość w swej ogromnej mądrości zrozumie również potrzebę kontynuowania moich badań.”

Listy były oknem w przeszłość. Zahipnotyzowana przez prawie dotykającą obecność Anglika w pokoju, zaczęła czytać, przebiegając wzrokiem, przerzucając kartki, przeskakując. Pod koniec maszynopisu znalazła...

Mało jest wiadomo, gdyż brakuje źródeł o assassini - pisał Badell-Fowler. Przedzierają się przez ciemniejsze rozdziały historii średniowiecza i renesansu jak nieszczęsne dzikie psy, kręcące się na przedmieściach Rzymu, znane z tego, że od czasu do czasu ucztowały, pożerając mięso nieostrożnych, zniedołężniałych, słabych w nogach albo tych, których odwaga zrodziła się z błędnej wiary w ich własną niezniszczalność.

Niektórzy z tych łotrów i zbirów pozostawali do śmierci związani z papieżami: byli zabójcami papieża, zgodnie z tymi nielicznymi pisanymi świadectwami, które ocalały mimo zdecydowanych wysiłków Kościoła, by usunąć ich z historii. Chociaż uparcie powtarzają się pogłoski, że dokumenty takie istnieją ukryte głęboko w zatęchłych celach w pewnym niedostępnym klasztorze, żaden z nich nie wyszedł na światło dzienne za ludzkiej pamięci.

Assassini papieża najprawdopodobniej pojawili się w okresie, gdy Kościół w całkowitej tajemnicy budował i umacniał władzę Stanów Papieskich. Wczasach nadzwyczajnie skorumpowanych i splamionych krwią pontyfikatów papieży Sykstusa IV, Innocentego VIII i w końcu Aleksandra VI, ojca Cesarego Borgii, assassini rozkwitali, torturując i mordując politycznych wrogów papieżstwa, nie tylko w Rzymie, ale nawet w najdalszych miastach-państwach Italii.

Dokonywali swej morderczej pracy trucizną, sztyletem i przez uduszenie. Do ich licznych ofiar należały rodziny rzymskie Collona i Orsina, które próbowały podkopać autorytet Kościoła, tak by ich władza i wpływy wzrosły. Obie rodziny były zdziesiątkowane przez assassini i w końcu zmuszone do ucieczki, zanim zostały całkowicie zmiecione - mężczyźni, kobiety, dzieci.

Twierdzono, że nie istniała w zachodniej kulturze straszniejsza i bardziej fanatycznie oddana tajna organizacja. Assassini ryzykowali wszystko w służbie papieża. Nie można ich mylić ze zwykłymi łobuzami ulicznymi, jacy przebiegali ulicami Rzymu prawie niekontrolowani ani mordercami do wynajęcia, zatrudnianymi przez wszystkich - poza najbiedniejszymi rodzinami - którzy potrzebowali, aby kogoś zamordowano w ich imieniu. Assassini byli z materiału o zupełnie innej jakości: często wysokiego urodzenia, czasami nawet książęta i członkowie kleru, którzy kupili sobie urząd ze wzbudającą grozę, arogancką łatwością, a niekiedy klerykalni fanatycy, uważający swoją pracę za ostateczną służbę, jaką można wykonywać dla Kościoła.

Twierdzi się, że jednym z najprzedniejszych assassini musiał być nikt inny jak bastard Ludovica Sforzy, ważniejszy mąż stanu Mediolanu. Gdy różne miasta-państwa połączyły się z Rzymem i wspierały go finansowo, lista dotująca skarbiec assassini wydłużyła się... Zawsze w absolutnej tajemnicy. Bardzo często assassini rekrutowali się z szeregów nieślubnych synów albo drugich czy trzecich synów wielkich rodzin. Nierzadko podszywali się pod członków kleru, by wykonać jakieś specjalne zadanie. Najwyraźniej ich liczba rosła szybko. Stany Papieskie musiały być chronione za wszelką cenę.

Nie tylko Cesare Borgia przebiegał nocą ulice z uzbrojoną strażą żądną krwi, wymierzając zemstę w imię Kościoła. Inni też szli za jego przykładem.

W czasie pontyfikatu łagodnego papieża Juliusza II obecność assassini zaczęła się zmniejszać. Weszli w coś w rodzaju zaćmienia między pęknięciami w historii. Przez kilka stuleci słyszano o nich sporadycznie, jedynie w czasach, gdy Kościołowi groził rozpad.

W czasie Inkwizycji w środkowych Włoszech assassini wrócili na powierzchnię i przez jakiś czas samo wymówienie tego słowa wywołało strach i drżenie wśród wrogów papieskiej polityki.

Kiedy Inkwizycja się skończyła, zniknęli. Ponownie usunęli się, odeszli w ciemność, skąd przyszli, gdzie wciąż leżą nieruchomi, w mroku i smrodzie, czekając.

Elżbieta nic więcej nie znalazła o *assassini*, tylko krótką notatkę, z której wywnioskowała, o czym miał być drugi tom. Ocena Badell-Fowlera była oczywiście możliwa do zakwestionowania, ale jaka praca historyka Kościoła nie była? Historia Kościoła okazała się po wódzią przeciwstawieństw wynikających z samej jego natury: opowieści zostały zniekształcone przez płomień zazdrości, zemstę i długo trwające rodzinne waśnie. Elżbieta przeżyła ciężkie chwile, wyobrażając sobie Cesarego Borgia biegnącego ulicami śliniącego się z pragnienia krwi, gdy dla niej do tej pory był jednym z najzdolniejszych i najbardziej cywilizowanych ludzi swej epoki. Odnaleziony tekst brzmiał dla niej tak, jakby Badell-Fowler niesłusznie wybrał wszystko złe, co o Hiszpanii napisała ówczesna włoska prasa. Lepiej spojrzeć na Cesarego tak, jakim był, model dla „Księcia” Machiavellego.

Powtarzający się wątek *assassini* autentycznie ją zafascynował.

Odwracając ostatnią kartkę maszynopisu, znalazła notatkę napisaną odręcznie przez Badell-Fowlera czarnym atramentem, mocnym, śmiałym pismem. Była tajemnicza, ale kontekst znajdował się obok.

1949.

Ilu z nich tam było? Wszyscy zginęli? NIE!

Działalność czasu wojny.

Simon dowódcą?

Spisek Piusa...

Zdradzony przez...?

Elżbieta próbowała siedzieć spokojnie i uspokoić serce. Nie wiedziała, co te słowa znaczą, ale czuła się tak, jakby znalazła się między nimi - *assassini*. Val je czytała przed nią; obecnie to ze sobą

dzieliły.

Teraz sztuka polegała na tym, by przeżyć. Została wessana przez wir, gdzie kler był rekrutowany do popełniania morderstwa - Dunn mógł trafić w sedno, kiedy znalazł oderwany kawałek czarnego płaszcza przeciwdeszczowego. Człowiek, który zabił Val, który wyłonił się w nocy, by spróbować zabić Bena - mógł być księdzem, a nie kimś w przebraniu! Badell-Fowler wierzył w to, Val musiała o tym wiedzieć, a teraz Elżbieta prawie czuła ich obok siebie, naciskających na nią, oferujących pomoc, jaką mogli zaoferować. Poczucie wspólnoty z Val wydawało się prawdziwe, jakby uświęcone.

Przepisała listę Badell-Fowlera.

Siedziała spokojnie słuchając cichego, monotonnego mruczenia wentylacji, prądów suchego powietrza szumiącego w niezliczonych kartkach papieru, pulsu Tajnych Archiwów.

Badell-Fowlera zabito ze względu na jego wiedzę o *assassini*. Praca całego życia została zniszczona przez ogień. Nie, dobry Boże, nie wszyscy umarli, nie w 1949 i nie teraz. Coś spowodowało, że ten stary człowiek, ocalały po tylu latach, musiał zostać zabity...

Powoli przez jej twarz przemknął zamyślony uśmiech.

Nie miała pojęcia, czego dowiedział się Ben Driskill, gdziekolwiek był. Ale to ona ściągnęła *assassini* z powrotem z miejsca, w którym byli pogrzebani. Umieściła ich w dwudziestym wieku, gdzie ponownie poszli do pracy.

Teraz, do cholery, mogła ich zapakować i wręczyć Benowi Driskillowi. Mogła mu udowodnić, że jest inna, niż uważał, że nie była nigdy nielojalną, bezmyślną papistką trzymającą się partyjnej linii, która połknęła swoją teologię zakonnicy i nie obchodziło jej nic poza Kościołem, Kościołem. Zmusi go, aby zrozumiał, iż ona chce odnaleźć zabójcę Val tak bardzo jak on. Zdecydowała się przecież na poszukiwania, dokądkolwiek mogły zaprowadzić.

To była dziecinna reakcja, dziecięcy triumf, ale niech tam. Przeżyje to. Tak długo, jak może mu udowodnić, że mylił się co do niej.

Musiała o tym komuś opowiedzieć. Kto jest lepszy niż najbliższy sprzymierzeniec w hierarchii Kościoła? Gdyby Val jeszcze żyła, gdyby zbudowała taką sprawę ku własnej wymagającej satysfakcji, bez wątpienia zwróciłaby się do samego Świętego Jasia.

Zadzwoiła do Sandanato, powiedziała mu, że odkryła coś naprawdę ważnego w materiałach, które czytała Val, i że musi przedyskutować to z kardynałem D'Ambrizzim. W ciągu godziny porozumiał się z nią w biurze. Jego Eminencja zmienił swoje plany na wieczór i sprawiłaby mu przyjemność, gdyby przyłączyła się do kolacji spożywanej w jego prywatnym apartamencie w Watykanie.

Godziny poprzedzające spotkanie spędziła przygotowując sprawozdanie, które chciała wygłosić. W tak zmaskulinizowanym świecie była na wyraźnie niekorzystnej pozycji: mogła zniszczyć swoją sprawę, jeśli by nie była ostrożna. A wystarczyłaby kobieca wylewność, coś w rodzaju niedbałego, zdyszanego entuzjazmu. Byliby szczęśliwi, mogąc ją skreślić. Nie dlatego, że nie lubili czy nie ufali jej, ale dlatego, iż taki posiadali instynkt i sposób myślenia: była kobietą, zakonnica, a zatem nikim, kto się naprawdę liczy. Takie podejście nawet jej nie złościło. To było dane. Musiała z tym żyć. Tak więc spisała

swoje odkrycia, złożyła kartki i narzuciła sobie chłodny, analityczny porządek w opowiadaniu.

A teraz kardynał i Sandanato wysłuchali jej. Sprzątnięto już talerze po kolacji. D'Ambrizzi wydawał się bardzo skupiony w czasie całego opowiadania, przyglądając się jej spokojnie spod ciężkich, pomarszczonych powiek. Sandanato był równie spokojny, prawie nic nie zjadł z doskonałego posiłku, przygotowanego przez ulubionego szefa kuchni kardynała. Zawsze sprawiał wrażenie, że żyje nerwami i paleniem papierosów. Kiedy skończyła i podniosła do ust filiżankę z kawą, kardynał zadarł w górę masywną brodę i przemówił.

- Wydaje mi się, siostrze, że przypominam sobie niezły spór, jaki wywołał ten twój Badell-Fowler, dawno, dawno temu. Po wojnie. - Powoli okręcał koniak w kieliszku, wdychając jego zapach. Sandanato zapalił cygaro, rozcierając zmęczone oko palcem. - Napisał coś, co łączyło Kościół z wywiadem Mussoliniego. Cóż za tajemnica! Ale czego można się spodziewać po Angliku?! Czy nie krytykował również niemieckich powiązań Piusa XII? Trzymania się za rączki z hitlerowcami, plotek o grabieży dzieł sztuki? Niektórzy uznali to w owym czasie za materiał wybuchowy i stał się raczej niepopularny w uświęconych okolicach. - Zachichotał głośno. - Zatem? - Wzruszył ciężkimi ramionami. - Ciszka. Takie uprzykrzone muchy mają sposoby na zniknięcie. W każdym razie wszystko wydaje się być raczej starą nowością. Nic strasniejszego jak stary skandal.

Siostra Elżbieta pochyliła się z napięciem.

- Ale odkładając na bok to, co ludzie myśleli i co robili wtedy, Eminencjo, Badell-Fowlera zamordowano kilka miesięcy temu, a jego praca, wszystko, co mogło wejść do jego drugiej książki, książki o *assassini* - wszystko to spalono na popiół. Był starym człowiekiem, ale nie mogli czekać, aż umrze. Musieli go zabić *teraz*. - Wzięła głęboki oddech, szukając jakiegoś śladu łaskawości w jego twarzy. Nie dostrzegając żadnego mówiła dalej. - Stare skandale stają się czasami częścią akceptowanej prawdy. Nikt by nie zaprzeczył, że niektóre z mniej szlachetnych opowieści są całkiem prawdziwe. Kościół był aż po same uszy zanurzony w podobnych sprawach w czasie wojny...

- Moja droga - powiedział D'Ambrizzi łagodnie. - Kościół zawsze stał jedną nogą w gnoju, tak jak wszyscy inni. I zawsze byli w nim wielcy i dobrzy ludzie. - Spojrzał na monsignora. - Nic interesującego, takie przypadki, nie zgadzasz się ze mną, Pietro? Wszyscy znali takich ludzi... a Kościół zawsze jest tylko sumą ludzi. I kobiet, oczywiście.

- Nikt do końca nie wie, co spłonęło w czasie pożaru - stwierdził Sandanato. - Dlaczego czekałby aż tyle dziesięcioleci, jeśli miał do przekazania coś tak dramatycznego, jak to sugerujecie, siostrze?

- Nie mam pojęcia. Pracuję nad tym, ale wiem tylko tyle. *Wiemy*, że Badell-Fowler chciał poznać całą historię *assassini*. *Wiemy*, że padł ofiarą morderstwa... i *wiemy*, że jego praca została zniszczona. Wierzę, iż ta praca była także celem, jak i sam człowiek. Nie widzicie tego obaj? Czy to ja oszalałam? - Pokręciła głową. - Nie, ja tego nie wymyśliłam... Ci wszyscy ludzie, włączając w to siostrę Val, naprawdę zostali zabici. W ciągu niecałych dwóch lat. Czy to możliwe, żeby nie byli ze sobą powiązani?

- Z pozoru wydawałoby się to nieprawdopodobne. - Kardynał wyglądał na zadowolonego, że dalej prowadzi dyskusję. Nie zmuszał jej do zamilknięcia. - To ten pomysł z *assassini* sprawia, że stają się sceptyczny...

- Ale - powiedziała - *ktoś* musiał wiedzieć, że Badell-Fowler ma stodołę pełną dynamitu... wybuchowego, bo wskazywał na nich. Czy to jest takie naciągane? Po co w takim razie zabijać go i niszczyć dowód? Val była o tyle bystrzejsza ode mnie - więc jeśli ja zabrnęłam tak daleko, to dokąd ona dotarła? Została zabita z tego samego powodu co Badell-Fowler... mniej więcej. Co ja bym dała, żeby zobaczyć, co zebrał! - Powściągnęła cugle swojego entuzjazmu, nie chciała, by teraz wybuchnął. - Jeśli wyśledził *assassini* w tym stuleciu... Jeśli wymienił nazwiska, nazwiska zabójców wewnątrz Kościoła... - Usiadła z powrotem na ciężkim, ozdobnie rzeźbionym krześle. - Pomyślmy o tym! Mordercze działania wewnątrz Kościoła, sterowane z wewnątrz Kościoła. Co prowadzi nas do ostatecznego pytania, prawda? Sterowane przez kogo? - Odstawiła filiżankę z kawą i ostrożnie podniosła koniak do warg. Upiła łyk, by przestać mówić.

- Biedni, starzy *assassini* - D'Ambrizzi zamyślił się, kręcąc ogromną głową. - Krzepkie stare straszdyła. Chłopiec do bicia w historii Kościoła. Szczerze mówiąc, przyznaję się do wątplenia w istnienie drugiego tomu dzieła Badell-Fowlera. Kręciłem się w tych okolicach dość długo, więc wydaje mi się, że usłyszałbym o takiej książce - ja też mam swoje źródła, zgodzi się siostra ze mną? Nie, siostrze, to starożytna opowieść i w ogóle wątpliwa.

Nie chciała rozpoczynać kłótni z kardynałem, ale niech ją diabli, jeśli pozwoli to tak zostawić.

- A co z tym Simonem Verginiusem? Kim był? I kiedy żył? Mówicie mi, że Badell-Fowler to po prostu głupiec?

- Łatwowierny, siostrze. Był po prostu łatwowierny. Znajdował fakty, które chciał znaleźć. Nie jest to taka niespotykana wada wśród pewnego gatunku historyków. Lub dziennikarzy, jeśli już o tym mówimy. A jeżeli chodzi o Simona... pozwólcie mi o nim sobie opowiedzieć. Byłem tam, rozumiecie. Simon stał się wygodnym mitem, kimś w rodzaju Robin Hooda w tamtych hitlerowskich dniach w Paryżu. Miał tuzin tożsamości, setki czynów mu przypisywano, spełniał rolę bohatera do wszystkiego, lecz który nie mógł wykonać ani jednej dziesiątej z tego, co o nim mówiono. Nie był jednym człowiekiem, był wieloma. Niektórzy odważni, inni prawdopodobnie kryminaliści, ale za to wszyscy pozostali anonimowi... Mężczyźni, którzy robili to, co czasami robi się w czasie wojny... Wasz Badell-Fowler natknął się na wspomniane opowieści i spodobały mu się. Wielu to się przytrafiało przez lata. Niech mi siostra wierzy, byłem tam.

- Oczywiście - wymruczała potulnie. - A *assassini* są mitem?

- To było tak dawno temu, że nie ma znaczenia. - Uśmiechnął się dobrotliwie.

Zagryzła wargi, zacisnęła dłonie w pięści.

- Ale *teraz* są ofiary morderstw - odparła cicho, wyobrażając sobie, że może równie dobrze rzucić to z piersi teraz, bo druga okazja pewnie się nie trafi. - To nie jest mitologia. Jeśli, powtarzam, *jeśli* było coś w idei *assassini*, to czy ostatecznie morderstwa nie byłyby robotą dla nich? - Wyczuła, że Sandanato odwrócił spojrzenie, studiując unoszący się dym z cygara, jakby nie chciał, by go łączono z jej irytującą teorią. - Czy moje słowa kłócą się z hipotezą, że morderca z Nowego Jorku i Princeton był księdzem? Posłanym przez kogoś z kręgów Kościoła?

- Tak, tak - warknął D'Ambrizzi, tracąc natychmiast oblicze dobrodusznego spokoju. - Ale jeśli

pochodziłoby to z kręgów kościelnych, musiało by brać swój początek z tak wysoka, od kogoś z takim autorytetem... Nie sposób uwierzyć, siostrzo.

- A czy nie jest prawdopodobne, że to jakaś grupa odszczepieńców? Oparta na dawnych *assassini*! Fanatykach? Ktoś gotowy rządzić za pomocą strachu, kto po prostu potrzebuje ludzi gotowych zabijać...

- Gdzie, siostrzo? - zapytał Sandanato. - Gdzie znajduje się takich ludzi? Dlaczego ktoś chciałby, by zabijali? Dlaczego byliby gotowi zabijać? Wydaje mi się, że to zbyt fantastyczne wyjaśnienie...

- Nie ma nic fantastycznego w zamordowaniu ośmiu osób - ciągnęła z uporem. - Ktoś ich zabił. Ktoś ubrany jak ksiądz zabił przynajmniej niektórych z nich, jeśli nie ich wszystkich, do cholery...

- Powiedzmy, że Badell-Fowler został zabity z powodu swojej pracy o *assassini* - odrzekł Sandanato. Jego oczy dosięgły ją przez dym. Czuła się tak, jakby jej dotykał. - A co z pozostałymi czterema mężczyznami? Nie mieli żadnego związku z *assassini*. Dlaczego zostali zabici? - Zmarszczył brwi, gładząc wargi. - Budujesz ogromny spisek szczególnego rodzaju. Pytam ciebie, co mogłoby być tyle warte? Co mogło mieć związek z tym Simonem Verginiusem i *assassini* sprzed czterdziestu lat? Co mogło być takie ważne?

Zerknęła ukradkiem na kardynała.

- Kto wie? - Pomyślała, że zaryzykuje. - Może wybór nowego papieża...

Przy stole zapadła cisza jak gęsta mgła. Do cholery, chyba posunęła się za daleko! Wyjątkowym nietaktem było wypowiedzenie tej uwagi przy samym D'Ambrizzim, prawdopodobnie głównym kandydacie do papieżstwa, teraz wpatrującym się w nią.

Twarz kardynała w końcu złamała się w charakterystyczny dla niego uśmiech.

- Zupełnie jak Val - stwierdził. - Siostrzo, muszę przyznać, że jesteś myślicielką. Prawdziwy Machiavelli - uważam to za komplement. Rozumiem teraz, dlaczego siostra Valentine tak bardzo ceniła sobie twoją przyjaźń.

Sandanato nalał jeszcze kawy do maleńkich filiżanek. Płomienie świec migotały poruszane podmuchem wiatru wpadającym przez otwarte okna. Rozmowa odbiegła od misji Elżbiety, a ona zrozumiała, że chwila minęła. Nie wiedziała, co ma myśleć o ich reakcji: najwyraźniej ich sceptycyzm co do teorii konspiracji wewnątrz Kościoła był częścią sposobu myślenia. Do jakiego stopnia podrażniła ich zainteresowanie? Gdy rozmowa przybrała inny kierunek, pobiegła swoją drogą, Elżbieta rozejrzała się dookoła, próbując skoncentrować się na *myśli* wykluwającej się gdzieś w tyle głowy.

Apartament kardynała w Pałacu Apostolskim był wyraźnie barokowy, pełen bezcennych antyków i obrazów pędzla kilku mistrzów włoskich. Tintoretto, podarowany przez Piusa za zasługi w czasie wojny, pysznił się w jadalni.

Napięcie wywołane opowieścią przyniesioną przez Elżbietę z Tajnych Archiwów opadło. Kardynał zanurzył się w historię, jego umysł przebiegał ścieżkami początków. Pozwolił sobie na dryfowanie w okolicach bardziej krwawych aspektów historii Kościoła, czerpanie z niezgłębionych zapasów anegdot. Gdy słuchała, pomyślała, że miał rację mówiąc o dwoistości Kościoła - zawsze w błocie, zawsze patrząc w gwiazdy. Twarz Janusa. Val nazywała to twarzą Janusa Kościoła rzymskiego.

D'Ambrizzi mówił o Cesare Borgii i *assassini*, których ten wykorzystał raz, a potem znowu, aż

udało mu się spowodować uduszenie męża Lucrezii w łóżku późnym latem 1500. Opowiadał tak, jakby był przy tym, jakby był powiernikiem Borgiów. Morderstwo zostało wymuszone przez politykę, miało na celu uwolnienie jego siostry z jednego małżeństwa, aby mogła wstąpić w następny związek - bezgranicznie ważny, z Alfonso d'Este, dziedzicem księstwa Ferrary. Związek tak rozpoczęty okazał się być sukcesem, a dla Lucrezii drogi Cesare wyprawił niezwykłą ucztę pożegnalną w Zaduszki 1501.

- Niezła uczta - powiedział kardynał z zamkniętymi oczami, jakby przywołując wspomnienia. - Pięćdziesiąt nagich kurtyzan tańczyło dookoła, podnosząc kasztany z podłogi zębami, gdy mężczyźni brali je na miejscu. W każdym razie wszystko się ułożyło całkiem nieźle, oczywiście dla wszystkich poza martwym mężem. Cesare udało się zająć ziemie rodziny Colonna; zamknąć Orsinich w więzieniu i wżenić w rodzinę d'Este z Ferrary. - Powoli otworzył oczy. - Nie był to człowiek, którego można by lekceważyć.

Siostra myślała o nagich kurtyzanach i kasztanach, kiedy słuchała i usłyszała ostatnie zdanie. *Me był to człowiek, którego można by lekceważyć...*

- Ksiądz, który zabił Val i próbował zabić Bena Driskilla - przerwała, zapominając zupełnie o manierach. - Człowiek z siwymi włosami i w okularach...

D'Ambrizzi zwrócił ku niej twarz, pobłaźliwie.

- Tak, siostro.

- On jest w odpowiednim wieku - bardzo sprawny, ale w pasującym wieku. On jest jednym z nich... Jestem pewna, czuję to... Cała ta rozmowa o Badell-Fowlerze i *assassini* czasów wojny - nie rozumiecie? To wszystko pasuje... Simon Verginius, który dla Badell-Fowlera był ich dowódcą! I to jeszcze nie wszystko. A spisek Piusa w jego notatkach? Pomyślcie o Piusie - jakim stał się draniem, czy mógł nim nie być, przy tych wszystkich Niemcach w jego życiu, tych podłych Niemcach... Cóż, Pius wykorzystywał *assassini* w czasie drugiej wojny światowej - prawdopodobnie; by pomóc hitlerowcom w tym, o czym wspominaliście, Eminencjo, w grabieży dzieł sztuki! To pasuje, prawda? Warto to przemyśleć, czyż nie?

Siedziała tam, uśmiechając się do nich, dość daleko za granicami przyzwoitości, które sobie wyznaczyła i nigdy nie przestała się o nie martwić. No może nie przez minutę, czy dwie. D'Ambrizzi i Sandanato wpatrywali się w nią, a potem popatrzyli na siebie, nie mogąc znaleźć dobrej odpowiedzi.

Val byłaby taka cholernie z niej dumna!

Kalikst obudził się z niespokojnego snu dobrze po północy i leżał w mokrych prześcieradłach, pocąc się. Głowa go trochę bolała, nic z czym nie mógłby dać sobie rady, Bogu niech będą dzięki. Obserwował księżyc przez okno tuż przed nim i uświadomił sobie, że jego białe, zimne oddalenie, absolutny brak zaangażowania, nakłoniły go do myśli o śmierci. Teraz było trudno nie myśleć o śmierci. Ale nawet przed chorobą śmierć pozostawała stale obecna w jego życiu księdza. Od tak dawna, odkąd pamiętał, zawsze chodził na pogrzeb kogoś z kleru. Taka praca.

Trzydzieści lat temu był bystrym, ambitnym monsignorem w Watykańskim Sekretariacie Stanu, dokładnie w samym epicentrum wstrząsu Kościoła, gdy Pius XII w końcu umarł. Kolosalna śmierć jak kataklizm przygotowana dla ciebie! W ciszy swojego pokoju, oświetlonego jedynie blaskiem księżyca,

Kalikst usłyszał własny śmiech. Mój Boże, co to były za czasy!

Pius był ostatnim ze staromodnych papieży: arogancki, autokratyczny, gardzący tym, co inni mogliby nazwać przyzwoitością. Monsignor Salvatore di Mona uważał go za sztywnego, w dziwacznym sposobie moralnego bankruta, i najprawdopodobniej szaleńca. Podlego w świetle jego zachowania w czasie drugiej wojny światowej, którą bardzo młody Sal di Mona spędził częściowo w okupowanym Paryżu. I szalonego, biorąc pod uwagę „wizje”, które Pius miewał w późniejszych latach.

Po śmierci starego drania monsignor di Mona, jako wschodząca osobowość w Kurii, był wystarczająco blisko rozśmieszających okropieństw przygotowań do pogrzebu, żeby ich nigdy nie zapomnieć. To wystarczyło, by przekonać go, że nigdy nie wiadomo, kiedy będzie trzeba zapłacić za swoje grzechy. W przypadku Piusa rachunek przyszedł późno, przedstawiony w kilka godzin po ostatnim oddechu.

Piusa dobrze znano w Watykanie z tego, że żył ponad jego normalny przydział dzięki wsparciu szwajcarskiego gerontologa - doktora Paula Niehansa, protestanta, na miłość boską, który zaliczał do swoich pacjentów króla Jerzego V, Konrada Adenauera i Winstona Churchilla. Wszyscy byli leczeni zgodnie z terapią Niehansa żywą tkanką, do której należały zastrzyki z dokładnie oczyszczonej tkanki ze świeżo zabitych jagniąt. Pius przeżywał swoje ostatnie godziny w Castel Gandolfo wczesną jesienią 1958, jezuita z Radia Watykańskiego w cudowny sposób przewyciężyli normalnie obsesyjną tajemniczość Kurii, by nadawać na żywo walkę ze śmiercią, włączając w to modlitwy przy łożu umierającego. Tej nocy monsignor di Mona słuchał audycji w swoim biurze. Ruch w Watykanie zamarł. On i jego trzech kolegów księży ustalili pulę zakładów o czas śmierci, która nadeszła o czwartej nad ranem dziewiątego października. Di Mona nie wygrał puli, ale odejście Piusa było nagrodą samą w sobie.

Nadszedł czas teatru absurdu.

Zwłoki zmarłego papieża zostały zabalsamowane w Castel Gandolfo przez osobistego lekarza - Galezzi Lisiego - i specjalistę - Oreste Nuzziego. Potem przetransportowano je do Rzymu w karawanie należącym do miasta, udekorowanym czterema złożonymi aniołami przymocowanymi do dachu, festonami z białego adamaszku bardziej stosownego na ślub i marną drewnianą repliką tiary papieskiej, która na każdej nierówności drogi groziła zsunięciem z dachu.

Monsignor di Mona czekał w Bazylice Laterańskiej, kiedy nadjechał ten dziwaczny pojazd. Nigdy przedtem ani potem nie było prawdziwsze powiedzenie, że w tym momencie ani on, ani jego podobnie usposobiony kolega nie wiedzieli, czy śmiać się czy płakać. Wtedy, nie do wiary, usłyszeli coś, co przypominało wystrzał z pistoletu. Jego pierwszą myślą było, by zawołać do zabójców: „Spóźniliście się, kretyni! On już nie żyje!” Ale to w ogóle nie był strzał. Coś się działo w karawanie. W trumnie. Mszę w bazylice odprawiono szybko, a karawan natychmiast wyprawiono przez Rzym do Watykanu, gdzie pośpiesznie przeniesiono trumnę do Bazyliki Świętego Piotra. Monsignor di Mona, reprezentujący Sekretariat, przybył, by dowiedzieć się, co się dzieje i odszedł kręcąc z niedowierzaniem głową. Przy niezwykle ciepłej pogodzie Pius XII najwyraźniej zaczął fermentować, wytwarzając ciśnienie, aż wieko trumny w końcu wybuchło. Lisi i Nuzzi w efekcie wrócili do pracy, trudząc się przez noc, aby przygotować ciało do publicznej żałoby, która miała zacząć się o siódmej rano dwunastego października.

Jak się okazało, to był dopiero początek ich kłopotów.

Gdy dzień mijał, strumień odwiedzających płynął nieprzerwanie, migotały świece. Szczątki Piusa XII odziano w czerwony ornat ze złotą mitrą na głowie. Nagle wszystko znowu zaczęło się psuć.

U Świętego Piotra było gorąco. Za gorąco. Śmiertelna bladość oblicza Piusa zmieniła się w zieleń. Wszyscy poczuli obezwładniający odr. *W końcu pojawił się prawdziwy człowiek*, pomyślał do siebie Mona. Zwyciężył zdrowy rozsądek i trumnę zamknął, umieszczono w trumnie ołowianej i przeniesiono do grobowca w grotach pod Bazyliką Świętego Piotra.

Powód tych wszystkich nieszczęsnych wydarzeń okazał się oślepiający w swej głupocie. Jak wynikało z wyjaśnień Lisiego, on i Luzzi wykorzystali starożytne metody balsamowania - żadnych zastrzyków, żadnej chirurgii ani usuwania wnętrzości, co było dobre dla wczesnych chrześcijan, na pewno było odpowiednie dla tego świętego papieża. Lisi poszedł dalej, sprzedając prasie opowieść o agonii papieskiej. Kardynałowie rządzący Kościołem między pontyfikatami na zawsze zakazali mu postawienia stopy na ziemi Watykanu. W każdy możliwy do wyobrażenia sposób koniec Piusa sprawił kłopoty.

Tak wyglądało to w oczach monsignora di Mona wtedy i teraz w oczach Kaliksta IV. Upływ czasu nic nie zrobił, by złagodzić jego poglądy. Uśmiechał się na wspomnienie siebie młodego, uwikłanego w śmieszne wydarzenia tego dawno minionego października i przyjaźni, których korzenie sięgały nawet wcześniejszych czasów, Paryża, czasów wojny, kiedy uświadomił sobie, jakim prawdziwym potworem jest naprawdę Pius.

Paryż. Samo słowo przeniosło go w czasie, przywołując wspomnienia starych przyjaciół, spraw, za które warto było umrzeć, dla których warto było wszystko zrobić...

Kalikst potarł kark, rozmasowując tępy ból i powoli wstał z łóżka. Najnowszy środek przeciwbólowy przestawał działać. Dr Cassoni powiedział mu, że właściwie to jest to samo co heroina, a Kalikst wtedy odparł, by zachował takie sensacyjne kawałki dla siebie. D'Ambrizzi miał rację: Cassoni był dobry.

Zarzucił granatowy szlafrok na ciemnoczerwoną piżamę i wsunął stopy w welwetowe kapcie. Odszukał tabletkę na blacie stolika, popił ją łykiem letniej wody. Zapalił papierosa. Wieczorna bryza wysysała dym przez zasłony. Nacisnął guzik magnetofonu i rozległa się *Madame Butterfly*. Biedna Butterfly, pod rozkwitłym kwieciem czeka...

Wziął laskę i wyszedł z pokoju. Skinął głową pielęgniarzowi, czytającemu przy przyćmionym świetle lampy, i ruszył przez korytarz. Stukanie laski brzmiało jak metronom. Odkąd kryzys morderstw podwyższył napięcie w Watykanie, odkąd wydał Indelicato i D'Ambrizzemu rozkazy bojowe, Kalikst zaczął się kręcić po korytarzach swego państwa we wczesnych godzinach przed świtem, jak gdyby sprawdzając ciszę, spokój nocy i straże. Nazywał swe spacerowanie nocną zmianą. Pomagały mu uspokoić myśli.

Gdyby tylko potrafił uwierzyć, że wszystko dobrze się skończy.

Zastukał cicho w drzwi ukryte w cieniu, jednak na tyle głośno, by usłyszał to człowiek wewnątrz, jeśli nie spał.

- Proszę wejść, Wasza Świątobliwość. - Głos był chrapliwy, trochę zwierzęcy.

Kalikst wszedł niepewnie.

- Nie obudziłem cię, Giacomo?

- Nie, nie. Ostatnio przesiaduję po nocach jak stara sowa. Proszę wejść, towarzystwo sprawi mi przyjemność. Powstrzyma mnie od myślenia.

Nie zawsze było tak miło między nimi. Przez jakiś czas, dawno temu, Giacomo też pragnął Tronu Piotra, chociaż nigdy naprawdę o tym nie rozmawiali. Zbyt wielu kardynałów wierzyło, że D'Ambrizzi będzie bardziej użyteczny tam na dole w twardym i chaotycznym, rzeczywistym świecie... przekazywanych pieniędzy, uściśniętych dłoni. Niezastąpiony, mówili. D'Ambrizzi wydawał się po prostu niezastąpiony, natomiast kardynała di Mona dawało się z łatwością zastąpić. Taka była wtedy „oficjalna” wersja. Cóż, D'Ambrizzi odczytał znaki i rzucił się do wspierania di Mony, młodszego od siebie, którego znał od tak dawna. Co za ironia, że D'Ambrizzi żył wystarczająco długo, by zobaczyć następną rundę.

- Bardzo boli? - Na twarz D'Ambrizziego padał cień, nadając jej demoniczny wyraz.

- Nie za bardzo. Modliłem się przed snem. A potem w godzinę później obudziłem się i zacząłem myśleć o śmierci Piusa.

D'Ambrizzi uśmiechnął się.

- Czarna komedia. Jakiś młody facet - świętokradca - mógłby napisać bardzo śmieszną sztukę.

Kalikst zaśmiał się krótkim, płytkim śmiechem.

- A co myślisz o modlitwie? - Odsunął się ostrożnie na solidnie wyściełany fotel.

- Jakby powiedział nasz przyjaciel Indelicato, pewnie by nie zaszkodziła. Ale to nie leży w twoim charakterze, prawda? Co cię skłoniło do modlitwy, Salvatore?

Brzmienie jego dawnego imienia ucieszyło Kaliksta.

- To samo, co sprawia, że większość ludzi się modli. Lęk. Te zabójstwa... - Wzruszył bezradnie ramionami. - Gdzie możemy zacząć? Jak możemy je powstrzymać? Dlaczego ci ludzie umierają? Dlaczego? To bardzo ważna sprawa. - Uniósł się w krzesło, szukając wygodniejszej pozycji. Środek przeciwbólowy zaczynał działać. Wydawało się, że D'Ambrizzi nie potrafi mu nic odpowiedzieć. - Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cię w Paryżu w czasie wojny, z nawyku byłeś niesubordynowany. Nie, proszę, najpierw mnie wysłuchaj. To na mnie zrobiło największe wrażenie, prawdopodobnie dlatego, że wiedziałem, iż niesubordynacja jest poza moim zasięgiem. Słyszałem, co ludzie mówią, wiedziałem, co mówią o tobie. Miałeś kontakty w ruchu oporu, przemycałeś Żydów z Niemiec, ukrywałeś się przed nazistami...

- Jedynie dzięki pomocy marszałka Rzeszy Goeringa - powiedział D'Ambrizzi. - Jego żona, aktorka, była z pochodzenia Żydówką...

- Ukrywałeś ich nawet w składzikach na węgiel w naszych kościołach!

- Niezbyt często, Salvatore.

- Oto moje pytanie, Giacomo. Czy nigdy się nie bałeś? Tak bardzo, że nie potrafiłeś wyobrazić sobie nic gorszego? Czy twoja wiara przeprowadziła cię przez lęk?

- Po pierwsze - zawsze jest coś gorszego. Zawsze. A kiedy dochodziło do dawania sobie rady z lękiem - wiara nigdy nie przychodziła mi do głowy, Salvatore; zawsze byłem zbyt zajęty wymyślaniem, jak uciec. Lęk... Z wiekiem, oczywiście, pamięć już nie dopisuje. Czy czułem się kiedykolwiek przerażony? Pewnie byłem młody i dość silny, by wierzyć, że jestem niepokonany, nieśmiertelny...

- To bluźnierstwo, kardynale.

- To prawda! Ale to najmniejszy z moich grzechów. Popatrz na starego Piusa i te jego wszystkie zastrzyki. Robił wszystko, co mógł, by oszukać śmierć... Oczywiście, że się bałem. Był taki niemiecki oficer, z Berlina, znajomy Piusa sprzed wojny. Młody facet, bez żadnych wpływów, ale miałem powody, żeby chodzić od czasu do czasu do jego biura. Bez przerwy powtarzał mi, jak to on osobiście przedstawił kardynała Pacelli Hitlerowi. A teraz patrz, D'Ambrizzi, czekałem aż mi powie, Pacelli jest papieżem, a Hitler pamięta, kto ich sobie przedstawił. Uważał to za powód do ogromnej satysfakcji. Za każdym razem gdy wzywał mnie do swojego biura - z jego okna mogliśmy popatrzeć na Łuk Triumfalny - za każdym razem kiedy wzywał mnie, bym przyszedł do niego, wymiotowałem. Zanim tam poszedłem i po powrocie. Przerazał mnie.

- Myślałeś, że coś ci może zrobić, Giacomo?

- Miałem to w głowie, że pewnego dnia, ot tak, dla sportu, młody Richter mógłby wyjąć Lugera ze swej ogromnej kabury i zastrzelić mnie. Położyć swoją broń na mnie i powiedzieć, że próbowałem go zabić. Tak, bałem się, że Klaus Richter mógłby mnie zabić. - Kardynał westchnął, zakaszał. - Dla sportu. Jak wiesz, podejrzewali mnie o pewne działania - musieliby dokonać egzekucji księdza! Nie było to popularne posunięcie w tamtym czasie, kiedy księża przedstawiali zdrowy rozsądek w okupowanym kraju... Później często myślałem, że Richter musiał być okropnym łgarzem. Wydawał się za młody, by przedstawiać Pacelliego komukolwiek. Może próbował wyrzucić na mnie wrażenie. W każdym razie, tak, bałem się, Salvatore.

- Rozumiesz więc, jak się czuję. Czuję się tak, jakbyśmy wszyscy byli na jakiejś strasznej liście, podejrzewani przez kogoś o nielegalne działania - gubię się, Giacomo, nie wiem, gdzie znaleźć drogę wyjścia z tego koszmaru... Osiem zabójstw...

D'Ambrizzi skinął głową. Kalikst sprawiał wrażenie drobnego w swej długiej szacie, tak chorego i delikatnego. Z każdym dniem wydawało się, jakby go było mniej.

- Nie możesz nic poradzić na to, że się boisz. Jesteś tylko człowiekiem.

- Boję się tego, co się dzieje z Kościołem, z całą pewnością i boję się o siebie... Boję się umrzeć. Nie zawsze, ale czasami. Czy to wstyd, Giacomo? - Czekał w ciszy. - I pomyśleć, że był taki czas, kiedy chciałeś znaleźć się na moim miejscu.

- To nie jest do końca tak - powiedział D'Ambrizzi. - Moi poplecznicy, muszę przyznać, byli natarczywi. Jedenaście głosów.

Mój rekord. A potem pojawiły się gadki o moich „niezbędnych zdolnościach” i poparcie dla mnie zaczęło się rozplýwać. Nie obeszło mnie to, jak wiesz. Mam dobre życie, Wasza Świątobliwość.

- Jak głosowałeś, Giacomo?

- Na Was, Wasza Świątobliwość.

- Dlaczego?
- Myślałem, że zasługujesz. Papież roześmiał się głośno.
- To, mój stary przyjacielu, można rozumieć dwuznacznie...
- Co najmniej - odparł D'Ambrizzi, uśmiechając się.
- Powiedz mi szczerze - powiedział Kalikst po chwili. - Do czego zmierza Driskill? Co może zrobić? Czy coś wie o pozostałych ofiarach?
- Nie. Im mniej wie, tym większe prawdopodobieństwo, że przeżyje, zgodzisz się ze mną?
- Oczywiście. Nie możemy pozwolić obcym na przewracanie Kościoła do góry nogami. Trzeba będzie koniecznie go powstrzymać, gdyby się uparł...
- Właśnie.
- Może po jakimś czasie znudzi się i zrezygnuje.
- Taką mam nadzieję. Ale myślałem, że atak na niego samego zmniejszy jego entuzjazm do pościgu. Myliłem się, jak się okazało.
- Gdzie jest teraz?
- W Egipcie, o ile wiem.
- Nie wiemy, gdzie teraz uderzą, prawda?
- Nie.
- Czuję się tak, jakby historia znieruchomiła, a my zawisnęliśmy na szalach wagi. Jaki jest powód, Giacomo? Dlaczego tych ośmiorgo?

Kardynał D'Ambrizzi pokręcił głową.

Kalikst odwrócił się i popatrzył na oświetlone światłem księżycy ogródki watykańskie.

- Boisz się śmierci?
- Kiedyś znałem młodą kobietę, która umierała. Rozmawialiśmy o tym, co ją czeka. Pocieszała mnie, wzięła za rękę i powiedziała, iż muszę jej uwierzyć, kiedy mówi, że gdy czas nadejdzie, rozpoznasz w śmierci swego ostatniego najlepszego przyjaciela. Nigdy tego nie zapomniałem.
- Ta kobieta była święta! Była mądra... dlaczego ja nie jestem?

Papież wstał powoli, jego myśli błądziły już gdzie indziej, zagubione we wspomnieniach innego czasu. Kardynał otoczył ramieniem plecy niższego mężczyzny, zaprowadził go do okna, gdzie stanęli, wpatrując się w noc. Nie musieli ze sobą rozmawiać. Poniżej w pogodnym spokoju ogrodów samotny ksiądz spacerował ścieżkami, pojawiając się i znikając w mroku, a potem jeszcze jeden i jeszcze, jak duch, jak zabójca.

Po powrocie do łóżka umysł Kaliksta niespokojnie, bezlitośnie wracał do przeszłości, jakby tam tkwił magnes zbyt mocny dla jego wciąż zmniejszającej się siły, by temu zapobiec. Paryż to zawsze był Paryż, zbyt wiele dla niego, by mógł się opierać. Tyle lat trzymał to wspomnienie daleko od siebie, zaprzeczając sobie, że coś takiego w ogóle się zdarzyło. Skutecznie wymazał pamięć, ale teraz wyczerpywały się źródła siły. Sytuacja wymykała się spod kontroli i jak magiczne pismo tamte wszystkie dni i tamta historia ponownie się zjawiały. Zastanawiał się, czy inni zapomnieli. Czy D'Ambrizzi zapomniał? Stary biskup Torricelli, czy wszystko zdusił w sobie, by wróciło do niego na łożu śmierci? A

co z tym wysokim, poważnym człowiekiem z Rzymu, który przyszedł i zapukał do jego drzwi w Paryżu, z człowiekiem z bólem i karą w oczach... Indelicato inkwizytor, czy teraz pamiętał wszystko, gdy dzielił go tylko jeden krok od Tronu Piotra?

Podciągnął się na posłaniu i odwrócił, próbując nie wspominać. Lecz był zupełnie niezdolny, by zwalczyć impuls i nie wrócić myślą do małego cmentarza przy kościółku pewnej wietrznej nocy. Skulił się, drżąc przy czarnym ogrodzeniu z kutego żelaza. Było ich tam trzech: brat Leon, wysoki, jasnowłosy ksiądz i Sal di Mona. Byli świadkami, jak na małym cmentarzu dokonano morderstwa wśród pochylonych, starych nagrobków. Wstrzymali oddech i starali się nie szczekać zębami. Patrzyli, jak jeden ksiądz zabija innego księdza, który zdradził ich wszystkich, zabija go gołymi rękami, łamie jak zapalkę. Wszyscy trzej usłyszeli pęknięcie kości.

Monsignor Sandanato też miał złą noc.

Rozmowa przy kolacji z siostrą Elżbietą przygnębiła go, chociaż starał się nie okazywać swoich uczuć. Kto jej pozwolił, upoważnił do kończenia pracy siostry Valentine? Pracy, przez którą siostra Valentine została zabita. Co zamierzała zrobić z wynikami swojego szperania? Zidentyfikowała osiem ofiar, a Kościół próbował nie dopuścić do ich łączenia przez opinię publiczną. I wykopała cały stary materiał o *assassini* - kogo to poza nimi obchodziło, w czasie, kiedy skandale w banku Kościoła i możliwości schizmy pojawiały się prawie bez przerwy? Wydawało jej się, że dodaje dwa do dwóch, ośmioro ofiar morderstw i informację o *assassini*. I co wtedy? Sądząc z tego, jak wyglądały sprawy, sama prosiła się, żeby ją zabić, a on rozpaczliwie nie chciał, by to się stało. Kościół nie mógł sobie pozwolić na stratę Elżbiety. A poza tym, były jeszcze te wszystkie uczucia, jakie krył w sobie, uczucia, które coraz bardziej go niepokoiły.

Istniał jeszcze problem Bena Driskilla.

Przed wyjściem z watykańskiego biura na kolację w apartamencie kardynała, odebrał telefon od ojca Dunna z Nowego Jorku. Dunn chciał się dowiedzieć, czy słyszeli cokolwiek o podróżach Driskilla.

- Nie - odpowiedział Sandanato, tracąc cierpliwość. - I muszę ci powiedzieć, że nie chce mi się marnować czasu na martwienie się o niego. Mamy dość kłopotów, by jeszcze dokładać sobie Bena Driskilla w Egipcie drażniącego ludzi, którzy może zabili jego siostrę. Chyba musi sobie życzyć śmierci! A ma w plecach ranę długości dwóch stóp, zadaną mu dwa tygodnie temu... Ojciec, czy on oszalał? Czy nie rozumie, że to sprawa wyłącznie Kościoła? Dlaczego nie może pozwolić Kościołowi, by się tym zajął?

- Masz na myśli sposób, w jaki Kościół zajmuje się tym teraz? To kwestia, której bym nie poruszał, gdybym był na twoim miejscu. - Dunn zachichotał, zwiększając niezadowolenie Sandanato. - I powiem ci coś: hasło „Kościół-się-wszystkim-zajmie” nie wywiera na Driskillu wielkiego wrażenia. Jest bogaty, zepsuty i chodzi własnymi drogami. Wszyscy Driskillowie tak robią i zawsze robili. I nie jest zachłanny, raczej bezlitosny. Poprzytyłem trochę w okolicy o naszego przyjaciela Driskilla - i wiesz, co myślę? Myślę, że on sam może kogoś zabić. I jeśli martwisz się o Driskilla, to radzę ci, żebyś zaczął się martwić o innych.

- Uważasz, że jest poza naszą kontrolą i nic nie możemy na to poradzić?
- Wygląda, że trafiłeś w samo sedno, monsignor.
- Boję się, nawet jeśli ty się nie lękasz - odparł Sandanato zimno - że on chce z całą pewnością zostać zabity.

- Martwię się o niego, tak jak ty. Dlatego do ciebie dzwonię, by dowiedzieć się, czy miałeś od niego choćby słowo...

- Tak, jak już powiedziałem, odpowiedź brzmi - nie. I mówisz mi, że go nie można powstrzymać?

Dunn zachichotał sucho.

- Moim zdaniem, nie można.

- Zatem co proponujesz, jak mamy postąpić?

- A co byś powiedział, gdybyśmy spróbowali się pomodlić, przyjacielu?

Sandanato siedział przy małym, koślawym biurku, stojącym przy oknie wychodzącym na wąską, spokojną uliczkę. Jego spartańskie mieszkanie mieściło się na drugim piętrze, w budynku, z którego szło się zaledwie dziesięć minut spacerem do Bramy św. Anny. Wlał whisky Glenfiddich na wysokość trzech palców do słoika po dżemie i zakręcił. Przyglądał się, jak opłukuje ścianki. Kiedyś brał udział w seminarium w Glasgow i zapoznano go z tamtejszymi wyrobami. Włosi nie za bardzo przepadali za szkocką, ale monsignor z Watykanu mógł położyć ręce prawie na wszystkim. Glenfiddich była wtedy jednym z jego przywilejów. Teraz pozwolił, by pierwszy łyk rozgrzał mu gardło i żołądek. Zamknął oczy i powoli roztarł je pięściami. Sprawy szły źle i upicie się mogło być jedynym sensownym zachowaniem. Słuchał fantastycznego nagrania *Rigoletta*. Callas, di Stefano, i Gobbi. Callas wyciągała „Cara nome”, a on czekał, aż osiągnie najwyższe, najbardziej zachwycające nuty.

Prowadził nigdy nie kończącą się wojnę z armiami przygnębienia, które znał całe życie. Przegrywał. Wszędzie, gdzie spojrzał, zbierała się ciemność. To, co działo się w Kościele i czego był świadkiem, płonęło w jego brzuchu jak rozgrzane szczypcy oprawcy. Cienie się zwierzały. Groziły, że Kościół nie zostanie ocalony na czas. Widział lęk w oczach papieża, zmieszanie, niemożność przewodzenia. Wkrótce ktoś inny będzie papieżem...

Sandanato otworzył oczy, przyglądał się prostytutce z sąsiedztwa, która przysunęła się do mężczyzny na ulicy. Roześmiała się, wydała z siebie ostry dźwięk, jakby pękającego szkła lub rozszluczonego kota. Przełożyła ramię przez łokieć mężczyzny i zaprowadziła go ku poplamionym prześcieradłom, zapachowi potu, spermy i perfum, jak do śmietnika. Przypomniawszy sobie dziwkę, u której był raz, i przełknął z trudem szkocką, by wypalić wspomnienie.

Nalał jeszcze cienką strużką whisky do słoika o grubych krawędziach, wpatrując się we własne odbicie w szkle. Powinien się ogolić. W ustach czuł obmierzły smak, tak jakby nic z kolacji nie zostało prawidłowo strawione. *Gdzie był Driskill i co robił?* Odepchnął krzesło do ściany i wstał. Zaczął krążyć po małym pokoju. Przytłaczała go samotność. Powinien spędzić tę noc w Watykanie. Tam był jego jedyny, prawdziwy dom. Jego życie znajdowało się tam, wewnątrz Kościoła.

Wiedział, dokąd prowadzą jego myśli. Opierał się im słabo, brakowało mu silnej woli. Z

samotności i frustracji zaczął myśleć o siostrze Elżbiecie.

Nie był całkiem pewny dlaczego i nie sądził, żeby to miało znaczenie.

Nigdy przedtem nie spotkał takiej kobiety. Potrafił odnaleźć w jej uroku intelekt, świeżość, otwartość, siłę. Była zachwycająca jako istota ludzka, jako przedstawicielka Kościoła, na tak wielu poziomach. Siedział sam, pragnąc przebywać z nią, w jakimś innym pokoju, bez bólu, tęsknoty, frustracji, które wydawały się zawieszać z wszystkich czterech stron jak widma z delirium szaleńca.

Chciał usłyszeć, jak mówi, klócić się z nią, pasować się na umysły. Wyczuwał najrzadsze zjawisko, prawdziwe spotkanie umysłów. Wiedział, że ona myśli tak jak on: Kościół zawsze musi być na pierwszym miejscu. Miała tę samą siłę wewnętrznego oddania, podobnie jak on.

Był pewien, że siostra Valentine została kochanką Lockhardta. Kardynał D'Ambrizzi nie zostawił mu żadnej co do tego wątpliwości. A siostra Elżbieta? Wiedział, że to bezsensowne, ale udało mu się prawie doprowadzić do szaleństwa, myśląc o Benie Driskillu i siostrze Elżbiecie. Nie istniał żaden dowód: wszystko tkwiło w jego głowie i wiedział o tym. Widział ich razem, obserwował... Przez krótką chwilę był zachwycony, gdy Driskill opowiedział mu, jak się wrogo rozstali. Na krótko go to uspokoiło. Potem dostrzegł, jak Driskill źle to znosi, jak bardzo czuje się zraniony, rozgniewany. Była to reakcja mężczyzny, któremu zależy. Przypomniały się mu spojrzenia, które - jak zauważył - rzucali na siebie.

To było zło, jakie go dręczyło. Narastało w nim jak złośliwy rak. Czy coś mogło między nimi zajść? Driskill opowiadał mu, jak się kiedyś spotkali, jak bardzo Elżbieta i Val lubiły się, kochały... Czy mogła traktować śluby tak lekko, czy mogła zrobić z Driskillem to, co Val robiła z Lockhardtem?

Chryste, nienawidził siebie za samo myślenie o tym. To był absurd. Val została zamordowana, Elżbieta przyleciała do Princeton, a on sugeruje, że natychmiast wskoczyli ze sobą do łóżka?! Fantazja nastolatka, paroksyzm strachu samotnego mężczyzny, który jest księdzem... szaleńczo zauroczonym przez zakonnicę, ledwie zauważającą jego istnienie! Co za klasyczne przedstawienie, zachowanie dumia - widział to już przedtem u księży, którymi całkowicie i bezgranicznie pogardzał.

Mogła go uspokoić. To było takie proste. Ale nigdy o to nie zapyta. Tak rozpaczliwie chciał ją zobaczyć, dowiedzieć się, że jest szczerą we wszystkim, co nadawało jej życiu - jego życiu - znaczenie. Chciał jej zaufać, zjednoczyć się. Potrzebował jej pomocy, by mógł wygrzebać się z lochu mrocznego osamotnienia.

Czy była tego warta?

Pytanie pełne nienawiści, ale nie potrafił go nie zadać.

W końcu, gdy wysuszył naczynie, nie mógł się dłużej powstrzymać.

Podniósł słuchawkę, wykręcił numer i czekał, a telefon dzwonił, dzwonił, dzwonił...

* * *

Ojciec Artie Dunn stał przy oknie swojego gabinetu, wyglądając na dach Carnegie Hali, Pięćdziesiątą Siódmą ulicę i Park Centralny, drzemające pod szarą poranną mgłą. Drzewa w parku nie miały liści, a jeziora wyglądały szaro. Co chwila brązowe kaczki podrywały się lub lądowały i pływały wśród trzciny. Westchnął, odłożył lornetkę i nalał sobie kolejną filiżankę kawy z termosu stojącego na

biurku. Przedrzemał tylko trzy godziny i potężnie ziewał. Biurko i stoliczek do kawy pokrywały kartki papieru z nagryzłymi notatkami.

Rozwiązywał „sprawę Driskillów”. Ta rodzina była wszędzie. Wszędzie! Co za niezwykła paczka!

Cała *sprawa* wydawała się niezwykła, zadziwiająca: daleko przechodziła wszelkie powieści, które napisał. Nie mógł przestać o tym myśleć, to było najważniejsze. Na przykład, ta gotycka opowieść, którą podzieliła się z nim siostra Maria Angelina, malutka zakonnica z ogromnymi oczami, bezpiecznie schowana w swoim klasztorze, ostatnim przystanku dla siostry przełożonej. Wylała z siebie swą opowieść bardzo spokojnie - mniej lub bardziej spokojnie - o tym, że siedziała i czekała prawie pół wieku. Po wysłuchaniu jej podziękował, bo co, u diabła, mógł powiedzieć? Takie coś zazwyczaj przerywa konwersację, bo nie jest to fragment zwyczajnych wspomnień. Dlatego nie wiedział, czy wierzyć jej czy nie. Wydawała się zupełnie zdrowa na umyśle, ale nigdy nie wiadomo. Zgodnie z jego doświadczeniem nie było zbyt wielu zupełnie zdrowych na umyśle, którzy potrafiliby utrzymać tajemnicę tak długo i pochwalić się nią na koniec jak psem, który zdobył nagrodę na wystawie. Nie wiedział, co myśleć, więc podziękował jej i zatrzymał się w Princeton w Nassau Inn na kanapkę, w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło tej okropnej nocy prawie miesiąc temu. Zdecydował, że musi znaleźć coś w rodzaju potwierdzenia jej opowieści. Co musiało być dość trudne, bo Maria Driskill już od dawna nie żyła, ojciec Gouverneau zginął jeszcze dawniej, a Dunn nie potrafił sobie wyobrazić, że wkrada się do pokoju szpitalnego Hugh'a Driskilla i wraz z nim powtarza wyprawę siostry Marii Angeliny po ścieżkach pamięci.

Jak mógł to sprawdzić? Musiał istnieć jakiś sposób.

Kiedy dotarł do Nowego Jorku, zrobiło się już ciemno i zimno. Siedział, próbując wpleść śmierć ojca Gouverneau w masę wątków, nad którymi pracował. Były one niemiłosiernie poplątane, wymagały wyplewienia, a nie wiedział, skąd zacząć. Tęsknił za porządkiem i kontrolą jak nad jedną ze swoich książek.

W końcu podreptał do łóżka i zasnął snem bez snów, budząc się trzy godziny później, o siódmej, kiedy budzik włączył telewizor na program *Dziś*. Korespondent NBC z Rzymu omawiał dwie wiadomości z Watykanu: trwający skandal w banku, z którego wynikła powódź samobójstw oraz jakby tylko uzupełnienie, pogłoski, że papież Kalikst IV jest chory, gdyż jego wystąpienia publiczne, stające się coraz rzadsze latem, w ostatnim miesiącu zupełnie ustały. Oficjalnie powtarzana informacja o uporczywym zapaleniu górnych dróg oddechowych wydawała się prowokować dziennikarza NBC do złośliwych komentarzy. Dunn zajęczał sennie, ale nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Sprawiało mu przyjemność, że Kuria w Rzymie zmuszona została do gorączkowego radzenia sobie z prawdziwym życiem. To było zadziwiające, jak długo potrafili utrzymać tak ściśle zamknięte wieko.

Po kawie musnął lekko swoje problemy dzięki świeżo pobudzonym komórkom mózgowym. Doszedł przynajmniej do jednej odpowiedzi. Potrzebował kogoś, kto by potwierdził opowieść siostry Marii Angeliny. Znalazł jedno nazwisko.

Drew Summerhays. Jeśli on nie znał prawdy, to nikt jej nie znał. Był mentorem, przyjacielem,

doradcą Hugh'a Driskilla.

Odszukał numer firmy Bascomb, Lufkin i Summerhays. Rozmawiał z sekretarką starszego pana. Nie, nie będzie go dzisiaj w biurze, ale jutro o drugiej spotkanie jest możliwe. Dunn zgodził się.

Kiedy telefonował, zauważył, że po raz pierwszy w życiu był tak zmartwiony poprzedniego wieczora, iż zignorował wiadomości nagrane na taśmie automatycznej sekretarki. Jedyna, która miała dla niego jakieś znaczenie, to połączenie z Morelą O'Nealem z New Prudence sprzed dwóch dni. Były nagrane jeszcze dwie wiadomości z poprzedniego dnia, kiedy Dunn pojechał odwiedzić klasztor pod Trenton. Morela stawał się coraz bardziej rozgoryczony, dzwoniąc po raz kolejny, więc Dunn nie tracił czasu i połączył się z plebanią parafii Świętej Marii.

Morela umówił się z nim w restauracji The Ginger Man, w ruchliwej dzielnicy handlowej obok Centrum Lincolna, o pierwszej na lunch. Ojciec Dunn siedział przy stoliku w oszklonej kawiarence, popijając wytrawne martini. Wkrótce wszedł Morela, wyłaniając się z zimnego deszczu, przynieszonego wiatrem wprost znad rzeki Hudson. Deszcz walił w szyby jak wściekła gospodyni domowa, która wreszcie dopadła drania męża. Uderzał w chodnik tworząc kałuże. Morela wszedł, strząsnął płaszcz i pociągnął zaczerwienionym nosem.

- Jest w tobie - powiedział Dunn, odchylając się na oparcie krzesła - pewne poczucie zagrożenia, młody Morelo.

- Ha! To dopiero niedopowiedzenie, jeśli w ogóle kiedyś w życiu jakieś słyszałem. Powinieneś przesłuchiwać swoją sekretarkę trochę częściej. Prawie oszalałem. - Zamówił Rob Roya i otworzył zmoczoną deszczem czarną teczkę, leżącą na kolanach. Jego twarz nie wydawała się już taka chłopięca. Był przeziębiony i wyglądał po raz pierwszy, odkąd Dunn go znał, dokładnie na swój wiek. - Artie - powiedział. - Zatrzymaj to dla siebie. Wydaje mi się, że coś tu mam, ale nie mnie sądzić. Ponieważ próbujesz tak niewzruszenie wywierać wrażenie, że jesteś bardzo mądry, oto twoja szansa, byś tego dowiódł. Rzuć na to okiem.

Wręczył mu przez stół dużą żółtą kopertę z resztkami taśmy klejącej. Ojciec Dunn ostrożnie ją otworzył i wysunął rękopis. *Fakty w sprawie Simona Verginius'a.*

- Napisane ręką nikogo innego tylko pewnego Giacomo D'Ambrizziego. - Morela uśmiechnął się. - Niniejszym oficjalnie przekazuję ci tę sprawę. - Wyglądał już znacznie lepiej.

Jedenaście godzin później, o północy, nowojorskie Giganty i Orły z Filadelfii zaczynały czwartą kwartę gry w futbol, prowadzoną na rozmiękłym boisku w na pół zamarzniętym błocie. Znużony Morela upadał na duchu, siedząc przed telewizorem w gabinecie ojca Dunna. Może, myślał, piekło to niekończący się mecz w piłkę grany w błocie, kiedy nie można rozróżnić, która drużyna jest która, nikt nie zna wyniku, nikogo już to zresztą nie obchodzi. Złowrogo przyglądał się resztkom pizzy i pustym puszkom po dietetycznej coli.

Dunn podniósł wzrok znad rękopisu i uśmiechnął się do Moreli. Postukał w kartki.

- Z tego byłby ekstra film.

- Jasne, jasne. A co ty z tego zrobisz? Przeczytałeś to wystarczającą ilość razy, by nauczyć się tekstu na pamięć...

- Uczyłem się tego na pamięć, w pewien sposób. Chcę, żebyś jutro rano włożył rękopis do twojej czarnej teczki, zabrał go z powrotem do New Prudence i położył tam, gdzie znalazłeś. Gdyby to kiedyś wypłynęło - raczej zapomniemy o tym, chłopcze. - Wskazał na swoje czoło. - Wszystko, co jest mi potrzebne, mam tutaj.

- Kim był Simon Verginius? A Arcyksiążę? Te wszystkie zakodowane nazwiska? Kim byli ci ludzie?

- Nie wiem, daję słowo. Ale mam zamiar się dowiedzieć. D'Ambrizzi był piekielnie bliski tego Simona i całej reszty.

Zarezerwował bilet na samolot na wieczór następnego dnia, pierwszą klasą do Paryża.

Był jeden człowiek, którego musiał odnaleźć.

Erich Kessler.

Siostra Elżbieta pracowała do późna, chociaż czasopismo nie łączyło nic ze sprawami, jakie miała na głowie. Pogłoski o chorobie papieża, o której nieoficjalnie wiedziała cała rzymska prasa, zaczęły rozchodzić się, najpierw przez rzymskie gazety a potem telewizję. To mogło jedynie oznaczać, że choroba lub choroby nie reagowały na leczenie. Sprawy wyglądały na tyle źle, że przesłano sygnał od kogoś z wnętrza Kurii: oto nadszedł czas, by przygotować świat na śmierć papieża, kiedykolwiek miałyby to się stać.

Jeszcze raz przeglądała notatki na temat D'Ambrizziego i Indelicato - próbując wytypować pierwszego czarnego konia, który do nich dołączy, jako do faworytów - kiedy siostra Bernardyna weszła z szelestem i zamknęła za sobą drzwi. Wyglądała na zmęczoną. Rzuciła się na kanapę i wydała z siebie długie westchnienie. Właśnie skończyła wielką bitwę z drukarzem i specjalistą od koloru. Była wyczerpana bezustanną kłótnią.

- Mam tu następną porcję twoich życiorysów gwiazd. - Pochyliła się i położyła na biurku teczkę.

Elżbieta otworzyła ją i przekartkowała zawartość.

- Coś szczególnie interesującego? - Jej oczy przebiegały po materiale, szukając czegoś, ale nie bardzo wiedziała czego.

- Wszyscy są raczej wiekowi...

- Wiedzieliśmy to.

- Wszyscy byli katolikami.

- To też wiedzieliśmy, siostrze.

- Wszyscy zostali zamordowani...

- Daj spokój, siostrze! Powiedz mi coś, czego nie wiem!

- I - powiedziała siostra Bernardyna z uśmiechem - wszyscy byli w Paryżu w czasie wojny.

Oczy Elżbiety otwarły się szeroko jak u postaci z komiksu i zamrugała kilka razy do swojej koleżanki.

- Ach... teraz, to jest coś, czego nie wiedziałam, siostrze. Czy wiadomo coś o Kesslerze?

Siostra Bernardyna pokręciła głową.

- To tajemniczy człowiek!

Brat Jean-Pierre przybył do wioski niedaleko Hendaye - przejścia granicznego z Hiszpanią - latem 1945. To były dni pełne zamieszania we Francji i na wsi, i w mieście. Wykorzystał zamęt, który zjawił się wraz z nadejściem powojennego świata, by zostawić Paryż i wszystko, co się tam wydarzyło. Pieszko przebył całą drogę na wybrzeże Bretanii, a potem pracując dotarł wzdłuż skalistego brzegu Francji do Hendaye, by odpocząć. Został tu na zawsze. Gdy zastanawiał się, co mogło dla niego wynikać z tej bardzo wyczerpującej wojny, uważał się za szczęściarza. Stał się wyręką dla proboszcza w gołym kościółku wiejskim. Czerwienił się, gdy nazywali go - zgodnie z jego tytułem - kościelnym. Opiekował się dzwonem, zajmował pastowaniem, reperowaniem, wszystkimi pracami, dzięki którym stał się niezastąpiony. Przez prawie czterdzieści lat przemykał się prawie niezauważony, co nie było łatwe, zważywszy jego wygląd.

Kiedy wyjeżdżał z Paryża, poszukiwano go. Pościgiem kierował ksiądz, który przyjechał z Rzymu, by przeprowadzić śledztwo. Simon powiedział mu, iż zostali zdradzeni i musi się ukryć. Jean-Pierre poczuł, że cały jego świat się chwieje. Simon uspokoił go i przypomniał mu, jaki był odważny, kiedy wpadli w pułapkę zastawioną przez Niemców i zostali zabrani do stodoły na przesłuchanie. Jean-Pierre pokiwał głową, a kiedy opuścił Paryż, szedł wciąż naprzód. Wydawało mu się, że dzięki lękowi staje się niewidzialny. Był tylko jednym z rannych, przemierzających z trudem boczne drogi Francji.

Kilka tygodni po opuszczeniu Paryża wspinał się na kamieniste wzgórze i dostrzegł poniżej łagodny strumień, wieś na tyle dużą, by mógł stać w niej kościół. Zbocze przyciągało go jak magnes. Czekał w ukryciu krzewów aż do zmroku, obserwując mieszkańców wioski z zapamiętaniem krzątających się wokół własnych spraw. Kiedy zapalono światła w małych domkach, a kościół wydawał się opuszczony, poczekał jeszcze trochę, aż księżyc wypłynął wysoko, wyłaniając się i kryjąc za chmurami. W końcu przeszedł strumień, przemknął obok zabudowań wioski i zbliżył do kościoła. Drzwi były zamknięte na kłódkę. Gołymi rękami wyciągnął z drewna zamknięcie i wszedł do środka.

Wewnątrz usłyszał czyjeś chrapanie. Proboszcz, starszy człowiek, wysoki i gruby, z głową pełną zmierzwionych siwych włosów, zasnął na kuchennym stole. Jean-Pierre przeszedł przez malutką kuchnię, przeszukał korytarz i znalazł drzwi, których szukał. Było łatwo znaleźć. Prawie pusta szafa na ubrania. Tak, sutanna...

Pięć minut później, z tobołkiem pod pachą, jeszcze raz przeszedł przez strumień i zniknął w ciemności.

Teraz, prawie czterdzieści lat później, śnił o dniach w Paryżu, tych dobrych i tych złych. Wspominał, jak nadszedł koniec, jak zabito brata Christosa, wszyscy zostali zdradzeni, a Simon odesłał go, by ocalić. Wspominał i śnił, śnił o dniu, w którym mógł zostać wezwany do służby. Ale wezwanie nie nadeszło, lata minęły, a on pracował w małym kościółku w niewielkiej wsi i to też było w porządku. Simon powiedział, że wszystko się skończyło i miał rację.

Czasami śnił o tygodniach, które spędził z Simonem w ukryciu w piwnicy, gdzie tej ostatniej zimy

unosił się w powietrzu zimny zapach gęstego pyłu węglowego. Simon go ocalił, Simon opiekował się nim, gdy leczył swoje oko...

To była wyłącznie jego wina. Nie zachował należytej ostrożności. Złapali go z zakonnica, która była kurierką ruchu oporu. Powstrzymał ich rewolwerem, aż uciekła na rowerze, a wtedy ruszyli na niego i zabrali go z Simonem do stodoły: To w stodole Niemcy wzięli się za niego. Za nich obu. Chłostali Simona, aż zemdłał, aż mięso na jego plecach zaczęło odpadać od kości, a wtedy zwrócili swą uwagę na Jean-Pierre'a.

Spędzili nad nim dwa dni, związali jak zabitą świnię i zawiesili na haku, w końcu myśleli, że umarł... Tak, kiedy śledczy z gestapo rozgrzał w ogniu nóż, spuścili go na ziemię. Oficer dokładnie pokroił mu oko. Tak, myśleli, że umarł i odcięli go, zostawili na zakrwawionym sianie, gdzie leżał prawie martwy...

Ale Jean-Pierre podniósł się i zdjął ze ściany widły, a kiedy wrócili, załatwił ich - najpierw kaprała, a potem człowieka z gestapo. Załatwił ich raz jeszcze i jeszcze. Słyszał, jak rozpadają się żebra i pękają kręgosłupy. Ocucił Simona i razem odczołgali się stamtąd. Dotarli do małego kościoła, gdzie kiedyś spotkali się, by odebrać rozkazy. Teraz we dwóch ukrywali się pod fałszywą podłogą w piwnicy na węgiel...

Czasami wciąż śnił o tych dniach.

Czterdzieści lat później. Polerował drewniane ławki w kościele, gdy usłyszał skrzypnięcie i zobaczył światło z zewnątrz, napływające przez spaczoną drewnianą podłogę. Wstał, odwrócił się i dostrzegł sylwetkę człowieka na tle blasku.

- Jean-Pierre...

Postąpił krok ku postaci i przysłonił jedyne oko przed światłem.

Wtedy zobaczył go - wysokiego mężczyznę, z siwymi włosami, o jasnych oczach za okrągłymi szklami. Zauważył, że człowiek powoli się uśmiecha.

- August...

Kościelny podszedł do niego, objął ramionami, odzyskując przeszłość, własną przeszłość.

- Jean-Pierre, Simon potrzebuje twojej pomocy...

Część trzecia

Byłem zbyt zmęczony, by obchodziło mnie, do jakiego samolotu wsiadam, byle leciał w stronę Paryża, a ja znajdowałem się na pokładzie. Powrót do prawdziwego świata z tego, co znalazłem na pustyni, był czymś więcej niż tylko zmianą w geograficznym znaczeniu. Wszystko się zmieniało: mentalność, moralność i filozofia. Ostrza w głowie zaczęły miażdżyć mi mózg w inny sposób. Oczywiście, bez względu na sposób, ciągle zostawałem ze zmiażdżonym mózgiem.

Czułem się tak, jakbym próbował bez przerwy zdobyć punkt z linii jednego jarda i na próżno. Wykańczali cię i byłeś już przekonany, że nigdy ci się to nie uda, nigdy nie dopiszesz punktu na tablicy. Spotkałem się na krótko z Gabrielle LeBecq, opowiedziałem jej, co najprawdopodobniej stało się z jej ojcem, a ona powiadomiła władze. Wiedziała, że muszę wyjechać, rozumiała to. Nie czułem się zbyt dobrze, zostawiając ją samą, by sobie poradziła, ale nie miałem wyboru. Zapewniała mnie, że musi zarządzać galerią, że ma przyjaciół, którzy jej pomogą. Nie była osobą, która uważa, że warto coś wyjaśniać.

Próbowałem porozumieć się z Klausem Richterem, ale poinformowano mnie, że wyjechał do Europy. Jego plan podróży miał być tak przypadkowy, że nie istniała żadna możliwość, bym mógł dokądś do niego zadzwonić. Mogłem jedynie, gdybym zechciał, zostawić dla niego wiadomość, bo kontaktowałem się z firmą prawniczą codziennie. Żadna z wiadomości, jakie przychodziły mi do głowy, nie nadawała się do przekazania przez sekretarkę. Do diabła, nie byłem pewien, co chciałbym mu przekazać... poza pytaniem, dlaczego mnie okłamał i co miał wspólnego z kościelnym łajdactwem sprzed czterdziestu lat. Z całą pewnością otrzymałbym odpowiedź, na jaką zasługuje takie sprytne pytanie. Musiałem pamiętać, że jestem prawnikiem. Nigdy nie zadawaj pytania, jeśli nie znasz odpowiedzi. Lekcja pierwsza każdego prawnika.

Spałem jak zabity przez pierwszą godzinę lotu. Potem przebudziłem się z potrzebą uporządkowania myśli. Czułem się jak intelektualny patałach, który nie potrafi niczego ustawić w określonej kolejności. Tyle do zapamiętania, tyle się stało. Moje poprzednie życie nie przygotowało mnie do tego. Jediną rzeczą, do której przygotowało mnie moje poprzednie życie było zapisywanie hektarów notatek. Prawnik wie, że nie utrzyma wszystkiego we własnej głowie. Ta sprawa jednak okazała się bardziej skomplikowana, niż przypadki, które kiedykolwiek przemknęły przez moje drzwi i spoczęły bezradnie na moim biurku. Wyciągnąłem notatnik i przystąpiłem do pracy. Musiałem wiedzieć co, u diabła, będę robił, gdy dotrę do Paryża.

Moja siostra przemierzyła całą tę drogę z Paryża do Aleksandrii, by odnaleźć Klause Richtera... i może Etienne LeBecq. Nie było dla mnie jasne, kiedy natknęła się na LeBecq. Niewątpliwie znalazła jakieś informacje o Richterze w papierach biskupa Torricelliego w Paryżu. Richter - widziałem go teraz, siedzącego za biurkiem z klepsydrą pełną piasku z zachodniej pustyni, aby nikt nie zapomniał tych, co padli; powiedział mi, że znał Torricelliego, bo był ogniwem łączącym Kościół i armię okupacyjną, prowadzącym zwyczajne interesy i próbującym uchronić Kościół przed komórkami ruchu oporu.

Powiedział mi, iż nie znał D'Ambrizziego, ale dzięki zdjęciu wiedziałem, że kłamie. I naturalnie nie zadbał o to, by mnie poinformować, że występował w roli gracza w interesie ze sztuką między hitlerowcami a Kościołem. Była to dla obu stron korzystna grabież, prowadząca do wzajemnego szantażu: nikomu nic o was nie powiemy, jeśli wy nic nie powiecie o nas. I najwyraźniej cały ten czarny interes kwitł nadal: naziści, którzy przeżyli, opłacali pewne działania, sprzedając arcydzieła sztuki Kościołowi w Rzymie... To wyglądało tak prosto. Nieprawdopodobne, tak, ale proste. Może ów proces zwyrodniał do tej pory i sprowadzał się do zwykłego szantażu i niedopełnienia formalności przy sprzedaży dzieł sztuki, ale to wydawało się zbyt proste. Nie, sekrety sprzed czterdziestu lat nie mogły wystarczać, coś się musiało dziać teraz. Może, ale była to tylko możliwość, chodziło o to, że przez czterdzieści lat z hakiem wszystko się jakoś ze sobą łączyło... Świetnie, panie Prawniku. Ale jak?

Bracia LeBecq: miałem jednego zmarłego LeBecqa - uduszonego, ze złamanym kręgosłupem na cmentarzu w Paryżu w czasie wojny. Przez krótką chwilę miałem żywego LeBecqa, mówiącego o Simonie. Obawiał się, że ktoś przysłał mnie - mnie z Rzymu, by go zabić, by „zabić nas wszystkich”. Cóż, to wszystko nadeszło jak podanie z lewej strony boiska. Simon to kto? Zabić wszystkich, ale kogo? Richtera i Etienne LeBecqa? Zgubiłem się w kłębowisku danych. Co powiedział mi LeBecq? Moją jedyną ochroną jest moja niewinność. Powiedział, że powinienem ukryć się w swojej niewinności, a wtedy może pozwolą mi żyć...

Na liście nazwisk, może nazwisk zaszyfrowanych, które znaleźliśmy z Gabrielle w pamiętniku jej ojca, znowu pojawił się Simon. Simon. Gregory. Paul. Christos. Arcyksiążę!

Czy kiedyś się dowiem, kim byli? I dlaczego postawiono tam ten zagadkowy, irytujący wykrzyknik? Czy mówił coś o Arcyksiężu? Czy były to zaszyfrowane nazwiska mężczyzn ze zdjęcia? Plus jeden?

A jeśli chodziło o zdjęcie...

Biskup Torricelli w cywilnym ubraniu, Klaus Richter w mundurze Wehrmachtu z rozpiętym kołnierzykiem, D'Ambrizzi, ojciec Guy LeBecq. I mężczyzna, który zrobił zdjęcie. Co, u diabła, robili? Czy miało to coś wspólnego ze zmartwieniem Richtera, że ruch oporu działa w Kościele? Z pewnością było to zajęcie Torricelliego, by Niemcy nie przejmowali się, czy Kościół ochrania żołnierzy z ruchu oporu. Może tak właśnie było. A czy miało to coś wspólnego z podziałem zagrabionych arcydzieł sztuki? Ojciec i brat Guya LeBecqa zostali w to zamieszani, może ksiądz też. Ale co robił D'Ambrizzi z tymi typami? Kto zabił ojca LeBecqa na cmentarzu i dlaczego?

To doprowadzało mnie do szaleństwa. Wszystko.

Były jeszcze wyniki podróży do klasztoru.

Jeden człowiek nie żył. To mój rzut. Nic na to nie mogłem poradzić, zabrakło rozgrzeszenia na składzie.

Nadałem imię księdzu o siwych włosach i z nożem. August.

Wiedziałem, że otrzymywał rozkazy z Rzymu.

To wystarczało, by coś podejrzewać, coś całkiem innego niż to, co powiedziano głośno. Sama myśl zmroziła mnie. August. Posłany z Rzymu. By zabić.

Kim był?

I, na miłość boską, kto go posłał?

Kilka godzin później obudziłem się z niespokojnego snu, spływający potem, z palącymi oczami, wysuszonym gardłem i twarzą tłustą od przetrawionego brudu, spotykanego w kabinach samolotowych. Przegrzany, przetrawiony, spocony brud, połączony z odwodnieniem w odrzutowcach, za dużo było kiepskiej żywności i płynów, których tak naprawdę nie chciałeś, ale pomagały zabić czas. Rezultatem tego była noc złych snów, zwłaszcza że pojawił się mój stary koszmar, o jakim przez całe życie starałem się zapomnieć. Dzisiejszej nocy pojawił się nowy wątek, co sprawiało, że stał się jeszcze bardziej przerażający: dodatek do pamiętnej twarzy - jeszcze jednej zapamiętanej twarzy - twarzy Etienne LeBecqa. W moim śnie wciąż opierał się o koło przy dziobie małego samolotu, a żuki wpełzały i wpełzały z dziury po kuli w czole i martwych otwartych ust. Był wypełniony gazami do granic wybuchu, jak za bardzo nadmuchana lalka, ale nie to przerażało mnie najbardziej. To kąt pochylenia jego głowy, sterczące włosy i to, że gapił się na mnie przekrwionymi oczyma, chociaż był tak oczywiście martwy. W moim śnie wyglądał tak, że przypominał mi, przywodził bardzo wyraźnie na myśl temat mojego starego, powtarzającego się kosmaru.

Przypominał moją matkę.

To była właśnie taka noc, kiedy wydaje się, że nie może być gorzej, a jednak się tak zdarzyło; niedobra podróż samolotem, mózg otumaniony cienką kaszą tych wszystkich pytań i wątpliwości, że sny przybierały fałszywe, nowe wymiary. A w moim bagażu leżał pistolet, na wszelki wypadek. Nowy wspaniały świat, co mieści w sobie taką istotę!

Kiedy moja matka wypadła przez poręcz balkonu w naszym apartamencie przy Park Avenue, usłyszałem odgłos jej lądowania w moim pokoju. Mieszkanie składało się z trzech pięter, dwudziestu kilku pokoi, a rzeźbiona poręcz balkonu była za niska. Wszyscy zawsze powtarzali, że jest to niebezpieczne, że ktoś pewnego dnia stąd zleci. Byłem w swoim pokoju, słuchałem w radiu meczu nowojorskich Gigantów, co oznaczało oczywiście, że była niedziela. Mój ojciec gdzieś pojechał, a Val odwiedzała przyjaciółkę ze szkoły. Służba miała jedną z wolnych niedziel. Wyglądało na to, że jestem sam z matką.

Usłyszałem jakiś dźwięk: nie płacz, nie krzyk, tylko odgłos czegoś, co okazało się pękaniem szkła i uderzeniem jej głowy o parkiet w holu. Holu? Naprawdę to było coś więcej niż tylko hol. Przypominało komnatę zamkową z legendy. Olbrzymie obrazy, jeden z nich to dzieło Sargenta, kilka drzew w ogromnych, specjalnie odlewanych donicach, perski dywan niepewnego pochodzenia, kilka popiersi i matka lecąca przez przestrzeń, przez nieruchome powietrze, przez kłaczki kurzu i ślady dymu z tysięcy cygar, opadająca jak kamień owinięty w jedną z jej mgławicowych szat - koszulę nocną, suknię jak pajęczyna, a obok niej zlatywał kieliszek z martini - nie, wciąż pozostawał zaciśnięty w jej dłoni. Na Boga, nie miała zamiaru rozlać absolutnie doskonałego drinka tylko dlatego, że zamierzała popełnić samobójstwo, nie wtedy, kiedy nadal miała dość siły by go utrzymać, gdy spadała z hukiem, by roztrzaskać się o mozaikę parkietu.

Cóż, nigdy nie przyznaliśmy, że zginęła z własnej ręki. To był wypadek, ta cholernie niska poręcz. Ten dżin. Ten wermut. Nieszczęsny i nieoczekiwany obrót wypadków. Nikt nie powiedział ani słowa o samobójstwie. Na rany Chrystusa, nie! Nie Driskill. A ja wiedziałem, wiedziałem...

Roztrzaskana o parkiet, wciąż ściskająca delikatny kryształ przez całą drogę w dół; nigdy nie wiesz, kiedy będziesz potrzebował czegoś naprawdę mocniejszego, ostatniego mocniejszego. Zbiegłem po schodach do holu, pogałem w dół po schodach i znalazłem ją z rozbitym kieliszkiem. Roztrzaskana nóżka wbiła się w bladą dłoń o drobnych kościach jak gwóźdź; nieznaczne przytaknięcie katolicyzmowi i jego symbolom - ukrzyżowana nóżką kieliszka z martini. Musiałem chyba usłyszeć pęknięcie szkła, pęknięcie czaszki, rozpadającej się, akumulującej mechaniczne odgłosy śmierci mojej matki. Kiedy tam dotarłem, opierała się plecami o kredens w stylu Gringlinga Gibbonsa. Potem na aukcji u Sotheby sprzedano go za miłą okrągłą sumkę pięćdziesięciu tysięcy, ledwie kieszonkowe dla arabskiego dżentelmena. Była nieprawdopodobnie martwa, jeśli istnieje jakieś stopniowanie śmierci. Pewnie tak. Krew zabrudziła podłogę, płynęła z jej ust, nosa, głowy. Zlepiła włosy. Jej skóra przybrała lekko niebieskawy odcień, ręka przypominała grudę surowego mięsa. Miała otwarte oczy. Niektóre naczynka krwionośne popękały w białkach i wydawała się patrzeć na mnie z nieprzystępnej, drugiej strony krwi. Ta całkowita okropność przydarzyła się jej - tak, przydarzyła się jej - w ciągu kilku sekund. Jakoś miała dość kontroli motorycznej, instynktu, cokolwiek by to było, by uderzyć o podłogę z prędkością x mil na godzinę, zebrać resztki swych części składowych - już martwych, moja biedna matka - i ułożyć w pozycji siedzącej, tak aby syn nie zobaczył jej z rozrzuconymi niedbale nogami, zadartą koszulą, martwą, bez wdzięku.

Mama. Martwa. Teraz znowu zjawia się w moich snach, najpierw w tej okropnej scenie w jakimś holu, w Princeton czy przy Park Avenue. Właśnie to tak dokładnie i szczerze tłumiliem w sobie od samego początku, wiedząc zbyt dobrze, że musi w tej śmierci tkwić przyczyna, bardziej okropna niż mógłbym znieść lub sobie wyobrazić - dlaczego postanowiła zanurkować z balkonu? Po pierwsze ta okropna scena w jakimś holu, gdy jak zawsze wyciąga do mnie ręce, próbując mi coś powiedzieć z twarzą ukrytą w cieniu, czy mgłę, z rodzaju tych znanych tylko w Hollywood i w snach, z zapachem jej wody kolońskiej i pudru. Mgła otaczała nas, uniemożliwiała mi usłyszenie jej, zawiodłem, tak jak zawodziłem całe moje życie, wiedząc, jakie to ważne dla nas obojga, nie mogłem jej usłyszeć... a potem, lata później? miesiące później? przechodziła przez poręcz balkonu, dźwięk, krwawe oczy, kałuża dżinu i wermutu, i jej zapach mieszający się z krwią, martini i śmiercią...

Ona i biedny Etienne LeBecq, moja własna ofiara w tej historii, zamieniali się miejscami w moich snach, nie mogłem ich rozdzielić, wszystko było tak bardzo pomieszane i nie przynoszące rozgrzeszenia.

Z pewnych więzień nie ma ucieczki, nigdy nie ma wyjścia na wolność. I to było prawdą tej nocy, to zawsze było prawdą.

Driskillowie wiedzieli wszystko o więzieniach umysłu.

Zawsze zatrzymywałem się w hotelu George V, ale teraz przeszedłem ogromną zmianę. Jak moja siostra zacząłem oglądać się za siebie. Kiedy pojawiłem się w Paryżu, zlekceważyłem swoje zwykłe miejsce postoję i znalazłem mały, anonimowy hotel na lewym brzegu Sekwany, przy Boule Michę.

Wspiąłem się po wąskich schodach obok trafiki i na parterze zarejestrowałem się i dostałem klucz. Był tam mała, prowizoryczna salka śniadaniowa na prawo i karłowata, chybotliwa klatka windy. Mój pokój był długi, wąski i czysty. Pachniał pastą do podłogi. Usytuowany na rogu z maleńkim typowo francuskim balkonikiem, wychodzącym na Boule Michę. Jeszcze jeden balkon zawiesział się w trójkątnej łazience na boczną uliczką z jaskrawo czerwonymi światłami pizzerii. Był chłodny, wilgotny wieczór z akompaniamentem pomrukujących piorunów. Nocne niebo zaróżowiło się od świateł. Samochody poruszały się bez przerwy wzdłuż bulwarów, jak gdyby mieszkańców denerwowało i drażniło czekanie na listopadowe deszcze. Wiedziałem, że rankiem zniknie sztuczny urok tanich efektów świetlnych i Paryż znowu będzie mokry i szary, taki, jaki powinien być - z niezmiennym urokiem staroświecczyny.

Prześcieradła szeleściły sztywne od krochmalu, poduszki spoczywały ciężkie od pierza, a ja byłem zbyt zmęczony, by myśleć. Zasnąłem z książką Wodehouse'a „Zostawcie to Psmithowi” na piersi. Może zawsze pozostanę niewinny. Słyszałem Val śmiejącą się z daleka, bardzo daleka, z jej wielkiego, niedobrego brata.

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Usłyszałem klucz obracający się w zamku i dziewczyna, która mnie przyjmowała, weszła uśmiechając się i wnosząc wypełnioną tacę. Przyniosła mi koszyczek rogalików i bułeczek, masło, miseczkę z dżemem, srebrne sztućce, kawę, mleko, cukier, wszystko, czego potrzebowałem, by podtrzymać życie. Usiadłem na łóżku ziewając i patrząc, jak deszcz spływa po długich, francuskich oknach, które zostawiłem na noc otwarte. Niebo było idealnie perłowoszare. Pchnąłem okno w łazience. Bryza chłodziła mi plecy, kiedy oglądałem swą wynędzniałą twarz z niedbałym zarostem i oczyma, które wyglądały tak, jakby były bez przerwy zmęczone. Stałem przy umywalce, próbując naprawić szkody. Wciąż grzmiało, łomotało z cichym, równomiernym deszczem. Po kilku minutach stania pod ciepłym prysznicem zmieniłem opatrunek na plecach. Jeśli to nie moje pobożne życzenie wydobyci ze mnie lepsze ja, plecy miały się trochę lepiej. Dla lepszego samopoczucia połknąłem kilka proszków przeciwbólowych. Stałem na balkonie w łazience i poczułem zimną mgłę na twarzy. Spojrzałem w dół na ludzi w płaszczach przeciwdeszczowych, spacerujących z psami, kupujących poranne gazety i stojących w drzwiach kafejek, palących swoje wieczne papierosy i wpatrujących się w samochody przemykające z sykiem wzdłuż mokrych chodników, ze światłami reflektorów, odbijającymi się w plamach deszczu. W południe byłem gotowy do wyjścia.

Znałem pierwszy krok. Znałem miejsce, od którego należało zacząć.

Upłynęło dziesięć lat, od kiedy widziałem po raz ostatni Robbiego Heywooda, nazywanego - jak twierdził mój ojciec - przez wszystkich „Wikarym”. Wyobrażałem sobie, że jest takim typem starego twardego drania, który po prostu nie potrafiłby odejść i umrzeć ot tak sobie. Prawdopodobnie miał już siedemdziesiątkę, ale ten rodzaj ludzi żyje bez końca. Jakim człowiekiem był Wikary? Cóż, starym, zręcznym Australijczykiem, dziennikarzem, który pisał o Europie z Paryża i Rzymu od połowy lat trzydziestych. Połowa wieku, ale co to za czas dla prawdziwego twardziela?

Mój ojciec znał go bardzo długo, od 1935, od czasów gdy pracował w Rzymie dla Kościoła. Przedstawił mnie Wikaremu w Paryżu w czasie tej samej podróży, kiedy Val i ja poznaliśmy też Torricelliego. Mój ojciec stał się wspólnym tematem, który łączył Robbiego Heywooda i mnie w trakcie

moich kolejnych podróży do Paryża, kiedy odszukiwałem go, żeby się przywitać i uraczyć wystawną kolacją. Mój ojciec i Kościół - to też stanowiło odwieczny temat. Dla Robbiego Heywooda moje przygody wśród jezuitów zawsze były nieskończenie zabawne. Tylko on potrafił się z tego wszystkiego śmiać, nie prowokując mnie do przyłożenia mu. Kiedy on uważał coś za śmieszne, ja też dostrzegałem, że rzeczywiście jest śmieszne. Osiągnął, jak podejrzewałem, taki poziom wyrafinowania, który tylko Kościół mógł wyhodować. Katolik, który nigdy nie podniecał się na temat Kościoła, nigdy nie był za ani przeciw. Beznamiętny, rozbawiany tym, co nazywał „zaczynem czystej złośliwości”. Robbie pisał obszernie o Kościele. Mój ojciec mówił o nim, że jest obserwatorem Rzymu i starym ramieniem Watykanu. Zacząłem o nim rozmyślać w czasie lotu do Paryża.

Powinienem przypomnieć sobie o nim wcześniej, kiedy tylko zacząłem myśleć o przyjeździe Val do Paryża w trakcie jej poszukiwań. Nigdy nie słyszałem, żeby o nim wspominała, choć Robbie zawsze tyle o nią pytał. Wątpiłem, czy Val jeszcze go spotkała poza tym razem, kiedy byliśmy dziećmi. Po pierwsze, nie należał do mężczyzn, których lubią kobiety. A po drugie, ona była naukowcem, a Robbie handlarzem plotek, bezczelnym dziennikarzem prosto z australijskiego amatorskiego przedstawienia teatralnego sztuki *Pierwsza strona*. Tak, dopiero gdy już prawie zasypiałem w wysuszonej rurze ze sztucznym ciśnieniem, pędzącej przez własne niewielkie zawirowania czasu, Wikary wpadł mi do głowy i utkwiał tam, zmuszając do zastanowienia, czy Val się z nim spotkała.

Doszedłem do wniosku, że Robbie Heywood stanowił kolejne ogniwo łączące się z przeszłością.

Był w Paryżu w czasie wojny.

Zadzwoiłem pod jego numer, ale nikt nie podniósł słuchawki. Już miałem zadzwonić do „Tabbycats”, kiedy postanowiłem, że wpadnę tam niezapowiedziany i zrobię staremu niespodziankę. Spacer w chłodnym deszczu również dobrze by mi zrobił. Nie mogłem pozbyć się pustyni z moich myśli, oczu i kości. Możesz wziąć sobie pustynię, a mnie daj miasto skulone w deszczu, pełne ludzi, zapachu benzyny i mokrych ulic.

Mieszkanie Robbiego znajdowało się w jednym z tych łuszczących się, rozsypujących starych budynków przy placu de la Contrescarpe, gdzie Rabelais zwykł się przechadzać prawie pięćset lat temu. Wikary kochał tę okolicę ze względu na jej wytartą wzniosłość, staroświeckość i historię. Kiedyś mi pokazał rue Mouffetard 53 tuż przy placu, gdzie robotnicy znaleźli w studni trzy tysiące trzysta pięćdziesiąt jeden dwudziestokaratowych złotych monet. Bankier Ludwika XV dawno temu ukrył tam pieniądze. Robbie właśnie wprowadził się do swoich pokoi wychodzących na plac i pamiętał podniecenie odkrycia, jak gdyby miało ono miejsce wczoraj. Wikary potrafił ożywić przeszłość; teraz chciałem dostarczyć mu opowieści z gatunku tych, które lubił najbardziej. Brudna robota, szantaż, morderstwo, a wszystko wewnątrz Kościoła w Rzymie.

Wyruszyłem z hotelu, uspokojony dzięki znajomemu otoczeniu, przerzucając uporządkowane wspomnienia i wracając do kłopotliwego pytania o moją matkę. Poczułem, że Paryż łagodzi narosłe we mnie napięcie. Mogłem myśleć o śmierci mojej matki, o śmierci mojej siostry, po raz pierwszy ta myśl nie doprowadzała mnie do szaleństwa. Przeszedłem przez bulwar Saint-Germain przy placu Maubert, o którym wiedziałem - znowu dzięki Wikaremu - że miał okropną przeszłość, bo kiedyś służył jako miejsce

egzekucji. W 1546, za panowania Franciszka I; pojмали i skazali na spalenie na stosie jako heretyka humanistę, filozofa i drukarza Etienne Doleta. Spłonął na placu Maubert. Na podpałkę wykorzystali jego własne książki. Tłum z dzielnic nędzy, nasączony *gros rouge* i wrzeszczący z podniecenia - to musiały być ostatnie dźwięki, które Dolet usłyszał. Robbie Heywood nigdy nie przeszedł przez plac bez pozdrowienia pomnika monsieur Doleta.

- Czasy się zmieniają - zwykł mówić - a Paryż nigdy cię nie zapomni.

Targ, który rozspiewał się w miejscu słupa dla skazańca, odbywał się, pełen krzątających się pomimo deszczu sklepikarzy.

Poszedłem wzdłuż rue Mogne, potem skręciłem w prawo w rue du Cardinal Lemoine i nią dotarłem do placu de la Contrescarpe. Nie wiał tam wiatr, a mokre liście przyklejały się do chodników jak ślady stóp. Potężna kopia Pantheonu unosiła się w powietrzu jak zjawisko, niezwykle statek kosmiczny, lądujący lub odlatujący w mgle i deszczu. Zabrakło mi tchu, gdy stałem patrząc na okna na drugim piętrze, okna mieszkania Robbiego. Zasunięte żaluzje i smugi deszczu kapiącego równomiernie z okapu. Contrescarpe zawsze wyglądał trochę jak opuszczona dekoracja do filmu z twardym facetem - Jeanem Gąbinem. Była tam mała plama trawy z kilkoma drzewami po środku. Drzewa wyglądały nędznie - mokre, czarne i bez liści. Kłozardzi, żebracy i włóczędzy, którzy od stuleci ściągali do tego miejsca, zebrali się tam, szare quorum dyskutujące o sprawach dnia codziennego. Może czekali tutaj na mój powrót, nie ruszając się w ogóle z miejsca przez te wszystkie lata? Schowali się pod drzewami w swetrach i płaszczach przeciwdeszczowych. Kilka parasoli lśniło jak błyszczące, mokre gładkie kamienie. Paru skuliło się pod daszkiem skleconym z resztek drewnianych skrzynek.

„Tabbycats” wciąż tam był, bar i kafejka wychodzące na plac z długą wyciągniętą brwią - markizą w spłowiałe białe-zielone pasy. Płótno się wyciągnęło i zbierał się tam deszcz w ciężkich kałużach. Ta markiza nie miała przetrwać do następnego lata. Biała farba wyglądała na brudną, miejscami spuchła i odpadła. Przeszedłem przez plac. Kłozardzi spokojnie obserwowali obcego. Wszedłem do nędznego lokaliku, który Wikary wykorzystywał na biuro.

Ogromny leniwy dachowiec leżał w pozie eleganckiej arogancji na końcu wypolerowanego baru, mrużył oczy wpatrując się we mnie. Ogon poruszał się to w jedną stronę, to w drugą, jak wahadło starego zegara. To był albo ten sam kot, który tu zawsze był, albo identyczny następca. Wydawał się nigdy nie starzeć. Claude stał za barem, rozmawiając z łysiejącym mężczyzną o głowie w kształcie kuli i ogromnym nosie, który wydawał się zajmować cały przód jego czaszki tak jak u kreta. Okulary w czarnej oprawie niepewnie na nim zwisały. Był w czarnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie. Okazało się, że barmanem jest nadal Claude, ale jego wąsy i włosy posiwiwały.

- To melina - powiedział Robbie, kiedy spotkaliśmy się tam po raz pierwszy. - Ale i moje biuro. Claude barman też jest Australijczykiem, więc mogę mu zaufać, nie tak jak tym pieprzonym zabojadom. To jest dziura dla uczciwego człowieka, Wasza Łaskawość, jedyna dziura w tym mieście warta tej nazwy.

Claude podszedł do mnie, kot kolebał się obok niego, aż nagle przystanął i zasyczał na mnie.

- Pan Driskill - powiedział. - Minęło trochę czasu.

- Prawie dziesięć lat - odparłem. - Ma pan dobrą pamięć. Tylko zdaje się, że kot mnie nie pamięta.

- Och, nie widział pan jeszcze Balzaka. Ma dopiero sześć lat. Leniwy drań. Jedynym jego zajęciem jest podlewanie drzewka bananowego przy drzwiach. - To było coś nowego. Wyrosło za duże, miało zatrważający obwód. - Balzac o nie dba za mnie. Obsikuje je. Dwa razy dziennie, przez co piekielnie szybko rośnie. Bez obawy. - Westchnął, a ja zamówiłem alzackie piwo.

- Wikary pojawiał się tu dzisiaj? Myślałem, że zrobię mu niespodziankę. - Znowu grzmiało, a Balzak uniósł głowę. Claude postawił przede mną kufel.

- O, rany - westchnął. - O rany, rany, rany... - Popatrzył w głąb baru na człowieka z twarzą kreta i skinął do niego. - Clive, chodź tutaj. To Ben Driskill, słyszałeś, jak Wikary rozpływał się nad nim.

Mężczyzna podszedł do mnie, wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją. Był kulawy i trzymał laskę.

- Clive Paternoster do usług. Robbie bardzo się przejął wiadomością o śmierci pańskiej siostry. Jakie to okropne ze strony Boga - jestem pewien, że może pan go sobie wyobrazić, jak to mówi. Spotkał się z nią kilkakrotnie tego lata, wie pan. Dlatego ją poznałem. Ach tak, drogi stary Wikary...

- Gdzie on jest? - zapytałem. - Tylko proszę mi nie mówić, że pracuje. - Uśmiechnąłem się, ale nie odwzajemnili uśmiechu.

- Spóźnił się pan trzy dni, przyjacielu - powiedział Clive Paternoster, mrugając zza ogromnego nosa. - Przedwczoraj Wikary odpadł z gry. Nie ma go już, panie Driskill. Stosunkowo młody człowiek. Siedemdziesiątka jak obszył. Sam mam sześćdziesiąt trzy. - Wepchnął ciężką czarną oprawkę na miejsce. - Wikary nie żyje, panie Driskill, ścięty w samej wiosnie życia.

- Ogromnie mi przykro - powiedziałem, wstrząśniętym głosem. - Był dobrym kumplem. - Myślałem: widywał się z Val! Ale dlaczego? O czym rozmawiali? Czy miało to znaczenie? Był w Paryżu od dawna... - Co się stało? Co było przyczyną?

- To stało się bardzo szybko - powiedział Claude gorzko, głaszcząc kota. Popatrzył ze smutkiem na Clive'a.

- O to właśnie mi chodziło... Ścięty w wiosnie...

- Nie rozumiem...

- Przemoc na ulicy - odparł cicho Clive Paternoster. - Ktoś wbił mu nóż. - Popatrzył na swój czarny zegar. - Mógłby pan pójść na pogrzeb. Składamy Wikarego do ziemi za godzinę.

Pochowano Wikarego na małym, odległym cmentarzu w ponurej dzielnicy miasta, niedaleko węzła kilku linii kolejowych. Trumna była prosta, ksiądz niezbyt zainteresowany, a grób czarny i błotnisty. Panował przenikliwy ziąb. Rozmiękła zwirowa ścieżka miała brązowy kolor, a zbyt krótko przycięta trawa nabrała barwy piasku. Przyszło tylko sześcioro żałobników, nikt nie płakał i nie załamywał rąk w rozpacz. Po obu stronach ścieżki prowadzącej do grobu posadzono podwójny szereg wiecznie zielonych drzewek-nadzwyczajna symetria charakteryzująca wszystkich Paryżan. Właśnie tak odchodził Wikary, a to tylko dowodziło że co miało znaczenie to żywi, a nie umarli.

Wracaliśmy z cmentarza. Clive Paternoster zapalił gauloise'a i wepchnął ręce głęboko w kieszenie czarnego płaszcza. Przygarbione ramiona sprawiały wrażenie, że pcha swój nos przed sobą, zupełnie jak człowiek przesuwający gigantyczny fistaszek przez cały Paryż. Deszcz kapał z runda jego kapelusza.

- Mieszkaliśmy z Robbiem razem przez ostatnie pięć, sześć lat. Ludzie nazywali nas starym małżeństwem, ale on wie, zgadzaliśmy się ze sobą. Dwa stare pryki czekające końca - okłamałem pana przedtem, mam prawie siedemdziesiąt lat - dwa stare pryki wspominające czasy, kiedy byli młodzi i pełni ikry. Trudno uwierzyć, że go nie ma. Nas dwóch, więcej niż na nas przypadało, pisało o wojnach, morderstwach, skandalach, wyborach... Mam tę kulawą nóżkę dzięki mongolskiemu snajperowi - od czasów awantury w Korei. Ale to Kościół, tak by można powiedzieć, nas połączył. Stał się obsesją. Interesujący mechanizm - Kościół. Idealna ucieczka dla łajdaków, oczywiście.

- Niech mi pan powie, jak on umarł. Wszystko, co pan wie. Popatrzył na mnie z zaciekawieniem, a potem nieznacznie wzruszył ramionami. Nie mógł się oprzeć dobrej opowieści.

- Ktoś dopadł Wikarego jakieś pięć minut drogi od naszego domu. Znalazłem go na podeście przed naszymi drzwiami: skulonego, z twarzą ku ziemi, w jednej z tych jego krzykliwych, okropnych, nachalnych marynarek - same kraty, wie pan. Upadł z twarzą wciśniętą między słupki ogrodzenia. Pamięta pan, jak to wygląda. Kiedy szedłem na dół, do drzwi, usłyszałem taki dziwny dźwięk, coś jak tykanie zegara, jednostajne tik-tik-tik, a nie zauważyłem tego nigdy przedtem... Stałem w ciemnej klatce schodowej i wydawało mi się, że czuję jakiś zapach, który czułem już przedtem - w Algierii, w celi, gdzie torturowano. Często się tak działo wtedy w czasie algierskiej awantury - znowu to słowo - i to, co wtedy czułem, to była krew. A kiedy zrobiłem krok do przodu, coś kapnęło mi na kapelusz. Tik-tik-tik, poczułem, zdjąłem z głowy, cały się kleił. Wtedy wielka, tłusta kropla spadła mi na głowę... Krew oczywiście, krew spadała z podestu, a kiedy tam dotarłem, stary Robbie już odszedł, no prawie odszedł, mamrotał coś o zielonych polach jak Falstaff, wie pan... mówił o lecie, że właśnie tam jest pewnego słonecznego, gorącego, letniego popołudnia...

Zapalił następnego papierosa od niedopałka poprzedniego i poszliśmy dalej. Nieźle mu szło się o lasce. Byliśmy gdzieś w Clichy.

- No i poszedłem za krwią jak stary indiański tropiciel. Robbiego zranionego w brzuch i w pierś, to był cud, że dotarł dalej niż dziesięć stóp... Wikary był mocnym człowiekiem, bardzo mocnym... Więc poszedłem za krwią, dzięki Bogu nie padało. Krew zniknęła na rogu rue Mouffetard i rue Ortolan, tam się to musiało stać... Prawdopodobnie jakiś *kloszard* z placu. Wiedział, kim jest Robbie, wyszedł zza rogu i miał go na ostrzu...

- Obrabowano go?

- Nie i to mnie zdziwiło. Pomyślałem, że to pewnie facet, któremu odpalantowało pod sufitem...

- Tak, chyba tak. - Nic więcej nie było do powiedzenia. Może naprawdę został zabity przez maniaka, może jego śmierć nie miała związku z żadnym z moich kłopotów, ale może książyc to pecyna zielonego sera. A może sam zbliżyłem się do krawędzi choroby psychicznej ze swoimi podejrzeniami.

Złapaliśmy taksówkę i wróciliśmy do Contrescarpe. Clive Paternoster pokazał mi róg, na którym zaszytletowano Robbiego. Poszliśmy drogą, jak wtedy, gdy próbował dostać się do domu. Weszliśmy do środka, stanęliśmy na klatce, weszliśmy po schodach na półpiętro, gdzie Robbie się wykrwawił na śmierć. Dozorczyni w domu Paternostra wyczyściła zaplamiony chodnik i prawie cała krew zesła. Wybielone plamy rujnujące stary, wyleniały chodnik stały się jeszcze bardziej widoczne.

Zaprowadził mnie do mieszkania i zobaczyłem miejsce, które dwóch starych kawalerów uczyniło swoim domem, pełnym pamiątek dwóch długich karier. Tyle było tu gratów. Drewniane śmigło z czasów bitwy o Anglię, skrzyżowane wiosła z regat w Henley, kij do krykieta z meczu w Lord, fotografia Wikarego i Führera, Wikarego i papieża Piusa, Clive'a Paternostra z Piušem i Torricellim, z de Gaullem przy kolacji, z Jean-Paulem Belmondo palącym papierosa i Brigitte Bardot na kolanach u Paternostra, z Yvesem Montandem, Simone Signoret i Paternostrem, Hemigway i Wikary obejmujący się ramionami pod Łukiem Triumfalnym. Niezła para życiorysów, kiedyś o szerokim zasięgu, część historii tamtych czasów, teraz zmniejszających się, zwężających, zbiegających. Paryż, plac de la Contrescarpe, „Tabbycats”, zakrwawiony róg ulicy, wyblakłe ślady na chodniku, małe mieszkanie z pamiątkami, które pewnego dnia znajdą się na wyprzedaży w rupieciarni na pchlim targu przy bocznej uliczce...

Kloszardzi rozpalili ognisko i siedzieli dookoła, ignorując wieczorną zimną mżawkę. Na ogniu ustawili dwie ogromne patelnie z czarnego żelaza, ze szmatami owiniętymi na rączkach, pełne skwierczących czosnkowych kiełbas, cebuli, papryki i kawałków kartofli. Dostrzegłem butelki taniego czerwonego wina, długie chrupiące bułki. Był to piknik kloszardów. Jedzenie rozsiewało cudowny aromat, wymieszany z zapachem deszczu i jesieni przechodzącej powoli we wczesną zimę. Gdy się im przyglądałem, jeden z włóczęgów skropił zawartość obu patelni winem. Zaskwierczało i uniósł się obłoczek pary.

Siedzieliśmy z Clivem Paternostrem przy stoliku obok okna. Balzac kontemlował drzewko bananowe. Jedliśmy kolację *pot au feu* - grubo zmielony czosnkowy pasztet z korniszonami i bardzo dobre Margaux.

- Nie mówię, że Wikary nie miał wad - powiedział Paternoster, zanurzając chleb w gęstym sosie. - Ale brakuje mi tego faceta. Zналиśmy te same rzeczy, mogliśmy rozmawiać. A także wspominać. Kiedy się troszkę zestarzejesz, to nie jest takie złe siedzieć razem deszczowego wieczora i wspominać. Nie był doskonały, ale nie był aż tak zły.

- Po co moja siostra chciała się z nim spotkać?

- Te wszystkie brednie o wojnie numer dwa. Chciała się dowiedzieć o Torricellim i... - przerwał, oczy mrugały pomarszczonymi powiekami. Miał krzaczaste brwi, jak żywopłot wymagający przycięcia.

- I? I o czym? Proszę nie przerywać.

- Bardzo interesowało ją wszystko z tego okresu. Wszystko, co zapamiętaliśmy. Byłem tam też, oczywiście. Torricelli! Hej, co z niego za ślicznotka! Mój Boże, czyż nie był zręcznym i śliskim starym diablem? Znał życie i drogi świata - sprytny, stary barbarzyńca! Ale wtedy musiał być taki, nieprawdaż? Człowiek w samym środku, a nie chciał wybierać. Naziści po jednej stronie, Kościół po drugiej - a mówią o deszczu i rynnie! Szczególnie po tym, jak D'Ambrizzi przyjechał tu z Rzymu. To był dopiero pistolet. - Pokręcił głową, przywołując dawne dni. - Doprowadzał Torricelliego do szau.

- Czy opowiedzieliście to wszystko mojej siostrze?

- Och, spotkała się z Wikarym innym razem, kiedy byłem nieobecny. - Wzruszył ramionami. - I nie wiem... ale główną sprawę nazywał papierami cholernego Philippa Tramonte'a...

- Co to za papiery?

- Tramonte jest siostrzeńcem starego biskupa, tchórzliwy mały głupiec, ciota, jeśli by mnie kto pytał, ale naprawdę wielki pan. To facet, który opiekuje się zbiorami papierów Torricelliego. Nazywa to „Archiwami”. Naprawdę! Jeśli pan chce wiedzieć, czego szukała pańska siostra, musi pan rzucić okiem na pieprzone stare Archiwa. - Roześmiał się zniechęcająco. - Zadzwoń rano do Tramonte'a, jeśli pan chce, by to panu załatwić.

Piliśmy właśnie naszą drugą filiżankę kawy, gdy zadałem mu pytanie, które uporczywie chodziło mi po głowie.

- Może wie pan, czy Wikary miał niedawno innego gościa - księdza, wysokiego mężczyznę, prawie w tym samym wieku co pan i Robbie? Dystyngowany, siwe włosy, bardzo sprawny...

Paternoster zmarszczył swój nos kreta i otworzył szeroko oczy.

- Ale ma pan nosa! Niech to diabli! Skąd, jeśli wolno zapytać, pan wiedział?

Krew stanęła mi w żyłach, instykt prawnika mnie nie zawiodł. To musiało tak być, następny związek.

- Strzał w ciemno. Był jedną z ostatnich osób, których widziała moja siostra.

- Przynosi pecha.

- Czego chciał od Wikarego? Paternoster wzruszył ramionami.

- Po prostu zjawił się któregoś dnia. Pewnego ranka w zeszłym tygodniu staliśmy dokładnie w tym miejscu na zewnątrz. Cholera, to było dzień przed zabiciem go. Ten siwy ksiądz nagle tu stanął... i sam się przedstawił Wikaremu... Powiedział mu, że jest... ojcem Augustem Horstmannem, tak, wydaje mi się, że właśnie tak... Tak, August Horstmann. A Wikaremu jakby opadła szczęka i powiedział coś dziwnego... powiedział: „Błogosław mnie Panie! August! Myślałem, że nie żyjesz od czterdziestu lat” A potem przedstawił mnie. Poszedłem gdzieś w swoich sprawach, a tych dwóch odeszło jak... para starych kumpli.

- Starych kumpli - powtórzyłem.

- W nocy zapytałem go o tego faceta, ale Wikary nie miał o nim zbyt wiele do powiedzenia. Przyjąłem, że ojciec Horstmann jest kimś, kogo znał z wojny...

- W Paryżu - powiedziałem cicho. - W czasie wojny. Następnego dnia Wikary nie żył. Cztery dni temu.

Miałem wrażenie, że Clive Paternoster jest prawdziwym szczęściarzem.

August Horstmann wiedział, że znajdę drogę do Robbiego Heywooda.

Po kolejnej z moich już normalnie piekielnych nocy - piekielnych, bo już nie mogłem przestać się bać - ulgę przyniósł mi widok anemicznego szarego światła za moim oknem nad bulwarem Saint-Germain i pary jaskółek, siedzących na poręczy balkonu i wpatrujących się we mnie. Czuję się zmęczony, a napięcie pochodzące z przekonania, że Horstmann mnie śledzi, znowu wbiło mi gorący pręt w plecy. Chociaż przebudzenie było lepsze niż leżenie w łóżku i koszmary.

W połowie poranka stałem o dziesięć minut drogi od mojego hotelu i naciskałem guzik obok

starych, spaczonych, drewnianych drzwi z zawiasami jak kotwice. Długi mur rozciągał się z obu stron, nie pozwalając ani zajrzeć do środka, ani na podwórko. To mógł być jeden z tysięcy takich budynków w Paryżu. Ponownie zadzwoniłem po pięciu minutach oczekiwania. Stary odźwierny, wyglądający jak żywcem przeniesiony z siedemnastego wieku, otworzył drzwi. Potrzebowały naoliwienia. Dzień był szary i mglisty. Plamy wilgoci znaczyły ściany ze stiuku. Mokry żwir na podwórzu chrząścił pod stopami, przypominał mi cmentarz w Clichy z wczoraj. Odźwierny pchnął drzwi i zamknął je, splunął przez wąsy i wskazał na schody, prowadzące do piwnicy. Odszedł zgarbiony, z grabiami w rękę, a kiedy ponownie spojrzałem w kierunku piwnicy, stał tam mężczyzna w purpurowej welwetowej marynarce z jasno błyszczącymi łatami i czekał na mnie.

Philippe Tramonte wyglądał tak, jakby zaprojektował go Aubrey Beardsley: chudy, blady, wysoki, welwetowa marynarka, perłowszare spodnie z kantami, które mogło wykreślić jego piórko, czarne wiązane pantofle. Zakrzywiony nos Shylocka z kościstym łukiem dowodził genetycznych związków z jego wujem, biskupem. Na małym palcu tkwił ogromny pierścionek z ametystem oprawionym w złoto: jakby przeznaczony do całowania. Jego głos wysoki i cienki, angielski z wyraźnym akcentem, ale płynny, a jego westchnienia - gargantuiczne, sprawiające przygnębiające wrażenie - towarzyszyły nam w drodze do Archiwum w taki sposób, jak muzyka Maurice'a Jarra w tle. Chciał, abym zrozumiał, że rola archiwisty jest potwornie wymagająca. Wyraziłem współczucie. Niektórym jest wyjątkowo ciężko.

Zaprowadził mnie długim korytarzem tam, gdzie kiedyś mieścił się wspaniały salon, teraz trochę zaniedbany. Ozdobne gzymsy były odłupane. Postrzępiony dywan wielkości Atlantydy, ale nieporównanie starszy, zakrywał środek pokoju. Dwa długie biblioteczne stoły z krzesłami i lampami stały na dywanie. Ogromne sztalugi umieszczono w jednym końcu pod gobelinem, na którym typowy rycerz zabijał typowego zionącego ogniem smoka, przyłapanego na robieniu wiadomo czego z blondynką. Niektóre rzeczy przez stulecia nigdy się nie zmieniają. Sztalugi stały puste, ale w mojej głowie pojawił się wyraźnie obraz namalowany przez ojca przedstawiający Konstantyna mającego wizję, która zmieniła na zawsze Kościół i cały zachodni świat. Mój ojciec wolał ważne tematy. Nie dla niego rycerze, smoki czy blondyny.

Tramonte podszedł ze mną do ściany z szafami o szklanych drzwiach i wyjaśnił mi, że jak rozumie, interesują mnie papiery, jakie przeglądała moja siostra. On był, oczywiście, zbyt obciążony własnymi zmartwieniami, by wyrazić jakiegokolwiek współczucie z powodu jej śmierci. Wskazał omdłym gestem odpowiednie pudła na półkach. Oznaczono je datami 1943, 1944 i 1945. To były właśnie te. Westchnął, zafalowała wąska pierś. Poprosił mnie, abym z łaski swojej był ostrożny, zostawił materiał w takiej kolejności, w jakiej go znalazłem, i odstawił każde pudło na miejsce, gdy już skończę. Skinął mi głową, przyjmując należny mu szacunek i podreptał z powrotem, zostawiając mnie samego. Postawiłem pierwsze pudło na jednym ze stołów - długim, ciemnym i doskonale wypolerowanym. Wyciągnąłem notatnik i przystąpiłem do pracy.

Spędziłem dwa i pół dnia przekopując się przez papiery starego biskupa. Większość z nich

napisano po francusku i włosku, kilka po niemiecku, a część po angielsku. Kiedy w końcu rzuciłem ręcznik na ring i opadłem na moje niewygodne krzesło z prostym oparciem, miałem migrenę i skurcz mózgu. Wywalczyłem sobie drogę przez kilka kwintali papieru i zastanawiałem się, co ja tu, do cholery, mam. Był to mój trzeci dzień w Archiwach i listopadowy deszcz wciąż siekł o wysokie francuskie okna.

Czytałem pamiętniki, memoranda, zwyczajne zapiski, jakie biskup zrobił dla siebie i jego uwagi dla innych, listy, które wysłał i listy, które otrzymał. Przypominało to układanie mozaiki, kiedy nie ma się pojęcia, jak powinna wyglądać po ukończeniu. Cały czas myślałem o Val, próbując zrozumieć, czego szukała, a co *wiedziała!* Zacząłem uświadamiać sobie, że prawie na pewno nigdy nie zrozumieję, co się działo w jej głowie. Może coś dostrzegę, ale nigdy nie zobaczę całego obrazu. Moje odkrywanie jej toku rozumowania było jeszcze bardziej zagmatwane, gdyż śledziłem go wstecz, wstecz do chwili, gdy miała jakiś powód, by rozpocząć poszukiwania - ale zwątpiłem, czy kiedykolwiek dotrę aż tak daleko. Przemierzałem dżunglę, by odkryć źródła Nilu.

To, co przeczytałem, dowodziło, że między Torricellim a zdecydowanym parweniuszem, księdzem Giacomo D'Ambrizzim, trwała od początku wojna o kwestię poparcia Kościoła dla *le Resistance*. D'Ambrizzi zaoferował pomoc i wsparcie dla sabotażystów z ruchu oporu, co doprowadzało Torricelliego do pasji, gdyż to on powinien uważać, by nie spaść z liny, po której stapał, gdy miał do czynienia z przedstawicielami niemieckiej armii okupacyjnej. Torricelli musiał kontaktować się z Abwehrą, gestapo, zwykłymi gońcami, z wszystkimi. Zdaniem biskupa D'Ambrizzi oszalał, był porywczym narwańcem opanowanym przez wybory moralne, a nie okoliczności; z całą jasnością uważał, że D'Ambrizzi ryzykował zemstę Niemców, która mogła przyjść miażdżąc Kościół w Paryżu, a może nawet w całej Europie. Torricelli przedstawił swe żmartwienia papieżowi Piusowi, a papież odpowiedział, aby biskup do diabła zapewnił, że żaden D'Ambrizzi ani nikt inny z kręgów kościelnych nie zrobi niczego, by pomóc ruchowi oporu. Nie miałem żadnych wątpliwości, gdy czytałem te dokumenty, że Pius był bardzo, bardzo poważny. Moją siostrę musiała ogarnąć ekstaza, kiedy dotarła do tak niesamowitego materiału źródłowego.

Znajdowały się tam też zapiski dotyczące Richtera, rodziny LeBecq, kwestii dzieł sztuki i tego, dokąd można by je przesłać. Richter był najwyraźniej zamieszany w zabieranie dzieł sztuki ograbianym Żydom dla prywatnych galerii Goeringa, jak i w odsprzedawanie ich części Kościołowi. Stało się zatem oczywiste, dlaczego Val trafiła w swych poszukiwaniach do Aleksandrii. Torricelli wspominał również kogoś zwanego „Zbieraczem”, kto przyjeżdżał z Rzymu, by obejrzyć dzieła sztuki i zdecydować ostatecznie, czego Kościół chciał dla siebie. Kim, zastanawiałem się, był Zbieracz? Trzeba to dopisać do listy pytań.

Natrafiłem też na dręczące wzmianki o Simonie.

Etienne LeBecq bał się, że to Simon przysłał mnie z Rzymu, by go zabić... Tak się bał, że w końcu uciekł i popełnił samobójstwo. Simon, jeden z pseudonimów. I znowu tu się pojawił. Simon to, Simon tamto. W całym roku 1943 i 1944. Paryż wyzwolono pod koniec sierpnia 1944 i całe życie się zmieniło, Niemcy odeszli.

Miałem trudności w tłumaczeniu materiału o Simonie. Trudności językowe i kłopoty z

odczytaniem pisma Torricelliego, które szalało, bo gdy tylko przychodziło mu na myśl imię Simona, bardzo się denerwował, śpieszył i płątał. Historia wydawała się wyglądać następująco: zimą 1944-1945, kiedy walki toczyły się w Ardenach, Torricelli kompletnie się rozkleił, odkrywając „spisek tak potworny, że nic mi innego nie pozostało jak wezwać Arcyksięcia na poufne spotkanie. Tylko on potrafi kontrolować Simona! Co innego mógłbym zrobić? Zabiłby mnie, gdybym wszedł mu w drogę. Zamierzam tylko powiedzieć Arcyksięciu i modlić się, żeby go powstrzymał. Czy Simon się go posłucha? Nie mogę zaryzykować ani jednego słowa więcej na papierze... Jakikolwiek są moje przekonania polityczne - czy w świecie takim jak ten, mam jeszcze jakieś przekonania polityczne? - Nie potrafię zaakceptować tego, co zamierza Simon. Cud, że się o tym dowiedziałem... Co powie Arcyksiążę? A Simon - czy jest dobrem czy złem? Co to będzie, i jeśli za tym wszystkim stoi Arcyksiążę, a Simon jest tylko jego narzędziem? Czy Arcyksiążę obróci się przeciwko mnie, jeśli ja obrócę się przeciwko Simonowi? Ale muszę, bo inaczej krew naszej ofiary będzie też na moich rękach!”

Tego wieczora sam zjadłem kolację w małej pizzerii. Pizza była smaczna. Kilka smażonych jajek i anchois pływających w gęstym, gładkim sosie ze świeżych pomidorów na oliwie, z czosnkiem i oregano. Próbowałem skoncentrować się na jedzeniu, bo inny bieg myśli groził natknięciem się na brutalny konflikt między informacją a zrozumieniem. Spotkałem się już oczywiście z taką dychotomią w trakcie mojej praktyki prawniczej. Ktoś pracujący dla ciebie przychodzi i wylewa ci tonę informacji na biurko - wszystko od wczorajszych zeznań pod przysięgą po precedensy sprzed siedemdziesięciu lat. To, co musisz zrobić, to jakoś przekształcić wszystko w zrozumienie, stać się własną agencją wywiadowczą. Musisz poobracać wszystkie kawałki informacji w głowie, aż zaczniesz dostrzegać interpretację, rozwiązanie, które miałyby jakiś sens. Musisz odsiać niezgodności, wpatrywać się dniami, tygodniami, miesiącami w informację, aż zobaczysz cień jakiegoś rozwiązania - jak rysunek na Całunie Turyńskim, czy twarz na Marsie, o której wszyscy mówili jeszcze nie tak dawno temu. Tylko cień, a mógł sprawić, że było od czego zacząć. Cień.

No tak, miałem mnóstwo cieni. Mnóstwo informacji na granicy przyjęcia jakiegoś kształtu.

Nadszedł więc czas, by zjeść pizzę, popić mnóstwem piwa Fischer, pospacerować wzdłuż ogrodu otaczającego Ogród Luksemburski i pozwolić, by listopadowy deszcz zmoczył płaszcz. Nie miało sensu myśleć o tym, co już wiedziałem. Później tej nocy zmienił się mój nastrój. Byłem pewien, że August Horstmann mnie śledzi, próbuje trafić na najdogodniejszy moment, by zabić. Robiłem to, co robiła Val. Zabił ją. Zabił Robbiego Heywooda, kiedy doszedł do wniosku, że zdecydowałem się odtworzyć drogę Val aż do starego dziennikarza. Musiał być gdzieś blisko, by mnie też wykończyć.

Może wyobraził sobie, że martwi Robbie Heywood oznacza, że sprawa jest zamknięta, trop zimny jak moja siostra. Może byłem bezpieczny. Może nie liczył, że Clive Paternoster wie aż tyle...

Czy to znaczyło, że Horstmann i Heywood byli starymi kumplami?

Zadzwoniłem do mojego ojca do szpitala w Princeton. Głos miał słaby, ale wyraźny. Mamrotanie, które słyszałem przedtem, zniknęło. Chciał wiedzieć, gdzie jestem, co robię i z kim się spotykam.

Wyjaśniłem mu, że idę śladami Val, że znalazłem ludzi z Paryża z czasów wojny; Richtera, LeBecqą, siostrzeńca biskupa Torricelliego, Clive'a Paternostra. Powiedziałem mu, że Robbie Heywood został zabity przez tego samego człowieka - kogoś nazywającego się August Horstmann, księdza, znajomego Wikarego z czasu wojny - który zabił Val, Lockhardta i Heffernana.

Mój ojciec rzekł cicho, ze smutkiem:

- Och, nie Robbie, nie Wikary... cholera...

- Posłuchaj, przyjeżdżałeś i wyjeżdżałeś z Paryża w czasie niemieckiej okupacji. Czy kiedykolwiek słyszałeś te pseudonimy?

Powiedziałem mu o Simonie i Arcyksięciu. Tak łatwo zapomniałem, że mój ojciec może być źródłem informacji. Nigdy nie chciał mówić o latach spędzonych w BSS. Może teraz sobie coś przypomni i się otworzy.

Po chwili wydał z siebie ostry śmiech, zduszony potem przez kaszel.

- Synu, najlepiej pamiętam, że się bałem, żeby mi jakiś napalony szwab nie odstrzelił ogona. Bałem się, iż popełnię jakiś błąd i będę musiał zgryźć kapsułkę z cyjankiem, zanim kogoś wsypię. Powiem ci jedną rzecz. Torricelli z całą pewnością miał rację: D'Ambrizzi pracował z ruchem oporu. To doprowadzało Torricelliego do białej gorączki. Nic mnie to nie obchodziło, ale coś słyszałem - właśnie tak poznałem D'Ambrizziego, przez moje kontakty z ruchem oporu. Wszystko, co wtedy robiłem, Ben, to wskoczyć i wyskoczyć, czasami na spadochronie, czasami na rybackiej łodzi do wybrzeży Bretanii - robiłem swoją robotę i starałem się dostać do Szwajcarii żywy...

- Pamiętam film - powiedziałem.

- Film! - Znowu zakaszłał. - Daj spokój, synu, proszę, Ben, to twoje życie jest stawką, cokolwiek, do diabła, się dzieje...

- Będę ostrożny.

- Ostrożny - powtórzył bezradnie. - Nie rozumiesz, że „ostrożny” nic, do diabła, nie znaczy? - Znowu zaczął kaszleć i nie mogłem wyciągnąć od niego żadnej odpowiedzi przez dziesięć czy piętnaście sekund. Potem usłyszałem głos pielęgniarki wyjaśniającej mi, że wszystko jest w porządku, ale ojciec ma właśnie zapalenie jednego płuca. Nie powinienem się martwić, wszystko jest pod kontrolą. Jego kaszel w tle ucichł. Poprosiłem ją, by powiedziała mu, że wkrótce znowu zadzwonię.

- Powiedziałeś mi, że moja siostra chciała się dowiedzieć o Torricelliego i o coś jeszcze. O co? Co to było?

Siedziałem w głębokim fotelu między drewnianym skrzydłem samolotu a stołem pełnym fotografii w ramkach i pracowałem nad szklanką szkockiej Clive'a Paternostra. Mój gospodarz opierał się o kominek, palił antyczną fajkę, którą bez przerwy polerował o nos.

- Och, naprawdę, mój stary, to nie jest dla ciebie. - Pociągnął nosem i wlał w siebie trochę szkockiej, aż podskoczyło mu wystające jabłko Adama.

- Nie, nie, mówię całkiem poważnie. Musi być coś, co zatrzymałeś dla siebie. Pozwól mi to ocenić. Chodzi o moją siostrę.

- Istnieje łąd wróżek, duszków i małych ludzików w zielonych kapeluszach i butach z zakrzywionymi czubkami...

- O czym, do diabła, mówisz?

Z okna przy fotelu mogłem popatrzeć w dół przez nagie gałęzie drzewa na zniszczoną markizę i światła w „Tabbycats”. To właśnie tam Horstmann zaaranżował przypadkowe wpadnięcie na starego kumpla Heywooda, który uważał go za zmarłego od czterdziestu lat.

- Dobra, twoja siostra przychodzi do Wikarego i ma do zadania mnóstwo pytań o lata wojny, o Torricelliego i... i...

- O... o co?

- I o *assassini*! No i co, jesteś usatysfakcjonowany? Stary Clive wychodzi na głupca! - Zapykał nerwowo z fajki, leśny zapach wypełnił pokój.

- *Assassini*! Nie chwytam. Co to za sprawa? To włoskie słowo oznaczające morderców. Co w tym takiego dziwnego, Clive? Właśnie przeczytałem to słowo w jednym z dzienników Torricelliego...

Przez chwilę głaskał swój ogromny nos fajką, polerując ciemnobrązową główkę.

- Przeczytałeś w jego papierach, czyż nie? No, to raczej interesujące, muszę przyznać. W każdym razie jest to świadectwo wspierające opowieść Wikarego.

- Oświeć mnie - powiedziałem cierpliwie. Nie był typem starego frajera, którego można popędzać. Możesz stracić wtedy samą pointę jego dowcipu.

- *Assassini*, człowieku! Mówisz mi, że jesteś katolikiem, a jednak zdradzasz nieświadomość w kwestii *assassini* - zadziwiasz mnie. Twoja edukacja została przeraźliwie zaniedbana. - Pokręcił głową, przesuwając kościstą rękę przez długie szare włosy, przeredzone na samym czubku wąskiej głowy.

- Naucz mnie.

- Prosto powiedziane... - Wyszczerył wielkie, przebarwione, wystające przednie zęby. - *Assassini*, mój synu, to łobuziaki, które zabijały dla papieży w starych czasach... w renesansie, w dniach Borgiów, kiedy były potwornie modne zatrute pierścienie. Instrument realizowania papieskiej polityki. Ale najważniejszy punkt nie ma nic wspólnego z renesansem, jak może już odgadłeś... Nie, najważniejsza sprawa, w którą twoja siostra wbiła zęby, to pojawienie się pogłosek, że *assassini* zostali przywrócenie do życia... Tutaj, w Paryżu, w czasie wojny. Pogłoski. Nigdy sam nie za bardzo w nie wierzyłem, zawsze krążyły różne pogłoski, gdzie tylko przyłożyłeś ucho, ale Wikary, och, on znajdował się znacznie bliżej tych spraw, niż ja. Wikary był bardzo oddanym „człowiekiem od intryg”. Nie mógł się ich naogłądać do syta, nigdy nie przegapił kolejnego seansu. Kochał intrygi, wierzył w nie, rozumiesz - konspiracja za każdą spadającą cegłą, dlatego tak lubił pisać o Kościele, nigdy go nie zawiódł pod tym względem! Zwykł mówić, że przy nim Kancelaria Rzeszy lub Najwyższa Rada Sowietów wyglądają jak dziecinne wyobrażenia o prawdziwej robocie. Mówił, że Kościół cały jest intrygą, konspiracją, szeptami w ciemnych drzwiach, głosami w pustych pokojach i spiskowcami zbierającymi się za opuszczonymi żaluzjami... No i uważał, że *assassini* są za dobrzy jako rozwiązanie, by pozwolić im odejść w przeszłość... Wikary powiedział mi kiedyś, że ktoś od nowa powołał *assassini*, że działają w Paryżu... Jak gdyby nie dość się działo w tamtych czasach w Paryżu... - Paternoster roześmiał się na to wspomnienie,

ubijając popiół w fajce. - Stwierdził, że robią dla Kościoła brudną robotę, ale niech go trafi szlag, jeśli wie, co to za robota! Kogo zabijali? Wikary nie mógł tego wykoncypować. Albo nigdy mi nie powiedział, jeśli mu się udało. Ale wiedział, że pracują i był piekielnie pewny, że zna niektórych z nich...

- Osobiście? - zapytałem. - Znał ich osobiście?

- Tak, znał ich. Wszyscy nosili sukienki duchowne, jak to rozumiałem, *assassini*. Więc kiedy twoja siostra zapytała o *assassini*, to wskoczyła prosto do jego ogródka - wsadziła go od razu na jego konika! Opowiedział mi o tej rozmowie... nie winie go, a ty? Że jej powiedział? Nie rozumiał, że mogłoby to kogokolwiek skrzywdzić, jak jej powie, po czterdziestu latach... No i opowiedział jej o innym swoim starym przyjacielu - bracie Leonie...

- A kto to był brat Leon? Potrzebuję asa.

- Nigdy go nie spotkałem, ale Wikary powiedział, że był jednym z nich... jednym z *assassini*. - Znowu pociągnął nosem i wydmuchał go w wielką, brudną chustkę. - Nie wiem, czy twoja siostra, biedactwo, szukała go - nic dobrego by z tego dla niej nie wynikło, ale Wikary sądził, że mogło ją to zainteresować ze względu na książkę...

- Dlaczego nie mogła spotkać brata Leona? Nie żyje?

- Och, jeszcze nie, o ile wiem. Ale jest w jakimś zapomnianym przez Boga klasztorze na wybrzeżu Irlandii... pod wezwaniem świętego Sykstusa, chyba tak się nazywa. Ośmielam się stwierdzić, że twoja siostra nie byłaby tam mile widziana... - Popatrzył na mnie wyczekująco, jeszcze raz ocierając swój nieprawdopodobnie wielki nos chustką.

- To śmieszne, Clive - powiedziałem po kilku chwilach namysłu. - Jaką szkodę mogło wyrządzić opowiedzenie jej o *assassini* sprzed czterdziestu lat? Żadnej. Absolutnie żadnej. Ale powiem ci, co się stało. Prawdopodobnie nabrała pewności, iż *assassini* wciąż działają. Próbowałem wymyślić, co ona takiego wiedziała, że aż wymagało to jej zabicia. I po prostu nie mogłem sobie wyobrazić, co to było - jak coś sprzed czterdziestu lat teraz przesądziło o jej losie? Cóż, odkrycie sabatu *assassini*, lub tylko jednego z nich, mogło wystarczyć. Musiało wystarczyć, bo ją zabito. Ten cholerny Horstmann! - Paternoster patrzył na mnie nic nie rozumiejąc - Horstmann jest jednym z nich, Clive. Wikary znał go czterdzieści lat temu tak jak brata Leona. Tyle, że Horstmann nadal pracuje. Zabił Wikarego, przyjechał ten kawał drogi do Paryża, bo bał się, że dowiem się tego samego, co moja siostra. Wrócił po zabójstwie mojej siostry i próbie zabicia mnie, a był cholernie blisko, i zabił Wikarego. Ale spieprzył to, Clive. Nie pomyślał o tobie. - Wstałem i poklepałem go lekko po ramieniu.

- Co ty powiesz - zamruczał, próbując poradzić sobie z zalewem nowych informacji.

- Moja siostra jakoś dowiedziała się o *assassini*, a komuś nie spodobało się to ryzyko, tak że musiała umrzeć, zanim by komuś szepnęła słówko... Dlatego Horstmann próbował zabić mnie...

- Nie całkiem kapuję, staruszkule...

- A najpiękniejsze w całej historii jest to, że... Horstmann dostaje rozkazy od kogoś z Rzymu.

- I próbował cię zabić? Chyba się zgubiłem...

Zacząłem mu wyjaśniać, pijąc jego szkocką, a większość z tego, co mu powiedziałem, okazało się na koniec błędne. Tej nocy jednak wydawało się słuszne.

Zanim od niego wyszedłem, Clive Paternoster wyciągnął z biblioteczki stary atlas Wysp Brytyjskich. A w nim brudnym, obgryzionym paznokciem wskazał mi, gdzie się mieści klasztor Świętego Sykstusa.

Rankiem, w dniu, w którym mieli spotkać się o drugiej, Drew Summerhays zadzwonił osobiście do ojca Dunna. - Czy mam rację - powiedział Summerhays cienkim, ostrym głosem - podejrzewając, że ma ojciec prywatne - czy przynajmniej nie ściśle zawodowe - kwestie na uwadze?

Dunn zachichotał. Stał przy oknie i próbował dostrzec bez lornetki kaczkę w Parku Centralnym.

- Powiedzmy, że nie oczekuję rachunku z rosnącymi odsetkami.

- Dobrze, w takim razie powiedzmy, że to sprawa osobista i mógłby ojciec spełnić życzenie starszej strony i wpaść do mojego domu - czy byłoby to możliwe, ojczcze?

- Z przyjemnością.

- Dobrze. Proszę pójść Piątą do Washington Square. Mieszkam w małym budynku przy Piątej. - Wymienił jednocyfrowy numer. - Zatem do drugiej.

Dunn wysiadł z taksówki i przeszedł przez Piątą do zaułka z kocimi łbami, zablokowanego przed samochodami - jak się okazało - cementowymi słupkami. Jasne, zimne słońce zmieniało cały obraz w ostrą płaskorzeźbę. Mały domek był w kolorach jasnożółtym, białym i oliwkowym. Wyglądał tak, jakby go pomalowano poprzedniego dnia. W żółtych skrzynkach na kwiaty posadzono miniaturowe wiecznie zielone drzewka, wystające z czarnej ziemi jak czubki wielkich drzew. Zastukał kołatką, która okazała się kopią gargulca z dachu katedry Notre Dame. Wydawał się uśmiechać - gargulec powitania.

Służący Summerhaysa otworzył drzwi i wprowadził Dunna do saloniku ze szklanym dachem, rozjaśnionego żółto-białymi obiciami kanap i foteli. Szafy z książkami, mały prosty kominek ze schludnie ułożoną wiązką drewna, wazony ze świeżo ściętymi kwiatami, a przez szklane drzwi na odległym końcu pokoju widoczny maleńki, starannie utrzymany ogród przygotowany już do zimy, choć wciąż oświetlało go słońce. Nagranie jednej z *Gymnopedis* Erika Satie unosiło się z ukrytych głośników, każda nuta spadała jak kamień szlachetny do odbijającego stawu idealnej ciszy. Dunn zastanawiał się, jak ktoś mógł tak kompletnie, idealnie mieć nad wszystkim kontrolę i pomyślał, że może właśnie to otoczenie pozwoliło utrzymać Summerhaysa przy życiu tak długo. Wydawało mu się, że umieranie, zostawianie takiego świata za sobą, dodawałoby śmierci dodatkowego jadu.

Patrzył przez okno na ogród, kiedy usłyszał za sobą cienki, wyraźny, ostry głos.

- Ojciec Dunn, jak miło. Znalazł ojciec drogę. Summerhays stał wyprostowany i elegancki, gładko wygolony i pachnący wywarem z listków laurowych, ubrany w szary garnitur w jodełkę, wykrochmaloną białą koszulę, krawat czerwonooliwkowy i pantofle z cielęcej skóry. Był tak absolutnie doskonały, że Dunn uśmiechnął się i postanowił zapamiętać wszystkie szczegóły. Ten obraz znajdzie miejsce w jego następnej książce.

Summerhays usiadł w jednym z przykrytych foteli, a Dunn, który poczuł się zaskakująco zakłopotany, przycupnął na brzegu kanapy. Na białej ścianie za Summerhaysem wisiał ogromny obraz Jaspera Johnsa. Amerykańskie flagi przypominały, jeśli by ktoś o tym zapomniał, że jest to dom patrioty.

Edgecombe przyniósł srebrny serwis, postawił na niskim stoliku i cicho się wymknął.

- Ojczcze, to spotkanie z ojcem sprawia mi ogromną przyjemność, ale muszę się przyznać do

ciekawości. Zakładam, że nasza rozmowa łączy się z rodziną Driskillów. Czy bardzo się myłę, ojcze?

- Celny cios. Proszę posłuchać, nie chcę odbiegać od tematu. Czy mogę przystąpić od razu do rzeczy, nawet bez wzmianki o obrazie Jaspera Johnsa?

Oczy Summerhaysa zabłyszczały.

- Pan Johns nigdy się o tym nie dowie.

- W takim razie w porządku. Czy mam rację myśląc, że przyjaźnił się pan wiele lat z Hughem i Marią Driskillami? Wraca pan tak daleko pamięcią?

- Tak daleko? Owszem - odparł Summerhays.

- To niełatwe.

- Jest ojciec księdzem. Człowiekiem doświadczonym w omawianiu delikatnych spraw. Tak jak ja. Nieraz rozmawialiśmy o trudnych kwestiach. Zatem nie komplikujmy sobie rozmowy, ojcze.

- Niedawno usłyszałem niezwykłą opowieść - zaczął Dunn. - To jest taka sprawa, która mogłaby być prawdziwa, ale wymaga potwierdzenia.. W kategoriach codziennego życia wydaje się naciągana...

- W naszym fachu nie ma naciąganych historii. - Summerhays uśmiechnął się chłodno.

- Cóż, już nie jestem tego taki pewien. Ta opowiada o księdzu, który umarł pięćdziesiąt lat temu, kobiecie zmarłej trzydzieści lat temu i jednym z najbliższych przyjaciół...

Summerhays westchnął z rezygnacją.

- Wcale nie jestem zdziwiony, że to w końcu wychodzi na jaw. Choć wydarzyło się tak dawno temu. - Pochylił się i uważnie nalał dwie filiżanki kawy. - Śmietanki?

- Dzisiaj napiję się czarnej. - Dunn sparzył język gorącym, mocnym naparem. - To dziwne... wszystko, co powiedziała. Czekala przez połowę wieku na kogoś, kto do niej przyjdzie i o to spyta.

- O kim ojciec mówi?

- O starej zakonnicy, przyjaciółce rodziny Driskillów. Uczyła Bena i Val. Była blisko z Marią Driskill. Siostra Maria Angelina...

- Och, tak. Oczywiście. Poznałem ją. Uderzająco atrakcyjna.

- Proszę mi powiedzieć, jak wyglądała Maria Driskill?

- Maria? Cudowna kobieta, wysoka, dobrze zbudowana, osoba o wielkiej wrodzonej godności. Jasnobrązowe włosy, jasna cera, poczucie humoru, które mogłoby ojca zaskoczyć. Nie zawierała łatwo przyjaźni. Taka była Maria. Miała tylko jedną słabość, ta potworna wódka... Wydawała się tak doskonała, tak dobrze wychowana, tak powściągliwa, że mógłby ktoś nawet powiedzieć, iż niewiele miała wspólnego ze zwykłymi śmiertelnikami. - Popijał kawę” trzymając porcelanowy spodeczek w drugiej ręce, a potem postawił i filiżankę, i spodek na szerokim oparciu fotela. - Pod wieloma względami Hugh i Maria byli dobrym małżeństwem. Ale bez nadmiernych emocji.

- Kochali się?

- Cóż, miłość nie zawsze jest najważniejsza w małżeństwach między takimi osobami. Ich związek nazwać można raczej przyjacielskim sojuszem, wielka fortuna - Driskilla - wchłaniająca trochę mniejszą. Powiedziałbym, że to było solidne małżeństwo...

- Jak przejęcie lub połączenie firm?

- W jakikolwiek sposób ojciec zechce to wyrazić. Ojciec jest mistrzem słowa. Ale dokąd to nas zaprowadzi? Siostra Maria Angelina czekała na kogoś, kto przyjdzie do niej, aby spytać o... O co?

- Śmierć ojca Vincenta Governeau.

- Ach, tak.

- Siostra Maria Angelina pozostawała w bliskich stosunkach z Marią Driskill, była jej zaufaną. Kimś w rodzaju kobiety-spowiednika. Kimś, z kim Maria mogła rozmawiać szczerze.

- Mówiono mi, że obecnie wiele kobiet woli ginekologa kobietę. Podejrzewam, że zasada jest podobna.

- Maria Driskill przyszła do siostry Marii Angeliny kilka lat po śmierci ojca Governeau, który, jak zapewne pan przypomina sobie, został znaleziony powieszony na drzewie w sadzie przy stawku.

- Rzeczywiście, dobrze pamiętam. Wierzę, że jako adwokat Hugh'a i jego doradca byłem pierwszą osobą, do której zadzwonił. - Pokazał obojętny uśmiech. - Coś w rodzaju nie oskarżonego współsprawcy.

- Czy kiedykolwiek ktoś zwracał sobie głowę wyjaśnieniem, dlaczego ojciec Governeau się zabił?

- Te same zużyte stare powody - powiedział Summerhays. - Depresja, kryzys wiary, alkoholizm, wszystkie te powody, przez które księża przekraczają granicę.

- A więc kupił pan historyjkę o jego samobójstwie?

- O czym mówicie, ojciec Dunn?

- Usatysfakcjonował pana wniosek, że to samobójstwo.

- No tak, najwyraźniej sam powiesił się na drzewie...

- To dlaczego mam wrażenie, że pan doskonale wie, iż ojciec Governeau został zamordowany?

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Czy coś podobnego powiedziałem?

- Nie. Ale jest pan człowiekiem za bardzo związanym z Driskillami, by nie wiedzieć. Ojciec Governeau został zamordowany i powieszony potem... a ponieważ Hugh Driskill był i nadal jest Hughem Driskillem; prawda nigdy nie wyszła na jaw. Rozmawiałem z gliniarzem, który prowadził śledztwo. Nie miał wątpliwości, że to morderstwo. Kiedy siostra Valentine wróciła do domu w dniu, w którym ją zabito, zadzwoniła do obecnego szefa policji gotowa do zadania wielu pytań w sprawie Governeau. Proszę o tym pomyśleć, panie Summerhays - prowadzi badania w Europie przez wiele miesięcy, jej głowa pełna jest tysiąca innych spraw, przylatuje do domu, ma tylko parę godzin do własnej śmierci... i dzwoni do władz, by spytać o ojca Governeau! Zdziwiająca, nieprawdaż? Dlaczego? Powiem panu, dlaczego - założę się z panem o dwadzieścia pięć centów, że siostra Valentine też nie wierzyła w samobójczą śmierć Governeau. A teraz, pan już sam za dużo wie, żeby wciąż przetrwać tę starą historyjkę o samobójstwie...

- Chwileczkę, ojciec - powiedział Summerhays, uśmiechając się blado, ale nie tracąc zainteresowania. - Powiedzmy, że ma ojciec rację w sprawie śmierci ojca Governeau. Ale przeczuwam, że nigdy byśmy nie przekroczyli dziesięciu centów, przynajmniej jeśli chodzi o naszą konwersację. A teraz powróćmy do siostry Marii Angeliny.

- Dziesięć lat po śmierci ojca Governeau, po wojnie, gdy miała dwoje dzieci i męża, którego

zdjęcie znalazło się na okładce *Time'a* a jego losy posłużyły za podstawę scenariusza do filmu... Kiedy jej życie powinno osiągnąć absolutny szczyt, Maria Driskill upijała się co noc, by zasnąć, była cały czas na krawędzi załamania nerwowego. Czy pan to pamięta?

Summerhays nieznacznie pochylił głowę.

- Hugh bardzo się o nią martwił. Maria była taka delikatna. Wszystko odbijało się na dzieciach - zmieniające się opiekunki, biedna Maria mamrocząca coś do nich, straszca je wydawała się wtedy tak chwiejna... Oczywiście, niedługo potem... - Prawie niezauważalnie wzruszył ramionami. - Umarła.

- Założę się, że tak naprawdę to *było* samobójstwo - powiedział Dunn.

- Przegrałby ojciec. Była odurzona, spadła. To biedny Ben ją znalazł. Miał czternaście czy piętnaście lat, jak sędzę. To był wypadek. Nie mogli odmówić pochowania jej w poświęconej ziemi.

- Przecież to oni byli Kościołem.

- Kto?

- W porządku, wracajmy do Marii Driskill. Kiedy przechodziła ostre załamanie, poważną depresję, poczuła się niezdolna, by zwrócić się do Kościoła. Przynajmniej nie oficjalnie. Po prostu nie potrafiła pójść do spowiedzi do księdza, nie mogła się wyświadczyć z tego, o czym myślała. Ale była jej przyjaciółką, o której wiedziała, że może jej zaufać we wszystkim - kobieta i Kościół - siostra Maria Angelina. Umówiła się z siostrą Marią Angeliną i spotkały się w domu w Princeton. Dzieci już spały, Hugh wyszedł, a Maria Driskill opowiedziała zakonnicy, co się przydarzyło ojcu Gouverneau. - Tak właśnie. A ja chcę się dowiedzieć, czy to, co wyznała, jest prawdą. Jest pan jedyną osobą, która mogłaby zweryfikować tę opowieść. Czy mnie pan wysłucha?

- Proszę spróbować i wyjść niczego mi nie mówiąc. - Wzrok Summerhaysa wydawał się nie łączyć z jego uśmiechem, oczy pozostały odległe, lodowate i jasne.

- Maria Driskill powiedziała, że poznała ojca Gouverneau na długo przed wojną, kiedy Hugh przebywał w Rzymie i pracował dla Kościoła. Gouverneau kilkakrotnie przyszedł do domu, by odprawić mszę w kaplicy. Był uczciwym, poważnym, godnym szacunku człowiekiem. Maria zaufała mu. Ale on zakochał się w ładnej młodej kobiecie, która wydawała się taka samotna... To wydarzyło się w 1936, może 1937, nie jestem dobry w datach...

- To nie ma żadnego znaczenia, ojcze. Proszę mówić dalej.

- Krótko mówiąc, zostali kochankami. Oczywiście oboje zżerało poczucie winy. Ale opanowała ich namiętność. To był rozpaczliwy romans - odwiedziny o północy w domu w Princeton, jakby cytował wprost z powieści Johna O'Hary, dwoje prawowiernych katolików rozrywających się na strzępy. I wtedy nadszedł czas, by Hugh Driskill wrócił do domu z Rzymu. Co mogło się stać z Marią i ojcem Gouverneau? Postanowili, że ich romans powinien się skończyć. Tylko tyle mogli zrobić. Jakoś złączą swoje życie od początku... Uznali, że to jedyna droga. Cóż, okazało się to niełatwe... a właściwie niemożliwe, przynajmniej dla ojca Gouverneau. Dzwonił do niej, a ona nie mogła z nim rozmawiać. Pisał do niej - nie odpowiadała. To było dla niego trochę za dużo.

Przyszedł do ich domu pewnego wieczora, kiedy Hugh gdzieś wyjechał - Hugh zawsze gdzieś wyjeżdżał. Maria próbowała zmusić go, by wyszedł, powiedziała mu, że wszystko skończone, rozmawiali

o tym przez cały wieczór i w końcu ojciec Gouverneau miał dość. Przewrócił Marię Driskill na podłogę, zdarł z niej suknię i zgwałcił ją... Trwało to dość długo... za długo... To była śnieżna, wietrzna noc, spotkanie Hugh'a skończyło się wcześniej, by uczestnicy mogli dotrzeć do domów, i tak Hugh wrócił. Wszedł i zobaczył, jak jego żonę gwałci ktoś, o kim wiedział, że jest księdzem... Hugh miał mord w oczach. Pochwyił najbliższy przedmiot - srebrnego niedźwiedzia od Aspreya w Londynie i roztrzaskał nim ojcu Gouverneau głowę... Zabił go. Wspólnie Hugh i Maria wymyślili samobójstwo, Hugh powiesił go w sadzie... i zaczęło się tuszowanie sprawy. Co dziwniejsze, nie fakt, iż jej mąż zabił całkiem niepotrzebnie ojca Gouverneau, doprowadzał Marię Driskill do szaleństwa. Nie, nie, najbardziej dręczyło ją to, że Gouverneau został pogrzebany jako samobójca, w niepoświęconej ziemi... Nie mogła tego znieść, tak powiedziała siostrze Marii Angelinie, która czekała tyle lat. - Dunn wypił do końca kawę. Była zimna. - A teraz, panie Summerhays, chciałbym usłyszeć tylko: czy tak właśnie to się stało?

Summerhays wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. W końcu westchnął i uniósł się nieznacznie w fotelu.

- Nie - powiedział cicho. - Nie tak. Nie, wszystko pomieszała. Jeśli pan pozwoli, to Edgecombe przyniesie nam trochę świeżej kawy, a wtedy będę mógł opowiedzieć, co się naprawdę zdarzyło...

Jeszcze jedna noc spędzona w tym małym, anonimowym pokoju z wąskim łóżkiem, dwiema starymi lampami z brązu - w jednej przepaliła się żarówka ze dwa miesiące temu. Jeszcze jedna samotna noc w pokoju, w którym unosił się zapach księdza i szkockiej. Mała lodówka głośno pracowała w kuchennej wnęce. Gęste chmury papierosowego dymu wisiały w wilgotnym powietrzu. Okno było otwarte. Deszcz bębnił jednostajnie o chodnik w wąskiej uliczce i spływał do Tybru, bulgocąc w rynsztokach. Zawodowa dziwka stała na rogu w drzwiach, wpatrując się apatycznie w zapowiadającą się długą noc.

Monsignor Sandanato stał przy oknie wyglądając w ciemność, ale nic nie widząc. Późno wyszedł z biura kardynała, długo po odejściu D'Ambrizziego do swoich apartamentów. Wrócił do mieszkania przez nadchodzącą noc, pragnąc snu, ale bojąc się tego, co zobaczy po zamknięciu oczu. Otworzył butelkę Glenfiddich, napełnił szklanekę i zajął miejsce przy oknie.

Nie pamiętał już, ile razy odtwarzał rozmowę z tej nocy, gdy siostra Elżbieta przyszła do D'Ambrizziego na kolację. Ale nie mógł się powstrzymać od przypominania jej sobie. Umysł Elżbiety był tak lotny, tak dociekliwy; podniecało go słuchanie, jak przedzierała się przez płataninę możliwości i konstruowała teorię. Teorię morderstw, jakie „odkryła” siostra Valentine, teorię tożsamości siwowłosego księdza, którym - jak teraz wierzyła - był „Simon”. Miała jeszcze teorię wyjaśniającą słowa „Spisek Piusa”, o jakim wspominał Torricelli... Twierdziła, że spisek został zorganizowany przez Piusa, by wykorzystać *assassini* do pomocy nazistom w czasie okupacji Paryża.

Konstrukcja, oczywiście, wydawała się logiczna. Najwyraźniej przemyślała wszystko dokładnie. Ale kiedy zapytał ją dlaczego... dlaczego teraz morduje się ludzi, dlaczego Val znalazła się na liście i inni, których odnalazła; wtedy Elżbieta straciła pewność siebie. *Wybór papieża...* Czy cokolwiek innego byłoby warte rozlania krwi...

Nalał sobie kolejną porcję szkockiej i westchnął. Potarł oczy, które już i tak były bardzo zaczerwienione. Dokąd, u diabła, to wszystko zmierzało i gdzie się kończyło? Chciał wyjść; czuł się bezpieczniej na ulicy, wśród turystów, mężczyzn szukających kobiety i w nieprzerwanym strumieniu księży, mrużących coś między sobą. Ale bezpieczniej przed czym? Przed ciemnymi zakamarkami umysłu, jak podejrzewał.

Zaczął się czuć coraz bardziej niezręcznie w murach Watykanu. Kłopoty - morderstwa, strach, brak decyzji, bezradność i zamieszanie - zaciskały się jak macki wokół serca Kościoła. I zniechęcił ten pokój, jego zapach - dławiący samotnością, udręką i rozgoryczeniem. Zaczynało brakować mu schronienia. Chciałby móc uciec, ukryć się w jednym z cichych, starych klasztorów, gdzie obowiązywały zasady, gdzie było wiadomo, co się dzieje i co to oznacza...

Odrzucił tę myśl jak grzechoczącą dziecięcą zabawkę. Później. Przyjdzie na to czas.

Telefon przywołał go z powrotem do rzeczywistości.

Wstrząsnął nim dreszcz, kiedy usłyszał głos.

Siostra Elżbieta pracowała do późna, gdy zadzwonił do niej monsignor Sandanato; odpowiedziała mu, że tak, że jasne, może przyjść, ale ostrzegła go, iż nie na długo. Jest zmęczona, powiedziała, i nie może mu zagwarantować, jak długo wytrwa.

Pragnął jej towarzystwa za bardzo, by być uprzejmym, stwierdził więc tylko, że wie, jak jest późno, i że powinna pójść do łóżka. Teraz siedząc na kanapie patrzył na nią, jak zwinęta na fotelu sączy z kieliszka wino, a przed nią leżą rozłożone na szklanym stoliczku notatniki i segregatory; słyszał *Rigoletto* dobiegające z dużych głośników, stojących w rogach pokoju. Drzwi na taras były szeroko otwarte, a deszcz opryskiwał metalowe meble. Zasłony poruszał wiatr. Siostra Elżbieta miała na sobie sztruksowe spodnie i gruby, wełniany sweter.

- Miałaś złą noc - powiedziała ze współczuciem. - Cóż, wiem, jak to jest. Sama przeżyłam ich ostatnio sporo. A ty żyłeś w wielkim napięciu. Tam na gorze, to chyba powariowali. - Pokiwała głową w stronę Watykanu. - Kto prowadzi śledztwo w sprawie morderstw? - Uśmiechnął się przekornie.

- Zgadnij - odparł.

- D'Ambrizzi?

- Jest jednym z najbardziej oddanych śledczych. Ale to Indelicato...

Elżbieta uderzyła się dłonią w czoło.

- Oczywiście, nie pomyślałam o tym. To przecież jego dziedzina!

- Tyle jest zamieszania. Nikt naprawdę nie wie, co robić... czy cokolwiek można zrobić. Nawet Indelicato. Ale naturalnie to on jest człowiekiem, do którego zwrócono się w tej sprawie. Problem polega na tym, że nie ma zgody co do skali problemu. - Zmarszczył brwi. - Niech cię nie zwiedzie sposób, w jaki mówi o tym D'Ambrizzi; wie, że coś się dzieje i wie, że pochodzi to z wewnątrz.

- No tak, pytanie numer jeden - jak to wpłynie na wybór nowego papieża?

- Chyba się pośpieszyłaś, siostrze. Jego Świątobliwość może pożyć rok...

- Ale może odejść już jutro. Nie żartuj sobie ze mnie, przyjacielu.

- Co mogę powiedzieć? Rośnie obawa, że to był zbyt liberalny papież. Mógłby częściej używać żelaznej ręki... Wyczuwa się, iż dochodzi do punktu wrzenia, bo to wszystko jest rezultatem liberalnej zgnilizny w Kościele. Według niektórych sprawy po prostu wymknęły się spod kontroli i trzeba przywrócić porządek... - Wzruszył ramionami. - Możesz to sobie wyobrazić.

- A więc zaakceptowano fakt, że Val miała rację. Te wszystkie morderstwa należą do jakiegoś planu. Dlaczego D'Ambrizzi tego po prostu nie przyzna?

- Daj spokój, siostrze, on należy do innego pokolenia. A ty jesteś zakonnicą... Pomyślałby, że zwariowałem, jeśli nie co gorszego, bo w ogóle o tym z tobą rozmawiam. Jesteś za bardzo... - zaplątał się.

- Co powiesz o wyrażeniu „bardzo wścibska baba”? Kompletnie zaskoczony, roześmiał się nagle, co robił niezwykle rzadko.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza, właśnie o to wyrażenie chodziło. Sprawiasz wrażenie zbyt bystrej, a kardynał przecież wie, że pracujesz jako dziennikarka, pamiętaj o tym.

- Co mam zrobić! Drukować skandalizujące teorie i oskarżenia w piśmie? Albo pobiec do *New York Timesa*! Daj spokój i bądź poważny.

- Kardynał martwi się o ciebie. Jesteś zbyt spostrzegawcza i zbyt uparta. Tak jak siostra Valentine. Nie może zapomnieć, co się z nią stało.

- A co miała zrobić? Odkrywa, że w Kościele popełnia się szereg zbrodni - zabija się oddanych katolików, że *assassini* działali w czasie drugiej wojny światowej i może wciąż działają. I co miała zrobić? Zapomnieć o tym? Bo może to się okazać niewygodne?

- Powinna była przyjść do nas. Do kardynała. I powiedzieć nam... Powinna była nam to zostawić, a my podjęlibyśmy kroki. To sprawa Kościoła, siostrze. Żyłaby do tej pory... - przemawiał z pewnością siebie, ale pod koniec głos mu się załamał. - W każdym razie jest to jeden punkt widzenia. D'Ambrizziego.

- A twój?

- Nie wiem...

- Och, przestań wreszcie! Cały ten paternalizm jest sprytny, wygodny i okropnie staromodny. Kobiety myślą, piszą, działają i, do diabła, jesteśmy po prostu normalnymi ludźmi. Val odkrywa, że ludzi morduje się hurtowo i ma pobiec zwierzyć się pryncypałowi?! Sam pomysł mnie rozśmiesza!

- No, siostrze, ale nie poszła na policję - a czyż nie to właśnie powinien zrobić zatroskany obywatel? Ale nie siostra Valentine... Ona postanowiła odkryć sama, co się dzieje... I dlaczego to zrobiła? Bo była zakonnicą, należała do Kościoła... nie była kimś z zewnątrz. Nie wiem, co zrobiła, a co powinna była zrobić - może pójść do pryncypała, tak to ujęłaś, siostrze, ale przecież oni tak się od siebie różnią. Albo się mówi policji i naraża Kościół na pewne głęboko niepokojące śledztwo... albo zachowuje się wszystko w Kościele. Naturalnie, wybrała to drugie... Ale powinna była pójść z tym do kogoś na górze. Lub do przełożonej waszego Zakonu - ona wiedziałaby, co zrobić. - Sandanto zsunął się na sam brzeg krzesła. - Podejrzewam, że rozumiem twój punkt widzenia, ale umyka ci coś ważniejszego. Kościół nie jest światem. Świat szybciej się zmienia. To, co zrobiła Val, dowodzi, iż rozumiała różnicę między Kościołem a światem... ale gdyby zwróciła się do kogoś z hierarchii kościelnej, żyłaby do teraz, miałyby

się dobrze i kontynuowałyby swoją pracę...

Wstał, przeciągnął palcami przez mokre od deszczu włosy. Jego przemoczony płaszcz leżał na oparciu krzesła. Pokręcił głową, rozłożył ręce w geście zmieszania i zniechęcenia; nie ufał sobie na tyle, by coś więcej powiedzieć. Bał się, że jeśli zacznie mówić, to nie będzie w stanie przestać, że jego lęki i sny wydobędą się w wirującym zgiełku - piszcząc i łkając. Miała swoje sposoby, by dotrzeć do samego sedna zupełnie nieoczekiwanie, nawet jeśli nie miała pojęcia, iż to robi. Potrzebował czasu, by pomyśleć, ale wydawało mu się, że go nie ma. Ile mógł jej powiedzieć?

Przypatrywała mu się, gdy krążył po pokoju, po czym odezwała się:

- Posłuchaj, wcale nie próbuję ci wiercić dziury w brzuchu. Masz swoją robotę, Val miała swoją i ja mam. Każdy musi sam podejmować własne decyzje i ponosić konsekwencje.

- Wiem. - Patrzył na deszcz padający na Via Veneto, odwrócony do niej plecami. - Jesteś prawdziwą przyjaciółką. Narzuciłem ci się dziś wieczorem i jesteś bardzo uprzejma znosząc mnie. Tak jest, siostrze, mam niewielu przyjaciół. Mam swoją pracę, swoich szefów. Nie jestem przyzwyczajony do przestawiania z przyjaciółmi - tak, w pewien sposób wykorzystuję cię...

- Wydawało mi się, że nieźle ci szło z Benem Driskillem - odparła. - Miałaś od niego jakąś wiadomość? Chciałabym coś wiedzieć...

Pokręcił głową.

- Nie, ani słowa. Odnajdzie się. - Zlekceważył Driskilla, usunął z rozmowy. - Nie rozumiesz, siostrze? Moimi jedynymi przyjaciółmi... nie, ja nie mam przyjaciół. Mam do czynienia z ludźmi z Watykanu. Wiesz, że to takie miejsce, gdzie utrzymywanie stosunków z niektórymi jest konieczne. I - trzeba być wobec siebie uczciwym - jestem samotnikiem. My, księża, bez względu na to, jakimi się wydajemy, jesteśmy samotni w najgłębszym znaczeniu tego słowa. To musi również dotyczyć was, zakonnice...

- Doprawdy nie sędzę. Dla wielu zakonnice i księża takie życie wydaje się aż za bardzo zbiorowe... pełno gotowych przyjaciół, można by rzec...

- Dla niektórych może... - Wzruszył lekko ramionami.

- Księża zawsze wydawali mi się bardzo towarzyscy, poza oczywiście całkowitymi dupkami.

Znowu roześmiał się z jej grubiaństwa.

- Pewnie słyszałaś to powiedzenie, że dlatego publicznie jesteśmy tacy towarzyscy, bo śpimy samotnie. - Wrócił na środek pokoju. Patrzył w jej błyszczące, inteligentne zielone oczy, spoglądające na niego. - Jak większość starych powiedzeń przetrwało, bo jest prawdziwe. Jesteśmy inni, a ja sam czuję się nie dość przygotowany, by poradzić sobie z tym, co ostatnio czuję. I teraz muszę się siebie zapytać - dlaczego zwróciłem się właśnie do ciebie? Nie masz obowiązku, by dzielić ze mną moje troski, siostrze, a przecież do ciebie z nimi przychodzę...

- Może dlatego, że jestem pies na płaczliwe historie - uśmiechnęła się do niego. Był ciągle taki spięty. Ktoś od czasu do czasu powinien mu wyciągnąć wtyczkę z kontaktu.

- Przyszedłem do ciebie, bo wiedziałem, że mnie wysłuchasz.

Pokiwała głową. Szeroko otwarte oczy, twarz gotowa, przygotowana na jego potrzeby. Jej twarz

to sprawiła. Zaczął mówić, nie martwiąc się późną godziną, nie przejmując, co sobie o nim pomyśli. Mówił o pogarszającym się stanie zdrowia papieża, o bliskim jego związku z D'Ambrizzim i D'Ambrizziego z Kalikstem. Mówił o morderstwach i zaślepieniu Driskilla rwącego się do walki i o wszystkich konsekwencjach, jakie mogą z tego wyniknąć. Wiedział, że wciąga się w wir frustracji, to już działo się poza nim... Poczuł jej dłoń na ramieniu, spojrzął, jakby przypominał sobie, że jest razem z nim w pokoju. Zaprowadziła go z powrotem na kanapę, szepcząc uspokajające słowa.

- Jesteś wyczerpany - powiedziała. - Czas na chwilę przerwy. Powinieneś trochę odpocząć. Potrzebujesz tego.

Usiadł i ukrył twarz w dłoniach, nie chcąc już mówić dalej, ani niczego więcej wyznać. Nic więcej, ani słowa. Pomyślałaby, że oszalał, gdyby mówił dalej. Przyniosła mu kieliszek brandy, które wypił z wdzięcznością jednym haustem.

- Wybacz mi - rzekł. - Proszę. Masz rację, jestem przemęczony... zmartwiony. Zapomnij o wszystkim.

- Oczywiście. W końcu to nie moja sprawa.

- A ja jak ostatni głupiec zrobiłem z tego i twoją sprawę. Musisz spróbować mi wybaczyć.

- Uwierz mi, wszystko jest w porządku.

- Te morderstwa... - skrzywił się za osłoną dłoni. - Są kierowane przez kogoś z hierarchii Kościoła. *Naprawdę!* Nie ma sensu udawać. - Dlaczego nie może przestać mówić, wstać i wynieść się? Patrzył na nią, czuł jej świeży zapach, jak tuż po kąpieli - szamponu, pudru i olejku - i nie odchodził. Siedział spokojnie, słuchając jak ona opowiada o siostrze Valentine, o tym, jak były sobie bliskie, choć bardzo się od siebie różniły i jakie to dziwne, że teraz ona, Elżbieta, podjęła pracę Val. Mówiła, jak było jej przykro, że rozstała się tak skłócona z Benem Driskillem. Na dźwięk nazwiska „Driskill” Sandanato poczuł strach, że Elżbieta coś czuje do Bena, walczył z sobą, by nie pokazać jej tego strachu, zazdrości, zawiści. Po chwili powiedział:

- Kościół musi robić wszystko, co jest niezbędne, by przetrwać, czyż nie tak, siostrze? Czy nie jest to większe dobro? Czy, patrząc z dłuższej perspektywy, nie jest to klucz do historii Kościoła?

Pokiwała głową zamyślona.

- Kościół jest dobry. Takie jest założenie, oczywiście. Wszystko inne, *nasze* życie jest nieistotne, my - księża i zakonnice zostaliśmy oszukani... ale Kościół jest dobry...

- Ale jeśli te morderstwa są sterowane przez kogoś wewnątrz Kościoła, a są... zatem istnieje możliwość, że Kościół sam się oczyszcza przez te morderstwa. *Możliwe*. To jest możliwe, siostrze, prawda?

- Z punktu widzenia logiki - powiedziała chłodno - Kościół mógłby sankcjonować takie czyny, by przetrwać. Logiczne, ale abstrakcyjne. Bo sprowadziłeś zasadę do absurdu.

- Zrobiłem to? Jesteś pewna?

- W rzeczywistym świecie to byłoby absolutnie potworne...

- Ale Kościół to nie świat...

- A w jaki sposób zabijanie takich ludzi jak Val i Curtis Lockhardt mogłoby oczyszczać Kościół?

Sam pomysł jest chory, musisz przyznać. Potworny.

- Tak, tak, potworny, oczywiście... ale... ale pytam sam siebie, jeśli te morderstwa są sterowane przez kogoś z hierarchii, są sankcjonowane przez ludzi, którzy Kościół stawiają na pierwszym miejscu - cóż, co wtedy, gdy w tym sensie są usprawiedliwieni? - Jego oczy płonęły. Czuł pot na czole, tę bezustanną gorączkę, która wprawiała go w ruch, to przez nią szukał odpowiedzi.

Siostra Elżbieta energicznie pokręciła głową.

- To tak być nie może, tego nie da się usprawiedliwić. Nie, bo zamordowano siostrę Val. Właśnie ją... Jak możesz sobie coś takiego w ogóle wyobrazić?

- Siostro, przyznaję, że te pytania duszą mnie, dławią. Zastanawiam się jednak, czy jest możliwe, że morderstwa są oczyszczeniem, czymś, czego nie potrafimy zrozumieć... a jednak częścią większego, ogólniejszego dobra.

- Jeśli nie mogę czegoś zrozumieć, mówię - do diabła z tym!

- Wiesz, że to nie może być prawda, nie dla zakonnic...

- To prawda, gdy chodzi o morderstwo! - Wbiła w niego swe najostrzejsze spojrzenie. - Podtekst w tych słowach jest oczywisty, monsignor.

- Czyżby? - uśmiechnął się do niej, obtarł dłonią czoło.

- Mówisz mi, że takie rzeczy zdarzały się już przedtem. Oczyszczenie, odrzucanie odstępców, kłopotliwych... wszystko, by zachować Kościół, oczywiście - nie potrafiła ukryć sarkazmu w głosie.

- Cóż, to była właśnie dziedzina siostry Valentine, prawda? Przemoc jako środek w polityce fascynowała ją...

- Dyskutowała o tym z tobą? Przytaknął.

- Co nie oznacza, że ją aprobowała - stwierdziła. - Ani Val, ani ja nie próbowaliśmy usprawiedliwić przemocy jako metody, środka do czegoś. Val była historykiem, nie adwokatem. A już na pewno nie adwokatem diabła.

- Wiesz, że była adwokatem. Adwokatura to było jej życie...

- Nic z tego!

- A jednak, zastanawiam się... to dylemat moralny - zło w służbie dobra.

Napięcie opadło. Bycie z nią, rozmawianie z nią, nawet kłócenie się z nią sprawiało, że znowu czuł się człowiekiem. Znikały z głowy złe myśli.

- Dla mnie to jest całkowicie niezgłębione moralne przeciwieństwo. Brak mi wystarczającej mądrości, by to uporządkować.

- Może pewnego dnia będziesz *musiała* to rozwiązać. Nie rozumiesz? Idziesz po śladach Val, w jej cieniu, wykonujesz jej pracę... co by było, gdybyś stanęła przed wyborem, siostro?

- Jakim wyborem?

- Jeśli Kościół w osobie zabójcy powie ci: „zaniechaj pracy, zapomnij, co zrobiła siostra Valentine... i żyj. Albo postępuj tak dalej, a zostaniesz usunięta, oczyszczona dla dobra Kościoła”. Musiałabyś wybrać.

- Po pierwsze, jaki sens ma straszenie mnie?

- By zachować cię przy życiu.

- A po drugie, spróbuj uniknąć konfrontacji.

- Rozumiem, siostrze. I szczerze życzę ci tego luksusu. Ale moje życzenie i modlitwy mogą nie wystarczyć. Zło w służbie dobra czy stanie się dobrem? Może jednak będziemy potrzebowali jasnowidzenia Magusa...

Roześmiała się.

- Masz na myśli D'Ambrizziego?

- Magus... - powtórzył - ... to człowiek o twarzy Janusa, patrzący w przyszłość i w przeszłość. Może chociaż on ma odpowiedź. Tyle z jego życia jest tajemnicą. - Wstał. - Cóż, może *assassini* z dawnych lat służyli swemu celowi... Teraz, a więc w nowych czasach kto wie, jakie problemy mogą stanąć przed Kościołem? To naprawdę jądro ciemności, siostrze.

Wkładał płaszcz. Stała obok i przytrzymywała go dla niego. Zatrzymał się, gdy przyłożyła palec do warg, wskazując ruchem głowy, by posłuchał taśmy z *Rigoletto*.

Właśnie zaczęła się najpiękniejsza scena, duet Rigoletta i Sparafucile. Melodia ponura i złowróżbna, bogata w barwne solo wiolonczeli i kontrabas.

Sparafucile opisuje Rigoletto, kim jest.

To ktoś, kto za drobną opłatą

Uchroni cię od rywala, jeśli masz takiego.

Sparafucile wyciąga miecz...

A oto mój instrument. Może ci służyć?

Sparafucile należał do *assassini*.

Ból przybył do papieża Kaliksta jak zwykle w ciemnościach nocy. Podniósł się, wstał z łóżka i krążył po sypialni - z potem spływającym po twarzy, z zaciśniętymi zębami, czekając, aż ból minie. Wcześniej czy później zdarzy się, że nie minie, a wtedy prędko nadejdzie koniec. Zastanawiał się, czy powinien czekać, aż los wykona swój okrutny wyrok.

Nagle ból zelżał, Kalikst rozluźnił mięśnie, powoli, ostrożnie, z lękiem, że mógłby powrócić, że tylko go zwodzi. Stał przy biurku i podniósł do góry niezwykle, florentyński sztylet, ofiarowany mu przez kardynała Indelicato w dniu wyboru na Tron Piotrowy. Zazwyczaj używał go do otwierania listów, ale teraz, kiedy więcej czasu spędzał w sypialni, sztylet znalazł swoje miejsce na małym biurku. Ten sztylet był bardzo kosztowny: złoto i stal - i bardzo stary. Dostrzegł, że ostrze pochwyciło błysk przyćmionego światła lampy stojącej na stole. Zobaczył własne odbicie, rozmazane rysy na powierzchni klingi. Zastanawiał się, jak wielu ludzi zabiło to ostrze.

Gdy ból minął, przetarł oczy, a potem wziął ręcznik wiszący w nogach łóżka i obtarł pot z czoła. Położył się do łóżka, by poczekać na powrót snu. Wiedział, że może to być długie czekanie. Zaskoczony zauważył, iż wciąż ścisną w dłoni sztylet. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Po prostu nie przypominał sobie zupełnie, by coś robił. Skąd wziął ten sztylet? Musiał w ogóle nie kłaść go na biurku... Obejrzał go dokładnie, wspominając, jak Indelicato opowiadał mu, że sztylet należał do jego rodziny

przez długi, bardzo długi okres, stulecia, że symbolizuje odwagę i bezwzględność, dwie cechy, których będzie potrzebował, gdy kardynał di Mona przestanie istnieć, a narodzi się papież Kalikst.

Ostatnio coraz częściej myślał o kardynale Indelicato, jak czułby się jak u siebie w KGB, w CIA czy MI5 lub - uśmiechnął się gorzko na to wspomnienie - w gestapo. Warsztat kontrwywiadu był we krwi tego człowieka, leżał u samej podstawy jego natury. A teraz miał swego starego wroga D'Ambrizziego pod stałą obserwacją. Kalikst zastanawiał się, czy Giacomo wie, że jest śledzony. Papież musiał przyznać, iż Indelicato otrzymywał doskonałe informacje od swoich pomocników. Znał D'Ambrizziego od tak dawna: najwyraźniej był człowiekiem, który potrafił śledzić. Ale kto w takim razie pozostawał, by śledzić Indelicato? D'Ambrizzi zawsze był równorzędnym partnerem dla Indelicato, przez te wszystkie lata, partnerem i kimś jeszcze.

Z pozoru stanowili całkowite przeciwieństwa: Indelicato o zimnej krwi, przypominający gada z jego mrugającym spojrzeniem i twarzą bez wyrazu, D'Ambrizzi zaś towarzyski, ciepły i pełen życia. Ale obaj stali się tak bezlitośni, gdy nadszedł czas, tak bezwzględni, tak brutalni... nienawidzili się nawzajem głęboko. Obaj wydawali się znacznie lepiej przygotowani od niego, by zostać papieżem, a jednak to jego wybrano, dowodząc raz jeszcze słuszności powiedzenia o niezbadanych ścieżkach Pana.

Kalikst odkrył błąd w innym starym powiedzeniu. Odkrył, że całe twoje życie nie przesuwają się przed twymi oczami, kiedy umierasz. Nie. Przed jego oczami przesuwają się czas w Paryżu, ta noc, gdy skulili się przy żelaznym ogrodzeniu i patrzyli, co się działo na małym cmentarzu. Ta noc, kiedy kulili się drżąc z zimna, obserwując wysokiego, chudego księdza o trójkątnej twarzy bez uśmiechu i z jedną prostą gęstą brwią - ojca LeBecq'a, ojca Guya LeBecq'a, którego ojciec był znanym marszandem z rue du Faubourg - St. Honore... To ojciec LeBecq ich zdradził. Teraz pozostali jedynymi, którzy ocalili, wszyscy inni zginęli, wysledzeni, i było to dzieła ojca LeBecq'a... LeBecq - zdrajca wśród nich. Wszystko zaczęło się od Spisku Piusa, jak nazwano to w pewnych kręgach, wszystko zależało od Spisku Piusa, spisku Simona, Simona, którego nikt nigdy nie widział, Simona, który kierował nimi w ich pracy, Simona Verginius, przywódcy, który nigdy by ich nie opuścił...

Przez na wpół przymknięte powieki zobaczył sżytelet, obrócił go powoli w dłoni... Czasami, kiedy ból stawał się naprawdę dotkliwy, gdy jego oczy widziały tylko czerwoną falującą zasłonę bólu z ciasno zwiniętą dziurą w środku - w takich chwilach myślał o sżytecie, o jego ostrym końcu, ostrym jak zręczność jezuickiej logiki. Jak brzytwa jego ostrze... myślał, jak łatwo mógłby skończyć z bólem, sopel lodu wbity w krtań, lub w przegub, albo wbity w serce, a wtedy wreszcie spokój...

Lód...

Tamtej nocy na cmentarzu też był lód. Cały Paryż tkwił w objęciach arktycznego zimna, zamrożone kałuże na cmentarzu, warstwa lodu na nagrobkach... Krępy, zwierzęco zbudowany człowiek w sutannie, czekający na innego, a po drugiej stronie płotu, kuląc się, wstrzymując oddech, Sal di Mona, brat Leon, jasnowłosa Holender... Dwóch mężczyzn na cmentarzu, pośpieszna, poufna rozmowa między nagrobkami i nagle ten krępy mężczyzna o długich, mocnych ramionach skacze na wysokiego mężczyznę jak ogromny, kulawy pies, walczy z nim, okrąża go, a potem wydusza z niego życie, rzuca jak popsutą marionetkę... Zabójca stoi nieruchomo, płuca pompują chmury pary w mroźną noc, uliczna latarnia

oświetla jego twarz, jego profil... Twarz, którą miał poznać tak dobrze, twarz, która miała być tak blisko przez resztę jego życia...

Następnego dnia Jego Świątobliwość papież Kalikst czuł się na tyle dobrze, by zwołać naradę w swoim gabinecie. Zebrała się tam ta sama grupa - D'Ambrizzi, Indelicato i Sandanato, a także dwóch młodych pomocników Indelicato - czekających w przedpokoju. Tych dwóch cieszyło się zaufaniem Indelicato i pracowało nad pewnymi aspektami śledztwa w sprawie morderstw. W rogu gabinetu stał namiot tlenowy z półkami z różnymi medycznymi przyrządami. Nie warto było teraz ryzykować.

Utrata wagi przez papieża stawała się coraz bardziej widoczna, zwłaszcza na twarzy, na której pojawiły się już nowe, głębokie zmarszczki, nadając jej wyraz smutnego kłowna. Jego twarz znana na całym świecie, nieomylnie się zmieniała, zapadała. Tym razem dla odmiany nosił soczewki kontaktowe, a jedna z nich sprawiała mu kłopot. Bez przerwy odciągał dolną powiekę od gałki, przepaszając cicho, gdy tylko to robił. Zrezygnował, osunął się głębiej w fotel, bawiąc się florentyńskim sztyletem, który, jak stwierdził, miał przy sobie.

- Cóż - powiedział - zaczynajmy. Raport z postępów. Nie trzeba było określać zadania. Interesowała go tylko jedna sprawa.

Kardynał D'Ambrizzi wziął od Sandanato segregator. Światło słoneczne, wlewające się przez okna pogłębiało wrażenie bladej i ciemnych plam na zapadniętych policzkach Sandanato. Wydawał się być napięty jeszcze bardziej niż zwykle. Dłonie papieża drżały, gdy opuścił je, nadal ściskając sztylet, na biurko przed sobą. D'Ambrizzi sam wyglądał na zmęczonego i postarzałego, jak człowiek ze zbyt wieloma brzydkimi sekretami, ukrytymi za wielkimi, wylupiastymi oczami żaby. Niepokój wypełniał pokój jak trujący gaz.

- Badaliśmy ostatnie tygodnie życia siostry Valentine, Eminencjo - powiedział D'Ambrizzi. - Gdzie była, co robiła. Próbowaliśmy odkryć wydarzenia, które mogły doprowadzić do jej zamordowania. Stwierdziliśmy, że Ben Driskill postępuje jej śladami, ale wstecz. Był w zeszłym tygodniu w Aleksandrii, parę dni w jedną lub w drugą stronę. Spotkał się tam z naszym starym przyjacielem Klausem Richterem...

- Żartujesz - powiedział nagle papież. - Richter? Nasz Richter? Z dawnych lat? Powiedziałeś mi, że kiedyś ci groził!

- Nikt inny, Wasza Świątobliwość. I naprawdę mi groził, zapewniam.

- Twój zapal - wymruczał Indelicato - służy ci, Giacomo.

- I - ciągnął D'Ambrizzi - spotkał się jeszcze z innym człowiekiem, który wkrótce potem się zabił!

- Kto to był?

- Etienne LeBecq, Eminencjo. Marszand.

Oczy Kaliksta rozszerzyły się, poczuł wzrost poziomu adrenaliny. Serce mu biło nierówno, skacząc w piersi. Myślał: LeBecq, brat ojca LeBecq, który nawiedzał go w snach; po czterdziestu latach obaj nie żyli, wszystkie grzechy spadają na jego głowę. Czy tak? Wszyscy byli bardzo głęboko zaangażowani w Spisek Piusa... Czy przez to stawali się grzesznikami, teraz wezwani, by za grzech zapłacić?

D'Ambrizzi mówił dalej, przerzucając kartki.

- Przekazano nam również raport z Paryża, że dziennikarz o nazwisku Heywood...

- Robbie Heywood - Kalikst wtrącił cicho. - Pamiętasz go, Giacomo. Okropne, krzykliwe marynarki, zagadałyby cię na śmierć, albo upiłyby się za twoje pieniądze, gdyby miał choćby cień szansy. Mój Boże, pamiętam go. A co on ma z tym wszystkim wspólnego?

- Nie żyje, Wasza Świątobliwość - powiedział D'Ambrizzi. - Zamordowany przez nieznaną sprawców. Władze nie mają żadnych śladów, oczywiście.

Kalikst starał się sobie przypomnieć, kiedy widział po raz ostatni Heywooda.

- Ale co on ma wspólnego z tym całym bagnem?

- Siostra Valentine spotkała się z nim w czasie swojego pobytu w Paryżu. A teraz on nie żyje. Może jest jakiś związek...

- Musisz się bardziej postarać, Giacomo - powiedział Indelicato. Jego głos brzmiał mechanicznie, obojętnie. - Poślę kogoś do Paryża, by to sprawdził.

- Życzę mu szczęścia - powiedział D'Ambrizzi z powątpiewaniem. Wzruszył ramionami. - Może to tylko zbieg okoliczności. Zasztyletowany na rogu ulicy. Takie rzeczy się zdarzają.

- Nonsens. - Indelicato zachmurzył się cierpko. - Kościół jest atakowany, a Heywood stał się ofiarą. To oczywiste.

- To wszystko prowadzi do Paryża - wyszeptał Kalikst. Powoli obracał sztylet w dłoniach. - A gdzie jest teraz nasz przyjaciel Ben Driskill? I jak się ma jego ojciec?

- Stan zdrowia jego ojca poprawia się. To wolny proces. I wygląda na to, że straciliśmy z oczu Bena Driskilla. Poleciał do Paryża. Zazwyczaj zatrzymywał się w hotelu George V, ale cóż... nie ma go tam. Jest gdzieś w Paryżu. Chyba, że już wyjechał - zwrócił się do bladego, o trupim wyglądzie kardynała, siedzącego spokojnie ze skrzyżowanymi nogami. - Fredi, Fredi, jesteś zbyt spokojny. Martwię się, kiedy jesteś taki spokojny.

Indelicato odchylił się i postukał palcami w pierś.

- Twoje źródła informacji wzbudzają we mnie grozę. Ten dobry monsignor tutaj - kiwnął głową w stronę Sandanato - jest odpowiedzialny za ów potop wieści?

- Nie tym razem. Biedny Piętro jest taki zapracowany. Nie, po prostu spuściłem ze smyczy moją prywatną armię. Och, czemu wyglądasz na tak zmartwionego, Fredi, żartowałem tylko. Wysunąłem kilka macek, zadałem kilka pytań...

- Ten siwowłosy ksiądz - spytał Kalikst - kim jest? D'Ambrizzi pokręcił głową.

- Twoja sieć wciąż mnie zadziwia - stwierdził Indelicato. - Ale gdzie jest Driskill?

- Jesteś dobry w śledzeniu ludzi - stwierdził D'Ambrizzi. - Może zbyt wiele czasu straciłeś na śledzenie mnie, Fredi.

Roześmiał się głucho w wielkiej pierś. Indelicato uśmiechnął się powoli.

- Najwyraźniej nie robiłem tego zbyt dokładnie. Kalikst odezwał się, ignorując tę walkę na słowa.

- A więc teraz mamy dziewięć morderstw... i samobójstwo?

- Kto wie, Wasza Świątobliwość - odparł Indelicato. - To jest królestwo terroru. Kto wie, ile ich już było naprawdę i ile jeszcze będzie.

Nagle Kalikst wstał. Jego ciało zeszywniało od szarpiącego kości rozdzierającego bólu, palce zacisnęły się, usta zatraciły swój kształt i z ohydny wyrazem twarzy, z białą śliną na bladych wargach i bez wydania dźwięku przewrócił się wprost na biurko.

Jean-Pierre - kościelny, którego odnalazł August Horstmann - ubrany był w długą, czarną sutannę, trochę wystrzępioną na dole i w stary kapelusz o szerokim rondzie i płaskiej główce, tak rozpowszechniony wśród wiejskich księży. Niósł drugie śniadanie w brązowej papierowej torbie, wielokrotnie zwijanej, zgniatanej i poplamionej tłuszczem. Nikt w pociągu nie zwrócił na niego uwagi. Nikt, poza małą jasnowłosą dziewczynką z warkoczykami, która wydawała się zahipnotyzowana przez jego oczy - jedno mlecznobiałe, a drugie tak błękitne, że było prawie identyczne jak jej. Uśmiechnął się do niej, a ona wpatrywała się w niego, ssąc kciuk. Marzył o tym, by wysiąść, zanim pociąg dotrze do Rzymu. Ale, oczywiście, nie mógł.

Kiedy dojechał, w południe w Rzymie było gorąco. Za gorąco jak na tę porę roku. Pocił się w grubej bieliźnie. Przyzwyczaił się do chłodnego, wietrznego klimatu Hiszpanii, gór, strumieni i powolnego tempa swojej pracy.

Teraz stał przed dworcem kolejowym niepewny siebie między turystami, popychany przez śpieszący się tłum. Zastanawiał się przez chwilę, czy kiedyś jeszcze zobaczy maleńki wiejski kościółek. Czy kiedyś jeszcze zobaczy srebrny księżyc z okna w małym pokoju, czy poczuje zapach czystego, świeżego powietrza i bryzy, niosącej ze sobą delikatny smak oceanu? Czy jeszcze usłyszy śpieszący się strumień za wsią, zanurzy w nim stopy?

Odszukał budkę telefoniczną. Wykręcił watykański numer.

Kiedy już nawiązał kontakt i otrzymał instrukcje, miał wreszcie czas na długi spacer.

Mógł nawet zwiedzić ogrody watykańskie. Uplłynęło już tyle czasu, od kiedy widział je ostatni raz. Był wtedy jeszcze chłopcem.

Tak, gdy miał już telefon za sobą, pozostawało mu dużo czasu, by po wałęsać się po mieście.

Chciał choć na chwilę zapomnieć, po co przyjechał do Rzymu.

Jeszcze jeden wynajęty samochód, jeszcze jedno deszczowe popołudnie ze zbierającymi się nisko ponurymi chmurami, ułożonymi na poszarpanych szczytach gór biegnących wzdłuż wybrzeża Donegalu. Góry wydawały się spychać mnie w dół, okrążyć od tyłu, kierując mnie ku wściekłości, którą wydawał się Atlantyk. Donegal był jednym z rozpaczliwie pięknych i cierpiących w nędzy zakątków Irlandii, a wybrzeże takim miejscem, które Bóg mógł zaprojektować do szybkiej ucieczki - szerokouste zatoki powstałe po zatonięciu dolin między łańcuchami górskimi, górskie zakamarki i ciemność, gdziekolwiek by nie spojrzeć. Ziemia już nie mogła dłużej wspierać ludności, która stawała się starsza i mniej liczna z upływem każdego dziesięciolecia. To było miejsce zapierającego oddech naturalnego piękna, ale także sam rdzeń wszystkiego, co zaszkodziło temu krajowi - rdzeń wyrzeczenia się, pięść wstrząsana przed twarzą losu. Czysto katolicki. Naturalnie.

Jazda tego dnia przebiegała spokojnie, cicho, a moje plecy nie bolały tak bardzo. Wszystko, co leżało przede mną, było tajemnicą, ale kierowało mną potężne połączenie lęku i nieodwołalnego gniewu. Do mojej komnaty strachów dodałem teraz biednego starego Robbiego Heywooda, złapanego i zarżniętego przez ojca Augusta Horstmanną, prawdopodobnie na rozkaz kogoś innego, kogoś z Rzymu. Byłem przygotowany na wszystko, cokolwiek leżało przede mną, cokolwiek miałem otrzymać.

Poczułem zapach torfu, głęboko wcinającego się w ziemię, wrzosu i kapryfolium. Dałbym prawie wszystko, by zapomnieć o zabójstwach, *assassini* i rzymskich intrygach. Przyjemnie było obserwować samotną drogę, kałuże migoczące w zagłębieniach, wdychać zapach mokrej ziemi, by odnaleźć jakiś rodzaj spokoju w widoku rzadko rozrzuconych błyskających białą wsi i bladej, pomarańczowej łunie słońca za błękitnymi i purpurowymi deszczowymi chmurami.

Wszystko to zostało już za mną: miałem niejasne wrażenie, że tajemniczy krajobraz - który mógł przekształcić się z łagodnych pól w przerażające poszarpane przez ocean klify za jednym obrotem głowy - połyka mnie, że może nigdy nie pozwoli mi odejść.

W czasie samotnej jazdy siostra Elżbieta ciągle wypełniała moje myśli.

Dlaczego? To nie miało sensu, moje myślenie o niej, pragnienie, by siedziała obok mnie, mówiła do mnie, zamyślała się i zapewniała, że słusznie postępuję. Musiałem przypominać sobie, że Elżbieta dla mnie nic nie znaczy. Zapamiętany jej ostatni obraz, kłótnia w cichym domu, niczego nie zmieniał. I nadal zmuszałem się, by pamiętać podstawową prawdę, że jest jedną z *nich*, zakonnicą, kimś, komu nie można ufać. Wszystko przefiltrowywała przez pryzmat Kościoła, czy to były zasady świeckie, czy fetysze. W żaden sposób nie mogłeś wygrać, nie z nimi.

Wracając myślami do Torricelliego, powiedziałem sobie: to dobry przykład. Biedny Torricelli, kwintesencja księdza, złapany w potrzask przez nazistów, katolików, bojowników oporu. Bez wyboru dla starego biskupa. Dla niego stawało się to zawsze kwestią dreptania, dreptania na paluszkach, na linie, nie był ani tym, ani tym, ignorując lub odmawiając rozróżnienia zła i dobra. A jeśli nie potrafiłeś rozróżnić

zła i dobra w świecie rządzonym przez nazistów, to miałeś kłopot, prawda?

A jednak siostra Elżbieta rozumiałaby dylemat starego biskupa. To było jak amputacja, którą przeszedłeś przy wstąpieniu do Kościoła: Kościół obcinał ci twoją moralność i zastępował czymś własnej produkcji, czymś nienaturalnym, wykombinowanym i oczywiście zalecanym. Tam już brakowało miejsca na prostotę i na rozróżnianie dobra i zła. Posłuszeństwo stawało się moralnością i akceptowałeś to.

Wróciłem myślą do Elżbiety i wydawało mi się, że minęły wieki, od kiedy widziałem ją po raz ostatni. Wtedy nie byłem rozcięty przez Horstmanną, nie godziłem się z myślą o sobie jako przyszłej ofierze, nie zamieniłem się jeszcze w myśliwego, nie poszedłem na wojnę. Wtedy nie nosiłem broni. Minęła wieczność, od kiedy ją widziałem. Prawie umarłem. Spowodowałem śmierć przestraszonego człowieka w Egipcie. Nadałem imię siwemu księdzu. Odwiedziłem klasztor w piekle. Odkryłem jeszcze jedno morderstwo w Paryżu. Byłem zupełnie innym człowiekiem od tego, który powiedział do widzenia Elżbiecie. Ona się nie zmieniła. Pozostawała nadal tworem Kościoła, jego własnością, postępującą zgodnie z jego instrukcjami, dostawczynią oficjalnych historii. Chciała wierzyć, że jest lepsza niż moja siostra, ale myliła się. Myślała, że tyle wie, a znała tylko linię partyjną. Złapała się w sieć, z której Val cudem się oswobodziła. Na tym polegała różnica.

Wiedziałem to wszystko, ale traciło na znaczeniu, kiedy przypomniałem sobie, jak śmiałem się z nią, gdy wykopywaliśmy szerokie korytarze w zawartości lodówki, gdy rozwiązywaliśmy wspólnie złowieszcze zagadki, które zostawiła za sobą Val, gdy pojechaliśmy odwiedzić starego policjanta na wybrzeżu i dowiedzieliśmy się, że ojciec Gouverneau został zamordowany, a morderstwo zostało zatuszowane... Wszystko wydawało się takie dobre. Potem przedstawienie skończyło się i rozbijałem się o prawdziwą Elżbietę.

Była zakonnica. Ostatnią rzeczą na świecie, na którą chciałbym sobie pozwolić. Nie mógłbym zwyciężyć, nie w walce z Kościołem, nie przy jej ślubach. Nie mógłbym tak ryzykować. Wiedziałem wszystko o zakonnicach. Zawsze wiedziałem, od dnia, gdy znalazłem martwego ptaka na parkanie szkolnym... Nigdy nie odgadłeś co myślą. Ufałeś im, polegałeś na nich, a one zniecka mówiły ci, że nie są kobietami, nie są istotami ludzkimi, są zakonnicami. Ale siostra Elżbieta uspiła moją czujność. Zamazała kontury, osłabiła ostrzeżenia, których nauczyłem się na pamięć, zasłoniła różnice między sobą a innymi kobietami. A wtedy pozwoliłem jej mnie zranić.

Rana. Druga przyczyna, ta zła, która sprawiała, że myślenie o Elżbiecie było błędem. Kochałem moją siostrę, a Kościół ją zabił. Gdybym pozwolił sobie na zakochanie się w Elżbiecie, Kościół też by ją jakoś zabił. Jeszcze jedna niewinna ofiara. Wiedziałem o tym.

Oczywiście pomyślałaby o mnie, że jestem kompletnym szaleńcem, skoro myślę o niej w takich kategoriach. W końcu dowiodła tego, iż jest zakonnica. Zawiodła moje zaufanie.

Jechałem przez nagły deszcz, mżący zza zasłony gęstej mgły. Poczułem mokry chłód napływający ku mnie od oceanu i wtedy zobaczyłem pierwsze niskie cele, przypominające ule, tysiącletnie poszarpane ruiny kamiennych ścian i szary, obrośnięty mchem kształt wyrastający z klifu...

Klasztor Świętego Sykstusa.

Czytałem o takich miejscach, ale nigdy żadnego nie widziałem. Poczułem, jak ziemia i waga stuleci uciekają wstecz, a ja spadam przez czas i przestrzeń z powrotem w szósty wiek, kiedy święty Finian zalecił pewien szczególnie rodzaj ascezy, jaki pasował do odosobnienia tego miejsca rozciągającego się przede mną wzdłuż jałowych, kamienistych urwisk i wybrzeża. To był klasztor uli pszczelich świętego Sykstusa, nieodrodny twór irlandzkiego wybrzeża z jego furją pieniających się, bijących i uderzających fal. Ule z ułożonych kamieni pomniejszały i morze, i klify, tak jak późniejsze dobudówki do klasztoru, budowanego prawdopodobnie przez ponad tysiąc lat.

Święty Finian i jego następcy narzucili prawie nieludzki rodzaj ascetycznego rygoru dla zakonników, od których wymagano przeżycia przy minimum jedzenia i snu, odrażających biczowaniach i niekończących się mszach. Mnichom zakazano korzystania z pomocy jakichkolwiek zwierząt przy uprawie kamienistych pól. Asceza przeniknęła regułę, czy zakonnik wybrał życie eremity czy złożył śluby wiecznego wędrowania. To był wyłącznie irlandzki rodzaj surowości. Nigdy przedtem w historii nawet tradycyjne odosobnienie klasztorne nie zostało pomyślane jako zagrożenie dla prawdziwego samozaparcia.

Święty Columban zawsze należał do moich ulubieńców. Jego zbiór pokut - tablica kar za nawet najłżejsze z cielesnych podniet - sprawiał, że zaczynałeś rozmyślać o świętych, a zwłaszcza o irlandzkich. Rozważania o sodomii i masturbacji doprowadziły go do ataków sadyzmu. Jeden obraz utkwił mi w głowie od pierwszego dnia, gdy zacząłem o nim czytać jako seminarzysty. Nagi mnich stojący samotnie po szyję w burzliwym morzu przy takim właśnie zrakowaciałym wybrzeżu; jak to właśnie, które leżało przede mną; od brzasku do zmierzchu, od zmierzchu do brzasku śpiewający psalmy, aż popękały mu struny głosowe, aż ostygła mu krew, aż przerwał walkę i zsunął się pod wodę... Po co? Jaki był tego cel? Czy po prostu wszyscy zwariowali i nie mieli nic lepszego do roboty ze swoją chorobą? Czasami między nimi łapano wroga Kościoła - niewiernego, sodomitę i krzyżowano go na piaszczysto-kamienistej plaży, a krzyż wbijano do góry nogami, tak by przyptływ zatopił go, zanim umrze z uduszenia czy upływu krwi... Nie mogłem zapomnieć tych opowieści po dwudziestu pięciu latach od ich przeczytania, teraz, kiedy po raz pierwszy skierowałem wzrok ku temu umierającemu miejscu.

Zjechałem z kolein wąskiej ścieżki i wysiadłem z samochodu. Poczułem uderzenie wiatru i ostrze mokrej, słono-cierpkiej mgły, wypełniającej powietrze. Wybrzeże Irlandii było idealnym miejscem dla tych czerwonoookich, maniakałnych mnichów, którzy nigdy nie mogli nabiczować się tyle, by uzyskać satysfakcję. Skaliste, jałowe grudy wyrastały z zatoki, a poszarpane klify wybrzeża widniały rozdzielone jakby uderzeniami młota. Wąwozy uciekały z wody. Urwiska i przyładki dźwigały pokraczne skarłowaciałe drzewa, a dzika roślinność - głogi i jałowce - tłoczyła się w zagłębieniach skalnych. Ktoś, kogo czytałem dawno temu, napisał, że miejsce niezamieszkałe i niemieszkalne wydawało się tym mnichom, jak zaproszenie do bólu, którego szukali dla swego ziemskiego życia”.

Może sprawił to atawizm zakorzeniony głęboko w moich genach, że musiałem powędrować między relikty tamtego innego świata, musiałem zobaczyć, jak wszystko wygląda z wygodnego punktu widzenia przygarniętego na jedną noc pielgrzyma, wyrzuconego na brzeg pięćset lat wcześniej przez kapryśny los i nieopanowany sztorm. Teraz morze za mną zahuczało, drżało wzdłuż rozciągającej się

nierównej, skalistej plaży, która leżała blada i bezradna między wściekłymi, złorzeczącymi klifami, zagrażającymi mu, tak jak mnie, niczym gigantyczne szczęki. Groty, ciemne okna, przyglądały mi się jak nieprzeniknione czarne oczy. Biedni bękarci w przeszłości budowali klasztory, otoczone przez nieubłagane morze i jałowe, nielitościwe moczary, jak gdyby naprawdę pragnęli nie tylko ukryć się przed światem, ale nawet przed Bogiem, mając nadzieję, że jakoś zostaną przeoczeni, zapomniani, a może ich istnienie zostanie im wybaczone.

Jedyny większy budynek klasztoru zbudowano z nieobrobionych kamieni. Dolne krawędzie ubarwiła wilgotna ciemnozielona broda mchu, gdy górne mchy i porosty wyschły na brudny brąz. Na wieży na wprost nisko zawieszonych chmur, widniał krzyż. Nie było słyhać żadnych dźwięków poza zimnym wichrem i falami przyboju, uderzającymi jak wzmocniona tortura wody, załamane nerwowe żądające twojej duszy.

Wszedłem między budynki-ułe, obchodząc kamienie, które obluźowały się stulecia temu i same się rozsunęły. Zajrzałem do środka, w ciemność, ale nie znalazłem tam śladów życia tylko zapach ptaków i morza. Jak mogli mieszkać w takich warunkach i jednocześnie tworzyć takie dzieła sztuki dekoracyjnej, w którą wpatrujemy się z wybałuszonymi oczami i opadniętą szczęką - książki, prace złotników, kontynuację dzieł prehistorii germańskiej i celtyckiej? Jakim byli gatunkiem geniuszy? Nie znałem odpowiedzi, nie mógłbym nawet jej wymyślić, a to może pomogłoby wyjaśnić, dlaczego moja wiara rozpadła się tak dawno.

Wróciłem do samochodu, ciężko oddychając przez zasychającą siłę nieustannego sztormu. Wiedziałem, dlaczego nigdy nie byli w stanie niczego dodać do szlachetnej historii architektury klasztornej. To przez tkwiącą w nich Irlandię. Nie ufali, że cokolwiek przetrwa, cokolwiek, co mogło mieć pretensję do piękna czy wieczności. Lepiej wywędrować lub ukryć się w jaskini, a w końcu zniknąć, powrócić do przeszłości, jak łacińskie słowa wydrapane z welinu, usunięte, by zrobić miejsce dla nowych, które też w swoim czasie zostaną wydrapane.

Pojechałem w górę wąską ścieżką, ciągnąc za sobą przeszłość jak ogromne zwłoki.

Musiałem się ruszyć. Miałem pracę do wykonania.

Znalazłem brata Leona w czymś, co mogło uchodzić za ogród - skrawek pod warzywa i kilka kwiatów na szczycie klifu, tuż za murem z kamieni, które skruszyły się setki lat temu. Klęczał w mokrej, ciemnej ziemi i spojrzał na mnie, gdy pochyliłem się naprzeciw wicherze, przedzierając się przez dziedziniec do niego. Pomachał radośnie, jakby mnie znał i wrócił do pielienia i sadzenia. Wspiąłem się na resztki muru, ślizgając się na mokrym mchu, i stwierdziłem, że znowu zabrakło mi tchu. Popatrzył na mnie jeszcze raz, coś powiedział, co nie dotarło do moich uszu i uśmiechnął się. Jego twarz była bardzo stara, okrągła i pomarszczona, roztargniona w sympatyczny sposób, uczciwa w postanowieniu ukończenia swojego - wszystko jedno jakiego zadania. Miał na sobie czarne spodnie umazane wilgotną mazią i czarny sweter z golfem, otaczającym chudą pomarszczoną szyję i policzki. Jego gołe ręce były oblepione ziemią, a na policzku pozostała smuga błota, w miejscu gdzie musiał się podrapać. Wreszcie skończył pracę, przyklepał ziemię wokół kilku zmęczonych łodyg, których nie potrafiłem

zidentyfikować, i wstał. Wytrzeł ręce w zabłocony kawałek ścierki.

- Bracie Leonie - powiedziałem. - Nazywam się Driskill. Przyjechałem z Paryża zobaczyć się z bratem. Adres dał mi Robbie Heywood.

Zamrugnął oczami. To jedna z tych niewinnych twarzy, które zawsze wyglądają na zdziwione. Wyciągnął w moją stronę brudny palec, jak gdybym wypowiedział magiczne słowo.

- Robbie? - spytał. - A jak ma się Robbie?

Nie mówił jak Irlandczyk. Jego intonacja i akcent były nie do określenia. Prawdopodobnie urodził się w Irlandii, ale życie spędził gdzie indziej. Powiedziałem, że Heywood nie żyje i nie zagłębiałem się w szczegóły. Słuchał zawiązując worek pełen nawozu, zbierając narzędzia, grabki, małą łopatę. Kiwał głową od czasu do czasu. Nie mógłbym stwierdzić, co rozumiał z moich słów.

- Paryż - powiedział. - Przejechał taką drogę z Paryża. I Robbie nie żyje. Kiedyś nazywaliśmy go Wikary. Wysłał pana, żeby spotkał się pan ze mną? Jestem, muszę przyznać, szczerze zdziwiony. Nie mogę w to całkiem uwierzyć. Po tylu latach. Tutaj jesteśmy trochę na uboczu. Ale - sprzeciwił się sam sobie - czyż nie mam świadectwa przed własnymi oczami? Zdziwiony jestem. Wikary! Sprawiłoby mi przyjemność, gdybym go znowu zobaczył. - Jego oczy rozszerzyły się niewinnie, a on zdawał się wiedzieć, o czym myślałem wcześniej. - Och, przyjemność nie jest tu dłużej zabroniona. Taka ulga. Błogosławieństwo. Hałaśliwy, wścibski człowiek, ale dobry towarzysz w czasie trudniejszych dni. Dobry Boże! - Pokręcił głową. Jego krzaczaste brwi rozwiewał wiatr. - Nie żyje. Stary czas przemija. Cienie zbierają się, gęstnieją. - Uśmiechnął się do mnie uszczęśliwiony.

- Nie przeżył swego życia do końca - odparłem. - Robbie Heywood został zamordowany w Paryżu tydzień temu...

- Ale kto mógłby zrobić coś takiego?

- Człowiek, który pokonał czas, człowiek sprzed czterdziestu lat, któremu ufał... człowiek, który go wprowadził w pułapkę i nie dał mu żadnych szans. Niecały miesiąc temu moja siostra - zakonnica, siostra Valentine - została zamordowana przez tego samego mężczyznę. Robbie Heywood wierzył, że brat mógłby rzucić trochę światła na zabójcę... Kim jest, skąd przyszedł i dlaczego zabija.

Znowu.

- Mogę zapytać - rzekł spokojnie - dlaczego zabił pańską siostrę?

- Ponieważ zbierała materiały do książki, która najwyraźniej zawierała jakieś szczegóły tego, co się działo w Paryżu w czasie wojny. Torricelli, hitlerowcy, ruch oporu i coś, co zostało nazwane „Spisek Piusa”. A człowiek, nieuchwytny, o imieniu Simon...

- Proszę przestać - uśmiechnął się do mnie tak łagodnie, jak gdyby był ponad ziemskimi sprawami, winą, grzechem i zbrodnią. - Wydaje się pan bardzo dobrze poinformowany o bardzo starych, bardzo tajnych sprawach. Jeszcze nie wiem, co o panu myśleć, panie Driskill.

- Przebyłem długą drogę, by usłyszeć opowieść brata. Ludzie umarli...

- Jak dobrze o tym wiem... - zamruczał tajemniczo.

- ... zaczynając od ojca LeBecq'a na cmentarzu w Paryżu czterdzieści lat temu - nie, oczywiście, on

nie był na samym początku. Ale kto wie, kiedy to się zaczęło. Moja siostra, wasz stary przyjaciel Heywood, to tylko najświeższe dodatki do listy. Wszystko zaczęło się dawno, dawno temu... a ja mam pseudonimy, które może brat jest w stanie zidentyfikować.

Słowa, pytania i myśli wylewały się ze mnie zbyt prędko, a on wycofywał się. Dawałem zbyt wiele, by mógł sobie z tym poradzić.

Zobaczyłem to w jego oczach, uciekających w chwili, gdy mówiłem. Przerwałem, pozwalając słowom utonąć w falach.

Jego oczy przeczesywały odległe morze, które mogłoby sprawić, iż uwierzyłbyś, że jest ciche i łagodne.

- Chyba się pana boję, panie Driskill - jeśli Driskill to pana prawdziwe nazwisko. Widzi pan - mówił dalej zdecydowanie, kiedy zacząłem protestować - wiedziałem, że przyjedzie ktoś i przedstawi rachunek do zapłacenia. Bo wtedy zdarzały się różne rzeczy, rzeczy, które nie mogłyby zostać zapomniane, dopóki któryś z nas żyje, któryś z nas, kto znał całą historię... czy nawet jej fragmenty. Obawiam się; iż wiedziałem tyle, co każdy z nas. Z pewnością zbyt wiele, aby pozwolono mi żyć, jeśli ktoś chciałby zatuszować przeszłość, wymazać ją. Ktoś pewnego dnia przypomni sobie o Leonie i zaczną się zastanawiać, czy on jeszcze żyje i będą starali się dowiedzieć. - Położył brodę na dłoni, skrzyżował ramiona na piersi. - Zabrało to trochę więcej czasu, niż myślałem. A teraz zastanawiam się, czy pan jest tym człowiekiem? A jeśli pan nim jest, który z nich pana posłał?

Spuścił wzrok widząc, że wody są coraz bardziej wzburzone, gdy zbliżały się ku podstawie klifu. Zawołałem jego imię, ale wiatr i bijące fale zagłuszyły je. Wyciągnąłem rękę, chwyciłem go za ramię. Mocniej niż zamierzałem. Odwrócił się łagodnie i niewinność jego twarzy oświeciła mnie jak łaska Boża.

- Potrzebuję pomocy - powiedziałem. Nie wydawałem się zbyt przekonujący. Posunąłem się za daleko, by mi się udało, a wiatr wysysał mi oddech. Czułem się coraz słabszy. Ten mały człowiek był jednym z kluczy, który musiałem mieć. - Muszę usłyszeć, własnymi słowami... prawdę...

- Chce pan poznać moją historię, rozumiem - mówił cicho, jak gdyby zaskoczony jakimś tajemnym odkryciem, czymś, czego nie mógłbym wiedzieć. Usłyszałem go, zrozumiałem każde słowo. - To wydarzyło się tak dawno temu. - Podniósł głowę i skinął w moją stronę krótko, z zamyśleniem. - Będzie pan musiał mnie przekonać... Może już przeżyłem użyteczne lata, ale nie pragnę umrzeć wcześniej, niż jest to konieczne. Rozumie pan? Powiedziałem panu, że się boję. Jeśli pan przybył, by mnie zabić - jeśli naprawdę pan przychodzi od *nich* - jeżeli przyjechał pan z Rzymu, by mnie zabić... to niewiele mogę zrobić, aby panu przeszkodzić. Ale jeśli pan przybył, jak pan twierdzi, w poszukiwaniu prawdy, wtedy opowiem panu swoją historię. No to chodźmy na spacer i proszę mi wyjaśnić, kim pan jest. Zamieńmy się historiami, pańska za moją. - Znowu się uśmiechnął. Powiedział, że się boi, ale się nie bał. Nie dostrzegłem w nim śladu strachu. - A jeśli przybył pan od nich, może będę umiał przekonać pana, że jestem tylko nieszkodliwym starym człowiekiem, nie zagrażam ani panu, ani pana mocodawcom... kto wie?

- Oni - zapytałem - kim oni są?

- Młody człowieku, kimkolwiek pan jest, wie pan doskonale, kim oni są. Dlaczego dotarł pan tak

daleko? Proszę, chodźmy na klif. Nie rozłączymy się. Dam panu szansę, aby mnie pan zabił. - Zachichotał do siebie, jakby to był żart ze mnie. Podążyłem krok za nim.

W czasie drugiej wojny światowej Kościół katolicki martwił się, najwyraźniej ogarnięty obsesją przetrwania, tak jak inne europejskie organizacje. Prowadzenie działalności musiało być planowane, przeprowadzane z największą ostrożnością i skrupulatnością ze względu na stan wojny, na chwiejną równowagę sił, na *realpolitik*. Dodatkowo komplikowała sprawy moralność jednostki wchodzącej w konflikt z organizacją o niższym poziomie moralności, jak tego dowiodła opowieść brata Leona. Rola Kościoła stawała się nieuchronnie dwuznaczna przez fakt, że w dwudziestym wieku nie miał już własnej armii, żadnych środków wymuszania swej polityki czy bronięcia swej niezależności przed zainteresowaniem z zewnątrz. Po pierwsze: w każdej chwili musiał być kontrolowany przebieg wojny, po drugie: należało zwracać choć trochę uwagi na nieukrywane potworności systematycznie popełniane przez nazistów - po prostu nie można ich było ignorować bez względu na to, jakby ktoś sobie tego życzył; a po trzecie: faktem było, że Kościołowi przewodził papież Pius, którego związki z Niemcami pozostawały mocne, głębokie i tajemnicze.

Przykładem takiego pomieszania moralności, celów i konsekwencji stało się pojawienie osobliwej odpowiedzi: kadra paryskich aktywistów katolików - księży, zakonników, świeckich - została zwerbowana przez księdza znanego jako „Simon Verginius” - tak właśnie, Simon. Połączył ich świętą przysięgą zachowaną tajemnicy, która obowiązywała przez całe życie. Mieli nigdy nie zdradzić istnienia swego bractwa, ani nikomu spoza grupy wyjawić swej tożsamości. Tak długo, dopóki nie złamano przysięgi, nie groziło im zdemaskowanie.

Oczywiście były problemy nawet z ustaleniem pierwszych zasad, zapewnił mnie brat Leon ze zmęczonym wzruszeniem ramion.

- Po prostu postawię pytania tak jak wtedy, ale nie dostarczę żadnych odpowiedzi - powiedział. - Pierwsze, kto wpadł na pomysł, aby powołać taką kadrę. Na pewno nie Simon. To ktoś z Rzymu - przynajmniej takie były moje założenia - młodego człowieka uwikłanego w wydarzenia i pragnącego zagrać w nich jakąś rolę. Ktoś skądś kierował ręką Simona... bo istniał dowód. Konflikt. Simon zbuntował się przeciwko pewnym rozkazom i to skończyło się naszą zgubą.

Celem grupy było ochronienie Kościoła od niepowodzeń, wzbogacenie po szkodach, zachowanie go silnego i daleko od zapaleń, pożarów ambicji i szaleństw, które wojna ze sobą niosła. W wielkim mieście rządzonym przez hitlerowskich najeźdźców, konieczności, jakie niósł ze sobą taki cel, były oczywiste, ale niewątpliwie pozostawały w sprzeczności z moralnością niektórych jednostek. Brat Leon pozwolił mi zastanowić się nad tym i ciągnął swoją opowieść.

Mężczyźni w grupie znali tylko swoje pseudonimy. Leon twierdził, że je zapomniał w rezultacie długoletnich prób zagrzebania ich w odległej przeszłości. Upierał się, że zapomniał, ilu ich było i nie chciał ustąpić. Christos, tak, był jeden, który nazywał się Christos, przyznał przypominając sobie to imię i wkrótce miałem się dowiedzieć dlaczego. W owym czasie stanowili, powiedział, doskonale katolicką grupę: całkowicie autokratyczną, nikt nie śmiał otwarcie zadawać pytań, nawet myśleć o pytaniach, poza

spokojem własnego umysłu, gdy ochronna garda była opuszczona. Rozkazy wydano, rozkazy wykonywano. Decyzje podejmowali inni. Ci mężczyźni uważali się za narzędzie, broń w służbie Kościoła. To był czas wojny, a Kościół nigdy nie czołgał się ze strachu przed świeckimi armiami, no może niezbyt często. W przeszłości powoływał własne armie, wysyłał swoich żołnierzy na bitwę, by zginęli, jeśli to było konieczne, lub zabijali, jeśli zaistniała potrzeba zabijania.

Teraz, w Paryżu, Kościół zwołał nową armię, którą mógł nazwać własną, aby zrobiła to, co musiało być zrobione. Brat Leon nie patrzył na mnie w tej chwili, ale zrozumiałem: zostali zebrani, by zabijać i zajmowali się zabijaniem.

- To był czas wykonywania rozkazów - powiedział. - Jakichkolwiek rozkazów. Proszę tego nie mówić, panie Driskill - zgadzam się z panem... Wykonywanie rozkazów to najbardziej zużyte usprawiedliwienie wykorzystywane przez morderców z tamtych czasów. Strażników z obozu koncentracyjnego w Treblince, księdza podchodzącego ofiarę w slumsach Paryża... - Wzruszył ramionami, wpatrując się w morze. Cienie się wydłużały, a wiatr stawał się coraz przenikliwszy. - Nie usprawiedliwiam się, ani żadnego z nas. Mówię panu, jak było, to wszystko. Czasami otrzymywaliśmy rozkaz, aby zabić człowieka. Dla ogólniejszego dobra, oczywiście. To było zawsze dla Kościoła. Wierzyliśmy, że dzięki nam ocaleje Kościół.

Znacznie częściej zdarzało się coś jeszcze. Zazwyczaj sprawy handlowe. I znowu kroczyli po cienkiej linii. Lojalność handlowa, akcje handlowe, które grupa potrafiła przeprowadzić, handlowanie dla dobra Kościoła. Handlowanie z hitlerowcami, z Wehrmachtem, SS, gestapo. A w rezultacie Kościół zyskiwał: wcale nie najmniejszy udział w zrabowanych arcydziełach sztuki, które zaczynały dzięki nim wędrowkę i trafiały do Rzymu, trofea pochodzące ze zbrodni na Żydach, których po prostu nikt więcej nie widział. A kiedy było to konieczne, mała grupka Simona, najczęściej Christos wykonywał tę misję, pilnowała ruchu oporu i wydawało się, że nie ma innego wyboru, jak zdradzić swoich francuskich przyjaciół, rzucić kości hitlerowcom, by zachować kruchą równowagę między współpracą z ruchem oporu tu, a nazistami tam, ale zawsze *dla* dobra Kościoła, co było kwestią wiary, bo *wiedzieli*, że musi on przetrwać bojowników ruchu oporu, najeźdźców hitlerowskich i samą wojnę.

Zdarzały się też takie sytuacje, gdy nie chodziło wyłącznie o handel ani zwykłą zdradę oporu z jednej strony czy sabotowanie nazistów z drugiej. Bywało tak, że to hitlerowcy chcieli, by ktoś umarł. Dlaczego sami nie zabijali, złoczyńcy? Brat Leon długo się nad tym zastanawiał. Czy było to sprawdzenie gotowości grupy do współpracy z okupantem? Czy proste narzucanie swojej woli?

Brat Leon przypomniał sobie, jak wyszła na jaw przepaść między Simonem a Christosem. Musiały pojawić się kłopoty w szeregach, wcześniej czy później, brat Leon był tego pewien. Rozgorzał spór w kwestii księdza z ruchu oporu... Ojciec Devereaux był księdzem, który stał się za dobry w sprawach ruchu oporu. Porwano oficera SS, znaleziono go potem na śmietniku w małej wsi pod Paryżem. Winnych nie znaleziono, ale wieś zdradzała pewne sympatie dla ruchu oporu, głównie dzięki wpływowi ojca Devereaux.

SS żądało symbolicznego zadośćuczynienia. Ksiądz musi umrzeć. Katolicy pod dowództwem Simona dostali robotę zabicia go. Simon przekazał grupie, że jest to niemożliwe i miał zamiar powiedzieć

SS, że odpowiedź brzmi „nie”. Ale Christos, wysoki, chudy jak widmo ksiądz z Paryża kłócił się, że zachowanie dobrych stosunków z nazistami jest ważniejsze niż życie jednego sprawiającego kłopoty księdza. „To jest wojna, powiedział, a w czasie wojny oczywiście umierają ludzie. Dla ogólniejszego dobra, ojciec Devereaux musiał umrzeć, tak jak rozkazało SS”.

Christos przedstawiał długo argumenty. Życie tu, życie tam, a połóżcie je na szali z Kościołem, istnieniem grupy.

- Widzi pan, panie Driskill - ciągnął brat Leon cicho, gdy szum morza trochę przycichł, powiedział to obojętnie, jakby w ogóle nie miało to znaczenia - byliśmy odrodzonymi *assassini*, znów w służbie Kościoła...

Kilka morderstw nie miało znaczenia. I to nie były tak naprawdę morderstwa! Raczej śmierci na polu bitwy. Christos mówił o sobie, że jest realistą, pragmatykiem. Niektórzy z ich małego zespołu uważali go za brutalnego i bezwzględnego. Ale on nalegał, a oni się podporządkowali. Simon cofnął swoją rękę, choć ich nie powstrzymał, nie brał udziału w tym, co zdarzyło się tej nocy w wiosce, gdy zabito ojca Devereaux. Christos nagiął niektórych do swej woli, stwierdził brat Leon.

- Ale nie Simona, nie małego Sala, nie mnie i nie Holendra. Nami dowodził Simon. Stanęliśmy przy nim, a nie przy Christosie...

Były też inne, wstrętne roboty ze śmiertelnymi skutkami, które wykonywali, tak jak im kazano. I Simon, i cała reszta. I bez względu na to, jakby się skończyła wojna, Kościół musiał być gotów, by sprzymierzyć się ze zwycięzcą. Kościół musiał ocaleć.

Czy Rzym wiedział?

Czy papież Pius wiedział?

Pytania, których nie wolno było stawiać, na które nie mogło być odpowiedzi. Ale Simon do Paryża przyjechał z Rzymu...

Brat Leon mówił powściągliwie, spokojnie, dłonią pocierał zaróżowiony policzek, spierzchnięty od zimnego wiatru lub przyklepywał do czaszki skręcony lok siwych włosów tylko po to, by podmuch znowu go oderwał i potargał.

A wtedy nadeszła ta ostatnia noc pod koniec gorzkiej zimy 1944.

Znowu przyszło zabić człowieka.

Naziści nic o tym nie wiedzieli. Ani ruch oporu. Po prostu nikt. Tylko *assassini* wiedzieli, że zostanie zabity ważny człowiek.

Dla dobra kościoła. By ocalić Kościół.

Misja Simona. Było to najlepiej opracowane zadanie, jakiego się podjęli. Wymagało więcej planowania, lepszego transportu - tu zawierzyli ruchowi oporu - i więcej środków, które też pochodziły od partyzantów.

Dynamit. Dwa karabiny maszynowe. Granaty ręczne.

Mieli zmienić bieg historii i ocalić Kościół jednym brawurowym uderzeniem.

Musieli okopać się w chacie drwała na zboczu wzgórza przylegającego do odcinka torów kolejowych, ukrytego przez gęsto porośnięte lasem stoki. Pociąg miał przywieźć do Paryża bardzo

ważnego człowieka na tajne spotkanie z wysokimi urzędnikami hitlerowskimi. Krążyły pogłoski, że między nimi będzie marszałek Rzeszy Goering.

Mieli wysadzić w powietrze tory. A gdyby wybuch nie zabił ważnego człowieka, mieli go zastrzelić i każdego, kto by ich próbował powstrzymać.

Ale wszystko poszło nie tak.

Niemcy wiedzieli. Powiadomiono ważnego człowieka. Ktoś im powiedział, ktoś z nich.

- Ważny człowiek nie jechał tym pociągiem - powiedział brat Leon. - Zostaliśmy zdradzeni... to było straszne, tylko paru z nas ocalało. Kilku z naszych zabito, resztę wyśledzono i stracono w Paryżu wkrótce potem, gdy człowiek nazwany Zbieraczem zjawił się, by nas odnaleźć... cóż... - powiedział kiwając głową i ocierając ręką usta - to wydarzyło się dawno temu. Simon zdawał sobie sprawę, że wszystko skończone, ale również wiedział, kto nas zdradził. Wszyscy byliśmy tacy przerażeni, uciekaliśmy, by ocalić życie. Simon miał się o nas zatroszczyć. Dotrzymał słowa. Powiedział nam, co zrobić, a potem poszedł na spotkanie ze zdrajcą... To był Christos, pan rozumie. Właśnie on... zawsze tkwiło w nim coś z nazisty... Holender, mały Sal i ja poszliśmy za Simonem tej nocy, chcieliśmy znaleźć się w pobliżu, gdyby nas potrzebował, wiedzieliśmy, że Christos nosi ze sobą broń.

Tej nocy było zimno, ostry wiatr uderzał zmarzniętymi grudkami śniegu. Luty 1944. Mały, zarośnięty chwastami cmentarzyk w jednej z odległych dzielnic Paryża, stał tam blisko zrujnowany kościół. Oderwana okiennica uderzająca w ciemności. Lód jak potłuczone szkło na płytach nagrobków. Pochylone, uschnięte chwasty wystające z zamrzniętych kałuż. Myszy zdychające z głodu i zimna, uciekające spod nóg.

Simon i Christos stali w mdłym świetle przy nagrobkach.

Leon, Holender i mały Sal kulili się w ciemnościach przy ogrodzeniu. Leon obawiał się, że odmrozi sobie nos. Sal modlił się bez przerwy: jego życie księdza wykonało kilka nieoczekiwanych zwrotów i zaprowadziło go na mroźny cmentarz w środku samotnej nocy, otoczony przez strach.

Christos mówił Simonowi, że nikogo nie zdradził, że nie rozumie, co się stało, tak, między nimi musi być zdrajca, tak, wciąż jest zdrajca, ale on nie wie, kto to jest...

Simon odparł, że wszystko się skończyło, że Christos jest nazistą, że zawsze był nazistą, ale że skończy się to tej nocy.

- Zamordowałeś księdza Devereaux z ruchu oporu i zdradziłeś nas swoim nazistowskim przyjaciółom...

- Devereaux narażał nas, był dla nas niebezpieczny. Musiał umrzeć!

Głos Simona ucichł. Po chwili usłyszeli go znowu, gdy Christos oderwał się od niego. *Zamordowałeś uczciwego, szlachetnego człowieka.* Uderzył w nich wiatr. Leon odwrócił się do Holendra, który pokręcił głową i położył palec na wargach. Mdłe, żółte światło w kościele zniknęło. Kot wyskoczył zza nagrobka, z żółtym błyskami w oczach, i mysz zginęła.

- Nie - powiedział Simon - to nie może być dla dobra żadnego Kościoła. To nie może być Bożą pracą...

- A to co planowałeś dla człowieka w pociągu, to miało być Bożą pracą!

- Kolaborujesz z nazistami, którzy są bezbożnymi poganami, a przecież mówisz, że to dla dobra nas wszystkich, dla dobra Kościoła. Dobrze, może rzeczywiście tak jest - Simon mówił powoli, prosto w twarz Christosa, ale Leon słyszał każde słowo. - Ale zabicie ojca Devereaux - to zdrada Kościoła. Zdrada Boga. Zdrada nas wszystkich. A teraz znowu nas zdradziłeś. Człowiek w pociągu zasłużył sobie na śmierć... a zamiast tego straciliśmy naszych ludzi. Przez ciebie... ale to się skończy, to jest ostatnia noc...

Christos wyjął pistolet z kieszeni znoszonego płaszcza, który nosił na sutannę. Leon odwrócił się od ogrodzenia i nadepnął na kota.

Może gdyby kot nie zamiauczał i nie skoczył na następną z góry skazaną, zadowoloną, że na chwilę wyszła na zewnątrz, małą myszkę - ta para głodnych oczu i futro wyżarte przez mole - może wtedy Christos zastrzeliłby Simona na miejscu i zostawił ciało, by zamarzło na drewno, może w jakiś sposób zmieniłby świat.

Ale kot zamiauczał i skoczył, a gdy to zrobił, głowa Christosa obróciła się o ułamek cała, jego koncentrację zakłóciło zaskoczenie, a Simon z szybkością zaskakującą u tak mocno zbudowanego człowieka skoczył na niego z całą nieodwołalnością zemsty.

Nieskończenie mocne ramiona otaczały Christosa zaciśnięte za jego plecami, jakby tańczyli między nagrobkami w niezgrabnym rytualnym tańcu, między kotami i myszami. Wydawało się, że obejmują się bardzo długo, ich twarze prawie się dotykały, lśniły od potu i wykręcały od namiętności śmierci, odwiecznej namiętności, i w końcu dobiegł ich zgrzyt, pęknięcie, chrząknięcie wypuszczanego powietrza, dyszenie człowieka.

I Christos nie żył.

Zabójca z trudem oddychał.

Przyciągnął ciało do ogrodzenia, popchnął je stopą, wepchnął między jakiś nagrobek a ciemne, mokre krzaki, kopnął nogi, by nie leżały na ścieżce i spokojnie odszedł. Połknęła go ciemność, zimna, wietrzna noc.

Wraz ze śmiercią Christosa umarli również *assassini*. Tyle wiedział brat Leon. Latem wyzwolono Paryż. Wynik wojny był przesądzony, chociaż miały jeszcze nadejść dla aliantów czarne dni. Ale dla grupki zabójców wszystko się skończyło.

Leon wyciągnął ramiona w ostatek promieni słonecznych, jakby się gimnastykował. Pokrywa z fioletowoniebieskich chmur, ciemniejących na horyzoncie, zasłaniała ostatnie promienie.

- Po tej nocy, kiedy zabił Christosa, nigdy nie rozmawiałem z Simonem... Nigdy go już nie zobaczyłem.

Brat Leon szedł między nagrobkami, klękając tu i ówdzie, aby wyprostować koszyk z kwiatami, usunąć bezlistne łodygi czy wyrwać wyschnięte, uparte chwasty. Słońce tonęło, wiatr ucichł, obniżając jeszcze temperaturę. Zadrzałem, choć niecałkiem z zimna. Simon coraz wyraźniej pojawiał się w mojej głowie, ożywał. I wiedziałem teraz o Christosie. Christosie - nazistowskim księdzu. Zawsze będę o nim myślał używając innego nazwiska, nazwiska, które nosił umierający samotnie w nocy.

- Co wtedy ojciec zrobił? Po tym, jak Christos umarł, a Simon odszedł. Chciałbym powiedzieć, że

coś jednak wiem - na przykład, że Christos to ktoś, o kim mówiono ojciec LeBecq, syn marszanda. Ale Simon... kim był Simon?

Zignorował pytanie, po prostu ciągnął dalej. Miał swój własny plan.

- Po tej nocy wróciłem do mojej normalnej pracy w Paryżu i to był koniec. Przynajmniej na jakiś czas. Aż do chwili, gdy z Rzymu przyjechał Zbieracz, właśnie tak.

- Ach tak, Zbieracz. A jak się naprawdę nazywał?

- Niech pan nie będzie taki niecierpliwy, panie Driskill. Tutaj mamy mnóstwo czasu. Niewiele więcej, ale naprawdę mnóstwo czasu.

- Nie może mnie ojciec winić, że jestem ciekawy - odparłem. - A kim był ten Holender, o którym ojciec wspominał? I mały Sal, ksiądz, którego życie okazało się tak całkiem inne, od tego, którego się spodziewałem? Co się z nimi stało?

- Podejrzewam, że wróciliśmy wszyscy do swego poprzedniego życia, życia, jakie prowadziliśmy przez cały czas. Przynajmniej do chwili, gdy...

- Wiem, wiem. Aż zjawił się Zbieracz.

- Dokładnie. Przyjechał, by zebrać nas, rozumie pan. - Podźwignął się, by stanąć, opierając się o stary kamień nagrobka. Zwiędłe, ongiś żółte kwiaty leżały rozrzucone u podstawy kamienia. - Simon był jedynym wielkim człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Rozumie to pan? Nie znał innej lojalności poza lojalnością wobec Boga i Kościoła. Spoglądam teraz w przeszłość i mówię, że robiono coś, czego nie należało, ale to był zły czas dla wszystkich, bitwa na śmierć i życie. Simon, jednak, nie przypominał nikogo, a przecież i święci popełniali błędy, prawda?

- Łagodnie mówiąc - odparłem.

- Tak też stało się z Simonem. Ale to wielki człowiek. Jego odwaga była po prostu nieskończona.

- Ale kim, u diabła, był?

- Panie Driskill, *proszę*.

- Ale ojciec go znał. Tak *naprawdę* znał...

- Powiedzmy, że go obserwowałem. Spędziliśmy razem kilka nocy, ukrywając się w stodołach. Rozmawiał ze mną. Rozważał sens tego, co robiliśmy - czy to naprawdę słuszne, czy naprawdę dla dobra Kościoła... Rozpatrywał z każdej strony ową kwestię, a ja słuchałem. Był ode mnie znacznie inteligentniejszy. Wielki badacz historii, tego wszystkiego, co nazywamy historią. To właśnie Verginius opowiedział mi o Konkordacie Borgiów.

Wyprowadził mnie powoli z cmentarza i z powrotem, krok za krokiem, podążaliśmy ku urwiskom.

- O czym? - krzyknąłem, by usłyszał mnie mimo nagłego ryku oceanu uderzającego o skały.

Oparł się o pochylone drzewo, wepchnął ręce w kieszenie zabłoconych spodni. I znowu mówił tak, jakby to nie miało żadnego znaczenia, zwyczajny kawałek jakiejś opowieści wojennej. Morze uspokoiło się.

- Simon powiedział, że istnieje Konkordat, umowa między papieżem Aleksandrem Borgią a stowarzyszeniem ludzi, którzy wypełniali jego - jak to nazwał Simon? - tak, jego „ciężkie obowiązki”,

jego zabijanie. Simon powiedział, że jesteśmy ich spadkobiercami, tych mężczyzn sprzed pięciuset lat, powiedział, że jesteśmy żywą częścią historii Kościoła. Przyznał mi się, że sam widział i trzymał w ręku Konkordat. - Leon przerwał, spojrział w dół na falującą pianę. Jego twarz mogła stanowić wzór pogody ducha, symbol pogodzenia się z własną przeszłością.

- Czy opisał to? Czy to nadal istnieje? Uśmiechnął się, tolerując moją niecierpliwość.

- Tyle rzeczy zniknęło w czasie wojny i po niej. Ale Simona obsesyjnie obchodził los Konkordatu, pergaminu, na którym został napisany. Rozumie pan, powiedział nam, że zawierał nazwiska wiernych, którzy służyli papieżowi Aleksandrowi. Powiedział, że zawierał również nieprzerwaną linię następców, wpisywanych przez mijające stulecia, wszystkich wiernych, od czasów, gdy zawarł go Aleksander. Nie byłem taki pewien, brzmiało to zbyt fantastycznie... ale właściwie, historia Kościoła pełna jest tajnych dokumentów, czyż nie? Wydawało mi się to bardzo katolickie. Simon obawiał się, że Konkordat wpadnie w ręce nazistów w czasie wojny - lękał się, że już na zawsze trzymaliby go jak miecz nad Kościołem.

- I mówi ojciec, że naprawdę miał ten pergamin wtedy w swoim posiadaniu?

Leon pokiwał głową.

- A jak natrafił na taki zadziwiający dokument?

- Nigdy mi nie powiedział.

- Może kłamał, może tylko naśmiewał się z ojca...

- Simon? Kłamał? Nigdy!

- Ale jak ojciec może być taki pewien?

Popatrzył na mnie kątem oka, chytrze, z odległych wież starości.

- Wiem. Znałem go. To wystarczy. Dlatego mogłem być taki pewny.

- Niech mi ojciec powie resztę. Mógłby ojciec trzymać w rękach los Kościoła. Lista *assassini*...

- Wątpię, panie Driskill. To jezuickie gadanie.

Nie miałem zamiaru robić na nim wrażenia swoim pościgiem, wszystkim przez co przeszedłem. On przeszedł znacznie więcej, a teraz jego walka o życie prawie prawie się skończyła i nie mogłbym go przestraszyć, zaskoczyć, pochlebić mu, czy zmusić do zrobienia czegoś, co nie było w jego planach. Wszystko już sobie przemyślał dawno temu.

- Byłem kiedyś jezuitą - odparłem. Roześmiał się i nie mógł się opamiętać.

- Driskill - przerwał wreszcie - ale z pana numer! A może jest pan przez przypadek uczciwym człowiekiem?

- Mniej więcej - stwierdziłem. W moim świecie nikt takich pytań nie zadaje. Co miałem więc odpowiedzieć?

- Cóż - westchnął - jeśli chodzi o Konkordat - kiedy Simon wyszedł z cmentarza, myślał o Konkordacie Borgiów... jako o historii. To było jak licencja, przywilej - zgodzi się pan ze mną? Jego historia nadała mu ważność czyż nie? Kiedy *assassini* są potrzebni, kiedy służą Kościołowi, wtedy żyją znowu. - Popatrzył na mnie szeroko otwartymi okrągłymi oczyma. - Nie chciałbym ponosić odpowiedzialności podejmowania decyzji, kiedy są potrzebni, a pan, panie Driskill?

- Och, proszę mi tylko powiedzieć, co się stało z Konkordatem.

- Wysłał go na północ. Dla bezpieczeństwa. W gruncie rzeczy... - Miał różową twarz, prawie wesołą, jak święty Mikołaj w teatrzyku szkolnym. - Wysłał go na północ wraz ze mną! Ufał mi, rozumie pan. - Pokazał mi zęby, małe, białe i w pewien sposób groźne. - Ze mną i jeszcze jednym kumplem. Holendrem, który był tam za ogrodzeniem tej ostatniej nocy. Przyszedł do mnie z listem i paczką. List był od Simona. Napisał w nim, że mam zabrać paczkę - Konkordat - i pojechać z Holendrem, wyjechać na północ... Mówię panu, to była przygoda! Wystartowaliśmy jako bretońscy rybacy, przebyliśmy kanał La Manche do Anglii. Płaszcz i szpada. Ale udało nam się, Bóg musiał chcieć, byśmy dokończyli robotę Simona. - Popatrzył na ciemniejące morze, ożywiając w pamięci chwilę triumfu.

- Tak - mówił dalej, odwracając się do mnie - ukryliśmy to przed nazistami. Jest tutaj, rozumie pan. Przywieźliśmy to tutaj, do Świętego Sykstusa. Jak wiele irlandzkich klasztorów, tak i ten był zawsze miejscem przechowywania dokumentów kościelnych od czasów średniowiecza. Tradycja. Rzeczy zachowane przez stulecia. Na uboczu i bezpieczne.

- Mówi mi ojciec, że to jest tutaj? Właśnie tutaj? - Krew tętniła mi w skroniach. Lista *assassini*...

- Tak, oczywiście. Archiwista brat Padraic - bardzo stary, obawiam się, że słabnący - ma to tutaj, gdzieś schowane w archiwach Świętego Sykstusa. Przez czterdzieści lat staliśmy się wielkimi przyjaciółmi. A teraz jest czas, byśmy zrzucili tę sprawę z naszych sumień. Nie mieliśmy żadnego planu, co z tym zrobić, ale że pan przyjechał, może pan jest Boską odpowiedzią na nasze wątpliwości co do tego, co robiliśmy wówczas w Jego imieniu. Wkrótce umrzemy... ale pan może jest odpowiedzią na nasze modlitwy. Jesteśmy tylko dwójką starych ludzi. - Westchnął znowu, ale bez najmniejszego śladu uzalania się nad sobą. - Chciałbym oddać panu Konkordat do pańskiej dyspozycji... Chodzi o to, że jest mój i mogę go panu dać, czyż nie? - Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. - Człowiek, który tu przyjechał ze mną, Holender, zniknął dawno, dawno temu. Zniknął. A Simon? Cóż... - Znowu wzruszył ramionami.

- Czy Simon żyje? Wie to ojciec?

- Och, tak, Simon wciąż żyje. I mały Salvatore - mały uśmiezek pojawił się na jego drobnej twarzy. - Bardzo wielki teraz - stwierdził enigmatycznie.

- Dlaczego mi ojciec tego po prostu nie powie, na miłość boską? - mój głos drżał ze zniecierpliwienia. I było mi tak cholernie zimno. - Kim był Simon? Kim jest do diabła Simon?

- Jeśli tego panu nie dam, to całkiem prawdopodobne, że zniknie na zawsze. Padraic i ja umrzemy, a Konkordat pozostanie w naszych piwnicach może na stulecie, a może na dwa. Ale jeśli dam go panu... proszę mi powiedzieć, czy zrobi pan mnie, Kościołowi, przysługę?

- Jaką?

- Dam panu Konkordat Borgiów, jeśli wywiezie go pan stąd i dostarczy go - dla mnie mógłby pan coś takiego zorganizować?

- Dostarczyć gdzie? Komu?

- Komu? Simonowi, oczywiście. Należał do niego dawno temu. Proszę zawieźć go do domu Simona, dla mnie.

- A ojciec mi powie gdzie...

- Oczywiście. Komu i gdzie.

- Zawiodłem się, bracie Leonie.
- Tak?
- Wszyscy byliście mordercami. Wszyscy.
- Myślałem, że wyjaśniłem okoliczności. Wojna to szaleństwo...
- A teraz znowu to robicie.
- Nie ja, jak pan widzi. Inni, ktokolwiek z nich został, muszą odpowiadać za siebie.
- Powie mi ojciec, kim jest Simon?
- Tak. W odpowiednim czasie. - Patrzył mi w oczy dłuższą chwilę. - Ktoś wciąż zabija - zamyślił się. - Zabija dla Kościoła. Ach, panie Driskill, martwię się swoimi grzechami. - Stał nieruchomo, jakby całą wieczność. - Wciąż zabija, by ocalić Kościół.

Ale Robbie Heywood? Pańska siostra? - Odwrócił się do mnie. Jego twarz nagle stała się zmęczona i pełna troski. - Mój Boże - powiedział - jak bardzo straciłem rozeznanie.

Musiałem zachować spokój. Nie mogłem ryzykować przestraszenia starego człowieka. Ale prawie pękałem w środku z czystego podniecenia. Już tak blisko, tak blisko niektórych odpowiedzi. Simon żyje, poznam jego nazwisko, będę wiedział, gdzie jest... Ale wszystko musiało być zrobione na sposób brata Leona.

Właśnie dlatego znalazłem się tam. Spływałem potem, gramoląc się po nierównej skarpie po czymś, co przypominało wykute przez naturę stopnie. Byłem już przedtem w dwóch klasztorach i tęskniłem za czymś innym. Za gładkimi, zielonymi trawnikami, żywopłotami z ligustru, poidełkiem dla ptaków przed domem, łagodnie dźwięczącym dzwoneczkiem. To właśnie znaczyło dla mnie słowo - klasztor. Spokój i czas na powolne rozmyślanie. Nic więcej.

Byliśmy w połowie klifu, kiedy ciemne chmury nadpłynęły szybko znad morza i ogarnęły nas z całą siłą, uderzyły i przemoczyły do suchej nitki. Leon obejrzał się na mnie, woda spływała mu po twarzy, zawołał coś w rodzaju „do takiej pogody przywykliśmy tutaj”, a ja wtuliłem głowę w ramiona i szedłem za nim. W dół, w dół, przez zarośla i ostre skały, osuwające się kamienie, w dół, aż stanęliśmy na pasie piasku niewidocznego z góry. Tak naprawdę to było małe wejście, osłonięte przez wielkie głazy wystające wprost z wody pięćdziesiąt jardów dalej. Fale wbiegały cicho na piasek i przemykały się między skałami u stóp klifu. Znowu przywołał mnie skinieniem głowy i przeszliśmy przez twarde jak beton, mokry, ubity piasek, zostawiając za sobą ścieżkę śladów między śliskimi kamieniami, zdradliwymi dla stóp.

- Grota - powiedział wskazując ręką.

Schroniliśmy się w jej wnętrzu. Wyciągnął maleńką fajkę z kieszeni i pognieciony kapciuch z brezentu z odrobiną tytoniu w rogu. Napełnił główkę, zapalił, zaciągnął się i zatarł ręce. Kiedy deszcz uderzał wściekle o kilka stóp od nas, wyjaśnił mi, że klif jak plaster miodu jest pełen takich jaskiń - wszystkie stanowiły część klasztoru, schronienie dla eremitów, uważających kamienne ule za zbyt luksusowe. Niektóre z jaskiń prowadziły do wnętrza klasztoru.

Jak się okazało, istniał powód, dla którego pokazywał mi tę właśnie jaskinię.

Powiedział, że stoimy w jaskini wiodącej wprost do jednej z sal, gdzie przechowywane są tajne dokumenty w specjalnych pojemnikach. To było królestwo brata Padraica.

- Czy odnajdzie pan to miejsce? - spytał mnie, pocierając główkę fajki zziębniętą dłonią. - Może pan zejść tutaj klifem o brzasku? To może sprawić trochę trudu.

Powiedziałem, że sądzę, iż będę mógł.

- Dobrze. Niech pan zachowa ostrożność. Zatem o brzasku. Świat będzie należał wtedy tylko do nas. Brat Padraic i ja spotkamy tu pana. Wręczymy panu ten cholerny Konkordat, instrukcje, co ma pan z tym dalej zrobić i to będzie wszystko. Ufam panu, Driskill. Ufam, że to dobry Bóg posłał pana do mnie. Wreszcie skończę z tym po tylu latach - pozbędę się wspomnień... - Wydmuchnął dym, patrząc na deszcz zacinający przy wejściu do jaskini. - Wszyscy grzeszyliśmy, czyż nie? Niektórzy bardziej od innych. Możemy tylko wypowiadać się, ukorzyć, modlić o łaskę. Zabieraliśmy życie w imię Kościoła - nie mógł przestać mówić, kiedy wreszcie zaczął. Zastanawiałem się, czy w ogóle z kimś rozmawiał, odkąd dotarł do Świętego Sykstusa. Założyłem, że rozmawiał z Padraicem. Ale to musiało się w nim zbierać od dawna, aż zaczął mówić do mnie, zupełnie mu obcego, na którego stawiał, na dobre czy złe. - Czy to jeden grzech, czy dwa? Zabijaliśmy, a winą obciążaliśmy Kościół. A więc, chyba dwa. Niech mi pan pozwoli powiedzieć, panie Driskill. Często się uważa, że od chwili naszej pierwszej komunii pożeramy Kościół. To kłamstwo, przyjacielu. To Kościół nas pożera. Oto zagadka.

Deszcz przestał padać, rozplynęły się burzowe chmury, przynosząc noc klasztorowi i niegościnnym brzegom. Poprowadził mnie z powrotem po skrawku piasku w stronę, z której przyszliśmy. Przeprosił za tajemnicę otaczającą moją wizytę, ale stwierdził, że lepiej będzie, jeśli postaram się trzymać na uboczu. Im mniej pytań, tym lepiej dla nas. Przypomniałem mu, że widziało mnie kilku mnichów, gdy w głównym budynku wypytywałem o niego, ale zbył to wzruszeniem ramion.

- Skłamię - odrzekł zadowolony. - Powiem im, że jest pan moim amerykańskim kuzynem, i że już pan wyjechał. Jeśli ktoś zapyta. - Mniejsze grzechy nie miały znaczenia.

Zaproponował mi spędzenie nocy w jednym z kamiennych uli. Obiecał, że przyniesie chleb, ser, wino i koc. Kiedy poszedł po jedzenie, ukryłem wynajęty samochód dalej, na poboczu drogi, za ścianą z popękanych kamieni i wysokich zarośli. Ktoś, kto chciałby go znaleźć w ciemności, musiałby go długo szukać. Czekałem na powrót Leona, stojąc przed domkiem owinięty w mój stary prochowiec, jak członek gwardii narodowej obserwujący wybrzeże z dawnej, mniej tajemniczej wojny.

Wrócił z jedzeniem i kilkoma grubymi świecami. Skuliliśmy się na środku ula. Starłem się nie myśleć o przygnębiającej wilgoci i śliskich ścianach. Otworzył butelkę domowego czerwonego wina i przepłukiwałem nim gardło po kęsach świeżego kwaśnego chleba i ostrego białego sera. Jeszcze raz omówił plany na rano i zamierzał wyjść, gdy wypowiedziałem nazwisko.

- August Horstmann.

Właśnie pochylał głowę, by przejść przez niski przedsionek. Uniósł rękę, by oprzeć się o sklepienie.

- Co pan powiedział? - zapytał stojąc nieruchomo, wciąż odwrócony do mnie plecami.

- August Horstmann. Czy to właśnie jego ojciec nazywa Holendrem?

Odwrocił się powoli, z zaciśniętymi ustami, patrząc na mnie z wyrazem rozczarowania.

- Nie lubię, jak się ze mnie robi głupca, panie Driskill. Oczekuję, że będę traktowany uczciwie, bez wyprowadzania mnie w pole i śmiechów za moimi plecami...

- O czym ojciec mówi?

- Wiedział pan przez cały czas i pozwolił mi głądzić jak staremu pierdole...

- Nonsens. Zgadywałem tylko.

Nie powiedziałem mu, że Holender zabił starego Wikarego - Heywooda.

- Horstmann to człowiek, który przyjechał ze mną na północ. Holender. Przywieźliśmy Konkordat tutaj, do Świętego Sykstusa. Kiedy nadeszła noc, zniknął jak duch... a ja zostałem. To odważny człowiek. Bez trwogi, ten Holender...

Czułem się wykończony, a wilgoć i zimno nie robiły dobrze moim plecóm. Były mokre, lepkie, a bandaż przywierał mi do ciała jak wilgotny, twardniejący szybko cement. Rozmaite pulsowania i poboiewania sprawiały, że sen nie chciał przyjść. Kręciłem się bez przerwy, owinięty kocami pod płaszczem, ale wyglądało na to, że nie ma dla mnie wygodnej pozycji. Woskowa świeca kapiała na wszystkie strony w przeciągu, unosił się nad nią czarny dym. Morze szumiało tak blisko, jakby u samych drzwi. Ale prawdopodobnie nie mógłbym zasnąć nawet w domu we własnym łózkú.

Zależności wydawały się wyrastać jedne z drugich. Horstmann i Leon. Razem przywieźli Konkordat Borgiów z Paryża na północne wybrzeże Irlandii. Czterdzieści lat temu. Simon Verginius dał im go, by ukryli w bezpiecznym miejscu, z dala od łap nazistów. *Assassini*. Simon. Konkordat. Horstmann... LeBecq na cmentarzu, jego brat oparty o koło samolotu na egipskiej pustyni czterdzieści lat później... Te dwie śmierci w jakiś sposób się ze sobą łączą. Moja siostra Val... Richter, Torricelli, D'Ambrizzi, LeBecq pochyceni przez aparat fotograficzny tak dawno temu... Zbieracz... Mały Sal, Holender, Leon kulący się w zimnie... Moja siostra myśląca o ojcu Gouverneau w dniu śmierci...

Leon. Nie miało sensu mówienie mu, że jego towarzysz w tak długiej i niebezpiecznej ucieczce od nazistów jest wciąż obecny na ziemi jak duch zła.

Ale nie potrafiłem powstrzymać Horstmanna od najazdu na moje myśli, a w końcu zapanowania nad nimi jak armia okupacyjna. Czułem się tak, jakbym już nie był sam w starym mnisim domu. Horstmann zawsze mi towarzyszył. Przyjechał do Paryża, wyprzedził mnie, zabił Heywooda, by zapobiec dowiedzeniu się przez mnie o *assassini*, ale nie zdołał tego zrobić. I próbował zabić mnie w Princeton, ale mu się nie udało i wiedziałem, że będzie znów usiłował mnie zamordować, aż któryś z nas będzie martwy... i w osamotnieniu nocy, gdy deszcz wpadał przez szpary między kamieniami, zastanawiałem się, czy w walce z nim mam jakąkolwiek szansę. Czy tylko przez cały czas będzie próbował mnie zabić, bez przerwy, jakbyśmy utknęli w wewnętrznym kręgu piekieł?

Ziewnąłem, zadrzałem, jeszcze ściślej otuliłem się kocami. Powinienem czuć się bezpieczny w kamiennym domu. Prawdopodobnie on nie wie, gdzie jestem... Chociaż był tu kiedyś, czterdzieści lat temu, właśnie tu, w starym klasztorze Świętego Sykstusa.

Próbowałem wziąć się w garść. Musiałem zwalczyć lęk przed Horstmannem, by mnie nie opanował i nie zniszczył. Był tak nieubłaganym zabójcą, tak zdeterminowanym, tak bezwzględny,

zabijającym, by ukryć tajemnice Kościoła, tajemnice Simona. Mogłem wyczuć jego obecność, usłyszeć oddech i kroki tuż za mną...

Czy potrafiłbym odwrócić bieg rzeczy - zastanawiałem się - czy potrafiłbym zmienić się w myśliwego i ścigać go, aż to on padnie? Jak miałbym polować na kogoś niewidzialnego? Czy potrafiłbym wyśledzić, zagonić w róg i zabić za Val, Lockhardta, Heywooda i monsignora Heffernana? A za siebie? Czy mógłbym zmusić się do zabicia kogokolwiek? Gdybym mógł, to wiedziałem, kto to powinien być.

Wydawał się niepokonany w swym szaleństwie, tak odbiegający od moich możliwości zrozumienia, jak wszystkie wielkie tajemnice Kościoła. Czułem się jak ktoś ścigający mityczną bestię, która potrafi stać się niewidzialna, kiedy tylko zechce, a potem pojawić się w obłoku siarki, ukazać na jedno krótkie spojrzenie, by zachęcić mnie do pościgu, po czym znowu zniknąć, gdy tylko śpieszyłem ku mojej kłesce. Wydawało mi się, że nie mam żadnego wyboru. Gdybym musiał dalej prowadzić pościg, powinienem przeć do przodu aż do końca

Nie potrafiłem określić mojego stosunku do Leona. Złościł mnie. Wydawał się tak miłym, uczciwym starym człowiekiem, a przecież jego opowieść o *assassini* w Paryżu była odrażająca. Zdrada ruchu oporu, aby pozostać w łaskach u nazistów - to jednak dość dokładne odwzorowanie stanowiska Kościoła w tamtych czasach. Pius nawet nie ekskomunikował Hitlera! I jeszcze to podejście Leona do Simona. Wydawało mi się, że Leon uważa Simona za świętego. Ten Simon, który w jakiś sposób wszedł w posiadanie Konkordatu, w moich oczach jawił się najmniej zabójcą, jeśli nie czymś gorszym... Ale wszystko musiało być kiedyś okropnie poplątane, a kim ja, u diabła, jestem, by oceniać? Chciałem tylko odnaleźć tego człowieka i zabić go.

Co się stało z Simonem po wojnie?

Kim był? Czy nadal wydawał rozkazy Horstmannowi?

Gdy wreszcie zasypiałem, myślałem o siostrze Valentine. Zastanawiałem się, co by z siostrą Elżbietą zrozumiały z tego całego galimatiasu...

Przebudziwszy się po raz pierwszy, uświadomiłem sobie z zaskoczeniem, że moja podświadomość daje o sobie znać. Myślałem o martwej Val w kaplicy i o sposobie, w jaki mój ojciec rozmawiał ze mną późno tamtej nocy, walcząc z rozpaczą, gdy rankiem nadszedł odgłos uderzającego o schody ciała. Czas wszystko wymieszał, a kiedy znowu się ocknąłem, byłem zziębnięty, nie mogłem oddychać, a w żołądku czułem ciężką kulę. Pokręciłem głową, próbując uwolnić się od koszmaru. Zobaczyłem Elżbietę w drzwiach naszego domu, kiedy przyjechała niespodziewanie, a ja wziąłem ją za moją siostrę, Val.

Później pojawił się błysk ostrza w ciemności, cios, lód tuż przy mojej twarzy i Sandanato wołający do mnie z daleka.

Jezu, co za koszmar!

Nie zasnąłem już potem, a brzask nadszedł wcześniej.

Kiedy wyszedłem z domku, zimny wiatr pędził przed sobą gęstą mgłę. Uderzyła mnie w twarz jak mokra rękawiczka. Nic nie było widać na wyciągnięcie ręki. W jednej chwili przemokłem. Potykałem się

na nierównej ścieżce, macając drogę na szczycie klifu jak głupiec uwięziony na grożącym śmiercią Grimpen Mire, opisanym przez Conan Doyle'a gdzie słychać ujadanie psa, a każdy nieostrożny krok zapewnia wieczność. Nie byłem Sherlockiem Holmesem, a pies Baskervillów nie ścigał mnie, ale moje rozmyślenia tej niespokojnej nocy sprawiły, że czułem się zmęczony i rozdrażniony. Próbowałem opanować lęk i trzymać się w garści.

Schodziłem cał za całem po klife, a gdy się rozglądałem, widziałem tylko gęstą mgłę. Ani klasztoru, ani urwiska po lewej, ani fal uderzających o skały, nic. Tak, że schodziłem powoli, a kilka linijek Elliota wracało mi na myśl.

Dostrzegłem moją drżącą wielkość,
I zobaczyłem, jak wieczny Lokaj trzyma mój płaszcz, i chichocze,
Krótko mówiąc, bałem się.

Dotarłem do kruszącego się muru przy cmentarzu, ożywiałem wspomnienia ułożenia terenu, macałem drogę do śliskich stopni na urwisku, aż je znalazłem. Czułem się tak, jakbym wyruszył na tę wyprawę przed kilkoma godzinami, lepki, mokry i zagubiony we mgle. I krótko mówiąc, bałem się.

Chwytałem się kępek janowca i ostrych krawędzi popękanej skały, wystającego końca korzenia, modląc się, żeby nic się nie urwało ani nie obluzowało. Macałem drogę i posuwałem się krok po kroku w dół urwiska. Mgła tłumiła odgłos bijących o skały fal. Oślepiła mnie również, otumaniała, ale zaostrzyła inne zmysły: uderzenia fal wędrowały przez warstwy kamienia, sprawiały, że drżały mi nogi, jak gdyby urwisko miało się otworzyć.

Panika zatrzymała mnie gdzieś między krawędzią urwiska a dołem. Pomyślałem, że za chwilę stracę oparcie i poszybuję w szarą pustkę. Czekałem czepiając się skały, aż najgorsze minęło, wtedy poszukałem stopą następnego stopnia. Poślizgnąłem się. Chwyciłem za płataninę, wystającą przy mojej prawej ręce i wyciągnąłem ją z zagłębienia, w której wyrosła. Usłyszałem swój krzyk, gdy spadałem, przekręcając się jak kot, rozkładając ramiona i szukając jakiegoś ocalenia, ale nie mogłem go znaleźć.

Wylądowałem na rękach i stopach, z wciśniętą w ramiona głową, jak wychłostany pies, dławiący się własnym strachem. Ześliznąłem się i spadłem z wysokości co najwyżej sześciu stóp, zanim wylądowałem na piasku. Prawie dotarłem na dół, ale nie rozumiałem tego, niczego nie widziałem przez otaczającą mnie mgłę. Walczyłem o oddech. Usiadłem, oparłem się o mokrą skałę, otarłem pot zbierający się na górnej wardze i ściekający z twarzy. Nic, do cholery, nie widziałem. Czułem się tak, jakbym miał zaraz zwymiotować. I byłem chory z tego cholernego strachu.

Nigdy się nie dowiem, co mógłbym zrobić, gdybym nie był w stanie patrzeć przez mgłę. Mógłbym wciąż tam siedzieć, jak sparaliżowane, nieruchome ciało, które kiedyś mieściło w sobie człowieka. Ale niespodziewanie podmuch wiatru nadleciał znad wody, przynosząc ze sobą kropla deszczu i wydmuchując dziury we mgle. Dostrzegłem pasmo piasku u moich stóp i wiedziałem już, gdzie jestem.

Wstałem. Kolana paliły mnie od upadku, dłonie miałem zakrwawione od zadrapań. Ruszyłem w

stronę wejścia w skałach, gdzie miałem spotkać Leona i brata Pandraica. Szedłem przeklinając ich obu, że przez nich ta pieprzona robota była prawie niemożliwa. Adrenalina pchała mnie naprzód. Gdybym spotkał wtedy czarnego anioła z moich koszmarów, rozerwałbym go na strzępy, nie bacząc na jego ostrze, albo bym umarł próbując to zrobić. Co, jak podejrzewam, byłoby bardziej prawdopodobne.

Był odpływ. Dostrzegłem mewy szybujące jak duchy na brzegu mgły. Dotarłem do wejścia grotty, stanąłem przy samej krawędzi skały, gdzie wczoraj Leon palił fajkę i powiedział mi, że to Kościół nas pożera, a nie na odwrót. Ale Leona tu nie było, co nie miało dla mnie sensu. Dotarcie do grotty zabrało mi mnóstwo czasu. Leon i Pandraic powinni przyjść z wnętrza klasztoru, przecież chyba po to właśnie wspominał o tym, że niektóre z korytarzy prowadzą do samych piwnic klasztornych? Powinni na mnie czekać.

Nie widziałem sensu w staniu i czekaniu. Poszedłem w ciemność grotty, wiedząc, że za chwilę zatrzyma mnie mrok. Jak się okazało, nie musiałem iść daleko.

W środku czekał na mnie mężczyzna. Wyglądał tak, jakby drzemał.

Oczy miał szeroko otwarte, głęboko osadzone w powiekach koloru orzecha. Zobaczyłem białka jak sierpy księżycy i wiedziałem, że znowu się to zdarzyło i znieruchomiałem w pół kroku, jak człowiek, który wie, że już jest martwy, tylko czeka na cios. Nasłuchiwałem kroków za sobą, postaci wyłaniającej się jak koszmar z ciemności, z nożem w dłoni, aby skończyć...

Nikt nie nadszedł. Obejrzałem się za siebie, dostrzegłem zarys mężczyzny u oświetlonego wejścia do grotty. Ale nie było tam nikogo. Nikt się nie zjawił.

Podszedłem bliżej. Przyjrzałem się bardzo staremu mężczyźnie w habicie. Krew na jego szyi była jeszcze lepka. Szkarłatna wstążka. Czuję ją na czubkach palców. Brat Padraic...

Oparłem się o śliską skałę. Przełknąłem gorycz strachu. Skoncentrowałem się na bólu w kolanach, dłoniach i plecach. Próbowałem myśleć, ale mechanizm nie chciał zaskoczyć. Nie mogłem myśleć. Chciałem, do diabła, jak najszybciej wydostać z grotty. Ale co czekało na mnie na zewnątrz?

Począpiałem przez płytką wodę i stałem znowu w szarości, mrugając oczami, próbując zorientować się, gdzie jestem.

Gdzie jest brat Leon?

Gdzie jest Konkordat?

Musiałem wrócić do klasztoru... To nie miało wielkiego sensu.

Wałęsałem się po plaży, przebijałem przez podmuchy mgły, wiedząc, że nie potrafiłbym wspiąć się po urwisku, wiedząc, że muszę iść wzdłuż plaży.

Ogromne głazy nagle wyłoniły się z mgły i dostrzegłem tam coś jeszcze - kogoś stojącego w wodzie, między głazami a mną. Mgła wszystko zamazywała. Podszedłem bliżej ku wodzie, próbując coś zobaczyć. Próbując ujrzyć tę postać znowu. Coś było nie w porządku.

Brodziłem w wodzie i zobaczyłem go znowu.

Krzyż wbity w fale, w piasek, jak przydrożny palik. Coś machało do mnie przez mgłę i deszcz, przyzywało mnie jak Ahab przywiązany do wieloryba...

Nie mogłem widzieć wyraźniej w napływających podmuchach mgły. Deszcz rozmazywał widok,

uderzał mnie w twarz unoszony wiatrem. Gdzieś, daleko za mgłą i deszczem, świeciło słońce, rozjaśniało parę wokół mnie.

Wtedy to zobaczyłem.

Dziesięć stóp ode mnie, gdzie stałem w pieniającej się wodzie, która wsysała moje buty, oblewała stopy i kostki.

Prosty krzyż wbity odwrotnie w piasek, chyboczący się, wraz z uderzeniami fal, w tył i w przód.

Odwrócony krzyż. Najstarsze ostrzeżenie chrześcijaństwa.

Przybite do krzyża z jedną ręką wolną, poruszające się w rytmie morza, napełnione wodą, już obrzmiałe, sinożółtawe ciało brata Leona.

Nie mogłem niczego pojąć.

Ogarnęła mnie panika. Nie próbowałem niczego przemyśleć, nie ufałem już mojemu rozumowaniu i doświadczeniu, by ogarnąć sytuację. Zagubiłem się. Nie myślałem o pistolecie w kieszeni ani o ruszeniu w pościg, mszcząc się za tego żalostnego sukinsyna. Nie poszedłem do klasztoru, by opowiedzieć o kolejnym szaleństwie maniaka. Nie zrobiłem niczego, do czego przygotowało mnie życie i wykształcenie. Uciekłem.

I tak dawałem sobie świetnie radę, myślałem, od chwili, w której zobaczyłem ciało mojej siostry Val u moich stóp. Ale widok groteskowego ukrzyżowania brata Leona płonął w mojej głowie. Na wpół biegłem, na wpół wlokłem się wzdłuż plaży, potykając się i wstając. Karykatura przerażenia. Jakoś dotarłem do skalnego domku, pozbierałem swoje rzeczy, wrzuciłem do bagażnika, otarłem błotnik o ostrą krawędź kamienia, wydostałem samochód z błota i zawróciłem na wąskiej drodze. Nie myślałem. Działalem w ślepej gorączce, przyśpieszając, jak gdyby coś mnie goniło, coś, przed czym nie mogłem umknąć, wszystko jedno dokąd bym się udał. To było odrodzenie najgorszych lęków wrażliwego dzieciństwa. Zachowywałem się znowu w tej chwili jak dziecko, uciekające przed potworem z ciemności. Stary wierszyk z książki, której już nie pamiętałem, krążył mi bez przerwy po głowie.

... ten, co na samotnej drodze
naprawdę przychodzi w lęku i rozpacz,
i zataczając jeszcze jeden krąg odchodzi,
i nie odwraca nawet głowy;
bo wie, że straszliwy wróg
blisko za nim podąża.

Jechałem bez zatrzymywania dwie godziny, zanim uspokoiłem się na tyle, by stanąć przy drodze i zjeść odrobinę chleba i sera, które zostały mi z kolacji z poprzedniego wieczora. Zrobiło się trochę cieplej, gdy oddalałem się od wybrzeża, ale nadal padała jednostajna mżawka. Nie zwracałem uwagi na krajobraz, ani na wieś, w której w końcu zatrzymałem się na kawę. Zamówiłem jeszcze więcej kawy, jajek, kielbasy, sałatki z pomidorów, tostów. Mój głód był prawie nie do opanowania, jak gdyby sama

czynność jedzenia odstraszała podążającego za mną potwora. Wreszcie usiadłem na ławce w nieoczekiwanych promieniach słońca i przyglądałem się dzieciakom, kopiącym piłkę na skrawku trawy w parku. Patrzyłem na matki pchające wózki z opatulonymi dziećmi i wreszcie moje serce zaczęło bić wolniej. Powoli odzyskiwałem zdolność myślenia.

To musiał być Horstmann, a nie inny złowieszczy duch. Horstmann. Przywiózł Konkordat na pomoc czterdzieści lat temu, a teraz przybył, by dokonać rzezi. Z pewnością zjawił się tu ze względu na mnie. Wiedział, że przyjechałem, by odnaleźć brata Leona. Tyle się dowiedział od Robbiego Heywooda, zanim go zabił, a potem może czekał, obserwując mnie, śledząc... i zabił Leona, który miał zamiar tyle mi powiedzieć...

Dlaczego mnie nie zabił?

Horstmann po zadaniu ciosu zniknął we mgle... Piłka doleciała do moich stóp. Kopnąłem ją z powrotem do dziewczynki z kucykami, która podziękowała mi z uśmiechem, pokazując szczerbę po dwóch przednich zębach.

Ma Konkordat. Zatem muszę o nim zapomnieć. I tak nie mógłbym odkryć, komu mam to oddać.

Ale dlaczego po prostu nie zaczekał w grocie i nie zabił też i mnie? Dlaczego nie dokończył rozpoczętej pracy? Tym razem mógł mnie mieć tak łatwo. Pozwolił mi żyć... Czy dlatego, że już miał Konkordat? Czy pergamin był aż tak ważny? Czy dopisano na nim nazwiska *assassini* Simona? Czy nawet dalej? Czy teraz dodawano do tej listy nowe nazwiska?

Nie. To szaleństwo.

Czy przestałem już się liczyć w tej grze? Teraz, kiedy zabił dwóch starych ludzi, którzy przechowywali rozwiązanie zagadki o *assassini*, teraz kiedy miał już Konkordat, czy byłem zwykłym dodatkiem, bezużytecznym, nędnym dopiskiem?

Czy dlatego mnie nie pochwycił?

A może teraz ktoś mnie ochraniał? Czy Horstmannowi ktoś wydał rozkaz, aby mnie nie zabijał? Ale kto to mógł być? Istniał tylko jeden człowiek, który wydawał Horstmannowi rozkazy... Simon Verginius. Dawno, dawno temu.

A jednak Horstmann raz próbował mnie zabić. Dlaczego zaprzestał prób? Nawet jeśli już przestałem się liczyć, to dlaczego mnie nie usunąć raz na zawsze i mieć spokój? Dlaczego nie zabić trzeciego we mgle, jeśli już zabiło się dwóch?

Może miałem po prostu szczęście. Może dzięki temu, że się spóźniłem, unikałem spotkania z nożem... Może ruszył poszukać mnie i minęliśmy się, nie dostrzegając się nawzajem we mgle i dlatego żyję...

Chryste, to prowadziło donikąd.

I wtedy znowu stwierdziłem, że myślę o siostrze Elżbiecie. Chciałem jej wszystko opowiedzieć o tym, co przeszedłem, chciałem zobaczyć jej twarz, zielone oczy, chciałem - Boże wielki, ratuj! - objąć ją i przytulić.

Opadły mnie idiotyczne myśli. Byłem w szoku.

Siedziałem w parku. Po drugiej stronie pasa zbrązowiałej trawy, gdzie grały dzieciaki w

puchowych kurtkach, dostrzegłem stację kolejową. Mały budynek z cegły, lichy przystanek dla samotnych wędrowników, poszarzały ze starości. Zobaczyłem wjeżdżający pociąg. Postój trwał nie dłużej niż dwie, trzy minuty, a potem wagony z turkotem odjechały.

Jakiś mężczyzna szedł od stacji w moją stronę. Minął dzieci, szedł prosto na mnie. Na mnie. Zatrzymał się tuż przede mną i postawił torbę.

- Powiedzieli mi, że autobus do Świętego Sykstusa zatrzymuje się właśnie tutaj. - Odwrócił się i popatrzył na drogę. - Muszę ci powiedzieć, że wyglądasz gorzej, niż sobie wyobrażałem. - Zwrócił się do mnie, patrząc z ukosa. - Twój krawiec powinien cię teraz zobaczyć. Jesteś zaprzeczeniem pojęcia klasy uprzywilejowanej.

- Ojciec Dunn - powiedziałem.

Siedział w wagonie pierwszej klasy, ścisnął w dłoniach mokre ubranie i przyglądał się przeblyskom słońca, przebijającym przez chmury deszczu zasłaniające krajobraz. W pociągu było niewielu pasażerów. Dwóch księży jadło kanapki, szeleściło brązowymi, papierowymi torebkami. Wycierali jabłka o czarny materiał sutanny.

Horstmann patrzył na nich przez chwilę, powoli obracając w palcach stary różaniec, poświęcony przez samego Piusa w czasie audiencji jeszcze przed wojną. Potem schował go, zdjął okulary i potarł nos, na którym została czerwona kreska; zamknął oczy koloru lodu. To była długa noc. Rozmawiali z bratem Leonem, wspominali dawne dni, dawno, dawno temu, burzową noc, kiedy przepływali kanał La Manche w otwartej łódce, przytulając się do siebie, walcząc o drogie życie i głośno modląc się w wyjąym sztormie.

Brat Leon wyglądał, co było zrozumiałe, na zaskoczonego, gdy stary dawno utracony przyjaciel pojawił się bez zapowiedzi w jego celi w środku nocy. Zaskoczenie szybko zastąpiła niepewność i obawa. Ale Horstmann rozwiął lęk, opowiedział mu o wysłaniu go z Tajnych Archiwów, by w końcu zabrał Konkordat Borgiów z powrotem do Rzymu, z powrotem do miejsca, do którego należał. Tak, przyjechał prosto od Simona, tak, Konkordat będzie wreszcie bezpieczny po tylu latach. Horstmann rozsnął opowieść, która mogła okazać się prawdziwa i brat Leon chciał w nią uwierzyć.

Horstmann powiedział mu o sprytnym i zdradzieckim dziennikarzu z Nowego Jorku, który znalazł się na tropie Konkordatu, natrafił na opowieść o tajnym bractwie i teraz to był wyścig - Kościoła z *New York Times'em*, który miał zamiar wyjawić wszystko i to w jak najgorszym świetle, by wywołać wielki skandal i zadać cios Kościołowi. I opisał tego dziennikarza. Nazywał się Ben Driskill.

Instynkt podpowiadał bratu Leonowi niewiarę w taką opowieść, ale jego lęk wywołany zjawieniem się Horstmannu jak ducha sprawił, że bardzo chciał w nią uwierzyć. Ale Horstmann, z jakimś uczuciem przypominającym żal, dostrzegł zwątpienie w oczach starszaka... *Staruszek*. Zgodnie z metryką byli prawie w tym samym wieku, choć różnica miała więcej związków z ich życiem niż metryką.

W grocie rankiem - to była przykra robota.

Wątpliwości brata Leona pojawiły się znowu. Wyczuł coś w swoim starym towarzyszu i to przyspieszyło zgubę. Brat Padraic wydawał się nieświadomy, że umiera: rozłożył ramiona i mamrotał przez chwilę, jakby uważał Horstmannu za anioła śmierci i odpłynął, jak astronauta odcięty od systemu podtrzymywania życia. Leon sprawił kłopot. Próbował uciekać, krzyczeć do Driskilla i Horstmann ciął go szybko, a potem dopełnił rytuału. Na plaży został krzyż po jakiejś uroczystości, a może nawet po innym ukrzyżowaniu, teraz mokry i przeżarty przez robactwo. Wydawało mu się, że to znak, gdy znalazł go oparty jak kawał drewna u wejścia jaskini. Simon zrozumiałby ten gest. Simon zrobił to samo kiedyś we Francji z księdzem, który próbował zdradzić ich SS...

Brat Leon nie był wcale lepszy, nie lepszy od tego, który ich w końcu zdradził, doprowadził do klęski i do rozproszenia jak popiół na wietrze. Leon znał tajemnicę Konkordatu, a jednak zamierzał oddać go obcemu. Simon już dawno temu nie zostawił im żadnych wątpliwości co do świętej tajemnicy. A

jednak Leon chciał ją złamać dla Driskilla.

Niepojęte.

Sama śmierć nie mogła wystarczyć.

Rytuał - tak odwieczny, tak brutalny, tak przeklęty dla wieczności - teraz okazał się potrzebny, a Bóg dał mu siłę go przeprowadzić...

Mgła ukryła Driskilla. Horstmann nie chciał na niego czekać.

Driskill.

Horstmann zaczął o nim myśleć jak o wysłanniku piekła. Driskill był dziełem szatana. Mgła ocaliła go tym razem, bo inaczej zająłby miejsce Leona na krzyżu.

Dlaczego nie umarł?

Na lodzie tamtej nocy w Princeton, Horstmann zabił go. Ale on nie umarł. Jakby został ocalony dla jakiegoś innego losu.

Jak to się mogło zdarzyć? I gdzie był teraz? Co zrobił, gdy znalazł brata Leona we mgle, już bez krwi i sinego z zimna...

Czy się bał?

Nie. Nie sądził, by Driskill się bał. Driskill był bezlitosnym, bezbożnym człowiekiem i niczego się nie bał. Nie bał się umrzeć, a jednak był pełen grzechu. Powinien według zasad obawiać się śmierci, kary za grzechy, która czeka na niego w ostatecznej ciemności. A Driskill się nie bał.

To nie miało sensu.

Gdzie był teraz Driskill? Czy podążał za nim? Kto, zastanawiał się, kogo teraz ściga? Ta myśl zdumiała go. Ale Bóg był po jego stronie.

Horstmann z powrotem włożył okulary i powiedział sobie, że nie ma czym się martwić. Nikt na świecie nie jest czujniejszy od niego. Nikt.

Zamknął oczy i ostrożnie przytrzymał skórzaną teczkę na kolanach. Konkordat Borgiów w końcu jest bezpieczny. Dla niego to była żywa istota, coś w rodzaju serca bez ciała, pulsującego krwią i poświęceniem, które wreszcie oczyści Kościół... Przypomniawszy sobie tę noc w Paryżu, kiedy Simon powierzył mu i Leonowi dokument. Wysłał ich z misją, z misją, która zmieniła Leona w eremita, a jego w wędrownika; gdy zapowiedział im, by czekali, aż ponownie zostaną wezwani, by służyć Kościołowi i ocalić go...

* * *

Szpule taśmy magnetofonowej kręciły się powoli, głosy wypełniały pokój, trochę zbyt metaliczne bez basów, ale jakość odtworzenia nie miała znaczenia.

Był w Aleksandrii tydzień temu, mniej więcej. W czasie pobytu spotkał się z naszym starym przyjacielem Klausem Richterem...

Żartujesz. Richterem? Naszym Richterem? Z dawnych czasów? Mówiłeś mi, że to ten, który ci groził!

Nikt inny, Wasza Świątobliwość. Naprawdę mi groził, zapewniam.

Twój zapal ci służy, Giacomo.

Zasłony były zaciągnięte, odgradzały od szarego światła pochmurnego poranka. Za trawnikiem obsadzonym piniami widniała brązowa mgiełka, wisząca jak pokrywka nad Rzymem. Ogrodnik przycinał żywopłoty, czymś co - sądząc z odgłosów - przypominało piłę łańcuchową. Gniewny pisk przebijał się przez zasłony, zwisające ciężko w otwartych oknach i drzwiach. Brzmiało to tak, jakby gigantyczna osa próbowała wcelować żądłem w ofiarę.

I spotkał się jeszcze z jednym człowiekiem, który wkrótce potem się zabił.

Kto to był?

Etienne LeBecq, Eminencjo. Marszand.

Nastąpiła długa przerwa.

Przekazano nam również raport z Paryża, że dziennikarz o nazwisku Heywood...

Robbie Heywood. Pamiętasz go, Giacomo. Okropne, krzykliwe marynarki, zagadałby cię na śmierć, albo upiłby się za twoje pieniądze, gdyby miał choćby cię szansy. Mój Boże, pamiętam go... A co on ma z tym wszystkim wspólnego?

Nie żyje, Wasza Świątobliwość. Zamordowany przez nieznaną sprawców. Władze nie mają żadnych śladów, oczywiście.

- Antonio! Jesteś prawdziwym geniuszem! Jakże to wszystko tajemnicze! Jak zdobyłeś te taśmy?

W bibliotece willi kardynała Antonia Poletti, którego brat był dyplomata pracującym w Zurychu, a drugi zajmował się produkcją i rozprowadzaniem niezdrowych filmów dla ograniczonego, ale bardzo wymagającego rynku w Londynie, siedziało pięciu mężczyzn z filiżankami porannej kawy, bułeczkami i owocami pod ręką. Mieli przed sobą wielki problem.

Poletti miał czterdzieści dziewięć lat. Niski człowiek z łysą głową i zaskakująco owłosionymi ramionami i nogami, widocznymi teraz w całej okazałości, bo siedział w stroju do gry w tenisa. Pozostała czwórka, w skład której wchodził Guglielmo kardynał Ottaviani - sześćdziesięciolatek powszechnie uważany za mającego najbardziej liberalne „podejście” w całym Kolegium Kardynałów, a jego popędliwość zapewniała mu władzę i zdolność przekonywania: obawiano się go; Gianfranco kardynał Vezza - jeden z najstarszych mężów stanu Kościoła, starannie dbał o swoją reputację przez zwiększanie pozornej łagodności, dzięki czemu mógł z większą łatwością zastawiać żelazne szczęki pułapek na nieostrożnych; Carlo kardynał Garibaldi, krępy „bywalec” wśród kardynałów, nauczył się wiele z tego, co umiał najlepiej u stóp kardynała D’Ambrizziego oraz Federico kardynał Antonelli. Siedzieli w najróżniejszych fotelach z ciemnoczerwonej skóry i na kanapach, otoczeni ścianami pełnymi książek - kilka z nich napisał sam kardynał Poletti. Na pytanie Garibaldiego nikt nie odpowiedział, taśma kręciła się dalej.

Ale co on ma wspólnego z tym całym bagnem?

Siostra Valentine spotkała się z nim w czasie swego pobytu w Paryżu. A teraz on nie żyje. Może jest jakiś związek...

Musisz się bardziej starać, Giacomo. Poślę kogoś do Paryża, by to sprawdzić.

Życzę szczęścia. Może to tylko zbieg okoliczności. Zasztyletowany na rogu ulicy. Takie rzeczy

się zdarzają.

Nonsens. Kościół jest atakowany, a Heywood stał się ofiarą. To oczywiste.

Kardynał Poletti przechylił się przez stół do kawy i nacisnął przycisk stop. Powoli popatrzył na twarze zebranych.

- Sedno sprawy - powiedział. - Słyszeliście? „Kościół jest atakowany”. Właśnie chciałem, byście usłyszeli, jak sam Indelicato to mówi... Według niego to atak. - Zmarszczył brwi, patrząc na swoją kawę, która teraz już całkiem wystygła. - Najlepiej jeśli przygotujemy nasze plany teraz, a nie będziemy próbowali zdobyć resztki w ostatniej chwili, kiedy wokół nas pełno cudzoziemców - Polaków, Brazylijczyków, Amerykanów! Dajmy tym ludziom wystarczająco długi sznur, a powywieszają nas wszystkich, powieszają Kościół. Wiecie, że mam rację.

Kardynał Garibaldi odezwał się znowu, nie ruszając nawet pełnymi wargami, jak brzuchomówca.

- Mówisz, że te głosy należą do Kaliksta, D'Ambrizziego, Indelicato, co? Cóż, jaki z ciebie niegrzeszny geniusz, Antonio. Jak dostałeś te taśmy? Gdzie odbyła się rozmowa?

- W gabinecie Jego Świątobliwości.

- Jakże to nadzwyczajne. Założyłeś pluskwę w jego gabinecie! Nie musisz wyglądać na tak zaskoczonego! Znam współczesną terminologię.

- To musi być wpływ tego twojego braciszka - mruknął kardynał Vezza. Pogłaskał biały zarost na brodzie. Teraz często zapominał się ogolić.

- Tak, ale który brat - powiedział Ottaviani, porażając jedną ze swych min, uśmiechem jak gnijąca rana - to jest pytanie. Dyplomata czy wielbiciel pornografii? - Zachichotał bezgłośnie zadowolony ze złego samopoczucia młodego Poletiego.

Poletti wpatrywał się w niego.

- Z każdym dniem coraz bardziej przypominasz starą kobietę. Wstał, kołysząc się na piętach swych obutych w Reeboki stóp, ugiął nogi małpy, pochwycił amerykańską raketę do tenisa Prince. Kilka razy szybko machnął raketą, prawdopodobnie wyobrażając sobie twarz Ottavianiego jako cel piłek.

- Jak zawsze przykry - wymruczał.

Kardynał Vezza, wysoki, powoli poruszający się mężczyzna, walczył w fotelu, by się przysunąć bliżej. Jak zwykle miał kłopoty z nastawieniem aparatu słuchowego.

- Mówiłem oczywiście o dyplomacie. Czy ambasady nie są zawsze zapluskwione przez jedną czy drugą stronę? On powinien znać się na takich rzeczach.

Garibaldi powtórzył swoje poprzednie pytanie.

- I co? Jak to dostałeś?

- Mam dalekiego kuzyna, który pracuje w służbie medycznej w Watykanie. Przyczepił uruchamiane głosem urządzenie do wózka, na którym jest przewożona butla z tlenem dla Jego Świątobliwości. - Poletti wzruszył ramionami od niechcenia jakby chciał powiedzieć, że takie cuda wypełniały każdy jego dzień. - Jest absolutnie godny zaufania...

- Nikt - nagle krzyknął Vezza - nie jest godny zaufania! - Roześmiał się ochryple. Zaczął kasłać suchym kaszlem, który towarzyszył mu nieodmiennie od siedemdziesięciu lat palenia. Trzymał papierosa

w pożółkłych palcach z popękkanymi paznokciami. Wypalał każdego papierosa, aż zostawał najkrótszy niedopałek.

Antonelli, wysoki, jasnowłosy, pięćdziesięcioletni mężczyzna, wyglądający o dziesięć lat młodziej, odchrząknął, a był to sygnał dla innych, by przerwali to dziecinne dogadywanie. Skończył prawo i pomimo stosunkowo młodego wieku został cichym przywódcą Kolegium Kardynałów.

- Zakładam, że jest coś jeszcze na taśmie. Możemy to usłyszeć?

Poletti rzucił raketę na najbliższy fotel, podszedł do stołu i wcisnął kolejny przycisk. Rozbrzmiały nagrane głosy. Kardynałowie ucichli i zaczęli słuchać.

Ten siwowłosy ksiądz... kim jest?

Twoja sieć wciąż mnie zadziwia. Ale gdzie jest Driskill?

Jesteś dobry w śledzeniu ludzi. Może zbyt wiele czasu straciłeś na śledzenie mnie, Fredi.

Najwyraźniej nie robiłem tego zbyt dokładnie.

A więc teraz mamy dziewięć morderstw... i samobójstwo?

Kto wie, Wasza Świątobliwość? To jest królestwo terroru. Kto wie, ile ich już było naprawdę i ile jeszcze będzie?

Potem nastąpiła przerwa, przytłumiony odgłos upadku, szmer głosów.

Poletti wyłączył magnetofon.

- Co to, u diabła, było za zamieszanie? - Vezza podniósł głowę zaskoczony.

- Jego Świątobliwość zasłabł - powiedział Poletti.

- A jaki - spytał Ottaviani - jest stan papieskiego zdrowia? - Jego własne źródła były jak najdokładniejsze.

Sprawdzał Polettiego, a Poletti o tym wiedział.

- Umiera - odparł Poletti z lodowatym uśmiechem.

- Jestem tego świadomy...

- To końcówka, co jeszcze mam powiedzieć? Nie jesteśmy tutaj, by martwić się o jego zdrowie - dawno już mamy to za sobą! Jest za późno dla wszystkich, byśmy martwili się o Kaliksta, mówię to na wszelki wypadek, gdyby ów szczegół umknął twej uwadze. Jesteśmy tu, by rozmawiać o *następnym* papieżu...

- I - powiedział Ottaviani - niski, chudy człowieczek z nieznacznie skrzywionym kręgosłupem, co sprawiało, że przypominał karykatury Daumiera, a co Poletti uważał za znamię Kaina - mogę tylko zakładać, że zbierasz świadectwa, by wesprzeć własnego kandydata. - Uśmiechnął się krzywo - wyraz twarzy, który wydawał się pasować do jego ułomności.

Poletti przyjrzał się zebranym, z mocno zaciśniętymi wargami, tak by mógł się powstrzymać od mówienia na tyle długo, by uniknąć wykrzyczenia Ottavianiemu swego głęboko odczuwanego przekonania, że jest nie do zniesienia starym kaleką, który powinien zostać wyciągnięty stąd, zaprowadzony pod jakąś anonimową ścianę i zastrzelony. Poletti dostrzegł własne odbicie w lustrze, poprzecinany żyłkami złota. Była to godna ubolewania prawda, że przy jego małej głowie, długiej górnej wardze, wąskim podbródku i nadmiernym owłosieniu naprawdę wyglądał jak monstrum: grający

w tenisa książę Kościoła przypominał małpę. Odwrócił wzrok od lustra. Tylko człowiek mógł przyjąć tyle nieprzyjemnych prawd jednego ranka.

- *Jesteśmy* atakowani - powiedział Poletti, podnosząc raketę dla podkreślenia swoich słów. - To rządy terroru. Taka atmosfera otacza nas, gdy zbliżamy się do wyboru nowego papieża. Wydaje się słuszne, abyśmy nigdy nie stracili z oczu tego założenia, gdy będziemy rozważali kandydaturę człowieka, którego mamy poprzeć.

- To, co mówisz, brzmi jak polityka - stwierdził Vezza trochę smutno. Przestał krzyżeć i teraz prawie nie było go słychać.

- Mój drogi Gianfranco - powiedział Garibaldi cierpliwie - to jest polityka. A czym innym ma być?

Antonelli odparł cicho:

- Prawdę mówiąc wszystko w końcu okazuje się polityką.

- Dobrze powiedziane - stwierdził Poletti. - Nic złego w polityce. Stara jak świat.

Ottaviani splótł palce.

- Mój drogi przyjacielu - zwrócił się do Polettiego - czy ta stara kobieta - wskazał głowę Garibaldiego - ma rację mówiąc, że chciałbyś przyjąć na siebie rolę kogoś w rodzaju szefa kampanii wyborczej dla kogoś, kogo, jak się spodziewasz, wspólnie będziemy popierać?

Wiecznie skrzywiony uśmiech rzadko opuszczał jego mocno pomarszczoną twarz, mapę bólu i determinacji by go zwalczyć, by go wykorzystać.

- Mam nazwisko, które chciałbym, żebyście rozważyli, to prawda.

- No, dalej - zachęcił Vezza. Sprawiało mu przyjemność udawanie, że nie potrafi na niczym długo skoncentrować uwagi i łatwo się nudzi. Jego poza sprowadzała się do naciskania innych, by przedstawiali świeże pomysły. - Wywal go.

- Słyszeliście taśmy - powiedział Poletti. - Był tylko jeden głos zdecydowany, jeden głos zdolny wydawać rozkazy, jeden głos świadomy powagi kryzysu, który przed nami stoi...

- Ale on już jest papieżem!

- Nie, do cholery, nie on! Vezza, mój stary przyjacielu, czasami naprawdę martwię się o ciebie.

- On to nazwał rządami terroru, Tonio...

- To był Indelicato - powiedział Poletti, zmuszając się do opanowania. - To Indelicato powiedział, że jesteśmy atakowani...

- Jesteś całkiem pewien? - upierał się Vezza. - To brzmiało jak... - Znowu zaczął się bawić strojeniem aparatu słuchowego.

- Gianfranco, uwierz mi. To *był* Indelicato! - błagał Poletti.

- Wideokaseta byłaby lepsza, niż to coś przyklepione przyklepcem do wózka na tlen, muszę stwierdzić - narzekał Vezza. - Chodzi mi o to, że te głosy bez twarzy... to mogłyby być każdy, czyż nie? Nie uważasz, że moglibyśmy przemycić kamerę video? Tak, wtedy dopiero mielibyśmy coś...

- My *naprawdę* coś mamy. Ostatnią rzeczą, jakiej bym się spodziewał, to czepianie się drobiazgów...

- Przykro mi, Tonio - powiedział lekko Vezza. - Nie miałem zamiaru być niewdzięczny...

- Cóż, brzmiało to tak, jakbyś cholernie nie doceniał moich wysiłków i jestem szczerze zdziwiony...

Antonelli przerwał mu łagodnie:

- Dostarczasz nam bezcennych informacji, Tonio i wszyscy mamy wobec ciebie dług wdzięczności. Nikt temu nie może zaprzeczyć. A teraz, czy mam zakładać, że proponujesz nam, abyśmy zebrali się i poparli kardynała Indelicato?

- Doskonale mnie zrozumieliście - odparł z ulgą Poletti. - I dziękuję ci za twoją uprzejmość, Federico. Indelicato jest człowiekiem na dzisiejsze czasy...

- Twierdzisz - przerwał mu Ottaviani cicho - że jest tylko jeden temat wart omawiania? Że jesteśmy jakby w oblężeniu? Że nic innego się nie liczy, czy właśnie tak chciałbyś, byśmy uważali? Chciałbym jedynie pojąć wasz sposób myślenia, Eminencjo.

Poletti nigdy do końca nie był pewien, czy Ottaviani nie robi z niego głupca.

- Właśnie to mówię. Vezza stwierdził:

- Indelicato? Czy to nie przypomina raczej wyboru szefa KGB na premiera?

- To dla ciebie jakiś problem? - odparł Poletti, przyglądając mu się wojowniczo. - A mnie wydaje się, że to odpowiednie rozwiązanie w obecnej sytuacji. Jesteśmy w stanie wojny...

- Jeśli jesteśmy w stanie wojny - zauważył Garibaldi, obyty człowiek, zawsze pewny siebie - czy nie powinniśmy raczej wybrać generała? Jak Święty Jaś na przykład?

- Proszę - westchnął Poletti - czy nie moglibyśmy odłożyć kanonizacji na później, a teraz nazywać go po prostu D'Ambrizzi?

- No dobrze, D'Ambrizzi - zgodził się Ottaviani. Wykrzywił twarz w grymasie bólu, opierając plecy o poduszki.

- Mnie on się wydaje wart zastanowienia. Umie patrzeć w przyszłość...

- Liberał - odparł Poletti. - Mówcie o nim tak, jak na to zasługuje. Podoba wam się pomysł bezpłatnego rozsyłania kondomów?

- Czego? - spytał Vezza, raptownie podnosząc głowę.

- Kondomów, prezerwatyw, gumek - powiedział Garibaldi za jego plecami z uśmiechem.

- Dobry Boże! - mruknął Vezza. - A co z tym?

- Gdyby D'Ambrizzi został papieżem, rozdawalibyśmy je za darmo na schodach kościołów po mszy, mielibyśmy po uszy kłopotów ze święceniem kobiet i pedałów...

- Cóż, dawnej miałem sporo księży pedałów, ale naprawdę uważasz, że D'Ambrizzi by na to przyzwał? - Vezza popatrzył na niego z powątpiewaniem. - Chodzi mi o to, że słyszałem Giacomo mówiącego takie rzeczy, że teraz nie pozostaje mi nic...

Antonelli znowu przerwał, pełen szacunku, ale sugerując, że może mieć ostatnie słowo w tej sprawie.

- Kardynał Poletti, jeśli mogę tak powiedzieć, pozwolił sobie na hiperbolę. Jedynie wskazywał możliwości D'Ambrizziego, które mogłyby, jeśliby prowadziły do swoich logicznych konsekwencji,

skończyć się tymi wszystkimi idiotyzmami, które opisali. Mam rację, Tonio?

- Dokładnie, przyjacielu. Doskonale uchwyciłeś moje nastawienie.

Być może - odparł Antonelli - powinniśmy w świetle tego, co usłyszeliśmy na taśmie i co powiedział Tonio, wszystko rozważyć. Czy myślicie - oczywiście tylko teoretycznie - że Indelicato mógłby być naszym człowiekiem?

Garibaldi powiedział z rezerwą:

- Mógłby zostać człowiekiem do brudnej roboty. Nie obawia się podejmowania drastycznych kroków, nie boi się zrobić sobie wroga. Mógłbym coś wam powiedzieć...

- Wszyscy moglibyśmy coś powiedzieć - powiedział Vezza sennie. - Nie ma poczucia humoru...

- A skąd to wiesz? - wtrącił Poletti, wpatrując się ponuro w starego człowieka otoczonego kłębamii dymu.

- ... ale z całą pewnością traktuje poważnie swoją pracę. Mógłbym go znieść. Lepiej niż wielu kryminalistów i przygłupów, którzy kiedyś nosili czerwony kapelusz.

- A ty, Ottaviani? - spytał Antonelli. - Co ty na to?

- A może ktoś z Afryki? - powiedział żartobliwie. - Albo może jakiś Japończyk? Albo Amerykanin, jeśli już do tego doszło?

- Och, na rany Chrystusa! - powiedział Poletti, ignorując uśmiech rozlewający się na twarzy Ottavianiego. - Nie bądź głupcem!

- Chciałem jedynie sprawdzić, czy Vezza rozpozna próbkę humoru klerykalnego. - Ottaviani uśmiechnął się krótko do starego człowieka.

- Co? - zapytał Vezza.

- W gruncie rzeczy - stwierdził Ottaviani - uważam Manfrediego kardynała Indelicato za bezzwzględną, jedynie ułankowo ludzką maszynę, za rzeźnika...

- Nie bądź skryty - zażądał Antonelli. - Powiedz, co naprawdę myślisz.

- Nigdy nie odwróciłbym się do niego plecami. Byłby na miejscu jako Wielki Inkwizytor... mówiąc krótko jest świetnym kandydatem na Tron Piotra.

Poletti podniósł głowę i popatrzył na Ottavianiego.

- Czy to znaczy, że poparłbyś jego kandydaturę?

- Ja? Czy powiedziałem coś takiego? Nie, nie sędzę. Poparłbym zamordowanie go, a nie wyniesienie. Nie, skłaniam się raczej ku kandydaturze D'Ambrizziego, który jako całkowicie skorumpowany człowiek, skrupowany jedynie własnym pragmatyzmem, osiągnie to, że będzie przez cały świat kochany... coś w rodzaju gwiazdy filmowej. Czy jakiś prawdziwy cynik potrafiłby się oprzeć takiej pokusie?

Pierwsze spotkanie Grupy Pięciu skończyło się. Ottavianiego i Garibaldiego zabrali ich kierowcy, a Antonelli pomachał na pożegnanie ze swego błyszczącego, w klerykalnej czerni lamborghini Miura. Vezza podpierając się laską, podreptał wzdłuż wyłożonej kafelkami werandy. Przysłuchiwał się Polettiemu, monotonicznie rozprawiającemu o tym i owym. Vezza przez całe spotkanie miał przykręcony aparat słuchowy. Wiedział dokładnie, co każdy z nich - zmuszony przez własny życiorys i osobowość -

powie. Miał siedemdziesiąt cztery lata, dobrą pamięć, a słyszał już wszystkich. Nie zawracał sobie głowy słuchaniem, nawet tego, co sam mówił. Większość z tego też już słyszał. Indelicato, D'Ambrizzi, naprawdę nic go nie obchodziło, kogo wybiorą, bo wierzył, że grupa, której był skrupulatnie płacącym składki członkiem od czterdziestu lat - Kuria - zawsze wywalczy swoje rozwiązanie. Zawsze tak się działo, odkąd sięgał pamięcią. Nigdy nie widział papieża, który nie poddawał się naciskowi watykańskich fachowców. Właściwie przedrzemał połowę zwykłego sabatu Kurii. Brał udział w niezliczonych zebraniach tego typu i wpatrywał się w kipiący kocioł pragnień kleryków. Dzisiejsze spotkanie natomiast, ze względu na zaangażowanie Antonelliego, należało do wyjątkowych. Jeśli kandydatem, na którego by się ostatecznie zdecydowali, byłby Indelicato, miałby wówczas nadzwyczajną szansę. Vezza po prostu stwierdził, że nie jest za bardzo zainteresowany. Trzy tygodnie temu dowiedział się, iż zawodzą go nerki. Przy szybkości, z jaką wszystko się posuwało, nawet Kalikst mógł go przeżyć. Nazwisko następnego papieża było jednym z ostatnich punktów na jego liście zmartwień, ale jego pytanie nieustannie powracało mu na myśl.

Vezza i Poletti stali na skraju drogi w podmuchach chłodnego wiatru od wzgórz. Czekali na doprowadzenie czarnego mercedesa. Vezza podwyższył głośność aparatu słuchowego.

- Opowiedz mi, młody Tonio - zwrócił się do Polettiego - o tej twojej taśmie. Ktoś na niej mówi o dziewięciu morderstwach. Czy dobrze usłyszałem?

- To był Jego Świątobliwość.

- Cóż, jestem starszym człowiekiem, trochę przygłuchym, więc może coś po drodze mi umknęło. Ale dla jasności przypomnijmy sobie te morderstwa... A więc Andy Heffernan i nasz stary przyjaciel Lockhardt w Nowym Jorku, zakonnica siostra Valentine w Princeton, dziennikarz Heywood w Paryżu. Samobójstwo tego LeBecqa w Egipcie, choć muszę przyznać, że jego nazwisko nic mi nie mówi... cztery morderstwa i jedno samobójstwo. Jeśli dobrze policzyłem, to tylko pięć ofiar. A teraz powiedz mi, na wypadek, gdybym coś pominął, jak sądzisz, kim byli pozostali?

Poletti dostrzegł przód czarnego mercedesa wyłaniający się zza żywopłotu, ciągnącego się od bramy do podjazdu. Dzięki Bogu ta rozmowa nie będzie trwała dłużej. Vezza miał zwyczaj zadawania najbardziej irytujących, najtrafniejszych pytań.

- No, dalej - ponaglił go stary człowiek. - Pomóż starzejącemu się koledze. Kim byli?

- Nie wiem, Eminencjo - odparł w końcu Poletti. - Po prostu nie wiem.

W najdalszym zakamarku mózgu Kalikst usłyszał uderzenia zegara stojącego w drugim końcu pokoju, ale to nie należało do rzeczywistości. Gdzieś na skraju świadomości wiedział, że leży w swoim łóżku o drugiej nad ranem. Nocne czuwanie zagłuszało wybijanie godzin przez pogański zegar, prezent od afrykańskiego kardynała, wyrzeźbiony przez jakieś prymitywne plemię ogarnięte obsesją seksualnej dwoistości. Ale słyszał jego bicie, czuł bliskość ciemności. Teraz wydawał się być bardziej ożywiony - nocą, w domu, w ciemności. Westchnął w dziewięćdziesięciu procentach swego mózgu, które były uśpione i usłyszał to. Słyszał bardzo wyraźnie zmarznięty śnieg padający na dach i ściany, wiatr zwiewał go z górskiej przełęczy przez sosny uginające się pod ciężkimi, śniegowymi czapami.

On, Sal di Mona, stał w drzwiach chaty drwała. Gruby szalik okrywał jego szyję i zasłaniał połowę twarzy. Wydawało się, że wiatr nigdy nie przestanie wiać. Przyglądał się oświetlonemu księżycem wązowowi i myślał, że oczy mu zamarzną. Wszystkie kolory zniknęły. Śnieg był biały, wszystko inne wydawało się czarne jak węgiel. Drzewa, urwiska skalne, cienie, ślady stóp zbiegające po stoku, ku czarnej wstędze toru kolejowego, który z Simonem sprawdzili godzinę temu. Tuż obok szyn płynął strumień, kręcąc się jak żałobna szarfa...

W środku chaty sześciu pozostałych drzemało z drgającymi powiekami lub czytało przy świecy. Jeden z nich bezgłośnie odmawiał pacierz. Simon wstał z prymitywnego krzesła, włożył książkę do kieszeni płaszcza i zapalił papierosa. Popatrzył w oczy Sala di Mona i uśmiechnął się.

- Długa noc - powiedział, minął go i podszedł do drzwi. Stał tam niewzruszony jak głaz. Wpatrywał się w przesmyk między wzgórzami, a dym z jego papierosa wracał do wnętrza chaty.

Zapach drewna i wilgoci, panujący w jednej izbie, został odmieniony przez ich nadejście. Teraz unosił się tam zapach smaru do karabinów maszynowych, rozgrzanych spoconych ciał i płonącego drewna, z którego zostały tylko żarzące się węgle. Było ciepło i zimno jednocześnie. Nic nie wydawało się normalne, rzeczywiste. Plan, który przedtem uważał za tak heroiczny, zmałał nagle, cały heroizm zniknął. Teraz stanowili tylko grupkę przestraszonych mężczyzn ryzykujących wszystko, by zabić innego człowieka, przejeżdżającego przez przełęcz porannym pociągiem. W tym nie było nic bohaterskiego - był tylko lęk, strach, kula w żołądku, drżenie kolan, uczucie parcia w dole brzucha.

Sal di Mona nikogo nie zabił. Nie miał zamiaru zabijać człowieka w pociągu. Nie dano mu pistoletu. Jego zadanie polegało na rzuceniu granatów, na spowodowaniu, że pociąg zatrzyma się na zniszczonym torze. Inni - dwóch z nich, Holender i jeszcze ktoś przyprorowadzony przez Simona - mieli użyć broni. Słyszał kroki Simona na skrzypiącym śniegu - okrążał chatę. Potem obszedł punkt obserwacyjny przygotowany wcześniej na występie skalnym, z którego widzieli szyny. Mieli jeszcze dwie godziny do ujrzenia słupa dymu z lokomotywy, ale Simon tak jak Sal di Mona nie mógł spać, nie mógł usiedzieć na miejscu.

Godzinę później wszyscy drzemali poza Simonem, który opierał się o ścianę z bali, paląc papierosa i małego Sala, wpatrującego się w brewiarz, ale nie widzącego liter.

Nagle Simon podniósł się, ruszył przez chatę i zdusił knot świecy między palcami.

- Ktoś jest na zewnątrz - wyszeptał. - Ktoś się rusza. Chwyć Sala za ramię, pociągnął go ku niskim drzwiom w tyle chaty, gdzie dach dotykał prawie stoku. Holender też się przebudził i we trójkę wyczołgali się na zewnątrz. Wyglądali, wyciągając głowy spod okapu, ukryci w cieniu sągu drzewa.

Dotarli do nich odgłosy nadchodzących żołnierzy. Szczękanie metalu w drewnianych łożach, zimnych magazynków, szuranie stóp po śniegu, stłumione szepty. Byli gdzieś między drzewami. Chyba ze dwudziestu. Schodzili, by podejść do chaty od frontu. Nie wiedzieli o drzwiach z tyłu. Wydawało się, że im się nie śpieszy.

- Niemcy - wyszeptał Simon. Sal di Mona dostrzegł światło księżyca odbite w okrągłych okularach żołnierza.

- Ale skąd...

- A jak sądzisz, ojczy? Zdradzono nas.

Simon cofnął się pod niski dach. Miał zamiar wrócić i obudzić pozostałych, ale wszystkie cienie zniknęły już, zebrały się przed chatą. Sal di Mona próbował zrozumieć, co się dzieje, ale wszystko stało się zbyt szybko. Miał dwa granaty w kieszeniach płaszcza. Holender trzymał karabin maszynowy.

Holender wskazał w górę wzgórza ku gęstemu zagajnikowi drzew, pchnął ramię Sala, szepnął coś. Gdy przebiegli już dwadzieścia jardów po oświetlonym księżycem śniegu, usłyszeli więcej odgłosów metalu wyraźnego w ciszy. A potem huk rozpadających się drzwi chaty. Krzyki po niemiecku.

Klekot karabinów maszynowych, dźwięk ta-ta-tarata. Bez tchu schronili się między drzewami.

Wszystko, absolutnie wszystko, szło nie tak.

Sal di Mona po raz tysięczny stwierdził, że nie ma wiele wspólnego z cholerną wojną.

Usłyszał wybuch, a potem jeszcze jeden, krzyki zaskoczenia i bólu.

Rosła postać Simona pojawiła się za chatą. Przedzierał się przez śnieg. Potem zatrzymał się, odwrócił twarz, jego ramię zakreśliło w powietrzu łuk, coś podskoczyło na dachu chaty i zniknęło. Potem nastąpił wybuch, rozległo się jeszcze więcej krzyków, a Simon wspinał się z wysiłkiem na wzgórze.

Był zdyszany, kiedy do nich dotarł.

- Wszyscy nie żyją albo umierają. - Chwytał ciężko powietrze. - Paru Niemców też.

Wziął od Sala granaty, wyciągnął zawleczkę i rzucił nimi w dół.

- Chodźcie, musimy się ruszyć.

Granaty eksplodowały, zniszczyły bok chaty.

O brzasku dotarli do drogi, gdzie nerwowo czekali na rozklekotaną ciężarówkę, która miała ich zabrać. Przyjechała dokładnie na czas.

Czterech ludzi zginęło, ale oni żyli i było już po wszystkim.

Wciąż czuł zapach prochu, nie potrafił się go pozbyć.

Następnego dnia w Paryżu dowiedzieli się, że ważny człowiek, którego mieli zabić, w ogóle nie wsiadł do tego pociągu.

Kiedy obudził się w papieskiej sypialni, obłany zimnym potem i przemarznięty do kości, wciąż czuł zapach eksplodujących granatów, widział światło księżyca odbijające się w okularach niemieckiego żołnierza i Simona wdzierającego się ku nim na wzgórze po rzuceniu granatów na dach...

- Giacomo? Czy to ty? Co tu robisz? Jak długo tu jesteś?

Szary świt zbierał się jak burza nad Miastem Watykańskim, ale to zostało przeniesione ze snu, ze wspomnień. Tamtego ranka po nocy w górach rozszalała się burza i drogi były śliskie od zamarzającego na lód deszczu. Po przebudzeniu stał się tylko jeszcze jednym porankiem cztery dziesięciolecia później, jeszcze jednym porankiem umierania papieża Kaliksta.

- Nie mogłem spać - odparł D'Ambrizzi. - Potrzebuję teraz tylko trzech, czterech godzin snu. Czasami mniej. Przyszedłem tu jakąś godzinę temu. Rozmyślałem o wielu rzeczach, Wasza Świątobliwość. Powinniśmy porozmawiać.

Usiadł w fotelu przy oknie, ubrany w jedwabny szlafrok w paski. Stopy w kapciach oparł na

dolnej półce metalowego wózka, na którym ułożono różne medyczne urządzenia niezbędne dla zdrowia papieża.

- Jak się czujesz?

Kalikst usiadł na łóżku, powoli przełożył nogi na jedną stronę, przysiadł na brzegu ciężko oddychając. Jego twarz lśniła od potu. Pizama przykleiła się do pleców. D'Ambrizzi przyglądał się jak Kalikst usiłuje ukryć ból. Było to przygnębiające.

- Jak ja się czuję? Jak się czuję? - zakasłał Kalikst, próbując zachichotać. Wiedział, że D'Ambrizzemu chodzi o jego niestosowne zasłabnięcie, chwilę omdlenia, cokolwiek to było, w jego biurze kilka dni temu. - Ulżyło mi, że nie był to atak serca - chociaż dlaczego tak czepiam się życia, jak gdyby istniała jeszcze jakaś przyszłość, gdybym wiedział... Prawdopodobnie nastąpiło niezaplanowane działanie jakiegoś lekarstwa. To wszystko jest takie męczące, Giacomo.

- Aha, lekarstwo gorsze od choroby.

- Gdyby było na to lekarstwo, przyjacielu. Właśnie to zmienia wszystko w żart. O mnie. Teraz nie zadaję zbyt wielu pytań na temat mojego stanu zdrowia. Kogo to obchodzi? Rozumiesz? Kogo to, na Boga, obchodzi? Poza nielicznymi wiernymi owieczkami, niemytymi, wierzącymi w magię woodoo i tym podobne... To już nie ma znaczenia. - Uśmiechnął się ironicznie. - To już nie jest ważne w oczach Boga i Jego planu.

- Och, naprawdę myślisz, że Bóg ma jakiś plan? Nie, nie sądzę. - D'Ambrizzi pokręcił swą potężną głową. - Nie, On musi improwizować. Nikt, nawet Bóg, gdziekolwiek jest, nie mógłby wysmażyć tak ohydneho planu. - Zapalił kolejnego czarnego papierosa ze złotym ustnikiem. - Ale właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać...

- O braku Boskiego planu? Czy o kwestii Boskiej płci? Jeśli jakąś ma.

- Mogłoby to być bardzo zajmujące - powiedział D'Ambrizzi.

Ale temat, o który mi chodzi, nie ma nic wspólnego z seksem. To jest, Wasza Świątobliwość, coś dokładnie złączonego z twoją nieustająco pożyteczną rolą do odegrania na planecie Ziemi, bez względu na to, czy dużo czy mało czasu zostało. Naprawdę musimy porozmawiać.

Kalikst wstał, odmówił sobie chęci oparcia się na lasce i podszedł powoli do okna. Pomyślał, że idiotycznie cieszy się, że żyje. Wdzięczny za to niewielkie błogosławieństwo, jakkolwiek wspaniały miał nadejść świat, był zadowolony... nawet jeśli jego sny, dni, wszystkie wspomnienia były wypełnione śmiercią, napędzane przez śmierć. Zjawiały się wszystkie ofiary, wszystkie martwe od dawna i te umierające teraz, dziewięcioro... Ile ich jeszcze miało być? Kto by potrafił to powstrzymać? Kto potrafiłby odnaleźć znaczenie i rozbić na tysiące kawałków? Całą noc myślał i śnił o umarłych, a potem rankiem wstawał, modlił się, walczył ze słabością w czasie mszy i krzątał się - coraz nieporadniej, co było takie patetyczne, miał tego świadomość - wokół codziennych spraw. Świat powoli przyzwyczajał się do myśli, że papież umiera. Cóż, dlaczego nie? Był Kalikstem, ale gdy mocował się ze śmiercią, wydawał się codziennie coraz bardziej rzeczywisty, coraz bardziej stawał się znowu Salem di Mona...

- A więc chcesz porozmawiać - powiedział Kalikst. - Coś takiego przyszło mi do głowy, że właśnie siedzę i rozmawiam z kardynałem D'Ambrizzim, jedną z największych postaci Kościoła, jednym

z największych przywódców naszych czasów, Świętym Jasiem... i jestem szczerze zdziwiony. Jaki mam interes, by zabierać czas, by odrywać tego wielkiego człowieka od jego ciężkich obowiązków - nie uśmiechaj się Giacomo, jestem absolutnie szczerzy. Ty jesteś *D'Ambrizzi*... a ja jestem...

- Szefem - odparł *D'Ambrizzi*. - Tak, Wasza Świętobliwość, chcę porozmawiać.

- Czy uświadamiasz sobie, Giacomo, że żyjemy w niebezpiecznych i cynicznych czasach?

D'Ambrizzi roześmiał się.

- Nie specjalnie, Wasza Świętobliwość. Każda epoka niosła za sobą niebezpieczeństwa i cynizm. I były to też dobre czasy.

- Może masz rację. Ale pomyślałem, że wolałbym porozmawiać w twoim pokoju, gdyby ci to nie sprawiło różnicy. Może oni zainstalowali gdzieś tutaj urządzenia podsłuchowe - pluskwy, rozumiesz. Doszedłem do wniosku, że baliby się podsłuchiwać ciebie. - Roześmiał się.

- Oni?

- Zgadnij.

Wziął szlafrok z poręczy łóżka, zarzucił na siebie i z pomrukiem niezadowolenia oparł się na lasce.

- Chodź, przejdziemy do twojego mieszkania. *D'Ambrizzi* już miał za nim wejść do przedpokoju, kiedy *Kalikst* zatrzymał się.

- Giacomo, chyba nie miałbym odwagi zostawić mojego aparatu tlenowego. - Skinął głową w stronę wózka z butlą. - Czy możesz go zaciągnąć do siebie? To uciążliwe, ale wiem, że trzeba to zrobić. Zabiliby mnie, gdybym to tu zostawił.

Kardynał *D'Ambrizzi* pchał wózek, i tak szli, dwaj olbrzymi Kościoła, jeden stary, a drugi stary i umierający. Była to niezwykła procesja przesuująca się korytarzami Watykanu w eleganckich szlafrokach, mijająca bezcenne draperie, obrazy, urzędników i straż na służbie po długiej nocy, lub przybyłą o świcie.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, *D'Ambrizzi* stanął przy ciężkim bogato rzeźbionym stole. Groźne lwy siedzące na ogonach podtrzymywały na głowach ogromny blat z błyszczącego drewna. Odsunął krzesło - papież wolał to z prostym oparciem i poręczami. *Kalikst* powoli, drżąc na całym ciele, osunął się na bezpieczne siedzisko.

Pierwsze promienie bladego światła słonecznego przedzierały się do pokoju, znaczyły plamy na dywanie z *Aubusson*, na lśniącej powierzchni stołu. Obrazy - wśród nich *Tintoretto* - dodawały uroku, którego brakowało w papieskich apartamentach, gdyż *Kalikst* zadał sobie wiele trudu, by stamtąd usunąć nadmiar sprzętów.

- Giacomo, oto jestem, lub raczej to, co ze mnie zostało, pełen ciekawości. Co cię martwi? Rzadko zdradzasz takie zaniepokojenie sprawami Kościoła...

- Nie jestem pewien, czy to w porządku...

- Czy jakimiś innymi sprawami, jeśli już o to chodzi. Ale teraz odczytuję na twojej twarzy troskę. Co to jest? Czy ma jakiś związek z morderstwami? Czy tak? - *Kalikst* poczuł ulgę. Nie chciał umierać, zanim nie dopilnuje zakończenia tej sprawy. A ile jeszcze mu zostało? Bał się przeraźliwie, że jego mózg

przestanie funkcjonować i zacznie wędrować po obrzeżach snu i rzeczywistości.

- Zanim zacznę, Wasza Świątobliwość...

- Proszę, Giacomo, daruj sobie ten tytuł. Doskonale wiemy kim jesteście, parą weteranów noszących blizny po bitwach. - Wyciągnął rękę i poklepał rękaw kardynała. - Teraz zaczynaj. Mów.

- Mam zamiar mówić o czymś, z czym zdążysz sobie poradzić. O czymś, co może stać się ukoronowaniem twoich prac na ziemi - wybac mi, jeśli to, co muszę najpierw powiedzieć, będzie wydawało się bez sensu. Zaraz do tego dojdziemy. Ale jest to również ważne, byś wiedział, jak do wszystkiego doszedłem. Wybac mi, Salvatore. Pamiętaj, że to do ciebie *U Papa*, mówię. Pamiętaj, kim jesteś. Pamiętaj o ważności, wielkości i władzy urzędu, który piastujesz.

Kalikst usiadł wygodniej na krześle, zaczął się rozluźniać i zapominać o bólu, który stał się jego nieodłącznym towarzyszem. Znał D'Ambrizziego od bardzo dawna i wiedział, o co mu chodzi. Wracali - jak gdyby pod wpływem mistrza hipnozy - w przeszłość ich Kościoła, a gdzie D'Ambrizzi służył za przewodnika. Chociaż Kalikst nie miał pewności, że czeka go przyjemna podróż, wiedział jednak, że będzie pouczająca. Do czego mogło go to zaprowadzić, do czego byłby zmuszony, nie miał pojęcia.

- Wiesz od dawna, jak bardzo uwielbiam Awinion - powiedział D'Ambrizzi. - Chciałbym z tobą porozmawiać o Awinionie, ale nie o tym cudownym mieście, które obaj świetnie znamy. Chciałbym, byśmy powrócili myślą do czternastego wieku, do chwili, kiedy przeniesiono papieżstwo do Awinionu. Wtedy nasz świat rozpadł się, otaczały nas zwalczające się rodziny. Nagle po wyborze w 1303 Benedykt XI uciekł z Rzymu, dosłownie ratując życie, trochę się błąkał, a potem umarł następnej wiosny w Perugii - nienaturalną śmiercią, zapewniam cię. Otruty. Talerz fig, jeśli można wierzyć jego biografom. Życie w klasztorze było w owych czasach stosunkowo tanie. Skarby, władza, sprawowanie kontroli - tylko tyle stracił. Następne konklawe trwało rok. W 1305 nałożono tiarę w Lyonie Klemensowi V. Ale nie śmiał wrócić do rozdartego wojną Rzymu. Osiedlił się więc w Awinionie, sterowany przez świat świecki, bo Kościół włączył się do świeckiej wojny.

Tak papieżstwo przeszło w ręce Francuzów. Stało się instrumentem francuskiej polityki, bardziej świeckim niż kiedykolwiek przedtem. Kościół został prawdziwym politykiem. Utracił swą duchową drogę. Rzym był siedzibą biskupstwa Piotra, a papieże następcami Piotra, ale teraz Kościół odwrócił się plecami, opuścił Rzym. Święte Miasto chyliło się ku upadkowi. Plądrowali je i rabowali mordercy, przemytnicy, porywacze, złodzieje. Kościoły zbezczeszczono, skradziono marmury i rzeźby. Do 1350 pięćdziesiąt tysięcy ludzi dziennie - pielgrzymów - przybywało, by modlić się przy grobie św. Piotra i widziało krowy pasące się na trawie wyrosłej w głównej absydzie, a podłogi pokrywało łajno.

Jan XXII, Benedykt XII, Klemens VI... Klemens *kupił* Awinion za osiemdziesiąt tysięcy złotych florenów! Zbudował Pałac Papieży, a kardynałowie wypełnili go i swoje wytworne wille dziełami sztuki i zbiorami dzięki niezwykłym osobistym fortunom. Byli świeckimi książętami... Kiedy Urban V umarł, jego osobisty majątek wynosił dwieście tysięcy florenów w złocie. Kościół już nie był Kościołem Piotra, rozkładał się od środka. Rozkładała go żądza bogactw, folgowanie słabościom, świeckość, materializm. Zatriumfowało zło! Kościół żył tak, jakby nie istniała wieczność, sąd, zbawienie, nic: tylko nieskończona

pustka i bezkresna ciemność.

Głos kardynała zniżył się do szeptu. D'Ambrizzi przerwał, głowę spuścił na piersi. Kalikst bał się odezwać i przełamać czar. Nadal nie miał pojęcia, do czego to wszystko prowadziło, ale życie Kościoła w Awinionie wydawało się wirować wokół niego. Zobaczył, że kardynał wyciąga rękę po dzbanek i kubki na srebrnej tacy. Ostrożnie nalał kubek wody i podał go Kalikstowi. Kuracja wywoływała pragnienie.

- Petrarka - powiedział ciepło D'Ambrizzi, wracając do swej opowieści - twierdził, że Awinion był fortecą udręki, miejscem gniewu, studnią rozpusty, rynsztokiem świata, szkołą błędu, świątynią herezji, Babilonem fałszu i winy, kuźnią kłamstw, piekłem pełnym gnoju.

- Niewola babilońska - wymruczał Kalikst. D'Ambrizzi skinął głową. Miał spękane usta i oczy wylupiające jak u żaby.

- Petrarka uważał, że Awinion był domem wina, kobiet, pieśni i księży, którzy zachowywali się tak, jakby cała ich chwała nie zależała od wiary w Chrystusa, ale od ucztowania i bezwstydu. Święta Katarzyna ze Sieny głosiła, że odór piekła z Awinionu docierał i do niej...

- Giacomo, to nie znaczy, że nie doceniam lekcji historii, ale zastanawiam się, dlaczego opowiadasz mi to wszystko właśnie teraz?

- Ponieważ może zabraknąć czasu, Wasza Świątobliwość - wychrypiął D'Ambrizzi - i nie chodzi mi o wasze zdrowie. Niewola babilońska... Wszystko zdarza się od nowa. A ty, *U Papa*, przewodzisz Kościołowi, który sam doprowadził się do niewoli. Kościół poszedł z ochotą, radośnie do studni bezwstydu! - D'Ambrizzi zobaczył, jak oczy papieża powoli mrugają, ożywiają się i zaczynają błyszczeć na pergaminie pomarszczonej, umierającej, przezroczystej skóry. - A teraz do ciebie należy, by doprowadzić Kościół z powrotem do bezpiecznej przystani... i do służby człowiekowi i Bogu. - Rozjaśnił się, odsłaniając poźółkłe zęby. - Dopóki masz jeszcze czas, Salvatore.

- Nie rozumiem.

- Pozwól mi wytłumaczyć.

Papież połknął pigułkę obniżającą ciśnienie. Nieświadomy swego gestu, wyciągnął florencki sztylet z kieszeni i zaczął powoli obracać go w palcach. Jego pomarszczone dłonie lekko drżały. Ale twarz Kaliksta wydawała się rozjaśniona. Kiedy D'Ambrizzi zaproponował chwilę przerwy, umierający odmówił, a jego głos zabarwił gniew.

- Nie, nie, nie. Jestem w idealnym stanie, by kontynuować. Będę miał dużo czasu na odpoczynek, gdy już z tobą skończę, Giacomo.

- W porządku. A teraz trochę przykrej prawdy - ciągnął D'Ambrizzi niskim głosem. Jego słowa były ciężkie od emfazy, jakby chciał, by zapadły w pamięć Kaliksta. - Nasz Kościół znowu jest w niewoli, jest niewolnikiem świata świeckich, świata ludzi i ich najprostszych potrzeb, ich ciał. Czy rozumiesz, o czym mówię? Naprawdę rozumiesz? Jesteśmy niewolnikami dyktatur prawicowych, lewicowych ruchów wyzwoleniczych, CIA, KGB, mafii, bułgarskiej tajnej policji, Propaganda Due, Opus Dei i banków z całego świata, niezliczonych wywiadów i kontrwywiadów, wszystkich egoistycznych interesów Kurii, tych wszystkich niezliczonych inwestycji w nieruchomościach, które należą do nas, i w

fabrykach broni... jednym słowem, jesteśmy w jarzmie naszej chciwości i żądzy władzy, władzy, władzy! Kiedy pytają mnie, czego Kościół pragnie, wracam myślą do czasów, kiedy ta odpowiedź mogłaby być skomplikowana, wymagałaby oceny i koncepcji dobra i zła - ale teraz znam odpowiedź, zanim zadadzą mi pytanie... więcej! Chcemy więcej, zawsze więcej!

Papież poczuł ucisk w piersi i popatrzył na butlę z tlenem. Od chwili jego omdlenia zawsze przy nim była. Teraz może też się przyda... ale nierówne, rozpaczliwe uderzenia o klatkę piersiową osłabły. Fałszywy alarm. Otarł chusteczką ślinę z kącika warg i powiedział:

- Ależ Giacomo, przecież to ty najbardziej z wszystkich ludzi twoich czasów prowadziłeś Kościół jak pasterz owce w stronę tego nowoczesnego, świeckiego świata, *realnego* świata, w którym musimy dokonywać wyboru, gdzie musimy konkurować ze sobą, by przetrwać. To ty, to ty *wymyśliłeś* i zaplanowałeś wiele związków, które mamy ze światową sceną... na zachodzie i w bloku komunistycznym, wśród narodów Trzeciego Świata. To ty, Giacomo, lepiej niż ktokolwiek inny zarządzałeś finansami Kościoła i doprowadziłeś je na niebotyczne wysokości. To właśnie ty pertraktowałeś z wszystkimi potęgami w najdelikatniejszych kwestiach. To nie ulega wątpliwości. Zatem - co mam sądzić o tym, co mi teraz mówisz?

Nikły uśmiezek pojawił się na spierzchniętych wargach Kaliksta. Jego twarz pobladła. W czasie choroby skóra papieża stała się prawie przezroczysta.

- Nazwij to mądrością zdobytą z trudem, Salvatore, wynik spędzenia większości mego życia na tym, co właśnie opisałeś. Wciąż masz szansę skorzystać z tego, czego właśnie zacząłem się uczyć teraz, pod koniec kariery... Jeszcze jest czas. Ale *musisz* mnie wysłuchać i nauczyć się. Otrzymaliśmy znak, Salvatore - pierwszy w moim życiu, znak ostrzegający nas, prowadzący nas... a my zlekceważyliśmy jego prawdziwe znaczenie! - Jego pięść z hukiem uderzyła o lśniący blat stołu. Kalikst przyglądał się z przeszywającą ciekawością, zafascynowany zachowaniem D'Ambrizziego.

- Morderstwa - wyszeptał D'Ambrizzi. - Modłę się, byś to zrozumiał. Morderstwa - to znak jak krzyż, który pojawił się przed Konstantynem wryty w zachodzącym słońcu. Masz największą możliwość z wszystkich następców Piotra ukształtować Kościół na dobre. Możesz przywrócić mu jego cel... jeśli tylko rozpoznasz znak, prawdę morderstw, prawdę kryjącą się za morderstwami.

To nie są *święte* morderstwa, Salvatore. To nie są morderstwa Kościoła, nie są tym, co nam się wydawało, ani tym, co zakładaliśmy. Byliśmy głupcami, zaślepionymi, osłoniętymi płaszczami naszej własnej ważności. Te morderstwa, którymi pozwoliliśmy nas samych zastraszyć, nie są wyzwaniem pochodzącym od środka Kościoła - bez względu na to, kto za nimi stoi! *Są częścią świata, który stworzyliśmy dla nas samych.*

Były nieuniknione, bo sami oddaliśmy się w ręce naszych wrogów... To są świeckie morderstwa, bo staliśmy się niczym więcej jak jeszcze jednym kółeczkiem w świeckiej maszynie... a te morderstwa to cena, której zażądał od nas świat. Zaangażowaliśmy się w niemoralne machinacje finansowe, w zbrodnię, politykę i w nieskończone gromadzenie bogactw, a teraz musimy za to zapłacić!

Oczywiście, niektórzy mogą szeptać o *assassini*, ale jeśli im uwierzymy, to będziemy się oszukiwać. Byliśmy ślepi, a *assassini* to jedynie symbol, narzędzie, które stworzyliśmy, by się ukarać.

Ale Wasza Świątobliwość może stać się otwartymi oczami kościoła, może to powstrzymać... Tylko ty...

- Ale jak, Giacomo? Powiedz mi, co muszę zrobić?

Kalikst, który nie przywiązywał wagi do mistycyzmu, zastanawiał się, czy oto nie stoi przed nim oszalały, boski posłaniec a może prorok. Czy to Bóg do niego przemawia? Czy ten stary człowiek, który kiedyś był jego mentorem, działa z Boskiego polecenia? Kalikst nie miał już czasu na cuda boskie czy inne. Jego nastawienie było nastawieniem biurokraty, a jak miał biurokrata poradzić sobie z tą sytuacją? A przecież od tak dawna ulegał wpływom kardynała... Siła osobowości D'Ambrizziego już na niego działała. To wciąż tkwiło w płonącej skorupie starego człowieka, jak sama istota starego człowieka, jak sama istota człowieczeństwa.

- Tylko pamiętaj, kim jesteś.

- Ale kim jestem, Giacomo?

- Jesteś *Kalikstem*. Przypomnij sobie pierwszego Kaliksta i twoja misja wyda ci się oczywista...

- Nie wiem...

Ogromna dłoń nagle opadła na ramię papieża i ścisnęła je jak imadło.

- Posłuchaj mnie, Kalikście... i bądź silny!

Siostra Elżbieta usiadła wygodniej w fotelu, odsunęła się od biurka i położyła stopy na blacie. W biurach redakcji było pusto i ciemno. Minęła dziesiąta. Zapomniała zjeść obiad, czuła się tak, jakby kawa wypaliła jej w żołądku dziurę. Czas topnienia. Trzymała w ręku ostatni długopis, w którym wypisał się wkład. Wycelowwała nim w stronę kosza, nie trafiła i usłyszała, jak upada w odległym kącie. Idealnie. Wydawało się, że po prostu nie jest w stanie celnie rzucić.

- Kim, do diabła, jest Erich Kessler? Dlaczego jego nazwisko znalazło się na liście Val?

Mówiła cicho, wyraźnie, rzucała słowa w ciszę z lekkim wydechem, jakby miała nadzieję, że popłyną przez jakieś wzburzone wody i dotrą do stóp wyroczni. Zrobiła już wszystko poza zwróceniem się do rady czarowników albo hipnotyzera. Gdyby nazwisko Kesslera nie pojawiło się nigdzie indziej tylko na liście ułożonej przez Val, mogłaby założyć, że taki człowiek po prostu nie istnieje. Ale Val była zbyt dokładna. Oznaczało to jedynie, że ktoś taki istnieje, że w jakiś sposób jest powiązany z nimi. Fakt, że nie było przy jego nazwisku daty oznaczał, iż wciąż żyje, gdyż daty wypisane przy innych oznaczały daty śmierci. Ale gdzie, u diabła, należało go szukać?

Uliczka bez wyjścia. Co robić?

Ocknęła się o północy, z nogami wciąż na biurku.

- Tak - stwierdziła - to bzdury.

Wróciła do mieszkania przy Via Veneto i nie mogła zasnąć. I zanim się zorientowała, już nadszedł czas na bieganie, bo zaczął się nowy dzień. Zrozumiała, że musi zadzwonić.

- Eminencjo, tu siostra Elżbieta. Bardzo mi przykro, że przeszkadzam...

- Nie wygłupiaj się, moja droga. Co mogę dla ciebie zrobić, siostrzo?

- Muszę się z Eminencją zobaczyć. Wystarczy mi kwadrans...

- Rozumiem, dobrze więc, dziś po południu. O czwartej u mnie. - Zawsze tak mówi o Watykanie.

Święty Jaś.

Czekał na nią w swoim gabinecie. Był sam. Ubrany w całkowity strój ceremonialny. Dostrzegł, że patrzy na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami i uśmiech pojawił się pod jego wielkim jak banan nosem.

- Przedstawienie - wyjaśnił - dla turystów. Obawiam się, że byłem kiepskim zastępcą Ojca Świętego. Usiądź, siostrze. O co chodzi?

Wyciągnął rzeźbioną papierośnicę, zagłębił w środku krótkie palce i wyjął czarnego papierosa. Wetknął w szeroką muszlę warg i zapalił zapałkę o paznokcie kciuka.

- O morderstwa - odparła. - Nazwiska osób, które znaleźliśmy na liście Val. Oni wszyscy zostali zamordowani.

- Proszę mi wybaczyć, siostrze, ale już o tym rozmawialiśmy. Jeśli nie masz czegoś nowego do dodania...

Wzruszył potężnymi ramionami, dając tym gestem wiele do zrozumienia.

- Eminencjo, proszę pomyśleć o Val. Proszę pomyśleć o tym, jak oddała swoje życie, proszę spróbować postawić się na jej miejscu. Była naprawdę blisko czegoś tak ważnego, że musieli ją zabić... Proszę pomyśleć o Val...

- Moja droga, jesteś jeszcze bardzo młoda i nie musisz mnie pouczać, co do moich uczuć do siostry Valentine. Byłem blisko związany z rodziną Driskillów jeszcze przed wojną, kiedy po raz pierwszy spotkałem Hugh'a Driskilla. Przebywał wtedy w Rzymie... pracował dla Kościoła... chodziliśmy razem na koncerty. Przedstawiono mi go na koncercie. Pamiętam to tak, jakby wydarzyło się wczoraj, siostrze. Beethoven. Trio numer siódmy. B-dur. Opus 97. Ulubione trio Hugh'a. Wtedy po raz pierwszy dyskutowaliśmy ze sobą o... ale to nie ma żadnego znaczenia. Rzecz w tym, że kocham tę rodzinę. Wszystkich. Ale przyznajmy również, że to uparci ludzie. Hugh i te jego misje szpiegowskie, skakanie ze spadochronem i Bóg jeden wie, co jeszcze. Valentine i jej grzebanie się w czymś, co w końcu ją zabiło... I Ben. Choć jemu się wydaje, że coś robi, to ja znajdę tego, kto ją zabił. Prowadzę własne śledztwo, na swój sposób, i szczerze mówiąc, siostrze, wolałbym mieć spokój, by to dokończyć. Żeby nie musiał się martwić, że ktoś zamorduje ciebie albo Bena Driskilla... Czy dociera do ciebie to, co mówię, siostrze? Czy to co mówię, ma dla ciebie jakiś sens? Chciałbym, żebyś wszystko zostawiła. Nie masz żadnego interesu ani prawa, ani powodu, by kontynuować poszukiwania. Nic. W ogóle nic. Spójrz na mnie, siostrze Elżbieto, i powiedz, czy mnie słyszysz?

- Słyszę - powiedziała cicho.

- A ja słyszę jakieś „ale” w twoim głosie. Czy naprawdę słyszę „ale”, siostrze?

- Z całym szacunkiem, Eminencjo, nie rozumiem, dlaczego nie mam prawa dokończyć pracy, którą zaczęła Val. Uważam, iż nie tylko mam prawo. Czuję, że mam coś w rodzaju zobowiązania. Ja... ja... ja... nic nie mogę na to poradzić, że tak czuję, Eminencjo.

- Rozumiem uczucia, siostrze. Kiedyś, w swoim czasie, też jakieś miałem. Nie pochwalam twojego

postępowania. Zostaw to innym.

- Ależ Eminencjo, ci inni? To właśnie oni zabijają ludzi! Ci inni należą do Kościoła...

- Zgadujesz siostrze. Zostaw to. To jest sprawa Kościoła, zostaw ją Kościołowi...

- Jak Eminencja może tak mówić?

Uśmiechnął się do niej i zapalił następnego papierosa.

- Prawdopodobnie dlatego, że noszę czerwony kapelusz. To jest pewnie najwłaściwsze wyjaśnienie.

Spojrzał na zegarek.

- Naprawdę muszę już iść, siostrze.

Wstali. Jego staranny ubiór wydawał się zwalniać jego ruchy.

- Erich Kessler - powiedziała. - Kim jest Erich Kessler? D'Ambrizzi wpatrywał się w nią bez słowa.

- To ostatnie nazwisko na liście Val - dodała po chwili. - Jedyne nazwisko bez daty śmierci. Ale wygląda na to, że ktoś taki nie istnieje. Kim on jest? Czy to następna zaplanowana ofiara?

D'Ambrizzi przyglądał jej się przymkniętymi oczami aligatora.

- Nie mam pojęcia, Elżbieto. W ogóle. A teraz, proszę, zostaw to! Zupełnie! - Jego głos był cichy, niewiele głośniejszy od szeptu, ale wyraźnie usłyszała wykrzykniki.

- Jeśli Erich Kessler jest następną ofiarą, to musi wiedzieć, dlaczego pozostali zostali zabici... a to by oznaczało, że ma wszystkie odpowiedzi. - Drżały jej ręce i czuła, że za chwilę się rozplacze. - Jadę do Paryża. Val tam pracowała.

- Żegnam, siostrze. Szarpnięciem otworzył szeroko drzwi.

Monsignor Sandanato siedział przy biurku w przedpokoju. Podniósł wzrok.

- Siostrze... - odezwał się.

Przeszła szybko obok niego i pobiegła korytarzem. Do diabła z nimi wszystkimi, niech ich piekło pochłonie!

Kardynał D'Ambrizzi zwrócił się do monsignora Sandanato: - Piętro, czy może miałeś trochę szczęścia w poszukiwaniach Kesslera?

- Nie, Eminencjo. Jeszcze nie. Niełatwo go znaleźć, jak się okazuje.

- Cóż, nie przestawaj szukać.

* * *

Tego wieczora Elżbieta postanowiła pójść na kolację z kilkoma siostrami z Zakonu. Już od dawna ją zapraszały. Jadły wspólnie w wielkim refektarzu, na najlepszej porcelanie Wedgewooda i starymi ciężkimi, srebrnymi sztućcami. Atmosfera była przyjacielska, właśnie taka, jakiej potrzebowały jej nadszarpnięte nerwy. Światło świec odbijało się w kryształach, a rozmowa płynęła spokojnie, akcentowana od czasu do czasu łagodnym śmiechem. Nie doświadczyła przedtem takiego życia, ani go nie szukała, ale kiedy znalazła się w samym środku pochwycona przez jego ducha i rytm, sprawiło jej ono

radość. Przypomniała sobie wtedy jedną z przyczyn, dla których przede wszystkim została zakonnica. Było to schronienie przed kakofonią wyborów, które reszta świata narzucała, czy jej się to podobało czy nie.

Wieczór okazał się cudem odpoczynku, spokoju, uprzejmości łagodnej, ale doprawionej szczyptą ironii i sarkazmu. Te kobiety nie wydawały się pobłażliwe dla Kościoła: należały do najbardziej wymagających krytyków. Siedziały razem, w tradycyjnych, eleganckich, czarnych habitach - dla niektórych to były jedyne chwile w miesiącu, kiedy je zakładały i rozmawiały. Ów wieczór i towarzystwo siostr udowodniły Elżbiecie, że istnieje świat poza Watykanem, syczącymi cieniami *assassini* i morderstwami, świat powściągliwości i inteligencji bez presji nie do wytrzymania, miażdżącej ludzi przeżywających życie wewnątrz Pałacu Apostolskiego. Siedząc między siostrami, słuchając ich rozmowy prowadzonej swobodnie przy stole, wspomnień, doświadczeń i uczuć, które sama odczuwała... odnalazła nieskalaną oazę spokoju, tak odległą od nieszczęść, krwi i strachu.

Siedziała w bibliotece. Na ścianach wisiały stare obrazy w złotych ramach. Czowała aromat parzącej się kawy. Pomyślała o Val. Często siadywały tutaj, gdy siostry przygotowywały kawę po kolacji... Biedna Val. Co by zrobiła, gdyby D'Ambrizzi dał jej tak kategoryczny rozkaz? To nie było łatwe pytanie. A co, zastanawiała się, by zaproponował Ben Driskill? Zagryzła wargi, poczuła smak soli, wykrzywiła twarz w uśmiechu. Ben pewnie by powiedział jej, żeby wysłała kardynała do diabła... Ale gdzieś w zakamarkach mózgu liczyła martwych.

Wreszcie wieczór zbliżył się do końca i musiała się pożegnać. Radosny spokój tych kilku godzin już się rozproszył jak niewyraźna, popękana, zapomniana fotografia z dzieciństwa.

Wróciła do wieży przy Via Veneto, próbując rozpaczliwie bezskutecznie ożywić uczucie spokoju. Wciąż czuła gorycz konfrontacji z D'Ambrizzim. Nigdy przedtem czegoś takiego nie doświadczyła: czysty gniew, zniknięcie dyplomatycznej zręczności zawsze obecnej w jego sposobie rozmowy.

Jakoś, mówiła sobie, to wszystko się ułoży, jakoś wszystkiego dopilnuję.

Boże, co za głupota! Dopilnuję... Już nie ma odrobiny nadziei!

Rozebrała się i napełniła gorącej wody do wanny. Zanurzyła się powoli i patrzyła, jak na ścianach osiada para. Wyciągnęła się, rozluźniając w olejku i świeżym, czystym zapachu.

Zostawiła drzwi do łazienki szeroko otwarte. W lustrze w korytarzu widziała odbicie poruszanych przez wieczorną bryzę zasłon przy rozsuwanych drzwiach na taras. Zaczęły opadać jej powieki. Zerknęła jeszcze na stół na metalowych, kutych nogach i obrus. Zamierzała zaprosić przyjaciółkę na kolację kilka dni temu i przygotowała się, ale w ostatniej chwili zdecydowały pójść coś zjeść w restauracji. Widziała teraz stojące na stole kryształły, świecznik - ciężki, srebrny i błyszczący. Taras oświetlały latarnie z ulicy. Odbite światła wielkiego miasta migotały jak garść klejnotów zawieszonych na zasłonach...

Zmęczone mięśnie rozluźniły się wreszcie w gorącej wodzie. Czowała, jak ciepło wyciąga z niej napięcie, jak wolno zapada w drzemkę. Cieszyła się z tego, tęskniła za snem...

Będąc na krawędzi snu, dostrzegła jakiś ruch w odbiciu w lustrze - chmurę zasłaniającą światło księżycy, cień ptaka przelatujący w słoneczny dzień, coś ruszającego się w mrocznym mieszkaniu,

drzenie.

Coś.

Kiedy jeszcze raz się rozejrzała, zobaczyła tylko zasłony poruszane przez wiatr i odbłask światła w świeczniku na szklanym stole.

Patrzyła w lustro. Czekala.

Nietoperz? Bała się nietoperzy. Czy jakiś wleciał z tarasu i teraz przerażony obija się o ściany?

Znowu cień zamigotał w lustrze. Prawie zbyt szybki, by go dostrzec. Kształt jak przelotne spojrzenie zniknął, nie do rozpoznania.

Coś.

Poczuła, że jeżą jej się włosy na karku, pojawia się gęsia skórka. Powoli, nie odrywając wzroku od lustra, podniosła się z wanny, naga i ociekająca wodą sięgnęła po frotowy szlafrok. Wyszła z wanny i otuliła się. Drżały jej kolana, a sutki stwardniały z zimna. Serce miało się jak oszalały nietoperz.

Myślała przez chwilę o zabarykadowaniu się w łazience. Nie, nie, zamknęłaby się sama w pułapce. To samo byłoby w sypialni po drugiej stronie korytarza. Dziecko przedarłoby się przez te cienkie drzwi. I coś mówiło jej, że to nie jest nietoperz... I nie dziecko.

Z mieszkania prowadziły tylko jedne drzwi. Gdyby tylko był w łazience telefon...

Mój Boże, chyba coś wymyśla. To tylko kwestia zszarpanych nerwów, zmartwienia, *assassini*, wyznań, które usłyszała od monsignora Sandanato, obaw o Bena Driskilla, wspomnień o Val i konfrontacji z D'Ambrizzim. To wszystko nerwy.

Wyłączniki światła? Nie, wszystkie są w saloniku... Czy chce włączyć wszystkie światła? Chyba nie?

Wyobraźnia. Cienie? Śmierć?

Przemknęła korytarzem w stronę saloniku. Nie wiedziała, co mogłaby zrobić, by się obronić, ale nie chciała być złapana w pułapkę w mieszkaniu... a kuchnia z wszystkimi nożami znajdowała się po drugiej stronie ciemności.

Salonik wypełniały najróżniejsze cienie: plamy mebli, lamp, roślin w donicach, wszystkie skrywały intruzów. Nic się nie ruszało. Niczego nie słyszała, prócz wiatru na tarasie i cichych odgłosów ulicy. Ale cienie były gęste i ciemne.

Weszła do pokoju, znieruchomiła nasłuchując.

Może lustro ją oszukało. Zasłony nadal poruszały się nieznacznie. Wiał zaskakująco przenikliwy, zimny wiatr.

Z całą pewnością nikogo nie było w pokoju.

Odwróciła się w stronę tarasu. Nic się nie zmieniło. Wszystko sobie tylko wyobraziła. Strach, który zagnieździł się w mózgu...

Podeszła do tarasu, rozsunała drzwi na całą szerokość, usłyszała rosnący hałas dobiegający z ulicy. Odetchnęła z ulgą. Wyszła na zewnątrz. Gdzieś tam, daleko na dole, był coraz większy ruch. Tłumy przepychały się obok siebie. Rzeczywistość. Nie istniał nikt wślizgujący się do jej mieszkania, a rzeczywistością był milion turystów i nocnych marków, bawiących się świetnie do późna. Odwróciła się,

by wejść do środka.

Stał w drzwiach.

Wysoki mężczyzna przyglądał się jej bez ruchu. Trzy metry od niej.

Był ubrany w czarną sutannę, jakich niezliczone tysiące codziennie widuje się w Rzymie. Stał spokojnie, jakby spodziewał się, że to ona coś powie. Jego wargi poruszyły się, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Dlaczego dawał jej czas, dlaczego nie dokończył roboty w saloniku, kiedy stała odwrócona plecami do tarasu, albo gdy leżała bezbronna w wannie? Teraz go widziała.

Zrobił krok w światło i dostrzegła przerażającą biel jego oka. Krzyknęła.

Instynktownie oboje poruszyli się w tej samej chwili.

Podszedł do niej, a ona przesunęła się w bok i chwyciła ze stołu ciężki, srebrny świecznik.

Jego ręka zaplątała się we frotowym materiale. Szarpnęła się, uwolniła od niego i poczuła, że spada z niej szlafrok. Oko wpatrywało się w nią bez zmrużenia. Martwe oko...

Zaskoczony, zdenerwowany jej cichym krzykiem, zmieszany nagością, mężczyzna - ksiądz przestał szarpać Elżbietę i opuścił pręt, którym przygwoździłby ją do poręczy tarasu.

W tej krótkiej chwili przygotowała się na kolejny atak, a kiedy znowu się zbliżył, machnęła świecznikiem obok jego długich ramion ku białemu oku i poczuła, jak srebro uderza o kość.

Wydał z siebie zduszony okrzyk, a ona wychyliwszy się zza stołu uderzyła znowu, wkładając całą energię w cios. Rozrzucił ramiona, biel zniknęła, jego twarz stała się maską w strumieniach krwi. Sięgnął po nią, lecz odepchnęła go, zakołysał się, uderzył o poręcz i odwrócił się ku niej. Zobaczyła, że jego twarz była czerwona jak morze rubinów, wymieszanych ze szkłem jak z fałszywymi diamentami. Miał otwarte usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk...

Odsunęła się jak najdalej od niego i wpatrywała w jego agonię.

Wstał, by jeszcze raz na nią spojrzeć.

Rozłożył ramiona, jakby o coś prosił...

A potem powoli przechylił się przez balustradę.

Patrzyła, jak to robi - z rozłożonymi ramionami, z rozwianą na wietrze sutanną. Powoli obracał się, aż w końcu zobaczyła tylko jedno przerażające oko jak płonący czerwony ogień.

Część czwarta

Ojciec Dunn wciągnął mnie z powrotem w bezpieczne miejsce z taką pewnością siebie, jak gdyby znalazł mnie zwisającego na czubkach palców na jednym z tych śliskich klifów i podał mi rękę.

Widok Dunna idącego przez park, gdzie dzieci bawiły się pod baczny spojrzeniem plotkujących matek, kroczącego nonszlancko, z fajką w zębach, reprezentującego świat zdrowia psychicznego, postawił mnie na nogi, wyzwolił ze skracającej się spirali moich uczuć.

Rozpękłem się jak jajko na marmurowej płycie. Rozpadłem się, uciekłem i już nie dało się tego naprawić. Osobiście doprowadziłem Horstmanna do biednego brata Leona i archiwisty brata Padraica. I to oni zapłacili za moje nierozważne igranie z ich życiem. Byłem tak samo odpowiedzialny za ich śmierć jak za śmierć LeBecq'a, a jednak jakoś udawało mi się uciec przed konsekwencjami swoich głupstw. Wspaniałe życie, ale wszyscy inni umierali.

Doświadczenie w klasztorze Świętego Sykstusa doprowadziło do upokarzającej przemiany, zostawiło mnie zachowującego się jak przerażone zwierzę, błakające się po obryzganym krwią labiryncie. Niepewnego jaką rolę mam grać: myśliwego czy zdobywcy. Myśliwy i ofiara - i tak zginą na końcu. Zawsze znajdzie się jeszcze jeden myśliwy. Moje samopoczucie wahało się między tymi dwiema możliwościami. Na miłość boską! Zgubiłem nawet swój rewolwer. Mój rewolwer. Jakby mógłby mi coś pomóc.

Gdyby Artie Dunn nie zjawił się wtedy, podejrzewam, że na dość długo pograżyłbym się w załamaniu nerwowym. Może nawet bym nie wypłynął. Nie ogarniało mnie coś tak prostego jak żal nad sobą. Tonąłem we własnym pocie, dusząc się od strachu. Nie był to koszmar senny, w którym moja matka wyciągała do mnie ręce i próbowała mi coś powiedzieć, ani myśli o głowie Val z włosami sklejonymi krwią. Doprawdy żaden koszmar nie mógł się równać z rankiem spędzonym przeze mnie na plaży. Do końca życia będę widział brata Leona przybitego do odwróconego krzyża, ze stopami w powietrzu, i fale zalewające jego sine, opuchnięte ciało...

Ale Artie Dunn pojawił się znikąd, dokładnie na brzegu krainy krasnoludków, i zabrał mnie ze sobą.

Pojechaliśmy do Dublina wynajętym przeze mnie samochodem i wróciliśmy samolotem do Paryża. Przez cały czas rozmawialiśmy. Przypominało to trochę program radiowy *Przeskoczysz to?*, którego słuchałem kiedyś pod kołdrą. Otworzyły mi się oczy, gdy wszystkiego wysłuchałem. Po wyjeździe z Princeton wydawało mi się, że jestem zupełnie sam, jak astronauta zostawiony przez wszystkich po ciemnej stronie księżyca. Rozmowy z Dunnem uświadomiły mi, iż reszta świata nadal funkcjonuje.

Chciałem tylko się dowiedzieć, co robił Artie Dunn na tym dzikim wybrzeżu Irlandii?

Pojechał do Paryża, by odnaleźć Robbiego Heywooda. Informacja ta bardzo mnie zaskoczyła. Okazało się, że Dunn znał Heywooda od końca wojny, gdy pracował w Paryżu jako kapelan wojskowy. Dowiedział się o śmierci Heywooda i tak jak ja dotarł do Clive'a Paternostra. Paternoster pewnie musiał

się zastanawiać, kto jeszcze się zjawi po Driskillach. Opowiedział Dunnowi o moim przyjeździe do Paryża, co z kolei zaskoczyło Dunna. A kiedy usłyszał, że wyjechałem do Irlandii i dowiedział się po co, to natychmiast wyruszył na poszukiwanie mnie. Dlaczego? Bo Paternoster powiedział mu, że wiem, iż to Horstmann zabił Robbiego. Opowiedział też o moim zainteresowaniu *assassini*. Dunn założył, że jestem w niebezpieczeństwie, gdyż Horstmann wciąż jest na wolności. Pogratulowałem mu jego umiejętności przewidywania i zapytałem, po co przyjechał do Europy, dlaczego chciał odnaleźć Robbiego Heywooda.

- Postanowiłem poszukać Ericha Kesslera - odparł Dunn. - Myślałem o tym wszystkim i wciąż wracałem do Kesslera. To właśnie on powinien znać odpowiedzi. Kiedy przeczytałem testament D'Ambrizziego - pełen tych cholernych pseudonimów - zrozumiałem, że powinienem odszukać Kesslera, zakładając, iż jeszcze żyje.

Jechaliśmy drogą do Dublina i nagle lunął deszcz. Wycieraczki z trudem zgarniały wodę z przedniej szyby. W radio nadawano koncert muzyki celtyckiej, który wydawał mi się bardziej sensowny niż to, co mówił ojciec Dunn. Kim jest Erich Kessler?

- Poszukiwania Kesslera - ciągnął - należało zacząć od Robbiego Heywooda. On zawsze wszystko o wszystkich wiedział, jeśli chodziło o katolików...

- Ten Kessler jest katolikiem? - spytałem.

- Nie. - Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. - Nic przynajmniej o tym nie wiem...

- Dla mnie to wszystko nie ma sensu.

- I dla mnie ma cholernie mało sensu - przytaknął - ale pracuję nad tym. Wszystkiego się domyślimy wcześniej czy później.

Uśmiechnął się, jakby chcąc dodać mi odwagi, ale jego szare oczy, osadzone jak kamyki w aniołkowej twarzy, były jak zawsze bezlitosne.

- Testament D'Ambrizziego - powiedziałem - i ten Kessler - o czym ty mówisz? Za chwilę stwierdzisz, że wiesz wszystko o Konkordacie Borgiów...

- Do diabła, nie - westchnął. - Mamy wiele białych plam do zapełnienia, Ben.

Skulił się w swym wymiętym prochowcu, nacisnął głębiej oliwkowo-zielony filcowy kapelusz na gęste, siwe brwi, które wyglądały jak przyklejone, jak amatorska próba przebrania.

- Czy mógłbyś coś zrobić z ogrzewaniem w tym gracie? - Zadrżał i zatarł dłonie w rękawiczkach.

- A może opowiesz mi, co działo się z tobą od czasu, gdy wyjechałeś z Princeton? Dzięki temu przyzwyczaję się do prędkości, a ty nie zaśniesz. Wyglądasz tak, jakbyś nie zmrużył oka od kilku tygodni.

Zacząłem mówić. Opowiedziałem mu o poznaniu Klause Richtera i o miejscu na ścianie, które pasowało do fotografii zostawionej mi przez Val w starym bębenku - Richter, LeBecq, D'Ambrizzi i Torricelli. Wspomniałem o Gabrielle LeBecq, jej opowieści o ojcu, zaangażowaniu Richtera w przemysł sztuki, o wieloletnim wzajemnym szantażowaniu się Kościoła i nazistów. Przerwał mi pytaniem zadany ostrym tonem.

- A kto jest teraz kontaktem w Watykanie?

- Nie wiem - odparłem. Zauważyłem z całą pewnością, że zadał mi to pytanie bez najmniejszego

wahania.

Opowiedziałem mu o podróży do klasztoru na pustyni i o rozmowie z opatem, który zidentyfikował dla mnie Horstmanna. Wyjaśniłem, że Horstmann spędził kilka lat w Piekło, otrzymał rozkazy z Rzymu, co łączyło Rzym i Horstmann z zamordowaniem mojej siostry. I opowiedziałem mu o samobójstwie popełnionym na pustyni przez ojca Gabrielle, brata ojca LeBecqa, biednego drania zapędzonego przeze mnie prosto w śmierć, który strasznie bał się, że to Rzym mnie wysłał, by go zabić. Opisałem, jak wspólnie z Gabrielle przeczytaliśmy jego dziennik i znaleźliśmy strach wypisany łzami i krwią, pseudonimy... i całą resztę.

Co się z nami stanie? Gdzie będzie koniec? W piekle!

Pseudonimy. Simon. Gregory. Paul. Christos. Arcyksiążę!

Mężczyźni na zdjęciu. Richter i D'Ambrizzi żyją. Czy to zdjęcie wystarczyłoby, by zmniejszyć szansę D'Ambrizziego w wyścigu po papieżstwo? Czym oni wtedy się zajmowali? I kto zrobił tę fotografię?

Słuchał uważnie. Omówiłem podróż do Paryża, jak „zdążyłem” na pogrzeb Heywooda i co przeczytałem w papierach Torricelliego o Simonie, *assassini* i „ohydny spisku”, cokolwiek to było, i jak Paternoster powiedział mi o Leonie, bo Leon był jednym z nich. Szedłem dokładnie śladami Val, dowiadywałem się tego samego, co ona.

- Co właśnie sprawia, iż nadajesz się już tylko do likwidacji - stwierdził ponuro. - Dobrze, że odnalazłem cię w porę. Potrzebujesz obrońcy, mój synu.

- Dzisiejszego ranka potrzebowałem cię.

- Na coś takiego jestem za stary. Wkrótce zrozumiesz, że jestem za subtelny na podobne rzeczy. Pojawię się przy tobie, kiedy *naprawdę* będziesz mnie potrzebował i zostaniesz sam. Masz to jak w banku. - Ziewnął. - Całkiem tajemnicza historia. Szkoda, że Leon nie zdążył ci powiedzieć, kim naprawdę był Simon. Bardzo by nam to pomogło - - mogłoby nas doprowadzić do Arcyksięcia.

Ale - zastanawiał się - pewnie oni wszyscy już od dawna nie żyją... - Odchrząknął, jakby miał chore gardło.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że ktoś z nich kłamie? To jest problem. Po prostu nie wiemy, kto to jest... Ktoś wszystko wie, o Simonie i reszcie, ale okłamuje nas...

- Mylisz się ojczu - odparłem. - Oni wszyscy są katolikami i wszyscy kłamią. Ale każdy z nich bez wątpienia kłamie o swoim małym grzeszku, kłamie w swoim własnym interesie. Tacy są katolicy i tyle.

- Ale ja też jestem katolikiem - stwierdził.

- Nigdy o tym nie zapominam, Artie.

- Cóż, jesteś impertynentem.

- Rozumiem katolików, nie patrzę na nich przez różowe okulary. Sam kiedyś byłem katolikiem...

- I wciąż nim jesteś, drogi chłopcze. Gdzieś tam, w głębi duszy, nadal należysz do stada. Jeden z nas. Zawsze tak będzie. - Wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu. - Przechodzisz tylko nieistotny kryzys wiary. Nie ma się czym martwić.

- Nieistotny dwudziestopięcioletni kryzys - zachnąłem się. Ojciec Dunn roześmiał się i zaczął kichać. Sięgnął po chusteczkę.

- Nie złość się. Jeszcze masz mnóstwo czasu, by zostać zbawionym. A teraz, zanim zacznę moją opowieść, czy wspomniałeś coś o Borgiach?

Wyjaśniłem mu, że to brat Leon opowiedział mi o tym szczególnym dokumencie, który był czymś w rodzaju historii *assassini*. Nazwiska, miejsca, krwawy ślad prowadzący przez kilkaset lat istnienia Kościoła.

Kiedy skończyłem, pokiwał głową.

- Mnie się to wydaje trochę zbyt teatralne. Prawdopodobnie jest to dziewiętnastowieczny falsyfikat, przygotowany, aby kogoś przekonać do zrobienia czegoś okropnego.

Zbliżaliśmy się do lotniska. Deszcz przestał padać, a odrzutowce wydawały się przesuwac tuż nad naszymi głowami.

- Chociaż to zgadza się z moimi informacjami.

- Wiesz coś o Konkordacie?

- Przeczytałem o nim w testamencie D'Ambrizziego. Przynajmniej ja tak to nazywam - jego „testamentem”. Czy nie brzmi zbyt patetycznie?

- Co to jest?

- To coś, co D'Ambrizzi pisał w gabinecie twojego ojca, kiedy chcieliście z Val, by się z wami pobawił. - Wskazał ręką parking firmy wynajmującej samochody, gdzie moglibyśmy zwrócić nasz pojazd. - Wsiądźmy do samolotu do Paryża, napijmy się czegoś, a wszystko ci opowiem.

- A co ty, u diabła, o tym wiesz?

- Spokojnie, Ben - obrzucił mnie zniecierpliwionym spojrzeniem. - Czytałem to.

- Ty... czytałeś. - Siedziałem nie ruszając się z miejsca i wpatrywałem się w niego.

Nadażyć za Artie Dunnem. To było naprawdę trudne.

D'Ambrizzi - zamknięty w gabinecie tego lata i jesienią 1945, kiedy z Val biegaliśmy za oknami i robiliśmy miny, próbując bezskutecznie wyciągnąć go na zewnątrz - miał osobiste powody, by zmusić się do podróży w głąb własnej osobowości. Może pragnął oczyścić sumienie ze spraw, o których chciałby nie wiedzieć, a których nie potrafił zapomnieć. Bez względu na przyczyny czuł się zmuszony do opisanie wszystkiego, co widział w Paryżu w czasie wojny. Działal w mglistej przestrzeni między Kościołem, nazistami a ruchem oporu: naprawdę nie było wyboru ani ucieczki. Jako pracownik biskupa Torricelliego obserwował wszystko, co się działo i zupełnie nie wiedział, jak dalej postąpić. Dlatego spisał to w domu swego amerykańskiego przyjaciela - ale co, u diabła, robił w Princeton z Hughem Driskillem, swoim kumplem i zbawcą? - a potem zniknął. Pewnego ranka już go nie było, a Val i ja zaczęliśmy się zastanawiać, co się stało. Teraz dowiedziałem się, że jeszcze zdążył oddać rękopis staremu proboszczowi w kościele w New Prudence, gdzie przeleżał zapomniany czterdzieści lat. Podjął wysiłek napisania go, a następnie ukrycia, po czym prawdopodobnie o nim zapomniał. O co chodziło? Dlaczego nie mogłem tego zrozumieć? Ciągle dowiadywałem się czegoś, co nie podsuwało mi żadnych odpowiedzi. Teraz doszło

coś nowego - opowieść D'Ambrizziego w jego testamencie - ale wywołało to tylko nowe pytania.

Monsignor D'Ambrizzi już wspinał się po drabinie watykańskiej kariery, gdy papież Pius wysłał go do biskupa Torricelliego, urządzonego w Paryżu, aby został łącznikiem między Kurią a Rzymem. Pod niemiecką okupacją pojawił się nowy rodzaj odpowiedzialności. Zachowanie pokoju między siłami Torricelliego w Paryżu a nazistami stanowiło ciężką próbę dla dyplomatycznych zdolności D'Ambrizziego. Pracował nad tym bardzo ciężko, aż pewnego dnia stało się to jeszcze trudniejsze.

Przyjechał z Rzymu ksiądz z misją od papieża. Miał zostać osobistym pełnomocnikiem Torricelliego, ale zadanie było otoczone największą tajemnicą, z jaką D'Ambrizzi spotkał się kiedykolwiek. Został wciągnięty w całą sprawę tylko dlatego, że Torricelli nie wiedział co robić i czuł się przerażony słowami nowego księdza. Z tego powodu zwrócił się w całkowitym zaufaniu do D'Ambrizziego.

Nowy ksiądz - który w pamiętniku D'Ambrizziego występował pod pseudonimem *Simon* - przywiózł z Watykanu dokument, mający mu ułatwić nadanie wagi przedsięwzięciu. List dołączony do dokumentu wyjaśniał, że jest to tajny historyczny rejestr *assassini* Kościoła - zaufanych zabójców, wykorzystywanych przez papieży od stuleci, chyba od Odrodzenia. Dokument znano pod nazwą nadaną mu w czasach, gdy z jednej z najznamienitszych rodzin włoskich wyłonił się papież i potwierdził związki z kadrą zabójców rekrutujących się z kręgów kościelnych i z zewnątrz. Konkordat Borgiów... był swoistą wydawaną przez papieży licencją na zabijanie dla dobra kościoła. Wymieniono w nim wiele nazwisk dawnych *assassini*, nazwy klasztorów, gdzie mogli się schronić w czasie kryzysów, w których niewątpliwie grali niepoślednią rolę. Ostatnie daty pochodziły z lat dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku, kiedy Kościół był zajęty sprzymierzaniem się z Mussolinim i służeniem za jeden z głównych ośrodków szpiegostwa i zbierania dla włoskich faszystów informacji z całego świata.

W owym liście z papieską pieczęcią znajdowały się instrukcje dla Torricelliego, nakazujące odtworzenie kadry *assassini* i wykorzystanie ich do podtrzymania dobrych stosunków przede wszystkim z nazistami, a także z ruchem oporu. *Assassini* mieli również służyć jako pożyteczne narzędzie w zgarnianiu określonego łupu - skarbów różnego rodzaju, dzieł sztuki, obrazów i tak dalej - dla Kościoła w zamian za usługi wyświadczone okupantom.

D'Ambrizzi opisał nerwową uległość Torricelliego, gdy Simon wyjaśniał im obu swoją misję. Przyglądał się, w jaki sposób Simon rekrutował *assassini* i jak coraz bardziej brzydzili go Niemcy, jak ich przeklinał, jak uświadomił sobie sympatię papieża Piusa do nazistów, jego wrogość wobec Żydów i innych ofiar hitleryzmu oraz powody odmowy wypowiedzenia się z całą siłą moralną powierzonej im misji przeciwko szatańskiej tyranii niszczącej ludzkość. Jak było do przewidzenia, Simon przejął kontrolę nad *assassini*, gdy tymczasem Torricelli z ulgą mógł tego nie zauważyć. Simon uciął wszelkie kontakty między *assassini* a Torricellim. Tak postępując zerwał kontakty między *assassini* a Piusem, między *assassini* a Kościołem. Księża, mnisi i świeccy, którzy podjęli się działania dla dobra Kościoła - stali się prywatną armią Simona, wykorzystywaną tak jak on uważał za słuszne.

To właśnie wtedy Simon Verginius zmienił ich w wyszkoloną grupę antynazistowską, bardzo rzadko wykonującą zlecenia Niemców. Zamiast wypełniać swe podstawowe cele, *assassini* zaczęli

zabijać sympatyków nazistów i ich informatorów wśród kleru, ukrywać Żydów i partyzantów z ruchu oporu w klasztorach i zakonach.

Kiedy naziści zwrócili się do biskupa Torricelliego z bezpośrednim rozkazem wypowiedzianym z typową dla nich złowieszczą słodyczą by zabito księdza, który sprawiał siłom okupacyjnym spore kłopoty, doszło do otwartego konfliktu między Simonem a Torricellim. Torricelli musiał sam przed sobą przyznać, że Simon pracował i spiskował przeciw niemu i wbrew rozkazom Kościoła. Właśnie w tym samym czasie biskup dowiedział się jakoś, że Simon planuje zabójstwo bardzo ważnej osoby. Istniał tylko jeden sposób, w jaki Torricelli mógł odkryć spisek. Przynajmniej tak uważał Simon. Wśród *assassini* musiał być zdrajca: ktoś, komu zaufali, a on ich zdradził.

Simon próbował przeprowadzić przygotowaną akcję. Nie miał wyboru: czas zaplanowano precyzyjnie, zabójstwa nie można było opóźnić. Ten człowiek przyjeżdżał do Paryża specjalnym pociągiem. Trasa wiodła przez Alpy. Wszystko zostało przygotowane. Tak się stało, że Niemcy zostali ostrzeżeni i też byli gotowi. Opowieść D'Ambrizziego o porażce przy próbie zabójstwa nie obfitowała w szczegóły. Kilku członków zespołu Simona zabito, inni uciekli do Paryża. Tam Simon rozpoczął poszukiwania zdrajcy.

Toricelli żarliwie przekonywał go, że nie mógłby postąpić tak podle, bez względu na to, jak bardzo był przeciwny spiskowi. W końcu Simon wysledził zdrajcę - okazał się nim ksiądz LeBecq, o którym opowiadał mi brat Leon, wspominając to, co się stało na mroźnym cmentarzu - i zabił go. Wtedy też rozwiązał grupę *assassini*, bo - jak pisał D'Ambrizzi - doszły ich słuchy, że wysłano z Rzymu śledczego. Według D'Ambrizziego ostatnią czynnością Simona jako przywódcy *assassini* było wysłanie jednego lub dwóch swoich ludzi na północ do Irlandii, do klasztoru pod wezwaniem Świętego Sykstusa, z Konkordatem Borgiów.

* * *

Po obiedzie piliśmy koniak w kabinie pierwszej klasy samolotu Jumbo jet 727, gdy ojciec **Dunn** dotarł właśnie w swojej opowieści do tego miejsca niezwykłego pamiątnika D'Ambrizziego. Dwa pytania dręczyły mnie cały czas, zalane powodzią faktów, które wydawały się z pozoru potwierdzać wszystko, o czym mówił brat **Leon**.

Kto był w tym pociągu? Czyje życie uratował zdrajca Christos - czy inaczej, jak wiedziałem - ojciec Guy LeBecq?

Po wtóre, musiałem się zastanowić, dlaczego D'Ambrizzi przelał całą historię na papier. Gdyby to zrobił ktoś inny, ciekawiłoby mnie pewnie bardziej, skąd on tyle wie o *assassini*. D'Ambrizzi jednak tak bardzo się wtedy angażował, taki był czujny, a zatem mogłem założyć, że mógł wiedzieć. Ale co to za pomysł spisania wszystkiego i zostawienia gdzieś za sobą?

Zaskoczyło mnie, że w ogóle istnieje taki testament, ale musiałem przyznać, że zbyt wiele ta informacja nie wniosła do opowieści brata Leona ani tego, czego dowiedziałem się od Gabrielle LeBecq. Nie chciałem oczywiście zmniejszać wagi rewelacji ojca Dunna, ale taka była prawda. Naprawdę nowy okazał się dla mnie fakt, że D'Ambrizzi mógł obserwować realizację spisku Piusa wyłącznie do akcji

assassini.

Dunn przywołał mnie do rzeczywistości, podniósł głowę i rzucił mi jedno ze swych długich spojrzeń spod zmarszczonych brwi.

- Słuchaj no, rozkoszniaczku. Czy ci już mówiłem, że jestem wykończony?

D'Ambrizzi obserwował wszystko dokoła i czekał do końca dramatu granego przez nazistów i Watykan przeciwko renegatom *assassini*. Wiosna przeszła w lato 1944, a w sierpniu Paryż wyzwolili alianci. Niemieccy okupanci odeszli, choć koniec wojny pozostawał odległy. Życie w mieście było nieustabilizowane. Brakowało podstawowych artykułów i całe społeczeństwo ogarnęła fala zwątpienia i goryczy. Ci, którzy wcześniej kolaborowali z okupantem, żyli w nieustannym lęku przed grupami mścicieli. Zbrodnia zawładnęła Paryżem i nie została usunięta, aż wykonano pracę. W takiej właśnie atmosferze człowiek Watykanu prowadził śledztwo zamordowania ojca Guya LeBecq'a, nieposłuszeństwa armii zabójców Simona, próby zamordowania człowieka w pociągu - tak, w sprawie sposobu, w jaki *assassini* zdradzili misję powierzoną im przez Ojca Świętego.

Śledczy z Watykanu przybył w przebraniu i porozumiał się tylko z biskupem Torricellim (który musiał najwyraźniej zwierzyć się D'Ambrizziemu). Był twardogłowym, bezwzględny monsignorem, znanym - jak napisał D'Ambrizzi - pod pseudonimem „Zbieracz” prawdopodobnie z powodu swej policyjnej mentalności i zaciekłości w zbieraniu dowodów. Zdaniem D'Ambrizziego Zbieracz niczym nie różnił się od *assassini*, poza tym że reprezentował niezadowolenie Ojca Świętego wywołane ich odmową służenia nazistom. Pogarda i obrzydzenie, z jakimi traktował Zbieracza w swoim pamiętniku D'Ambrizzi, były najwyraźniej głęboko odczuwalne. Właśnie tak powiedział mi Dunn, który czytał ten dokument.

Kilka miesięcy Zbieracz rozmawiał ze wszystkimi, którzy znali ojca LeBecq'a, zadawał pytania otwarcie lub w tajemnicy, dokopał się prawdy w piekielnym światku tych, którzy wiedzieli lub mogli wiedzieć o *assassini* i planie zabicia człowieka w pociągu.

Simon okazał się być twardym orzechem do zgryzienia. Odmawiał przyznania się, że wiedział cokolwiek o spisku czy o organizowaniu odejścia od wykonywania rozkazów Watykanu, dotyczących współpracy z nazistami w czasie okupacji. Zbieracz naciskał i D'Ambrizzi już wyobrażał sobie, jak zaciska pętlę wokół szyi Simona. Ojciec Święty nie miał zamiaru zrezygnować ani odwołać Zbieracza.

Sam D'Ambrizzi, ponieważ tyle wiedział o działalności *assassini* dzięki współpracy z Torricellim, nie umknął uwadze Zbieracza. Wielokrotnie był wzywany na sesje, które trwały nierzadko i po sześć godzin, i opowiadał raz jeszcze z wszystkimi szczegółami o latach spędzonych w Paryżu. Późną wiosną 1945 D'Ambrizzi zrozumiał, że Zbieracz znalazł się pod stale narastającą presją ze strony Watykanu - Ojca Świętego, by odnaleźć zabójcę LeBecq'a, jak i tych, którzy zaplanowali zamordowanie człowieka z pociągu. Musiał znaleźć kozła ofiarnego, kogoś, kogo będzie można zrobić, jeśli zaistnieje konieczność. Wtedy pozostawałaby tylko podróż do Rzymu, na nie wiadomo jaki los.

Simon po prostu zniknął, jakby za sprawą czarów, jak obłoczek dymu. Najlepszy trick prestidigitatora. D'Ambrizzi już nigdy go nie spotkał.

Osaczony Zbieracz zaczął rzucać długie wyglądnięte spojrzenia na samego biskupa Torricelliego, który został przecież zobowiązany przez Ojca Świętego do kierowania *assassini*, kiedy Simon przyjechał

z Rzymu. D'Ambrizzi wiedział, że biskup jest starym wygą watykańskim, sprytnym i podejrzliwym, o prawie nadludzkich umiejętnościach chronienia się w skorupie i przeczekania bez uszczerbku każdej burzy. I nie martwił się zbytnio, jak ocalić siebie, czy kto zapłaci cenę.

Kiedy Torricelli zaczął się rozglądać wokół, by znaleźć kozła ofiarnego, którego powinno się poświęcić, chcąc zaspokoić nalegające wołanie z Rzymu, jakie słyszał Zbieracz, D'Ambrizzi uświadomił sobie, że biskup jest skłonny widzieć w tej roli swego wiernego adiutanta... Kto był jego powiernikiem, komu tyle razy zwierzył się ze swych obaw wywołanych wykorzystaniem *assassini* wbrew życzeniom Watykanu? D'Ambrizzi - idealna ofiara.

Dlatego D'Ambrizzi musiał wykonać swój ruch, zanim Torricelli mógł go oddać w ręce Zbieracza.

Zwrócił się do amerykańskiego oficera kontrwywiadu. Był to wieczór dnia, w którym otrzymał wezwanie do powrotu do Rzymu po nowe „zadania”. To jakby wezwano go do Moskwy - stwierdził w swym pamiętniku. Mądry człowiek powiedział, co zrobić. Amerykanin przyjaźnił się z nim od dawna: często przyjeżdżał do Paryża w czasie okupacji. Był człowiekiem godnym zaufania, miał też dobre koneksje. Przy jego pomocy - D'Ambrizzi dostał trochę szczegółów - mógł zniknąć, uciec z zasadzki zastawionej przez Zbieracza. Zniknął jak Simon, gdy Zbieracz węszył niczym pies myśliwski, przez krótką chwilę bezradny, ale jeszcze nie gotowy się pogodzić z porażką.

Amerykański przyjaciel D'Ambrizziego wy dostał go z powojennej Europy, załatwiając mu tożsamość zmarłego księdza, i zabrał go do Princeton w New Jersey.

Jego amerykańskim przyjacielem był oczywiście Hugh Driskill.

A w Princeton monsignor D'Ambrizzi zasiadł, by spisać swoją historię.

Ojciec Dunn skończył opowieść D'Ambrizziego. Próbowałem ją przemyśleć, starając się ustalić, czy dodawała coś nowego, poza interesującym uzupełnieniem, do tego co już wiem. Historia skręcała i wymykała się z mojej ręki jak przestraszona żywa istota, jakby wciąż próbowała omamić mnie i wprowadzić w błąd, pragnąc, by wszystko pozostało tajemnicą.

Stało się oczywiste, że kardynał D'Ambrizzi zna wiele odpowiedzi. Czy można było zmusić go do grzebania w przeszłości - szczególnie w okresie, w którym Kościół wykorzystywał grupę zabójców do pomocy nazistom - i ożywienia jej, przywołując prawdziwe nazwiska, a nie pseudonimy? To dopiero piekielne zadanie!

Uderzyło mnie, że teraz z dwóch niezależnych źródeł - mogliśmy uznać, że nawet z trzech, gdyby uwzględnić opowieść z drugiej ręki, opowieść Gabrielle - znaliśmy historię o Paryżu, którą Kościół z pewnością wolałby zachować w tajemnicy. A Val wszystko odkryła.

Czy było coś jeszcze? Czy to wystarczyło, by zabić i umrzeć?

A kim byli ci ludzie?

Zbieracz?

Człowiek w pociągu?

Co naprawdę stało się z Simonem?

I dlaczego nigdzie żadnej wzmianki o najbardziej tajemniczej postaci z nich wszystkich... Arcyksięciu? Był na tyle ważny dla Etienne LeBecqa by postawić wykrzyknik przy jego nazwisku... Również dość ważny dla Torricelliego, który zwrócił się do niego w chwili największego kryzysu...

D'Ambrizzi tak niewiele pominął. A jednak nie wspominał nawet o tajemniczej postaci...

Arcyksiężę.

Paryż nagle rozbłysł światłami gdzieś daleko w dole, a my zaczęliśmy szybko spływać ku niemu.

Następnego ranka znaleźliśmy kawiarenkę na powietrzu blisko Notre Dame. Usiedliśmy w trzcinowych fotelikach przy stoliku ze szklanym blatem. Nad nami furkotała markiza z reklamą Cinzano. Było słonecznie i ciepło jak na połowę listopada, ale ten dzień wydawał się grozić jakimś niebezpieczeństwem, jakby odzwierciedlając nasze położenie. Wysoko białe chmury, przyklejające się do siebie, zbijające w jedną całość, wyglądały jak szczyty gór zza wielkiej katedry. Blask słońca wydobył z cienia pyski szczerzące się na dachu do reszty świata.

Na śniadanie zjedliśmy omlety z masłem, serem i ziołami. Kawa z mlekiem była mocna i słodka. Usiadłem wygodnie, by przyjrzeć się tej spokojnej scenie, a ojciec Dunn od czasu do czasu pomrukiwał zza porannego wydania *Herold Tribune*. Byłem zadowolony ze spokojnego poranka - jakby odroczenia wyroku. Nie mogłem uwierzyć, że poprzedniego dnia, mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu, wpatrywałem się bez tchu i z przerażeniem w martwą postać brata Leona ukrzyżowaną na piasku i wzywającą mnie, machającą do mnie ręką. Uciekałem, ratując życie, od wroga - prawdziwego czy urojonego - tuż za moimi plecami. Na tę myśl, która zjawiała się w nocy jak bestia wychylająca się z nory, krew zaczynała mi się ścinać w żyłach, serce przestawało bić.

W końcu ojciec Dunn przestał czytać i dokładnie zwinął gazetę. Wydmuchał nos.

- Moje przeziębienie się pogarsza, a teraz jeszcze zaczęło mnie boleć gardło. Dobrze spałeś?

- Lepiej niż poprzedniej nocy. Jeśli nie zejdem na zapalenie płuc, to będzie cud.

- Spróbuj tego.

Wyciągnął do mnie pudełko z malinowymi pastylkami. Wrzuciłem jedną do ust. Prawdopodobnie nie było to najlepsze połączenie z kawą z mlekiem.

- Kim jest Erich Kessler?

Ranek minął, gdy tak siedzieliśmy spokojnie. Wiatr od Sekwany wiał coraz mocniej, stawał się zimniejszy i ostrzejszy. Dunn przyglądał mi się znad filizanki.

- Dlaczego jest taki ważny? - spytałem.

- Ach, Erich Kessler... to zawsze był tajemniczy człowiek. Znał sekrety, zachowywał sekrety, sam stał się sekretem. W czasie drugiej wojny światowej był małym geniuszem niemieckiego wywiadu.

Nie spodziewałem się czegoś takiego, ale tak naprawdę to czego oczekiwałem? W jaki sposób pasuje do łamigłówek?

- Nazista?

- Och, nie mam pojęcia. Z pewnością. Najbardziej lojalny wobec siebie, zawsze. Ale to on był cudownym dzieckiem organizacji, która później stała się znana, gdzie tylko zbierały się duchy, jako

Gehlen Org. Osobisty protegowany generała Reinharda Gehlena - mistrza szpiegów. - Popatrzył na mnie i pozwolił mi przetrwać tę informację. - Gehlen służył Hitlerowi, BSS, CIA, Republice Federalnej Niemiec. Bardzo sprytny, chytry, oportunistyczny facet - Kessler dobrze nauczył się lekcji. - Dunn zamachał do kelnera, by przyniósł nam więcej kawy, a potem grzał dłonie o filiżankę.

- Co się z nim stało?

- Cóż, był typem kogoś, kto zawsze spada na cztery łapy, to jest pewne. Jak Gehlen, Kessler przewidział, że wojna zbliża się ku końcowi. Zobaczył to czarno na białym - na mapach i na wykresach przeciwnika, ocenach siły armii, danych o wysokości wydobycia ropy naftowej. Dostrzegł to już w 1942 roku, kiedy Ameryka jeszcze nie miała bladego pojęcia o Pearl Harbor. Od 1942 już wiedział, że ta wojna nie była niczym innym jak podnoszeniem ego Hitlera... Pomnikiem psychopatologii. Cóż, Erich był pewien jednej rzeczy - nie weźmie udziału w wielkim finiszu Hitlera. Zrobił więc wszystko, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Jego doświadczenie agenta wywiadu pozwoliło mu przetrwać nadchodzącą apokalipsę...

Pracując z absolutnym sprytem i niezwykłą dyskrecją, zaaranżował kontakt z siatkami kontrwywiadu aliantów we Francji i Szwajcarii. Postanowił nie zwracać się do Brytyjczyków, ani do Francuzów, którzy traktowali wojnę z Hitlerem zbyt poważnie i mogli być całkiem nieprzyjemni dla kogoś takiego jak on. Wybrał Amerykanów. Przez starego przyjaciela z dzieciństwa dotarł do agenta BSS, jednego z kowbojów Dzikiego Billa Donovana, jak nazywał ich Gehlen. Człowiek BSS zaakceptował propozycję Kesslera i został jego oficerem kontaktowym.

Od 1943 Kessler pracował dla Amerykanów, dostarczał sprzymierzonym informacji o możliwościach i działaniach niemieckiego wywiadu; a co nawet bardziej interesujące, gdy wojna zbliżała się do swego nieuniknionego końca, stał się ekspertem od Rosjan, którzy tak naprawdę byli bardzo tajemniczy w kontaktach z aliantami: amerykański kontakt Kesslera już w 1943 wiedział, że to pieprzone komuchy są prawdziwym wrogiem, wiedział, że świat po wojnie będzie potrzebował pełnych danych wywiadowczych o Wschodzie. Dlatego Kessler spędził dużo czasu w trakcie wojny pracując na swoją przyszłość, tak jak Gehlen sam stał się po wojnie najważniejszym ekspertem wywiadu od Rosjan i pracował gorliwie dla CIA.

Wojna się skończyła, a Kessler został supertajnym agentem amerykańskim, swobodnie poruszającym się po Europie. To, co go odróżniało od innych niemieckich agentów wyszukiwanych i zapędzanych do pracy przez zwycięzców, to była dziedzina jego niezwykłej wiedzy: Kościół katolicki. Wierzono powszechnie, że wiedział najwięcej o działalności Kościoła w czasie drugiej wojny światowej. Jego akta o Kościele, nazywane w niektórych kręgach Kodeksem Kesslera - prawdopodobnie dlatego, że brzmiało to tak jak w filmie - były powodem poważnego napięcia między Watykanem a Amerykanami. Kessler przechowywał je w sejfie w szwajcarskim banku, starannie sfilmowane i przeszmyglowane do Zurychu w damskiej bieliźnie przez komiwojażera. Tam pozostawały przez kilka lat, aż zdecydował się wystawić je na licytację. Oczywiście Kościół był najwyżej przebijającym uczestnikiem aukcji: *musieli* je przecież mieć, gdy Amerykanie tylko chcieli.

Wkrótce potem, gdy Watykan uzyskał akta, maserati Kesslera spadło w przepaść przy Grand

Corniche między Niceą a Monako. Cudem uratował życie. Kto próbował go zabić? Watykan, który chciał sobie zapewnić jego wieczne milczenie? Czy faceci z CIA, którzy już go całkiem wykorzystali, a byli na niego wkurzeni, że sprzedał akta Watykanowi? Kessler nie miał pewności. Naprawdę głęboko żałował, że nie zrobił dla siebie kopii Kodeksu - czegoś w rodzaju zabezpieczenia. Gdy myślał o tym później, bardzo chciał sobie samemu dokopać. Ironiczne było to, że nie mógł naprawić błędu.

Po „wypadku” samochodowym już do końca życia miał pozostać przykutym do wózka inwalidą. Spędził ponad rok we francuskim szpitalu. Potem wyjechał do Brazylii, próbując ukryć się w Rio, potem do Buenos Aires, gdzie jednak mieszkało zbyt wielu starych hitlerowców. Nieskończenie przygnębiały go rozmowy o Czwartej Rzeszy i o ponownym nadejściu teutońskich rycerzy. Stamtąd wyruszył do Brisbane w Australii, ale czuł się tam, tak jak na Księżycu. Potem przyszedł czas na Japonię.

Chronił się. Za każdym razem, gdy się przenośił, wydawał się zanurzać coraz głębiej w mgłę przeszłości, stając się coraz bardziej legendą, kolorowym wspomnieniem, tracąc poczucie czasu. Ale wciąż żyli ludzie, którzy chcieli go postawić pod ścianą i zastrzelić. Nawet jeśli zgubili jego ślad, obiecywali szukać go do skutku. Może wierzyli, że opowieści o ich determinacji, by go odnaleźć i uciszyć spowodują, iż na zawsze schowa się w norze...

- Natknąłem się na niego po wojnie, w Paryżu - powiedział Dunn, wkładając kolejną malinową pastylkę na język. Owinął szyję szczelniej szalikiem i dokładniej otulił się dwurzędowym prochowcem. Chmury już prawie zasłoniły poranne słońce. Nagle Notre Dame zaczęła wyglądać ponuro i nie tak strzeliście. - Trudno było uniknąć takiego spotkania. Pozostał wszechobecny. Usiedliśmy, wypiliśmy kilka drinków. Zaintrygował mnie. Miał interesujące podejście do wojny, chociaż należało złożyć maleńkie skrawki łamigłówek, by zobaczyć jakiś obraz. Polubił mnie, takiego niekonwencjonalnego księdza, takiego sprytnutkiego dzieciaka. Musiałem mu się wydawać facetem, który nie traktuje postawy Watykanu zbyt poważnie. I nie obawiam się tego powiedzieć - mógłbyś sądzić - że go bawiłem. A nie pochlebiam sobie, by myśleć, że staliśmy się równorzędnymi partnerami... To była gra Ericha. Oskubał mnie w kwestiach Kościoła do czysta jak indyka na Boże Narodzenie. W końcu straciłem go z oczu. Ale okazał się takim typem faceta, którego trudno zapomnieć... Utkwił w pamięci, dlatego chwyciłem informacje o nim. Był w końcu szczególnym celem zainteresowania katolików. Ostatnia wiadomość, jaką o nim usłyszałem, to ta, że wraca do Europy... A potem przeczytałem rękopis D'Ambrizziego, cały materiał o *assassini*, gorący materiał, dla odzyskania którego Kościół z całą pewnością by zabił, gdyby pozwoliło to na zachowanie tajemnicy; i wtedy zacząłem układać historyjkę: Val, Lockhardt i Heffernan nie żyją, ksiądz jest zabójcą, przynajmniej o ile możemy tak twierdzić... Doprawdy nie wymagało to mózgu geniusza, by dodać dwa do dwóch, ale to co mnie zatrzymało w dodawaniu to ogromna przepaść czasu dzieląca dwie całkowicie różne epoki - czterdzieści lat. A jedyną osobą, z którą chciałbym porozmawiać o starych czasach, jest Erich Kessler. Wiedział prawie o wszystkim, nie był księdzem, nie był katolikiem, nie musiał dochować tajemnicy... W gruncie rzeczy miałby cholernie dobry powód, by to wszystko wywalić na wierzch, jeśli wierzył, że przez nich został kaleką, bo próbowali go zabić.

- Ale jak, u diabła, miałbym go znaleźć?

- Cóż, słyszałem plotki o powrocie Kesslera do Europy, o pogarszaniu się jego zdrowia. Czy to

prawda? A może raczej coś w rodzaju kampanii dezinformacji? To, muszę przyznać, byłoby bardzo do niego podobne. I wyobraziłem sobie, że Wikary, Robbie Heywood, musiał mieć kontakt z Kesslerem. Przyjechałem więc do Paryża i przeżyłem piekielny szok... Książdz-zabójca wykończył Wikarego... a ty... a ty byłeś tam przede mną. Mogłeś wtedy mnie znokautować chusteczką do nosa. Sytuacja pogarszała się. Już nie było ucieczki przed zbrodnią... ale Bóg w swej nieskończonej mądrości ocalił starego Clive'a Paternostra, który wiedział prawie tyle, co Robbie. Wysłałem Clive'a w pogoń za Kesslerem a sam pojechałem poszukać ciebie. Chłopcze, nigdy w życiu tak się nie bałem - wiedziałem po prostu, że w Irlandii znajdę twoje zakrwawione zwłoki...

Zaczął padać deszcz. Słoneczny dzień stał się tylko złudzeniem, nie dotrzymał obietnicy. Rzeczywistość zasłoniła Paryż jak przykrycie klatkę ptaka. Miasto z każdą chwilą stawało się coraz bardziej ciemne i ponure.

Spacerowaliśmy wzdłuż Sekwany. Zatrzymywaliśmy się, by na straganach na świeżym powietrzu przewertować stare książki z pozaginanymi rogami, druki i reprodukcje. Deszcz moczył pomarańczowe i brązowe liście, marszczył powierzchnię rzeki.

Czekaliśmy.

Weszliśmy do jakiegoś anonimowego baru na frytki, a za nimi poszły *croque-monsieur* i piwa Fischer. W płataninie wąskich uliczek za ogromną księgarnią Gilbert Jeune obsługującą studentów Sorbony, stanęliśmy na chwilę, by pogapić się na wystawę sklepu z zabawkami. Na środku leżało coś, co przypominało policyjny rewolwer Smith & Wesson. Pamiętam, że pomyślałem, jak prawdziwie wygląda, zupełnie nie jak zabawka. Prawie można było przez szybę poczuć zapach pokostu, czy czego tam oni używają do konserwowania broni.

Dunn wskazał na zabawkę.

- Nie do wiary, prawda? Z czymś takim można by obrabować bank.

- Chyba tak, Dillinger uciekł z więzienia Greencastle w Indianie z pistoletem, który wystrugał z drewna i pomazał pastą do butów. Ludzie uwierzą we wszystko.

- Tak, jestem pewien, że tak.

- Oczywiście, że uwierzą - powiedziałem. - Nie miałbyś pracy, ojcze, gdyby było inaczej. Kościół to udowadnia.

- Jesteś wstrętnym draniem, Ben.

- Mówisz tak jak mój ojciec. I odpowiem ci to samo co jemu. Wiem, co mówię.

- Powiedziałeś mi, że zgubiłeś swój pistolet, tam, na północy. Pokiwałem głową.

- To jest śliska sprawa.

- Wiem. Ludzie kłamią. Wszyscy kłamią. Wszystko, co wiem, to to, że Horstmann nie jest Simonem. Myślałem, że to on.

- Śliska sprawa. Człowiek powinien mieć broń na podorędziu. To była gra. Bawiliśmy się, żeby zabić czas.

- Mówię szczerze, Ben. Uważam, że powinniśmy się uzbroić. Co o tym sądzisz?

- Wolałbym nie polegać na takiej broni - stwierdziłem, wskazując wystawę.
- A mnie się wydaje, że to doskonały rewolwer. Siebie tym nie zranisz.
- Doskonały, dopóki nie musisz zranić tym kogoś.
- Dobry Boże, wystrzał z rewolweru nie może przynieść nic dobrego.
- Nonsens. To stare powiedzenie, ojczu. Nigdy nie wyciągaj broni, jeśli nie zamierzasz wystrzelić.

Nigdy nie strzelaj, jeśli nie masz zamiaru spuścić człowieka do grobu.

- Wymyśliłeś to teraz, Driskill.
- To bardzo znane powiedzenie, jestem tego pewien.
- To mi przypomina Billy'ego the Kida.
- Tak, prawdopodobnie powiedział to Billy the Kid, przypomniałem sobie, kiedy o nim

wspomniałeś.

- Bili Bonney.
- Jasne, William Bonney.
- Cóż, uderzyła mu woda sodowa do głowy i umarł bardzo, bardzo młodo.
- Umarłby znacznie młodziej, gdyby nosił pistolet zabawkę, ojczu.
- A jednak, Ben. - Pchnął drzwi do sklepu.

W sklepie rozmawiał całkiem niezłą francuszczyzną z młodą sprzedawczynią.

- Prosimy o dwa - powiedział, wskazując na wystawę.
- Rewolwery? - zapytała po angielsku. Pokiwał głową.
- Dwa.
- Czy chcecie panowie również pudełko kapiszonów?
- Och nie, nie mamy zamiaru strzelać. Prawda, Driskill?
- Ja na pewno nie.
- No i mamy - powiedział do dziewczyny. - Tylko broń. Bez amunicji - uśmiechnął się.

Kiedy wyszliśmy ze sklepu, zaczął padać coraz silniejszy deszcz. Wręczył mi mój rewolwer.

- Schowaj do kieszeni. Tak na wszelki wypadek. - Mrugnął do mnie. Wepchnąłem „broń” do kieszeni płaszcza. - I co? Nie czujesz się lepiej?

- Drwisz ze mnie? - wymruczałem.

Schowal rękę do kieszeni. Uśmiech dziecka rozlał się na jego różowej twarzy. Zaciągnął się odwróconą fajką, tak by deszcz nie zmoczył tytoniu.

- Padre z rewolwerem. Pasuje mi. Może nadaję się na bohatera legendy.
- To zabawka z plastiku.
- Cóż, jakaż jest różnica między rzeczywistością a złudzeniem? Tylko troszeczkę ją naciągamy. -

Spojrzał na zegarek. - Czwarta. Czas na spotkanie z Clivem...

Taksówka peugeot ze zgrzytem i chrzęstem wjechała na wzgórze - na plac de la Contrescarpe. Na ulicach było pełno kałuż, a włóczędzy rozpalali ognisko, tak jak kilka dni temu. Światła baru sączyły się ciepło przez szyby. Odbijały się na chodniku jak wypolerowany mosiądz.

Clive Paternoster siedział przy stoliku u okna. Okulary balansowały na czubku kreciego nosa, który właśnie zapamiętałe wydmuchiwał. Była pora przeziębień. Jego przemoknięty stary prochowiec wisiał na haczyku na ścianie. Powstał z krzesła, by nas przywitać.

Zamówiliśmy kolejkę koniaku dla wszystkich. Dwóch mężczyzn ęmiło fajki, wypełniając ką przy oknie dymem przypominającym zapach drewna.

- No i znalazłeś go w Irlandii - powiedział Paternoster do ojca Dunna.

- Przywiozłem go żywego - rzekł Dunn.

- Powiedz mi, czy odnalazłeś brata Leona? Czy dobrze się czuje?

- O tak - westchnąłem. - Odnalazłem go... - przerwałem, nagle niezdolny udzielić odpowiedzi na najoczywistsze pytanie.

- Ma się nieźle - powiedziałem w końcu. - Ma się całkiem nieźle. - To kłamstwo wyrosło nagle jako wynik nowo odkrytej w sobie chęci opieki nad Paternostrem. Nie chciałem jeszcze i jego wciągać w ten krąg zbrodni.

- No tak - powiedział ojciec Dunn. - Czy miałeś tu trochę szczęścia i czegoś się dowiedziałeś?

- Coś mi się zdaje, że to czary - Paternoster rozejrzał się dookoła z dumą, a potem popatrzył na Dunna i na mnie. - Może nie jestem jeszcze tak całkiem do niczego. Wikary byłby ze mnie dumny. Uruchomiłem starą siatkę. Nie, nie martwcie się, to najdyskretniejsi ludzie na świecie. Opowiedziałem im historyjkę, dodałem dwa do dwóch... i krótko mówiąc wiem, gdzie jest Erich Kessler.

- Dobra robota, przyjacielu. Co za strzał! - Zielone irlandzkie oczy ojca Dunna uśmiechnęły się. - A teraz, opowiedz o dodawaniu.

- Wiem, gdzie jest i... wiem, *kim* się stał. Erich Kessler przybrał nazwisko *Ambrose Calder*. Mieszka pod Avignonem.

Spotka się z nami, bo pamięta Artie Dunna. Przekazał szczegółowe instrukcje, co mamy zrobić. Ambrose Calder niczego nie ryzykował.

Ojcu Dunnowi jeszcze w Nowym Jorku przyszło do głowy, że Curtis Lockhardt musiał mieć w Paryżu mieszkanie lub dom, w którym pozwolił mieszkać Val w czasie jej pobytu w Europie. Nie wiem, dlaczego sam o tym nie pomyślałem: zakładałem, że Val musi nocować w paryskim domu zakonnym. Na szczęście Dunn skontaktował się z nowojorskim biurem Lockhardta, wyjaśnił sytuację, jak tylko umiał najlepiej, a oni uprzejmie załatwili mu przekazanie kluczy paryskiego mieszkania. Ten adres naturalnie musiał zaspokajać gusty Lockhardta. Gdy go odnaleźli, stwierdzili, że jest w bardzo wytwornym, snobistycznym i niewątpliwie drogim miejscu: tuż przy Rue Faubourg - St. Honore, a mniej więcej o rzut kamieniem od Pałacu Elizejskiego, gdzie mieszka prezydent Francji, ambasady amerykańskiej i niezrównanego Bristolu. Dawno temu mój ojciec poróżnił się w kwestiach poglądów z zarządzającymi tym hotelem i przenieśliśmy się do George'a V; ale zawsze ciepło myślałem o Bristolu. Był to hotel, który mimo że stracił pieniądze mojego ojca, istniał nadal i nie podejmował się tym.

Nie wiedzieliśmy, czy Val kiedykolwiek korzystała z tego mieszkania, ale z kluczem w ręku wsiedliśmy w taksówkę i pojechaliśmy przez deszczowy półmrok na drugą stronę rzeki. Dotarliśmy

niedaleko przecznicy z rue La Boetie. Przypomniałem sobie dziwne zdarzenie z przeszłości: biskup Torricelli zabrał Val i mnie pod numer 19 rue La Boetie i zaprosił nas na rogaliki. Wydawały nam się najpyszniejsze na świecie, maślane z owocowymi powidłami. Moglibyśmy jeść je codziennie. Wypiliśmy wtedy też naszą pierwszą kawę z mlekiem. Dowiedzieliśmy się, jaki powinna mieć prawidłowy kolor. Biskup zwiesił nad nami swój nos Shylocka i opowiedział nam, że dawno, dawno temu sławny pisarz w wieku lat trzydziestu jadł rogaliki po numerem 19 przy rue La Boetie tak chętnie jak my. Słuchałem tej historii, zakładając, że chodzi o jakiegoś Francuza, o którym nigdy nie słyszałem. Działo się to w 1856 i 1857, kiedy chłopiec tak bardzo polubił rogaliki. Nie był wcale Francuzem, ale Amerykaninem. Przysiągłem sobie przeczytać później jego książki, i zrobiłem to. To był Henry James. Rue La Boetie nr 19. Rogaliki. Wszystko to wróciło do mnie nagle, gdy wysiadłem z taksówki i podniosłem kołnierz, by osłonić się przed deszczem i wiatrem. Dostrzegłem nazwę ulicy. Przypomniałem sobie tamten letni dzień, biskupa, rogaliki, kawę i moją siostrzyczkę w różowej sukience z białozieloną kokardą na plecach i w różowym kapelusiku z kokardką w tym samym kolorze. Ale minęło trzydzieści jeden lat, ona nie żyła, a ja wstępowałem w jej ślady, choć pewnie nadal sprzedawano pyszne rogaliki pod numerem 19, a ja zrezygnowałem z czytania Henry Jamesa, gdy utknąłem w środku *Złotej misy*. Tak piekielnie tęskniłem za moją siostrą. Już nie zjem rogalików z Val.

Był to spokojny szary budynek - godność i pieniądze. Żelazne drzwi powinny strzec co najmniej księcia krwi lub bezcennych tajemnic. Budynek wydawał się odporny na zmiany, śmierć i podatki. Ale oczywiście Lockhardt nie żył i Val nie żyła. Może jednak tu przebywała.

Dunn wszedł na krótko do konsjerżki, po tym jak otworzyliśmy sobie frontowe drzwi. Wrócił, pogwizdując pod nosem, i wyjechaliśmy na najwyższe piętro zamknięci w metalowej klatce windy. Główne schody ciasno otaczały pion dźwigu.

- Elegancko - stwierdził Dunn.

Wyszliśmy z windy. Na piętrze stał stolik, a na nim kwiaty. Grube szare dywany, duże lustro. Wszystko bardzo stonowane. Apartament Lockhardta był jednym z dwóch na piętrze.

Nie wiadomo dlaczego drzwi do tego mieszkania były lekko otwarte. Dunn spojrzał na mnie, wzruszył ramionami i przytknął palec do warg. Pchnąłem drzwi i weszliśmy do środka.

W holu poczuliśmy zimny przeciąg, zapach deszczu. Gdzieś pozostawiono otwarte okno. Spod drzwi po drugiej stronie eleganckiego saloniku, z kandelabrami, rokokowym kominkiem, lustrami w złotych ramach, kilkoma nieoprawionymi rysunkami, niskimi meblami, przykrytymi pokrowcami, docierało bladoszare światło.

Stałem na środku pokoju i zacząłem nasłuchiwać. Ktoś płakał. Niskie, głębokie łkanie. Przerazający, nieprawdopodobnie rozpaczliwy dźwięk, pasujący do miękkiego, monotonnego szumu deszczu, uderzającego o dach i spływającego rynnymi. Przez mgłę za oknem, przez ciemność, mogłem dostrzec przyćmione światła wieży Eiffla.

Stałem w drzwiach, zaglądając do środka małego gabinetu, w którym okna były szeroko otwarte. Słabe światło świeciło w kącie, a zasłony poruszał wiatr. Ktoś siedział za biurkiem, z twarzą ukrytą w dłoniach, cicho płacząc, nieświadomy naszej obecności.

Musiałem spowodować jakiś dźwięk, bo twarz zwróciła się w moją stronę, by na mnie spojrzeć. Nie był to szybki, przestraszony ruch, ale powolny, jakby już nic nie miało znaczenia.

Przez chwilę myślałem, że doświadczam halucynacji.

Siostra Elżbieta.

Jak mógłbym wyjaśnić konflikt emocji, który rozpałił się we mnie w tym ułamku sekundy rozpoznania? Myślałem o niej tak często, odkąd widziałem ją ostatni raz, od czasu do czasu przywoływałem wspomnienia o niej, choć chciałem o wszystkim zapomnieć. A teraz zjawiała się w najmniej oczekiwanym momencie i ten emocjonalny kryzys, w który wpędziła mnie w Princeton, odtworzyłem w ciągu kilku sekund. Zadowolenie, ciepłe uczucie oddaliły się, a przypomniały się przykre okoliczności naszego rozstania.

Miała na sobie ubranie, jakie podoba się Zakonowi, a jej długie, brunatne włosy ściągały spinki, odsłaniając wysokie czoło, gęste, proste brwi i szeroko rozstawione, zielone oczy. Płaszcz przeciwdeszczowy rzuciła w poprzek pustego biurka. Jej twarz była mokra od łez.

Mógłbym tak łatwo skapitulować, podejść do niej, objąć ją ramionami, przytulić bez względu na to kim lub czym była... *Czym była*, właśnie to sprawiało ból... Wydawała się tak rozpaczliwie piękna, taka smutna. Wtedy jej twarz przybrała zwykły wyraz, wytarła łzy jak mała dziewczynka, zobaczyła mnie i uśmiechnęła się. Szczęścia rysującego się na jej twarzy można było prawie dotknąć - chciałem wyciągnąć do niej rękę, ale wiedziałem, że gdybym to zrobił, byłbym nieuchronnie, beznadziejnie zgubiony.

Była dla mnie tak martwa jak Val. Całe moje życie, wszystko, czego doświadczyłem, stanowiło na to dowód.

Wpatrywałem się w nią, kiedy wszedł Artie Dunn, zrozumiał sytuację i stwierdził:

- Wiara i, mój Boże, co dalej?

Ojciec Dunn okazał się właśnie takim niezwykłym księdzem, który znał wspaniałą pobliską restaurację tuż przy rue St. Philippe-du-Roule. Wystarczyło przejść tylko przecnicę. W przyciemnionym wnętrzu błyski z lustrzanej kuli pod sufitem rzucały wszędzie cienie. Od razu przy wejściu uderzał zapach czosnku i sosów na winie. Bagietki były ciepłe i świeże, a *vin du pays* pełne mocy. To mnie obudziło, dotarło do mojego mózgu w rekordowym czasie, wytrąciło z zaskoczenia i złego samopoczucia spowodowanego spotkaniem siostry Elżbiety.

Powiedziała, że nie jadła przez cały dzień, a wyglądała tak, jakby nie spała przez cały tydzień. Jej twarz straciła różowy odcień zdrowia. Oczy miała zapadnięte, z czerwonymi obwódkami. Ani ona, ani ja nie odzywaliśmy się zbyt często tuż po spotkaniu, tak że głównie Dunn prowadził rozmowę. Wydawało się, że mu to nie przeszkadza. Zaprowadził nas do restauracji, usadził, zamówił wino i spróbował, jak smakuje. Ustalił również porządek obrad, które miały trwać cały długi wieczór. Zaproponował, by Elżbieta opowiedziała nam, co ją sprowadziło do Paryża. Tak też zrobiła, chociaż jej opowieść docierała do nas z przerwami na poszczególne dania: zupę cebulową z grzankami, duszone pieczarki z ziołami, pasztet nadziewany czosnkiem i orzeszkami pistacjowymi, słodkie masło, *ragout* wołowe - ich

specjalność - oraz dwie i pół butelki wina. Posiłek zostałby pewnie lepiej przez nas przyjęty, gdyby opowieść była mniej niesamowita.

Staralem się w trakcie słuchania utrzymać kawałki łamigłówek na miejscu i dopasować do tego, co już odkryłem. Przypominało to trochę próby nie dopuszczenia do poruszenia kalejdoskopem i zmiany wzoru. Ale mimo to kalejdoskop poruszał się, a ja usiłowałem ustalić własne wzory. Elżbieta powoli stawała się taka jak dawniej - jadła za dziesięciu, dzięki czemu wracały jej siły. Musiałem się powściągać, by nie poddać się jej urokowi. Tej nocy w Paryżu była tą samą kobietą, w której zakochałem się w Princeton. Musiałem trzymać swoje uczucia na wodzy. Nie mogłem okazać jej, co czułem. Wtedy, oczywiście, byłbym na łasce zakonnicy. Za tą fasadą stał Kościół.

Jej opowieść ułożyła się w mojej głowie w pewną chronologiczną całość. Zaczynała się od znalezienia przez Elżbietę nazwisk pięciu ofiar morderstw, które Val wymieniła w notesie. Claude Gilbert. Sebastien Arroyo. Hans Ludwig Mueller. Pryce Bader-Fowler. Geoffrey Strachan. Wszyscy nie żyli, wszyscy mieli jakieś powiązania z Paryżem w czasie lub po wojnie. Wszyscy też byli jakoś zaangażowani w Kościele. I wszyscy wydawali się w jakiś sposób ważni dla Val.

Elżbieta podążyła śladami Val i jak Val odkryła istnienie *assassini*. I śledziła ich przez stulecia. Aż do przejęcia władzy przez Mussoliniego w latach dwudziestych. Przygotowała solidną dokumentację ich związków w czasie drugiej wojny światowej z ofiarami i ich morderstwami. Każdy mógł znaleźć dziury w jej teoriach, ale natrafiał wtedy na morderstwa, dokumenty i okoliczności, które aż się prosiły, by je połączyć. To wszystko miało sens z jednym zastrzeżeniem: jakie były motywy morderstw dokonywanych tyle lat po wojnie?

Elżbieta pokiwała głową, gdy zadałem pytanie i stwierdziła, że takie same obiekcje mieli D'Ambrizzi i Sandanato.

- A jaką odpowiedź im dałaś?

- Czyż nie jest to oczywiste? Co takiego dzieje się teraz w Kościele, dla czego warto zabijać? Jaka jest wielka nagroda? Wybór następcy Kaliksta...

- Ale co mogło łączyć pięć ofiar z nowym papieżem? - Dunn uśmiechnął się do niej uprzejmie.

- Słuchaj, nie twierdziłam, że na wszystko mam odpowiedź - zniecierpliwiła się. - Zadaję pytania, na które trzeba je znaleźć - ale nigdzie nie dojdiesz, jeśli nie będziesz zadawał odpowiednich pytań. Tak właśnie mówiła Val, powtarzała to często. Wszystko polega na zadawaniu pytań. I chcę wrócić do listy Val. Znajdowało się na niej szóste nazwisko. Ale wygląda na to, że ktoś taki nie istnieje. Nie możemy nic o nim znaleźć. Przy jego nazwisku nie było daty śmierci. Czy Val sądziła, że nie żyje? Czy wydawało jej się, że jest następnym, który musi umrzeć? Erich Kessler. Nazywał się Erich Kessler...

- Żartujesz! - wykrzyknąłem bezwiednie. Spojrzałem na Dunna. - Jak na litość boską Val mogła coś o nim znaleźć?

- Tylko to ma znaczenie - stwierdził Dunn - że jej się udało. - Popatrzył na nas znad kieliszka wina. - Chodzi mi o to, że teraz możesz zrozumieć, dlaczego chcieli też go zabić. Do diabła, Ben, on prawdopodobnie wie wszystko...

- Chwileczkę - wykrzyknął, kto to jest! - Humor powrócił Elżbiecie. Ale popatrzyła na nas

zirytowana. - No? *Kto to?*

Właśnie tak mijał ten wieczór: nasze opowieści uzupełniały się, nakładały na siebie. Często traciliśmy nad nimi kontrolę, dopóki nie wkroczył Dunn i nie układał ich od nowa. Ale solidna konstrukcja, która się wyłaniała przed nami, warta była zachodu, warta przerywania, spierania się i skoków wyobraźni w daleką i bliską przeszłość.

Powiedziałem, że najpierw musimy dokładnie przeanalizować jej historię, zanim przejdziemy do mojej, a Elżbieta niechętnie na to przystała. Była właśnie taka jak wtedy w kuchni w Princeton w środku nocy - ożywiona, zdeterminowana i podniecona odkrywaniem prawdy. To zabrzmiało może dziwacznie, ale w samym środku koszmaru niespodziewanie dobrze się bawiliśmy.

Zaniosła swoje informacje do D'Ambrizziego i do jego wiernego cienia. Opowiedziała im wszystko, bo kardynał był człowiekiem w Kościele, którego Val najbardziej szanowała i kochała, znała go też najdłużej, bo od dzieciństwa. I - tu w jej zielonych kocich oczach pojawiły się ogniki gniewu - nie chciało im się potraktować jej poważnie, ani przyznać, że *assassini* są czymś więcej niż tylko antykościelnym straszakiem. Próbowała dwukrotnie, ale D'Ambrizzi stracił cierpliwość. Wściekła postanowiła przyjechać do Paryża. Myślała o mieszkaniu, w którym Val musiała się zatrzymać... ale wtedy... Wszystko się zmieniło kilka dni potem. Wtedy D'Ambrizzi musiał potraktować ją poważnie.

- A co się takiego niezwykłego zdarzyło kilka dni temu? - spytałem.

Dunn przerwał mi i poprosił, żebym poczekał. Chciał wiedzieć coś więcej o tym, co D'Ambrizzi powiedział o mitycznej bestii Kościoła - *assassini*.

Elżbieta wyjaśniła, że D'Ambrizzi uznał to wszystko za oszustwo sfabrykowane z okrucha prawdy sprzed kilkuset lat. Badell-Fowler był starym fantastą - nikt nigdy nie traktował go poważnie. D'Ambrizzi z niczym się nie zgodził: zamordowanie pięciu mężczyzn, zniszczenie wyników badań Badell-Fowlera - takie rzeczy po prostu się zdarzają i nie ma w tym nic złowieszczonego. Żadnego związku, żadnych tajemnic. Żadnych *assassini*. I nigdy nie słyszał o kimś, kto się nazywa Erich Kessler.

Dunn westchnął, odsunął od siebie miseczkę z *ragout* i otarł kąciki ust serwetką.

- Przykro mi to słyszeć. Bardzo przykro, naprawdę. Powiedziałaś, że potraktował cię poważnie, czyż nie tak?

Skinęła głową.

- Traktuje mnie poważnie. A nawet gdyby tak nie było, to na pewno traktował poważnie Val. A wie, że pracowałam wykorzystując notatki Val.

- Czy mógłby próbować - spytałem - chronić cię przed śmiercią?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może trochę. Ale znam go. Wydaje mi się, że najpierw powiedziałaby mi prawdę, a potem próbował przekonać mnie, żebym trzymała się od tego z daleka. Nie okłamałby mnie tak po prostu. Szanuje mnie, to co robię i to kim jestem.

- Siostrze - powiedział ojciec Dunn - nie chcę, żebyś się obraziła, ale się mylisz. D'Ambrizzi jest kardynałem. A mówimy tu o Kościele rzymskokatolickim. - Uśmiechnął się łagodnie, jego różowa twarz przybrała dobroduszną minę. - Mówię to jako ksiądz i jako uczeń Kościoła. D'Ambrizzi może cię lubi.

Jestem pewien, że tak. Dlaczego miałby cię nie lubić? Ale nie szanuje ani ciebie, ani twojej pracy. Jesteś kobietą, a to niedobrze. Jesteś zakonnica, a to jeszcze gorzej. I jesteś dziennikarką, co oznacza dużo pytań, zasad i norm, według których lubisz oceniać ludzi... a wielu ludzi nie da się ocenić. Właśnie wtedy zaczyna palić się czerwone światło, siostró. A to, że jesteś Amerykanką, jeszcze wszystko pogarsza - bo Amerykanie po prostu nie słuchają rozsądnych argumentów. Skłamałby ci, zwyczajnie - traktując kłamstwo jako zwykłą ostrożność, skłamałby z rozmysłem. Uwierz mi, jesteś wrogiem takich facetów jak D'Ambrizzi. A ja kocham tego starego drania...

Nawet się nie zachnęła.

- Słyszę, co mówisz. Naprawdę. Ale - *okłamać* mnie?

- Siostró, już to zrobił.

- Udowodnij.

- Czy kiedykolwiek natknęłaś się na imię Simon? Simon Verginius?

- Tak. U Badell-Fowlera.

- D'Ambrizzi sporo wie o *assassini*. Pozostawał w bardzo bliskich stosunkach z Simonem Verginiusem w Paryżu, był związany w pewien sposób z *assassini*... Simon Verginius to pseudonim księdza wysłanego przez papieża Piusa...

- Spisek Piusa - wymruczała.

- ... wysłanego przez Piusa do biskupa Torricelliego w Paryżu w celu sformowania kadry *assassini* do współpracy z nazistami, by powstrzymać zaangażowanie Kościoła w ruch oporu, by pomóc w rozdziale arcydzieł sztuki francuskich Żydów... A Simon, kimkolwiek on, u diabła, był, wzdragał się przed zabijaniem ludzi dla gestapo i SS, i...

- Skąd to wiesz? - Jej głos nie był już tak pewny.

- D'Ambrizzi opisał wszystko tuż po wojnie w Princeton. Napisał o tym i ukrył rękopis, a ja niedawno go przeczytałem. Niezła historia. Nie wiemy, dlaczego to napisał, ale autentyczność dokumentu jest oczywista... On spisał całą historię, a ja ją przeczytałem. Stąd wiem.

Zagryzała wargi w trakcie opowieści o tamtej nocy, a potem ciągnęła, nie śpiesząc się, nie pomijając szczegółów, po prostu relacjonowała nam spotkanie z mężczyzną, księdzem w sutannie, księdzem, którego mlecznobiałe oko zmieniło się w płynny rubin, bo uderzyła go świecznikiem, gdy próbował ją zabić. Opowiedziała, jak z nim walczyła i jak przechylił się przez balustradę tarasu mieszkania przy Via Veneto. Jeszcze raz zagryzała wargi i to było wszystko. Żadnych łez, nadmiernego okazywania uczuć, nawet prawdziwego gniewu. Tylko opowieść.

Kiedy skończyła, po raz pierwszy spojrzała mi w oczy.

- Przez cały czas mogłam myśleć tylko o jednym - powiedziała. - Dlaczego nie stało się tak samo z Val? Dlaczego ona nie mogła ocaleć? Dlaczego nie wyczuła niebezpieczeństwa i nie walczyła z mężczyzną w kaplicy?

- Bo to nie był ten sam mężczyzna - odparłem. - Gdyby to Horstmann przyszedł do twojego pokoju, ty też byś już nie żyła. Uwierz mi. - Przełknąłem mimo suchości w gardle. - Nie masz pojęcia, jakie miałaś szczęście.

- Horstmann? - spytała.

- Zupełnie przypadkiem monsignor Sandanato był na ulicy na dole...

- Raczej zakochany strzegący domu ukochanej - stwierdziłem.

- Wolalabym, żebyś tak nie mówił. To zbyt poważna sprawa na żarty.

- Nie żartuję - odparłem. - Ale do diabła z tym, to nie ważne. Mów dalej.

- Spróbujcie nie kłócić się, dzieci - poprosił Dunn.

- Sandanato był na dole, kiedy to się zdarzyło. Jest wykończony wydarzeniami. Chodzi mu o świat - zabójstwa, choroba Kaliksta, spotkania papieża i D'Ambrizziego o wszystkich porach dnia i nocy, wyścigi do stanowiska między *papabili*. Wygląda jak śmierć. Czasami wydaje mi się, iż zaraz się załamie. Tej nocy po prostu wałęsał się bez celu. W pewnej chwili stwierdził, że znalazł się koło mojego domu. Postanowił sprawdzić, czy jeszcze nie śpię. Chciał porozmawiać. Pragnął zwierzyć mi się ze swoich przemyśleń o Kościele; prowadzimy ze sobą długie dyskusje, tak jak rozmawialiśmy długo w noc z Val...

- Ach - powiedziałem - przypominam sobie... życie umysłu. Zignorowała mnie.

- I tak, usłyszał krzyk, nie wiedział, co się dzieje, ale kobieta gdzieś niedaleko krzyczała, w ciemności... To ksiądz, człowiek, który próbował mnie zabić, spadał w noc... Uderzył o dach zaparkowanego samochodu, zsunął się na ulicę... - Zadrżała. - Dwa czy trzy samochody przejechały po nim. Niewiele z niego zostało. Nie można go było zidentyfikować... Może nawet nie był księdzem. Sandanato przyszedł do mnie do mieszkania, wyglądał na przerażonego...

Pokręciłem głową.

- Zastanawiam się, skąd wiedział, że ksiądz spadł z tego właśnie tarasu?

- Nie sądzę, że wiedział - odpowiedziała. - On... po prostu chciał się upewnić, czy wszystko ze mną w porządku...

- Nie ma przed nimi ucieczki - powiedziałem. - Myślałem, że to tylko Horstmann, że to tylko Horstmann ich dopada i zabija, zanim ja do nich dotrę. Ale teraz wiemy, iż śledzą nie tylko mnie, ale nas oboje...

- Nie pomijaj mnie, stary - wtrącił Dunn. - Ja też w tym jestem. Może mnie też śledzą.

Opróżnił kolejną butelkę wina, ostatnią kroplę strącił do własnego kieliszka. Skinął na kelnera, by przyniósł kawę i koniak.

- Zatem - powiedziałem - jest ich więcej. A kto wydaje im rozkazy? Kto każe im zabijać? Kto uznał, że siostra Elżbieta wie za dużo, że musi umrzeć? Kto odniesie korzyści z twojej śmierci? I jaki ma to związek z następcą Kaliksta?

* * *

Chciała wiedzieć, czego dowiedzieliśmy się o tajemniczym człowieku - Erichu Kesslerze. Dunn opowiedział jej wszystko, także to, że odnaleźliśmy go w Awinionie i właśnie mieliśmy tam wyruszyć. Tak więc znowu nazista.

- Ale to dobry nazista, moja droga - stwierdził Dunn.

- Dobrzy naziści, źli naziści - pokręciła głową. - Myślałam, że to się już skończyło tysiąc lat temu.

- Pochyliła ramiona.

Kiedy zapadła między nami cisza, restauracja była prawie pusta, a kelnerzy stali w grupce i przyglądali się nam ziewając. W kominku ledwie się żarzyło. Właśnie minęła północ.

Okazało się, że siostra Elżbieta zatrzymała się w Bristolu. To był najprawdopodobniej najdroższy hotel w Paryżu. Uśmiechnęła się lekko, jakby miała jakiś sekret. Kiedy zbliżyliśmy się o przecznicę do hotelu tak fantastycznie usytuowanego przy rue du Faubourg-St.-Honore, czarna lśniąca limuzyna z kroplami deszczu pobłyskującymi na grubo powoskowanej masce wysunęła się na podjazd.

- Poczekajcie - powiedziała i zatrzymała nas gestem. Dwóch mężczyzn wysiadło z samochodu. Kierowca przytrzymał drzwi, a portier osłaniał ich wielkim, czarnym parasolem. Pierwszy z nich był ubrany w czarny płaszcz przeciwdeszczowy i czarny filcowy kapelusz. Odwrócił się i podał rękę drugiemu mężczyźnie, który był krępy, nosił sutannę i grube buty. Światło ogarnęło jego twarz, nos w kształcie banana i fałdy policzków. Gdy wysiadł, wyrzucił czarnego papierosa do pełnego wody rynsztoka.

Kardynał D'Ambrizzi i monsignor Sandanato.

Chwyciłem ją za ramię, odwróciłem ku sobie.

- Co, u diabła, się tu dzieje?

- Powiedziałam im, że mam zamiar pojechać do Paryża, by sprawdzić, czy nie mogłabym dowiedzieć się, co robiła Val, zanim została zabita. D'Ambrizzi, chociaż wściekły, zaproponował, bym im towarzyszyła, gdyż i tak musi spotkać się z ekonomistami ze Wspólnego Rynku i ministrami finansów. Po próbie zamordowania mnie upierał się, że muszę wyjechać z Rzymu, kiedy oni usiłowali zidentyfikować zmarłego mężczyznę... i... resztę. Przyjęłam jego ofertę. Zatrzymałam się w Bristolu. Mieszkamy tu wszyscy.

- Na miłość boską, Elżbieto, bądź ostrożna, co mi mówisz. Drogi, stary Święty Jaś nie jest tą osobą, którą myśleliśmy, że jest...

- Wiemy - stwierdziła - że może skłamał o *assassini*, by mnie obronić... by mnie zbić z tropu i sprawić, bym zrezygnowała. To ty podsunąłeś takie wyjaśnienie, Ben. A ty - spojrzała na Dunna - ty opowiedziałeś o testamencie, który zostawił w Princeton. Według mnie napisał go człowiek, który próbuje usprawiedliwić swoją winę. Doprawdy, co miał zrobić ze swoją wiedzą? Pobiec z płaczem do papieża? Zgodnie z tym, co widział, całe to cholerne zamieszanie zaczęło się właśnie od papieża! I tak, wielkie rzeczy, okłamał mnie, bo chciał, żebym to rzuciła... i zrobiłabym to, gdybym mogła, zrobiłabym to, gdybym miała odrobinę rozsądku, ale już tak daleko w to zabrnęłam - po prostu nie mogę wszystkiego zostawić. A jakiś nędzny *lotr* próbował mnie zabić... - nagle przerwała, jakby wyczerpał się jej zapas słów.

D'Ambrizzi i Sandanato weszli do hotelu.

Dunn przywołał taksówkę, zostawiając nas na chwilę samych.

- Mam do ciebie pytanie - powiedziałem. - Ostatni raz kiedy się widzieliśmy, zdecydowałaś, że

wystarczy, czas porzucić mrzonki i powrócić do rzeczywistości. A twoja rzeczywistość była taka, że nic, jak ja uważałem, nie mogło się dziać wewnątrz Kościoła, nie w wysokiej hierarchii... To nie była przyjemna rozmowa, siostrzo. Zastanawiam się, czy nadal tak sądzisz? Czy Kościół jest naprawdę taki czysty, tak daleki od zbrodni?

Rozejrzała się dookoła, gdy mówiłem, jak gdyby w ciemności ukrywał się ktoś, kto mógłby jej pomóc.

- Nie wiem. Czego ode mnie chcesz? Nie mogę się odwrócić od Kościoła tak łatwo jak ty... To moje życie. Z pewnością to rozumiesz. - W jej głosie nie było nadziei. - Wydaje mi się, że miałeś rację. Ale spróbuj zrozumieć, jak trudno mi to przyznać. Wciąż szukamy ludzi, którzy to wszystko zrobili, może są wewnątrz Kościoła, ale to nie musi oznaczać, że muszę potępić cały Kościół, prawda? Ben... - jej dłoń zadrżała, jakby chciała dotknąć mojego rękawa, ale szybko ją cofnęła - uwierz mi. Nie chcę z tobą walczyć. Oboje straciliśmy Val... A teraz próbuję odnaleźć drogę po tym wszystkim, co mi powiedzieliście dziś wieczorem. Proszę, nie złość się na mnie, odpuść mi trochę...

Taksówka zahamowała przy krawężniku. Dunn wsiadł, zostawił dla mnie otwarte drzwi. Odwróciłem się od niej.

- Ben - powiedziała to tak, jakby odkryła dopiero w tej chwili moje imię i spodobało się jej wymawianie go.

- Tak?

- Nie mogę przestać myśleć o ojcu Gouverneau. Czy dowiedziałeś się czegoś więcej? Co się z nim stało, dlaczego tego ostatniego dnia Val o nim myślała? W jaki sposób mógł być z tym wszystkim powiązany? Czego szukała Val?

- Nie wiem - odparłem. - Nie mam pojęcia, czego...

- A twój ojciec, jak się czuje?

- On... Nie wiem. Wraca do zdrowia. Znam go, nic mu nie będzie. Jest za wielkim draniem, by łatwo dać się zabić.

Wsiadłem do taksówki. Ojciec Dunn składał parasol. Siostra Elżbieta stała patrząc, gdy odjeżdżaliśmy.

- Co mówiła? - spytał.

- Chciała się dowiedzieć, czy coś jeszcze wiemy o ojcu Gouverneau. Co mógłbym jej powiedzieć? Może nigdy niczego się nie dowiemy, bo poruszamy się w żółtym tempie. Zresztą, czy to jeszcze ma jakieś znaczenie?

Ojciec Dunn siedział spokojnie, patrząc przez okno na mgłę. Paryska noc.

- Moje gardło mnie zabije - mruknął w końcu.

Moja matka znowu przyszła do mnie we śnie, tak bez powodu. Wyciągnęła do mnie ramiona, mówiła coś cicho. Próbowałem to usłyszeć. Wydawało mi się, że gdybym się tylko bardziej postarał, bardziej skoncentrował, mógłbym rozpoznać słowa. To nie był tylko sen. Byłem tego pewien. Przypomniałem sobie coś, co naprawdę się wydarzyło. Dlaczego nie mogłem zmusić się, by przypomnieć sobie więcej? Dlaczego?

Obudziłem się oblany potem, drżący. Plecy miałem sztywne i bolesne. W pokoju było zimno, gdyż zostawiłem otwarte okno. Wstałem i przygotowałem sobie nowy opatrunek. Rana dobrze się goiła. Wyglądało na to, że nie ma już wysięku.

Następnie zdałem sobie sprawę, że dzwoni telefon, a o szyby wali deszcz.

Podniosłem słuchawkę, zastanawiając się, o co, u diabła, chodzi Dunnowi, i dlaczego nie może poczekać.

Ale to dzwoniła siostra Elżbieta. Była na dole. Poinformowała mnie, że jedzie z nami do Awinionu na poszukiwanie Ericha Kesslera alias Ambrose'a Caldera. Stwierdziła, iż jej się to należy. Szukała go dłużej ode mnie. Nie przyjmowała odmownej odpowiedzi.

Awinion leżał w kotlinie oświetlony promieniami słońca. Na niebie sunęło kilka wełniastych chmur, popołudnie było bardzo ciepłe jak na listopad. Zapach orzeźwiającego deszczu wisiał w idealnej jasności dnia. Stolica departamentu Vaucluse leżała na wschodnim brzegu Rodanu. Miasto wyglądało jakoś nielogicznie. Górowała nad nim forteca z ośmioma wieżami, zbudowana na litej skale, dwieście stóp nad resztą Awinionu. To był Pałac Papieży, pochodzący jeszcze z czasów Niewoli Babilońskiej, przycupnięty jak śpiący despota, ogrzewający się w słońcu nad swymi poddanymi, potwór z legendy obserwujący swój lojalny, zastraszone lud. Miał barwę bladopiaskowego beżu w blasku zachodzącego słońca.

Zwiedziłem to miasto kiedyś jako turysta, wiele lat temu. A teraz moja głowa była zajęta rozmyślaniami o skomplikowanej naturze D'Ambrizziego, prostocie Horstmann'a i ambiwalencji moich uczuć do siostry Elżbiety. A widok Awinionu przypominał mi, czego dowiedziałem się o nim za pierwszym razem. Trudno było sobie wyobrazić to miłe miejsce jako ściek nieprawości i korupcji, tak jak kiedyś napisał Petrarca, ale oczywiście Rzymianie nienawidzili francuskich papieży. A jednak musiało to być jedno z bardziej pikantnych miejsc na postój w podróży. Włosi z zadowoleniem wskazywali, że regularne ataki zarazy dziesiątkujące miasto w czasie niewoli, były oznaką zemsty rozgniewanego Boga. Kiedy nie nadciągała zaraza, zjawiali się *routiers* - prywatne armie najemników - jakie wpadały z równin Nimes, żądając złota, którego znajdowało się tam wiele, i papieskich błogosławieństw, których było może nawet więcej, w zamian za zwrot zagrabionego mienia oraz obietnicę wzniesienia pożarów gdzie indziej.

Przywitała nas atmosfera święta. Tłumy wypełniały ulice. Mury obronne wybudowane jeszcze przez papieży wciąż otaczały miasto, wieże, bramy, blanki z wieżyczkami. Inną znaną turystyczną atrakcją był most St. Benezet, nieukończony, sterczący nad Rodanem, urywający się nagle w miejscu, w którym przerwano prace w 1680. Rzeka okazała się zbyt mocna, tak że cztery łuki mostu dotarły do jej środka i prowadziły donikąd, tylko w historię, unieśmiertelnione w dziecięcej piosence, którą zna każdy Francuz.

Wszystko mi się przypomniało, cokolwiek dotarło do mnie o Awinionie. Nawet to, że John Stuart Mili napisał w czasie pobytu w tym mieście dzieło *O wolności*, a potem zażądał pochowania go na Cimetiere de Sant-Veran. Teraz nie byłem turystą, chociaż przemknęło mi przez głowę, że mógłbym znaleźć się na tym samym cmentarzu, jeśli Horstmann nadal nas śledzi.

Wróciłem tu jako ktoś inny. Zawahałem się, jak to nazwać.

Myśliwy uzbrojony w rewolwer zabawkę?

Ofiara poddająca się, czekająca na koniec?

A może nazwa nie była potrzebna.

Naszą kwaterę główną założyliśmy w nie wyróżniającym się niczym hotelu dla businessmenów. Ojciec Dunn zadzwonił, by zawiadomić Ambrose'a Caldera lub jego przedstawiciela, że jest w Awinionie

i postępuje zgodnie z instrukcjami. Zszedł do westybulu, gdzie na niego czekaliśmy. Powiedział nam, że zorganizowano to tak, iż tylko on pojedzie na spotkanie z człowiekiem, który kiedyś był Erichem Kesslerem. Plan Dunna polegał na tym, by go najpierw uspokoić, a potem zawiadomić nas, czy możemy dołączyć.

- To on rozdaje karty - powiedział Dunn. - Mogę tylko poprosić.

- A gdzie on jest? - spytała Elżbieta.

- Powiedział tylko, że niedaleko od miasta. Przyjeżdża po mnie samochód. Moglibyście dla zabicia czasu pójść na spacer po mieście. A potem wróćcie i sprawdźcie, czy nie zostawiłem dla was wiadomości. - Dostrzegł jej zmartwioną minę. - Wszystko będzie dobrze. Nasz człowiek Kessler jest dobrym facetem. - Spojrzał na mnie rozjaśniony swym zwykłym pomarszczonym uśmiechem. - Prawdopodobnie.

- Jeśli nie jest Arcyksięciem - zamruczała Elżbieta, ale Dunn tego nie usłyszał.

Nie tworzyliśmy dobranej pary. Połączeni przez Dunna i okoliczności. Czułem się tak, jakbym wkroczył do wrogiego obozu. Wiedziałem, jak bardzo źle się zachowuję, jak muszę się jej wydawać zimny i obojętny, ale nic nie mogłem na to poradzić. Chodziło o moje przeżycie. Bałem się jej, bałem się jej możliwości zranienia mnie, bałem się moich uczuć do niej. Prawie się do niej nie odzywałem, ale nie mogłem przestać patrzeć. Była w szarej spódnicy w jodelkę, przymarszczonej na biodrach, grubym niebieskim wełnianym swetrze, skórzanych wysokich butach i puchowej kurtce. Wiedziałem, że jakoś powinniśmy nie pozwolić jej jechać z nami. Ale nie dało się jej powstrzymać. Podobnie jak z Val. Trzeba by ją było zabić.

Zdenerwowani i zdyszani przeciskaniem się przez tłum, znaleźliśmy się na zatłoczonym placu u stóp murów masywnej fortecy. Słońce nagle zniknęło i zrobiło się zimno. Ściany fortecy wyglądały jak proste skały. Cienie okryły plac. Pojawiły się różnokolorowe światła, jak w czasie karnawału. Napór tłumy był bezustanny i dręczący. Groźba wydawała się brzmieć w jego śmiechu, zjawiać w jego niewinności.

Po jednej stronie placu wzniesiono scenę. Trwało właśnie przedstawienie del Tarte. Scena zbiorowa, *il dottore* i inne znane postaci krzyczały, skakały, improwizowały przed wypełnioną widownią. Śmiech wybuchał i odbijał się echem od murów, spontaniczny, głęboki, zagłuszający wszystko, ale ja dostrzegałem tylko maski aktorów, nadające im nieziemski, drapieżny wygląd zniekształcenia. Gigantyczne pochodnie płonęły w rogach sceny, cienie gięły się i podskakiwały, jak ukryci mordercy z innej sztuki zbierający się w ciemnościach. Moje myśli były mroczne, niebezpieczne i złowieszcze. Nie dostrzegałem nic śmiesznego.

Siostra Elżbieta odkryła mały pusty stolik na zewnątrz kawiarni, pod niebieskimi, czerwonymi i żółtymi żarówkami, zwisającymi na drutach zamocowanych między mokrymi, bezlistnymi drzewami - duchami lata. Udało nam się zwrócić na siebie uwagę kelnera. Siedzieliśmy spokojnie, gdy przeciskał się przez labirynt stłoczonych stolików. Dostaliśmy kubki parującej kawy, o które ogrzewaliśmy dłonie, przyglądając się aktorom.

- Masz tak beznadziejną minę, Ben. Czy jest aż tak źle? Czy nie zbliżamy się do końca? Czy nie jesteśmy blisko odpowiedzi? - Wypiła łyk kawy z pianką śmietanki na wierzchu. Wiedziałem, że śmietanka zostawi ślad na jej górnej wardze i wiedziałem, iż obliże się starannie. Zadawała pytania niewinnie, jej wzrok uciekał ode mnie, obserwowała tłumy stojące w mroku z głowami zwróconymi w stronę krzyków i podskoków aktorów.

- Nie wiem. Beznadziejną? Chryste... jestem zmęczony i boję się. Boję się, że mnie zabiją i boję się tego, co mogę odkryć. Załamałem się w Irlandii, naprawdę się załamałem... - Posuwałem się za daleko, traciłem kontrolę. - Ale nie ma sensu wchodzić w to teraz. Było bardzo, bardzo źle. Coś jest ze mną nie w porządku.

- Zbyt wiele przeszedłeś - powiedziała.

- To nie to. Ty też byłaś bardzo blisko śmierci i zginął człowiek... ale nie opanowała cię rozpacz i strach. Coś się we mnie popsuło. Nie mogę uwolnić się od widoku brata Leona... zsiniałego, opuchniętego i ramienia przyzywającego mnie. Im bardziej wydaje mi się, że jestem bliski dotarcia do końca, do prawdziwego jądra ciemności, gdzie odnajdę wszystkie odpowiedzi - to Rzym oczywiście, mówię o Rzymie - tym bardziej się boję. Nie wiem, może już tak naprawdę nie boję się, że mnie zabiją, może to nie to, ale cholernie boję się tego, czego się dowiem. Val się dowiedziała, wiem, że odkryła wszystko. - Pokręciłem głową i wypilem łyk gorącej kawy. Sparzyłem się. Wszystko po to, by przerwać moją spowiedź. Co, u diabła, się ze mną dzieło?

- Jesteś wyczerpany. Psychiczenie i fizycznie. To wszystko cię wykańcza. Potrzebujesz odpoczynku - powiedziała.

- On jest tutaj, wiesz.. *Jest* tutaj. Wiesz o tym, prawda? Spojrzała na mnie nic nie rozumiejąc.

- Kto?

- Horstmann. Wiem, że jest tutaj.

- Nie mów tak. Proszę.

- Ale jest. Tylko tyle można dodać. Skądś wie. Musisz to dostrzegać. Kościół go chroni. Informuje na bieżąco. On nie ma po prostu szczęścia, siostró. Mówią mu o wszystkim. Och, on jest tutaj, właśnie teraz. Tutaj.

Obserwowała mój wybuch, wyciągnęła rękę przez stół ku mojej dłoni. Poczułem jej dotknięcie i odsunąłem się.

- Kto za tym stoi, Ben?

- Nie wiem. Na miłość boską, może papież. Skąd mogę wiedzieć? D'Ambrizzi jest kłamcą, może to D'Ambrizzi...

Pokręciła głową.

- Siostró, twoja opinia jest podejrzana. Wybacz mi, ale jesteś lojalistką, należysz do nich. - Wiedziałem, że uderzam w ciemno. Wszystko psułem, traciłem orientację, co się u diabła dzieje. Nie miałem najbledszego pojęcia.

Siedzieliśmy wpatrując się w scenę, zamknięci we własnych doskonale szczelnych więzieniach, niezdolni, by je zburzyć, by do siebie dotrzeć, by się porozumieć.

- Dlaczego mnie nienawidzisz? Co ja ci takiego zrobiłam poza tym, że kochałam twoją siostrę i przewracam niebo i ziemię, by dowiedzieć się, dlaczego została zabita i przez kogo? Nie mogę przestać zastanawiać się - jak rozwścieczyłam cię do tego stopnia?

Zaskoczyła mnie. Wystąpiłem więc ze standardową odpowiedzią tchórza.

- O czym ty mówisz? Mam znacznie ważniejsze sprawy na tym, co zostało z mojej głowy, siostró, niż nienawidzić ciebie.

- Może jestem tylko zakonnica, jak twierdzi Dunn, ale nie brakuje mi zwykłej kobiecej...

- Dobrze, dobrze, oszczędź mi szczegółów o twojej kobiecej intuicji.

- Ben, co się dzieje? Nie pamiętasz, jak to było, gdy graliśmy w tej samej drużynie w Princeton?

- Oczywiście, że pamiętam. A co z tobą się dzieje? To przecież ty opuściłaś tę cholerną drużynę!

Pamiętam naszą ostatnią rozmowę.:

- Ja też pamiętam. I pamiętam dobre czasy...

- Traktowałem cię jak istotę ludzką, jak kobietę. To był mój błąd. Powinienem chyba przeprosić...

- Za co? Jestem istotą ludzką i jestem kobietą!

- Jesteś zakonnica. Niczym więcej. Tylko to się dla ciebie liczy. Zostawmy to tak, jak jest.

- Dlaczego? Dlaczego musimy to zostawić? Dlaczego nie moglibyśmy wszystkiego wyjaśnić?

Twoja siostra była zakonnica, przypominasz sobie? Czy przez to przestała być człowiekiem? Na czym polega twój problem? Czy nienawidziłeś jej? Czy patrzyłeś na nią oczami pełnymi niesmaku jak teraz na mnie? Jesteś tak piekielnie przezroczysty...

- Val była moją siostrą. Wkraczasz na grząski grunt. Zostaw to.

Westchnęła, popatrzyła na mnie. Jej oczy przypominały silne zielone ognie. Zaciśnęła szerokie usta - pełna ogromnego napięcia.

- Chcę rozmawiać. Chcę to teraz wszystko wyjaśnić, zanalizować jako Ben i Elżbieta... przyjaciele, dwoje ludzi, którzy lubią się nawzajem... - Zagryzła dolną wargę. Jej szeroko otwarte oczy prosiły mnie. - Czymkolwiek jesteście dla siebie.

- W porządku - odparłem. - Problemem jest twój Kościół, fakt, iż jesteś zakonnica. Kościół - jakby był podły - jest wszystkim, na czym ci w końcu zależy. - Nie chciałem tej rozmowy. Nie miała sensu. Chciałem, by odeszła, zniknęła z mojego życia, z mojej pamięci. - To proste. Nie mogę nic więcej zrozumieć. Nauczyłem się tej lekcji dawno temu, ale ją zapomniałem. Ty sprawiłaś, że zapomniałem, zapomniałem, jacy jesteście, wy wszyscy... To jest jak choroba, wdziera się do środka, Kościół, Kościół, dobry czy zły. Jak możesz mu służyć? Jak możesz mu się tak oddawać - duszą i ciałem? Nie jest szlachetny ani bezinteresowny - ma nienasycony apetyt, żeruje na twoim życiu, wysysa z ciebie życie jak ogromny zinstytucjonalizowany wampir. Zostawia wraki mężczyzn i kobiet za sobą, żądając wszystkiego i nie znający litości... Jak mogłaś oddać siebie temu cholernemu Kościołowi, kiedy poza nim jest prawdziwe życie, miejsce, w którym mogłabyś być takim człowiekiem, o jakim mówi ci twoja intuicja? Widziałem tego człowieka w tobie, a ty zabijasz go w imię twojego Kościoła...

Nie wiem, jak udało jej się zachować równowagę w trakcie mojej tyrady. Może właśnie dlatego stało się to możliwe, że pozostawała zakonnica. Jeszcze jeden mały żarcik ze strony Boga. Może to

Kościół dał jej siłę do poradzenia sobie ze mną takim, jakim byłem wtedy. Miała na tyle rozsądku, by poczekać, aż niski człowieczek przyniósł nam kubki świeżej kawy i kanapki. Może myślała, iż czekała na tyle długo, bym poczuł się głupio i może nawet przeproszę. W takim wypadku mogłem jej powiedzieć, że na to nigdy nie będzie dość czasu. Nawet gdybyśmy czekali do grania trąb archanioła Gabriela...

- Nie postanowiłam sobie, że zostanę zakonnica. To się tak jakoś samo stało. Wygląda to na przypadek, ale z całą pewnością nim nie było. Przeciwnie, okazało się nieuniknione, biorąc po uwagę warunki mojego życia i moją osobowość. Kiedy nadszedł czas, podjęłam świadomą, zgodną z sumieniem decyzję poświęcenia się pracy dla Kościoła. Oszczędzę ci kilku soczystych szczegółów... tylko opiszę ci ogólnie zarys.

Dorastałam w czasach Eisenhowera - to klucz - rozumiesz? A moi rodzice byli gorliwymi katolikami, zamożnymi, mieli dwa" samochody: elegancki buick roadmaster i stary ford kombi. Mój ojciec pracował jako lekarz, a matka poświęcała każdą wolną chwilę Kościołowi. Moi dziadkowie, kuzyni, przyjaciele i właściwie wszyscy, których znałam - byli katolikami. Mój brat - Francis Terhune Cochrane - tak się właśnie nazywam, przy okazji, Cochrane - mówił o zostaniu księdzem. Wszyscy chłopcy tak mówili, naturalnie, tak jak wszystkie dziewczyny przechodziły okres pójścia do klasztoru, który zazwyczaj trwał krótko.

Kiedy miałam dziesięć lat, John Kennedy - katolik - został wybrany prezydentem. Mój Boże, co za radość! Mieszkaliśmy w Kenilworth pod Chicago, a burmistrz Daley wygrał - czy też według innych ukradł - wybory dla Kennedy'ego i to było jeszcze lepsze. Jakbyśmy już wygrali walkę o nasze prawa. Katolik w Białym Domu - ty i twoja rodzina musieliście odczuwać to samo, chociaż twój ojciec miał bezpośredni kontakt z Białym Domem, jak sądzę, a mój był w końcu tylko lekarzem. Nowy wspaniały świat! Prawie w jednej chwili wszystko rozpadło się na kawałki. Wszystko się zmieniło... Miałam trzynaście lat, kiedy zamordowano Kennedy'ego. Zjawili się Beatlesi i przewrócili całą muzykę do góry nogami - całkiem zaskakując trzynastoletnią dziewczynkę. Potem Stonesi, bunt, palenie trawki, ludzie po herze. *Hair*, Wietnam i chłopak rozsuwający ci nogi, a ty jesteś tam cała mokra na miłość boską i jeszcze to katolickie poczucie winy! Mówię ci - zwłaszcza wtedy, gdy podobało ci się, co ten chłopak robił i lubiłaś to robić z nim. Mój Boże, co za gigantyczny galimatias robił się z tego! A potem pojawił się Bobby Kennedy w świetle reflektorów, z krwią płynącą z głowy i Martin Luther King na balkonie motelu, Kent State, Woodstock i Bob Dylan, zamieszki policyjne w Chicago w sześćdziesiątym ósmym. W zamieszaniu rozwalili mi wargę...

Może oszalałam albo byłam zbyt wrażliwa, albo dojrzałam w odpowiednim czy nieodpowiednim czasie. Ale chodzi o to, że gdy spojrzałam wstecz na moje życie, uderzyło mnie, że lubiłam poczucie bezpieczeństwa i wiarę i - wybac mi, jeśli to zabrzmie śmiesznie - lubiłam robić tylko to, co można nazwać dobrym uczynkiem. Kochałam Kościół - dzieciak, pełen poczucia winy, rozczarowany żalonymi próbami uprawiania seksu, i zdezorientowany przez narkotyki, długie włosy i podejście „pieprzyć-całyświat”, które wyczuwałam wokół siebie... Patrząc wstecz i widząc dziewczynę, która zobaczyła w latach sześćdziesiątych, jak wszystko w czym wyrosła, rozpada się bez szczególnego żalu na malutkie

kawałeczki. Niektórym dzieciakom podobała się zmiana, szansa na bunt, a innym nie. Nie przemawiało to do mnie... Rebelia nigdy nie była dla mnie szczególnie pociągająca. Praca dla zmiany świata jest czymś zupełnie innym i zrobiłam kilka małych kroków, by coś zmienić. Zaangażowałam się w ruch obrony praw człowieka, ale Kenilworth nie był na to najlepszym miejscem. Bunt nie pasował do mnie, lecz do Val. Zgadzał się z jej naturą.

Uświadomiłam sobie, że podobało mi się poczucie bezpieczeństwa z pierwszych dziesięciu lat mojego życia... To, co się zdarzyło od 1963 przestraszyło mnie. Och, nigdy bym się wtedy do tego nie przyznała, ale nic nie mogło zachwiać mojej wiary w dobroć moich rodziców, dobroć Kościoła, słuszość ich postępowania. Tylu moich przyjaciół odwróciło się od Kościoła, wielu z nich związało się z narkotykami. Uciekli z domu, wymyślili, że chcą tylko rozrabiać i rzucić swój bunt w twarz rodzicom... Ale nie ja. Po prostu nie ja.

To, co zobaczyłam, to był świat, który pruł się w szwach. Wszystkie wartości, w których zostałam wychowana, wydawały się upadać i stawały się w pewnym sensie hańbiące. „Normalne” ścieżki, po których się kiedyś podróżowało, zostały zamknięte... I wtedy mój brat Francis, idealista w rodzinie, poszedł na wojnę, zdecydowany służyć krajowi. Poległ w czasie ofensywy Tet, a ja piekielnie długo nie mogłam sobie z tym poradzić. Dla innego dziecka byłby to może dowód, że taka bezsensowna śmierć oznacza, iż Boga nie ma. Prawdopodobnie zwróciłoby się ono przeciw Kościołowi. Ale nie ja. Musiałam sobie z tym poradzić i wyjaśnić, nie mogłabym po prostu krzyknąć, płakać i winić za to wszystkich, każdego, kto był pod ręką, czy Lyndona Johnsona. Nie mogłabym powiedzieć, że śmierć Francisca była dowodem, że istnienie nie ma przyczyny czy znaczenia. Życie naprawdę ma znaczenie, jest dobro i zło, jest kara dla tych, którzy na to zasłużyli... Bóg nadał życiu znaczenie, a ja poszłam do Kościoła po odpowiedzi, których potrzebowałam. Kościół zdawał się znaczyć więcej niż inne rozwiązania. A ponadczasowość Kościoła - w pewien sposób przekonała mnie. Wszystko inne wydawało się takie trywialne. Czy przez to zwariowałam na punkcie Jezusa? Mam nadzieję, że nie. Bo nie oszalałam. Ale mogłam traktować Kościół poważnie, tak jak nie) mogłam traktować *poważnie* narkotycznego rocka czy farbowanych dżinsów. Byłam przeciwna wojnie w Wietnamie. Popierałam poczucie odpowiedzialności i gotowość konsekwencji własnych poczynań. Och, mój Boże, słuchałam muzyki, kupowałam płyty, nosiłam kolorowe ciuchy i moją opaskę pokoju, ale wydawało się to takie przemijające... Czy rozumiesz, o co mi chodzi? Kościół istniał tu długo i tylko to miało *znaczenie*.

Znałam kilku bardzo uczciwych księży, jedną niezwykle wiekową zakonnice, ale o tak bystrym i dociekliwym umyśle, że mnie to po prostu przerażało... Mój Boże, szalała na punkcie Elvisa Presleya, i była naprawdę szczęśliwą kobietą. Jej życie miało tyle sensu, cieszyła się nim. Pracowała jako nauczycielka, zarządzała szkołą, nie obawiała się angażować politycznie i zawsze mówiła Watykanowi, kiedy ma się odczepić... Była po prostu wspaniała. Natchnęła mnie myślą, że jeśli wszystko wypali, to może potrafię funkcjonować i żyć dalej bez seksualnych przyjemności i zachowam zdrowie psychiczne - możesz to zrozumieć? Nie miało być doskonale, miało być dobrze...

Cóż, albo to zrozumiesz, albo nie. Klasztor wydawał mi się też schronieniem, nie przeczę. Mówią, że księża i zakonnice szukają miejsca, by się ukryć, jasne, dlaczego nie? Każdy chce mieć swój azyl, Ben,

każdy - i większość z nas jakiś znajduje. Skryłam się w zakonie na jakiś czas. Jasne, moi rodzice byli dumni... Wiesz, to taka mieszanina dumy i smutku, jaką można zobaczyć na twarzach wszystkich katolickich rodziców, których córka wybiera Kościół, a nie męża, dzieci i kredyt hipoteczny... ale byli ze mnie dumni, dumni, ciekawi, pełni wątpliwości. *Nasza mała dziewczynka, O Matko litościwa, czy to znaczy, że nasza mała Elżunia nigdy nie będzie ślubowała?* Czy coś w tym rodzaju... Mój Boże, jakie to śmieszne, jak sobie przypomnę...

Chciałam służyć Bogu. Służyć ludzkości. I prowadzić życie, którym będę się cieszyć.

Wówczas Kościół zwracał się ku nowej definicji kobiet i ich roli, ku bardziej liberalnej interpretacji zjawisk...

Cóż, nie można mieć wszystkiego, prawda?

Wiesz o tym, czyż nie, Ben?

- Prawda jest taka, że przypominasz istoty pozaziemskie. Z Jowisza czy okolic. Wyglądasz teraz jak my, poruszasz się w rzeczywistym świecie, wydajesz się być jednym z nas... Ale to złudzenie, to kłamstwo, grasz tylko. Jesteś jak bezwonny, bezbarwny gaz, który oszałamia mózg i stępia zmysły pozostałym.

To złudzenie, bo gdy tylko życie zanadto zbliży się do ciebie, odskakujesz i zaczynasz z powrotem nakładać na siebie siedem welonów, ukrywasz się za tą swoją świętoszkowatą kupą gówna, używasz jej, by wszystko wytłumaczyć, każdy gatunek zdrady... Jestem zakonnica, mówisz mi, czy zapomniałaś, że jestem zakonnica? Kościół jest moim zbawcą, zostanie przeklęta, jeśli będę myślała za siebie, tak właśnie mówisz... Jestem zakonnica, jestem zbudowana z czystszeo i delikatniejszego niż inni materiału, ale również pamiętam, kto mi daje na posmarowany masłem chlebek... I ale ze mnie szczęściara, mówisz, nie muszę mieć do czynienia z mężczyznami! Co za ulga!

- Siostró, boisz się, kłamiesz, udajesz i kręcisz...

- A Val? Czy oszukiwała, kłamała i kręciła?

- Nie, ona nie. Była po uszy zanurzona w życie, nasiąkała nim, wydawała swoje własne opinie, ryzykowała własnym życiem...

- Gdybym umarła, gdyby mnie wypchnął z tego cholernego tarasu, czy to by sprawiło, że byłabym tak samo cudowna jak Val?

Czy na tym polega problem? Nienawidzisz mnie, bo nie zginęłam? Jak niewiarygodnie małostkowe...

- Nie nienawidzę cię...

- Masz ze sobą naprawdę problem, Ben. Myślę sobie tak, że nienawidzisz mnie, bo nienawidzisz Kościoła, a nienawidzisz Kościoła, bo nienawidzisz siebie, ponieważ uważasz, że zawiodłeś Kościół, zawiodłeś ojca, zawiodłeś, zawiodłeś, zawiodłeś... No tak, jesteś wariat dużo większy ode mnie... Nie zawiodłeś ani siebie, ani Kościoła! To po prostu nie było dla ciebie... Ale pozwoliłeś, by cię doprowadziło do szaleństwa. A teraz odgrywasz się na mnie - dlaczego? Val była zakonnica, a ja jej najlepszą przyjaciółką. Różniłyśmy się od siebie, ale stałyśmy po tej samej stronie... Co się z tobą dzieje?

Nie możesz mi na chwilę odpuścić? Przyznałam, że się myliłam - więc na miłość boską zapomnij o naszej ostatniej rozmowie w Princeton! Val... ja... co za różnica? Co to za wielka sprawa? Dorośnij, świat nie jest tylko albo czarny, albo biały!

- Kocham cię, to właśnie nie jest w porządku... Widziałem dość, by zakochać się w tobie... Masz rację, siostrze, oszalałem. A ty tego po prostu nie jesteś warta... Słyszałaś, co wtedy powiedziałem. Ty i Sandanato - *to jest* miłosny interes. W pewien sposób zasługujecie na siebie, prawda?

Wstała wściekła, potrąciła krzesło, z ogniem w oczach spojrzała na mnie. Zaciśnęła wargi, pobladła.

- Świetnie! Popelniasz błąd i będziesz musiał z tym żyć do śmierci! Zasłużyłeś na ten błąd co do mnie, okazałeś się prawdziwym draniem. Ale proszę bardzo... możesz osuszyć łzy i umrzeć ze swymi błędami i swoją nienawiścią... ale będziesz się mylił! Mylił co do Kościoła, mylił co do mnie, a co z wszystkiego najsmutniejsze, mylił co do samego siebie...

Odwróciła się szybko ode mnie i na oślep przeciskała przez tłum, klaszczący aktorom. Wciąż widziałem tył jej głowy, gdy nagle przystanęła i krzyknęła, próbując wyrwać się komuś lub czemuś. Byłem bezradny. Rozdzielali nas ludzie.

Wtedy Arlekin z trupy wyskoczył przed nią, przyjął dziwaczną, groteskową pozę, poruszał miednicą, uśmiechając się lubieżnie spod maski. Znowu się odwróciła, próbując odepchnąć go od siebie, gdy starał się do niej przytulić. W końcu, gdy uświadomił sobie, że nie jest zainteresowana grą, wydał z siebie obsceniczny kwik prosto jej w twarz. Widzowie roześmieli się i żartowali z niej. Przepchnęła się przez tłum w ciemność i zniknęła.

Wszystko wokół mnie działo się coraz szybciej, ale siedziałem tam nieruchomo, zastanawiając się, czy to, co mi powiedziała, było prawdą. Trafiła w sedno. Może rzeczywiście potrzebowałem cholernie dokładnie przyjrzeć się sobie, ale psychologiczna introspekcja nie mogła zaprowadzić mnie zbyt daleko. Będę martwił się tym, co się dzieje w mojej głowie później, jeśli ocaleję. Jak powiedziała, miałem resztę życia, by się pozbierać.

Aktorzy z trupy przepychali się przez tłum z powrotem na scenę, gdzie wciągnięto jaskrawo pomalowany wóz. Niektóre światła skierowane na widzów gasły, cichł gwar rozmów turystów, studentów, dzieciaków, mieszkańców miasta i pijaków. Spoglądałem na morze беретów, czapek, klaszczących dłoni i migających fleszy. Reflektory powoli koncentrowały się na wozie i skądś napłynęła muzyka. Miało się rozpocząć następne przedstawienie.

Wstałem i odszedłem od stolika, rozpychając tłum, zwracając tyle samo uwagi na mój monolog wewnętrzny, co na odnalezienie Elżbiety. Co za imbecyl ze mnie, tak wywalić swoje uczucia, *kocham cię!*... Co za idiotyczny bełkot! I jakim jestem niezwykle rycerskim facetem! Oto ona postanowiła zwierzyć się w szczególnie intymny i nieoczekiwany sposób, opowiadając mi, jak zdecydowała się zostać zakonnica, a ja uznałem, że to był najlepszy moment słabości, by wywalić wszystko, pokonać jej obronę, zdobyć jeden czy dwa punkty... Miała rację. Oszalałem. Musiałem ją odnaleźć, przeprosić i wygnać ze swojej głowy. Zrezygnuj, Ben, ona jest zakonnica, na miłość boską...

Tak właśnie rozmyślałem, gdy okrążałem tłum, słyszałem jego okrzyki, paplanie aktorów, wiatr

od Rodanu świszczący przygnębiająco w nagich drzewach. Gdzieś nade mną przy fortecy rozpoczęła się następne przedstawienie, docierały do mnie wybuchy śmiechu. Dokąd, u licha, poszła?

W pierwszej chwili nie uświadomiłem sobie, co widzę, może dlatego, że było to tak nieoczekiwane. Szukałem Elżbiety, ale...

Przez grupy ludzi na placu dostrzegłem Drewa Summerhaysa!

To nie miało sensu. Co on robił w Awinionie? Summerhays powinien spędzać zimę w eleganckim domu przy Piątej Alei, z kotami i kółkiem katolickich przyjaciół, tryskającymi fontannami i barkiem pełnym przednich trunków, albo w domu na Bahamach, który znalazł sobie miejsce w podręcznikach historii. Prezydenci często tam przyjeżdżali na jachcie, by odwiedzić Summerhaysa.

Ale oto stał, wyprostowany jak tyka, w Awinionie!

Odwrócił głowę ku jakiemś mężczyźnie, niższemu, w tradycyjnym zielonym tyrolskim kapelusiku z piórkiem. Tylko tyle widziałem poza postawionym kołnierzem prochowca.

Drew Summerhays...

Rozważałem możliwość, że to jedynie zbieg okoliczności, ale prawdopodobieństwo wydawało się śmiesznie niskie. To nie był przypadek, że Summerhays znalazł się w Awinionie jednocześnie z Dunnem, Ericchem Kesslerem i ze mną. Zatem po co przyjechał?

Zacząłem przedzierać się przez tłum, by się im bliżej przyjrzeć. Co by mi to dało? I dlaczego nie chciałem podejść do niego, porozmawiać z nim, dołączyć do niego? Nie ma o co pytać. Może ludziłem się nadzieją, że to w ogóle nie jest Summerhays, że się pomyliłem, że sprawa nie komplikuje się jeszcze bardziej.

Wszyscy śmiali się i klaskali, a ja przeciskałem się, deptałem im po nogach. Obrzucano mnie niechętnymi spojrzeniami. Zbliżyłem się tak, że dzieliło mnie dwadzieścia stóp od Summerhaysa i jego towarzysza i już nie mogłem mieć żadnych wątpliwości. Summerhays był ubrany w ciemnoszary płaszcz z welwetowym kołnierzem. Nie śmiał się i nie klaskał. Był oschły, chłodny i spokojny, jakby gdzieś w głębi leżała w nim esencja śmierci, wieczny spoczynek. Wyglądał tak, jakby przekroczył swój wiek i stał się czymś innym, nie człowiekiem. Facet w kapeluszu powoli, skrupulatnie obserwował ludzi, szukając kogoś lub czegoś, może połamanych gałązek lub śladów mokasynów. W jednej chwili, nie próbując nawet przemyśleć tego impulsu, postanowiłem z nim porozmawiać. Do diabła, to był Summerhays, mój zaufany mentor...

Podszedłem do nich od tyłu, po czym raptownie zatrzymałem się, w odległości może dziesięciu stóp, wstrzymałem oddech i poczułem, że moja determinacja słabnie i znika. Ponownie zadałem sobie pytanie. Co, u licha, on tu robi? Dlaczego miałbym ufać Drewowi Summerhaysowi? Dlaczego miałbym komukolwiek jeszcze wierzyć? Niespodzianka poganiała niespodziankę. Czułem się tak, jakbym stał w kanale, przyglądając się nadpływającej pieniającej się fali, szczerom piszczącym tuż o krok ode mnie i nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Człowiek w kapeluszu z piórkiem wachlował się gazetą i kiwał w tył i w przód. Welniany metronom kapelusika poruszał się na wysokości ramienia Summerhaysa. Nie mogłem oderwać oczu od piórka odbijającego się od ciemnozielonej wełny. Wtedy ten człowiek odwrócił się i zobaczyłem jego

twarz. Nosił okulary, miał wąsy i oliwkową cerę. Jeden policzek wyglądał tak, jakby dawno temu służył jako tablica do gry w strzałki. Ale nie dało się przeoczyć jego gardła, okropnej, poszarpanej blizny rozciągającej się między podbródkiem a węzłem krawata. Może gra w strzałki była tylko rozgrzewką do podrzynania gardeł. Na rany Chrystusa, Drew... Ten facet stał tam jak najlepszy kumpel Summerhaysa, jednego ze świeckich książy kościoła.

Przyglądając im się z końca mojego prywatnego koszmaru, poczułem się znowu wstrząśnięty tak jak wtedy na plaży w Irlandii. Coś w rodzaju zakonserwowanego, zamrożonego strachu wpełzło do moich żył. Ale coś przewyższającego strach. Macające ramię starego człowieka... Poruszające się piórko na tym śmiesznym kapeluszu... Nie mogłem dostrzec sensu, nie mogłem zobaczyć, gdzie to było i dokąd mogło prowadzić, ale nie chciałem tam iść.

Czekałem zbyt długo.

Summerhays się odwrócił. Zobaczyłem jego twarz przed sobą. A on mnie.

Nasze spojrzenia spotkały się i rozpoznały. Zauważyłem, że kapelusz zatrzymał się. Summerhays dotknął ramienia mężczyzny z oczami wciąż utkwionymi we mnie. Wydawało się, że to trwa wieczność. Znowu przyłapano mnie na ziemi niczyjej. Patrzyłem na palce na rękawie, dostrzegłem kiwnięcie głową i próbowałem zrozumieć. Ale nie mogłem. Coś się działo, ale nie wiedziałem co. Czy Summerhays krzyknął moje imię? Nie usłyszałbym. Ale wiedziałem, że muszę się stamtąd wydostać.

Powróciłem do życia. Z powrotem wepchnąłem się między ludzi, przeciskałem się obok tych samych osób, które przed chwilą niepokoiłem, przepychając się w tamtą stronę. Ktoś mnie skłął, popchnął w innym kierunku ręką trzymającą butelkę wina, które pociekło mi na rękaw, ale wybrnąłem, dotarłem do ciemności za kolorowymi światłami.

Musiałem się wydostać. Rzuciłem spojrzenie za siebie i dostrzegłem ruch. Człowiek w śmiesznym kapeluszu szedł za mną.

Poczułem ciężar w kieszeni płaszcza. Rewolwer.

Był plastikowy. Zabawka.

Musiałem się wydostać.

Bez tchu, z bijącym sercem, zatrzymałem się w wąskiej uliczce, a potem skręciłem w alejkę i oparłem o zmurszały mur. Nawet boczne uliczki były zatłoczone paplającymi turystami i aktorami w najróżniejszych kostiumach, wyglądającymi jak uciekinierzy z planu w Hollywood. Skuliłem się przy ścianie, by złapać oddech. Kiedy podniosłem wzrok, patrzyłem w błyszczące oczy mężczyzny. Twarz okolona kapturem nachyliła się ku mojej. Poczułem stęchły zapach jego oddechu, gdy mruknął i, jak śmierć, wyciągnął rękę. Palcami dotknął mojej twarzy, a ja szarpnąłem się, uderzyłem w głowę i zakląłem.

Znowu coś mruknął, postukał mnie ręką - żebrak przebrany za mnicha. Nie śmierć, jeszcze nie. Odrzuciłem rękę, pchnąłem go. Musiałem go wystraszyć. Utrzymał równowagę na chwilę, kiwając się na obcasach, potem przewrócił się, choć twarz nadal zakrywał mu kaptur.

- Zejdź mi z drogi.

Spojrzał za siebie. Nie przyszedł sam. W uliczce dostrzegłem jeszcze kilka zakapturzonych postaci obserwujących nas jak chór w bardzo złym śnie. Staliśmy wszyscy nieruchomo, kiedy uświadomiłem sobie, że może są to naprawdę mnisi - *penitents noirs* - o których mówiono, że zajmują dwie kaplice w mieście. Widziałem ich przed laty - ciemne postaci maszerujące boso w kapturach ulicami Awinionu. Ich pochodzenie datowało się od czternastego wieku; świeccy, biczownicy, wśród których znajdowano królów Francji. A teraz stali wpatrując się we mnie, czekając na coś. Aktorzy, mnisi czy złodzieje?

Odepchnąłem tego, który do mnie podszedł i ruszyłem na spotkanie pozostałych. Zastąpili mi drogę. Powiedziałem coś ze złością. Niechętnie rozstąpili się w absolutnej ciszy. Spuściłem głowę i zobaczyłem, że ściskam w dłoni rewolwer, widoczny w mroku. Odsunęli się patrząc na mnie i na broń. Minąłem ich, a potem wepchnąłem zabawkę do kieszeni.

Znalazłszy się na ulicy, przepychałem się obok ścian, mijałem ulicznych aktorów szukałem niskiego człowieka. Połykacz ognia na moment zwrócił moją uwagę, gdyż płomienie migotały w ciemności. Gdzie była Elżbieta? Co się stało?

Mężczyzna w tyrolskim kapeluszu stał obok połykacza. Jego twarz nagle oświetliły płonące pochodnie fruujące w powietrzu. Próbował wypatrzeć kogoś w ciemności, a jego wzrok zbliżał się w moją stronę.

Byłem pewien, że dostrzegł mnie, gdy cofnąłem się, wpadając na stoliki wystawione na chodniku, gdzie ludzie siedzieli z winem i kawą, przytuleni do siebie, skuleni z zimna. Minąłem wózek z kwiatami i następną trupę komediantów. Ich maski z haczykowatymi nosami obracały się jak złośliwe ptaki, by mnie zadziobać, wytoczyć moją krew. Oglądając się na widzów zebranych wokół płasającego Arlekina, dostrzegłem człowieka idącego za mną; nagle zatrzymali go *penitents*. Skręciłem za następny róg, gdy on tymczasem próbował się wyswobodzić. Pobiegłem wąską uliczką, znowu się odwróciłem, poślizgnąłem się na bruku, próbując się zgubić.

Musiałem pomyśleć. Musiałem odpocząć. I musiałem odnaleźć Elżbietę.

Summerhays, on jeden ze wszystkich ludzi...

Co go przyniosło do Awinionu? Co wiedział? Jaki był jego związek z niskim człowiekiem? Czy Summerhays wiedział o Ambrose Calderze? Czy wiedział, że ktoś próbował zabić Elżbietę? Czy wiedział o Horstmannie?

Wydawało się, że Drew Summerhays zawsze wszystko wiedział.

Tak zawsze mówił mój ojciec.

Stałem w drzwiach i poczułem, że ziemia się trzęsie - usłyszałem ogłuszający huk. Zobaczyłem ogromny wór z komet i meteorów, błękitnych, białych i różowych, spadających kaskadą z czarnego nieba, rzucających zmieniające się ślady jaskrawych światła. Szarpnąłem się w tył, znowu uderzyłem się w głowę, tym razem o niskie, szorstkie nadproże, po czym znowu poczułem wstrząs, usłyszałem huk i przestraszony odzew z ulic.

To był dopiero początek nie kończącej się salwy fajerwerków, spływających deszczem z

wysokości fortecy. Rozpoczęło się przedstawienie *son et lumiere*, które, jak wcześniej zauważyłem, anonsowano na afiszach i ulotkach rozdawanych przechodniom. Niebiosa wydawały się skręcać i pienić złotem, zielenią, srebrem, czerwienią i oranżem. Trwał nieustanny kalejdoskop potężnych wybuchów.

Nie wiedziałem, gdzie jest niski człowieczek, ale bałem się go, tak jakby był kolejnym wściekłym psem ścigającym mnie bez ustanku w ciasnych, obcych ulicach. Wyglądając z mojej mrocznej kryjówki, dostrzegłem następną grupkę *penitens noirs* zebraną tuż przy małym kościółku, wciśniętym między kawiarenki i sklepy po drugiej stronie placu z wesołą, opryskującą wszystko dookoła fontanną. Dzieci w długich kurtkach wpatrywały się z napięciem - tak jak zakapturzeni mnisi - w piorunującą, cudowną kakofonię barw, rozpiętą nad głowami.

Placyk był zatłoczony. Wszyscy w Awinionie wylegli tej nocy na ulice, by obejrzyć jedno z niezliczonych przedstawień, fajerwerki, by nasycić się widokami i zapachem karnawału. Wybuchy zakłócały noc jak ciężki, śmiertelny ogień.

Nigdzie nie widziałem małego człowieczka ani spiczastej główki jego kapelusza ani piórka. Wtedy zacząłem szukać siostry Elżbiety, zastanawiając się, dokąd mogła pójść. Walczyłem z paniką, której doznałem w Irlandii, z widokiem przyzywającego mnie ramienia brata Leona.

Ruszyłem przez plac w kierunku kościoła. W tej chwili wyglądał tak, jakby go zaniedbano. Stał w ciemności i nie mógł konkurować z aktorami w maskach, ani z artylerią strzelającą z zamku.

Prześlizgiwałem się niepostrzeżenie między zaaferowanymi widzami, przeskakując od cienia do cienia. Wspiąłem się po kilku stopniach i natknąłem na ciężkie drewniane drzwi z metalowymi okuciami. Pchnąłem je tylko na tyle, by wsunąć się do środka. Stałem obłany potem i wpatrując się w ciemność, zamknąłem za sobą drzwi. W środku wydawał się większy niż na zewnątrz, jednocześnie duszny i chłodny, suchy i wilgotny. Unosił się w nim zapach świec, wosku, dymu i kadzidła. W powietrzu panował bezruch. Świece płonęły, równo, nieruchomo, a echo wybuchów fajerwerków wydawało się odbijać miękko o kamienne ściany. Wymacałem drogę wzdłuż ściany, boczną nawą ku ołtarzowi. Filary były popękane, ciężkie, grube. W końcu usiadłem na drewnianym krześle, których dziesiątki ustawiono w rzędy na gładkiej, kamiennej podłodze. Odetchnąłem głęboko. Do diabła, nie miałem dotąd pewności, czy jestem myśliwym czy łupem? Dzisiaj wieczorem odpowiedź była prosta.

Zabrakło mi pomysłów. Siedziałem ogłupiały i obłany potem. Czułem się tak, jak gdyby mój duch wreszcie poddał się w bitwie i zniknął. Rewolwer zabawka w mojej kieszeni uderzył o krzesło obok. Spowodowało to dźwięk, jakby upadł filar. Wszystko wyrwało się spod kontroli. Już nic nie rozumiałem. Kto kogo gonił? Kto wygrywał? Nie, lepiej tego pytania nie zadawać.

Nie wiedziałem, co mam myśleć o Summerhaysie, ale mały człowieczek, któremu po gardle przejechała kosiarka do trawy, wystarczył, bym przestał ufać staremu (mentor czy nie), bym zaczął myśleć o tajemniczym świecie, bezbożnym sabacie nekromantów, spiskujących, spiskujących... jak gdyby Summerhaysowi służyła jego własna, prywatna kuria, jak gdyby był papieżem domowego wyrobu. Ku czemu zmierzał Summerhays? Zawsze miał jakiś cel, dlaczego nie miałby go teraz? Papież umierał, gra się rozpoczęła...

Czułem się tak, jakbym przyglądał się, jak wątki historii starej jak świat znowu zostały ciasno

ściągnięte jak sieć, otaczając mnie jak pułapka, wyduszając ze mnie życie... jak drut zaciskający się na moim gardle.

Czy usłyszałem za sobą jakiś dźwięk?

Coś cichego, ukradkowego, prawie zagłuszonego przez wybuchy huczące na zewnątrz.

Chryste, czy mam halucynacje?

Czy dostrzegł mnie nawet w stłoczonej, szalonej ciżbie na placyku? Czy był tu teraz ze mną? Skąd wiedziałem, że mały człowieczek ma nóż? Co się stało z jego gardłem?

Drzwi frontowe kościoła właśnie się zamykały. Prawie poczułem wtargnięcie powietrza, jak westchnienie, z zewnątrz z placyku.

Ktoś był ze mną w kościele.

Martwy bezruch powrócił. Poszukałem palcami rewolweru zabawki. Odruchowa głupota. Zaplątał się w kieszeni, wysunął z palców i zaklekotał jak domowe srebro na kamiennej podłodze. Cholerna rzecz wydała z siebie taki dźwięk, jakby echo niosło się przez stulecia. Podniosłem go, zczekałem chwilę, a pot kapął mi z nosa. Znieruchomiałem.

Nic.

Zsunąłem się z krzesła i ruszyłem z powrotem w głębokiej ciemności za jednym z filarów. Włosy na moim karku wstały, splątały się, tańczyły i śpiewały piosenkę. Jakoś - przedostawszy się przez atramentowe ulice i pulsujące tłumy - ten cholerny kurdupel odnalazł mnie, zagonił do kościoła.

Doskonale.

Gdziekolwiek się ukrył, okazał się cholernie dobry w zachowaniu ciszy. Słyszałem tylko mój własny oddech i huk eksplozji nad głową. Zaraz wystrzelał fajerwerki, zobaczę błyski, rozproszone za witrażowymi oknami. Ledwie widoczny anioł wydawał się zstępować, schodzić z nieba w wybuchach.

Wtedy usłyszałem słaby odgłos szurania, krok czy dwa, ale mogły dochodzić skądkolwiek, skądś z rzędów krzeseł czy zza moich pleców. Dźwięk sunął wzdłuż ścian, odbijał się od kolumn, jak dziecięca piłeczka rzucona na ulicy. Gdzieś poruszał się - spokojnie, ostrożnie, szukając mnie.

- Panie Driskill!

Znowu znieruchomiałem. Ścisnąłem mój pistolet, przytuliłem się do filara. Skąd dochodził jego głos? Musiałem tylko się ujawnić. I będę martwy.

- Niech pan będzie rozsądny, panie Driskill. Musimy porozmawiać.

Poruszał się na gumowych podszwach, bez dźwięku, jak mgła sącząca się w noc. Cofnąłem się do bocznej nawy, aż poczułem za sobą ścianę. Kiedy tam dotarłem, westchnąłem cicho. Wąska plama szarości leżała na lewo ode mnie, gdzie odrobina nocnego nieba z migocącymi wybuchami i eksplodującymi kolorami przenikała przez wybite kawałki witraża. Gdyby udało mi się minąć tę szarość, mógłbym podążyć wzdłuż ściany i spróbować odnaleźć drzwi, jakieś boczne wyjście z pułapki, którą sam na siebie zastawiłem.

Potrzebowałem wyjścia stąd prosto w noc. Jakiegokolwiek. Jak mnie wyśledził? Miałem pewność, że go zgubiłem... a jednak pojawił się.

Kim był? Kim był dla Summerhaysa?

Pytania wybuchały w mojej głowie jak fajerwerki na nocnym niebie. Czułem się jak biedny, bezradny frajer, który wpadł do jamy z grzechotnikami.

Wyczuwałem ruch, drganie atomów i molekuł, niewidoczne, ciche, ale wtedy wyobraziłem sobie grożące piekło i podjąłem ryzyko. Zrobiłem dwa kroki przez wąską smugę światła, z wstrzymanym oddechem, z ręką w kieszeni ściskającą rewolwer, przyklejając się do ściany, spoglądając wstecz na drogę, którą przebyłem. Dłoń wyłoniła się w mroku i zacisnęła na moim ramieniu jak obcegi. Oddychał bardzo cicho tuż przy moim uchu.

- Panie Driskill, teraz musi być pan bardzo ostrożny... Dokładnie tutaj... jest bardzo ostry nóż. - Poczułem ostrze przyciskające się do marynarki, koszuli i podkoszulka na plecach. Powoli odciągnął moje ramię od kieszeni płaszcza. - Proszę mi oddać pistolet, panie Driskill.

- To jest...

- Szszsz... - Wyjął mi rewolwer z palców. - Och, panie Driskill... to jest... zabawka. - Wręczył mi go z powrotem.

- Proszę być ostrożnym.- powiedział cicho.

Wepchnął mnie w plamę szarego światła. Odwróciłem się bardzo powoli, by zobaczyć go, by zobaczyć bliznę i śmieszny kapelusik. Ale popełniłem błąd. Miałem przed sobą nie tego faceta. Ostrze dotknęło mnie znowu.

- Niech pan wraca do domu, panie Driskill. Niech pan jedzie do domu, a ja będę się za pana modlił. Niech pan jedzie tam, gdzie może pan uczynić coś dobrego. Nie chciałbym pana skrzywdzić. Pana. Tej zakonnicy. Proszę po prostu... wyjechać.

Unieruchomił mnie swymi oczami bez dna. Słabe światło odbijało się w płaskich szklach. Horstmann. Odszedł. Byłem sam w kościele.

Stałem na końcu błotnistej alejki, pełnej kolein, śliskiej, nasłuchując psów wyjących do księżyca, wyglądającego zza przesuwających się chmur. Zaparkowałem wynajętego citroena na mokrym, wciągającym jak bagno zakolu, tak jak poinstruował mnie Dunn. Zadzwoił do mnie wkrótce potem, jak wróciłem do hotelu.

- Do diabła! Skąd mam wiedzieć, czy to jest właśnie ta błotnista alejka? - Próbowałem panować nad swoimi nerwami. Miałem za sobą naprawdę trudne kilka godzin.

- Wszystko z tobą w porządku? Twój głos jest marniutki...

- Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział.

- Dobrze, musisz się uspokoić i zapamiętać. Czy jest z tobą siostra Elżbieta?

- Niezupełnie. A teraz powtórz mi, która to błotnista alejka?

- Po prostu zaparkuj samochód - powiedział - wysiądź i wstrzymaj oddech. Usłyszysz szczekanie psów. Jeśli ich nie usłyszysz, to znaczy, że jesteś w złym miejscu. Załóż kalosze, chłopcze.

Usłyszałem psy i odwróciłem się w stronę absurdalnie małego samochodziku, gdzie Elżbieta siedziała spokojnie, wyglądając przez okno na podnoszącą się z mokrych pól mgłę. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy, odkąd odnalazłem ją w holu hotelu. Już nic nie zostało do powiedzenia. Byłem jej winny przeprosiny, ale przekraczało to moje siły. Wiedziałem, że miałem co do niej, jej Kościoła i jej priorytetów rację; nie mogłem złamać się wobec faktu, że też jest istotą ludzką, która zaufała mi, rozmawiała ze mną. Nie o to chodziło.

Chciałem opowiedzieć jej, co mi się właśnie przydarzyło. Summerhays, człowiek z poszarpanym gardłem. I Horstmann czekający na mnie. Horstmann ściskający moje ramię...

Horstmann.

Kiedy uświadomiłem sobie, że odszedł, zrobiło się już zbyt późno, by go odnaleźć. Nie było po nim śladu w tłumie na placyku przed kościółkiem. Ani śladu Summerhaysa i jego towarzysza.

To mogło mi się przyśnić. Czułem się, jak gdyby to był tylko zewnętrzny dowód, że żyję we śnie, ale oczywiście nie miało to nic wspólnego ze snem. Czułem się jak właściciel hotelu „Zacisze” - Basil Fawltly, który ma zły dzień, ale łudzi się, że to sen, wali głową w maszynę do pisania i dochodzi do wniosku: nie, nie, to rzeczywistość. Nie, nie, to rzeczywistość. To był Summerhays, to był Horstmann i bardzo chciałem opowiedzieć o wszystkim Elżbiecie, ale nie mogłem.

Zdołałem jakoś poradzić sobie z tym, co się stało w ciągu ostatnich dwóch godzin. Nie mogłem zrozumieć tego, co się nie zdarzyło.

Wciąż żyłem.

Miał mnie samego w kościele.

Ale wciąż żyłem. Nie potrafiłem wymyślić żadnego wyjaśnienia, które by miało jakiś sens. Scena była zasłana martwymi ciałami. Dlaczego mojego tam nie ma?

Co powiedziałaaby Elżbieta? Chciałem jej opowiedzieć, ale nie było szans.

I stałem po kostki w błocie, bez kaloszy oczywiście, spoglądając na sto jardów bardzo złej drogi w kierunku niewyraźnego kształtu w nocy i mgle. Byliśmy trzydzieści jeden kilometrów od Awinionu i znowu zaczęło padać. Tonałem w błocie. Ale przemierzyłbym znacznie gorszy szlak, by pogawędzić z Erichem Kesslerem.

Przez telefon Dunn powiedział mi trochę, włączając w to informację, że Kessler nalegał, by zwracano się do niego używając jego nowego nazwiska - Ambrose Calder. Był, biorąc wszystko pod uwagę, w świetnej formie, bardziej aktywny w ostatnich latach, niż Dunn się spodziewał. Od dawna kierował tajną siatką własnych agentów. Płacił im z anonimowych kont, które założył sobie w końcowym okresie służby w CIA. Wysyłał ich jak elektroniczne sondy i czujniki w ciemne, niedostępne zakątki Europy. Postarał się, by jego wcześniejsi pracodawcy, prześladowcy i wrogowie pro forma dowiedzieli się, iż coś planuje. Tyle że nie wiedzieli dokładnie co, a ta niewiedza ich przerażała, zatrzymywała w klatkach. I co jakiś czas tajni emisariusze odwiedzali go, z Langley i z Watykanu, by go surowo napomnieć, ale on wiedział, wszyscy to wiedzieli, że jest absolutnie bezpieczny. Udzielali mu nagany albo zasięgali jego rady. Jego istnienie pozostawało tajemnicą, choć wciąż był obserwowany i uznawano, że jest zbyt niebezpieczny, by go zabić. Ambrose Calder mógł naprawdę oddać cios i zniszczyć z za grobu. Zastanawiałem się, czy Elżbieta prawidłowo odgadła jego trzecią tożsamość? Arcyksiężę?

Nikt nie wiedział na pewno, co ukrył w bankowych skrytkach depozytowych w Zurychu, ale nikt nic nie zrobił, by podjąć ryzyko zabicia go i dowiedzenia się z prasy, co tam było. Dlatego uważano go za jednego z najbardziej chronionych ludzi na naszej planecie. Jego śmierć w cichej, spokojnej sypialni z psem u stóp wydawała się mniej lub bardziej zapewniona przez kilka najlepiej wykwalifikowanych służb wywiadowczych na świecie.

Tylko renegat chciałby go zabić i ryzykować rozpętanie burzy. Dlaczego zatem był na liście Val?

Wróciłem do samochodu i postukałem w przednią szybę.

- Chodź - powiedziałem. - Jesteśmy na miejscu.

Ambrose Calder był chudym mężczyzną o szyi i rękach z widocznymi ścięgnami. Jego wąską szczękę pokrywał dwudniowy zarost. Miał siwiejące bokobrody i brwi jak unoszące się do lotu pasemka waty. To była twarz człowieka żyjącego na świeżym powietrzu, wynik hodowania psów, twarz poczerwieniała od wiatru, z popękkanymi żyłkami rozciągającymi się na obciążonych skórą kościach policzkowych. Jeden z jego psów spoglądał na niego, jakby zastanawiał się, czy powinien szczekać czy nie na tych wszystkich intruzów. Poza warknięciem, które zaraz ucichło, i pojedynczym szczeknięciem, można by w ogóle się nie domyślić, że jest tu tyle psów obronnych. Calder pił śliwovicę jak wodę, prawdopodobnie na uśmierzenie bólu.

- I co - powiedział - przyjechaliście do mnie, by dowiedzieć się, czy wiem, kto zabija waszych katolików.

- Chcemy wiedzieć raczej więcej - odparła Elżbieta.

- Tak, tak - przytaknął, odganiając ją jak muchę. - Chcicie wiedzieć dlaczego. I chcecie wiedzieć, kim był Simon. Ojciec Dunn wszystko mi powiedział wprost. A ja mówię, jacy z was ciekawscy ludzie! I

zrozumiali! A niby dlaczego miałbym wam to wszystko powiedzieć? Gdzie są imadła i elektrody? Dobrze, mam zamiar wam powiedzieć, co mogę, a przyczyna jest dość prosta - nie ma innej możliwości, byście na tym świecie się tego wszystkiego dowiedzieli. A ja na starość staję się sentymentalny i lituję się nad dziećmi, które przez przypadek dostały się do gry dorosłych. Rozumiecie? Pomagam wam, bo uczciwa walka jest zawsze lepsza. Poza tym chyba jestem ciekawy, ile zamieszania spowodujecie! A Kościół i jego przekonanie o własnej ważności bawią mnie. I dlatego umieszczę was - miauczące kotki - w jaskini lwów. Czy staniecie się ich obiadkiem? Czy wystraszyście gołębie, aż pofruną? Czy spłoszycie lwy z ich wielkimi krwawymi pazurami? Wybaczcie mi, porywa mnie wyobraźnia. Ale zanim mi podziękujecie, poczekajcie i sprawdźcie, czy nasze spotkanie przyniosło wam pożytek. - Wyciągnął rękę, a jego lokaj włożył cygaro niewiele mniejsze od baseballowego kija w potężne palce. Calder pociągnął zapalką o paznokciec kciuka z otoczką brudu i patrzył, jak zapłonął ogień. Zapalił cygaro i wydmuchnął gęstą chmurę dymu.

- Odpowiedzi tego rodzaju nigdy nie są proste i oczywiste - powiedział. - Och, czasami bywają prostsze i bardziej oczywiste niż inne, gdy masz do czynienia z drogą starą Moskwą. Zawsze kończy się na tym, że postępują prymitywnie, choćby się nawet bardzo starali. Musicie się strzec Anglików - to są inteligentne, uzdolnione diabły w tych sprawach. Zajmują drugie miejsce na świecie w kłamstwie. Leżec, Foster - powiedział do psa. - Dobry piesek. Nazwałem go po Dullesie. Chociaż pies jest lojalny. Ale nawet Brytyjczycy, zdradliwi i na szczęście obdarzeni tym okropnym, ironicznym poczuciem humoru, nie mogą równać się z Kościołem, Watykanem... Między nimi znajdziecie kłamców, spiskowców, profesjonalistów. Ich cały świat to domek z kart. Jeden podmuch wiatru rozumowania rozwała to draństwo i wysłała do nieba. A jednak ich wola potrafi utrzymać karty na miejscu, nadać im kształt i wagę. To wielkie złudzenie, które sprawia, że najpotężniejsze świeckie imperia wydają się w porównaniu z Kościołem dziecinne i bezradne. Podziwiam ich za to, jakim są byłem. My wszyscy biorący udział w tym interesie złudzeń musimy w końcu stać się byłem, przynajmniej jako zawodowcy. To my nadużywamy dobrego imienia bydła. - Jego uśmiech był bardzo wąski i zaskakująco mało uśmiechnięty.

- Odrobiliście nieprawdopodobną pracę domową. Papiery Torricelliego, poradzenie sobie z jego siostrzeńcem kretyńcem - jego naprawdę powinno się zwyczajnie zarżnąć, obraża dobry smak - stary Paternoster, wielki cwaniak... Brat Leon... i pani, siostrze, co za efekty grzebania w Tajnych Archiwach! Nie można ich nazwać inaczej jak fantastyczne! Mój Boże, jak oni nienawidzą kobiet! A niedyskretny pamiętnik D'Ambrizziego sam znajdujący drogę do ojca Dunna - prawie dowód, że - jak zakładam - wspomaga was jakaś wyższa siła i macie przeciw naprzód. Zrozumcie, to dzięki tej całej robocie jesteście tu dzisiaj. Ojciec Dunn był nadzwyczaj przekonującym adwokatem. Piję na waszą cześć. Za waszą trójkę!

- Niech pan posłucha - odezwał się. - Tu chodzi o moją siostrę. Pojmuje pan? Oto dlaczego jestem tutaj. Kościół dla mnie nic nie znaczy. Kościół zabił moją siostrę. Była jedną z jego oddanych sług, a on ją zabił. Zacząłem szukać tego sukinsyna, który pociągnął za spust. Ale jakoś śmierć mojej siostry zagubiła się w tym bezbrzeżnym bagnie... Odwróciłem kamień Kościoła, a tam pod spodem syczy, pulsuje i gnije. Stoję w tym gnoju - D'Ambrizzi, Torricelli, naziści - jak pan to określił, jestem nim pokryty - ale chcę dopaść człowieka, który zabił moją siostrę. Nazywa się Horstmann i ja... ja... -

Machnąłem ręką i wstałem. Pies zdecydował, że chociaż wykończony i zdenerwowany w zasadzie się pozbierałem. Podszedł i wcisnął mokry, zimny nos w moją dłoń.

- Jak się masz, Foster? - spytałem.

Ambrose Calder wysłuchał mnie, przyglądając mi się przez chmury dymu. Był ubrany w smoking. Siedział w fotelu na kółkach mającym oparcie i poręcze z wikliny. Fotel popychał młody człowiek, również w stroju wieczorowym, który przypominał wyglądem śledczego ze służby bezpieczeństwa. Kiedy Calder miał już swoje cygaro, mężczyzna spokojnie odszedł.

- Rozumiem, panie Driskill. Na pana miejscu, podejrzewam, czułbym się mniej więcej tak samo. Ale to fakt, że szukając swojej siostry, musi pan ponieść konsekwencje. *Odwrócił* pan kamień. *Stoi* pan po kolana w gównie. Albo proszę na to spojrzeć z innej strony - to jest tak jak z dzinnem w butelce. Kiedy wydostanie się na zewnątrz, nie ma sposobu, by go wepchnąć z powrotem. A kiedy pan przedrze się przez ten cały galimatias, *jeśli* naprawdę się pan przedrze, to może dopnie pan swego pierwszego celu... Kto wie? - Napił się z kieliszka śliwownicy. - Już nie można zawrócić. Pańskie życie się waży, panie Driskill. Ale jestem pewien, że pan jest tego świadomy. Sztuczka polega na tym, by nie potknąć się o kamień...

- Oto - odparłem - dlaczego jestem tutaj.

Calder roześmiał się, odwrócił się do ojca Dunna i obojętnym tonem zaczął mówić o czasach drugiej wojny światowej, jakby na chwilę zapomniał o Elżbiecie i o mnie.

Dom był przeogromny, stary, miejscami zrujnowany i ocieniony świerkami. W ogóle nie mogłem sobie wyobrazić, jak wygląda w dziennym świetle. Centralne ogrzewanie nie docierało do rogów pokoju, gdzie panował ziąb, ale huczało płonące drewno na wielkim kamiennym palenisku wypędzając ze mnie wszelki chłód. Na stole stało pudło cygar Davidoffa, bardzo stara, zakurzona butelka koniaku, kryształowe kieliszki i wielkie popielniczki z rżniętego szkła. Calder obciął koniuszek grubego cygara i podsunął mi jedną z popielniczek.

- Proszę, zrobiłem już wszystko. Zostało panu tylko je zapalić. A teraz powróćmy do naszego przyjaciela Simona Verginiususa.

Koncert wiolonczelowy Kabalevskiego sączył się romantycznie z wysokich głośników, gdy zaczęliśmy docierać do celu...

Elżbieta opisała najpierw, jak natrafiła na notatnik Val z pięcioma nazwiskami - ofiarami morderstw. Calder słuchał jej uważnie z zaciśniętymi na cygarze szczękami. Ponownie napełnił kieliszek śliwownicą i oblizał wargi.

- Claude Gilbert - zaczęła wymieniać - Sebastien Arroyo, Hans Ludwig Mueller, Pryce Badell-Fowler, Geoffrey Strachan. Wszyscy zostali zamordowani w ciągu ostatnich dwóch lat. Wszyscy byli zaangażowanymi, gorliwymi katolikami. Ludźmi wyróżniającymi się. Wszyscy spędzili jakiś czas w Paryżu w czasie wojny lub po niej... Ale - co ich ze sobą łączy? Chodzi mi o to - co jeszcze? Dlaczego musieli zostać zabici? I dlaczego teraz?

- Na tej liście widnieją cztery nazwiska i jedna „dzika karta” nie wiążąca się z pozostałymi -

przynajmniej nie w ten sposób, jak inni się ze sobą wiążą. Badell-Fowler prawdopodobnie został zabity ze względu na swoją pracę, studia nad *assassini*, jak to odkryliście. To go w pewien sposób eliminuje. Wiedział o *assassini* i z tego powodu musiał zginąć - ton głosu Caldera stawał się coraz bardziej rzeczowy, mniej żartobliwy. Wszedł właśnie na swoje pole i znał tam każdy kamień. - Pozostała czwórka - obawiam się, że złapaliście za zły koniec kija. Tak, są ze sobą powiązani, ale w całkiem inny sposób, niż zakładacie. Są to katolicy, tak, ale wyróżniający się w pewien szczególny sposób. Rekin interesu z Madrytu, żeglarz, ważny człowiek w Kościele - Arroyo. Ale czy wiedzieliście, że był bardzo blisko związany z samym generalissimusem Francisco Franco? O tak, tak, bardzo dobrze się znali. Był doradcą generalissimusa w wielu dziedzinach.

- Mueller, Niemiec. Naukowiec, służył Rzeszy w czasie wojny - w Abwehrze. Znałem go dość dobrze. Ale należał do tych lękliwych - człowiek partii. Pod koniec wojny krążyła plotka, że aresztowano go za spisek przeciw Hitlerowi. A jednak udało mu się uniknąć powieszenia na haku rzeźniczym, przeżył wojnę, wrócił do zawodu jako Herr Doktor Professor. Katolik, tak, oczywiście. Miał zawał, po którym już nie wrócił do dawnej, dobrej formy. Najbardziej interesującą kwestią w tej sprawie spisku przeciw Hitlerowi jest to, że Mueller był wtyczką. Czy ten termin jest wam znany? Nie? Jak to nazwać inaczej? Kapusiem. Był wtyczką gestapo wśród prawdziwych spiskowców - bardzo gorliwym ochotnikiem, człowiek Abwehry w operacji gestapo... Zdradził spisek, oczywiście na tym polegało jego zadanie, i dostał za to medal. Raz byłem jego oficerem kontaktowym. Wiedziałem o operacji. I spędził trochę czasu w Paryżu w czasie okupacji.

- Popatrzmy dalej... Ojciec Gilbert, ksiądz z Bretanii. Jego wierni parafianie byli cholernie blisko załuczenia go po lądowaniu sprzymierzonych w Normandii. Jego problem polegał na tym, że nie był żołnierzem. Raczej kochankiem. Wymyślił sobie, że najlepiej będzie, jak pogodzi się z chłopcami, którzy wszystkim rządzą. Kiedy Hunowie spakowali się i uciekli, niektórzy z jego krajanów Bretończyków przyjęli raczej ponury punkt widzenia na jego działalność w czasie wojny. Kolaborant - mówili o nim, a kiedy mu to wyjaśniali, mieli skłonność do trzymania w rękach harpunów i rzeźniczych toporów. Był bardzo blisko... Kilku chłopców wytarzało go w smole i pieprzu. Przez rok w Rzymie wracał do zdrowia, potem znaleziono mu trochę bezpieczniejsze zadanie i zasiadł do pisania wypełnionych kazaniem niezbyt obszernych tomów zmyślonych wspomnień, dzienników wiejskiego proboszcza... Większość pieniędzy, które dzięki nim zarobił, płynęła do jego protektorów - Legionu Kondor - *Die Spinne* - i ludzi w tym typie: starych nazistów.

- I Geoffrey Strachan - człowiek z MI5. Sir Geoffrey. Z pełnymi honorami, ale wyprawiony na zieloną trawkę w stosunkowo młodym wieku, wysłany do rodzinnego zamku w Szkocji. Niewiele o nim słyszano w ciągu ostatnich trzydziestu lat jego życia. Skąd tak wczesna emerytura? Niektórzy zadawali to pytanie. Cóż, był tam pewien maleńki problem, zamieciony pod stary dywan. Strachan przebywał przed wojną w Berlinie. Wrócił, by doradzać premierowi Chamberlainowi, towarzyszył mu w podróży do Monachium... Kłopot polegał nie tylko na tym, że Strachan był agentem Trzeciej Rzeszy, bardzo blisko związanym zarówno z Doenitzem, jak z Canarisem. Jeździł na polowania na niedźwiedzie z Goeringiem. Anglicy odkryli prawdę w 1941, wykorzystali go do własnych celów, zachowali pełną dyskrecję i

odesłali na emeryturę nie ryzykując skandalu. Najwyraźniej nie było wtedy tak dociekliwych dziennikarzy jak teraz. W latach pięćdziesiątych tak bardzo martwili się czerwonymi szpiegami, że stary nazista wydawał się całkiem w porządku, rozumiecie, prawda?

Popiół z cygara miał już dwa cale długości. Calder przyglądał mu się z przyjemnością, jakby mu było żal się z nim rozstać. Ostrożnie złożył go na środku jednej z ciężkich popielniczek przyglądając się, jak spada.

- Czy teraz - zapytał - zaczynacie rozumieć? Spróbujcie uświadomić sobie, jak bardzo jest ten świat skomplikowany. Ci ludzie nie byli zwyczajnymi członkami kościoła... Należeli do większego świata, świata przeciwstawnych celów, metod i motywów.

Tak, wszyscy byli katolikami, w latach czterdziestych docierali do Paryża. Czy wiedzieli coś o *assassini*? Może. Niektórzy tak, jestem pewien. Ale nie z tego powodu zostali powiązani... w czyimś umyśle, w umyśle kogoś, kto chciał ich uciszyć na zawsze. Moi drodzy, kluczem jest fakt, że wszyscy byli związani z nazistami. Oto dlaczego musieli umrzeć. Katolicy, którzy pracowali dla nazistów. Ja wiem. Moim zadaniem było wiedzieć. Rozumiecie? Oczywiście dzięki córce LeBecq'a i papierom Torricelliego, że istniał wtedy związek między Kościołem a Rzeszą. Ja jedynie dodaję kilka informacji do waszych zbiorów. Ci czterej wiedzieli o tym związku, wiedzieli o tym, co panna LeBecq określiła jako wzajemny szantaż... i właśnie dlatego musieli umrzeć.

Wszędzie, gdzie patrzyłeś, za każdym razem, gdy patrzyłeś, wszystko się zmieniło. Nigdy nie było dość czasu, by przyzwyczać się do sytuacji. Ofiary morderstw z listy Val właśnie zmieniły się z męczenników, zarzniętych niewinnych, w cynicznych drani, którzy żyli cholernie długo darowanym czasem. Zostali usunięci. Inny człowiek usuwał ślady swej przeszłości. Pisał własny życiorys od nowa.

- Z całą pewnością nie może pan sugerować, że Curtis Lockhardt był nazistą - odezwała się Elżbieta.

- Oczywiście, że nie, siostrzo. Z pewnością był to wystarczająco sprytny, wielki gracz, nie cierpiał popierać przegrywających, dlatego czasami po trochu wspierał wszystkich. Ale wydawało mi się, że powód zamordowania Lockhardta stał się w swoim czasie oczywisty. - Wetknął palce za wykrochmalony kołnierzyk i rozluźnił go. Ogień płonął. - Był zbyt blisko związany z siostrą Valentine. Musiała umrzeć za to, co wiedziała. Musiał umrzeć, bo może mu powiedziała... to prawie na pewno było przyczyną zaatakowania obecnego tu pana Driskilla. Obawa, że może mu coś przekazała. A pani, siostrzo Elżbieto, została pani wyznaczona do swego wielkiego lotu, bo dowiadywała się pani zbyt szybko i nie wykazywała oznak powrotu zdrowego rozsądku. - Jego twarz zaczerwieniła się od śliwownicy i od gorąca, ale świetnie się bawił. Co jakiś czas mrugał do ojca Dunna, który uśmiechał się do niego cierpliwie.

- Zastanawiam się - powiedziałem - nad listą Val. Dlaczego pańskie nazwisko było na szóstym miejscu. Pańskie poprzednie nazwisko, oczywiście. Jest pan jedyną osobą, której nie dotyczy najważniejszy element - nie został pan zamordowany.

Na zewnątrz zaczęły szczekać psy. Wzmógł się wiatr.

Calder podjechał fotelem do okna, odciągnął zasłonę i zapatrzył się w ciemność.

- Czasami się denerwują - stwierdził.

Nie mogę pozbyć się jednej myśli.

Ktoś wymazuje swoją przeszłość. Ludzie zostają usunięci, przeszłość napisana na nowo... Ktoś...

Ktoś, kto chce zostać papieżem.

Przyszedł służący Caldera. Dołożył do ognia, zrobił porządek z żarem. Przyniósł szal swemu panu.

- Moje krążenie nie jest już takie jak dawniej - powiedział cicho nasz gospodarz, a potem zwrócił się do służącego. - Zajmij się psami. Niech Karl sprawdzi teren, przejdzie wzdłuż żywopłotu. Zwykły obchód.

- Czy mógłby pan odpowiedzieć - spytałem - na pytanie o Simona Verginiusa, spisek Piusa, tożsamość mężczyzny w owym fatalnym pociągu...

- I o psa, który wtedy czekał? Zaczyna pan przypominać Sherlocka Holmesa, panie Driskill.

- ... i o tożsamość kogoś, kto nazywał się Arcyksiążę?

- Czuję się, jak kelner przyjmujący zamówienie. Ale, ale... - podniósł kościstą rękę, by nie dopuścić do moich przeprosin - czy nie jesteśmy tu u diabła po to, by pogawędzić o starych czasach? Cóż nam zostało innego dawnymi dniami... to *były* dni, zapewniam was. Od kogo chcecie zacząć? Powiem wam, co wiem... W porządku, ojczy? - Popatrzył na Dunna, który skinął głową.

- To wszystko zaczyna się od Simona Verginiusa - powiedziałem.

- I może właśnie na nim się kończy? W porządku... Sprawozdanie Ambrose'a Caldera, nieboszczyka Trzeciej Rzeszy, będzie kontynuowane. - Nagle uderzył dłonią w stół. Zabrzmiało to jak wystrzał. - Achtung! - Po raz pierwszy mówił jak Niemiec. Przedtem nie było ani śladu akcentu, może poza ledwie słyszalnym brzmieniem europejskim, czymś nieokreślonym. - My mamy zpozoby szeby wasz smusić do muflenia... - roześmiał się. - Tak mówili Niemcy w starych amerykańskich filmach... Byłem jednym z tych Niemców. - Westchnął. - Dawno temu. Tak, jeśli chodzi o Simona Verginiusa...

Dunn wziął jedno z cygar, nie mogąc się opierać dłużej pokusie. Elżbieta siedziała przy ogniu, ze skrzyżowanymi nogami, rękami obejmowała kolana. Jej oczy, zielone i bystre, wydawały się nie odrywać od niezwyklej twarzy Caldera. Koncentrowała całą swą niezwyklej energię, jak laser.

- Wiecie oczywiście, po co Simon przyjechał do Paryża z misją od papieża Piusa... By zorganizować grupę *assassini*, co było łatwiejsze w tamtych czasach niż można by sobie wyobrazić w czasach spokoju. Nazwa „Spisek Piusa” odnosiła się z pewnością do planu Ojca Świętego wykorzystania *assassini* w realizowaniu polityki Kościoła. Simon Verginius pracował przez biskupa Torricelliego, dzięki niemu nawiązywał kontakty z władzami okupacyjnymi - a ponieważ działałem w wywiadzie, dowiedziałem się wszystkiego; oczywiście od strony niemieckiej wiedzieliśmy, że Simon współpracował z partyzantami. Pius asekurował się na dwie strony, ale chciał, by Kościół miał swój udział w łupie, zwłaszcza w podziale zagarniętych dzieł sztuki, tak jak w rozdziale złota, biżuterii i tak dalej. Ale sztuka była najważniejsza. Myśl o Goeringu i Piusie kłócącym się nad Tiepolo zawsze mnie bawiła. Chciwi faceci. Rozerwaliby to raczej na strzępy, niż oddali innemu.

- Simon poróżnił się później z nazistami. To wiemy, to *ja* wiem. Szczerze mówiąc, wierzę, że

nigdy nie miał serca do wyznania mu co myśli. To nie leżało w jego naturze - przyjechać do Paryża i robić za Niemców ich brudną robotę. Pius popełnił błąd - stary drań nie popełnił ich zbyt wielu, ale ten mści się od wielu lat. Po prostu wybrał nieodpowiedniego człowieka.

- Nie tak po prostu - stwierdziła Elżbieta.

- Nie tak po prostu - powtórzył Calder. - Rabunek, zabijanie, związki, naziści - Kościół... to wszystko tworzyło doskonałą podstawę do wzajemnego szantażu. Mogli być uczciwi czy nieuczciwi, jak wolicie, w długich, zakurzonych korytarzach czasu tak długo, dopóki gracze pozostawali przy życiu i na swoim miejscu. Cóż, niektórzy z nich nadal są na swoim miejscu i Simon zna ich wszystkich...

- Zatem Simon nadal żyje? - Dunn odchrząknął, by dać do zrozumienia, że nie śpi i bierze udział w grze.

Calder znowu się uśmiechnął.

- Simon znał wszystkich wtedy, czyż nie? Torricelliego, LeBecq, brata Leona, Augusta Horstmann'a i wielu, wielu innych. Simon znał wszystkich, ale tylko wybrana garstka wiedziała, że jest legendarnym Simonem, Simonem, o którym D'Ambrizzi powiedział, że to wielu ludzi.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąłem kopertę. Położyłem ją na stole. Zwróciło to uwagę Caldera.

- Przyniósł pan rekwizyt! - zawołał. - Punkt dla pana, panie Driskill. Sam kiedyś amatorsko parałem się teatrem. Dawno temu. W wojsku. Zawsze mówiłem, że stary aktor jest tak dobry jak jego rekwizyty! Coś tam jest?

Otworzyłem kopertę i wyciągnąłem stare zdjęcie, od którego wszystko się zaczęło. Poglądziłem je. I popchnąłem w stronę Caldera. Jego oczy podążyły za kawałkiem papieru z pozaginanymi rogami - z innej epoki, z innego świata.

- Moja siostra wiedziała, że jest w strasznym niebezpieczeństwie - powiedziałem. - To jest jedyny trop, jaki mi zostawiła.

- Nic więcej?

- Nic.

- Pokładała w panu wielką wiarę, panie Driskill.

- Dobrze mnie znała. Wiedziała, że ją kocham. Wiedziała, że nigdy nie wiem, kiedy przegram. Wiedziała, że zdjęcie będzie dla mnie początkiem...

- Ale reszta zależała od pana. - Wziął zdjęcie.

- Torricelli, Richter, LeBecq i D'Ambrizzi - wyrecytowałem, jakbym odmawiał litanię. - Cały czas zastanawiałem się, kto mógł zrobić zdjęcie. To Simon, prawda?

Gęste krzaczaste brwi Caldera uniosły się, a oczy powędrowały w moim kierunku. A potem zaczął się śmiać głośno. Znał dowcip, o którym ja nie słyszałem. Spojrzałem na ojca Dunna. Wzruszył ramionami.

- Nie, nie - stwierdził Calder, uspokajając się. Oczy mu łzawiły. - Nie, panie Driskill, to jedno mogę panu powiedzieć z absolutną pewnością. Simon Verginius na pewno nie zrobił *tego* zdjęcia. I

- A co w tym tak cholernie śmiesznego?

Calder pokręcił głową.

- D'Ambrizzi opisał historię Simona w tych papierach, co je zostawił w Ameryce - czy to prawda? Tak. Ale powstrzymał się przed odkryciem tożsamości Simona. A Horstmann zabił brata Leona, zanim ten zdążył powiedzieć panu, kim jest Simon... To prowadzi do przekonania, że Simon pragnie pozostać anonimowy. - Uśmiechnął się szeroko. Wydawało się, że zaraz znowu wybuchnie głośnym śmiechem. - Naprawdę nie wiecie, kim jest Simon...

- Skończmy z tymi bzdurami - przerwałem. - Kto to jest?

- *W Ambrizzi, oczywiście.* Simonem jest nasz stary Święty Jasio! Szczwany stary drań! Musicie to zrozumieć. Z całą pewnością. D'Ambrizzi chce zostać papieżem... i był Simonem... jest mordercą... współpracował z nazistami... i nic z tego nie może teraz wyjść na jaw, więc musi znowu stać się mordercą. A kto będzie dla niego lepszym instrumentem jak nie człowiek, który kiedyś dla niego zabijał? - Westchnął a wiklina w jego fotelu zatrzęszczała pod jego ciężarem. - Jest to koszmar ze względu na stosunki międzyludzkie, panie Driskill, jeśli mnie pan rozumie! - rzekł i znowu zaczął się śmiać.

- Mówi mi pani, siostró, że nie ma sukcesów w śledztwie prowadzonym przez Watykan. Cóż, a niby dlaczego miałyby być? To dopiero śmieszne! D'Ambrizzi udaje, że wierzy, iż *assassini* zawsze byli legendą, a Simon Verginius mitem! Simon, czy raczej nazwijmy go D'Ambrizzim, prowadzi śledztwo przeciwko sobie samemu. Jego zadaniem jest zacieranie linii śledztwa. Papież umiera - a więc jak starannie może nadzorować śledztwo? D'Ambrizzi jest za wszystko odpowiedzialny. Kiedy osiągnie swój sukces zgodnie z planem, zabójstwa ustaną. Uśpiony agent, Horstmann, znowu pójdzie spać. Pomyślcie - kiedy zaczęły się morderstwa na liście Val? Kiedy D'Ambrizzi dowiedział się o chorobie papieża! Ja tak to rozumiem. Choroba pociągnęła za sobą morderstwa! Będę szczery - jeśli uda się wam znaleźć skuteczną modlitwę, proponuję, żebyście modlili się za siebie i może nawet przeżyjecie to wszystko.

- Arcyksiążę - powiedziałem. Mój umysł kołował zamroczony jak pijany nad ranem w sylwestra, ale chciałem posuwać się do przodu.

- Ach, tak, Arcyksiążę. No i tu mnie macie. Miałem powody, by go znać - choć tylko z daleka, tylko jako Arcyksięcia. Nigdy go nie widziałem, nigdy z nim nie rozmawiałem, poza jednym razem w zbombardowanym kościele na przedmieściach Berlina. Nie wiem, jak tam się dostał, ani jak wyjechał. Chciał się ze mną zobaczyć, chciał osobiście odebrać ode mnie raport. Miał wycucie dramatyzmu. Schował się w konfesjonale. Wszedłem, nie widziałem go, padał deszcz i było zimno. Dach kościoła został zburzony i w środku unosił się ten okropny odór spalonego drewna, które przemokło... Arcyksiążę. Czy miał do czynienia z Torricellim, dlaczego przy jego nazwisku był wykrzyknik, co LeBecq i inni mieli z nim wspólnego, nie mam pojęcia. Arcyksiążę. Kto wie? W końcu był jednym z najbardziej tajemniczych ludzi... znacznie bardziej niż ja. Tacy ludzie spędzają całe życie w głębokim ukryciu.

Jak Drew Summerhays... Jak sam Kessler, tak jak Dunn opisał go w Paryżu.

Trwało to tak długo, ale w końcu zaczęło nabierać sensu.

- Jeszcze jedno - powiedział ojciec Dunn. - Nie mogę przestać o tym myśleć... Może to nic nie znaczy, ale irytuje mnie, że nie wiem... kim był człowiek w pociągu, którego Simon zamierzał zabić? Czytałem sprawozdanie D'Ambrizziego z działalności Simona, a teraz pan mówi, iż D'Ambrizzi i Simon

to ta sama osoba - cóż, może tak, może nie...

- To jest ta sama osoba - powiedział Calder łagodnie.

- Kim więc był ów ważny człowiek w pociągu? Calder wzruszył ramionami.

- To mogła być jakaś gruba ryba z Rzeszy. Tak podejrzewam. Goering albo Himmler, ktoś w tym stylu. Albo jakiś ważny kolaborant - ale nie, raczej stawiałbym na jakiegoś hitlerowca o wysokiej randze. To nie była moja działka. W końcu, co to za różnica?

- Ojciec LeBecq uznał to za dość ważne, by zdradzić - odparłem. - Czy pan wie, gdzie mieściła się kwatera główna Arcyksięcia?

- Londyn. Potem Paryż.

- A ten człowiek - odezwała się siostra Elżbieta. - którego Watykan wysłał do Paryża, by odnalazł Simona... albo by udowodnił, że Simon odmówił wykonywania zadań, które Watykan mu zlecił - człowiek którego, jak słyszeliśmy, nazywano Zbieraczem. Czy pan wie, kim był? Czyż nie jest to ważna postać, ktoś, kto musiał znać sporą część prawdy? I kto cieszył się zaufaniem Piusa?

- Musiał być ważny, tak - stwierdził Calder. - Ale wtedy moje życie niezwykle się skomplikowało. Gehlen Org rozpadała się, wojna przechodziła powoli w końcowy etap. Próbowałem przeżyć, ale zorganizowanie bezpiecznego poddania się Amerykanom nie było łatwe. Szukałem Arcyksięcia - dosłownie i w przenośni - musiałem zamienić z nim słówko, chciałem przejść na ich stronę możliwie w jednym kawałku, ale on wciąż się przenośił - Londyn, Paryż, Szwajcaria... Umierałem ze strachu. I nie zwracałem żadnej uwagi na to, co paru renegatów - katolików robiło w Paryżu. Nie mam pojęcia, kim był Zbieracz. Watykan miał kilku „przedstawicieli” którzy wiedzieli, co robią... Pewnie to był jeden z nich... Prawdopodobnie już nie żyje, biorąc wszystko pod uwagę. Arcyksiążę również od dawna może nie żyć... Wiemy na pewno, że nadal żyje Simon. - Podniósł wzrok, jakby poruszyła nim nowa myśl. - Jeśli Arcyksiążę wciąż żyje, to właśnie on stoi za planem Simona, chcącego zostać papieżem, może w dalszym ciągu pociąga za jakieś sznurki. Albo... albo, spójrzmy na to z innej strony - Arcyksiążę zna prawdę o Simonie, zna jego tożsamość. Może Arcyksiążę jest następny w kolejce do śmierci... Może jest gotowy i czeka. - Ta myśl wydawała się go bawić.

Zawiozłem naszą trójkę z powrotem do Awinionu. Minęła czwarta rano, kiedy dotarliśmy do hotelu. Ulice były puste, tylko sprzątacze zmiatali śmiecie po hulankach poprzedniej nocy. Siostra Elżbieta prawie się nie odzywała. Wydawała się tak bardzo przygnębiona, jak gdyby usłyszała więcej złych wiadomości, niż była w stanie przyjąć. Rewelacje o D'Ambrizzim mocno nią wstrząsnęły. W spokoju samotności próbowała odtworzyć swój dawny świat, swój Kościół.

Ojciec Dunn zapytał mnie, czy chciałbym dołączyć do niego, bo ma zamiar wypić kieliszek przed spaniem. Wyciągnął srebrną piersiówkę z kieszeni marynarki i kiwnięciem głowy wskazał mi pusty kąt w holu. Lampa stojąca na stole roztaczała przyćmiony bursztynowy blask. Na zewnątrz, na rogu, latarnia uliczna chwiała się na wietrze. Wypił łyk z piersiówki, wręczył mi ją, a ja poczułem płonącą brandy w gardle. Uderzyła mnie w żołądek jak kamień. Natychmiast przywróciła lekkość w głowie.

Opowiedziałem, że widziałem Summerhaysa w tłumie. Na twarzy Dunna pojawiły się wszystkie

odpowiednie oznaki zaskoczenia.

- Dużo wiesz o Summerhaysie, Ben?

- Całkiem sporo. Co za błysk w tym jego przenikliwym oku!

- Tak właśnie myślałem. Jest starszą wersją Lockhardta, prawda? - Obojętnie, jakby wcale nad tym się nie zastanawiał, powiedział: - Jestem ciekawy, co on robił w czasie wojny?

- Której? Secesyjnej? Hiszpańsko-amerykańskiej?

- Tak, mój synu, jest stary. - Różowa twarz Dunna stała się maską zgorzkniałej cierpliwości. - Twój dowcip może czyni cuda z nieśmiałymi zakonnikami, ale nie z wyrafinowanymi starymi klerykami.

- Dlaczego więc nie spotkamy wyrafinowanego starego kleryka i nie zapytamy go, Artie? Ostatnio nie miałem powodów do śmiechu.

- Och, co za szkoda. Znajdziemy na to lekarstwo pewnego dnia. Myślałem raczej o wojnie z Hitlerem.

- A teraz myślisz o tym, co ja myślę. Tak, jeśli pamięć mnie nie myli, Drew Summerhays był - nie wiem, w jakiś dziwny sposób - jednym z rycerzy Dzikiego Billa Donovana, wiesz - katolik, po Yale, idealny dla BSS, ale raczej strateg niż agent. No cóż, nie jestem do końca tego pewny. Prowadził życie pełne tajemnic. Zawsze było wiadomo, że zobaczyłeś tylko jedną setną jego życia. Ale przebywał w Londynie w czasie wojny. Mój tata od czasu do czasu rzucał jakieś słówko na jego temat... To on wysyłał ludzi BSS do okupowanej Europy, do Niemiec. Był szefem mojego ojca, jestem tego pewien. Nawet go zwerbował. - Zaczekałem, pozwoliłem mu to przetrwać. - Znał Piusa, prawdopodobnie znał biskupa Torricelliego. Brał udział w grze pewnie od czasów Borgiów... Artie, klnę się na Boga jedyne, on wciąż jest w tej grze i ty chłopcze dobrze znasz jego pseudonim...

- Arcyksiążę - stwierdził ojciec Dunn.

- Jest jedynym kandydatem - powiedziałem. - Jeśli Kessler nie okłamał nas, byśmy zleźli mu z ogona... W takim razie to Kessler jest Arcyksięciem. Siedzi w wózku, w samym środku pajęczyny i tka...

- No to co, u diabła, robił Summerhays w Awinionie poprzedniej nocy?

- Cóż, to trudna sprawa, nie, Summerhays lepiej pasuje... Ale opowieść o wieczorze w mieście to zaledwie połowa.

- Zdziwiasz mnie - przyznał ojciec Dunn.

- Siostra Elżbieta i ja mieliśmy pewien problem... Po prostu różnica zdań...

- Istotnie, wyczułem pewien chłód.

- Rzecz w tym, że byłem sam w tłumie, kiedy zobaczyłem Summerhaysa i jego człowieka. Kiedy mnie dostrzegli, nagle uświadomiłem sobie, że chcę się za wszelką cenę stamtąd wydostać, bo coś było cholernie nie w porządku. Wszystko się pomieszało. Na wpół stamtąd uciekałem, oglądając się za siebie i szukając dziwnego kurdupla z gardłem poderżniętym piłą i z piórkiem przy kapeluszu... W każdym razie znalazł mnie kto inny, jak gdyby wiedział, gdzie jestem, jak gdybym nigdy nie zniknął mu z oczu, jak gdyby - wcale nie żartuję - czekał tam na mnie...

- Podaj jego nazwisko, Ben.

- Horstmann! To był Horstmann, tutaj w Awinionie, wszyscy jesteśmy w Awinionie...

- Czy to znaczy, że był tu z Summerhaysem?
- Kto wie? Kto coś z tego rozumie?
- Matko święta! Co się stało? Jak ci się udało uciec?
- Powiedział, żebym pojechał do domu. Nie zabił mnie, prawie błagał, żebym pojechał do domu.

Spróbuj to sobie wyobrazić.

- Po prostu załóżmy sobie, że Arcyksiążę to Summerhays, a Simon to D'Ambrizzi - zastanawiał się Dunn. - Obaj mają dobrze uzasadnione powody, by kochać i szanować twojego ojca, twoją rodzinę, ciebie. A jeśli stoją za tym, wtedy Horstmann pracuje dla nich. Dlatego cię ostrzeżono. Chcą, żebyś się wycofał...

- Ale w takim razie to oni zabili moją siostrę - stwierdziłem. Dunn pokiwał powoli głową.

- Może oni rzeczywiście zabili twoją siostrę. A jeśli tak, to znaczy, że chcieli ochronić ciebie. To jest jeszcze jedna przyczyna, by ocalić ciebie... zadośćuczynienie. Twój ojciec ocalił tyłek D'Ambrizziego, tuż po wojnie zawiózł go do Ameryki, kiedy zrobiło się gorąco, a Summerhays był opiekunem twojego ojca w jego drodze do władzy, Bóg jeden wie, jakich misji podejmował się twój ojciec dla Summerhaysa w czasie wojny, a więc Summerhays też coś mu zawdzięcza... Dlatego, jeśli zabili twoją siostrę, jego córkę, na miłość boską, czy możesz sobie wyobrazić, przez co oni przeszli? Nie chcą też zabić syna Hugh'a Driskilla.

Nie modliłem się od dwudziestu pięciu lat, ale to modlitwa pojawiła się na moich wargach w tej strasznej chwili.

- Boże, obdarz mnie siłą - wyszeptalem - a zabiję ich wszystkich...

Rano wyjechaliśmy z Awinionu.

Trójka przestraszonych pielgrzymów wyruszyła do Rzymu.

Część piąta

Kardynałowie grali w bocce na trawniku przy willi Poletiego. Ottaviani właśnie rzucił ciężką, znaczną krzyżem kulę. Pomknęła przez idealnie przystrzyżoną zieloną trawę z nieomylną dokładnością, odepchnęła bilę Vezzy i wylądowała tuż obok małej, lśniąco białej kuli - celu. Vezza ruszył niezgrabnie w stronę drewnianego ogrodowego krzesła i powoli na nie opadł. Zakaszłał i otarł ślinę z wyschniętych, spękanych warg.

- Co się stało z zasadą pozwalania na wygrywanie starszym? Gdzie się podziała przyzwoitość? - Usiadł wygodniej na krześle, wzdychając ciężko. Pogmerał w powypychanych flanelowych spodniach, wyciągnął paczkę papierosów i tanią jednorazową zapalniczkę. - Już mam dosyć tej gry. Wiecie, mówią, że te rzeczy mogą człowieka zabić.

- Papierosy nie są nowoodkrytym zagrożeniem dla zdrowia - rzekł Poletti, przewracając oczyma.

- Nie papierosy, głuptasie. *Wiem* o tym. Mówię o tej marnej zapalniczce. Gadają, że eksplodują. Zalewają cię ogniem. - Zapalił papierosa. - Bóg był przy mnie tym razem. - Skinął głową w kierunku Ottavianiego. - Guglielmo oszukuje. Zawsze to robił. Dlaczego nie mogę się nauczyć? - Skarpetki Vezzy zsunęły się na kostki, odsłaniając chude, bezwłose łydki, nieodpowiednie, jakby się mogło wydawać, do podtrzymywania tak wielkiego ciała. - Jemu się zdaje, że mu wolno oszukiwać, bo ma krzywe plecy. Żadnego poczucia honoru.

Antonelli, który grał w parze z Ottavianim, usiadł na trawie. Za chmurą smogu jasno świeciło słońce.

- Gianfranco - powiedział do Vezzy - nie możesz oszukiwać w bocce. Nikt nie może. W ten sposób bocce jest całkowicie abstrakcyjne, przeciwnie do życia.

- On mi nie przeszkadza - odparł Ottaviani. - Nie umie przegrywać, nigdy nie umiał. Ma tyle w tym doświadczenia, że można by pomyśleć, iż doprowadził brak umiejętności przegrywania do mistrzostwa...

- Przegrywam tylko w takich grach, przyjacielu. W prawdziwym życiu zawsze wygrywam. - Uśmiech Vezzy odsłaniał jego dziwaczne zęby, przypominające żółte ziarna kukurydzy.

- Prawdziwy świat! - zachnął się Poletti. - Nie zauważyłem prawdziwego świata od jutrzeńki czasu! Prawdziwy świat jest ci tak obcy jak...

Kardynał Garibaldi włączył się do rozmowy. Jego małe okrągłe oczki błyszczały czujnie w okrągłej twarzy.

- Mówiąc o prawdziwym świecie, chciałbym spytać, jaki on ma związek z zamordowaną zakonnica...

- Nie została zamordowana - wymruczał Antonelli. - To człowiek przebrany za księdza zginął.

- Chodziło mi o zakonnice zamordowaną w Ameryce, ale to wszystko jedno, prawda? I co, co z tą zakonnica, która prawie została zamordowana? Jakie są wiadomości?

Kardynał Poletti kopał bile w stronę grubego płóciennego worka, w którym je przyniósł na

trawnik.

- Nie ma żadnych wiadomości. Nie byli w stanie do tej pory nawet zidentyfikować tego księdza - o ile był księdzem. Miał najwyraźniej tylko jedno oko...

- Nie dziwi mnie to - stwierdził Vezza. - Po takim upadku!

- Nie, nie, miał tylko jedno oko nawet przed upadkiem - westchnął Poletti ze zmęczeniem. - Ale został bardzo zniekształcony przez upadek...

- Nie, w tym akurat się mylisz. - Vezza pomachał swym wiekowym jak on sam, pomarszczonym palcem. - Nie został zniekształcony przez upadek. Zniekształciło go lądowanie. I ciężarówka czy autobus, który po nim przejechał.

- Naprawdę to mnie interesuje - Antonelli westchnął pod daszkiem, który ocieniał mu oczy - dlaczego próbował zabić tę zakonnice, siostrę Elżbietę? Wiemy oczywiście, że była najdroższą przyjaciółką siostry Valentine... Co, jak zakładam, wiąże się z Driskillem i jego paczką. Ale po co ją zabijać? Amerykanie biorą w tej grze duży udział. To nie prowadzi do niczego dobrego.

- Och, nie są takimi złymi facetami - stwierdził Garibaldi dyplomatycznie - kiedy się już ich pozna.

- Mój Boże, człowieku! - wykrzyknął Ottaviani. Ból, który rzadko znikał, wykrzywił mu usta. - Jesteś tak zachwycająco niewinny! W jaki sposób mogłeś zająć aż tak wysoko? Amerykanie są najgorsi. Słonie niszczące sklep z porcelaną. Żadnego poszanowania tradycji czy respektowania zasad gry... Mówiąc krótko, *lubię* ich! Rozwalają wszystko. I uważają nas za wstrętnych, chytrych, intrygujących drani... Schlebiają nam. Nie poznałem naprawdę wstrętnego, chytrego kardynała przez ostatnie dwadzieścia lat! Wszyscy jesteśmy dziećmi w porównaniu z naszymi poprzednikami. A Amerykanie czarująco mało wiedzą o sobie. I zupełnie nie rozumieją, jakimi są podłymi, zimnokrwistymi świniami. Tak, naprawdę ich lubię.

- Będziesz zatem zachwycony, gdy usłyszysz - powiedział Garibaldi - że Drew Summerhays jest właśnie w Rzymie.

- Dobry Boże - zawołał Poletti. - Ojciec Święty może już nie żyje i Summerhays wie o tym przed nami! - Wyraz jego twarzy zdradzał, że tylko trochę żartuje.

- Po co on tu węszy? - zachnął się Vezza.

- Profesjonalny sęp - stwierdził Poletti. Klęczał na trawie i chował bile do worka. Słońce grzało mocno, mimo że zbliżał się koniec listopada.

- A my nimi nie jesteśmy? - uśmiechnął się blado Ottaviani. Poletti nie zwrócił na niego uwagi.

- Papież umiera, więc Summerhays nie będzie trzymał się z daleka. Musi tu być, by popchnąć czyjąś rękę i wysunąć swojego człowieka... A kim jest jego człowiek, nawiasem mówiąc?

Ottaviani wzruszył ramionami.

- Wkrótce się dowiemy.

- Indelicato niedługo poprosi mnie o przedstawienie liczb - rzekł Poletti. - Zasadnicze poparcie - to ludzie, na których możesz liczyć, że będą na niego głosowali i odsuną innych. -

Przyjrzał się ich twarzom. Słońce świeciło mu prosto w oczy. Oślonił je dłonią.

- Cóż - wymruczał Vezza - to tylko oznaka zdrowego rozsądku - wysłuchanie, co ma do powiedzenia Summerhays, zanim sami się zdeklarujemy...

Ottaviani wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Żądza umiera dopiero wraz z człowiekiem. Nigdy nie zmniejsza się na starość. Eksponat A, nasz stary, bardzo stary przyjaciel Vezza. O sobie nie wspominam.

- Rozumiem, że Fangio zwiiera szeregi barbarzyńców - stwierdził Garibaldi. Jak ogromna gąbka wydawał się zawsze nasiąkać zadziwiającą ilością dziwaczných wiadomości. - Obiecuje im dostęp do siebie, bez względu na to, czy są marksistami, Afrykanerami, Japońcami, Eskimosami, Zulusami, Triobriandczykami, metodystami czy mordercami. A D'Ambrizzi, oczywiście, zachowuje spokój, niczym się nie zdradza, twierdzi, że w ogóle jeszcze o tym naprawdę nie myślał... ale faktem jest, że bardzo dużo wie i może wezwać do płacenia długów. Między szantażem a wdzięcznością może na niego czekać Tron Piotrowy. A jeśli Summerhays go popiera, to wiemy, że tam będą pieniądze, gdy dojdzie do wyboru

- Kto z zewnątrz dla niego pracuje? Czy wiemy, że to Summerhays Antonelli skrzyżował nogi, strzepnął ze spodni żdźbła trawy i westchnął.

- Teraz kiedy Lockhardt nie żyje, wydaje mi się, że będzie miał innych Amerykanów. Summerhaysa, Driskilla...

- Driskill jest chory - przerwał Poletti - a Summerhays ma dwieście lat. Może - dodał z nadzieją - już nie zaważą tyle, co kiedyś...

- Pieniądze - wtrącił Vezza - zawsze są ciężkie.

- Ale Driskill źle się czuje, mówię wam - upierał się Poletti. - Zamordowano jego córkę. A syn najwyraźniej jest na granicy szaleństwa. Indelicato pozostaje naszym najlepszym wyborem. Od ręki będzie wiedział jak sobie poradzić z kryzysem.

- Driskill - stwierdził Ottaviani - da Summerhaysowi swoje pełnomocnictwo i zostanie w domu. My musimy wiedzieć, jakie jest stanowisko Summerhaysa.

- Ten człowiek jest słaby jak liść! - zawołał Poletti. - Czy na pewno *wiemy*, czego chce?

- Cóż, nie przyczepił sobie błyskającego neonu - stwierdził Ottaviani kwaśno. - Ustawcie się za mną, jeśli popieracie D'Ambrizziego, właśnie w ten sposób otrzymacie ostatni odpust, wystąpcie i zażądajcie łapówki... Choć są subtelniejsze metody. A Summerhays był w Paryżu.

- D'Ambrizzi właśnie wrócił z Paryża.

- Dokładnie. Układają się, jestem gotów się założyć. - Poletti odwrócił wzrok ku chmurze smogu zwisającej nad Rzymem. - Jakie jest teraz nasze stanowisko: D'Ambrizzi czy Indelicato? Każdy z nas reprezentuje wiele głosów.

- Ja się do niczego nie zobowiązę - powiedział Vezza, kręcąc głową. - Nie wtedy, gdy Summerhays bierze udział w grze.

- Czy są jacyś inni czyści kandydaci?

- O czym ty, u diabła, mówisz? Brudzisz się, gdy stajesz do wyścigu. Nie bądź durniem!

- Ale czy są na tyle brudni, że im to zaszkodzi w głosowaniu?

- Cóż, teraz nikt nie jest aż tak brudny!

- A jak się czuje Ojciec Święty?

- Tonie - stwierdził Poletti - ale jeszcze się trzyma.

- Czy masz zamiar dołożyć ręki do wyboru?

- Kto wie?

- Indelicato wybrał wspaniały termin na przyjęcie.

- Może to zmniejszy napięcie.

- Nonsens. On je zwiększa. Odżywia się napięciem. Nigdy się nie załamuje.

- Cóż, jeśli spodziewa się, że D'Ambrizzi się załamie, to cholernie długo będzie czekał.

- Chodzi o to, że ktoś będzie się musiał zacząć uczyć polegać na ludziach.

- Chodzi o to, że albo Indelicato albo D'Ambrizzi zostanie zmuszony do rezygnacji lub do oddania całego swego poparcia komu innemu, bo inaczej będziemy mieli jakieś nic wygrywające psim swędem... Już widzieliśmy takie rzeczy. I wiemy, co trzeba robić.

- Uczyć się polegania na ludziach? O czym ty mówisz? Indelicato już na nas polega. Na *mnie!* - Poletti wstał. - Mam dla was następną taśmę. Drugą rozmowę między D'Ambrizzim a Ojcem Świętym...

- Wiesz, nie za bardzo podoba mi się to nagrywanie...

- Garibaldi, jesteś ze szlachetnego kruszcu. Jeśli ci się to nie bardzo podoba, to zostań tutaj, poprawiaj celność rzutu w bocce i nie trudź swoich uszu.

- Mój Boże, powiedziałem tylko, że *nie bardzo...* nie naskakuj na mnie w ten sposób! Uspokój się!

- Wzruszył wąskimi, okrągłymi ramionami. - Chodźcie. To nasz obowiązek - choćby nieprzyjemny - wysłuchanie tych taśm.

- Jak ty potrafisz się dostosować do sytuacji, mój przyjacielu. W ciemnej bibliotece kardynałowie zajęli swoje tradycyjne miejsca wokół niskiego stołu. Podano kawę. Poczekali, aż Poletti poradzi sobie z taśmą i nałoży ją krótkimi owłosionymi palcami. Nacisnął guzik i dotarł do nich głos kardynała D'Ambrizziego.

- Jesteś Kalikstem. Przypomnij sobie pierwszego Kaliksta i twoja misja będzie jasna...

- Nie wiem.

- Słuchaj mnie, Kalikście! Bądź silny!

- Ale jak, Giacomo?

- Tamten Kalikst w świecie, w którym niezliczone wyznania rzucane Kościołowi pieniały się niczym chwasty, od bogiń - kotów nad Nilem do morskich czarodziejek Celtów, tamten Kalikst wyrąbał ścieżkę ku prawdziwemu znaczeniu Kościoła. Imperium Rzymskie rozpadało się, chaos wdzierał się z każdej strony... ale Kalikst wiedział, że Kościół powinien nieść zbawienie... tak jak to objaśnił Jezus - zbawienie wszystkich grzeszników. Nawet nas samych, jeśli zgrzeszyliśmy. Wtedy przyszedł czas skruchy i zbawienia, tak powiedział pierwszy Kalikst, a Hipolit wykrzyczał przed nim, że jest rozpustnikiem, bo zezwolił na udzielanie rozgrzeszenia prostytutkom i cudzołożnicom, które żałowały za grzechy. Hipolit, który pierwszy się ogłosił antypapieżem. Ale Kalikst miał rację. Zbawienie dla wszystkich... Ale kiedy zamordowano go na ulicy, to Poncjian, który kontynuował jego dzieło...

- O czym ty mówisz?

- Niesienie zbawienia to praca tego Kościoła. Wycofaj go ze świeckiego świata, z polityki, zgarniania pieniędzy i dzierżenia świeckiej władzy i nacisku. Dzierżenie władzy moralnej! Zaoferuj wieczne zbawienie, żadnych bogactw i władzę i tu, i tam. Dbanie o dusze... Zabójstwa, którymi świat świecki spływa, znikną i ten Kościół... ten Kościół, Wasza Świątobliwość, będzie ocalony!

- Powiedz mi jak, Giacomo...

Kiedy taśma się skończyła, a głos kardynała D'Ambrizziego ścichł do słabego suchego szeptu i zanikł, w pokoju zapanowała cisza. Wiatr poruszał ciężkimi zasłonami.

W końcu odezwał się Vezza:

- Który z nich jest bardziej szalony? Oto jest pytanie. - Zerknął na swój aparat słuchowy i postukał w słuchawkę długim paznokciem.

- Nigdy nie możesz być pewien, jeśli chodzi o D'Ambrizziego - odparł Antonelli cicho. - Jakikolwiek jest jego plan - a ja nawet na minutę nie uwierzę, że właśnie usłyszeliśmy, jak go wykląda. To, do czego on namawia Ojca Świętego, jeszcze trzeba zobaczyć... lecz pamiętajcie, że nikt lepiej nie manipuluje sercami i umysłami od Świętego Jasia... Kalikst staje się jego narzędziem... ale nadal pozostaje tajemnicą, do jakiej pracy D'Ambrizzi chce go wykorzystać.

- Możemy być szczerzy w tych ścianach - powiedział Poletti.

- A kto mówi, że D'Ambrizzi czy Indelicato nas nie podsłuchują?

Pytanie Garibaldiego powstrzymało Polettiego. Garibaldi uśmiechnął się, przeciągnął koniuszkiem języka po pulchnych wargach.

- A teraz przestraszyłeś go - stwierdził Antonelli. - Wszystko w porządku, Poletti, mów dalej.

- Miałem zamiar powiedzieć, że tego typu słowa słyszeliśmy w przeszłości z ust Jana XXIII. Chciał wszystko zrewolucjonizować. Planował odarcie Kościoła z jego władzy w świecie i z bogactwa. Nie trzeba wam chyba przypominać o akcji, którą musieliśmy podjąć. Nieszczęsne zadanie. Dzięki Bogu, nie byłem wtedy jeszcze kardynałem...

- Szczęściarz - wycedził Vezza. - To było morderstwo...

- Ale *byłem* tu przy Janie Pawle I - odparł Poletti. - Biedny zdeorientowany głupiec...

- Stare wieści, stare wieści - Vezza mruczał z głębin fałd swoich policzków. - Co proponujesz? Morderstwo, jak sądzę. Krwi, krwi, zawsze żądanie krwi - mówił do siebie. - Ale Kalikst umiera... Po co popełniać morderstwo, kiedy wystarczy liczyć godziny, kiedy to czas za ciebie wszystko załatwi?

Cisza rozciągnęła się na kilka minut. Każdy z mężczyzn rozważał swoje plany i własną moralność. Uporczywie unikali patrzenia sobie w oczy.

W końcu ostry, lodowaty głos Ottavianiego przerwał ciszę jak żelazny nóż rzucony na szklany talerz.

- Wszystkiego dobrego dla Kaliksta - powiedział - ale Święty Jaś cieszy się doskonałym zdrowiem.

Morela O'Neale zjawił się w domu Driskillów w blednym szarym świetle późnego popołudnia. Hugh Driskill zadzwonił do niego na plebanie. Głos wielkiego człowieka był słaby, chociaż silniejszy niż Morela się spodziewał. Driskill powiedział, że jest już w domu od czterdziestu ośmiu godzin i za chwilę całkiem zwariuje. Przyznał, iż potrzebuje towarzystwa i chciałby, aby Morela zajrzał do niego, kiedy tylko będzie mógł wyjść. Chodziło mu też o coś ważnego, ale o co to miał zamiar wyjaśnić Moreli dopiero wtedy, kiedy go zobaczy.

Margaret Korder, osobista sekretarka Hugh'a i tarcza osłaniająca go przed całym światem, otworzyła drzwi. Za nią kręciła się wysoka pielęgniarka w wykrochmalonym białym fartuchu, rozdarta między obserwowaniem drzwi a zaglądaniem do Długiej Sali. Wydawała się szarpać na niewidzialnej smyczy, która powstrzymywała ją od wejścia lub wyjścia.

- Och, to ojciec - powiedziała cicho Margaret Korder - Hugh nie zachowuje się zbyt dobrze, obawiam się. Wydaje mi się, że potrzebuje męskiego towarzystwa, ale jego pracownicy mają obsesję na punkcie pracy i cóż, wie ojciec... jest ksiądz właśnie takim kimś, kogo on potrzebuje. Ktoś do *rozmowy*, a nie do rządzenia wspólnie światem, jeśli rozumie ojciec, o co mi chodzi. Nie pozwoli tej biednej pielęgniarce wejść do pokoju. Dosłownie. Daleko mu do szczytowej formy, ale wciąż jeszcze potrafi urządzić takie piekielne piekło, gorsze niż mógłby to zrobić tuzin facetów, których znam. - Pomógł jej założyć futro z norek, na które mogła sobie bez kłopotu pozwolić przy swoim wynagrodzeniu. - Nadal mieszkam w Nassau Inn. Wygląda na to, że melduję się tam na stałe.

- Jest pani prawdziwym skarbem - uśmiechnął się Morela.

- To powołanie, ojczu. Praca mojego życia. Chociaż dzisiaj wieczorem została ze mnie tylko fasada.

- Och, panno Korder. Pani musi wiedzieć, gdzie pochowano mnóstwo ciał. Jestem zdumiony, że nigdy pani nie porwano.

- Ojczu!

- To żart, tylko żart. Czy ma zamiar być dla mnie bardzo przykry?

- Proszę się z nim... nie kłócić. - Westchnęła. - Brandy, cygaro, nie możemy go powstrzymać. Kiedy próbowałyśmy, poczerwieniał i wyglądał tak, jakby miał za chwilę eksplodować, a to jest gorsze od brandy i od cygara. Gdyby ojciec potrzebował pielęgniarki, to siostra Wardle czeka w pogotowiu w holu, w kuchni, czy gdzieś w pobliżu. Wie ojciec, gdzie można mnie złapać. Zamówię sobie kolację do pokoju i poczytam dobrą książkę. Czy kiedykolwiek czytał ksiądz książki ojca Dunna?

- Jasne. Jest moim przyjacielem.

- Uwielbiam je. Co za przebiegły umysł! Jak ksiądz może tyle wiedzieć o seksie?

Morela zaczerwienił się, wyglądał jak szesnastolatek.

- Cudowne moce wyobraźni. Cóż innego?

- No tak, chyba musi ojciec mieć rację!

Twarz Hugh'a Driskilla zmizerniała. Pogłębiły się zmarszczki w kącikach oczu. Kiedy Morela podszedł do kanapy, odłożył na bok jeden z kilku albumów z fotografiami oprawionych w ciemnozieloną

skórę. Morela dostrzegł zarys twarzy Val, kolorowe zdjęcie zrobione na korcie tenisowym. Szczupłe, opalone nogi. Spódnica powiewająca na wietrze, odsłaniająca białe majtki. Uśmiechała się, zmrzyła oczy przed słońcem, osłaniając je dłonią. Dwadzieścia... och, do diabła, dwadzieścia pięć lat temu. Myśl o jej śmierci stała się niewyobrażalnie bolesna.

- Usiądź, ojciec. Proszę napić się czegoś. Jest dużo możliwości. - Butelka Laphroaigu, dzbanek z wodą i srebrny kubek z lodem stał na małym stoliku. - No, Morela, dalej, napełnij szklanki... mam zamiar zatrzymać cię tu przez jakiś czas. Może wysłuchasz moich skarg na obrót, jaki przyjęły rzeczy na koniec. A dla mnie do pełna. Wyszłem jak pustynia... - Przyglądał się, jak Morela przyrządza sobie drinka, a potem nalewa do jeszcze jednej ciężkiej, kryształowej szklanki. - Lekarze, pielęgniarki, ta niesamowita istota, która teraz tu jest, traktują mnie jak umierającego, a ja im mówię, że jeśli umieram, to co za różnica kiedy to się stanie? Margaret jest czymś w rodzaju zawodowego pogotowia ratunkowego. A sprawy, jak może zauważyłeś, nie idą dobrze... Faktem jest, że prawie się nie opląca żyć. Ale jest jeszcze kilka rzeczy, które muszę zrobić, zanim odejdę. Mój Boże, jak ten czas szybko upłynął, Morela - to lament każdego umierającego, jak podejrzewam. Dobrze, niech będzie. Moja córka nie żyje i chcę, abym uwierzył, że Kościół jest w jakiś sposób w to wplątany. Mój syn jest Bóg jeden wie gdzie, sprawiając zamieszanie w Kościele i robiąc z siebie durnia... mam, jak wiesz, przyjaciół w Rzymie, wciąż coś tam do mnie dociera. Och, tak, jasne, że coś słyszę... - Jego wymowa stała się lekko niewyraźna i Morela nie miał pewności, czy dobrze słyszał. Nigdy przedtem nie widział, by Hugh Driskill zagłębiał się tak bardzo w strumień świadomości. Zazwyczaj nie mówił zbyt wiele, a to, co mówił, rzadko kiedy miało charakter osobisty.

Stary człowiek był ubrany w ciemnopurpurowy szlafrok z granatową lamówką. Na kieszonce na piersi wyhaftowano jego inicjały. Machał szklaneczką, w której brzęczały kostki lodu. Siedzieli w końcu pokoju odległym od holu, w którym siostra Wardle stała w pogotowiu.

- Boi się mnie. Wie, kim jestem. Biedna, bezdennie głupia dziewczyna. Byłem niemiły. Powiedziałem, że powinna się ogolić. Nie wiem, co we mnie wstąpiło...

- Cóż - stwierdził Morela - może powinna spróbować wosku?

Hugh Driskill roześmiał się słabym, płytkim śmiechem. - Morela, bez obrazy, nie wierzę, że Bóg naprawdę chciał byś założyć sutannę.

- Inni od czasu do czasu też dochodzili do takiego wniosku.

- Jesteś niewinny. Kiepski materiał na księdza. Ale jesteś miłym człowiekiem. Naprawdę miłym. Moja córka kochała cię... Byłeś takim dobrym chłopcem. Powiedz mi, kochałeś Val, Morela?

- Tak, kochałem.

- Tak, to się zgadza. Powiedziała mi o tym. I powiedziała też, że jesteś godny zaufania...

- Kiedy to mówiła, proszę pana?

- Proszę pana? *Pana?* Daj spokój, Morela. To było ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy. Zanim umarła.

- Naprawdę?

Hugh Driskill wpatrywał się w dziewczynę na fotografii mrużącą oczy w promieniach słońca. Powoli odwracał strony. Morela patrzył na historię rodzinną, przesuwaną przed jego oczami.

- O, tu jesteście... Stoisz z Val obok choinki... Szczęśliwe dni... dawno temu. Nie mogliśmy przewidzieć przyszłości, prawda, ojciec?

- Wtedy - odparł Morela - zrujnowałoby to tamte szczęśliwe dni.

- A tutaj to moja żona. Stoi tu z kardynałem Spellmanem... niedługo przed jej śmiercią. Była nieszczęśliwą kobietą, moja Maria, ale oczywiście znałeś ją, prawda...

- Nie, wcale, proszę pana. Byłem za młody. Pojawiłem się później.

- Tak, oczywiście, o czym to ja myślałem? No tak, wiele nie straciłeś, jeśli mam być szczery. Maria była rozkojarzoną istotą. Nie za bardzo znała się na wychowywaniu dzieci... Nie wiem, prawda jest taka, że nie pamiętam jej zbyt dokładnie - czy to nie wstyd? No tak, moja pamięć ostatnio mi nie dopisuje. Prawda nie zawsze jest dobrze widziana. Na przykład mówiono mi, że Ojciec Święty już prawie kopnął w kalendarz.

- Pan wie o tym więcej ode mnie. Ma pan swoje kontakty. Kardynał D'Ambrizzi...

- Tak, chyba tak, nawet w moim patetycznym stanie. Stary Jasio dzwonił do mnie kilka razy. Cóż, Morela, równie dobrze mógłbym przyznać się do nieprzyjemnej prawdy. Sprowadziłem cię tu, by docisnąć śrubę, mój chłopcze. Spójrz na mnie jak na Inkwizytora... - Uśmiechnął się krzywo. - Czy przypominasz sobie jednego z twoich poprzedników w New Prudence - ojca Johna Traherne'a? Pamiętasz go?

- Ojciec Traherne. Jasne. Oczywiście.

- Cóż, znałem go dość dobrze. Na starość stał się obsesyjnie wścibskim pierdołą, ten ojciec John. Pozwól tai, Morela, opowiedzieć sobie pewną historyjkę o nim. Dziś wieczorem zagrasz rolę mojego syna... Syna, którego nigdy nie miałem, syna, który powinien zostać księdzem, a nie syna, który postanowił grać w piłkę i bawić się w adwokaturę zamiast - cóż, nie będę oczerniał jego imienia przed starym przyjacielem...

Wyciągnął szklaneczkę, by Morela mu dołą.

Morela wiercił się niespokojnie. Nie przewidział takiego obrotu sprawy. Z miejsca, w którym siedział, widział oświetlony podjazd. Spojrzał na swój stary, poobijany samochód. Zasypywał go śnieg, który zaczął padać po jego przyjeździe. Z prognozy pogody wysłuchanej w radio dowiedział się, że pierwsze duże śnieżyce tej zimy nadpływały z Ohio i Środkowego Zachodu. Padał gęsty śnieg, ale nie było wiatru i sceneria przypominała kartkę świąteczną. Napełnił szklanekę Hugh'a Driskilla Laphroaigiem, wodą i kostkami lodu.

- Ojciec Traherne miał zwyczaj wystawiać moją cierpliwość na próbę. Naprawdę. Wiedział, że to ja płacę jego wynagrodzenie w New Prudence, a że był Irlandczykiem, więc oczywiście nie cierpiał mnie jak wszyscy diabli. Zawsze szukał jakiegoś haczyka, zawsze chciał być lepszy ode mnie, chciał mi pokazać, że mnie nie potrzebuje... Znasz ten typ: mali ludzie, których złości własne życie... Zapił się na śmierć, nie była to niespodzianka... Nie pijesz dużo, prawda, Morela?

- Nie, proszę pana. Nigdy mnie to nie ciągnęło.

- Pamiętam, raz przyjechał tu Traherne, napity - nabierał wtedy irlandzkiej odwagi - i powiedział mi, że monsignor D'Ambrizzi odwiedził go pewnego dnia w New Prudence. Wtedy D'Ambrizzi gościł u nas po wojnie w Europie. Cóż, Traherne z prawdziwą przyjemnością oświadczył mi, że on i D'Ambrizzi mają wspólny wielki sekret. Coś, o czym ja nie wiem, a oni wiedzą. Mały umysł, ten Traherne. - Pięść Hugh'a Driskilla zacisnęła się wokół szklanki. Stracił na wadze - widoczne to było nie tylko na twarzy. Jego cera stała się lekko przezroczysta. Żyłki na rękach wyglądały jak gruzłowate korzenie, skóra nabrała barwy popiołu. - Cóż, nie mógł się powstrzymać, by nie ruszać gębą, znasz ten typ. Trudno rozróżnić rzeczywistość od whisky i bełkotu. W końcu, mówi mi, jakim jego starym kumplem jest D'Ambrizzi, jak przyjechał do New Prudence i dał mu jakieś papiery, ważne papiery, na przechowanie...

Traherne obiecuje, że je bezpiecznie przechowa, aż nadejdzie czas, gdy będzie ich potrzebował... Traherne twierdzi, że D'Ambrizzi poprosił go, by nigdy nikomu, *nikomu* nie pozwolił zobaczyć tego rękopisu. Ale stary Traherne - to już lata, lata później, D'Ambrizzi jest kardynałem praktycznie rządzącym kościołem - stary Traherne się czegoś dowiedział, upił i przyszedł tu pokazać mi, kim jest! - Roześmiał się kręcąc głową.

Pielęgniarka zrezygnowana, podreptała do kuchni. Padał coraz gęstszy śnieg. Morela chciałaby być gdzie indziej. Wszystko jedno gdzie.

- Możesz w to uwierzyć, Morela? Stary głupiec zachował tajemnicę przez tyle lat i co w końcu robi? Upija się i musi mi pokazać, jaki jest ważny i puszcza farbę o rękopisie... Bez przerwy mnie nim drażnił, ciągle opowiadał, jaki musi być ważny i czy chciałbym na niego rzucić okiem, stary pijaczyna. Powiedziałem mu, że D'Ambrizzi wszystko napisał w moim własnym domu i gdyby chciał, żebym coś przeczytał, mógł mnie wtedy zwyczajnie o to poprosić. Ale tego nie zrobił. Nie mam więc zamiaru czytać czegoś tylko dlatego, że mi to ojciec Traherne proponuje. Tak mu powiedziałem. - Wypił łyk szkockiej, otulił się szczelniej szlafrokiem, jak gdyby ogarnął go chłód. Miał bladą twarz, ale oczy pozostały bystre, niespokojne, czujne.

- Ale... *rzeczy* się zmieniają. Moja córka została zamordowana, człowieka, którego chyba kochała zabito... Ktoś, może ten sam człowiek, który ich zamordował, próbował również zabić mego syna... Kościół może być w to wszystko zamieszany w jakiś szaleńczy sposób - skąd u diabła mam to wiedzieć? Ale papież umiera, D'Ambrizzi jest blisko Tronu Piotrowego... Wszystko plątało mi się w głowie, gdy leżałem na tym cholernym szpitalnym łóżku i to może śmieszne, ale ciągle myślałem, jak D'Ambrizzi u nas mieszkał... jak pracował w gabinecie i pisał, pisał... Zacząłem myśleć o Trahernie, o tym, że D'Ambrizzi dał mu papiery na przechowanie i nigdy nie wrócił po nie ani nie napisał słówka, żeby je zwrócić... Morela, rozumiesz, o co mi chodzi?

Morela podszedł do okna, stał przyglądając się, jak pada śnieg, jak łagodnie usypuje się w zaspy i rzuca miękkie szaroniebieskie cienie. Wcisnął ręce w kieszenie powypychanych sztruksowych spodni, ale nie mógł się powstrzymać, by nie zaciskać ich w pięści. Wolałby nigdy nie słyszeć o tych cholernych papierach.

- Jasne, rozumiem, proszę pana. Ale...

- Żadne ale, jak mówią. Podejź tu, Morela, nie widzę cię tam daleko. - Patrzył, jak Morela

odwraca się od okna i wraca, by przed nim stanąć. - A teraz, mój chłopcze, chciałbym cię o coś spytać. Czy Traherne kiedykolwiek mówił ci o tych papierach? Czy może ojciec Kilgallen, twój bezpośredni poprzednik? Czy wziął cię na bok i powiedział: „Słuchaj, synku, to taki mały sekret, o którym muszę ci powiedzieć...?”

- Absolutnie nie, proszę pana. - Morela poczuł, że się czerwieni. Gorący rumieniec na chwilę rozpałił mu twarz jak przepływający cień.

- Pewnie sam znalazłeś te papiery - czyż nie? Przekartkowałeś je, zastanawiałeś się, czym są. Musiałeś dokładnie się im przyjrzeć... Czy tak? Wiesz, że to nie zbrodnia. D'Ambrizzi napisał je czterdzieści lat temu.

- Panie Driskill, poważnie, nie wiem co...

- Ojcze, ojcze - Hugh Driskill uśmiechnął się słabo, jakby wzruszenie sprawiło mu ból. - Nie masz pierwszej podstawowej cechy, którą powinien mieć ksiądz. Nie umiesz kłamać, nigdy tego nie umiałeś. Jesteś uczciwym chłopakiem. Wiesz o tych papierach, prawda, Morela?

- Panie Driskill, to był przypadek, przysięgam na...

- Rozumiem, synu. Wierz mi, naprawdę rozumiem. A teraz mam do ciebie jeszcze kilka pytań. Uspokój się. Dobrze się czujesz, Morela?

- Nie wiem, proszę pana. I taka jest prawda. - Morela zastanawiał się, gdzie jest ojciec Dunn i jakiej by mu udzielił rady.

Pół godziny później Morela siedział w swoim poobijanym starym samochodzie, żałując, że nie założył opon śniegowych i jechał do New Prudence. Dostał rozkazy. Pojechać po rękopis D'Ambrizziego i przywieźć go z powrotem. Dziś wieczorem. Do diabła ze śniegiem. Coś takiego tkwiło w Hughu Driskillu, że cholernie lepiej było nie kłócić się z nim.

Pierwszej nocy po powrocie do Rzymu siostra Elżbieta poszła do mieszkania przy Via Veneto zaraz po krótkim telefonie do domu zakonnego, mieszczącego się przy Schodach Hiszpańskich. Driskill i Dunn próbowali ją namówić, by towarzyszyła im na kolacji u Hasslera - również przy Schodach Hiszpańskich - ale odmówiła twierdząc, że jest zmęczona i musi jeszcze zameldować się w redakcji. Przypatrywali się jej odejściu. Czują ich spojrzenia na swych plecach. Odrzuciła również propozycję Driskilla odprowadzenia jej do mieszkania i sprawdzenia, tak na wszelki wypadek, czy coś jej nie grozi. Nie miała zamiaru się zgodzić i na to. Zabiła już jednego człowieka, zabije następnego, jeśli będzie potrzeba: starała się sprawiać wrażenie twardej i obojętnej. Wiedziała, że jej zachowanie jest śmieszne. Ale i tak musiało im wystarczyć. Nie pragnęła wcale ich towarzystwa.

Gdy stanęła samotnie w korytarzu przed drzwiami, biło jej szybko serce. W mieszkaniu starała się najszybciej, jak tylko mogła, włączyć wszystkie światła. Jasne światła, żadnych cieni. A kiedy podeszła do drzwi łazienki, uświadomiła sobie, że nie ma mowy o żadnej rozluźniającej kąpieli. Żadnego układania się w wannie, drzemania w unoszącej się parze, żadnej utraty kontroli. Zamiast tego wzięła szybki prysznic przy otwartych drzwiach do kabiny i do łazienki, tak by mogła widzieć całą długość holu. Kąpiel trwała naprawdę bardzo krótko.

Ubrana w szlafrok naląła sobie kieliszek wina, zagotowała makaron i przyrządziła sos. Potem

usiadła na kanapie w saloniku, puściła płytę z nagraniami muzyki filmowej Ennio Morricone. Ale nic nie mogło powstrzymać jej od myślenia, od przypominania sobie w kółko sceny z Benem i dalszego ciągu.

Oszalał ją gniew i frustracja, kiedy z pośpiechem odchodziła od niego, kopnęła krzesło i wykonała dramatyczny gest bez znaczenia. Oślepiały ją łzy poniżenia, wściekłości i gniewnej przepełniającej rezygnacji, wywołanej przez tego człowieka i jego oszalałą, niepokonaną nienawiść do Kościoła, jego sług i najwyraźniej - miała tego świadectwo wciąż przed oczami i jeszcze je słyszała - do niej w szczególności. Jego nienawiść była tak głęboka, niewybaczająca, nierozsądna: wyczerpała swój zapas agresywnych przymiotników. Jak, jak on mógł zranić ją w ten sposób? Wtedy gdy się odkryła i mówiła mu z takim zaufaniem o swoim życiu? Jaki był tego cel? Czy po prostu chciał urazić jej dumę?

Jeśli mógł postąpić tak okrutnie, to znaczy, że jest wariatem i świnią.

Wiedziała, że nie o to chodzi.

Jego rana i ból, choć bardzo głęboko schowane, mogły być większe. Większe, niż szkoda wyrządzona jej ego, kopniak zadany jej dumie. Czy mogła mu jakoś pomóc?

Wydawało się to niemożliwe.

A przecież powiedział - mój Boże, czy na pewno dobrze go usłyszała? - powiedział, że ją kocha...

Dokąd ona stamtąd poszła?

Cokolwiek zrobiła, zawsze wszystko psuła. Myślała, że szczerze ofiarowywała swą otwartość, zaufanie i była pewna, że on je przyjmie, zaakceptuje tak, jak to jest. Ale cokolwiek zrobiła, zawsze wszystko psuła.

Bzdura! Nie *wszystko*. Tylko wtedy, gdy chodziło o tego przeklętego Driskilla.

W czasie spotkania z Kesslerem Driskill był blady, drżący i jakby załamany. Natomiast Dunn wydawał się jak zwykle nieprzenikniony. Po której stronie, zastanawiała się, stał naprawdę?

Ambrose Calder. Tak, to dopiero była robota. Bliski kuzyn Doktora Strangelove'a. Ile z jego mamrotania Ben i Dunn potraktowali serio?

D'Ambrizzi jako Simon Verginius - to niedorzeczność.

Wróciła do zagadnienia podstawowego: kto stał za *assassini*? Z pewnością nie D'Ambrizzi, ponieważ to o czym rozmawiali teraz, było czystym złem. Znała D'Ambrizziego. Nie mógł być złem...

Zatem kto?

Kuria? Klika wewnątrz Kurii? Może ktoś, jednostka na stanowisku o wielkiej władzy: Indelicato? Ottaviani czy Fangio? Ktoś, kogo w ogóle nie zna? Może ktoś spoza oficjalnej struktury Kościoła, jakiś świecki ksiądz, jakiś szalony odpowiednik Lockhardta? Arcyksiądz? Czy Zbieracz? Kim byli?

Czy mógłby to być, zastanawiała się sennie, sam papież?

Może była to niewidzialna ręka. Ktoś, kto nigdy nie zostanie zdemaskowany, jakby infekcja, plaga... Może osiągnie swój cel i zabójstwa ustaną, tajemnica zostanie zapomniana, aż znowu nadejdzie czas, by *assassini* jeszcze raz uderzyli i by dzięki nim Kościół odpowiadał potrzebom jego tajemniczych władców.

Siedziała nad pustym talerzem i opróżnionym kieliszkiem, wpatrując się w taras, na którym usiłował zabić ją tamten mężczyzna. Znowu go zobaczyła, jego mleczone oko, poczuła świecznik w dłoni, siłę uderzenia, gdy miażdżyła mu twarz... Jak zabić pamięć?

Wszystko tak bardzo poplątała.

Nie uświadamiano sobie, jak ważne dla osób związanych z Kościołem były znajomości spoza kręgów klerykalnych. Nie rozumiano, co one oznaczały, jakie konsekwencje pociągały za sobą i jakie czasami wzbudzały nadzieje.

Zniszczyła wszystko między sobą a Benem Driskillem w Princeton przez swoją niepewność, skoncentrowanie na sobie i strach. Ukryła się w Kościele, uciekła przed światem, bo zlekła się, że nad nim nie zapanuje - ale i tak świat po nią sięgnął, pochwycił, wyrwał z bezpiecznego schronienia. Podziwiała Bena, lubiła i pociągał ją; odwróciła się od niego nie dlatego, że coś zrobił, ale przez własne porażki w podejmowaniu decyzji, wątpliwości i obawy co do kierunku, który wybrała dla swego życia. Chciała go zmusić do zapłacenia za jej własne błędy, gdy tymczasem to ona oddała się szaleństwu samozwątpienia i uciekła, by ukryć się pod spódnicą Zakonu.

Zakon w pewien sposób zbyt mało od niej wymagał, a ona dawała z siebie tylko tyle, ile od niej chciano. Nie tak jak siostra Val, która wiele z siebie ofiarowała, podniosła prestiż Zakonu dzięki swemu poświęceniu i determinacji, by go uczynić lepszym, niż był. W tej chwili czuła się niewarta siostry Val.

Czy kiedykolwiek będzie w stanie wyjaśnić swoją pokrętną logikę Benowi, który widział tylko jej chłód i własne upokorzenie przez nią w Princeton? Wiedziała, że miał rację: gdy jego siostra została zamordowana, Elżbieta wyciągnęła do niego rękę, ale gdy sięgnął po nią, odwróciła się plecami. Może po kłótni w Awinionie zrównali się ze sobą.

Teraz po powrocie do Rzymu chciała tylko spać. Może kiedy się obudzi, to już będzie po wszystkim. Sen jednak nie chciał przyjść.

- Czy może zechciałbyś potrudzić się i wyśnić mi, o co chodziło z tą zakonnice?
- Eminencjo, on nie miał jej zabić, wyjaśniłem mu to dokładnie, starałem się...
- Niezbyt dokładnie to wyjaśniłeś! Cała sprawa była już całkiem zabagniona, a teraz jest jeszcze gorzej!
- Horstmann zapewniał, że temu człowiekowi można ufać...
- Horstmann nie widział go trzydzieści lat! Horstmann jest starym fanatykiem! Musiał zwariować dawno temu. Może był wariatem od samego początku. Wszystko jedno, ale to nie zakonnice trzeba zabić... tylko Driskilla...
- Ale, Eminencjo, czy to jest słuszne? Teraz kiedy przyjechał do Rzymu?
- Nie pouczaj mnie, co jest słuszne! I może powinienem ci przypomnieć, że to właśnie ty wypuściłeś Driskilla z ręki?
- Teraz go potrzebujemy, on potrzebuje nas... Musimy go wysłuchać. Proszę mi wybaczyć, ale to jest fakt...
- Horstmann powinien zabić Driskilla w Paryżu... albo w klasztorze Świętego Sykstusa... Zostało

coraz mniej czasu. Ojciec Święty może umrzeć w każdej chwili. Musimy wcześniej być pewni wyniku...

- Czy jest szansa, że wyjawi swe życzenia?

- To jest obosieczny miecz, oczywiście. Jeśli ja otrzymam jego błogosławieństwo, to jedna rzecz. Ale jeśli ktoś Inny, to nie mogłoby być gorzej. Lepiej by się stało, gdyby po prostu umarł. Co teraz? Co z Horstmannem?

- Eminencjo?

- Możemy go jeszcze raz potrzebować. - Wzruszył ramionami.

- Kto? Teraz jest to bardzo niebezpieczne, bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek. Wszyscy przyjechali do Rzymu. Kogo ma Eminencja na myśli?

- Nie spodobałoby ci się to. Ale by wszystko załatwiło... Nazwisko od razu pojawiło się w głowie.

- Horstmann nigdy tego nie zrobi, Eminencjo.

- Zrobi, co mu się każe. Dawno temu został zaprogramowany i to przez eksperta. Nie jest człowiekiem. Jest narzędziem.

- Wybaczcie mi, Eminencjo, ale on jest człowiekiem.

- To nie stchórz teraz. Jesteśmy prawie u celu. Pamiętaj. Kościół musi być uratowany.

Papież Kalikst już nie zwracał uwagi na noc i dzień, ciemność i światło. Ciemność - ta osobista ciemność - czołgała się, zbliżała z każdym oddechem, każdym uderzeniem serca. Wyczuwał, że układy wewnętrzne przestają pracować. Życie było za krótkie, ale może dla niego wystarczająco długie. Zastanawiał się, co stanie się za chwilę. Czuł się już bardzo zmęczony. I bardzo przerażony.

Coraz bardziej żył przeszłością. Jego umysł odpływał w mrok, rozpamiętując i znowu przywołując twarze dawnych towarzyszy: Horstmann, małego Leona, LeBecq'a umierającego na cmentarzu, Simona... Wszyscy zdawali się zbierać wokół jego łóżka, kiwając głowami, składając wyrazy szacunku, żywi i umarli pomagali mu odejść...

Już było za późno, by stać się nowym Kalikstem. Zbyt późno, by wypełnić plan D'Ambrizzego. Powiedział kardynałowi, że już nie ma czasu i wielka, ciężka głowa pochyliła się w skinięciu.

- Wytrzymaj jeszcze trochę - odparł D'Ambrizzi.

Kalikst drzemał i mamrotał we śnie, gdy sekretarz lekko dotknął jego ramienia.

- Tak, tak - powiedział. Zaschło mu w ustach i nieporadnie wypowiadał słowa. - Co to? Tabletki?

- Nie, Wasza Świątobliwość. Przyniosłem list. Kalikst zobaczył zwykłą kopertę.

- Od kogo?

- Nie wiem, Wasza Świątobliwość. Przyniósł go posłaniec.

- W porządku. Włącz lampę. - Skinął głową w stronę stołu przy łóżku. - Dziękuję. Zadzwoń do ciebie, jeśli będę cię potrzebował.

Gdy został sam, sięgnął do kieszeni szlafroka i dotknął florentyńskiego sztyletu. Opuszką palca musnął ostry jak brzytwa czubek. Wyjął z kieszeni sztylet, zobaczył na palcu kropelkę krwi. Włożył go do ust, poczuł smak krwi. Wsunął ostrze w kopertę i rozciął ją.

W środku była pojedyncza kartka papieru, złożona w pół. Rozłożył ją i zobaczył linijkę zapisaną odręcznie. Zanim odczytał słowa, rozpoznał charakter pisma. Powoli, gdy przeczytał litery, uśmiech pojawił się na jego twarzy.

Nadal jesteś jednym z nas. Nie zapomnij o tym...

Simon V.

To był niezwykle spokojny, jak gdyby świat znieruchomiał czekając, aż spadnie drugi pantofel. Oczywiście, świat o niczym nie wiedział. Ale miałem to uczucie, że jesteśmy w ciszy oka huraganu. Wszyscy czekaliśmy, aż oko przesunie się i znowu uderzy wiatr. Tak długo, jak kardynał D'Ambrizzi pozostawał za zamkniętymi drzwiami z papieżem, wydawało się, że spokój będzie trwał. Zastanawiałem się, czy on naprawdę umiera, ten biedny człowiek przewodzący Kościołowi, zdradzający wiele objawów rozpadania się na kawałki, czy jest to kolejna wymyślona historia, która będzie miała zaskakujące zakończenie? Niczego nie dawało się przewidzieć. Przez wiele lat mego życia wszystko było zrutynizowane: sprawy przewijające się przez moje biurko, twarze klientów i ich nieuniknione zmartwienia; nie kończące się utarczki z ojcem, moje nocne koszmary, gdy śniłem o jezuitach i budziłem się obłany potem, a moja noga płonęła - pamiątka po małym kłopotcie z łańcuchem, przypadkowe kobiety, spotykane przy okazji pełnienia różnych charytatywnych funkcji, z którymi prowadziłem umiarkowanie satysfakcjonujące, krótkotrwałe romanse. Ale teraz, teraz niczego nie dało się przewidzieć. Zdawało mi się, że niczego nie jestem w stanie zaplanować. Nigdy nie czułem się taki naiwny i tak zdezorientowany. I stałem wśród martwych ciał. Całe moje uzbrojenie stanowił rewolwer zabawka. A wszystko co chciałem robić, czy bardziej dokładnie, co byłem w *stanie* robić - to myślenie o zakonnicach.

W końcu nie dotrzymałem danego sobie przyrzeczenia, by trzymać się od niej z daleka i pilnować własnego nosa. Chyba to było nieuniknione. Po prostu nie potrafiłem zostawić spraw w taki sposób, jak wyglądały po wyjeździe z Awinionu. Jak mógłbym? Powiedziałem tej kobiecie, że ją kocham. O czym myślałem, gdy jej to niechcący wyznałem? Cóż myślałem, że się w niej zakochałem. Najwyraźniej. Po raz pierwszy w życiu. W zakonnicach. I nagle zapomniałem o wszystkich moich lękach, które do tej pory trzymały mnie w bezpiecznej od niej odległości. Teraz zobaczyłem światło. To było jedyne wyjaśnienie. Poza tym chodziło o dwoje ludzi, których połączyły ze sobą okoliczności. Nasze umysły nie działały w błogiej izolacji i niewiedzy. Zakonnica czy nie - Elżbieta była żywą, oddychającą kobietą.

Zadzwoiłem do niej, pełen niewypowiedzianych przeprosin, i zaproponowałem spacer w Ogrodach Borghese.

- Muszę z tobą porozmawiać, zanim sprawy posuną się do przodu - powiedziałem. - Pójdziemy na spacer. Chciałbym cię prosić, abyś wysłuchała uważnie tego, co muszę ci wyjaśnić. Jestem ci winien przeprosiny. Ale jest coś jeszcze.

- Dobrze - odparła. Usłyszałem zwątpienie w jej głosie.

Czułem się bezpieczny - cokolwiek to znaczyło - w Ogrodach Borghese, na otwartej przestrzeni, z turystami, którzy nigdy nie słyszeli o *assassini*, przechadzali się, śmieli i na głos czytali przewodniki. Kobiety tuliły dzieci i pchały wózki. Willę zbudowano w siedemnastym wieku dla kardynała Borghese. Park rozciągał się daleko i szeroko, ogromny i zielony. Topografia falistych wzgórz, małych stawów, willi, łagodnych widoków, dolin. Szeroka esplanada Piazza di Siena świeciła szczęśliwie w promieniach

słońca. Wszędzie rosły sosny.

Spacerowaliśmy po trawie wzdłuż brzegu jednego z jezior. Dzieci śmiały się rozbawione. Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu do nich. Dzieci. Patrzyłem na tych wszystkich eleganckich Włochów w ich dopasowanych ubraniach, płaszczach zwisających z ramion, w okularach przeciwsłonecznych i poczułem się jeszcze bardziej niż przedtem jak bokser ze złamanym nosem, który już od dawna nie wygrał żadnej walki. Zobaczyłem się w lustrze. Oczy podkrążone, twarz ściągnięta wyczerpaniem, jak gdyby była od zawsze zmartwiona i tylko teraz pokazywała cały rozmiar szkód. Co za wspaniały facet!

- A więc - powiedziała - co takiego ważnego muszę wysłuchać tak bardzo uważnie?

- Słuchaj, siostró, a usłyszysz... - Próbowałem się uśmiechać, a ona patrzyła na drugą stronę jeziora. - Kiedy przedzierałem się przez to bagno w Irlandii, natknąłem się na kilka rzeczy, o których muszę ci powiedzieć. Dotyczą nas obojga. To nie jest najłatwiejsze, ale podjąłem decyzję, że ci powiem...

- Może więc nie powinieneś tego robić - stwierdziła. - Zastanów się, Ben.

- Przemyslałem wszystko tysiąc razy. Wcale nie staje się dzięki temu łatwiejsze. I... po pierwsze, tam się załamałem. Widziałem, jak to się działo, jakbym obserwował innego biednego, zasługującego na pogardę drania, który się rozpada. Tyle że to byłem ja sam. Stary Ben Driskill świeżutko po utracie zmysłów. Dostałem swoją porcję batów, tak czy inaczej, uwierz mi, ale tym razem to było coś innego, to zdarzyło się w klasztorze Świętego Sykstusa... - Chciałem się jej zwierzyć tak, jak ona to zrobiła, wyjawić coś ukrytego przed oceną innych, coś, co czyniło mnie słabym. Chciałem jej pokazać, że jej ufam. To były moje przeprosiny. - Zgubiłem się we mgle, a ocean wywoływał trzęsienie ziemi. Znalazłem w jaskini małego starego człowieka z poderżniętym gardłem i bałem się wyjść na zewnątrz... W końcu wyszedłem. Musiałem się stamtąd wydostać, ale obawiałem się, że on tam na mnie czeka, a ja we mgle nie zdołam go zobaczyć... Horstmann. On by mnie dostrzegł, a ja go nie i wiedziałem, że mnie zabije. Zdawałem sobie sprawę, iż zostałem pokonany. A jednak wyszedłem stamtąd, chociaż wiedziałem, że umrę. Jeszcze nie rozpadłem się w środku, jeszcze mogłem stawić czoło wszystkiemu, cokolwiek tam na mnie czekało.

- Potem przedzierałem się przez mgłę i kołowałem, aż zobaczyłem brata Leona przywiązanego do krzyża, do góry nogami. Był cały siny i różowy od krwi, machał do mnie opadającym ramieniem. Zobaczyłem, do czego zdolny jest Horstmann i zrozumiałem, jak nade mną góruje. Nie umiałbym go powstrzymać. I miałem świadomość, że jestem następny w kolejności... To nie był zwykły strach, Elżbieto. To coś znacznie gorszego. Ogarnęła mnie pustka, nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić oddania ciosu. - Na sekundę spojrzała mi w oczy. Pragnąłem, by zrozumiała, by rozgrzeszyła mnie z niewypowiedzianego grzechu strachu. - Poczułem się tak, jakbym stał się z nim jednością - zabójca i ofiara, dwóch sygnatariuszy tego samego paktu - on zabije, a ja umrę. Załamałem się i uciekłem. Jak dziecko ze straszydłem tuż za swymi plecami. Był we mnie, stanowiliśmy tę samą istotę - biegłem, biegłem i nie mogłem się zatrzymać, aż znalazłem swój samochód. Moje serce ciągle biło szybko, dopóki nie znalazłem się wiele, wiele mil dalej. Widzisz, nawet się nie domyślałem, że taki lęk w ogóle istnieje.

Szedłem nie zatrzymując się, z rękami w kieszeniach, ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakbym był

sam ze swoim tchórzostwem. Tak jak wtedy czułem się samotny.

- Rozumiem - powiedziała. - Nie możesz winić siebie. To była jedyna rozsądna decyzja. - Chciała mnie dotknąć. Ale powstrzymała się i cofnęła rękę, zanim impuls zwyciężył.

- Nie byłem po prostu przestraszony - odparłem. - Straciłem całą nadzieję i chęć do życia. Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek je odnajdę. Nie miałem pojęcia, gdzie ich szukać. Nie wiedziałem, czy jeszcze coś dobrego ze mnie będzie. Strach wciąż jest we mnie, nie mogę się z niego otrząsnąć...

- Otrząsniesz się - powiedziała. - Taka jest twoja natura. Wszystko będzie w porządku. Jesteś jak twój ojciec, nie do pobicia. - Słowa wymknęły jej się bezwiednie z ust, zanim się powstrzymała. Wiedziała, że lepiej jest nie porównywać mnie z moim ojcem.

- To była druga rzecz, którą sobie uświadomiłem. *Jestem* podobny do mojego ojca. Takim mnie uczynił, rozumiesz? Stworzył mnie, uformował. Nie z miłością, nie przez wskazywanie przykładów i zachęcanie mnie... ale przez pogardę. Pogardzał tym, co uważał za moje słabości i obrócił mnie w twardego, nielitościwego sukinsyna. Nie mogę na to nic poradzić. Jestem synem mojego ojca. Uświadomiłem to sobie po Irlandii - nienawidziłem siebie, ale wiedziałem, czego chcę. Wiem, czego chcę. Wiem, co muszę zrobić i zrobię to... Ale nic innego we mnie nie zostało. I jest tylko jeden sposób, by wypełnić pustkę...

- Widzisz - przerwała - już zacząłeś wracać do siebie. Wiedziałeś, co robisz, wiedziałeś, co musisz zrobić, by się pozbierać. - Próbowwała się uśmiechnąć, ale uśmiech od razu znikł. Dostrzegła niebezpieczeństwo z daleka. Nie spotkałem się z nią tylko po to, by ją przeprosić za grubiańskie potraktowanie w Awinionie, namówić na grzeczny powrót do przyjaźni. Potrafiła zobaczyć, że nie skończyłem z rozrabianiem na krawędzi jej życia. Miałem zamiar sprawiać kłopoty, a zakonnica widziała znaki ostrzegawcze. - Wiesz...

- Naprawdę wiem. I to jest problem. Było takie jedno miejsce na świecie, gdzie chciałem się znaleźć...

- Proszę, Ben, przestań zaraz. - Postąpiła kilka kroków ode mnie, jakby chciała odejść poza zasięg mojego głosu, nie słyszeć go. - Proszę, nie rób...

- To ty - powiedziałem. - Pragnąłem być z tobą... Nie chciałem umierać i chciałem być z tobą. Nawet bardziej niż zabić Horstmann. To przez ciebie, Elżbieto, nie wiem do diabła, co mam z tym zrobić. Wszystko między nami źle się potoczyło, ale pamiętałem - wiedziałem, że mógłbym trafić do ciebie, mógłbym wszystko naprawić. Ale tak się ciebie bałem i teraz ciągle wszystko psuję, co zrobię, czy powiem, jest złe. To przeszłość, przed którą nie potrafię uciec, to katolicycy...

Odwróciła się i odeszła.

- Do diabła - powiedziałem do jej oddalających się pleców. Czułem się tak, jakbym mówił nieznanym językiem. - Kocham cię, Elżbieto...

Rzuciła mi krótkie spojrzenie przez ramię. Myślałem, że się rozplacze. Miała taką bladą twarz. Ale nie było na niej łez. Też wyglądała na ogarniętą przez pustkę.

Poszedłem za nią, wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ramienia. Zadrżała. Nie patrzyła na mnie. Samotny ksiądz przeszedł tuż obok nas, spojrzał w nasze twarze, skinął wesoło głową i poszedł dalej, a

jego ciężkie, czarne buty poruszały fałdami sutanny.

- Siostró - szepnąłem - zadziwiasz mnie. Myślałem, że do tej pory już to zauważyłaś. - Powoli wypuściłem wstrzymywany oddech.

Przed nami stanął mały chłopiec. Obiema rękami trzymał czarne pudełko do sterowania radiem. Na jeziorze powoli obracał się duży model jachtu. Chłopiec próbował ustawić łódkę tak, by chwyciła wiatr w wysokie żagle. Elżbieta patrzyła, jak żagle nagle się wydymają.

Usiadłem na pochyłości, wziąłem ją za rękę i pociągnąłem obok siebie. Zrozumiałem, że nie mógłbym już niczego dodać. Powiedziałem za dużo: jeszcze przed chwilą nad wszystkim panowałem, lecz nie teraz. Czekałem w milczeniu. Utkwiła wzrok w białych żaglach.

- Uważam - odezwałem się w końcu - że ignorowanie tego nie ma sensu. Nie potrafię ci nic więcej wyjaśnić. Zakochałem się w tobie... Obserwowałem, jak się załamuję, jak tracę wolę i w końcu zobaczyłem siebie takim, jakim jestem naprawdę - synem mojego ojca. Ale znalazłem ciebie. To jak odzyskanie nadziei. Skarb.

- Musisz przestać - powiedziała zduszonym głosem, zapędzona w pułapkę. - Proszę, Ben... - Mrugała błyszczącymi oczami. - To wszystko nie tak. Nie powinieneś tego mówić. Nie jestem kobietą dla ciebie, jak mogłabym być? A ty nie jesteś mężczyzną dla mnie. Dla mnie nie może istnieć mężczyzna. Wciąż jestem siostrą... - Płakała, ocierając bezradnie łzy. - To tak cholernie boli - nie mogła mówić dalej.

- Posłuchaj mnie...

- Nie, nie chcę cię słuchać! - Jej gniew rozpalił się nagle. - Jeśli choć trochę dbasz o mnie, jak mówisz, to przestaniesz. Już nigdy nie będziesz rozmawiał ze mną w ten sposób. Będziesz pamiętał, kim jestem... Będziesz szanował mnie za to, kim jestem!

Popatrzyła mi w oczy z wyrzutem. Łzy wyschły na jej policzkach. Właśnie na tę chwilę miałem ją. W końcu ułamek prawdziwej Elżbiety. Ale teraz rozpływała się jak duch. Wszystko zepsułem. Odepchnąłem ją od siebie, gdy jej dotknąłem. Jej oczy były zmartwione, twarz pobladła z napięcia, wargi drżały. O niczym nie myślałem. Wziąłem ją za ramiona, przyciągnąłem do siebie i pocałowałem. Pocałowałem miękkie usta, słone od łez. Dla niej to było coś zupełnie nieznanego. Czułem, jak opuszcza ją zdecydowanie, jak drży w moich ramionach, jak gdyby gniew i rozgoryczenie okazały się tylko słowami, a to czymś zupełnie innym. Pocałowałem jej wargi i policzek, poczułem miękkość i zapach jej włosów. *Elżbieta...*

Powoli, łagodnie, odepchnęła mnie, jej ręce między nami, czułem jeszcze jej piersi opierające się o mnie. Uśmiechnąłem się do niej - pełen nadziei - i patrzyłem z niedowierzaniem, jak potrząsa głową.

Nie, nie, nie. Zrozumiałem wyraz jej twarzy. Lęk. Bała się mnie. Mogła być zakonnica, czarownicą stojącą przed swym inkwizytorem, wiedząc, że spłonie na stosie, wiedząc, że płomienie już płoną, a koniec jest blisko.

Była tak śmiertelnie blada, wpatrywała się we mnie i wszystko wyczytałem z jej twarzy. Jej odmowę. Poczulem, że wszystko we mnie się rozpada. *Powiniennem był wiedzieć, że nie mogę ci ufać.* To było w jej oczach, w zaciśniętych szczękach. *Jesteś jedną z nich, tak ci ufałem, to mój błąd.* Jej oczy wpatrywały się we mnie, przenikały mnie, jak byśmy stali się częścią niekończącego się koszmaru

niemożliwej, bezsensownej miłości. Jesteś, czym jesteś, kobietą!

- Nie chciałam rozmawiać - wyszeptała. - Namówiłeś mnie. Nic nie przychodziło mi do głowy, co mógłbym jej powiedzieć.

- Driskill... - Ledwie ją słyszałem. - Proszę... nie patrz tak na mnie, Ben.

Wstałem.

- Idziesz, siostrze? - Wyciągnąłem rękę.

Pokręciła głową. Odszedłem, mijając grupki turystów i księży. Wszędzie byli księża. Słowo już się rozeszło. Papież umiera. Rzym się wypełnia.

Żagle wreszcie złapały wiatr i mały chłopiec pozwolił, by natura przejęła sprawę. Jego ojciec stał dumny u jego boku.

- Dobra robota, Tony! Świetna robota, stary! - Anglicy na wakacjach...

Zostawiłem ją za sobą i odszedłem na ślepo, w ogóle mnie nie obchodziło, dokąd idę, czy co robię. Musiałem się opanować i poradzić sobie z tym, co popsulem w idyllicznej scenerii ogrodów. Musiałem sobie przypomnieć, po co przyjechałem do Rzymu...

Rozsądek podpowiadał mi, że nie powinienem kierować swojego gniewu na Elżbietę: była, kim była. Gdzie istniała serdeczność i pożądanie, ona była zamknięta, chroniona, pusta. A ja popełniłem straszny błąd, zrobiłem z siebie żalostnego głupca. To stawało się rutyną.

Dziwne wydawało się to, że gdy wykopała stołek spod nóg moich głupiutkich nadziei, podniósł mi się poziom adrenaliny. Znowu znalazłem się w punkcie, w którym byłem, zanim Elżbieta przyjechała do Paryża. Znowu nie miałem nic do stracenia. W dziwny sposób, gdy już zacząłem rozumieć swoje uczucia do niej, pogubiłem się. Poddałem się strachowi, bo nagle odkryłem powód, by pozostać przy życiu za wszelką cenę: kochałem kogoś, niespodziewanie, absurdalnie, ale tak właśnie było. Uderzyła w moją duszę, tak jak Horstmann, przecięła wszystkie więzy łączące mnie z życiem, z nią. Nie żyła dla mnie, a więc byłem wolny. Może właśnie mnie ocaliła. Znowu chciałem tylko dopaść Horstmanna, nic więcej.

Uspokoilem gniew. Uświadomiłem sobie, że czuję się samotny i muszę z kimś porozmawiać. Istniał tylko jeden człowiek, który mógł mi pomóc.

Znalazłem ojca Dunna w jego pokoju w pensjonacie. Wolał go od elegancji Hasslera, gdzie wynająłem apartament. Twierdził, że hotel jest częścią Watykanu.

- Nie widzisz mgły szachrajstwa wylewającej się spod wszystkich drzwi. Nie, Ben, Hassler nie jest dla mnie, nie tym razem.

Siedział przy prostym stoliku stojącym przy oknie jego sypialni wychodzącej na wąską uliczkę. Palił cygaro i wpatrywał się w dużą paczkę owiniętą ceratą.

- Widziałem, jak idziesz - powiedział przez dym. - Miałem nadzieję, że wejdiesz.

Kiwnąłem głową w kierunku paczki.

- Zrobiłeś interes na kawałku Jedynego Prawdziwego Krzyża?

- Nie całkiem. - Rozpakował paczkę, odwinął ceratę, a potem zatłuszczoną i wydzielającą zapach

metal szmatę.

Automatyczny pistolet kalibru 0.45 leżał na stole. Ciężka, posępna obecność w małym pokoiku. To nie była zabawka.

- Jakim ty jesteś księdzem, co? - Zaszło mi w ustach, kiedy wziął pistolet i zważył go w prawej ręce. Nikt nie okazał się tym, kogo oczekiwałem.

- Chciałbym ich dostać, zanim oni dostaną mnie. Już ci to powiedziałem. Tutaj ludzi się zabija. Na Horstmannie twój pistolet nie zrobił wrażenia. Prawdopodobnie na mój też nie zwróciłby większej uwagi.

Roześmiał się cicho i ponownie zapakował pistolet, wrzucił go do otwartej walizki, popatrzył raz jeszcze i wsunął pod łóżko.

- Chodźmy na spacer - zaproponował. - Musimy porozmawiać. Nie chciałbym ci przynosić złych wiadomości, ale wyglądasz, jakbyś miał wypadek samochodowy. Może byś mi o tym opowiedział, chłopcze. Kiedy moje życie jest w niebezpieczeństwie, lubię sobie wszystko wyjaśnić. Rozbaw mnie.

Znał tajemniczą topografię Trastevere jak stacje drogi krzyżowej. Prawie westchnął z ulgą, kiedy minęliśmy most i znaleźliśmy się tam; jak gdyby jego tajemnicze zakątki odpowiadały mu. Znał je tak dobrze, że opowiedział mi o znakach topograficznych, które już nie istniały.

- To jest piazza San Apollonia. A tam, po drugiej stronie placu, stał kiedyś kościół pod wezwaniem San Apollonia. Zniknął już, oczywiście. Ale kiedyś to był dom dla pokutujących kobiet. W sierpniu 1520 córka piekarza, dziewczyna o imieniu Margherita, przyszła do nich. Margherita... teraz zna ją cały świat. Była kochanką Rafaela, modelką do wspaniałego obrazu „Fornarina - córka piekarza”. Pozowała do jego „Madonny Sykstyńskiej”. I do obrazu „La velata” w Pitti. Popatrz na te obrazy. Spiczaste, małe piersi, brodawki jak pączki róży. Przyszła do zakonnic w cztery miesiące po śmierci Rafaela... Nawet na jego ostatniej pracy - „Przemienienie Pańskie” - wiszącej w Pinakotece Watykańskiej znalazła się Margherita; namalował ją po prawej stronie. - Poszliśmy dalej, a on wskazywał to czy tamto. Tak dotarliśmy do Via delia Lungaretta. Był mistrzem w psychologii. Uspokajał mnie, tylko zagadując, gdy tymczasem ja starałem się sprowadzić wszystko do rozmiarów, z którymi mógłbym dać sobie radę.

Zatrzymaliśmy się na szklaneczkę schłodzonego orvieto w kafejce przy piazza di San Maria. Fontanna na placu szumiała i pryskała wokół, dzieciaki bawiły się przy niej. Wino przywracało mi życie.

- Bardzo lubisz opowiadać historyjki - stwierdziłem. - Opowiedz więc mi tę o rewolwerze.

- Och, to coś w rodzaju talizmanu. Pamiątka z czasów spędzonych w armii. Studiowałem w Rzymie po wojnie, zostawiłem tę broń przyjacielowi mieszkającemu tutaj. Wczoraj wpadłem do niego z wizytą, rozmawialiśmy o starych czasach. Pomyślałem, że rzuciłbym okiem na moją starą rusznicę. Stwierdziłem, że całkiem porządnie się moją pamiątką zajął. - Wzruszył ramionami. - Nie traktuj tego zbyt poważnie, Ben. - Zamachał do kelnera, by ten przyniósł nam więcej wina. Zaczęła wiać bryza, rozrzucając wszystko po placu. Śmiech dziewcząt przypominał brzęk monet wrzucanych do fontanny. - A teraz opowiesz mi, dlaczego przyszedłeś do mnie wyglądając tak, jakby przejechała cię ciężarówka. O co chodzi?

Było coś w opowiadaniu Artiemu Dunnowi. Może polegało to na tym, iż nic nie jest w stanie go

zaskoczyć. I złapał mnie w chwili, gdy musiałem z kimś porozmawiać. Opowiedziałem mu o Elżbiecie i o sobie, całą historię, od początku, zaczynając od tej śnieżnej nocy w parku Gramercy, kiedy jeszcze żyła moja siostra. Opisałem, jak przyjechała do Princeton, jak wyciągnęła mnie z dna po śmierci Val. Opowiedziałem mu, jaka potrafiła być mądra, dociekliwa, bystra, jak to właśnie ona odkryła istnienie *assassini*, nadała tożsamość naszemu wrogowi wtedy, gdy był to jeszcze migoczący cień starego człowieka z siwymi włosami i nożem. To ona odnalazła wzór starożytnej materii. To ona odkryła ścieżkę prowadzącą do Badell-Fowlera, dróżkę wiodącą do naszej epoki. Kiedy wyglądało, że wszystko prowadzi w ślepy zaułek, nie przestała przeć naprzód... i miała rację. Wszystko to mu powiedziałem. Przyznałem się też, że zakochałem się w niej i opisałem, co się stało w Ogrodach Borghese.

Słuchał cierpliwie, popijając wino. Bryza odświeżała powietrze, pachniała trochę deszczem.

- Rozchmurz się - powiedział. - Jest kobietą. Lord Byron wygłosił najmądrzejsze zdanie o kobietach. Kobiety to przyływ, który w czasie potopu prowadzi... Bóg jeden wie, dokąd. To chyba wyjaśnia wszystko, przyjacielu.

- Ale biorąc pod uwagę wszystkie uwarunkowania - odparłem - ona jest zakonnica, a ja jestem głupcem.

- Nonsens. Bzdura. Nasza siostra Elżbieta jest nowoczesną kobietą. Zdarzyło się, że wybrała zawód, który stawia pewne niezwykle wymagania. Resztą nie zawracaj sobie głowy. To nie jest Kościół z twojego dzieciństwa. Ani nawet Kościół z twoich jezuickich czasów. Wszystko się zmieniło. Prawie nie do rozpoznania.

- Powołanie jest powołaniem - twierdziłem z uporem.

- Mój drogi kolego - odparł Dunn z szyderstwem w głosie - rozmawiamy o wyrafinowanej intelektualnie kobiecie - nie o dziecku niepiśmiennych wieśniaków ani o niedokształconej lebidze, która zobaczyła Jezusa siedzącego na drzewie i postanowiła swe życie poświęcić jako jego oblubienica. Ma pełne prawo do wątpliwości, nie tylko co do swojej religii, ale również co do swego dalszego losu, zdolności podejmowania decyzji. - Przyglądał mi się z tolerancyjnym, zamyślonym uśmiechem. - Jest nadzwyczaj nowoczesną kobietą, co oznacza, że bywa zdezorientowana, ambiwalentna i trochę uparta. Byłaby taka sama, bez względu na to czy prowadziła interesy, wykładałaby na uniwersytecie, czy zajmowała się domem - a ona jest po prostu zakonnica, co nie ma takiego wielkiego znaczenia. Ni mniej, ni więcej. Nie jest w więzach boskiego wezwania. Dobry Boże, Zakon nie jest atrakcją dla takich kobiet. Tamte kobiety potrzebują klasztoru. A Zakon specjalizuje się w aktywistkach, wybranych z wybranych, potwornie lebskich, tak właśnie jest. Driskill, ja naprawdę nie muszę ci tego mówić, sam jesteś bystrym facetem.

Zapalił cygaro, co trwało dłuższą chwilę, a ja tymczasem próbowałem to, co mi powiedział, dopasować do Elżbiety, jaką znałem.

- Kobiety, dla których Zakon jest atrakcją... Cóż, w Zakonie wiedzą, że nie mogą zatrzymać ich wszystkich. Tę grę gra się według nowych reguł. A siostra Elżbieta doświadcza wszystkich prób jej wieku. Rozmyśla o miłości, mężczyznach, dzieciach, o jej osobistych zobowiązaniach, ślubach, lęku przed własną słabością i wrażliwością, o kwestii zawiedzenia samej siebie i Kościoła. Na miłość boską,

Ben, sam przecież przez to przeszedłeś. Pomyśl o tym. I nie bój się sobie tego powiedzieć, chłopcze, nie jest łatwo być kobietą w naszych czasach. Jesteś całkiem bystrym facetem, powinienes do tego dojść sam.

- Zaciągnął się cygarem i patrzył na mnie, jak nauczyciel czekający na odpowiedź ucznia.

- Co, jeśli wolno zapytać, zrobiło z ciebie takiego znawcę kobiet? Przypomina mi to zakonnicę opowiadającą wiernym o kontroli urodzeń, małżeństwie i aborcji. Może ty dokładnie nie wiesz, o czym u diabła mówisz?

- Chcesz opowieści? To opowiem ci historię o księżach i kobietach. Musimy usunąć pajęczynę z tej twojej biednej starej głowy, przyjacielu. - Wydmuchnął idealne kółko z dymu i przesunął przez jego środek cygaro. - Najlepiej zrobisz, jak napijesz się jeszcze wina.

Opowiedział mi niezwykle gorzką historię o swoim powojennym romansie w Paryżu z zamężną Francuzką. Kochał ją, a ona jego. Miała córkę, która bardzo wiele dla niego znaczyła. Wszystko bardzo źle się skończyło. Obie kobiety zmarły tragicznie, a ojciec Dunn wiele przeszedł. Było to już dawno temu. Mówił o tym bardzo spokojnie. Fontanna szumiała, wino płynęło, a jego cygaro wypaliło się do końca.

- Księża są dalecy od ideału - stwierdził. - Są tylko ludźmi. Walczymy z tymi samymi pokusami. Zdobyć władzę, samotność, butelka, kobiety, żądza pod wszelkimi postaciami. Salvatore di Mona rozwiązał kłopoty finansowe swojej rodziny, kiedy został kardynałem, nie mówiąc już o wybraniu go papieżem Kalikstem. Może to nie jest takie zaskakujące, ilu ludzi śpieszy z pomocą kardynałowi. Na tej liście są alkoholicy, cudzołożnicy, zdrajcy, nie różniący się niczym od większości ludzi żyjących pod naporem różnych spraw. Obaj moglibyśmy sporządzić długą listę nazwisk... - Wzruszył ramionami. - D'Ambrizzi chociażby.

- D'Ambrizzi?

- Tylko mi nie mów, że zaskoczyły cię informacje Kesslera. To świetnie pasuje. Jest najbardziej światowym z kleru. Prawdziwy książę Kościoła. Ma władzę przekraczającą twoje najśmielsze marzenia, zapewniam cię. Jak Lockhardt albo twój ojciec czy Summerhays, tylko działający z drugiej strony płotu. Są z jednego stada. D'Ambrizzi naprawdę umie jedynie intrygować, poruszać pionkami na szachownicy.

- D'Ambrizzi - powiedziałem do siebie. Czy to możliwe, by rozkazał zamordować moją siostrę, wysłał swoje siwowłose narzędzie, by ją zabił... by zabił Lockhardta i Heffernana... by zabił brata Padraica i biednego Leona... A mój pistolet był zabawką.

Wyszliśmy z kafejki. Pojawiła się mgła, a zapach owoców, kwiatów i restauracji stał się przejmujący jak na dalekowschodnim bazarze.

Pokazał mi kościół Santa Maria. Powiedział, że jest najstarszy w Rzymie, bo za czasów cesarstwa w Trastavere zbierali się tu Żydzi. Potrzebne było miejsce spotkań dla wyznawców Chrystusa i inny papież Kalikst - pierwszy tego imienia - ufundował ten kościół. Poszedłem za nim na maleńki plac - Piazza di San Callistus - połączony z kościołem Santa Maria przez Palazzo di San Callistus - który, jak mi powiedział, należał do Watykanu.

- Czy Ojciec Święty przyjął imię po tym Kalikście?

- Bardzo nieszczęśliwy wybór. - Ojciec Dunn poprowadził mnie przez plac. Zatrzymaliśmy się

przed pałacem. - Tam, gdzie teraz jest ten pałac, stał kiedyś dom, w którym w końcu nieszczęsnego Kaliksta uwięziono i torturowano. Wyrzucono go przez okno do studni w podwórzu. Było to jakiś czas temu. Dokładnie w roku 222.

Staliśmy na mostku, spoglądając w dół na Tybr. Mgła właśnie zmieniała się w deszcz i na wodzie pojawiły się kółka. Mówił do mnie o D'Ambrizzim i Simonie.

- Był naprawdę w swoim żywiole w czasie wojny - stwierdził. - Ten człowiek został tak zaprojektowany, by wykorzystać go w czasie kryzysu. Stworzony przez firmę, której chodziło o interes, zbudowany by wytrwać. Ale nie sądzę, by mu teraz było dobrze w skórze Simona. Chociaż może właśnie o to chodzi - by nie być oczywistym. Nie wiem, Ben. - Patrzył na czarny Tybr płynący w deszczu. Usłyszałem uderzenie pioruna, gdzieś daleko, nad Toskanią. Zaczęliśmy iść. Już nic nie zostało do zrobienia, tylko czekanie, aż D'Ambrizzi i Kalikst skończą konferencję. Nic tylko czekanie i zastanawianie się, co robić, gdy czekanie się skończy.

- Chodź - powiedział - jest jeszcze coś, co chciałbym, żebyś zobaczył.

Dziesięć minut później staliśmy po drugiej stronie ulicy przed na wpół zrujnowanym budynkiem, w którym znajdował się jakiś magazyn i sklep spożywczy z małą restauracją. Było już ciemno, a od rzeki wiał zimny wiatr.

- Kościół jest właścicielem tego budynku - powiedział. - Całej przecznicy, prawdę mówiąc. Całkiem niezła *ristorante*. Prowadzi to były ksiądz z Neapolu. Chodźmy.

Poszedłem za nim ulicą i dookoła budynku na jego tyły. Odrapany wehikuł - dawno minęły już czasy jego świetności i było to widać - stał przed metalowymi drzwiami, odsuniętymi na kilka centymetrów.

- Chodź - ponaglił mnie. - Nie wstydź się.

Pchnął drzwi szeroko i ruszył słabo oświetlonym wąskim korytarzem, wypełnionym zapachem spaghetti, małej oregano i czosnku. Usłyszałem jakiś dźwięk z pomieszczenia na końcu korytarza. Ktoś rzucał strzałkami w tablicę z korka. Nic innego na świecie nie przypomina tego odgłosu. Zatrzymaliśmy się tuż przed drzwiami.

- Wchodźmy - powiedział ojciec Dunn.

Stał tam mężczyzna wyciągający strzałki z tablicy. Odwrócił się od nas, w dłoni błyszczały mu lśniące, ostre czubki.

Nie widziałem go od bardzo dawna. Od kiedy wraz z moją siostrą czekałem cierpliwie, aż wyjdzie z gabinetu i pobawi się z nami. Miał na sobie szary garnitur w prążki, białą koszulę, ciemny krawat i wykrochmalony kołnierzyk, który wpijał mu się w podbródek.

Zobaczył mnie i jego twarz rozkwitła szerokim uśmiechem. Podeszedł do mnie i stanął, patrząc mi prosto w oczy.

Pochwycił mnie w ramiona i objął.

- Minęło tyle lat, Beniaminie. Byliście wtedy małymi dziećmi. - Potrząsnął mną jak ogromną lalką. Wciąż był bardzo silny. - Beniaminie.

Odchylił się, żeby na mnie znowu popatrzeć. Wpatrywałem się w oczy kardynała Giacomo

D'Ambrizziego.

Dlaczego Artie Dunn oddał mnie w ręce mojego wroga?

Siostra Elżbieta siedziała przy swoim biurku w pustym biurze, z zamkniętymi oczami i dłońmi ułożonymi na stercie papierów. Z Ogrodów Borghese wróciła prosto do redakcji, gdzie siostra Bernardyna szybko i dokładnie przekazała jej informacje o stanie przygotowania materiałów do druku. Kończąc sprawozdanie siostra Bernardyna oparła się o szafę z kartoteką, wcisnęła biodrem nie zasuniętą szufladę i spytała:

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale... dobrze się czujesz? Wyglądasz na nieźle zmęczoną. Płakałaś?

Siostra Elżbieta odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się cicho.

- Ach - odpowiedziała zastanawiając się - chyba nie bardziej niż zwykle. - Widząc troskę na twarzy swojej asystentki dodała: - Nie, nie, czuję się dobrze. Ale masz rację, jestem zmęczona.

- To na pewno jeszcze skutki szoku po wdarciu się do twojego mieszkania tego szaleńca.

- Prawdopodobnie.

- Powinnaś naprawdę przez jakiś czas odpocząć, Liz.

- Nie martw się, nic mi nie będzie.

Siedziała sama przy biurku w opustoszałym, ciemnym biurze. Przenośne Sony grało cicho muzykę rockową. Z niechęcią otworzyła oczy i zobaczyła zieloną poświatę ekranu komputera. Wywołała charakterystyki D'Ambrizziego i Indelicato, które wpisała kilka tygodni temu do pamięci. Wpatrywała się w ich życiorysy skrócone do kilku linijek tekstu, wskazujące drogę, jaką obrali ku papieżowi. Zastanawiała się nad latami wojny. Teraz nie ulegało wątpliwości, że D'Ambrizzi był w jakimś celu w Paryżu - och, z jaką przyjemnością dopadłaby maszynopisu, który zostawił w New Prudence! - ale jeszcze bardziej ciekawiło ją, co wtedy robił Indelicato. Pracował w Rzymie. Blisko papieża...

Wyobrazenie obu dostojników jako dwóch armii zbierających popleczników, dążących nieugięcie do jednego celu, utkwilo jej w głowie. Trwający całe życie wyścig do Tronu Świętego Piotra. D'Ambrizzi i Indelicato, wieśniak i szlachcic, powiązani ze sobą przez lata, krok za krokiem, wrogowie i bracia.

Niezdarnie grzebała w ciemnej szufladzie w poszukiwaniu na pół pustej, wysuszonej prawie na pył paczki papierosów, które tam leżały od pół roku. Z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny wypalała dwa papierosy w miesiącu. I teraz nadszedł na nie czas. Ręce jej drżały, kiedy stwierdziła, że paczka, która leżała między spinaczami, gumkami, długopisami i resztkami tytoniu jest pusta. Siostra Bernardyna by na nią nakrzyczała. *Boże, możesz mnie przez chwilę wysłuchać? Proszę! Dużo przeszłam, prawda? No i chcę zapalić, tylko jednego papierosa! Czy za dużo chcę? Co o Tobie mówią? To może być prawda.* Zasunęła szufladę i popatrzyła na swoje ręce. Nie mogła wprost oderwać oczu od swych rąk...

Suche, kościste, pergaminowe dłonie, zimne dłonie z sinymi żyłami - dłonie starej zakonnicy...

Łkała.

Przypomniała sobie dłonie Val, zawsze silne, opalone i delikatne. Ale Val nigdy już się nie zestarzeje, nigdy nie będzie zasuszoną, bezpłodną kobietą, opłakującą życie i dzieci, które mogła urodzić

i miłość, jakiej nie poznała...

Wpatrywała się w swoje dłonie przez łzy.

Dzwonił telefon.

Otarła oczy chusteczką, próbowała otrząsnąć się z łez i głębin swego przygnębienia.

Podniosła słuchawkę i usłyszała znajomy głos, którego podświadomie się spodziewała. Monsignor Sandanato.

- Posłuchaj mnie siostrzo. Zostań tam, gdzie jesteś. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? Jesteś w niebezpieczeństwie. Muszę z tobą porozmawiać. Wychodzę teraz z biura.

Sandanato zjawił się po niecałym kwadransie. Brakowało mu tchu, jego twarz była wilgotna i błyszcząca od potu. Smagła, oliwkowa cera pobladła. Usiadł na brzegu biurka, jego płonące, rozgorączkowane oczy wpatrywały się w nią badawczo.

- Gdzie byłaś? Pojechałaś do Paryża, a potem zniknęłaś - to szaleństwo. Bardzo, bardzo się martwiłem.

- Przykro mi - odparła. - Spotkałam w Paryżu Bena Driskilla i ojca Dunna...

- Och, mój Boże - westchnął cicho. - Mów dalej.

- Pojechałam z nimi do Awinionu.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? - Nie mogła już dłużej ukrywać wyczerpania. - Nie masz prawa denerwować się w ten sposób! Pamiętaj, oni są po słusznej stronie! Ty i kardynał może nie traktujecie tej historii z *assassini* tak jak ja, ale oni znaleźli człowieka, który był w stanie rzucić więcej światła na...

- Jakiego człowieka? O czym ty mówisz? - Sięgnął przez biurko i wziął ją za rękę. - Siostrzo, wybacz mi. Zachowuję się jak szaleniec, ale musisz mi teraz powiedzieć całą prawdę. Zbliżamy się do końca tej okropnej sprawy. Musimy oczyścić Kościół, siostrzo i zrobimy to teraz. Ale musisz opowiedzieć mi o człowieku z Awinionu. *Proszę* - Ścisnął jej palce, zachęcając ją.

Głęboko westchnęła, jak gdyby wydychała z siebie okropny ciężar i opowiedziała mu o podróży do Awinionu i spotkaniu z Kesslerem-Calderem. Kiedy wspominała o jego zapewnieniach, że Simon Verginius to naprawdę D'Ambrizzi, spojrzała na Sandanato spodziewając się wybuchu, zaprzeczenia.

Nie nadeszło. Sandanato opuścił ramiona. Wstał, zaczął spacerować po pokoju, z rękami w kieszeniach, potrząsając głową.

- Siostrzo, ty i Driskill musicie wycofać się teraz z całej sprawy. Posłuchaj mnie, nie jesteście *graczami*, jesteście widzami, a ja nie chcę, by któreś z was przejechała uciekająca ciężarówka. Rozumiesz?

- Nie. Nic z tego nie rozumiem. Ani ciebie, ani Driskilla, nikogo z was. Ale nie mogę uwierzyć, że kardynał D'Ambrizzi jest winny...

- Obiecay mi, że będziesz się od wszystkiego trzymała z daleka.

Proszę!

- Szlag mnie trafi, jeśli się wycofam! A kto ci zniemacka dał takie prawo, by mi rozkazywać? I

dlaczego nie wściekła cię opowieść Kesslera?

- W porządku - powiedział, wykonując kilka przesadnych, uspokajających gestów i opanowując się najwyższym wysiłkiem woli. - Nie wściekam się z powodu opowieści Kesslera, bo może jest prawdziwa. D'Ambrizzi może naprawdę był Simonem. Tak.

- Co ty mówisz? I teraz jest Simonem? O to chodzi... Piętro, kochasz go przecież - jesteś z nim bliżej niż ktokolwiek na ziemi...

- Nie rozmawiamy o uczuciach, siostrzo. Już nas nie obchodzą. Mówimy o przyszłości Kościoła... mówimy o człowieku, który może zostać papieżem. A teraz jesteśmy blisko, by wszystko zrozumieć. Morderstwa, które siostra Valentine powiązała ze sobą, zamordowanie jej, atak na ciebie...

- My? Jacy *my*?

- Kardynał Indelicato i ja! Tak, uwierz mi. Pracowałem z Jego Eminencją, by odkryć prawdę...

- Ty i *Indelicato*? Mój Boże, przecież oni są zaciekłymi wrogami! Nienawidzą się! Co się dzieje? Od kiedy ty i Indelicato pracujecie razem? - Nie mogła się skupić. Jedną z podstaw Kościoła, jak wiedziała, była współpraca Sandanato i jego mistrza D'Ambrizziego. Co się zatem stało?

- Odkąd... odkąd uświadomiłem sobie, że D'Ambrizzi prowadzi Kościół na manowce. Odkąd uświadomiłem sobie, że nic nie robi, by wypełnić życzenie Ojca Świętego i odnaleźć zabójcę siostry Valentine, zabójcę wszystkich innych. D'Ambrizzi w gruncie rzeczy ukrywał prawdę, wprowadzał zamieszanie... Ponieważ to on - właśnie on - stał za tym wszystkim. Indelicato i ja, obaj zobaczyliśmy, co on robi z Kalikstem - izoluje go, poucza, prowadzi, bo Kalikst sam już nie ma sił iść. Widzieliśmy ukryty plan D'Ambrizziego i... przeraził nas. - Patrzył na nią, jego twarz stała się maską udreki.

- Ale kiedy? Jak dawno temu?

- To nie ma znaczenia, siostrzo. Ważne jest, byś sobie uświadomiła, że nie przyszło mi to łatwo. Wiesz, był dla mnie jak ojciec... ale Kościół musi iść pierwszy. I ty i ja musimy się z tym zgodzić. Zawsze wiedziałem, że wcześniej czy później będę musiał ci powiedzieć prawdę. To dlatego mówiłem ci o potrzebie oczyszczenia Kościoła... i ile dobra może wynikać ze zła. Teraz nie ma już czasu, by nad tym debatować, siostrzo. Nie ma czasu. - Białe światło zamieniało jego twarz w ciemną płaskorzeźbę, policzki i oczy stały się czarnymi dziurami. Duch agonii, męczennik, pragnący umrzeć za swój Kościół, słusznie czy nie. Był na skraju załamania.

Próbowała poskładać i przyjąć, co jej powiedział. Próbowała odtworzyć świat zdruzgotany w jednej chwili. D'Ambrizzi od bardzo dawna stanowił jedyną pewną część Kościoła, jedyny nie upadły bastion racjonalizmu, zdrowego rozsądku, uczciwości: człowiek, który wszystko widział w odpowiednim świetle. Święty Jaś, który powinien zostać papieżem.

- Kessler miał rację - powiedziała cicho. - Właśnie to mi mówisz? Że wszystko, co mówił Driskill, było prawdą?

- Nie mam pojęcia, co mówił Driskill, ale chcę, żebyś się od niego i ojca Dunna trzymała z daleka. Driskill może świetnie sam o sobie zadbać...

- Wydawało mi się, że mówiłeś, iż on i ja mamy się wycofać!

- Nie dbam o to, co się stanie z Driskillem, siostrzo. Chodzi mi o ciebie...

- A ja nie mogę o siebie zadbać? Czy tak? Zignorował jej nagłe rozdrażnienie.

- Ty musisz dać sobie radę z tym, co się tutaj dzieje. Nasza kłótnia nie ma sensu. Zagrożasz planowi D'Ambrizziego. Usunie cię, nie zastanawiając się długo, jeśli będziesz się go trzymała... Może jeszcze w niego wierzysz, ale wszystko co właśnie w tej chwili robisz, co robiłaś przez kilka ostatnich tygodni - może go zniszczyć!

- Bardzo trudno to kupić - odparła.

- Pomyśl, jak mnie było trudno.

- Jeśli masz rację, to jaki jest jego plan? Co się dzieje? Sandanato wyłowił z kieszeni płaszcza papierosa i zapalił go.

Dym popłynął kłębamii w stronę lampy na biurku. Już jej się nie chciało palić. Zakaszła, ściągnął z koniuszka języka opuszkami palca żdźbło tytoniu...

- D'Ambrizzi - powiedział nachylając się ku niej - ma zamiar przejąć cały Kościół... zaczynając od jego serca. Scentralizował władzę, ma wypróbowaną kadrę popleczników wśród kardynałów i dziennikarzy, ma za sobą amerykańskie pieniądze. Jedną nogą pewnie stoi w świecie materialnym, politycznym, a drugą w Watykanie. Prasa go kocha, siostró... Ja go kocham, tak jak ty, jak Val... ale człowiek, którego kochamy i ufamy, wykorzystał nas, by zrealizować swoje plany. Jego jedynym słuchaczem Ojciec Święty. Ma całkowitą kontrolę nad Kalikstem, nad jego umysłem, nad kontaktami z nim. Organizuje spotkania kardynałów z Ojcem Świętym, na których Jego Świątobliwość ma wskazać D'Ambrizziego jako swojego następcę. Kardynał ma zamiar zostać papieżem i zaaranżował ukrycie swej przeszłości na zawsze. Musi zostać powstrzymany, siostró!

- A ty i Indelicato możecie go powstrzymać - stwierdziła.

- Jeśli w ogóle ktoś może.

- Zatem ty i Driskill jesteście po jednej stronie - oświadczyła, próbując zsyntetyzować swoje spostrzeżenia.

- Nie, nie, nie rozumiesz? Dunn w całości kontroluje Driskilla! Robił to od samego początku. Dunn jest wyrachowany, potrafi manipulować...

- Ale co w tym złego? Dunn jest...

- Co złego? Dunn jest człowiekiem D'Ambrizziego! Nie widzisz tego? Oto dlaczego od razu Dunn znalazł się w Princeton, już pierwszego dnia... Był z Driskillem tamtej nocy, to on pierwszy odnalazł go w rodzinnej kaplicy z martwą siostrą. Ben Driskill nigdy nie miał szansy zareagować na morderstwo Val bez Dunna przy boku, sterującego nim, pocieszającego go. - Znowu zakaszła, zakrztusiła się dymem, przeszedł obok niej, by wyrzucić przez okno na ulicę. - Dunn musiał wiedzieć, że siostra Val umrze... Była zbyt blisko prawdy o D'Ambrizzim... Połączyła go z nazistami w przeszłości i wiedziała, że przeszłość trzeba będzie wymazać. A D'Ambrizzi chciał, by Dunn pilnował Driskilla i upewnił się, że robota zostanie wykonana porządnie.

- Ale oni próbowali zabić Bena, kiedy we dwóch jeździliście na łyżwach...

- Ben przekonał Dunna, że wyruszy śladami Val, że spróbuje odnaleźć przyczynę jej zamordowania...

Słowa zjawiały się bez przerwy, potworność za potwornością, jak bomby z opóźnionym zapłonem, rzucone dawno temu, a teraz wybuchające w głębinach jej psychiki. Kościół się rozpadał. Dunn był nikczemnikiem, D'Ambrizzi zbrodniarzem, Ojciec Święty więźniem D'Ambrizziego... a wszystko to w imię wyboru D'Ambrizziego na papieża. Niezła droga od *assassini* do papiestwa - czterdzieści lat.

Sandanato chciał, aby z nim wyszła. Miał ją zabrać do Zakonu, gdzie powinna zostać, aż wszystko się skończy. Ale pokręciła głową. Nalegał, a jej gniew i frustracja znowu wybuchły. Zalała go potokiem słów. To zbyt szalone, nie można niczego udowodnić... A on próbował wyjaśnić jej wszystko spokojnie, racjonalnie, twierdząc, że to dzieło D'Ambrizziego, powstałe w jego własnym, błyskotliwym, perwersyjnym umyśle. Papież był śmiertelnie chory; Kościół należało wprowadzić w nurt świeckiego życia, a w tym okazał się mistrzem, ekspertem. Jako papież potrafiłby zmienić Kościół w ziemskie mocarstwo. Ale jeszcze żyli ludzie i kobieta, a dokładniej dwie kobiety, które wiedziały zbyt wiele o jego przeszłości, co miał wspólnego z nazistami i *assassini*... a więc musiał zacząć usuwać przeszkody. Nie było to tak trudno zrozumieć, jeśli spojrzano się z właściwej strony.

Odesłała Sandanato, a on wyszedł niechętnie, ostrzegając ją jeszcze, by trzymała się z daleka od Driskilla, Dunna i D'Ambrizziego, aż będzie po wszystkim.

Driskill. Gdy została sama, prawie nie mogła myśleć, jak brzmi to nazwisko. Jeszcze nic w jej życiu nie poszło tak rozpaczliwie, beznadziejnie źle. Nie miała żadnych szans, żadnego wyjścia, jeśli chodziło o Driskilla. Wszystko wydawało się bez sensu.

W godzinę później wyszła z biura. Przeniknął ją zimny, listopadowy wiatr. Na ulicy opustoszałych urzędów było ciemno i cicho. Poszła szybkim krokiem, a zanim dotarła do rogu błyszczący mercedes podjechał do niej.

Ksiądz w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, z wystającą znad kołnierza białą koloratki, wysiadł z przodu.

- Siostra Elżbieta?

- Tak?

- Ojciec Święty przysłał po siostrę samochód. Proszę. - Otworzył szeroko boczne drzwiczki.

- Ojciec Święty?

- Proszę siostrę. Czas ucieka.

Wziął ją za łokieć. Wsunęła się w ciemną czeluść tylnego siedzenia. Była sama. Samochód ruszył.

- Watykan jest z drugiej strony. Możecie mi to wyjaśnić, ojczy? Odwrócił się i pokiwał poważnie głową.

- Przykro mi, ale musimy najpierw się zatrzymać gdzie indziej, siostrę.

- Gdzie?

- Trastevere, siostrę - odparł, a samochód nabierał prędkości, jadąc bocznymi, ciemnymi i pustymi uliczkami, kierując się w stronę Tybru.

Kierowca nacisnął klakson i stado kotów, złapane w światło reflektorów, umknęło w przerażeniu w bezpieczną ciemność.

Próbowałem ciągle wytłumaczyć sobie, dlaczego tu jestem, gdy przyprowdzili Elżbietę. W dużym, nie wykończonym pokoju panował chłód, kurz unosił się w powietrzu. Poza nami nie było nikogo. Poza Dunnem, D'Ambrizzim i mną. Biurko i kilka krzesel beładnie rozstawionych wokół długiego, podniszczonego stołu. Nikt się nie odzywał, lecz niewiele to pomagało.

Towarzyszył jej ksiądz, który ją wprowadził i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Miała na sobie prochowiec z paskiem i torbę zwisającą z ramienia. Popatrzyła na nas z lękiem, zaczęła coś mówić, ale przerwała natychmiast, gdy dostrzegła D'Ambrizziego. Pokonał cementową podłogę, uśmiechając się i patrząc na nią. Przyprowdził ją do stołu. Zawahała się na chwilę, ale nie można mu było odmówić.

- Proszę, usiądź - powiedział. W garniturze w prążki w ogóle nie przypominał siebie. Wydawało się, że zupełnie się zmienił. Jego postawa - zazwyczaj odchyłał się lekko na piętach, a dłonie zaplatał na wystającym brzuchu - charakteryzowała się pewną nieśmiałością, jak gdyby nie był pewien, co ma zrobić z nogami i rękami. To sprawiało, że wydawał się niewinny i niepewny, całkowicie rozbrajający. Uśmiech przemknął po twarzy ojca Dunna, gdy pochwycił moje spojrzenie. Ty draniu, pomyślałem.

- Jest mi przykro, moi drodzy - rzekł D'Ambrizzi - że sprowadziłem was tutaj tak nieelegancko, bez ostrzeżenia, bez wyjaśnień. Ale czasu jest coraz mniej i poznać moje motywy. Chyba nie muszę wam przypominać, że żyjemy w niezwykłych czasach. Wymagających, mówiąc najogólniej, niezwykłych środków. Proszę, przyjmijcie moje najgorętsze przeprosiny. - Kiedy już usiedliśmy przy stole, przeszedł przez pokój i odsunął krzesło od biurka, stojącego na cemencie. Wydawał się nieprzyzwyczajony do funkcjonowania bez swojego adiutanta. Nigdzie nie było widać Sandanato. - Musicie mi ponadto przebaczyć, że narzucę sposób postępowania dzisiejszego wieczora. Mam wam wiele do powiedzenia. Spróbuję przewidzieć wasze pytania... a jak rozumiecie, mój czas jest niestety ograniczony. Tyle trzeba powiedzieć... - Ostentacyjnie spojrzął na zegarek, jak aktor trzymający nieznaną sobie rekwizyt. Sandanato bez wątpienia był jego zegarkiem. Oparł się o poręcz krzesła, wpatrując w pusty blat biurka. - Dobrze, zaczynamy.

- Ojciec Dunn jest mym drogim przyjacielem, droższym niż nawet sobie wyobrażacie. Informował mnie o twoich działaniach, Beniaminie. Egipt, Paryż, Irlandia, Awinion. Opowiedział mi o rękopisie znalezionym w New Prudence. Wiem też, iż wierzysz, że zabójcą jest August Horstmann. I, oczywiście, opowiedział mi też, jak Erich Kessler wyjaśnił wam, że jestem Simonem Verginiusem, który grał tak istotną rolę w początkach tej historii. Tak, jestem całkiem dobrze poinformowany.

- Uważam, iż zasłużyliście na pewne wyjaśnienia. Dlaczego mówię, że *zasłużyliście*? Cóż, Beniaminie, zasłużyłeś na prawdę, bo twoja siostra nie żyje. A ty, siostrze, bo byłaś o krok od śmierci. Oboje zasłużyliście na prawdę ze względu na determinację, jaką wykazaliście, *głupią* determinację, prawie szaleńczą, by odkryć prawdę o wydarzeniach dawno pogrzebanych pod grubą warstwą śmieci i pyłu czasu. Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, że w tych warunkach taka detektywistyczna praca w ogóle jest możliwa. Ale wy wytrwaliście. - Pokręcił głową z nieukrywanym smutkiem, a jego nos w kształcie

banana prawie dotykał podbródka. - Wytrwaliście i przygotowaliście dla mnie zagadki znacznie trudniejsze do rozwiązania, sprawiliście, że znacznie trudniejsze stało się zapobieżenie dalszym zabójstwom i - używając słów mego wiernego Sandanato - „ocalenie Kościoła”.

Przerwał, jak gdyby czekał na jakąś odpowiedź, która mogłaby zadowolić nas wszystkich, a potem zrezygnował. Odetchnął głęboko, chrapliwie i opuścił ogromne ciało na cienkonogie krzesło.

- Tak - powiedział z głębin szerokiej piersi - byłem Simonem Verginiusem. To mnie wysłał papież Pius do Paryża, do Torricelliego, abym zorganizował grupę partyzantów ochraniającą interesy Kościoła - by ułożyć się z nazistami, zdobyć ich zaufanie i pozyskać udział w bogactwach. Moja misja nie należała do łatwych, mogę was zapewnić, przy takich ludziach jak Goering czy Goebbels, którzy wszystko zagarniali dla siebie. W każdym razie było to zadanie niegodne, nieświęte, przyznaję, ale musicie spróbować zrozumieć, jaką wagę, jaką moc miało polecenie wydane osobiście przez papieża Piusa - misja była oczywiście jak najtajniejsza. Powiedział mi, że... powierza mi pracę najważniejszą dla ocalenia Kościoła. Wy... wy naprawdę nie jesteście w stanie wyobrazić sobie istoty osobowości tego człowieka, jego natury jak laser... a tak się zdarzyło, że wybrał kogoś zdolnego do wykonania jego polecenia. Jaki ból mi sprawia mówienie o tym! Ale ja z kolei byłem pragmatykiem i studiowałem historię. A historia, jak wiecie, to nic przyjemnego. Historia - jeśli chcecie choć przez chwilę przetrwać - jest miejscem zamieszkania pragmatyków. Dom świeckiego Kościoła. Cóż, byłem też zwolennikiem sekularyzacji. Powiedzielibyście: zupełnie jak nie ksiądz. Może tak, może nie. Ale nadawałem się do tej pracy. Byłem gotów zrobić wszystko, co przyniesie korzyść Kościołowi. Tak, cóż. Wybaczcie mi, jeśli odbiegam od tematu. Staram się mówić o najważniejszych kwestiach...

- Tak, to ja zabiłem ojca LeBecq'a na cmentarzu. Prawie nie pamiętam jego twarzy, to zdarzyło się tak dawno temu. Był prawdziwą świnią. Zabicie człowieka, który wydał nas nazistom nazwać można czynem wojennym, egzekucją zdrajcy na polu bitwy. - Spojrzał na nas ostro. Jego oczy o ciężkich powiekach przypominały spojrzenie krokodyla, ale nadal pozostawały bystre. - Czekacie na żal za grzechy? Czekacie na próżno, obawiam się. Jak już pewnie wiecie z różnych źródeł, jako Simon nigdy nie byłem zadowolony z pomagania nazistom... Moje zadanie - przykładałem się do niego przez jakiś czas, ale nie trwało to zbyt długo - polegało na nawiązaniu współpracy z ruchem oporu przy zachowaniu pozorów współdziałania z nazistami, by powstrzymać ich od wkraczania podkutymi butami w sprawy Kościoła. Byłem okropnym cierniem w boku Torricelliego - biedny człowiek. Chciał żyć i pozwolić żyć innym, po prostu przeżyć, ignorując rzeczywistość. Wszystko, co zrobiłem, czy powiedziałem, przerażało go. Był uwięziony między nazistami, Kościołem reprezentowanym przeze mnie i różnymi amerykańskimi duchami, które docierały do Paryża jak niebezpieczne wirusy. - Spojrzał na zegarek, zaklaskał w dłonie. Jego palce wydawały się opuchnięte jak kostki otyłej kobiety.

- Tak, podjęliśmy próbę zamordowania ważnej osoby, bardzo *ważnej* osoby. Ten ktoś miał przyjechać do Paryża pociągiem. Ojciec LeBecq' o wszystkim wiedział, brał udział w planowaniu akcji, ale się ze mną nie zgadzał. Jednak decyzja nie należała do niego. Kiedy plan ujawniono i tyłu z nas zginęło w górach, byłem pewny, że to LeBecq' wydał nas nazistom. Dokonałem więc egzekucji. - Zacisnął bulwiaste palce dla podkreślenia swych słów. - Na mój własny sposób. I tak Pius przysłał

człowieka z Rzymu, by przeprowadził śledztwo - czy rzeczywiście byłem tym, który zabił LeBecqa i planował zabicie ważnej osoby z pociągu... oraz czy istotnie nie zrealizowałem poleceń papieża przynajmniej, jeśli chodziło o Niemców. Człowiek wysłany z Watykanu wiedział, że to drugie oskarżenie jest prawdziwe. Pius miał mnie już dosyć. Naziści skarżyli mu się na moją niechęć w spełnianiu ich życzeń. Człowiek przysłany z Rzymu był znany w pewnych kręgach pod pseudonimem „Zbieracz”. Zbierał informacje, dowody, kto zresztą wie, co on jeszcze zbierał, ale to okazało się dla niego trudnym zajęciem, bo ja rozwiązałem *assassini*, kilku z nas tylko zostało przy życiu i nikt nie wiedział, kim są. Nikt poza mną i nimi samymi, a tylko ja znałem ich *wszystkich* - poza jeszcze jednym człowiekiem o pseudonimie Arcyksiążę. I tak, był taki dokument z czasów Borgiów - lista nazwisk ludzi, którzy zabijali dla papieży, dla Kościoła. Wysłałem ten dokument na północ do Irlandii z dwoma moimi ludźmi: bratem Leonem i moim najlepszym, najbardziej bezinteresownym człowiekiem, któremu bez reszty ufałem... Augustem Horstmannem.

Odkąd wyjechali do Irlandii, już więcej o nich nie słyszałem. Miałem własne kłopoty w Paryżu ze Zbieraczem. Wtedy czułem, iż pęta się zaciska, włosy stawały mi na głowie z przerażenia. Wiedziałem, że skrupulatnie przygotowywał przeciwko mnie sprawę, która z pewnością usatysfakcjonowałaby Piusa. Papież mógłby w ramach kary zrobić ze mną prawie wszystko, *wszystko*... Wtedy *in extremis* zwróciłem się do twojego ojca, Beniaminie, mojego starego towarzysza broni, jednego z tych duchów z BSS, którzy przemierzali się po Europie jak prawdziwe zjawy, robili, co tylko mogli najlepszego, zbierali informacje, dostarczali ich Sprzymierzonym wszystkimi środkami, jakie były pod ręką. I to właśnie Hugh Driskill wykorzystał całą swoją magię, aby wydostać mnie z Paryża, gdy tymczasem Zbieracz wściekły, zdesperowany deptał mi po piętach. I to Hugh zawiózł mnie do Princeton, a potem wraz ze swym wielkim przyjacielem Drew Summerhaysem rozpoczęli negocjacje z Piusem o mój powrót do Rzymu. O mój bezpieczny powrót. Zapalił czarnego papierosa ze złotym ustnikiem, spojrzał ze zmęczeniem spod ciężkich powiek, które wydawały się mrugać w zwolnionym tempie. Co za niezwykle przedstawienie odgrywał przed nami.

- A teraz rękopis. Co robiłem przez ten czas, kiedy ty i mała Val czekaliście, aż wyjdę i pogram z wami w piłkę albo popracuję w ogrodzie z tobą i twoją matką? Dlaczego to wszystko spisałem? Potrzebowałem czegoś więcej niż to, co mogli wynegocjować dla mnie z Piusem twój ojciec i Summerhays, ponieważ Pius miał bardzo osobiste powody, by mnie nienawidzić, by się mnie obawiać. Potrzebowałem bardzo dobrej polisy ubezpieczeniowej, jeśli chciałem mieć pewność, że pozostanę w Kościele i to żywy. Miałem kopię do pokazania Piusowi - mogłem mu powiedzieć, że w razie mojej śmierci świat dowie się prawdy o *assassini*, o jego współpracy z nazistami w plądrowaniu arcydzieł sztuki w Europie. Tak, używałem pseudonimów, ponieważ musiałem strzec się przed starym księdzem z New Prudence. Obawiałem się, że to przeczyta i będzie wiedział zbyt wiele, ale pseudonimy nie zaciemniały szczegółów sprawy. Wszystkie tam wymieniłem, można je było sprawdzić, stanowiły dowód.

- Kiedy te strony zostały zapisane, a twój ojciec wraz z Summerhaysem przygotowali mi drogę powrotu - i nie popełnię żadnej omyłki, jak powiem, że była to bardzo, bardzo gorzka pigułka do

przełknięcia dla Piusa - wróciłem do Rzymu. Trzymałem nad nimi swój miecz i miałem wszystko - moją karierę bezpieczną i pewną. - A teraz - popatrzył na nasze twarze - to wystarczy, by załatwić przeszłość, czyż nie?

Słuchałem od dłuższego czasu, próbując wszystko poskładać. Kiedy D'Ambrizzi przerywał, by przełożyć biegi, odezwałem się. W pokoju panowała duchota. Włączono ogrzewanie, było więc zbyt ciepło. Słyszałem ciche odgłosy dobiegające z kuchni restauracji nad nami. Mój głos wydawał mi się sztuczny, nienaturalnie głośny.

- Cokolwiek zrobiłeś w przeszłości - nie moja sprawa. Do czegokolwiek by Kościół nie zmierzał, to i tak mnie już nic nie zdziwi. Papież sympatyzujący z nazistami świetnie do wszystkiego pasuje. Jeśli teraz mówisz mi prawdę, to ja mówię, że chciałbym, byś miał jeszcze więcej władzy. Zabiłeś tego drania LeBecqa. To stara sprawa. Nie ma nic wspólnego ze mną. Jestem tutaj, bo ktoś zabił moją siostrę...

- Jesteś tutaj, Beniaminie, bo po ciebie posłałem. Ale proszę, mów dalej, synu. Patrzę na ciebie i widzę małego chłopca, którym byłeś. Niecierpliwy, gotowy do zabawy. Mały chłopiec wciąż tkwi w tobie. Nie zmieniłeś się. Chcesz wszystko uporządkować...

- Chcę wiedzieć, kto zabił moją siostrę. Kto za tym stał. Horstmann nacisnął spust - twój kumpel Horstmann, najlepszy człowiek, którego miałeś - i to on rozciął mi plecy na dwoje. Kto go posłał? Dla mnie wyglądasz jak kandydat numer jeden. Jesteś po prostu starym grubasem żwawo się uwijającym, by zostać papieżem. Dla mnie nie jesteś wielkim człowiekiem, a fakt, że zostałeś kardynałem, nie sprawia na mnie żadnego wrażenia. I z całą pewnością nie jesteś Świętym Jasiem!

D'Ambrizzi uśmiechał się, kiwając lekko głową, jak gdyby mi wybaczał. Dunn przyglądał się kawałkowi sufitu. Siostra Elżbieta siedziała jak zahipnotyzowana, wpatrując się w swoje dłonie złożone na kolanach. Czekając. Nieruchomo.

- Jestem świadomy - stwierdził D'Ambrizzi - jak bardzo muszę się wydawać podejrzany w twoich oczach. Ale zapamiętaj, że sprowadziłem was tutaj, by z wami porozmawiać, by wyjaśnić, co robię i co zrobiłem... Jeśli byłbym tym człowiekiem, za którego mnie uważasz, czyż nie prościej byłoby kazać was zabić? Jeśli bym już tyłu zabił, to dlaczego nie kilkoro więcej?

- Mógłbym podać milion powodów - odparłem.

- Tylko jeden jest istotny. Nie zabijam nikogo, Beniaminie. Byłem Simonem. Ale nie wezwałem Horstmanną po czterdziestu latach. Nie widziałem go ani nie rozmawiałem z nim od chwili, gdy po raz ostatni spotkałem się z nim w Paryżu i dałem mu Konkordat Borgiów, który dostałem od Piusa. - Patrzył na mnie przez kłębiący się dym, wykrzywiając się jak Jean Gąbin w jakimś starym filmie. - A to prowadzi do wielkiego pytania, czyż nie? Pytania, na które musimy sobie odpowiedzieć... Kto go posłał z powrotem do pracy? - Odchylił się na oparcie. Krzesło zatrzęszczało. Złożył ramiona na piersi i wciąż wpatrywał się we mnie przymrużonymi oczami.

- Kto? - zapytałem. - Kogo szukamy? Cóż, po pierwsze to musiałby być ktoś, kto wiedziałby, jak go znaleźć. Po drugie, to musiałby być ktoś, kto wiedziałby, że Horstmann był zabójcą w służbie Kościoła. A po trzecie, to musiałby być ktoś, od kogo Horstmann przyjąłby rozkaz. Horstmann

prawdopodobnie przyjąłby rozkaz tylko od Simona. A to mi wygląda, że Simon Verginius ponownie uruchamia siatkę weteranów...

- Rzeczywiście, tak wygląda - zgodził się D'Ambrizzi. - Jesteś prawnikiem, z pewnością sam przygotowujesz sprawę. Ale czy to miałoby sens, mecenasie? Czy wmówienie sobie, że to Simon, sprawi, iż naprawdę nim będzie ten, o którego nam chodzi? Możesz wierzyć, w co chcesz, Beniaminie. Zawsze miałeś niezależny umysł. Ale pozwól, że przez chwilę porozmawiamy o innej możliwości. - Pochylił się, oparł łokcie o biurko. - Ktoś kieruje Horstmannem, instruuje go. Ten nieznany człowiek jest prawdziwym zabójcą. Zgadzą się...

- Horstmann, jeśli o mnie chodzi, nie jest bez winy. Przycisnął pistolet do głowy mojej siostry...

D'Ambrizzi skinął głową i ciągnął dalej:

- Dlaczego zabito tyle osób? Jestem skłonny zgodzić się z Herr Kesslerem w tej kwestii. By usunąć ludzi, którzy znali prawdę o tym, co zdarzyło się w Paryżu w czasie wojny, każdego, kto znał prawdę o Kościele, o nazistach, o *assassini* i o zaangażowaniu naszego złoczyńcy... Ci ludzie, którzy zagrażali temu człowiekowi, musieli umrzeć. A teraz, komu najbardziej zaszkodziłaby taka historia wychodząca na jaw?

- Komuś, kto zabijał ludzi w Paryżu - wtrąciłem. - A to nas z powrotem prowadzi do Simona Verginius. To ktoś, kto ma teraz najwięcej do stracenia, jak ktoś, kto po drodze do kanonizacji chciałby zostać papieżem. Nikt tak nie pasuje jak ty, Święty Jasiu...

- Ale - odparł D'Ambrizzi spokojnie - czy stary Święty Jaś jest jedynym podejrzanym? A co będzie, jeśli za tym zamieszczeniem tkwi jakaś inna przyczyna? Pomyślmy o wyborze nowego papieża.

Mamy do czynienia z bardzo wąskim elektoratem - Kolegium Kardynałów. A umierający papież jest człowiekiem o rozległych osobistych wpływach. Istnieje wiele sposobów wpływania na elektorat. Pieniądze, oczywiście, to jeden z nich. Obietnica władzy, dostępu do papieskiego ucha. Ale jest jeszcze najstarszy sposób - strach. Powiem wam, czego Kuria, Watykan i najwyżsi dostojnicy Kościoła obawiają się najbardziej, co jest najgorszym przekleństwem... Zniszczenie porządku. Nadajmy inną nazwę. Chaos. Nie ma nic gorszego od chaosu. Odpowiedzą na chaos, zapewniam was, a mają wielką władzę. Będą chcieli zgnieść go, zmiażdżyć, a wiercie mi, że oni zwyciężą. Zwrócą się do człowieka z żelazną pięścią, czy rozumiecie? Kościół przetrwa, jeśli tylko wymaga to powrotu w ciemność, powrotu do represjonowania dysydentów, powrotu nawet do Inkwizycji - będą szczęśliwi mogąc ją od nowa wprowadzić. Są jeszcze tacy, którzy wierzą, że kolejna Inkwizycja jest już bardzo, bardzo spóźniona. Umierający papież nienawidzi chaosu, tak jak każdy człowiek - on też będzie wyglądał silnego człowieka, mocarza, miażdżącego obcas. Musimy się spytać samych siebie, kto skorzysta najbardziej na strachu, chaosie i nieporządku? Odpowiedź jest oczywista - człowiek, który go wywołuje. To on jest odpowiedzią na wszystkie nasze pytania. Siostra Elżbieta odezwała się w końcu. Głos jej załamywał się ze zdenerwowania.

- Dlaczego bawicie się nami? Jak mamy się dowiedzieć, kto to jest? Jak długo ma trwać to szaleństwo? A co, jeśli to wy jesteście tym człowiekiem? A co, jeśli to wy na tym skorzystacie? To wy macie dostęp do papieża... Mój Boże, wy sprawiacie, że Kościół niczym się nie różni od mafii, KGB,

CIA - a to przecież jest Kościół! Kościół jest lepszy!

D'Ambrizzi słuchał z zamkniętymi oczami, kiwając ogromną głową i najwidoczniej zgadzając się z Elżbietą. Odchrząknął, wydał z siebie zgrzytliwy dźwięk.

- Smutna prawda jest taka, że gdy stawka jest naprawdę wysoka i kiedy dochodzi do walki o kontrolę i władzę, nie ma zbyt wielkiej różnicy między organizacjami, które wymieniałś, a Kościołem, choć można by było tak przypuszczać. Historia nas o tym przekonuje. Twoja przyjaciółka siostra Valentine rozumiała to najlepiej na świecie. Bardzo dobrze rozumiała tę niedobłą stronę Kościoła, która przecież istnieje. Rozumiała również, że cele Kościoła, co dla nas wszystkich jest najważniejsze, są inne niż tych wymienionych przez ciebie organizacji. A jeśli chcecie wiedzieć, jak długo to jeszcze będzie trwało, to mogę was zapewnić, że już niedługo. Zbliżamy się do końca. I nie bawimy się tutaj w nic i w nic nie gramy. Widzicie, ja *wiem*, kto za tym stoi. Ale gdybym wam powiedział, czy uwierzylibyście mi? Pewnie nie całkiem. Ale wkrótce, już niedługo... A poza tym jeszcze pozostaje kwestia wielkiego przyjęcia u kardynała Indelicato. Jego wybór terminu jest co najmniej brawurowy. Nalegam, byście o nim nie zapomnieli...

- Przyjęcie? - spytałem, reagując z opóźnieniem. - O czym mówisz?

- Ależ Ben, przyjęcia Freddiego są legendarne. Umknęło mi, co on świętuje tym razem, ale to będzie fantastyczny wieczór, zapewniam was. I jestem pewien, że on chce, byście przyszli. - Ciężka powieka przykryła gadzie oko. - Uwierzcie mi, nie chcielibyście stracić takiej okazji. Mam dla was przygotowaną niespodziankę - ale tylko na przyjęciu. - Odsunął krzesło. - Mój kierowca czeka na mnie. Muszę wracać do pracy...

- Jedno pytanie - przerwałem mu. - Dotyczy pewnego twojego stwierdzenia - dlaczego Pius tak bardzo cię nienawidził?

Siostra Elżbieta wstała.

- A kim był „ważny człowiek” w pociągu? Co oznacza nazwa Spisek Piusa? Czy to chodziło o *assassini*, o plan ponownego ich zorganizowania?

D'Ambrizzi zatrzymał się i odwrócił w naszą stronę - barczysty, postawny i silny pomimo wieku. Spojrzał na siostrę Elżbietę. Zaskoczenie pojawiło się na jego szerokiej twarzy.

- Wszystko było ze sobą powiązane. Pius miał - chętnie to przyznaję - dobry powód, by patrzeć na mnie z pewnym niezadowoleniem. Widzicie... to papież Pius miał jechać tamtym pociągiem.

- Chcieliście go zabić! - W głosie Elżbiety brzmiało niedowierzanie i wstrząs.

- Mieliliśmy zamiar zamordować papieża. Tak. Szokujące, prawda? Ale to bardzo stara tradycja, pozwolę sobie dodać. I naturalnie nasz spisek nazwaliśmy Spiskiem Piusa. Spisek by zabić Piusa. Wszystko jest łatwe, kiedy zna się odpowiedź, nieprawdaż? Wiele rozwiązań wydaje się sensownych, ale tylko jedno jest prawdziwe. Pamiętajcie o tym, gdy będziemy blisko końca.

- Proszę się zatrzymać. Chwileczkę. - Elżbieta zmarszczyła brwi, jakby nie potrafiła pojąć sytuacji. - Chcieliście zabić papieża Piusa?.

- Właśnie tego było mu trzeba, siostró.

- A ojciec LeBecq doniósł, ostrzegł Watykan, Pius nie wyruszył w drogę, więc zabiliście

LeBecq...

- Tak, naprawdę go zabiłem. Wierzyłem, że spowodował śmierć moich kolegów. Ale w tym kryje się pewien problem. Później ktoś powiedział mi, że to nie LeBecq zawiadomił Watykan. Zabiłem nie tego faceta. Ale i tak nie była to wielka strata.

Siostra Elżbieta zachłysnęła się.

- Mój Boże...

D'Ambrizzi podszedł do niej i ujął ją za rękę. Nie chciał jej puścić

- Biedna siostra, biedna droga dziewczynka. Wiele przesłaś. Bardzo mi przykro. Zrobię, co mogę, by zakończyć ten koszmar.

- Kto próbował mnie zabić? - Walczyła ze łzami.

- Już niedługo, już niedługo to się skończy. Rozumiem twoją troskę, twój ból i odrazę. Masz rację, to jest szaleństwo. Ksiądz, który próbował zabić papieża, który zadusił innego księdza gołymi rękami... A jednak ten ksiądz jest sympatycznym, starszym panem, którego widzisz przed sobą, którego znasz od dawna i któremu ufałaś. Jak to wszystko przyjmiesz? Cóż, już bardzo dawno temu przestałem się martwić o moralność. Zrobiłem, co musiałem zrobić, w co wierzyłem, że jest słuszne. Nie za dobre podejście, jeśli chce się być dobrym księdzem. Ale nigdy tak naprawdę nie zależało mi na byciu dobrym księdzem. Chciałem być dobrym człowiekiem. - Spojrzał na zegarek. - Jutro wieczorem o tej porze w willi Indelicato rozegra się ostatni akt. - Zatrzymał się w drzwiach, rzucił nam spojrzenie przez ramię. - Uważajcie na siebie.

Tej nocy siedziałem samotnie w swoim pokoju w hotelu i rozmyślałem o wersji D'Ambrizziego. Ojciec Dunn gdzieś sobie poszedł we własnych sprawach, nie wspominając ani słowem o swoich związkach z D'Ambrizzim. Nie potrafiłem sobie wyobrazić następnej próby rozmowy z Elżbietą. Jak wielkiego głupca może zrobić z siebie mężczyzna? Po co mam bić rekord Guinnessa?

Siedziałem i myślałem o D'Ambrizzim czekającym w górach na pociąg, którym miał przyjechać papież Pius. Odwaga jego planu zapierała oddech. Co by się stało, gdyby mu się udało? Czy Kościół znalazłby wielkiego człowieka, wielkiego przywódcę, który by pomógł odkryć prawdę o nazistach? Czy moralny rozwój Kościoła inaczej by się potoczył? Czy Kościół pojawiłby się po wojnie gotowy do przewodzenia światu? A gdyby to był inny Kościół, może i ja byłbym innym człowiekiem? Może zostałbym księdzem w takim Kościele, który - bo Pius przeżył - nigdy nie zaistniał?

Moje życie nie potoczyło się tak, jak to było zaplanowane; nie potrafiłem przewidzieć chwili, kiedy nie będę za nie płacił. Utraciłem Kościół i utraciłem miłość mojego ojca - gdzieś po drodze zacząłem nienawidzić zarówno Kościoła, jak i własnego ojca. Co by się stało, gdyby D'Ambrizzi i jego grupka zabili Piusa? Może wciąż miałbym ojca i Kościół?

Stwierdziłem, że nie stać mnie na poznanie odpowiedzi na to pytanie.

Zacząłem zastanawiać się, kto zdradził Spisek Piusa.

Moje plecy całkiem ładnie się zagoiły. Blizna ściągnęła się i zrosła. Kiedy od czasu do czasu

pojawił się ból, było to lekkie rwanie, a nie palący cios. Napełniłem wannę takim wrzątkiem, aż zaparowało lustro. Otworzyłem butelkę szkockiej, którą ojciec Dunn znalazł w jakiejś knajpie, zaopatrującej spragnionych Brytyjczyków. Była prawie słodka, a jednak wciąż ostra, pełna dymu z torfowisk. Nigdy nie piłem czegoś tak dobrego. Nazywała się E'Dradour, a Dunn powiedział mi, że pochodziła z najmniejszej gorzelni w Szkocji. Nie miałem już bladego pojęcia, po której stronie stoi Dunn, ale jeśli chodziło o wodę życia - ten człowiek wiedział, o czym mówi. Leżałem w wannie i popijałem E'Dradour z lodem, aż została tylko połowa butelki. Niektóre z moich zmartwień roztopiały się w blasku mocnego trunku.

Czułem się bardzo zmęczony i nie miało już dla mnie znaczenia, że nic nie jest takie, jak się wydawało. Rzym, rzymskie koterie, rzymskie intrygi. Wiedziałem, że mnie nie ominą. To było dziwne, niepokojące uczucie, ale w pewien sposób pocieszające. Może w końcu nie okazałem się taki ważny. Nie stanowiłbym zbyt wielkiej straty... Cóż, oni w Rzymie wszystko robili inaczej. Kiedy jesteś w Rzymie, musisz postępować tak jak Rzymianie. Ale kto mógł to zrozumieć?

Zastanawiałem się, czy przyjęcie u kardynała Indelicato jest bezpiecznym miejscem. Wydawało się to niemożliwe. Nasze zaproszenia czekały na nas w hotelu. Chciał mieć przyjemność goszczenia nas w swojej willi.

Następnego wieczora.

D'Ambrizzi.

Jaka była prawda? Ile było prawdziwej prawdy w prawdzie? Czy ktokolwiek jeszcze to pamięta? Moczyłem się w wannie, piłem, a mój umysł zaczynał wędrować...

Czułem się tak, jakbym umierał na plaży, a śliczna dziewczyna płakała w cieniu palm. Był tam też pułkownik, jego cień padał na mnie, a słońce oświetlało jego głowę i wysoką oficerską czapkę, oślepiało mnie. Pułkownik o twarzy głupca, w okularach, z pistoletem...

W głowie tkwiła mi piosenka Donalda Fagena, jazzowa i smutna. Doskonale wiedziałem, że jestem w hotelu Hassler, w parującej wannie, ze szkocką i roztopiającym się lodem w kubku. Strach, co może się zdarzyć następnej nocy, uwierał mnie jak kula w żołądku. Ale leżałem też i krwawiłem na piasku. Motor, który pożyczyłem od chudego faceta w dwukolorowych butach, nigdy nie zabrał mnie z plaży, a dziewczyna zdradziła mnie, pułkownik też mnie zdradził i miałem umrzeć. Wiedziałem o spisku, przeczytałem książkę, chyba już rzucałem pożegnalne spojrzenie... Mój umysł wędrował, śpiewałem do siebie tę piosenkę, jak gdybym miał gorączkę, która mnie zabiła, gdyby kule, jakie były we mnie, nie zrobiły tego wcześniej...

Chryste. D'Ambrizzi próbował zabić papieża!

Udało mu się zabić LeBecq'a - i pomylił się.

Po prostu gównem go to obchodziło!

Kto robił takie rzeczy?

To musiała spowodować wojna. Trwała wojna i to zmieniało wszystko. Już nie stosowano zasad...

W końcu doczołgałem się do łóżka, leżałem drżący, myśląc o ciepłych, ciemnych, zaokrąglonych

miękkościach Gabrielle Le-Becq. Wiedziałem, że już jej więcej nie zobaczę, chciałem, by otoczyła moje biodra swymi nogami i by wciągnęła mnie w siebie, gdzie poczuję się bezpieczny... Chciałem być bezpieczny. Nie wydawało się to zbyt wiele.

Matka jeszcze raz czekała na mnie w moim śnie.

To był wciąż ten sam sen.

Tym razem podeszła bliżej, jak gdyby jakaś dziwna konieczność pośpiechu popychała ją ku mnie. Wciąż okrywała ją filmowa koszula nocna albo szlafrok. To była ta sama scena co zawsze. Stała się taka znajoma przez lata...

Sen, wspomnienie o matce, wyciągającej do mnie rękę, z potarganymi włosami, pierścionkami błyszczącymi na jej długich, smukłych palcach o pomalowanych paznokciach. Tym razem była wyraźniejsza, jak gdyby jedna czy dwie zasłony podniosły się między nami.

Poczułem okropne zażenowanie, jakbym zobaczył ją w chwili intymnej, w której nie powinienem jej widzieć. Ona jednak wiedziała, że jestem, wyciągnęła do mnie rękę, mówiła do mnie. Rozpoznałem zapach jej perfum, jeden z tych zapachów gardenii, które wacha się w dzieciństwie i zapamiętuje na całe życie, ale również czułem dżin i martini w jej oddechu... To wszystko zjawilo się po raz pierwszy w moim śnie, było w nim nowe... Wychodziła ze swojej sypialni, światło płonęło żółto w jej włosach. Była noc, uświadomiłem sobie, że mam na sobie swój gruby, ciepły szlafrok i piżamę. Musiałem mieć dziesięć albo dwanaście lat. Po raz pierwszy usłyszałem ją całkiem wyraźnie...

Nigdy wcześniej nie słyszałem we śnie jej głosu - słowa, prawdziwe słowa - a jednak wiedziałem, że jest to wspomnienie. Przypominałem sobie coś, co się naprawdę zdarzyło, a o czym zapomniałem. Słowa nadchodziły z bardzo, bardzo daleka. Wołała mnie powtarzając moje imię - *Ben, Ben, posłuchaj mnie, Ben, proszę*. Głos mojej matki błagał mnie, *posłuchaj mnie...* a ja kulilem się przed nią, nie wydawała się matką, taką jaką była na co dzień, nie była doskonała jak dawniej, ta kobieta płakała i piła, w jej głosie dźwięczał nieprzyjemny zgrzyt, prawie szloch. Chusteczka zaciśnięta w dłoni. Błagała, chciała, bym podszedł bliżej, ale było w niej coś przerażającego, może ta zmiana w niej... Głos chrapliwy, szorstki... *Ben, nie uciekaj ode mnie, proszę, kochanie, posłuchaj mnie...*

Zbliżałem się do niej, tak wielkie było jej naleganie. Poczułem jej rękę zaciskającą się na moim ramieniu. Silną, przypominającą szpony ptaka. Zobaczyłem ptaka wbitego na czubku kutego żelaznego ogrodzenia tak dawno, dawno temu. Zobaczyłem przerażone oczy mojej matki, wpatrujące się we mnie. Wszystko mieszało się w moim śnie, ptak, płot, chrapliwy głos mojej matki, jej dłoń jak szpony, kilka kości, zaciśnięte na moim ramieniu... A wtedy ptak ożył i trzepotał na ogrodzeniu, umierając, bijąc skrzydłami, wrywając się, machając nóżkami. Potem przemienił się w inny kształt - dlaczego? dlaczego? Bo śniłem. Ptak stał się człowiekiem, stopy tańczyły w powietrzu. Kształt był czarny, wciąż czarny jak umierający ptak i on też umierał, ten kształt człowieka, czerń na bieli i wtedy zrozumiałem, kto to jest... umierał... już nie żył, kołysał się na wietrze...

Ojciec Gouverneau.

W sadzie. Widok, którego nigdy nie oglądałem.

Ale zobaczyłem w moim śnie. Dlaczego? Nigdy nie miałem pojęcia dlaczego. To był sen, do cholery! Sen i coś więcej, oczywiście.

Usłyszałem własny głos. *Książdz w sadzie...*

Nigdy niczego takiego nie powiedziałem do mojej matki: to było niemożliwe, ale oto stałem i mamrotałem o tym do mojej matki. Łzy wydawały się wylewać z jej oczu, jak gdyby jej oczy wybuchły. Wypływał smutek z jej oczu po policzkach, jak gdyby jej twarz się topiła, jak gdybym znowu tracił moją matkę w holu... i usłyszałem jej głos...

Ty, ty. To byłeś ty... ty to zrobiłeś, wszystko przez ciebie, zrobiłeś to, to byłeś ty od samego początku... ty... tylko ty... nic... było za późno... zrobiłeś to... biedny ksiądz...

Wtedy odwróciła się, weszła z powrotem do sypialni, zamknęła drzwi.

Stałem w holu, zmarznięty na kość, było ciemno, drżałem... Obudziłem się w moim łóżku w Rzymie, mokry od potu, trzęsący się, wyczerpany, pełen wstrętu i odrazy. Ponad trzydzieści lat cierpiałem w tym śnie. Przez te wszystkie lata walczyłem, by usłyszeć jej słowa i zobaczyć ją wyraźniej, zrozumieć wszystko.

Teraz jeszcze raz przechodziłem przez to od nowa.

Wolałbym tego uniknąć.

Wydawało mi się teraz, że moja matka mówiła mi, że to ja byłem winny temu, co się stało z ojcem Gouverneau.

Wszystko było powiązane ze sobą. Ojciec Gouverneau, Val i reszta. Dlaczego Val tak bardzo interesowała się ojcem Gouverneau pod koniec życia?

Jak można było mnie winić?

Pukanie do moich drzwi zaczęło się koło trzeciej nad ranem. Leżałem i nie mogłem się zdecydować, czy to jawa czy sen. Kiedy wreszcie dotarłem do drzwi i otworzyłem je szeroko, siostra Elżbieta miała właśnie zacząć bombardowanie w nie od nowa. Spytałem, czy wie, która jest godzina.

- To nie ma znaczenia. A która jest godzina?

- Trzecia nad ranem. Po trzeciej.

- Jesteś twardzielem. Dasz sobie radę. No dalej, wpuść mnie. Miała na sobie przemoczony prochowiec, a jej włosy lśniły od deszczu. Było widać czarny golf, spodnie i mokre trzewiki. Weszła za mną do pokoju. Zachowywała się tak, jakby się gdzieś strasznie śpieszyła, ale wiedziałem, że to tylko jej zwykła nadpobudliwość. Wreszcie wszystko do niej dotarło.

- Co tu robisz? Co się dzieje?

- Już dłużej nie mogę dać sobie rady z walką i niepewnością. Między nami. Musimy porozmawiać, zanim cała ta sprawa skończy się pożarem. To mój cały świat, Ben - tryby pękają wszędzie, gdzie spojrzę. Nie, nie, nie przerywaj. Moglibyśmy znowu zacząć walczyć ze sobą i skończyłoby się to dla nas jeszcze gorzej niż przedtem, a więc pozwól mi mówić, co mam w głowie i nie przerywaj mi ani słowem, chyba że zadam ci pytanie.

Kiwnąłem głową.

- Martwię się, że moje życie mi ucieknie, zanim je przeżyłam. Wydaje mi się, że Val chciała zostawić Zakon. Wyjść za mąż za Lockhardta. Wiem, co do niego czuła - chyba czułam to samo do ciebie. Martwię się tym. A moja wiara w Kościół rozpadła się na kawałki - co będzie, jeśli Kościół jest w to wszystko zamieszany? Co się stało z Kościołem?

- Uważam to za zadane mi pytanie. A odpowiedź brzmi - to jest wciąż ten sam stary Kościół, tylko że do tej pory nie chciałaś tego zauważyć. Ani lepszy, ani gorszy niż przedtem.

- Już nie wiem, w co mam wierzyć. Mój Kościół nagle stał się tajemnicą. Już nie wiem, czy komukolwiek można wierzyć. D'Ambrizzi ma więcej twarzy niż cała galeria portretów - szukam kogoś, komu mogłabym uwierzyć. Zastanawiam się nad tobą...

- Słuchaj, ja...

- To nie było pytanie. Słuchaj, normalnie to jestem bardzo zorganizowaną osobą z planem, kalendarzem i uporządkowaną głową. Może myślisz, że kłamię, ale nie. Jestem zakonnicą już od dawna i przyznaję, iż wypracowałam sobie pewne schematy myślenia - o życiu, o sobie, o moich uczuciach, mojej wierze. Nie mam zamiaru zanudzać cię szczegółami, ale musisz zrozumieć, jak silne są nawyki, do jakich się przyzwyczaiłam. I teraz natykam się na ciebie - a ty jesteś zwariowanym byłym jezuitą, który ma bardziej pomieszane motywy postępowania i więcej skomplikowanych zahamowań, niż kiedykolwiek udało mi się spotkać... Ale to nie oznacza, że cię nie lubię, czy mi na tobie nie zależy, nawet jeśli twoim podstawowym celem jest traktowanie mnie jak wielkie gówno, kiedy tylko ci się uda. Cóż, patrzę na ciebie i sobie myślę, że z ciebie całkiem poważny przypadek choroby umysłowej, ale że może się da ciebie naprawić... A teraz chcę od ciebie usłyszeć odpowiedź tylko na jedno pytanie. A potem będziesz musiał siedzieć, czekać i myśleć, jak zrobić, żeby nie być tak przepełnionym ślepą, bezsensowną, zwierzęcą nienawiścią do Kościoła, który jak Bóg jeden to wie, jest bardzo niedoskonałą instytucją...

- Czekać na co?

- Chyba by się dowiedzieć, co mam zamiar dalej zrobić.

- Jak brzmi pytanie, siostrze?

- Czy naprawdę myślałaś to, co mi powiedziałaś?

- Powiedziałem do ciebie całe mnóstwo rzeczy. Niektóre...

- Doskonale wiesz o czym...

- Słuchaj, jeśli przysłałaś się pokłócić, jestem idealnym facetem do...

- Powiedziałaś mi, że mnie kochasz! A teraz chcę, żebyś...

- Z całą pewnością ci to powiedziałem. A teraz chcesz wiedzieć, czy zwariowałem, czyż nie? No tak, sam sobie zadawałem to pytanie. Czy warto? Jaki jest sens ponownego poświęcania się Kościołowi? Kto potrzebuje szalonej wiary w takie duperele, czy są słuszne czy nie?

- Nikt nie potrzebuje przemądrzałych facetów, Ben.

- Nigdy nie sugerowałem, że ktoś mnie potrzebuje.

- Chcę wiedzieć, czy naprawdę tak myślałaś, gdy powiedziałaś mi, że mnie kochasz?

- Nikt ci tego przedtem nie powiedział? No, mężczyzna?

- Tak. Ale jest miłość w samochodzie, gdy masz siedemnaście lat i jest *miłość*. Co miałaś na myśli

mówiąc „kocham”?

- Cóż, już piekielnie dawno skończyłem siedemnaście lat. Miłość, siostró. Myślałem o miłości. Przykro mi i wcale nie chcę wprowadzać takiego zamieszania, ale chodziło mi o to, że cię kocham. A teraz, jeśli chcesz mi zadać jeszcze jakieś pytanie, to błagam, nie pytaj dlaczego. Nie mam pojęcia... Miłość, *miłość* po prostu się zdarza, siostró. Może to jest dowód na to, że oszalałem. Może to jest dowód, że wreszcie znalazłem kogoś, kogo mogłem pokochać i to wtedy, kiedy już zapowiadało się całkiem beznadziejnie! Czego chcesz ode mnie? Jest środek nocy!

- Żadnych więcej pytań. Muszę pomyśleć. To może trochę potrwać. Daj mi znać, kiedy zmienisz zdanie.

Wyszła, zanim zorientowałem się, co się dzieje. Stałem przy drzwiach w piżamie, patrząc w ślad za nią. W co się znowu wpakowałem? To było po prostu niewiarygodne. Zakonnica.

Chyba ponad tysiąc świec płonęło w foyer, sali balowej i pełnych cieni korytarzach willi Indelicato, zbudowanej w szesnastym wieku i będącej od tamtej pory siedzibą rodu arystokratycznej rodziny. Kardynałowie, mężowie stanu, naukowcy, bankierzy, najemnicy, poeci, kochankowie, generałowie i złodzieje - krew Indelicato płynęła w żyłach ich wszystkich, gdy stulecia mijały w chwale, a willa widziała bukiet z ostatnich trzystu lat. O dom dbano nieskończenie pedantycznie dzięki zatrudnieniu trzydziestu trzech osób służby, pracujących w pełnym wymiarze godzin. Teraz willa stała się domem dla Manfrediego kardynała Indelicato, który miał, zdaniem rzymskich obserwatorów, bardzo dużą szansę zostania pierwszym papieżem z rodziny Indelicato.

Wszystko, co opowiadano o scenerii, zgadzało się. Światło świec migocąco odbijało się na brzoskwińowym marmurze. Koncert na smyczki Vivaldiego wykonywała orkiestra kameralna. Złota nitka błyszczała w draperiach. Zapach sosen dochodził z otwartych portyków. Niezliczeni klerycy w stosownych ubiorach, kobiety w eleganckich sukniach od słynnych projektantów z całymi akrami widocznej kremowej skóry, srebrnowłosi mężczyźni, których było stać na takie kobiety, gwiazdy filmowe, ministrowie. Szum rozmów mieszający się z muzyką. Podwyższone napięcie połączone ze świadomością, że papież może właśnie umierać w samotnej komnacie watykańskiej.

Siostra Elżbieta, ojciec Dunn i ja przyjechaliśmy limuzyną, wysłaną po nas przez troskliwego kardynała D'Ambrizziego. Weszliśmy po długich, łagodnych stopniach. Szybko wessał nas wir przyjęcia. Do Elżbiety natychmiast podeszli znajomi, a Dunna zatrzymali koledzy klerycy, tak że dalej poszedłem sam. Szampan, wykwinne jedzenie na długich stołach i na tacach, obnoszonych wokół przez kelnerów w wieczorowych strojach. Światło świec, jedynie subtelnie wzmocnione przez elektryczność, miało romantyczny różany poblask.

Willa była nie tylko miejscem zamieszkania, w noce takie jak ta - sceną, ale także prywatnym muzeum. Ściany o wysokości czterdziestu stóp zostały obwieszane tkaninami i obrazami pędzla wielkich mistrzów, każdy z nich niewątpliwie wart niewyobrażalnych sum. W ciągu wieków w rodzinie Indelicato pojawiło się wielu zdeterminowanych kolekcjonerów, owoce ich pracy były teraz wystawione na widok publiczny. Rafael, Caravaggio, Reni, Rubens, Van Dyke, Baciccio, Murillo, Rembrandt, Bosch, Hals, i wielu, wielu jeszcze. To wydawało się prawie surrealistyczne - tyle arcydzieł na raz, tyle bogactw zebranych w prywatnym mieszkaniu. Szedłem powoli, porwany podziwem, przez jedną galerię za drugą, popijając szampana, czasami zapominając, po co tu jestem.

Żadne z nas nie wiedziało, czego mamy się spodziewać. Dlaczego w ogóle zostaliśmy zaproszeni? Dunn, który niczym nie skomentował ani nie wyjaśnił swojego niespodziewanie ujawnionego związku z D'Ambrizzim, stwierdził tylko, iż wierzy, że zaproszono nas, bo kardynałowi Indelicato i D'Ambrizziemu papież Kalikst powierzył misję odnalezienia mordercy Val. Ponieważ sami też go szukaliśmy, Indelicato chciał się z nami spotkać. Ale dlaczego D'Ambrizzi tak nalegał na nasze przyjęcie? To wywołało tylko wzruszenie ramion u ojca Dunna. Wyglądało na to, że D'Ambrizzi pracuje

według własnego planu: powiedział, że wszystko się skończy tego wieczoru. Coś miało się zdarzyć. Po prostu nie wiedzieliśmy ani co, ani kiedy, ani komu. Za każdym razem, gdy wypijałem łyk szampana, alkohol zatrzymywał się gdzieś po drodze do żołądka.

Siostra Elżbieta wyglądała przepięknie w czarnej aksamitnej sukience o dekolcie w karo, z kameą, o której powiedziała, że ofiarowała jej Val, z włosami ściągniętymi w tył czarną wstążką. Uśmiechnęła się do mnie, kiedy spotkaliśmy się u Hasslera. Uśmiechem, którego nigdy u niej nie widziałem, tak jak gdyby nie było między nami żadnego konfliktu. Spotkały się nasze oczy, wzięła mnie za rękę, gdy pomagałem jej wsiąść do limuzyny. Osiągnęliśmy rozejm w ciągu krótkiej rozmowy w środku nocy. Teraz i ja czułem spokój. Znaleźliśmy się po tej samej stronie. Bez względu na to, jak nasze umysły teraz zadziałają i jakich rozwiązań będziemy oczekiwać.

Znaleźliśmy się na śliskich schodach, przyglądając się nieprzerwanie krążącemu tłumowi. Spojrzała na mnie.

- W czyją historię wierzysz? - Opowiedziała mi o swojej rozmowie z Sandanato i jego twierdzeniu, że to D'Ambrizzi stoi za wszystkim, co się stało. Że to D'Ambrizzi sięga po kontrolę nad Kościołem i zniszczy go swoją reakcją przeciwko wszystkiemu, w co sam nie wierzy. - D'Ambrizzi jest albo dobrym facetem, albo złym. Kwestia polega na tym, jak się tego dowiedzieć?

- Nie wiem. Wszyscy są złymi facetami. D'Ambrizzi tak doskonale spełnia wszystkie kryteria złego faceta. Mamy tylko jego własne słowa, że jest dobry.

- Mamy również słowo ojca Dunna - powiedziała.

- Jakie to pocieszające. A czy jest coś warte? Nie mam pojęcia.

- A co mówi ci twoje doświadczenie?

- Że wciąż chcę spędzić chwilę z Herr Horstmannem. A potem będę się martwił, kto go wysłał do roboty. A wszystko wskazuje na to, że to Simon, prawdziwy Simon... D'Ambrizzi.

- Ale tu chodzi o Val - nigdy by nie rozkazał zabić Val...

- A co z tobą? Ze mną? Czy mógłby rozkazać zabić nas? Odwróciła wzrok, nic nie odpowiedziała.

Ksiądz w średnim wieku z krzywym uśmiechem na twarzy zszedł do nas po schodach z góry.

- Siostrzo Elżbieto - powiedział - i panie Driskill. Jego Eminencja kardynał Indelicato chciałby się z państwem zobaczyć. Proszę pójść za mną.

Poszliśmy za nim w górę po schodach, wzdłuż balustrady, a potem korytarzem, gdzie chaotycznie rozstawiono ciężkie krzesła wyściełane zielonym i złotym brokatem. Wisiały tam dziesiątki oprawionych rysunków, zielono-złote stoliki z wazonami ciętych kwiatów. Ksiądz zatrzymał się w drzwiach i wskazał nam drogę do środka. Pokój był długi i wąski, z wysokimi oknami, ciężkimi sięgającymi podłogi draperiami, tysiącletnim dywanem, eleganckim sekretarzykiem i wielkim obrazem pędzla Masaccia, królującym na jednej ścianie. Nie miałem pojęcia, że takie obrazy wiszą w prywatnych domach, choćby najwytworniejszych willach. Pokój był pusty.

- *Momento* - wymruczał ksiądz i zniknął w ozdobnie rzeźbionych drzwiach za sekretarzykiem.

Skinąłem głową. Moje oczy dostrzegły maleńki obrazek zawieszony obok okna ponad ultradźwiękowym nawilżaczem, który robił co mógł, by rysunek nie rozpadł się w proch. Widniała tam

osoba zaskakująco odziana, która wydawała się płynąć w powietrzu, z wyciągniętym przed siebie ramieniem wskazującym na widza czy też malarza. Przy bliższym przyjrzeniu się twarz postaci odsłaniała czaszkę - wybieloną i miejscami brudną. W bladym tle rosły bezlistne drzewa, czarne ptaki unosiły się na niebie lekkoczerwonym, jakby płomienie piekła rozświetlały horyzont. Uderzył mnie ten obraz, gdyż postać w dziwnym stroju z łatwością mógłbym utożsamić z moją matką ze snu, wyciągającą do mnie ramiona, wypowiadającą niezrozumiałe słowa. Usłyszałem szum ciężkich szat i odwróciłem się akurat w chwili, gdy kardynał Indelicato wkroczył do pokoju.

Miał pociągłą twarz. Ciemne włosy wyglądały, jakby były przyklejone do wąskiej i długiej czaszki. Potrząsnął ręką siostry Elżbiety, potem wykonał ten sam gest ze mną, prawie stukając obcasami. Ciężki srebrny krzyż zwisał z grubego srebrnego łańcucha na jego szyi. Był ozdobiony kamieniami, które wyglądały na szmaragdy i rubiny. Kardynał dostrzegł, że łańcuch mnie zainteresował.

- Nie należy do mojego codziennego stroju, panie Driskill. To pamiątka rodzinna - powiedziano mi, że jest dobry do odegnania głodnego wampira, ale takie ostentacyjne świecidełka noszę tylko na ostentacyjne okazje. A obawiam się, że właśnie teraz jest taka. Kościół płaci haracz nowoczesnemu środkowi przekazu, jakim jest telewizja. Przygotowujemy się do amerykańskiego programu, który ukaże, „jak Watykan naprawdę pracuje?”. Bardzo amerykański, nieprawdaż? Opowieść od środka - stwierdzam, że Amerykanów fascynuje wszystko, co im się wydaje „opowieścią od środka”. I uwierzą - wybaczenie mi, że to mówię - we wszystko, co im się powie. Ale marudzę, przepraszam. Chciałem przekazać panu osobiście wyrazy współczucia z powodu śmierci pańskiej siostry...

Nie poznałem jej zbyt dobrze, ale jej reputacja sprawiała, że znał ją każdy w Kościele i w świecie świeckim. Ach, moja droga siostrze Elżbieto, jakie miałaś okropne doświadczenia. - Pokręcił wąską głową, podniósł drobną dłoń o długich palcach w wymownym geście. - Ale prawie zakończyliśmy już śledztwo. Mogę was zapewnić, że już nie będzie więcej morderstw. Kościół wrócił na drogę zbawienia. - Uśmiech był tak nikły, że od razu rozpadł się na tysiące zmarszczek.

- To nas pociesza - odparłem. - Wydaje się, że już chodzą słuchy od pewnego czasu, iż prawie możemy jechać do domu. Co z pewnością dobrze zrobi mojej siostrze Val. I Robbiemu Heywoodowi, i bratu Leonowi, a także wielu innym, którzy zginęli z rąk Herr Horstmann.

- Tak, tak. Rozumiem pańskie uczucia. - Odwrócił się od mojej wojowniczej twarzy i zwrócił się do siostry Elżbiety, która przyglądała mu się zza zasłony spokojnego obiektywizmu. Patrzyła na niego, jakby obserwowała szczególnie interesujący egzemplarz gatunku *Cardinalus Romanus*, szukając może oznak paniki czy czegokolwiek, co ujawniłoby winę lub niewinność, prawdę czy fałsz wersji Sandanato.

- Ale - ciągnął - musicie pamiętać, że to sprawa Kościoła. I nie w tym rzecz, że najlepiej taką sprawę załatwić w Kościele... ona może być załatwiona *wyłącznie* w Kościele. Już wkrótce Horstmann i jego pan zostaną zdemaskowani i osądzeni w sposób, w jaki tylko Kościół może działać. Do tej chwili proszę was, abyście powstrzymali się od dalszego działania. Ojciec Święty w końcu sam się zaangażował w to... Wy, we dwoje musicie się usunąć, bez względu na wasze osobiste uczucia. Czy mogę zakładać, że otrzymałem waszą zgodę?

- Możesz pan - odparłem - założyć, co się żywnie podoba.

- Powoduje pan, że wszystko staje się trudniejsze - powiedział. - Zachowuje się pan dokładnie tak, jak mnie ostrzeżono, że będzie się pan zachowywał. Ale jest pan wolnym strzelcem. I nic pan nie może zrobić, co wpłynęłoby na wyniki naszego działania. Dziękuję, że pan przyszedł. - Znowu się uśmiechnął w swój odległy i bezlitosny sposób. - Życzę przyjemnego wieczoru. I proszę nie opuścić pokazu filmowego. Możecie się dowiedzieć, jak naprawdę pracuje Watykan. Wierzę, że Watykan pokazano jako rozbrajająco proste i wesołe miejsce. - Pochylił wąską głowę.

- A zatem pan twierdzi, że to d'Ambrizzi - powiedziałem do niego, nie ruszając się z miejsca, gdy próbował skierować nas w stronę drzwi. - Chyba musi pan uważać, że może to udowodnić... Ale dla czyjej satysfakcji, zastanawiam się? Chyba nie rzymskiej policji. Ani policji z Princeton. Pan chce całą rzecz załatwić wewnątrz Kościoła. Papież umiera i może w ogóle się nie orientuje, o czym pan mówi. A więc dokąd pan z tym pójdzie?

Kardynał Indelicato wzruszył ramionami, choć było to prawie niewidoczne podniesienie barków.

- Dobrze się bawcie. A teraz, proszę mi wybaczyć, muszę już iść.

Ominął mnie, zatrzymał się w drzwiach, odwrócił się, by popatrzeć na mnie. Nic nie powiedział, ku mojemu zdziwieniu, i wyszedł...

Zjawili się wszyscy *papabili*. Byli wszędzie. Rozpoznałem też kilka innych twarzy, mężczyzn, którzy nie brali udziału w wyścigu o papieżstwo.

Stałem na balkonie i zobaczyłem ich poruszających się w tłumie.

Był tam kardynał Klammer - tak daleko od Nowego Jorku. Kardynał Poletti - prześwietny szef Kurii, kardynał Fangio, o którym ktoś powiedział, że jest jedynym niewinnym w kłębówisku zmił, a inni twierdzili, że okrywa się płaszczem niewinności i jest to kamuflaż tak doskonały, że aż wiarygodny. Byli też kardynał Vezza, kardynał Garibaldi i garbaty kardynał Ottaviani z kardynałem Antonelli o długich, wciąż jasnych włosach. Zobaczyłem też innych, których nazwiska mi umknęły, ale twarze rozpoznałem: Holendra wspierającego się na dwóch laskach i ciągnącego za sobą nogi, Niemca o słynnej fryzurze na jeża, Murzyna, który musiał mieć chyba siedem stóp wzrostu. Wszystkie twarze były znane widzom telewizyjnym i czytelnikom gazet. Dostrzegłem również Drewa Summerhaysa, przy jego boku stał mężczyzna, który towarzyszył mu w Awinionie - niski człowieczek z poderżniętym gardłem. Pod arkadami zobaczyłem znajomą twarz, której się tutaj nie spodziewałem: Klaus Richter w ciemnym garniturze, popijający szampana i rozmawiający z księdzem. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu: naziści, sztuka, Kościół, Richter. Stary nazista - wielbiciel golfa, jeden z mężczyzn na fotografii, którą Val ukradła z jego biura. Zacząłem się zastanawiać, czy przyjechał do Rzymu w interesach dawnego pana czy w kwestii szantażu? Musiał po coś przyjechać.

Ojciec Dunn pojawił się obok mnie, wymruczał coś, a gdy odwracałem się do niego, zdawało mi się, że kątem oka widzę siwe włosy, okrągłe okulary, w których odbija się światło świec, człowieka przeciskającego się przez tłum. Dunn popatrzył w ślad za mną.

- Co?

- Mam omamy - odparłem. - Wydawało mi się, że zobaczyłem Horstmanną.

- A dlaczego to miałby być omam? - Uśmiechnął się krzywo. - Chcesz twierdzić, że nadal można cię zdziwić? *To mnie dopiero dziwi.*

- Zdaje się, że nigdy się tego nie nauczę.

- Oczywiście, że się nauczysz. Wydajesz się mieć dobry nastrój, biorąc pod uwagę okoliczności. Niech zgadnę. Zawieszenie broni z siostrą Elżbietą?

Skinałem głowę.

- Tylko pamiętaj - powiedział - ona ci nigdy tego nie ułatwi. Nawet kiedy będzie próbować, nic nie będzie łatwe.

Ponownie kiwnąłem głową potakująco, zastanawiając się, czy zobaczę jeszcze Horstmanną. Może czekał na nowe rozkazy od Simona. O ile wiedziałem, od tygodnia nie zabił jeszcze nikogo.

- Spójrz - mruknął Dunn, wskazując nagle wzmożenie aktywności w odległym końcu holu na dole.

Kardynał Indelicato witał kardynała D'Ambrizziego. Wysoki, chudy i uprzejmy. Niski, gruby i uśmiechnięty. Mogli być najlepszymi przyjaciółmi. Wydawali się przyciągać innych kardynałów jak potężne magnesy, którymi oczywiście byli.

- Co to za gra! - stwierdził Dunn. - Dzisiejszej nocy Indelicato rzuca wszystkim wyzwanie! Mówi do nich ich tajnym szyfrem: *Ja będę papieżem!* A wszyscy tutaj zgromadzeni - prawie wszyscy - starają się upewnić, że są po dobrej stronie. Po prostu cudowne!

W godzinę później tłum powoli zebrano w sali balowej, gdzie miano pokazać po raz pierwszy wybranej publiczności przygotowany przez Amerykanów program telewizyjny. Kardynał Indelicato chciał powiedzieć kilka słów. Przedstawił sławnego amerykańskiego dziennikarza, który był narratorem i to on miał przyjąć pochwały, gdy tylko ponownie zapłoną światła. Kardynała poniosła fala entuzjazmu. To był taki rodzaj zachowania, na które rzadko sobie pozwalał. D'Ambrizzi usunął się i dołączył do nas w cieniu kępy palm, rosnących w doniczkach. Dunn odwrócił się do niego.

- Eminencjo.

Kardynał przyprowadził ze sobą Elżbietę.

- Ona jedna - pochylił ku niej głowę - zachowała wiarę, że nie jestem Kubą Rozpruwaczem. Mam nadzieję przedstawić ci dowody, Beniaminie, w trakcie wieczoru. A mój drogi przyjaciel Indelicato wierzy, że właśnie dziś zakończy karierę Świętego Jasia. - Wzruszył ramionami. - A co będzie, jeśli tak się naprawdę stanie? Czy to będzie taka potworna tragedia? Cóż, no tak, to może być tragedia dla Kościoła.

- A czego *chcesz* dla Kościoła? - zapytałem.

- Czego ja chcę dla Kościoła? Chyba nie chcę, aby wpadł w łapy Żelaznych Panów - tak ich nazywam. To stara gwardia - ultrakonserwatyści. Nie chcę, żeby przejął go Indelicato i sprowadził do średniowiecznej roli jakiegoś rezerwatu baronów. Na to jest już za późno. A oto właśnie chodzi.

- Indelicato wydaje się być bardzo pewny siebie - stwierdziłem.

- A dlaczego nie? Ma mnie pod obcasem, prawda? Horstmanną stworzył Simon, wszyscy w tym względnie się zgadzamy... a ja byłem Simonem... Próbowałem zabić papieża, przewodziłem bandzie

zabójców i teraz uważa się, że ponownie wykorzystuję Horstmann. Wszystko to pasuje do długiej, mrocznej historii Kościoła, a Indelicato sądzi, że potrafi to udowodnić. Jak w tym świecie mogę powstrzymać go od szantażowania mnie na tym filmie? Na to byłaby potrzebna - jeśli wolno mi tak powiedzieć - ingerencja Boga. Oczywiście, wierzę w Boga. - Uśmiechnął się pod szerokim, zakrzywionym nosem, delikatnie muskając palcami prosty krzyż z kości słoniowej na piersi. - Ale Bóg jest znany z tego, że pomaga ludziom, którzy sobie sami pomagają. Czy macie zamiar obejrzeć przygotowany program telewizyjny? - Wszyscy stwierdziliśmy, że nie mamy takiego zamiaru. - Ani ja. Chodźcie ze mną. Chciałbym wam coś pokazać. Tylko cicho.

Poprowadził nas wzdłuż opustoszałego korytarza, w dół po schodach skręcających ku mrocznej piwnicy, słabo oświetlonej przez nieliczne żarówki. Dotknął kontaktu na ścianie i wielkie, zalegające cienie okazały się stojakami na wino. Tysiące butelek wyciągało szyjki.

- Słyszałem, że to najlepsza piwniczka w całym Rzymie - stwierdził Dunn.

D'Ambrizzi wzruszył ramionami.

- Nie znam się na winie. Tak długo jak jest wytrawne i ma kolor krwi, jestem zadowolony. Jestem wieśniakiem. - Szedł między stojakami. - Tutaj nikt nam nie przeszkodzi. Mam coś, co musicie zobaczyć.

- Jak możecie być tacy pewni, że nikt nam nie... przeszkodzi? - zapytała Elżbieta. - Patrzyła przez ramię, jakby spodziewała się w każdej chwili zobaczyć drużynę Straży Szwajcarskiej. - Czy to nie przekracza pewnych granic?

- Siostró, znam Manfrediego Indelicato od ponad pięćdziesięciu lat. Nie ma nic, czego byśmy o sobie nie wiedzieli. Zawsze ma szpiegów śledzących mnie. Ale uważa mnie za nieporadnego słonia w składzie porcelany. Jeśli chodzi o mnie, on wierzy tylko w to, w co chce wierzyć. W żadnym razie nigdy nie uwierzyłby, że i ja mam szpiegów, których on zatrudnia... należących do jego służby. Od czasu do czasu wykorzystuje coś, czego mógł się dowiedzieć wyłącznie od swoich szpiegów. W ten sposób oddaje się w moje ręce, identyfikując swojego szpiega dla mnie. Ja natomiast nigdy nie wykorzystuję tego, czego się o nim dowiedziałem. Tylko notuję do późniejszego zastosowania. - Wyszczrzył zęby jak krokodyl. - Używam mojej wiedzy jedynie pośrednio, rozumiecie. To ja jestem subtelny, a nie Manfredi. - Rozjaśnił się z zadowolenia. - Jest przygotowany zabić mnie dziś wieczorem. Jeśli musi, to zabije... przynajmniej w to wierzy. Ale czy wyglądam na zmartwionego, powiedzcie? Proszę siostró, bądź spokojna, nic nam tutaj nie grozi. Byłem tu już przedtem. To, co mam zamiar wam pokazać, widziałem już kilkakrotnie, tylko dlatego, by się upewnić, że naprawdę istnieje... Idźcie za mną.

Kurz butelek, zapach drewnianych stojaków, chłód piwnicy: wdychałem je i zastanawiałem się, po co tam się znaleźliśmy. Wtedy podszedł do ostatniego stojaka przy ścianie, wyciągnął ręce i łagodnie popchnął go w jedną stronę. Usłyszałem chrobot, cichy odgłos tarcia i stojak, a za nim ściana obróciła się na niewidocznych zawiasach odsłaniając kolejne pomieszczenie. D'Ambrizzi przywołał nas gestem, byśmy szli za nim.

- Manfredi jest aroganckim człowiekiem. Inny w tajnym pokoju w piwnicy własnej willi zainstalowałby system alarmowy albo obwiesił go kamerami - to już wszak epoka doskonałej techniki. Ale wtedy ludzie instalujący system mogliby puścić farbę, a to byłoby jeszcze gorsze... Manfredi tak jest

pewien własnej nietykalności, tak cudownie egocentryczny, że uważa, iż jest całkiem bezpieczny. Nikt nie miał się dowiedzieć o tej krypcie - nikt nie miał wiedzieć, co tu zostało ukryte. Ale myli się... Giacomo D'Ambrizzi wie...

Pomieszczenie znajdowało się znacznie poniżej poziomu ziemi i w przeciwieństwie do piwnicy było czyste i pozbawione zapachu stęchlizny. Stały tam dwa wielkie nawilżacze i pracował system oczyszczania powietrza, znajdowały się też mierniki temperatury oraz wisiały automatyczne gaśnice wodne. Wszędzie stały różnej wielkości skrzynie. Pomieszczenie miało rozmiary dwóch kortów tenisowych.

- A oto, moi przyjaciele - powiedział D'Ambrizzi - jest łup z drugiej wojny światowej. Wszystko w piwnicy u Manfrediego Indelicato. Chodźcie, popatrzcie na te skrzynie. Chodźcie. - Poprowadził nas jeszcze w dół kilka stopni ku cementowej podłodze, między skrzynie. - Patrzcie! Patrzcie!

Skrzynie były oznaczone czarnymi orłami i swastykami Trzeciej Rzeszy. Na niektórych widniały nazwiska napisane wyblakłym czarnym atramentem. Ingres. Manet. Giotto. Picasso. Goya. Bonnard. Degas. Raphael. Leonardo. Rubens. David. Nie było końca. Na wielu skrzyniach widniał czerwony, kulfoniasty napis - *Vaticano*.

- Wszystko jest tutaj bezpieczne - stwierdził D'Ambrizzi. - Bardzo zadbał o to. Bardzo interesuje się sztuką, ten Manfredi. Taka już jest ta rodzina. A te cuda będzie musiał zabezpieczyć na bardzo, bardzo długo. Ponieważ większość z nich ma bardzo szczegółową, udokumentowaną historię. Miejsca pochodzenia, katalogi, fotografie. Może trzeba będzie je trzymać w ukryciu jeszcze przez następne stulecie. Jeśli Fredi zostanie papieżem, z pewnością dopilnuje, aby dostały się Kościołowi...

- A jeśli ty zostaniesz papieżem? - zapytałem.

- Jeszcze o tym nie myślałem. Nie będę obojętny. Jak sądzę, wymyślę coś. Może Indelicato zechce to zatrzymać dla własnej rodziny. - Westchnął. - To jest prawdziwa trudność taki skarb, prawda? Kiedy tak naprawdę go wcale nie ma. Pomyślałem, że sprawi wam przyjemność obejrzenie go, zobaczenie, jaki wtedy Indelicato miał cel. Jeśli przyjrzy się dokładniej niektórym skrzyniom, zobaczycie, że były przeznaczone dla Goeringa, Himmlera, Goebbelsa czy nawet samego Hitlera. Ale Indelicato je przejął... z moją pomocą, przyznając...

- Ale dlaczego Indelicato? - spytała Elżbieta. - W czasie wojny był w Rzymie, nie miał nic wspólnego z *assassini* w Paryżu... to wy staraliście się, żeby Kościół dostał swoją część łupu...

- Cóż, ja nie miałem do tego serca, rozumiecie. Ale Fredi był prawą ręką Piusa, kiedy powstała cała koncepcja *assassini*. To nie tylko Pius dał mi nieprzyjemne zadanie wyjazdu do Paryża i wykonywania brudnej roboty. Do Indelicato zwrócił się papież o radę. A Indelicato zrozumiał, że to sposób pozbycia się mnie. Nawet wtedy byliśmy naturalnymi rywalami. Wierzył, że to zupełnie niemożliwe, abym przeżył paryskie zadanie. Sądził, że naziści w końcu będą mieli dość mojego niegrzecznego zachowania i po prostu mnie zabiją. O tak, Indelicato przyglądał się mojej pracy z bliska.

- Czy wiedział o waszym planie zabicia Piusa?

- Och jej, tak, oczywiście. To Indelicato przekazał papieżowi wiadomość o spisku. I scementował zależność z Piussem przez „ocalenie mu życia”. Pius nigdy nie zapomniał.

- A kto powiedział Indelicato? Kto was zdradził?

- Ktoś, komu ufałem, ktoś - kto wszystko wiedział. Przez długi czas nie wiedziałem... Z początku, oczywiście, byłem pewien, że to LeBecq. Teraz wiem, że to nie on.

- A więc kto?

Pokręcił głową, nie chciał odpowiedzieć.

- Jak to się stało, że Indelicato dostał wszystkie skarby? - spytała Elżbieta.

- Pius umiał być wdzięczny, kiedy mu to odpowiadało. Przekazał wszystko pod opiekę Frediego jako nagrodę za usługi. Za uratowanie papieskiego tyłka. Z tego co wiem, to Fredi mógł go szantażować.

- Ta myśl wywołała uśmiech na jego twarzy.

- Cóż - odezwał się ojciec Dunn - to był stosowny gest. Rodzina Indelicato zawsze była znana ze swych niezwykłych zbiorów. Zawsze byli kolekcjonerami.

Wtedy do mnie dotarło. Lepiej późno, niż wcale.

- Zbieracz - powiedziałem cicho. D'Ambrizzi kiwnął głową.

- Tak, to Pius posłał Indelicato do Paryża, by mnie odnalazł... to znaczy, by przygotować sprawę przeciwko mnie za całkowitą niesubordynację, za zabicie LeBecq'a, za zawiązanie spisku, by zabić samego Piusa. Ale trzymaliśmy się twardo, zachowaliśmy milczenie pomimo jego sondowania. W końcu uświadomił sobie, że każe mnie zabić i pozbędzie się mnie wtedy na zawsze. Tak, Pius nazwał go „Zbieraczem”. Taki żart. Frediego wysłano do Paryża, aby „zebrał” *mnie*. W każdym razie, gdy tylko wojna się skończyła, Indelicato wręczył Watykanowi końcówkę tego, co nazwaliście wzajemnym szantażem z uciekającymi nazistami. Fredi przypominał prawdziwego pajaka - tkał sieć krwi, strachu i żelaznej faryzeuszowskiej „uczciwości”, nazistów, skarbów sztuki i Kościoła. Tamte dni to klucz do jego dzisiejszej potęgi. Poważna, ascetyczna figura, król Kurii. Indelicato był bardzo pracowitym człowiekiem. Jeden z nas, jak sądzę, musi umrzeć, by drugiemu się udało...

- Nonsens, Giacomo! Twoje własne urojenia, twoje uwielbienie do dramatyzowania oślepiły cię! - To był głos Jego Eminencji kardynała Indelicato, dochodzący do nas od drzwi. - Czego ty się masz lękać ode mnie? Albo ja od ciebie? I po co ta mowa o umieraniu? Czy nie było już dość zabijania? Jego ciemne oczy, tak przypominające oczy Sandanato, przemykały od jednej twarzy ku innej. Na wąskich wargach pojawił się półuśmiešek. W tej chwili przypomniał mi o Sandanato, o kimś tylko o krok od męczeństwa i fanatyzmu. Opowieść Elżbiety o jego przejściu do obozu Indelicato po całym życiu spędzonym lojalnie przy D'Ambrizzim nabierała sensu, choćby ze względu na podobieństwo rysów. Nigdy nie było dwóch kardynałów tak różnych od siebie. Może jedynie podobne mieli ambicje, czy bezwzględność w działaniu.

D'Ambrizzi odwrócił się do nas z uśmiechem pełnym wyrozumienia.

- Jestem winien moim przyjaciółom przeprosiny. Wiedziałem, że mnie śledzisz, Fredi, a chciałem, żebyś tu przyszedł. Gdybym im powiedział o tym, nigdy nie poszliby za mną, ale próbuję im coś udowodnić. A wycieczka do skarbcza wydawała się potrzebna.

- Obawiam się, że wywarłeś złe wrażenie. To są dary ofiarowane Kościołowi przez różne kraje zarówno w czasie wojny jak i po jej zakończeniu. Wydzierżawiam to pomieszczenie Kościołowi na

magazyn. Wszystko zostało spisane i jest pod względem prawnym absolutnie w porządku.

D'Ambrizzi roześmiał się.

- Po co mi to mówisz, Fredi? To mnie Niemcy pozwolili wszystko ukraść! Czasami mimowolnie jesteś bardzo zabawnym facetem!

- Jak zwykle, mój przyjacielu, jesteś zbyt uprzejmy. Ale musisz sobie uświadomić, że nasza rywalizacja - tak jak ty ją widzisz - zbliża się do końca. Jesteśmy starymi ludźmi, Giacomo. Musisz uciec przed przeszłością. Z pewnością dożyjemy końca naszych dni w spokoju...

- Tak myślisz, Fredi? Naprawdę?

- Oczywiście. Długa wojna się skończyła. Mam teraz twoje wspomnienia, tę opowieść, którą napisałeś i zostawiłeś w Ameryce tyle lat temu... Wreszcie będzie w moim posiadaniu. Zniszczę ją. I tak twoje pazury zostaną obcięte. A cokolwiek będziesz upierał się wyciągnąć z przeszłości, okaże się tylko niewyraźnym bełkotem...

- I czterdzieści lat po wojnie będziemy mieli naszego drugiego nazistowskiego papieża! - D'Ambrizzi nie mógł ukryć śmiechu w swoim głosie. - Co za żart! A kto obiecał ci dostarczyć moje wspomnienia?

Indelicato wpatrywał się w niego, a potem pozwolił, by pytanie rozpląnęło się w powietrzu.

- Widzisz, jesteś więźniem przeszłości. Nazista to słowo już bez znaczenia.

- Może właśnie to stało się niedobrego ze światem. Dla mnie zawsze będzie miało ono znaczenie, zapewniam cię.

- Paraliżuje cię przeszłość. Dla ciebie zawsze jest wojna, zawsze jakieś zabijanie do wykonania. Cóż, Simon, twoje zabijanie wreszcie się skończyło. Teraz możesz zacząć rozmyślać nad losem swej nieśmiertelnej duszy. Masz tyle krwi na swoich rękach. Mordowałeś wiele ze swej przeszłości. Ale, Giacomo, nie zamordowałeś mnie!

- Zakładam, że to dla ich dobra - odparł D'Ambrizzi, nieznacznie odwracając się do nas. - No, może ich przekonasz. Ale muszę powiedzieć, że to ty Fredi jesteś przeszłością. Dopóki żyjesz, tak długo żyje zło tamtych dni. Jesteś duchem zła, który zatrzuwa Kościół. Zło. W czystej postaci...

- Ależ mój drogi Giacomo! Po szyję we krwi, człowiek, który próbował zamordować papieża - a mnie nazywasz złem? Powinieneś poszukać spowiednika, jeśli jeszcze kogoś takiego masz, przyjacielu, dopóki jeszcze jest czas.

Wpatrywali się w siebie, bez uśmiechu, jak dwa prehistoryczne stwory, które jako jedyne uchroniły się od zagłady, gotowe rzucić się na siebie. Po tym, co przeszli i czego dokonali, nie lękali się zagłady.

Przerwałem ciszę, stanąłem twarzą w twarz z Indelicato.

- Kto ostrzegł pana o spisku na życie Piusa?

- Powiem ci...

- Nie! - krzyknął D'Ambrizzi. - To nie ma sensu!

- Arcyksiążę. To był człowiek nazywany Arcyksięciem. Wiedział, gdzie leży prawdziwa nadzieja Kościoła. Wiedział wtedy. I wie teraz.

Kardynał Indelicato prowadził naszą dziwną grupkę z powrotem do sali, gdzie odbywało się przyjęcie. Szedł ramię w ramię z D'Ambrizzim trzymali się pod rękę. Za nimi kroczyliśmy we trójkę: ojciec Dunn, Elżbieta i ja. Przyglądaliśmy się im, wyglądającym jak para starych przyjaciół zajętych odgrywaniem sformalizowanego rytuału. Może właśnie dlatego tym to było - rytuałem - gawotem, który tańczyli od pół wieku. Może ich emocje umarły dawno temu i pozostało im tylko spiskowanie. Bez względu na prawdę, chciałem zobaczyć koniec tego tańca.

Program telewizyjny właśnie się skończył, gdy stanęliśmy w obszernym foyer za drzwiami sali balowej. Oklaski wciąż rozbrzmiewały, lokaje otworzyli drzwi i tłum runął na nas. Amerykański dziennikarz mijał nas, gdy dostrzegł kardynała Indelicato. Stanęli we dwójkę, a my ruszyliśmy dalej. Migwały flesze, wszyscy okrzykami wyrażali swój zachwyt. Indelicato rozdawał cienkie uśmiešky, pochylając lekko głowę, palcami muskając wysadzany drogimi kamieniami krzyż.

Odwróciłem się do ojca Dunna.

- Chodźmy stąd, do diabła. Już tego dłużej po prostu nie wytrzymam. Miało się skończyć dziś wieczorem. Wielki błysk iluminacji... prawda. A co dostajemy? Złoczyńcy decydują, że już czas na emeryturę. O co chodziło Indelicato, gdy wspominał o pamiętnikach D'Ambrizziego? Mówiłeś, że to Morela znalazł ten cholerny rękopis...

Poczułem rękę D'Ambrizziego na ramieniu, zanim Dunn zdążył odpowiedzieć.

- Nie wychodź jeszcze. Wieczór dopiero się zaczął. Monsignor Sandanato pojawił się nagle w tłumie, przepychając się w kierunku obiektu błyskających fleszów.

D'Ambrizzi pociągnął mnie w stronę Indelicato.

- Widzisz?

Sandanato brakowało tchu, ponura twarz błyszczała od potu.

- Eminencjo, proszę, proszę mi wybaczyć.

Indelicato odwrócił się powoli, majestatycznie, nikły uśmiešek zniknął.

- Tak, monsignore?

- Właśnie przybywam od Ojca Świętego, Eminencjo. Przysłał mnie do Eminencji. Chce natychmiast zobaczyć Eminencję.

Gdybyśmy podeszli jeszcze bliżej, Sandanato mówiłby wprost do nas.

Indelicato skinął głową, odwrócił się od wszystkich składających mu gratulacje i dziennikarzy telewizyjnych.

- Eminencjo, czy to oznacza, że papież was wybrał? - zapytał Amerykanin.

Indelicato popatrzył na dziennikarza zaskoczony i wyszeptał:

- Ojciec Święty nie głosuje. - Minął go i zatrzymał się przed D'Ambrizzim. - Słyszałeś, Giacomo?

A może udzielisz mi swego poparcia?

- Lepiej się pośpiesz, Fredi. Bo może zmienić zdanie.

- Uważasz to za zabawne?

- Żegnaj, Fredi.

Sandanato unikając wzroku D'Ambrizziego, dotknął rękawa Indelicato, gdy ten go mijał.

- Czy życzyście sobie Eminencjo, abym wam towarzyszył? Powoli Indelicato, jakby przekazywał tajne hasło, pokręcił głową i odparł:

- To nie będzie konieczne, monsignore.

Natychmiast wiadomość rozeszła się w tłumie jak elektryczna iskra. Podniósł się poziom głosów wzbogacony o dodatkowy ton, który pojawia się wtedy, gdy rodzi się Historia. Czy pontyfikat Kaliksta się kończy? Czy w ostatnich godzinach życia ogłosi własne nadzieje co do swego następcy? Czy jego ostatnie życzenie przeważy? Co przyniesie poranek?

Ciężka ręka D'Ambrizziego opadła na ramię Sandanato.

- Dobrze się sprawiłeś, Piętro. Pomyślałem, że może Kalikst będzie potrzebował dziś wieczorem posłańca. Cóż... niech tak będzie. A teraz musisz się przyłączyć do naszego małego grona. Nie przyjmuję odmowy.

Stojąc przed podwójnymi drzwiami, przez które weszła do prywatnej sali jadalnej, siostra Elżbieta rozmyślała, co jeszcze kardynał D'Ambrizzi przygotował dla nich na ten wieczór. Pokój był mały i wygodny, przytulny w świetle dwóch niewielkich świeczników. Kelnerzy należeli do pracowników hotelu Hassler. Kardynał zaprosił wszystkich do hotelu, w którym zatrzymał się Driskill. Wydawało jej się, że jest to przysługa wobec niej i Bena: on był o kilka pięter od swojego pokoju, a ją dzielił od domu zakonnego tylko plac. Z jakiejś przyczyny - która zdawała się jej raczej złowróżbna - D'Ambrizzi zmusił ją, aby mu przyrzekła, że spędzi noc właśnie tam a nie w mieszkaniu przy Via Veneto. A teraz kardynał rozmawiał z człowiekiem o wielkim nosie kreta, tak ogromnym, że wydawało się przez chwilę, iż wypełnia sobą cały pokój. Driskill stał słuchając Drewa Summerhaysa, którego Elżbieta spotkała na pogrzebie Val. Twarz Driskilla była bez wyrazu, nie zdradzała żadnych emocji, ale w jego oczach odkryła bezradność, zmęczenie czy dezorientowanie, jakby krańcowe wyczerpanie. Pomyślała, że tylko ona zna go tak dobrze.

D'Ambrizzi jako mistrz areny sprawiał niezwykle wrażenie. Zaplanował, przygotował dla nich cały wieczór - cały czas, jaki spędzili w Rzymie. Jego pojawienie się na przyjęciu, tajemnicze zejście w podziemny świat Indelicato... Wciąż próbowała sobie poradzić ze wspomnieniem sali ze skarbami sztuki skradzionymi przez nazistów. Wartość dolara wzrosła - ile? Dziesięciokrotnie, stukrotnie, może tysiąckrotnie w ciągu czterdziestu lat? Bez względu na to, na pewno była to bezcenna kolekcja.

Drew Summerhays stał przy barku z kieliszkiem sherry, a u jego boku niski, pulchny człowieczek, który w ogóle się nie odzywał. Ktoś, dawno temu, wziął skrobaczkę do kartofli albo ostre grabie i przystawił mu do gardła. Siwowłosa mężczyzna o szerokich pochyłych ramionach rozmawiał z monsignore Sandanato. Elżbieta została mu przedstawiona, zobaczyła jego wielkie, wilgotne oczy z purpurowymi workami. Był to doktor Cassoni. A gdy okrążyła pokój, natrafiła na mężczyznę z nosem kreta - starego dziennikarza z Paryża o nazwisku Paternoster. *Ojciec nasz...* Clive Paternoster.

Zastanawiała się, czy Arcyksiążę jest teraz wśród nich. To było bardzo podobne do d'Ambrizziego: sprowadzenie Arcyksięcia - zdrajcy na sam środek swego małego cyrku. D'Ambrizzi - opierający się śmierci tancerz na linie. Pracujący bez siatki ochronnej.

Ojciec Dunn krążył wśród gości. Słówko tu, słówko tam, wypił ostatni łyk sherry u boku D'Ambrizziego. Prowadzono rozmowę na tematy ogólne. Usłyszała propozycję, by dołączyła do nich. Była jedyną w tym gronie kobietą - jak zawsze. Padło kilka ostrych żartów o programie telewizyjnym i wysiłkach samoreklamy Indelicato. Rozważano stan zdrowia Ojca Świętego. To był temat obowiązkowy na wszystkich kolacjach tego wieczoru w Rzymie. Komentowano cyrk, który się zacznie, kiedy wreszcie Kalikst umrze, a kardynałowie wyruszą z krańców świata, by wybrać jego następcę. Ojciec Dunn nie był w stanie się powstrzymać, by nie wyrazić przypuszczenia, iż ambicją arcybiskupa kardynała Klammera jest zostanie pierwszym amerykańskim papieżem.

Kolacja mijała w beztroskiej atmosferze, chociaż napięcie zbierało się jak para, gdy goście zaczęli się zastanawiać, dlaczego zostali wybrani, by cieszyć się gościnnością kardynała. Jak było to do

przewidzenia, pojawił się temat wezwania Indelicato do Watykanu, a nerwowy szept okrążył stół. Ale D'Ambrizzi uśmiechnął się szeroko i stwierdził, że to intensywne wpatrywanie się w niego nie ma sensu, bo nie ma pojęcia, o co może chodzić papieżowi tego wieczora. Wydał z siebie głęboki chichot i wszyscy wokół stołu odetchnęli.

Manewrowała tak, by usiąść obok Bena, który uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. W jego oczach nadal dostrzegała rozpacz i determinację. Prawie w ogóle nie odzywał się do niej. W końcu zapytała go, czy dobrze się czuje.

- Tak, jasne - odparł. - Nie, oczywiście, że nie. Ale... sam nie wiem. Czy właśnie tak to się skończy? Czy właściwie nie ma dojść do niczego? - Mówił cicho, ale jego głos zdradzał napięcie. Nikt poza nią go nie słyszał. Jego twarz pozostawała nieruchoma, bez wyrazu. - I może nie będzie już więcej morderstw. Ale czy ma nas to usatysfakcjonować? Co z Val? Co z tobą i ze mną? To cholerny cud, że w ogóle żyjemy, ty i ja, a teraz sprawa się kończy i... to ma być wszystko?

Kiwnęła głową, wiedziała, co Ben czuje.

- Powstrzymują nas. Czy jeszcze coś możemy zrobić? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Chcę tylko się dowiedzieć, kto wydał rozkazy Horstmannowi. A tu nagle okazało się, że wszyscy są kumplami od kieliszka... Może nie jestem zbyt subtelny, ale wciąż chcę wiedzieć, kto u diabła skoczył na główkę z twojego balkonu, kto dał Horstmannowi listę ofiar... Kim jest do cholery ten drań... Chcę zabić Simona, kimkolwiek jest, chcę odnaleźć Horstmanna i też go zabić. Wiem, że mówię tak, jakbym całkiem zwariował, ale wydaje mi się, że niektórych uraz nie warto wybaczać. - Nigdy nie słyszała tyle goryczy w głosie. - Zwykłem zwracać swoje długi. Wtedy, gdy grałem w piłkę. I teraz, gdy jestem prawnikiem. To po prostu nie jest sprawiedliwe. Wszyscy próbują nas zabić, a my nawet nie możemy ani razu wystrzelić. A to gówno. Chcę choć raz wystrzelić. - Uśmiechnął się do niej nagle. - Zasłużyłem na to.

Wyciągnęła rękę i przykryła jego dłoń swoją. Było to zupełnie normalne. Teraz wszystko wyglądało inaczej, kiedy odrzuciła dumę, przyszła do jego pokoju w hotelu i przecięła te głupie kłótnie, nieporozumienia. Teraz mogła wziąć go za rękę, uścisnąć i czuła, że nie czeka ją za to okropny wykład pełen idiotycznych nonsensów o tym, że Kościół wie lepiej. Wierzyła w to w Princeton, ale teraz w Rzymie nie wiedziała już dłużej w co wierzyć.

D'Ambrizzi żądał ich uwagi, trząsał z bicza, by podskoczyli na pudłach i grzecznie się zachowywali. Kolacja się skończyła, a Elżbieta w ogóle nie pamiętała, co zjadła. Po drugiej stronie stołu Sandanato uspokajał sam siebie - dłonie położył płasko na blacie, koncentrował się. Wydawało się, że nie potrafi na niczym skupić wzroku. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Otarł głębokie, pociemniałe powieki wierzchem dłoni. Jego spojrzenie minęło Elżbietę, kierując się ku D'Ambrizziemu. D'Ambrizzi. Upadły bożek Sandanato.

- Dziękuję wszystkim za spełnienie mojej zachcianki. - D'Ambrizzi powstał i mówił spokojnie, zdawał się być w doskonałym humorze. - Może się zastanawiacie, dlaczego tak bardzo pragnąłem być dziś wieczorem waszym gospodarzem... Cóż, jest pewna przyczyna. Siostró Elżbieto, byłaś najbliższą przyjaciółką siostry Valentine. Benie Driskillu, siostra Valentine była twoją najukochańszą siostrą -

dzięki niej tu jesteście. Ojciec Dunn jest moim starym przyjacielem, współpracownikiem, zaufanym powiernikiem przez te wszystkie lata... W chwili kryzysu naturalnie zwróciłbym się do ciebie po pomoc i radę... Seria morderstw, która zaczęła się półtora roku temu, kwalifikuje się w umyśle starego wieśniaka jako kryzys. Drew Summerhaysie, znam cię od pięćdziesięciu lat, pracowałem z tobą, spiskowałem i walczyłem ze spiskami z tobą i przeciw tobie w czasie wojny i w czasie pokoju - ty też jesteś dobrym człowiekiem w kryzysie. Clive Parternoster - wiedziałeś tak dużo przez tak długo - ty i Robbie Heywood - że byłoby to wyjątkowo niesprawiedliwe nie udostępnić ci ostatniego rozdziału... Chciałbym tylko, by Robbie Heywood mógł być dzisiaj z nami - ubawiłby go ogromnie ten cały melodramat. Mój przyjaciel i lekarz, doktor Cassoni - leczysz także Ojca Świętego - nie protestowałaś, gdy prosiłem, żebyś informował mnie o jego stanie. Od zdrowia papieża była uzależniona cała sprawa - dopiero wtedy, gdy zaczęła się choroba, zaczęło się też zabijanie.

- A ty, Piętro, monsignore Sandanato, mój wierny adiutancie w tak wielu bitwach, tak często używałaś mi swojej siły... Nikt nie ma większej wiary w konieczność ocalenia Kościoła przed jego wrogami. Dlatego musiałeś wziąć udział w dzisiejszym wieczorze. - Uśmiechem ogarnął wszystkich wokół stołu.

- Pomiñałeś jednego z nas - wtrącił Ben Driskill. - Ten niski tam. Widziałem go przedtem... Śledził mnie na ulicach Awinionu. Ale nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

- Drew? - spytał D'Ambrizzi.

- Marco Victor - odparł Summerhays. - Jest, ale nie traktujmy tego zbyt poważnie, moim ochroniarzem. Podróżuje ze mną. Ben, wolałbym, żebyś wtedy tamtej nocy w Awinionie nie uciekł ode mnie. Wiesz, że mnie nigdy nie musiałeś się bać... z pewnością wiesz o tym.

- Jasne - odparł Driskill - teraz wszyscy jesteśmy kumplami. Siostra Elżbieta wiedziała, o czym Ben myśli. Summerhays jest Arcyksięciem, ten zimnokrwisty sukinsyn. Obudź się, Święty Jasiu, to jest ten człowiek, to jest zdrajca...

- A teraz - powiedział D'Ambrizzi - już się znamy. Teraz zacznę opowieść, którą wszyscy, każdy z nas, ma powód i prawo znać. Bądźcie cierpliwi moi drodzy, to opowieść godna Borgiów... To jest historia takiego gatunku, który Kościół przeżył poprzednio i teraz znowu przeżyje.

To był drugi wykład, który siostra Elżbieta usłyszała z ust D'Ambrizziego w tak krótkim czasie. Była bardzo niecierpliwą kobietą. Ale nie przypominała sobie chwili w swoim życiu, kiedy bardziej pragnęłaby coś usłyszeć. Szepnęła do Driskilla:

- Oto jest.

- Miejmy nadzieję - mruknął. - Już miałem całkiem dość tej nadbudowy.

- Wszyscy zebrani tutaj wieczorem martwimy się stanem zdrowia Ojca Świętego. - Jego zwykły uśmiech, który potrafił każdego zaskoczyć, zniknął, gdy D'Ambrizzi zaczął mówić. - Następny okres historii Kościoła rozpocznie się już wkrótce. Nowy papież zostanie wybrany, by służyć i przewodzić w kształtowaniu przyszłości, naszej i świata. Ale najpierw umrze nasz ukochany Kalikst. Jesteśmy starymi przyjaciółmi - Sal di Mona i ja, a teraz wygląda na to, że to on - młodszy ode mnie - wyprzedzi mnie w śmierci. Wiedziałem o jego chorobie wcześniej od niego. To doktor Cassoni zidentyfikował guza i

pogarszający się stan jego serca. Zwrócił się do mnie z powodów czysto humanitarnych, pytając, co powinien zrobić, jak powinien przekazać tę wiadomość Ojcu Świętemu. Przedstawiłem mu swoją opinię. Kalikst jest człowiekiem o ogromnej odwadze i dalekowzroczności. Powiedział mu prawdę. To było dwa lata temu. Spędziliśmy wspólnie z Kalikstem wiele nocnych godzin omawiając sytuację, rozmawiając o przeszłości i o przyszłości, o tym co wspólnie zrobiliśmy, co mieliśmy nadzieję zrobić, i o tym, czego już nigdy nie zrobimy.

Większość was w tym pokoju wie o mojej pracy w czasie wojny, w tamtych czasach, gdy wykonywałem jedyną w swoim rodzaju misję w Paryżu. Robiłem coś, czego świat w czasie wojny wydawał się wymagać. Rzeczy, które w innym czasie wydawałyby mi się okropne, niemożliwe nawet do zastanawiania się nad nimi, leżące całkowicie poza moimi możliwościami. Ale wtedy je robiłem. Salvatore di Mona wiedział o wszystkim. Był ze mną wtedy, na, długo przedtem, zanim ktokolwiek zaczął marzyć o *papiestwie* dla małego Sala...

Niedługo potem, gdy dowiedziałem się o chorobie papieża, coś jeszcze zwróciło moją uwagę. Ludzie, którzy wiedzieli o mojej misji w Paryżu - zaczęli umierać. Wszcząłem ciche śledztwo i *okazało się, że byli zabijani*. To nie zbieg okoliczności. Ktoś miał powód, a ja musiałem go odkryć...

Siostra Valentine przyszła do mnie ze swoimi odkryciami. Sama dostrzegła pewną metodę w zabijaniu. Połączyła ofiary najpierw nie rozumiejąc, dlaczego do siebie pasują. Ale była skrupulatna w swych poszukiwaniach. Zagłębiła się w dokumentach Torricelliego w Paryżu, spotkała się z Robbiem Heywoodem, zaatakowała Tajne Archiwa w poszukiwaniu historycznych precedensów. Połączyła kawałki w całość, poszła tropem zagrabionych skarbów i nazistów i tego „Simona”, którego zdemaskowała. Dotarła do Aleksandrii i do zamieszania Kościoła we wzajemnie przynoszące zyski kontakty z nazistowskimi niedobitkami. Odkopała ze cztery dziesięciolecia i jeszcze troszkę, odnalazła starą fotkę na ścianie gabinetu Klause Richtera i na niej był jest wieloletni przyjaciel Giacomo D'Ambrizzi... - Klasnął w dłonie przed sobą i złożył je jak do modlitwy. - Przeszłość zawsze na nas czeka, przychodzi żywa i uderza w nas, kiedy się tego najmniej spodziewamy. Jeden z żartów Boga. Lubi, gdy jesteśmy pokorni.

Siostra Valentine wyłożyła mi wszystko, powiedziała, iż wierzy, że *assassini* wrócili do pracy, miała wszystkie stare pseudonimy i swoją teorię, kim byli. Czy wiedziała, że Simon to ja? Nigdy nic nie powiedziała... ale chciała, abym wiedział, że odkryła wiele o tym, co się działo w czasie wojny. Powiedziała, że historia się powtarza, *assassini* działają i znowu zabijają ludzi. Chciała wiedzieć, dlaczego... A ja musiałem być bardzo ostrożny. Musiałem wszystkiemu zaprzeczyć, musiałem powiedzieć jej, że poniosła ją wyobraźnia, że to mit i zwykły zbieg okoliczności. Powtórzyłem to wszystko siostrze Elżbiecie później, gdy poszła śladami Val. Oczywiście, wtajemniczyłem mojego wiernego Sandanato we wszystko. Wspierał mnie w moim dezorientowaniu tych dwóch doskonałych detektywów, choć sporo wiedział o moich wcześniejszych poczynaniach. Był moim protegowanym, młodym człowiekiem, którego nauczyłem metod Kościoła, on otrzymywał mój spadek, moją wiedzę, moje doświadczenia. Ale również zwróciłem się do starego przyjaciela, by sprawdził pewne szczegóły w pięciu ostatnich morderstwach, jak również, by zorientował się, co robi Val - to delikatne zadanie spadło

na barki mojego zaufanego kolegi - ojca Dunna. A koniec był taki, że zgodził się z wszystkimi argumentami Val... Ale kto zabijał? I dlaczego?

To zaczęło się niedługo potem, gdy Kalikst zachorował. Im dokładniej się temu przyglądałem, tym bardziej zaczynałem wierzyć, że to była przyczyna i skutek. Siostra Elżbieta powiedziała mi o tym, ale ją wyśmiałem... Chciałbym ją teraz przeprosić za to, ale Val została zabita i przede wszystkim nie chciałem, by Elżbieta podzieliła jej los. Zdecydowałem, że wybór nowego papieża jest głęboko z tym wszystkim powiązany - ale jak? Co ich ze sobą łączyło? Łączył ich fakt, że wszyscy przebywali w czasie okupacji nazistowskiej w Paryżu. Wszyscy wiedzieli pewne rzeczy albo mogli wiedzieć... Wszystkich zabito. I, jak ojciec Dunn powiedział mi w swój zwykły ironiczny sposób, ja byłem najbardziej oczywistym zabójcą. Byłem najbardziej prawdopodobnym następcą Kaliksta i oczyszczałem tą metodą moją zabagnioną przeszłość - ponieważ wiedziałem, co się dzieje, a nie zostałem zabity! Doskonała, logiczna teoria - ale, oczywiście nie zabiłem nikogo.

Wtedy zamordowano siostrę Valentine i ojciec Dunn przekazał mi opis siwowłosego księdza. Nagle uświadomiłem sobie, że rysopis pasuje do mojego dawnego towarzysza walki - Augusta Horstmanna, którego nie widziałem od zakończenia wojny. Skąd się zjawił? Wiedziałem, że kiedyś chciał zamieszkać w klasztorze w rodzinnej Holandii. Ale kto o tym jeszcze wiedział? I co zmieniło Augusta - pokojową duszę - z powrotem w zabójcę?

Na ostatnie pytanie istniała tylko jedna odpowiedź - przyjąłby rozkaz tylko od jednej osoby. Tylko od jednej... od *Simona*. Ale ja wiedziałem, że nie rozkazałem żadnego zabójstwa. Ktoś wydał rozkaz zabicia siostry Valentine, którą znałem od dziecka, córkę mojego starego przyjaciela Hugh'a Driskilla... Kto mógłby zrobić coś takiego? Kto wiedział o przeszłości Simona?

Monsignor Sandanato wiedział sporo o mojej przeszłości, to prawda. Ale ktoś inny wiedział wszystko... Ktoś, kto w czasie, gdy Kalikst się rozchorował, zabrał mi mojego wiernego, żarliwego Sandanato - nie, Piętro, nie protestuj, to nie ma znaczenia...

Sandanato nagle się poderwał, chwając się na nogach i wskazując drżącym palcem D'Ambrizziego zawołał:

- To ty! To ty niszczysz Kościół! Ty, ty i twój Curtis Lockhardt, który skurwił zakonnicę, twoją drogą siostrę Valentine, twoją ukochaną siostrę Val, która ignorowała i pogardała wszystkim, na czym wspierał się Kościół i czego nauczał... Musiała umrzeć, musicie to zrozumieć, musicie wiedzieć, że przynosiła ruinę Kościołowi, stawiała wszystko na głowie! Popierała komunistycznych księży, przeciwstawiała się naukom o kontroli urodzin, buntowała innych przeciwko temu, co jest poświęcone, była bohaterką w oczach słabych, nieposłusznych, którzy chętnie by podkopali fundamenty i rozbili Kościół! Ona i jej podobni zniszczyliby Kościół! A, niech Bóg mi pomoże, *Kościół musi zostać ocalony!*

Elżbieta poczuła, że mięśnie Bena napinają się, tężeją, jak gdyby miał za chwilę wybuchnąć przy stole. Powstrzymała go.

- Poczekaj, Ben, jeszcze trochę poczekaj...

Przy stole zapadła śmiertelna cisza. Sandanato stał wpatrując się w D'Ambrizziego, ale oczy Pietra były oczami ślepeca. Drżenie przebiegło przez jego ciało jak ładunki elektryczne, wstrząsając nim,

wyczerpując. Odezwał się znowu, jak gdyby był zupełnie sam:

- Miała zamiar napisać książkę o nazistach i Kościele - zniszczyłaby was, Eminencjo! Wszystko by rzuciła na nas, spuściła potop ognia i zniszczenia! Trzeba ją było powstrzymać, porządek musiał być zachowany, zrozumiałem, do kogo Kościół musi się zwrócić...

- Piętro - powiedział spokojnie D'Ambrizzi - usiądź, mój synu. - Poczekał chwilę, gdy Sandanato opadł na krzesło. Umęczona, wrażliwa twarz zmieniała się, płynęły łzy, zrozumiał prawdę, zrozumiał, że złamano go na kole rzeczy, które go przewyższały.

Przedtem nie rozumiał. Wykorzystano go. D'Ambrizzi minął wzrokiem Sandanato, jak gdyby ze smutkiem odsuwał go w ciemność.

- Kto mógł tak zwieść mojego młodego przyjaciela? Tylko ktoś, kto wiedział o mojej przeszłości tyle co ja. Człowiek wysłany do Paryża przez papieża, człowiek, który stał się znany pod pseudonimem Zbieracz. Indelicato. To on grzebał się w nieczystościach drugiej wojny światowej, by odnaleźć wszystko, co dotyczyło *assassini*. To on węszył po moich śladach, przesłuchiwał mnie, straszył, ale zawsze tylko do pewnego momentu... bo wiedział, że mam pewną polisę ubezpieczeniową. Wiedziałem, co on i Pius zrobili i rozkazali zrobić, tak jak oni wiedzieli to samo o mnie... To, o czym słyszeliście, jako o Spisku Piusa.

Indelicato chce zostać papieżem. Oceniał mnie jako jego największego konkurenta. Musiał oczyścić przeszłość, usunąć świadków z wojny i to jego było to eleganckie, matematyczne rozwiązanie. Usunąłby ludzi, którzy wiedzieli zbyt dużo. Ale dlaczego po prostu nie usunąć mnie? O tyleż prościej - wypadek, atak serca - o tyleż prostsze poza jedną kwestią. Zaplanował, że narzędziem, którego użyje do zabijania, będzie człowiek, który dawno temu robił to dla mnie. Horstmann. A Horstmann nigdy by nie zwrócił się przeciw mnie. Ale Indelicato miał rację - Horstmann wciąż zabijałby *dla Simona... dla mnie*. Zadaniem Indelicato było odnalezienie Horstmanna, co nie sprawiało zbyt wiele trudności komuś, kto śledził wszystkich ocalałych po wojnie członków grupy *assassini*. Ale Indelicato nie tylko musiał odnaleźć Horstmanna - musiał go również przekonać, że to Simon wzywa go znowu do bitwy dla Kościoła...

Indelicato więc nie miał wyboru - musiał uwieść Sandanato. Musiało to być uwiedzenie intelektualne, które przemówiłoby do żarliwej duszy Pietra. To było jedyne wrażliwe miejsce Pietra. Piętro kochał mnie, podziwiał moje zdolności, bogactwo i władzę, które udało mi się przyciągnąć do Kościoła... Ale nie jestem pobożny, popełniałem świętokradztwa i słowem, i czynem, a Piętro często modlił się za moją duszę. Indelicato zwerbował go wcześniej, kiedy tylko dowiedzieliśmy się prawdy o zagrożonym zdrowiu Kaliksta, gdy zrozumieliśmy, że będzie konieczny wybór następnego papieża w niedalekiej, dającej się przewidzieć przyszłości. I tak biedny Piętro stał się szpiegiem, pomocnikiem w krwawych, bardzo krwawych morderstwach. Piętro stał się głosem Simona dla Augusta Horstmanna. Wszyscy wiedzieli, że Piętro jest moim „cieniem” i powiernikiem moich tajemnic. Dlatego Piętro mógł wszystko wytłumaczyć Horstmannowi, a Horstmann uwierzyłby. Było to zdalnie sterowane działanie. Kiedy Sandanato powiedział mi, że Horstmannowi prawie się udało zabić Driskilla w Princeton, byłem już niemal całkowicie pewny, że stoi na lotnych piaskach razem z Indelicato... i kimś jeszcze...

Płonące oczy Driskilla wpatrywały się w Sandanato, który siedział zgarbiony, jak gdyby siły z niego uciekały. Nie poruszył się od chwili swego wybuchu. A Ben Driskill wydawał się wpadać w trans.

- Czy Horstmann to potwierdza? - zapytała siostra Elżbieta. - Czy to jest jedynie spekulacja?

- Możesz być pewna, siostrze, długo rozmawiałem z Augustem przez ostatnie dwa dni. Opowiedział mi wszystko... wszystko, co wiedział... włącznie z tym, jak znalazł człowieka, który złożył ci pewną późną wizytę, siostrze. Biedną istotę, która miała cię zastraszyć, a zamiast tego zleciała z balkonu. To był prosty człowiek, kiedyś był dobry, dawno temu ocalił mi życie, człowiek, który umknął uwadze gestapowców. Znalazł daleko dom, powinno się go tam zostawić, by przeżył swoje życie w spokoju. Tak, siostrze, właśnie dlatego byłem w stanie was zapewnić, że zabijanie skończy się dzisiaj...

Okropny, niemal zwierzęcy jęk, pisk agonii i rozpachy wydobył się z ust Sandanato. Okrzyk człowieka, który zbyt długo wpatrywał się w otchłań pustki, który poczuł wbijane w dłonie gwoździe, a umierał dla fałszywego Boga. Zerwał się na nogi, odrzucił krzesło, wydał z siebie dźwięk, nie przypominający żadnego słowa i rzucił się w tył. Położył rękę na drzwiach.

Driskill poderwał się z twarzą pobladałą od gniewu.

- Stój! - głos Bena wypełnił pokój. Pozostali zastygli przerażeni przy stole.

D'Ambrizzi pomachał ręką, gdy Sandanato skulił się i zatrzymał. Ślina lśniła na delikatnym podbródku. Wydawało się, że zmieszany unika ich wzroku. Wszystko było prawdą, ale on wciąż był Sandanato i utkwiał spojrzenie w Elżbiecie. Cofnęła się nieznacznie, ale patrzyła mu prosto w twarz, bez zmrużenia powiek.

- Ty - wyszeptał Sandanato - rozumiesz mnie... rozmawialiśmy, siostrze... Zgodziliśmy się, że Kościół potrzebuje oczyszczenia...

Zło w służbie dobra - rozmawialiśmy, siostrze... Czy nie możesz sprawić, by zrozumieli, że to było konieczne - jego głos się załamał. Otarł usta rękawem. Twarz świeciła od potu. - Powiedz im... na miłość boską!

- My nigdy... nie to, co robiłeś... - Pokręciła głową, spojrzała w bok. - Nie, to jest twoje szaleństwo.

- Idź, Piętro - powiedział D'Ambrizzi. Drzwi zamknęły się cicho. Odszedł.

- I tak, Eminencjo - odezwał się Drew Summerhays suchym, papierowym głosem. - Co chcielibyście, byśmy dla was zrobili? Co z Indelicato? To on uruchomił tę krwawą maszynę... Teraz jest z Ojcem Świętym. Udzielcie nam jakiejś rady.

- Wszystkie spekulacje co do następnego papieża są przedwczesne. Wola Boga i człowieka będzie ogłoszona w odpowiednim czasie. - D'Ambrizzi nagle stał się uprzejmy, łagodny i obojętny.

- Do diabła z wolą Boga! Oszczędź mi tego waszego świętoszkowatego gadania! - Głos Driskilla przeciął ciszę jak płonąca pochodnia. - Bóg nie przystawił pistoletu do głowy mojej siostry. Bóg nie poderżnął gardła bratu Leonowi. To nie Bóg za to odpowiada. To człowiek jest odpowiedzialny! Ten szaleniec, który stąd właśnie wyszedł wolny jak ptak, i ten psychopatyczny morderca, który pociągał za spust i używał noża, i ten pieprzony megaloman gawędzący teraz z papieżem, gdy my tu sobie siedzimy - co, do cholery, z nimi zrobimy?

- A co pan proponuje, panie Driskill?

- Gdzie jest Horstmann? Rozmawiałeś z nim... D'Ambrizzi pokręcił wielką głową.

- Wyjechał. Wysłałem go z powrotem do jego anonimowego życia. Udzieliłem mu rozgrzeszenia najlepiej, jak umiałem. Wysłuchałem jego spowiedzi. Został zdradzony, a robił to, do czego go wyszkolono. Jego udręka i poczucie winy są wystarczającą karą.

- Może dla ciebie to wystarczy. Ale nie mów za mnie. Nikt nie może mówić za mnie... Nie opowiedziałeś nam jeszcze o Arcyksięciu. Co to za wielka tajemnica? Zdradził cię... Tak jak ty i Indelicato, Arcyksiążę wiedział o wszystkim... i zdradził cię. Gdzie teraz pasuje? Nie znalazł się wśród chłopaków na fotografii i nie został zabity - więc Indelicato nie wykorzystał Horstmann do zabicia go. Wiecie, co myślę? Myślę, że Arcyksiążę należy do planu Indelicato... Uważam, że Arcyksiążę był sprzymierzeńcem Indelicato i waszym wrogiem od chwili, gdy odkrył Spisek Piusa. Uważam, że Arcyksiążę i Indelicato postanowili połączyć siły, by nie dopuścić, abyś został papieżem, ponieważ nie podoba im się kierunek, w którym zmierza Kościół... Stwierdzili, że ty i moja siostra stanęliście po tej samej stronie i to im wystarczyło. Kilka śmierci to niewielka cena, by śmiertelnie wystraszyć Kurię i Watykan, by zapędzić kardynałów w kierunku Indelicato... Więc dlaczego dziwnie milczysz na temat Arcyksięcia...

Driskillowi zabrakło tchu, wpatrywał się tylko w D'Ambrizziego.

- Nie mam nic do powiedzenia o Arcyksięciu - powiedział w końcu kardynał. - Już po wszystkim. Dajcie spokój, zapomnijcie. - Popatrzył na swoich gości. - Nie mam nic więcej do powiedzenia. I ufam, że zachowacie dyskrecję. Ten przełom w historii Kościoła już się skończył. Czas płynie szybko dla Kaliksta. Będzie nowy papież. Życie i Kościół będą trwały nadal, a wkrótce i my i ta historia zostaną zapomniane.

Koniec kolacji D'Ambrizziego był ponury. Nic już nie zostało do dodania. Wydawało się, że nikt nie wie, co robić dalej. Czy kardynał oczekiwał od nich, że grzecznie pójdą do łóżka i będą mocno spali? Stał w drzwiach wymieniając ze wszystkimi słowa pożegnania, uścisk ręki, ze wszystkimi - których znał tak długo, w dobrych i złych czasach. Był jak zwykle serdeczny.

Siostra Elżbieta stała z Benem, pograżonym w myślach. Jego twarz zastygła w maskę bez wyrazu. Dołączył do nich ojciec Dunn.

- Nie wyglądasz na zadowolonego - stwierdził.

- Dziwi cię to? - odparł Driskill.

- Oczywiście, że nie. Ale może będziesz musiał się tym zadowolić. Może dostałeś już wszystko, co miałeś dostać. Zostałeś naprawdę głęboko wtajemniczony.

- Cóż, nie podoba mi się za bardzo to, co znalazłem.

- Naprawdę myślałeś, że ci się spodoba? Potwierdziły się twoje najgorsze podejrzenia. Czy nie daje ci to żadnej satysfakcji?

Driskill popatrzył na niego bez słowa.

- Czy naprawdę spodziewałeś się, że zaprowadzą Horstmann i innych dla ciebie na strzelnicę? - spytał Dunn. - Daj spokój, przyjacielu, bądź realistą...

- Artie?

- Tak, mój synu?

- Zamknij się!

- Ach - westchnął Dunn. - To rozsądne podejście.

- A co z Sandanato? - Siostra Elżbieta starała się nie wyglądać na zbyt zmartwioną po przemyśleniu tego, czego się właśnie o nim dowiedzieli. - Nie podoba mi się, że teraz w takim stanie wędruje po Rzymie.

- Masz rację - powiedział Driskill, zaciskając szczękę. - Może powinienem go odnaleźć.

- Zapomnij o nim - stwierdził ojciec Dunn.

- Może zrobić sobie krzywdę - wtrąciła Elżbieta.

- Jest księdzem - odparł Dunn.

- Jezusie, Maryjo i Józefie Święty - zawołał Driskill. - Jest mordercą. Czy to do was jeszcze nie dotarło?

- Właściwie nie jest mordercą - powiedział Dunn.

- Dzielisz włos na czworo, Artie. Współdziałał z mordercą. To jest oczywiste, że tamtej nocy na lodzie wystawił mnie jak pies zająca. O czym wtedy myślałem? Poprosił mnie, byśmy poszli na łyżwy... Stwierdził, że mi to dobrze zrobi! Rzeczywiście, na miły Bóg!

- On chyba całkiem oszalał - stwierdziła siostra Elżbieta. - Przypominam sobie wszystko, co do mnie mówił... Wydaje mi się, że próbował mnie przekonać... Lecz brzmiało to zbyt teoretycznie. - Zobaczyła, że podchodzi do nich D'Ambrizzi. Była zupełnie wyczerpana. Powiedziała do nich: - Będę nocowała w domu Zakonu. *Na jego* prośbę. - Skinęła głową w stronę kardynała.

- Dziękuję wam bardzo - rzekł d'Ambrizzi - za wysłuchanie mojej przydługiej... spowiedzi. Chciałem oczyścić atmosferę.

- A teraz po prostu zapomnijmy o Indelicato.

- Niezupełnie, Beniaminie. Sostro, chciałbym zamienić słowo z tą parą. Poprosiłem Drewa Summerhaysa i jego ochronę - tu pozwolił sobie na uśmiech - aby ci towarzyszyli. - Wziął ją za rękę i zaprowadził do drzwi. - Śpij dobrze, moja droga. Porozmawiam z tobą jutro.

Kiedy była już bezpieczna z Summerhaysem, D'Ambrizzi wrócił do Driskilla i Dunna.

- Chciałbym, byście poszli ze mną.

- Dobrze - odparł Dunn.

- Po co? Dokąd? - zapytał Driskill.

D'Ambrizzi westchnął i spojrzał na zegarek. Minęła druga nad ranem.

- Do Watykanu. Idziemy zobaczyć się z Ojcem Świętym.

Monsignor Sandanato wyszedł oślepiiony w noc. Zaczęło padać, ale nie zauważył tego. Jego oczy płonęły. Pulsowały skronie, krew uderzała mu do głowy, a serce biło tak mocno, jakby miało wybuchnąć. Nie był w stanie myśleć. Jego mózg zżerała gorączka.

Zatrzymał się, by złapać oddech na szczycie Schodów Hiszpańskich. Nie zauważył wysokiego

mężczyzny w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, stojącego w ciemności, z kapeluszem tak nisko opuszczonym, że rondo zakrywało twarz.

A kiedy monsignor Sandanato ruszył w dół, nie usłyszał kroków za sobą.

Kalikst nie spał, gdy poinformowano go, że kardynał Indelicato czeka w przedpokoju.

- Wprowadźcie go. A potem idźcie się przespać. Nie będę już nikogo potrzebował.

Kardynał stanął przed nim, chudy, ponury i poważny. Ciężki, wysadzany drogimi klejnotami krzyż wisiał na piersi. „Rodzinne klejnoty”, pomyślał Kalikst uśmiechając się do siebie.

- Wasza Świątobliwość - powiedział Indelicato - przybyłem na wasze wezwanie.

- Czemu jesteś taki smutny?! - Kalikst uśmiechnął się szeroko. Leżał w łóżku, wsparty na ogromnej poduszce z haftowanym monogramem. - Rozwesel się. Ostatnią rzeczą, jaką chce zobaczyć umierający człowiek w środku nocy, jest ktoś o tak smutnej twarzy.

- Proszę przyjąć me przeprosiny, Wasza Świątobliwość. Co mógłbym dla was zrobić? Wystarczy tylko powiedzieć.

- Cóż, Fredi, co to ja słyszę o tobie?

- Nie rozumiem...

- Powiedziano mi, że jesteś antychrystem, Fredi. - Papież zachichotał cicho. - Czy to możliwe?

- Przykro mi, Wasza Świątobliwość. Nic nie słyszę.

Papież nagle dostrzegł wszystko w pokoju. Deszcz za oknem, list na jego łóżku, ciężki stary dokument obok, niską lampę na bocznym stoliku, ciche migotanie obrazu meczu piłki nożnej na ekranie telewizora. Poczuł fakturę prześcieradła, dłoń zaciskającą się pod kołdrą. Częścią mózgu był doskonale świadomy tego wszystkiego, szumu stroju Indelicato, a drugą połową, tą właśnie, która już wkrótce zgaśnie, przypomniał sobie, zobaczył i usłyszał tę noc w zasypanej śniegiem chacie, zimny wiatr, czekających mężczyzn, Simona podtrzymującego ich na duchu pomimo lęku i mroźnej burzy, zapach broni...

- Podejź bliżej Fredi, a będziesz lepiej słyszał. To bardzo ważna sprawa... - Trzymał pergamin dokumentu w palcach. Pergamin tak wyglądał, jakby miał się za chwilę rozpaść. - Tutaj mam coś dla ciebie.

Manfredi kardynał Indelicato podszedł do łóżka.

Pochylił się nad Ojcem Świętym, by wziąć dokument. Zobaczył starodawną pieczęć.

Ojciec Święty poruszył się, uniósł i wyciągnął schowaną do tej pory rękę.

Sypialnia papieża Kaliksta znajdowała się w samym sercu Watykanu, w Pałacu Apostolskim, i nie należała do miejsc, do których właśnie ja ze wszystkich ludzi miałbym potrzebę przychodzić. To było piekielnie upiorne miejsce - ciche korytarze, przyćmione światła. Nasze kroki tłumiły dywany. Na niektórych tkaninach wiszących na ścianach były widoczne sceny historii przemocy, armie w marszu, grupy aniołów czekających na dostrzeżenie i Bóg jeden wie, co jeszcze - te tkaniny wydawały się być wypełnione dźwiękami, furia, okrzykami bitewnymi i apelami trąbek o niezwykłej różnorodności, ale ktoś je wyciszył. A może nie mieli już zbyt wiele siły, by więcej hałasować.

D'Ambrizzi prowadził, znowu rzeczowy i spokojny, a Dunn i ja szliśmy za nim jak dworzanie. Przed sypialnią siedział na służbie ksiądz. D'Ambrizzi powiedział coś do niego bardzo cicho i tamten nawet nie ruszył się zza biurka. Żadnych formalności, tylko prosto przez drzwi. Bez pukania. Bez zapowiedzi. Nic.

Jak się okazało, nikt by nam nie odpowiedział.

Kardynał Indelicato leżał skurczony, twarzą do dołu, na łóżku. Był dziwnie nieruchomy. Nawet z odległości dziesięciu stóp mógłbym się założyć, że jest martwy. Fakt przyjęty prosto, od razu. Konsekwencje docierały dużo, dużo wolniej. Ojciec Dunn niedbale się przeżegnał i westchnął.

- Jezu Chryste - mruknął.

- Niezupełnie - stwierdził D'Ambrizzi.

Pochylił się nad drugim człowiekiem, o którym na moment zapomniałem. Kalikst leżał pod kołdrą, a przygniatało go ciało Indelicato. Podeszedłem bliżej. D'Ambrizzi pochylił się i zapytał cicho:

- Wasza Świątobliwość, czy mnie słyszysz? Sal... to ja, Simon. - Poczekał chwilę nasłuchując, a potem położył palce na prawym przegubie papieskiej ręki. - Żyje. Nieprzytomny, ale żyje. Pomóżcie mi odwrócić.

Dunn stał i patrzył, jak we dwójkę z D'Ambrizzim podnieśliśmy ciało nieboszczyka kardynała Indelicato i położyliśmy na plecach.

Światło było przyćmione. Grał telewizor, choć głoś był wyłączony. Cienie wydawały się zasłaniać ściany. Równie dobrze moglibyśmy grać na scenie.

D'Ambrizzi włączył dodatkowe dwie lampy poza stojącą przy łóżku. Stanął z rękami opartymi na biodrach, patrzył na ciało. Potem spojrzał na mnie i Dunna.

- Ten człowiek umarł na atak serca.

Z piersi Indelicato wystawała ozdobna złota rękojeść sztyletu. Spojrzeliśmy na siebie z Dunnem.

- No tak - stwierdził Dunn - w pewnym sensie.

- Tak - przyznał D'Ambrizzini rzeczowo - był to rozległy zawał. - Powoli wyciągnął sztylet z piersi Indelicato. Wyjął kilkanaście chusteczek z pudełka przy łóżku. Owinął nimi ostrze i wytarł do czysta. Przeszedł przez pokój, wyciągnął szufladę biurka i włożył sztylet do środka. - Florentyński. Wspaniała robota. - Zasunął szufladę.

- Nieczęsto spotyka się atak serca z krwotokiem jak ten.

- Beniaminie, nie jesteś lekarzem, więc nie udawaj, że rozumiesz rzeczy, które przekraczają twoje zdolności pojmowania. - Podniósł słuchawkę. - Prywatna linia. Nie przechodzi przez centralę Watykanu. - Wykręcił numer i czekał. - Doktor Cassoni, tu D'Ambrizzi. Czy już założyłeś piżamę? Nie? To dobrze. Jestem u Ojca Świętego. Jest nieprzytomny, oddycha normalnie. Lepiej byłoby, żebyś przyjechał sprawdzić. I, Cassoni... mam również ciało. Atak serca. Powiem ci, kiedy przyjedziesz. Pośpiesz się. Nie bierz nikogo do pomocy. Rozumiesz? Dobry z ciebie człowiek. - Odłożył słuchawkę i ponownie spojrzął na ciało Indelicato. - Może nie poznamy człowieka, którego Ojciec Święty chciałby uczynić swoim następcą. Ale jego reakcja na obecność Frediego dowodzi znacznego braku zaufania, zgodzicie się ze nią? - Stał wpatrując się w długą, ponurą twarz swojego odwiecznego wroga. - Cóż, nie będzie łez dla Frediego. Był diabelskim sukinsynem tu na ziemi i dostał dokładnie to, na co zasłużył. Teraz Bóg musi sobie z nim poradzić.

Wykręcił następny numer, odwrócił się do mnie plecami, gdy tymczasem obszedłem łóżko, próbując coś z tego zrozumieć. Oczywiście, doskonale wiedziałem, że wszyscy nadal grali swoje role. D'Ambrizzi, Indelicato, Kalikst, który kiedyś był Salem di Mona, Horstmann, Summerhays, nawet Dunn i ja. Pasowaliśmy świetnie do swoich ról.

W fałdach koca dostrzegłem kawałek welinu czy pergaminu z kawałkiem czerwonej woskowej pieczęci, która wydawała się odpadać. Właśnie wyciągałem rękę, gdy nadepnąłem na coś, co zsunęło się z łóżka. Była to kartka papieru, z napisanymi odręcznie jedną czy dwiema linijkami.

Przeczytałem je i oczywiście ta szarada nabrała sensu. Złożyłem kartkę i wsunąłem ją do kieszeni.

D'Ambrizzi powiedział do słuchawki.

- Mój drogi kardynale Vezza, proszę, wybac mi, że zakłócam spokój o tak późnej porze. Tak, Eminencjo, obawiam się, że to bardzo ważne. Frediego Indelicato już nie ma wśród nas... Nie, chodzi mi o to, że już go nie ma z nami... Nie żyje, Vezza, całkiem nie żyje. Tak, oczywiście, to wielka tragedia. No tak, młody, może w waszych oczach. - D'Ambrizzi zachichotał cicho. - Wierzę, że byłoby rozsądne, gdybyś do nas dołączył. Jesteśmy w sypialni Ojca Świętego. Zadzwoń do Cassoniego. Nikt jeszcze nie wie. Im szybciej, tym lepiej, mój drogi Vezza.

Kiedy odłożył słuchawkę, spytałem:

- Dlaczego Vezza?

- Mój sprzymierzeniec. Jest moim człowiekiem we wrogim obozie. Członek małej grupki kardynała Polletiego, wspierającej Indelicato. Doprawdy, nieoceniony. Czy wiesz, że posunęli się do tego, że przyczepili mikrofon do butli z tlenem, tak by mogli nagrywać moje rozmowy z papieżem? Niech mi Bóg pomoże, to prawda. Nie tylko mówiłem Kalikstowi to, co mogłoby go skłonić do działania, ale również popędzałem ich. To dziwny świat, Beniaminie.

Kiedy czekaliśmy, przysłuchując się oddechowi papieża, D'Ambrizzi zauważył kawałek pergaminu na łóżku. Sięgnął i wziął go.

- To spowodowało tyle kłopotów - przerwał i zacisnął grube wargi. - Nie, to nieprawda. A jednak, jest to sprawozdanie z kłopotów. To jest Konkordat Borgiów. Jak moglibyśmy go nazwać? To prawie

statut *assassini*. Pius wysłał mnie z tym do Paryża, jak gdyby był to kawałek Prawdziwego Jedynego Krzyża. Uwiarygodnił mnie, dawał mi władzę, jak gdyby inspirował mnie do zrobienia tego, co musi być zrobione dla Kościoła. Wysłałem go na północ z Leonem i Horstmannem... i oto jest. Lista nazwisk.

- Jak tu trafił? - spytałem.

- Horstmann oddał mi go wczoraj. Dałem go Kalikstowi. Nigdy go nie widział. Chciałem, żeby zobaczył własne nazwisko. A teraz co z nim zrobić? Ukryć w Tajnych Archiwach? - Było to czysto retoryczne pytanie. - Nie, chyba nie. To jest relikw, bez którego się wszyscy obejdziemy, zgadzacie się ze mną?

Niedbałym ruchem rzucił pergamin do popielniczki na biurku i wyjął złotą zapalniczkę. Pojawił się płomień, a D'Ambrizzi dotknął brzegu wielesetletniego dokumentu. Historia poszła z dymem w ciągu kilkunastu sekund. Dunn przyglądał się, kręcąc głową.

D'Ambrizzi spojrział na niego.

- Kto tego potrzebuje, ojczy? Nikt. Niewiele dobrego z niego przyszło.

Siedzieliśmy w fotelach i oglądaliśmy mecz piłki nożnej w telewizji.

Przybył doktor Cassoni i rozpoczął pewne bardzo szczególne przygotowania.

Wyglądało na to, że kardynał Indelicato naprawdę zmarł zupełnie nieoczekiwanie na rozległy zawał serca.

Postanowili ogłosić wiadomość o odejściu kardynała Indelicato w trzydzieści sześć godzin później. Miałem zamiar znajdować się wtedy w powietrzu, wracając do Princeton, by zachować to, co mogłoby tam uchodzić za zdrowie psychiczne. Pomimo pomieszania wypełniającego moją głowę, wiedziałem, że potrzebuję trochę czasu na dojście do siebie. I chciałem zobaczyć się z ojcem. Wiele się nauczyłem od chwili, gdy go zostawiłem, ale nie przyniosło mi to satysfakcji. Nic nie było takie, jak się wydawało. Nie było nawet jednego zbrodniarza u samego źródła zbrodni. Nawet Horstmann teraz rysował się jako nieświadoma ofiara mistrzowskiego planu Indelicato. Może to był wspólny plan Indelicato i Arcyksięcia. Tego nie wiedziałem. Nie zaufałbym sobie, gdybym znalazł się w pobliżu Horstmann z pistoletem w ręku, ale Horstmann odesłano z powrotem w ciemność, skąd przyszedł. Straciłem swoją szansę nawet na zwykłą zwierzęcą zemstę.

Pozostała jeszcze kwestia monsignora Pietra Sandanato. Co z nim zrobić? Cóż, był, jak podejrzewałem, jeszcze jednym zwariowanym fanatycznym katolikiem. Można go było nazwać żarliwym wyznawcą czy cholernym wariatem. Co miał teraz ze sobą zrobić? Jak mógł żyć sam ze sobą po zdradzie swego nauczyciela i opiekuna, i śmierci nowego pana? Podejrzywałem, że D'Ambrizzi w swej mądrości i najwyraźniej podobnej Bożej władzy w Kościele, przygotowuje jakąś stosowną niełaskę za hodowanie tego małego morderczego gówna na własnym łonie przez tyle lat i wysła Pietra gdzieś na odległe stanowisko na daleko wysuniętej placówce.

Może powinienem być bardziej zaskoczony czy wstrząśnięty zamordowaniem Indelicato przez Kaliksta, ale w pewien dziwny sposób uważałem je za uzasadnione; na własnych warunkach - miało sens. Był jednym z *assassini*, wyruszył za swym przywódcą w ośnieżone góry, by zamordować papieża. I

czterdzieści lat później, ten sam przywódca przypomniał mi, że może nie dostali wtedy tamtego papieża, ale co ich by zatrzymało w skończeniu z przyszłym papieżem? Chodzi mi o to, że jeśli już postanowiłeś, że potrafisz zabić człowieka, to już jest tylko kwestia okoliczności i odpowiedniej motywacji. Minęło czterdzieści lat i teraz Kalikst, kiedyś Sal di Mona, wciąż o tym wiedział. Cóż, nie był pierwszym papieżem, który mordował. Powiedziałbym - dać mu więcej władzy. Kościół niewątpliwie odniósłby duże korzyści dzięki słusznym mordercom. Chyba że coś mi umknęło po drodze na Golgotę?

Kardynał D'Ambrizzi wezwał mnie późnym popołudniem tego samego dnia. Nikt jeszcze nie wiedział, przynajmniej oficjalnie, o fatalnym ataku serca Indelicato. D'Ambrizzi zostawił dla mnie instrukcje, bym spotkał się z nim w Ogrodach Watykańskich.

Towarzyszył mi tam uśmiechnięty ksiądz o okrągłej twarzy, który zachwycał się wspaniałą pogodą.

Kardynał przemierzał ścieżkę, fałdy jego sutanny poruszały chłodny wiatr, wiejący od palm. Pracowali ogrodnicy. Pochylił głowę, jakby wbił wzrok w bulwiaste czubki staromodnych trzewików.

Podszedłem do niego i wziął mnie pod ramię. Szliśmy tak razem przez chwilę. Poczułem dziwną bliskość, jak gdyby od dawna łączyła nas przyjaźń, co było oczywiście fantazją. Winiłem za to moje wyczerpanie nerwowe. Zatrzymał się i popatrzył na ogrodnika z taczką pełną żyznej, czarnej ziemi.

- Widzisz tego człowieka - powiedział do mnie. - Teraz mógłbyś powiedzieć, że ma brudne ręce. Ale, Beniaminie, myślę dzisiaj o swoich rękach. W bardzo rzadkich chwilach rozmowy z sumieniem, rozumiesz - moje ręce wydają się być znacznie brudniejsze. Brudziłem je tak długo. Myślę o tym w kategoriach metafory, a - mój Boże - to nie jest dobry pomysł, nigdy nim nie był. Brudne ręce, czyste ręce. Co to za różnica? Ale powiem ci, co sprawia różnicę, Beniaminie - czy chciałbyś wiedzieć?

- Nie jestem tego taki pewny - odparłem. Wzruszył ramionami, nagle się rozjaśniając.

- Ludzie, Beniaminie. Na przykład już tęsknię za Sandanato... Nigdy nie pomyślę o nim, jakim był przez ostatnie dwa lata. Zawsze pozostanie dla mnie prostolinijnym młodzieńcem Piętro... wiernym mi... Tak, będę za nim tęsknić przez resztę mojego życia.

- Co z nim zrobiłeś? Zesłałeś daleko?

- Nic z nim nie zrobiłem. Mój stary przyjaciel August Horstmann zabił go wczorajszej nocy. Powinienem był wiedzieć, że Horstmann uderzy w niego. Za zdradzenie mnie, rozumiesz. Kiedy dowiedział się, że to Piętro grał rolę Simona, och, to było wielkie zło tak postąpić. August czasami wysyłał raporty do mnie, myśląc, że docierają do Simona, którego znał od tak dawna. Ale Piętro czytał je pierwszy i postępował tak, że biedny August wierzył, iż pracuje dla mnie. I August zrobił to, co potrafi najlepiej... zabił Pietra. Już była u mnie policja. Jedna kula. W tył głowy. Wezwałem cię od razu.

- Tak jak została zabita moja siostra.

- Cóż, teraz to się skończyło. Horstmann wyjechał. Sandanato nie żyje. Indelicato nie żyje. Kalikst jest w śpiączce, z której, jak twierdzi Cassoni, może się nie przebudzić. Beniaminie, co by się stało, gdyby zabrakło nam księży?

- Piekielnie chciałbym się dowiedzieć - odparłem. Jego śmiech zahuczał w cichych zakątkach ogrodu.

- Podoba ci się ta myśl, co? Biedny Piętro nie widziałby w tym nic śmiesznego. - Popatrzył na mnie ostro. - Nie miał poczucia humoru. Może właśnie tego mu brakowało.

- Na pewno czegoś mu brakowało.

- Zgadza się... - To już było wspomnienie, ślad smutku w głosie starego człowieka.

- Skoro już ze mnie taki poganin...

- Zgadza się, raz jeszcze.

- I nie mam żadnego szacunku dla kleru. Mogę więc chyba zadać ci impertynenckie pytanie. Czy jak następnym razem usłyszę o tobie, czy będzie to po wyniesieniu na tron papieski?

- Możliwe. Jeśli tego zechcę. Summerhays prawdopodobnie zorganizuje kupienie tronu dla mnie. Ale starzeję się. Czy Kościół potrzebuje przywódcy na krótko, czy na długo? Oto pytanie, prawda?

Szliśmy powoli w stronę bramy, przez którą wszedłem. Czy rzucono uwagę: wybacz Arcyksięciu... bo może kupić papiestwo?

- Chyba jeszcze trochę pospaceruję, Beniaminie. - Odwrócił twarz do mnie, zerkając spod ciężkich powiek. To wyglądało tak, jakby ktoś żył - starał się, jak mógł, a potem znalazł schronienie wewnątrz starzejącej się skorupy, wyglądając z niej czasami, intrygując, spiskując. - Ale pozwól jeszcze, że udzielę ci rady. Kiedy wracasz do domu?

- Jutro - odparłem. Nie ceniłem sobie jego rad, ale przecież nigdy nie wiadomo. Był sękatym starym draniem, przeżył piekielnie dużo, o wiele więcej niż ja kiedykolwiek byłbym w stanie w ogóle zobaczyć, więc może powinienem wysłuchać go z uwagą. Słońce zachodziło, a palmy stały samotnie, wspierając się o kopułę szarzejącego nieba.

- Wybacz sobie, Beniaminie.

- Słucham, Eminencjo?

- To moja rada. Wybacz sobie. Weź ze mnie przykład, synu. Nie wiem, co zrobiłeś, ale teraz właśnie powinieneś nauczyć się, że jest coś znacznie, znacznie gorszego. To część bycia żywym, jak sądzę. Zdarzają się złe rzeczy w życiu człowieka... Robi sieje. - Starzał się zapalić czarnego papierosa na wietrze, w końcu udało mu się i głęboko się zaciągnął. - Wybacz sobie swoje czyny, wykroczenia, grzechy... Nie mówię ci tego jako ksiądz, nawet nie jako katolik, ale jako człowiek, który przeżył życie. Wybacz sobie, mój synu.

Artie Dunn stwierdził, że zostanie jeszcze kilka dni w Rzymie, bez wątpienia zaczynając kolejny bezbożny spiszek z d'Ambrizzim, więc usiedliśmy do naszego ostatniego wspólnego obiadu. Wydawało się, że coś chodzi mu po głowie, ale nie mogłem niczego z niego wydobyć. Jakoś zaczęliśmy rozmawiać o moich rodzicach, o śmierci Val i samobójstwie ojca Gouverneau, który musiał zasnąć wiecznym snem po drugiej stronie ogrodzenia, poza poświęconą ziemią. Przez pomyłkę, oczywiście, skoro został zamordowany. Och, Bóg jest wielki, Bóg jest dobry. Artie życzył mojemu ojcu powrotu do zdrowia i prosił, bym nakłonił go do przeczytania jego książek, które mu zostawił. Obiecałem, że spróbuję. Zapewnił mnie, że zadzwoni, gdy tylko wróci do Nowego Jorku.

Rozmawialiśmy ostrożnie o śmierci Indelicato i Sandanato. O wszystkim usłyszał od

D'Ambrizziego, a wiedzieliśmy, że porozmawiamy o tym spokojnie, gdy już sprawa ucichnie.

- D'Ambrizzi powiedział mi coś po południu, co mną nieźle wstrząsnęło. - Wracaliśmy do Hasslera, wspinając się po Schodach Hiszpańskich. - Spytałem go, czy sądzi, że wybiorą go papieżem...

- Po prostu zapytałeś? - Krzaczaste siwe brwi Dunna uniosły się. Oczy zamrugały złośliwie.

- Chodzi o to co powiedział...

- Co?

- Powiedział, że gdy postanowi zostać papieżem, to Summerhays jest przygotowany kupić tron dla niego. Summerhays.

- Nie jest to chyba zaskoczeniem, Ben. Chodzi mi o to, że to przemysł w swoim rodzaju, no nie? Summerhays, twój ojciec, Lockhardt, Heffernan... i jestem pewien, że i inni.

- Nie dostrzegasz czegoś. Summerhays. *Arcyksiążę*. Nie widzisz w tym... nic niemoralnego? Arcyksiążę wydał go Indelicato i papieżowi czterdzieści lat temu... A teraz on mówi, że Arcyksiążę kupi mu tron papieski. Dla mnie to jest piekielnie zaskakujące.

- A dla mnie jest to doskonałe wykorzystanie dostępnych środków - odparł Dunn. Mrugnął do mnie.

Nie miałem pewności, jak przebiegnie moje pożegnanie z Elżbietą. Wiedziałem, że będzie mi jej brakowało, nie paliłem za sobą mostów. Zadzwoiłem więc do niej. Rozmowa telefoniczna była bardzo tajemnicza.

- Muszę ci coś powiedzieć przed wyjazdem - oświadczyłem. - Coś ważnego. Widziałaś się z kardynałem? Miałaś od niego wiadomości?

- Tak, tak. Miałam. - Skracająca rozmowę, jak tylko mogła. - Nic nie mów. Nie wiem, kto tego słucha. Musimy się zobaczyć. Kiedy wyjeżdżasz?

Powiedziałem jej.

- Dobrze. - Usłyszałem, jak kartkuje swój kalendarz. - Słuchaj, mogę mieć wolne następne dwie godziny, jeśli chcesz. Jesteś w hotelu?

- Jasne, jestem wolny, gdziekolwiek chcesz...

- Spotkajmy się przy Schodach, na dole. Za piętnaście minut. Stałem przy Schodach Hiszpańskich czekając na nią. A wtedy przybiegła bez tchu. Wziąłem ją za ramiona.

- Nie ruszaj się - powiedziałem. Spojrzała na mnie wyczekująco. - Wydaje mi się, że minął miesiąc, odkąd widziałem cię ostatni raz. - Uśmiechnęła się, a ja pocałowałem ją delikatnie w usta. Była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Miała na sobie sweter z rozetką Zakonu przy kołnierzu.

- Daj spokój - powiedziała i przytuliła się do mnie. - Co wiesz?

- Więcej niż jestem w stanie uwierzyć - stwierdziłem.

- Wiesz, że Indelicato nie żyje?

- Czy wiem? Elżbieto - razem z D'Ambrizzim odwracałem ciało i zobaczyliśmy sztylet w chwili gdy...

- Sztylet? Jaki sztylet? O czym ty mówisz?

- Sztylet florenetyński, mówiąc dokładnie.

Patrzyła na mnie tak, jakbym zwariował. Odsunęła się, pociągnęła mnie za rękaw, prowadząc w stronę małego parku. Grupa dzieci zebrała się wokół ulicznego teatrzyku lalkowego. Odgrywano dziwaczne przedstawienie, w którym Pinokio był klerykiem - kłamczuchem w koloratce, któremu nos wydłużał się coraz bardziej, gdy chwalił się pięknej dziewczynie, jaki jest odważny. Gdy tak bełkotał o swoich zwycięstwach nad złem, ogromny czarny rycerz cały zakuty w zbroję, z okrutnymi ustami na ogromnym koniu zjawił się tuż za nim. Piękna dziewczyna z jasnymi włosami nie wiedziała, jak przerwać klerykowi jego tyradę, by go ostrzec. Wydawało mi się, że ojciec Pinokio miał dostać cios w kark. Krzyki dzieci, piski pełne na pół histerycznego śmiechu i wołania, ostrzeżenia, rosły i przycichały wraz z rozwojem akcji na maleńkiej scenie. Odeszliśmy na bok i usiedliśmy na ławce pod drzewami, których korony poruszał wiatr.

- Ben, kardynał Indelicato umarł na atak serca. - Popatrzyła na mnie poważnie. - D'Ambrizzi dzwonił do mnie dziś rano. Powiedział, że Indelicato miał zawał w czasie rozmowy z Kalikstem, stracił przytomność i umarł, ale wstrzymują się z podaniem tych informacji do jutra...

- Czy wspomniał, jak to przyjął Kalikst?

- Nie, ale...

- Posłuchaj, w tej jednej sprawie możesz mi zaufać. Byłem tam. Kardynał Indelicato został zamordowany przez... - ale nie wrzeszcz na mnie tutaj - zamordowany przez Kaliksta.

- Nie chcesz chyba...

Tak właśnie potoczyła się nasza rozmowa. Kalikst - zabójca, mordujący w śpiączce. Sandanato - zabity ręką Horstmann'a. Nie chodziło o to, że nie wierzyła w moją opowieść. Wiedziała tak wiele, iż nie traciła czasu na zaprzeczanie. Ale wiele musiała przyjąć i zaakceptować.

Kiedy skończyłem, Pinokio i czarny rycerz zniknęli, a dzieci w szkolnych mundurkach i młodsze z opiekunkami i matkami zaczęły powoli się rozchodzić. Słoneczne niebo poszarzało. Wiatr przyniósł chłód. Zbliżało się Boże Narodzenie.

- Nie mogę przestać o tym myśleć jak dziennikarka - stwierdziła. Zielone oczy z iskierkami patrzyły gdzieś hen przez park. Przeczesła palcami ciężkie, kasztanowe włosy. Jej palce były długie, smukłe i silne. - Co to byłby za artykuł. - Nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Mój Boże - a jakie zakończenie. Papież zabijający...

- To Salvatore di Mona zabił Indelicato.

- Tak, chyba masz rację. A teraz jest w śpiączce. A więc D'Ambrizzi mnie okłamał. - Wstała.

- Jeszcze jedno. To Simon kazał mu to zrobić. Zabić Indelicato.

- Simon?... D'Ambrizzi?

- Tak. Przesłał mu kartkę przypominającą Kalikstowi, że kiedyś należał do *assassini*, a teraz ma zadanie do wykonania. Widziałem ten list. Był na łóżku Kaliksta, kiedy go znaleźliśmy.

- Sądzę, że D'Ambrizzi traktuje mnie jak dziennikarkę - stwierdziła. - Dlatego nic mi nie powiedział. Ale chyba musiał przewidzieć, że ty mi powiesz.

- Oczywiście. I wiedział, że nie zawiedziesz zaufania.

- Tak - westchnęła. - Jaki by to miało cel? Jak mogłabym cokolwiek dowieść? Gdzie jest dymiący pistolet?

Wracaliśmy powoli do jej biura, ruch stawał się coraz większy, słychać było klaksony.

- Pomyśl o stracie ludzkiego życia - odezwała się. - Zastanawiam się, ilu ich było? Ilu, o których nic nie wiemy?

- Kto wie? Musi być jakiś sztywny, ukryty w odległym miejscu. - Wyrwało mi się. - Mój Boże, ale będę za tobą tęsknił, Elzbieto.

- Tak mi się wydaje, że powinienes. *Jesteś* we mnie zakochany, Ben.

- Lekceważysz sobie moje uczucia?

- Lekceważę siebie twoją smutną twarz.

- Nie przepraszam za tę twarz. Dużo ostatnio przeszła. Ma powody być smutną, biorąc wszystko pod uwagę. I jestem w tobie zakochany, kiedy już o tym wspomniałaś.

- No to nie bądź smutny. Miłość jest szczęśliwa. Val powiedziała ci to samo, wiesz o tym.

- Nie wtedy, kiedy jest nie odwzajemniona.

- A co to ma z tym wspólnego? Uśmiechnąłem się.

- Nic, doprawdy?

- Pożegnajmy się tutaj, Ben. - Mieliliśmy właśnie przejść przez zatłoczony plac.

- Wciąż się zastanawiam nad Summerhaysem. To nie tylko kupowanie tronu papieskiego dla D'Ambrizziego, ale...

- O czym mówisz?

- Dlaczego był wtedy w Awinionie? Nigdy tego nie wyjaśnił. Co tam robił? Po co miał ze sobą Marca?

- Ale jest już po wszystkim. Co to ma za znaczenie?

- To nigdy się nie skończy, nie rozumiesz? Nie, jeśli Summerhays jest Arcyksięciem...

Nie miało sensu ciągnięcie tego dłużej, trzymanie jej tam.

- Słuchaj, Elzbieto, uważaj na siebie, nie wiem, co jeszcze ci powiedzieć. - Nadszedł czas by odejść.

- Przekaż swojemu ojcu moje życzenia na Boże Narodzenie, Ben. I po prostu trzymaj się, dobrze? Potrzebuję - oboje potrzebujemy trochę czasu, by sobie wszystko poukładać. Rozumiesz, prawda?

- Jasne.

- Niedługo porozmawiamy.

- Kiedy?

- Nie wiem, Ben. Nie poganiaj mnie i nie bądź zbyt niecierpliwy.

Popatrzyłem na nią tak, by zrozumiała, że mam nadzieję, iż wie, co robi.

Przyglądałem się, jak przechodzi przez plac.

Pomachała mi ręką, nie odwracając się.

Wsiadłem do samolotu lecącego do domu, skuliłem się na fotelu i wtedy wyczerpanie dopadło

mnie. Kołatałem się między półsnem a świadomością. Miałem liczne towarzystwo. To ich obecność powstrzymywała od zatonięcia, od zanurzenia się w ciemność, gdzie czekały na mnie duchy.

Otaczały mnie twarze z przeszłości i teraźniejszości, fotografia z bębinka ożyła, ale postać trzymająca aparat wciąż stała w cieniu, tajemnicza... i zobaczyłem Richtera. Zacząłem się zastanawiać, kto będzie jego partnerem - w interesach - w Kościele, teraz gdy Indelicato nie żyje... i zobaczyłem LeBecqą w jego galerii w Aleksandrii, twarz zastygła z przerażenia, gdy naciskałem go, tak jak moja siostra... Piękna zakonnica, która wskazywała mi drogę i jadła ze mną kolację, to wydawało mi się tak dawno temu, słodka Gabrielle, której już nigdy więcej nie zobaczę... te wszystkie twarze, siostrzeniec Torricelliego, takie nic, i Paternoster o niewiarygodnym nosie, włóczędzy szykujący kolację w deszczu na placu de la Contrescarpe... Brat Leon i ten czas we mgle na skalistym urwisku, gdy fale trzęsły światem, a moja dusza umierała, tonęła w strachu... Artie Dunn i jego opowieść o wspomnieniach D'Ambrizziego, Artie Dunn pojawiający się jak dżinn z chmury dymu w Irlandii... Siostra Elżbieta łkająca w pokoju Val tamtej deszczowej nocy w Paryżu... Awinion, Erich Kessler, Summerhays i jego malutki ochroniarz... poruszali się jak postaci ze snu... Horstmann znajdujący mnie w maleńkim kościółku, drwiący z mojego plastikowego pistoletu, rozkazujący mi wracać do domu... Elżbieta zwierająca mi swe sekrety w Awinionie, mój gniew i nienawiść do Kościoła niszcząca wszystko, wszystko, czego potrzebowałem... a potem Rzym...

Zaciągnięto zasłonki w oknach samolotu, odcinając nie kończący się, jasny dzień, gdy lecieliśmy na zachód. Kilka kieliszków, coś do jedzenia i w końcu nie mogłem oprzeć się zanurzeniu w ciemną wodę.

I była tam, czekała. Tak samo zagrane przedstawienie.

Moja matka w roli ducha z przeszłości nigdy nie zmieniała tekstu.

Wciąż wołała do mnie, ożywiając chwilę, która zdaniem mego świadomego umysłu nigdy się nie zdarzyła. Bez przerwy mówiła o ojcu Gouverneau, biednym draniu...

- Ty to zrobiłeś... To byłeś ty! Ty, ty, ty to zrobiłeś!

Jej palec wskazywał na mnie.

Miała całkowitą rację.

Część szósta

Latarnie z dyni, wiedźmy na miotłach, gobliny w maskach Nixona - zniknęły, a na ich miejsce pojawili się weseli, rumiani święci Mikołaje. Na campus uniwersytecki spadło kilka cali śniegu chrupkiego i zwiewanego przez wiatr, a wielka brama przy Nassau Street lśniła od lodu. Była to niezwykle wczesna, przenikliwie mroźna zima. Na ulicy powstały lodowe koleiny, a wiatr gwizdał złośliwie w rękawach. Słyszało się kolędy dobiegające z głośników. Drzwi do sklepów dzwoniły radośnie, a prezenty błyszczały na udekorowanych wystawach. Boże Narodzenie, w porządku, czas dla rodziny, by się połączyła, jeśli los na to pozwolił. Pora by mieć swoje maleńkie wesołe święta.

Dom okazał się pusty, gdy wprowadziłem mercedesa na podjazd i wszedłem do środka. Było oczywiste, że nikt nie jeździł tą drogą od kilku dni. W domu panował chłód i rozchodziło się echo. Pokręciłem się trochę bez celu, zastanawiając się, co się właściwie stało. Żadnych kartek do mnie. Znalazłem za to sporo śladów, że mój ojciec był w domu po wyjściu ze szpitala. Pomyślałem o nawrocie choroby. Zadzwoiłem do Margaret Korder do biura na Manhattanie. Powiedziałem, że wróciłem i nie mogę znaleźć ojca. - Ależ Ben, powinieneś nas zawiadomić. Jest w domku myśliwskim w Adirondacks. Jeśli mogę mówić szczerze - powiedziała nerwowo - to twój stary stał się cholernie kłopotliwy. Po prostu niemożliwy, Ben. Miał tam ze sobą przez kilka dni pielęgniarkę, ale wczoraj zadzwoniła do mnie zapłakana - wyrzucił ją.

Wygląda na to, że jest coraz bardziej nie do wytrzymania. A teraz nie jestem pewna, co powinniśmy zrobić.

- Jak on się tam dostał, Margaret? Czy na tyle dobrze się czuje, że może być sam?

- Żartujesz? On uważa, że wystarczająco dobrze się czuje, ale nie jest dzieckiem, Ben. Oczywiście, że źle się czuje. Ale spróbuj mu powiedzieć, dokąd może pójść i co ma robić. Jest nie do przekonania. Miał przy sobie tego twojego przyjaciela księdza - ojca Morelę - to on go tam zawiózł i został kilka dni, ale przecież pracuje... - Przerwała, by zaczerpnąć tchu.

- Chyba wpadnę do starego, Margaret. Nie podoba mi się, że został całkiem sam. Pojadę jutro.

- Dobrze, ale bądź ostrożny. Zapowiadają burzę śnieżną. Na Chicago spadło dwie stopy. Ben, kiedy wróciłeś? Co się tam wydarzyło?

- Och, Margaret, co mógłbym ci opowiedzieć? Przyleciałem wczoraj do Nowego Jorku.

- Witaj w domu. Czy wszystko się wyjaśniło zgodnie z twoimi oczekiwaniami?

- Powiedz mi, kiedy cokolwiek się wyjaśniło zgodnie z oczekiwaniami. To się chyba nigdy nie zdarza, prawda?

- Co za szok, śmierć kardynała Indelicato. Poznałeś go?

- Tak - odparłem - to było bardzo wstrząsające. Powiedziałem jej, że muszę już jechać, a ona jeszcze raz ostrzegła mnie przed burzą śnieżną. Odłożyłem słuchawkę, usiadłem i zacząłem się zastanawiać, jak długo zabierze mi przyzwyczajenie się do myśli, że tak dużo wiem, a nigdy nie będę mógł tego wyjawiać, ani z nikim porozmawiać. Jak świetnie bawilibyśmy się z Val, opowiadając sobie o

tym!

Ten sam problem czekał na mnie przy lunchu.

Zadzwoiłem do Moreli i umówiliśmy się w Nassau Inn przy barze na dole, gdzie już raz natknęliśmy się na siebie pewnej zimnej, śnieżnej nocy, gdy Val leżała martwa w naszej kaplicy. Przyjechał z New Prudence pełen pytań, czego ja się „tam daleko” dowiedziałem.

Powiedziałem mu, że wszystko wyglądało niewiarygodnie skomplikowanie, ale kiedy już dotarłeś do samego rdzenia, do sedna, okazało się, że to naprawdę sprawa Kościoła i wyłączono mnie z wszelkich rozwiązań. I tak dalej, i tym podobne. Spojrzał na mnie dziwnie i mrugnął, jakby chciał powiedzieć, że wie świetnie, jak takie sprawy załatwia się w Rzymie.

- Ale powiedz mi jedno - nalegał - dowiedziałeś się, kto zabił Val? - To wciąż bardzo bolało, otwarta rana, która nigdy naprawdę się nie zagoi. Uważał, że chociaż tę odpowiedź jestem mu winien. - Czy to był ten sam facet, który zaatakował ciebie i tamtego monsignora z Rzymu?

- Ten sam. Taka jest powszechna opinia. Szalony stary ksiądz. Kto wie, co się z nim stało? Nie spodziewam się, że kiedykolwiek jeszcze odnajdziemy go czy zobaczymy. Posłuchaj, Morela, jestem piekielnie zmęczony tym wszystkim. Musimy porozmawiać później. Wydaje mi się, że to taki labirynt, że aż boli mnie od niego głowa.

- Rozumiem, stary. - Rozjaśnił się swoim dawnym uśmiechem z dzieciństwa, ale jego twarz wyglądała na zmęczoną. Minęła trzecia po południu, siedzieliśmy przeżuując kanapki z serem i frytki. Byliśmy jedynymi klientami. Słyszeliśmy wycie wiatru na zewnątrz. - Zatem jaki jest obecnie twój stosunek do drogiego Kościoła Rzymskiego?

Poczułem wesołość wywołaną tym dziwnym pytaniem.

- To śmieszne, Morela, i całkiem bez sensu, ale Kościół nigdy nie wydawał mi się bardziej ludzki niż teraz. Jest tak niedoskonały... że prawie musisz pokochać biednego staruszka.

Zapytałem o mojego ojca, co spowodowało rozmowę na opowieść o tym, jak znalazł rękopis D'Ambrizziego i jak go zaniósł Artiemu Dunnowi.

- Wpadłem tam na Artiego Dunna - stwierdziłem. - Wspomniał mi o tych papierach.

- Naprawdę? Widziałeś go? Boże, ale z niego numer! Kiedy znalazłem te papierzyska, spędziłem z Artiem całą nockę. Powinieneś zobaczyć to jego mieszkanko. W bezchmurną noc mógłbyś stamtąd zobaczyć Princeton... On mówi, że helikoptery latają poniżej jego okien!

- Opowiedział mi mniej więcej, co tam było - dodałem. - Bardzo tajemnicze. Coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej D'Ambrizziego, ale to jakaś stara sprawa. - Nie widziałem powodu, aby Morelę bardziej wciągać. Lepiej mu było bez tych informacji.

Oczy mu błyszczały, miał zaróżowione policzki.

- Te wszystkie pseudonimy... Zupełnie jak w filmach płaszczka i szpady. Dziwne, tyle sekretów i specjalna skrytka, a twój tata o wszystkim wiedział! Powiedział, że to nie była jego sprawa i w ogóle o tym nie myślał... ale wiedział, iż D'Ambrizzi dał to temu staremu księdzu gadule. A teraz, dziesięć dni temu, nagle sobie o tym przypomniał. Niezwykłe, jak pracuje ludzki mózg, Ben, naprawdę niezwykle.

Morela powtórzył mi historię, którą opowiedział mu mój ojciec o zapijaczonym, zazdrosnym, gadatliwym księdzu, który przechowywał papiery D'Ambrizziego i straszył nimi. To wydawało się aż zbyt prawdziwe. Przypomniałem sobie starego wariata o oddechu przesyconym dżinem.

- I tak - powiedział Morela, zanurzając w kałuży ketchupu ostatnie frytki - wyglądało na to, że wie wszystko, co ja wiem. To było piekielnie niesamowite. Zmusił mnie, żebym wyciągnął papiery jeszcze raz...

- Czy powiedziałaś mu, że Dunn je widział? Wzruszył ramionami.

- No... cholera, chyba nie powiedziałem. Chyba nie chciałem mu tego wyjaśniać. W każdym razie, namówił mnie, bym go zawiózł do waszego domku myśliwskiego. Ma coś takiego w sobie - czułem się jak jego podwładny. Potrafi być bardzo apodyktycznym facetem.

- Zauważyłeś to, co? - spytałem.

- No i spędziłem tam prawie cały tydzień, zaniedbując cholernie swoich parafian. Wiesz, było świetnie, łąziłem po górach... To jest wspaniałe miejsce i ten wielki niedźwiedź stojący w kącie...

- Co jeszcze?

- Ulepiłem bałwana! Pojechałem do sklepu w Everett, uzupełniłem twemu ojcu spiżarnię, trochę się objąłem, przeczytałem dwie powieści, gotowałem i spełniałem życzenia Hugh'a Driskilla.

- A co robił mój ojciec?

- Przeczytał papiery d'Ambrizziego kilkakrotnie, ale nie miał zbyt wiele do powiedzenia na ten temat. Przywiózł ze sobą dużo płyt i kilka notatników. Przez cały czas słuchał muzyki. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele... Nie odzywał się, ale wydawał się przyjazny. Tak było w porządku. Czasami rozmawialiśmy o tobie i o tym, co możesz teraz robić. Szybko wraca do zdrowia, Ben. Ale martwił się o ciebie, uważał, że szukasz kłopotów, grzebiąc się w sprawach Kościoła. Mówił, że po prostu nie rozumiesz Kościoła. Tylko kiwałem głową i pozwalałem mu mówić. Bardzo ciężko przeżył śmierć Val, Ben. Słyszałem pewnej nocy płacz... Poszedłem do jego pokoju, zapytałem, czy dobrze się czuje. Powiedział mi, że śniła mu się Val, a potem obudził się i przypomniał sobie, że ona nie żyje. Było mi go żal, Ben, naprawdę.

- Jutro tam jadę - odparłem. - Miał pielęgniarkę po twoim wyjeździe, ale ją wykopał. Nie chcę, żeby był tam sam.

- Chcesz, to z tobą pojedę? Zapowiadali, że w tamtą stronę zbliża się piekielna burza śnieżna.

- W porządku, Morela, nic mi nie będzie. Zadbaj o swoje owieczki.

- Moje owieczki - westchnął - biedni dranie.

Tej nocy czułem się bardzo samotny i nie mogłem zasnąć. Śmierć Indelicato stała się informacją powtarzaną we wszystkich dziennikach, zwłaszcza w połączeniu ze spekulacjami na temat rychłej śmierci papieża, którego nie widziano publicznie od dwóch miesięcy. Nic nowego o Kościele nie było poza informacją, że arcybiskup kardynał Klammer postanowił zostać w Rzymie na pogrzebie Indelicato. Siedziałem w Długiej Sali popijając moją trzecią podwójną whisky Laphroaig z lodem, słuchając wiatru świszczącego na zewnątrz i odgłosu śniegu zwiewanego z dachówek i uderzającego w okna.

Próbowałem nie myśleć o tym, co wydarzyło się od śmierci Val, ale bezskutecznie. Nie potrafiłem myśleć o niczym innym, tak jakbym tamtego dnia się narodził. Skończyłem pić, założyłem kozuch i parę kaloszy. Wyszedłem na zewnątrz.

Zimne powietrze wypełniło mi płuca i oczyściło głowę. Szedłem w stronę sadu, gdzie kiedyś - może w taką noc, jak ta - ktoś powiesił martwe ciało ojca Gouverneau. Tak dawno temu. Tą samą ścieżką szedłem z Sandanato na łyżwy. Lodowisko leżało za sadem, pobłyskując w świetle księżyca. Para łyżwiarzy poruszała się cicho jak modele dla Curriera i Ivesa. łyżwy chwyciły i odbijały srebrne światło lodu.

Coś ciągnęło mnie do kaplicy, nie mogłem tego opanować. To nie był sentyment: nie wiedziałem, że tam idę, dopóki nie byłem w środku. Drzwi były otwarte, schody śliskie od lodu. Noc zasnuła marznąca mgła.

Włączyłem światła. Co ja tam robiłem? Czego się spodziewałem? Nie było ducha w kaplicy, żaden głos nie dochodził z ciemności.

Usiadłem w ławce, przy której klęczała Val, gdy Horstmann przytknął gładką lufę pistoletu do tyłu jej głowy.

I wtedy zrobiłem coś, czego nie robiłem od dwudziestu pięciu lat.

W domu Boga uklęknąłem, pochyliłem głowę i modliłem się za nieśmiertelną duszę mojej małej siostry. W przyćmionym świetle, z zamkniętymi oczami, szeptałem na głos, bo byłem nadal katolikiem, spowiadałem się z grzechów i błagałem o wybaczenie od kogokolwiek, kto dawał rozgrzeszenie.

Później tej nocy leżałem w moim dawnym łóżku pod fotografią DiMaggio, nasłuchując wiatru na szybach, czując przeciąg, słysząc zwyczajne szmery na poddaszu. Drzemałem nie zasypiając i wydawało mi się w jednej chwili, że widzę Val chowającą fotografię do bębenka, bym ją tam odnalazł, a za chwilę stałem na szczycie schodów i patrzyłem na upadek mojego ojca...

Leżałem marząc o tym, by choć na jedną noc moja matka zostawiła mnie w spokoju. Doszło już do tego, że bałem się zasnąć. We śnie czekała na mnie, pełna oskarżeń.

Gdy leżałem, chowając głowę w poduszce, próbując jakoś się ułożyć, przypomniałem sobie, jak Val przyszła kiedyś w nocy do mojego pokoju, do tego samego pokoju. Była jeszcze całkiem mała, miała na sobie czerwoną flanelową pizamkę i płakała trąc oczy. Wstała w nocy, chciała pójść do łazienki. Nasza matka stała na korytarzu, można by powiedzieć, że ją przyłapała i zaczęła na nią krzyczeć. Przypomniałem sobie teraz tamtą sytuację, nie wiadomo dlaczego. Wróciło wspomnienie Val - zapłakanej, śpiącej, przestraszonej, gdy wypytywałem ją, co się stało.

Powiedziała, że mama była dla niej niedobra.

Spytałem, o co jej chodzi.

- Powiedziała, że to ja zrobiłam - łkała Val - a gdy spytałam ją, co zrobiłam, to tylko bez przerwy powtarzała, że to ja zrobiłam...

- Powtórz dokładnie, co mówiła.

- To ty, to ty, to przez ciebie... to ty... tam w ogrodzie... to przez ciebie on... to ty... - A potem zaczęła znowu płakać i powiedziała. - Ale Ben, ja nic nie zrobiłam, naprawdę.

Objąłem ją ramieniem i powiedziałem, że może zostać w moim pokoju przez resztę nocy.

Przekonałem ją, że mama miała zły sen, że to nie jej wina i nie powinna bać się mamy. Nie pamiętałem, czy rozmawialiśmy o tym potem. Może dlatego, że to wydarzenie miało związek z czymś, co stało się w ogrodzie, o czym nie wolno nam było rozmawiać, o czymś, co znaleziono wiszącego właśnie tam...

Dziesięciolecia później koszmar mojej matki znów zaistniał.

Val nie przetrwała, ale koszmar tak, a teraz ten koszmar stał się moim.

Jechałem do domku myśliwskiego długo i powoli przez mieszanin mgły i śniegu, padającą w porywach piekielnie silnego wiatru, który trząsał samochodem. Zanim dostałem się do Everett, szybko urosły śnieżne zaspas. Zobaczyłem znak objazdu. Policja zamknęła most i ruch skierowano przez inne małe miasteczko - Menander. Podążyłem za znakami i wdrapałem się na długie wzgórze, a potem drogą pod kamiennym mostem, skręcającą w górę i w lewo. Podjazd był bardzo ostry. Myślałem, że nie pojedę po lodzie i śniegu. Porośnięte lasem zbocza tworzyły labirynt ciemnych, bezlistnych pni, które wydawały się beznadziejnie splątane ze sobą. Jakieś dzieciaki z Menander zjeżdżały między drzewami na sankach. Wierzchołki wzgórz zniknęły we mgle. Śnieg na drodze stawał się coraz głębszy, w dolinach, a pod śniegiem leżał lód. Gdybym wyruszył godzinę później, wpadłbym w prawdziwe kłopoty.

Menander było już przygotowane na święta Bożego Narodzenia. Dekoracje wisiały na latarniach ulicznych i nad ulicami, przy kościele stała choinka oświetlona powodzią lampek, a śnieżna czapa zwisała ciężko z daszku żłobka. Józef, Maria i Trzej Królowie wyglądali rozpaczliwie nie na miejscu. Podjechałem do apteki, która kiedyś należała do brata i siostry o nazwisku Potterveld. Był tam telefon. Zadzwoiłem do domku i usłyszałem głos ojca. Wydawał się silniejszy, niż w trakcie naszych wcześniejszych rozmów przez Atlantyck. Powiedziałem mu, że niedługo do niego przyjadę. - To na czas - odparł. - Powinienem być wiedzieć, że trafisz do domu na Święta. Nie chciałbyś, by ominęły cię prezenty, co? Znam cię, Ben. - Roześmiał się, jakby chcąc mi pokazać, że żartuje ze mnie, a nie prowadzi już dłużej wojny podjazdowej, która ciągnęła się tak długo. - Lepiej się pośpiesz. Tutaj zapada zmrok i pada gęsty śnieg.

- Będę za godzinę - zapewniłem go.

Z jakiegoś powodu, gdy prowadziłem samochód jeszcze ostrożniej wzdłuż coraz bardziej zdradliwych, śliskich fragmentów drogi - z jakiegoś powodu, może dlatego, że głos mojego ojca serdeczniej mnie nastawił do niego, zacząłem myśleć o pewnym dniu kilka wieków wcześniej, kiedy słońce świeciło i Gary Cooper siedział na tarasie, rozmawiając z nim o filmie. Przygody BSS, które ożyły na ekranie dla mnie, kiedy zobaczyłem wielkie, heroiczne eskapady mojego taty, uciekającego po pasie startowym, gdy nazistowskie kule wzbijały kurz tuż przy jego stopach... Słoneczny dzień, mała Val podskakująca wesoło, Cooper rysujący dla nas... Magia. Tamte dni, przypominane sobie w moim obecnym nastroju, wydawały się absolutnie radosne. Ale Cooper umarł dawno temu, Val nie żyła, a heroiczne dni mojego ojca w BSS były już tylko wspomnieniem... opowieścią... filmem... Wszystko obróciło się w proch.

Domek myśliwski przycupnął na zaokrąglonym wierzchołku wzgórza. Otaczały go bezlistne drzewa, świerki i jodły. Światło zachodzącego słońca już gasło, gdy zjechałem w podjazd z drogi. Po obu stronach leżał głęboki śnieg, jak lukier na cieście. Gwiazdki o idealnych kształtach leciały z nieba między gałęziami, tworząc coraz większe zaspas. Domek był naprawdę obszerny. Śnieg przykrywał dach, prawie na stopę. Dym unosił się z jednego z kominów. Z jednej strony spiczasty dach dotykał ziemi, powodując,

że część głównego salonu w pewnym miejscu leżała poniżej poziomu gruntu. Dach był w dużej części przeszklony, ustawiony na północ ze względu na pasję malarską mojego ojca. W oknach paliło się światło, a kiedy podjechałem do wyłożonej kamieniami ścieżki prowadzącej do frontowych drzwi, otworzyły się i stanął w nich mój ojciec. Blask oświetlał go z tyłu, a on machał do mnie. Trochę zeszcupłał, ale jego szerokie ramiona wciąż były proste pod grubym granatowym swetrem. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek mój ojciec witał mnie w ten sposób.

Tego pierwszego wieczora ojciec traktował mnie nieoczekiwanie bardzo serdecznie, a może raczej bez agresji. Część jego wściekłości i goryczy bez wątpienia zniknęła i zaczęła nowy etap w naszych stosunkach. Lepiej późno niż wcale: myślałem o tym już wcześniej.

Marudziliśmy razem w kuchni i zjedliśmy obfitą, spokojną kolację ze smażonych steków, pieczonych kartofli, sałatki, mocnego clareta i gorącej kawy. Pytań, które chciał mi zadać, nie mogłem oczywiście uniknąć. Zaczęliśmy bardzo ostrożnie, zwłaszcza gdy doszliśmy do morderstwa Val. Ale opowiedziałem mu wszystko, tak jak to się po kolei działo. Po raz pierwszy próbowałem komuś to zrelacjonować i powstała z tego opowieść na długi wieczór, w trakcie którego jego uwaga i energia ani na chwilę się nie zmniejszyły.

Nazwiska, które wymieniałem wywoływały wspomnienia, przypominały anegdoty. Torricelli i Robbie Heywood, Klaus Richter, nieskończone opowieści o D'Ambrizzim i wojnie, o przygodach z ruchem oporu. Mówił mi rzeczy, o których nie wspominał nigdy przedtem: opowieści o skakaniu w okupowanej Francji z samolotów lecących na tyle nisko, by mieć pewność, że spadochroniarze nie zabijają się przy lądowaniu, o przyptywaniu do brzegu na gumowych tratwach z łodzi podwodnych, unikaniu niemieckich patroli, kontaktowaniu się z partyzantami, spotkaniach z D'Ambrizzim w najbardziej zakazanych miejscach. To była gra - słyszałem to w jego głosie - przerażająca prawie cały czas, ale wszyscy mieli mniej lat, trwała wojna i należało odwalić swój kawałek roboty...

- Znałeś Richtera? Przecież był *niemieckim* oficerem...

- Zrozum, synu, pracował z D'Ambrizzim w Paryżu, a ja też pracowałem z D'Ambrizzim. Takie rzeczy się zdarzają. Dla mnie to była całkiem niezwykła wojna.

- Czy Richter wiedział, że jesteś z BSS?

- Oczywiście, że nie, Ben. A jak myślisz? D'Ambrizzi pewnie mu powiedział, że jestem Amerykaninem uwięzionym w Paryżu, gdy zaczęła się wojna. Nie wiem zresztą...

- Ale mógł cię zdradzić każdy, kto wiedział, kim jesteś.

- Na pewno nie Klausowi Richterowi, nic go nie obchodziłem, ani ja, ani kto wygra tę wojnę - miał własną robotę. Wszyscy byli zajęci własną małą wojną. Ludzie jak LeBecq, jak cała reszta...

- Znałeś LeBecqa? - To było niepokojące, świadomość, że mój ojciec był tam wtedy, a ja po tylu latach poszedłem jego śladami. - Wiedziałeś, że D'Ambrizzi zabił go za wydanie Spisku Piusa?

- Jasne. - Mój ojciec dolał sobie kawy, obciął koniuszek kolejnego cygara i go przypalił. - Spisek Piusa, tak, to był szaleńczy pomysł. - Wydmuchnął dym kilka razy. - Jeśli rzeczywiście był. D'Ambrizzi igrał wtedy z ogniem. Przekroczył granice.

- Czy to naprawdę było takie okropne? - Przenieśliśmy się tymczasem do pokoju ze szklanym

dachem. Wiatr nasypał śniegu na szkło. Ogień płonął na kominku wymurowanym z nieobrobionych bloków kamienia. Usiedliśmy naprzeciw siebie w głębokich, przykrytych pokrowcami fotelach. W odległym kącie pod łukiem prowadzącym do jadalni stał ogromny niedźwiedź z wyciągniętymi łapami, by objąć każdego, kto się do niego zbliżył. - D'Ambrizzi całkiem nieźle udowodnił, że Pius był sympatykiem nazistów, zbrodniarzem wojennym.

- Ten człowiek chciał zamordować z zimną krwią papieża. Czy ci się to nie wydaje trochę zwariowane? Pius nie był zbrodniarzem wojennym. Musiał działać bardzo ostrożnie na kontynencie całkowicie opanowanym przez państwa Osi... Los milionów katolików leżał w rękach Hitlera i Piusa. Tak, Pius nie mógł dokonywać moralnych wyborów, to D'Ambrizzi miał wybór i co z tego? D'Ambrizzi handlował z nazistami codziennie. - Wpatrywał się w ogień.

- Z rozkazu Piusa - odparłem.

- Spójrz, D'Ambrizzi był wielkim człowiekiem, nie mówię, że nim nie jest. Ale miał od czasu do czasu skłonność do przesady. Zabić papieża... Ale to się nigdy nie stało, więc... - Wzruszył ramionami. Mój ojciec nigdy nie rozmawiał ze mną w ten sposób: zaufał mi, jak mężczyzna mężczyźnie, jak nigdy tego przedtem nie robił.

- To nigdy się nie stało - powiedziałem - bo Arcyksiążę ich wydał. I wszyscy ludzie D'Ambrizziego zginęli...

- Nie wszyscy.

- Czy kiedykolwiek miałeś do czynienia z Arcyksięciem?

- Cóż, nie byłem tam wtedy, kiedy ten właśnie balon poszedł w górę, ale oczywiście pewne rzeczy słyszałem. Potem przyszedł czas, by wydostać D'Ambrizziego z tego piekła. Polubiłem faceta, był dobrym człowiekiem. Watykan siedział mu na ogonie, no to go stamtąd zabrałem. - Patrzył na mnie przez dym cygara.

- A co z tobą i Arcyksięciem?

- Nigdy nie spotkałem tego człowieka.

- A wiesz, kim był?

- Nie mogę tak powiedzieć. Już jest po wszystkim, co to teraz za różnica?

- Ma to znaczenie, bo się wiąże dokładnie z tym, co się teraz dzieje... z morderstwem Val...

- Mylisz przeszłość z teraźniejszością, Ben.

- Nie, *prawie* zrozumiałem związek między przeszłością i teraźniejszością, tato. Prawie do tego doszedłem... To jest człowiek, to para ludzi. Indelicato był jednym z nich, wiążący przeszłość i teraźniejszość. Ale jest jeszcze jeden i jest nim Arcyksiążę. Uważam, iż Arcyksiążę jeszcze żyje. To on zdradził D'Ambrizziego dawno temu i sprzymierzył się z Indelicato... Wierzę, że i teraz był sojusznikiem Indelicato, aby nie dopuścić, by D'Ambrizzi został wybrany papieżem, aby zapewnić, że zostanie nim Indelicato. Oczywiście, teraz wszystko poszło na marne, bo Indelicato nie żyje.

- Sporo zrzucasz na tego Arcyksięcia - stwierdził. - Czy masz jakiś pomysł, kim on jest?

- Jestem pewien, że wiem.

- I?

- Nie spodoba ci się. - Wziętem głęboki oddech. - Summerhays.

- Co? - Uderzył wielką dłonią w oparcie krzesła. - Summerhays? Dlaczego na miłość boską Summerhays?

- Był twoim szefem w Londynie za czasów BSS?

Mój ojciec pokiwał głową, z uśmiechem niedowierzania na szerokiej, płaskiej twarzy.

- Miał ciebie i całe mnóstwo innych źródeł informacji zarówno we Francji, jak i w Niemczech. Miał dostęp do danych wywiadowczych nadchodzących do Londynu z całej Europy... Miał za sobą długą historię zaangażowania w sprawy Kościoła, znał Piusa zarówno przed i po jego wyborze na papieża... Jest konserwatystą w sprawach Kościoła... To on nauczył ciebie i Lockhardta, jak to się robi - pogódź się z tym, tato, on jest Arcyksięciem, to logiczne, czy ci się to podoba czy nie!

- I mówisz mi, że wciąż się tym zajmuje? Trudno w to uwierzyć, Ben.

- Trudno uwierzyć w to, co się działo przez ostatnie półtora roku - oczyszczanie przeszłości. Tato, możesz mi pomóc w tej sprawie, możesz mi pomóc udowodnić... Summerhays ufa ci...

- Ależ, Ben. Nic o tym nie wiem. Mój Boże, Drew Summerhays... Od dawna o nim nie myślałem.

- Ale odświeżyły ci pamięć wspomnienia D'Ambrizziego, które zostawił, kiedy zniknął z Princeton.

Pokiwał głową, śmiejąc się cicho.

- Pewnie, pewnie, ale Summerhays - naprawdę mnie zaskoczyłeś, Ben. Jesteś na fałszywym tropie, musisz być. Tak, czytałem pisaninę d'Ambrizziego, Morela opowiedział mi o tym...

- Po niewielkim nacisku, jak rozumiem.

- A więc rozmawiałeś z młodym Morelą. Opowiedział ci tę historię starego księżula, który kiedyś mi się przechwalał?

Skinałem głową.

- Cóż, trochę podręczyłem biednego Morelę i w końcu przyznał się, że znalazł papiery. Przeczytałem je. Interesujący materiał, ale co on *znaczy*? Nie wiem. Kościół opłacał coś w rodzaju jednostki partyzanckiej, była z tym związana kradzież dzieł sztuki, kilka morderstw, dużo pseudonimów... Raczej stare wiadomości, prawda? Czy coś z tego rozumiałeś?

- To brzmiało autentycznie - odparłem. - Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że Indelicato to Zbieracz? Czy wiedziałeś, że to do Indelicato poszedł Arcyksiążę z informacją o Spisku Piusa?

- Może, Ben. Czy ktoś to jeszcze wie? - Mój ojciec podniósł głowę, gdy nagły podmuch wiatru uderzył w ścianę domku. Przeciąg zaszeptał na podłodze. - Ależ tak, dowiedziałem się, że to Indelicato wysłano za D'Ambrizzim. To przecież ja wyciągnąłem go z Europy, gdy Indelicato deptał mu po piętach.

- To Horstmann zabijał. Czy kiedykolwiek spotkałeś się z nim wtedy?

Wspomnienia go męczyły, ale chociaż jego twarz była ściągnięta, oczy pozostawały bystre i wydawało się, że nie chce przestać mówić.

- Nie, nie wydaje mi się, że bym go kiedykolwiek spotkał. Ale to nie jest niespodzianka. D'Ambrizzi miał dość rozgałęzioną siatkę...

- *Assassini* - powiedziałem.

- Nazywaj ich, jak chcesz, miał ich. Większość z jego roboty nie miała nic wspólnego ze mną, Ben. Dobrze zrobiłaby mi brandy. Nie kłóć się ze mną. To poprawia mi krążenie.

Nalałem nam obu do kieliszków. Pił powoli małymi łykami, opierając głowę o oparcie fotela.

- Pomyśl o tym, tato. Co by było, gdybyśmy zdemaskowali Summerhaysa, jakim jest naprawdę... Jest takim samym mordercą jak Indelicato, brał we wszystkim udział: w intrygowaniu, zabijaniu...

- Ben, jestem zupełnie wykończony. Porozmawiamy jutro. Naprawdę chciałbym wysłuchać wszystkiego. Ale padam na nos. - Wstał powoli, ale wiedziałem, że lepiej mu nie pomagać. Zatrzymał się przy schodach, które prowadziły na balkon i do sypialni na piętrze. Śnieg sypał z nieba. Przez okna patrzyłem na rosnące zasy. Mój samochód miał na dachu nową warstwę, gdzieś tak z sześć cali. - Ben, mam pomysł. Jutro wyjdiesz na dwór i zetniesz choinkę. - Westchnął. - Tęsknię za twoją siostrą, synu. Cholera.

Wstałem późno. Mój ojciec smażył bekon i jajka. Usiedliśmy przy stole. Zjadłem lwią część. Przypomniała mi się siostra Elżbieta. Przyniósł dzbanek z kawą do stołu i powiedział mi, że chciałby usłyszeć resztę, jak się to skończyło.

Opowiedziałem mu. Powtórzyłem wyjaśnienia D'Ambrizziego, które przedstawił nam w hotelu Hassler. Założyłem, że skoro D'Ambrizzi wszystko powiedział, tak jak to zrobił tamtej nocy, tamtym ludziom, równie dobrze mogę opowiedzieć to jego starego towarzyszowi broni. Mój Boże, kardynał powiedział nawet Summerhaysowi. Powtórzyłem więc ojcu wszystko. Chciałem jego pomocy, abyśmy mogli znaleźć wspólnie drogę uziemienia Summerhaysa. Powiedziałem mu wszystko, poza tym, dlaczego umarła Val: że poznała prawdę, wszystko ze sobą powiązała, i że jechała do domu, by zwierzyć się ojcu i bratu...

Chciałem się upewnić, że ojciec poradzi sobie z tak przykrymi wiadomościami. Czekałem więc. Nie spytał o Val, dlatego postanowiłem jeszcze trochę poczekać.

Poza tym powiedziałem mu wszystko. Jak Indelicato umarł, jak go znaleźliśmy, jak D'Ambrizzi przemówił z przeszłości jako Simon i wydał Salvatore di Mona jego ostatnie instrukcje... by zabił kardynała Indelicato.

Mój ojciec patrzył na mnie znad brzegu filiżanki. Miał podkrążone oczy, zaczerwienione powieki, jakby nie spał przez całą noc.

- Cóż, jako badacz historii Kościoła muszę stwierdzić, że papież popełniający morderstwo nie jest zbyt wielkim zaskoczeniem. Nawet wyeliminowanie jego najbardziej prawdopodobnego następcy też już się przedtem zdarzało. Nic nowego pod słońcem czy kopułą Świętego Piotra. - Jego zmęczone oczy wwierały się we mnie. Coś się zmieniło od ostatniej nocy. Nie byliśmy wrogami, ale nie byliśmy też kumplami. Tak jakby świat nas rozdzielił pod osłoną nocy.

Powiedziałem mu, jak Sandanato zdradził D'Ambrizziego, zaczaj współpracować z Indelicato i wtedy mój ojciec się odezwał.

- Wszyscy wierzyli, że postępują słusznie, prawda? To jest tragedia, Ben. To zawsze było tragedią Kościoła. Indelicato, Sandanato i Arcyksiążę pragnęli wszystkiego, co najlepsze dla Kościoła...

D'Ambrizzi... twoja siostra... nawet Morela, z tego co wiem, chce dla Kościoła jak najlepiej... Kalikst był gotowy zabić dla Kościoła w 1943 i zabił dla Kościoła teraz. Taki ma wpływ na ludzi. Rozumiesz, o co mi chodzi, Ben? Czy kiedykolwiek wierzyłeś w coś tak bardzo, że byłeś gotów dla tego zabić?

- Nie wiem. Nigdy nikogo nie zabiłem.

- Większość ludzi, jak sądzę, zabiłaby dla czegoś. Co nie znaczy, że również przyznałaby się do tego.

- Serce Kościoła - powiedziałem - jest jądrem ciemności. Byłem tam. Właśnie wróciłem. I nie wierzę, że jest tam pełno facetów próbujących postępować słusznie.

- Nie byłeś w jądrze ciemności, synu. Nawet się nie zbliżyłeś. Ja tam byłem. Nawet twoja matka tam dotarła. Ale nie ty. Nie jest to złe miejsce, ale gdy się tam dostaniesz, nie popełnisz omyłki. Będziesz wiedział.

Opowiedziałem, jak umarł Sandanato.

Mój ojciec podszedł do okna i patrzył na padający bez przerwy śnieg.

- Horstmann - powiedział - jest takim typem człowieka, który wierzy w wyrównywanie rachunków.

Po południu owinąłem się starym kożuchem, wziąłem siekiere i wyszedłem prosto w śnieg. Wciąż padał wielkimi, mokrymi płatkami, cicho, spokojnie. Minąłem wielkie okno, które zaczynało się tuż przy ziemi. Można było przez nie zajrzeć do środka salonu.

Ciepło domu sprawiało, że śnieg topił się na szybie i zbierał na dole. Zobaczyłem ojca stojącego przy gramofonie i przeglądającego płyty w całkiem podartych okładkach. Pochylił ramiona, a kiedy położył igłę na płycie, odszedł opierając się na lasce. Stał przy swoim fotelu blisko ognia. Osunął się ostrożnie i siedział wpatrując się w płomienie. Z opuszczoną gardą nie był tym samym człowiekiem. Wyglądał nagle jak ktoś bardzo stary, słaby, nie mający przed sobą zbyt długiego życia. Wolałbym go nie zobaczyć.

Porośnięte lasem wzgórze wznosiło się na około sto jardów, poznaczone wystającymi zagajnikami jałowców, skrzyconymi pniami dębów, wiązów i topoli. Na szczycie wyrównywało się i schodziło do niewielkiego jeziora, gdzie kiedyś uczyłem się żeglować i pływać. Była tam nieludzko zimna woda. Teraz jezioro zamarzło. Zacząłem wspinaczkę i stwierdziłem, że wieje ostrzejszy wiatr, niż się spodziewałem, a płatki śniegu mają teraz ostre brzegi, gotowe kąsać.

Zauważyłem kilka drzewek odpowiednich na choinkę, gdy wspinałem się z pochyloną głową ku wierchołkowi. Chyba ciągnęły mnie tam wspomnienia. Minęło sporo lat, odkąd byłem tu ostatni raz. Regularnie przychodziłem jedynie w dzieciństwie. Dwadzieścia jardów przed szczytem stanąłem, oparłem się o pień drzewa i próbowałem złapać oddech. I właśnie w tej chwili poczułem zapach, który mnie zdziwił. Cierpki zapach ognia roznieconego z gałęzi i jodłowych szyszek.

Niewiele czasu zabrało mi odnalezienie jego źródła. Pod załomem skalnym, zgarnięta pod półką dla ochrony, leżała mokra, pociemniała kupka popiołu, częściowo obsypana śniegiem. Unosiła się z niej jeszcze smuzka dymu, ostatnie tchnienie i zapach mokrych, spalonych szyszek. Ktoś ogrzewał się przy

ogniu tej nocy. Spojrzałem w dół ku domowi oddalonemu o około osiemdziesiąt jardów. Minęło późne popołudnie i poprzez drzewa blask ogromnego okna był doskonale widoczny. Żółty prostokąt światła. Dym krążył nad kominem. Wiatr nasypał mi śniegu na kołnierz. Spociłem się w trakcie wspinaczki. Ktoś kulił się przy ognisku tej nocy, czekając, kucając blisko ognia, by się ogrzać, ale po co? Niczego nie widziałem, tylko zbocze wzgórza - zasypane głębokim śniegiem - i nasz dom.

Rozejrzałem się, szukając wskazówek o przyjsciu i odejsciu nieznanego. Znalazłem zanikające ślady stóp, ale po kilka jardach zacierały się, nachodziły na siebie i stawały niewyraźne. Resztę zasypał śnieg. Poszedłem za jednym śladem, który wydawał się prowadzić w dół jeziora. Zobaczyłem, że niedaleko ślad znika i znalazłem się na szczycie. Widziałem zamrażającą powierzchnię wody. Nikogo nie było w zasięgu wzroku, wiał zimny wiatr, tak ostry jak zęby piły, którą niosłem. Oczy miałem pełne łez, czułem, że twarz pęka mi od wichru. Odwróciłem się i powoli zanurzyłem w głębszym śniegu, nasypanym między drzewami.

Światło słabło.

Nadal musiałem ściąć drzewko, bez względu na to, czy był ktoś poza mną na wzgórzu, czy przyglądał mi się czy nie. Kto mógł się znaleźć w tak niedostępnym miejscu, tak daleko od drogi, od jakiegokolwiek drogi tak późno w nocy? Odpowiedź brzmiała oczywiście, że nikt. Sama myśl wydawała się niedorzeczna. Ktokolwiek to był, zamierzał tu być, a nie gdzie indziej. Ale kto? Dlaczego? Czy ktoś miał jakiś powód, by obserwować mojego ojca? A może szukał mnie? Czekał na mój przyjazd?

Walcząc z chęcią, by oglądać się przez ramię, wybrałem drzewko, siekierką odrąbałem dolne gałęzie, a potem uklękłem i zabrałem się do piłowania. Prawie że czekałem na cichy chrzęst śniegu za sobą, usłyszany zbyt późno, uścisk lufy z tyłu głowy. Nikt nie przyszedł. Za dużo obejrzałeś filmów, powiedziałem sobie.

Ściąłem w końcu drzewo i rozejrzałem się dookoła. Rozsunąłem gruby wełniany szalik i usiadłem na kamieniu, który nieznanemu traper przyciągnął do ognia i używał jako krzesła. Poniżej w zbierających się ciemnościach okno wydawało się jeszcze jaśniejsze. W domu mój ojciec słuchał muzyki, próbował przygotować się na mój powrót, chciał dostać bożonarodzeniowe drzewko. Pewnie rozmyślał nad własnym rozumieniem jądra ciemności.

Siedziałem na kamieniu przez dłuższy czas, myśląc o miejscu, w którym, jak mi się wydawało, byłem, a z czym mój ojciec się nie zgodził. Nigdy nie wątpiłem, że on tam był, w najgłębszym, najciemniejszym miejscu, gdzie znika nadzieja i zdrowie psychiczne, ale dlaczego wspominał o mojej matce? Co moja matka, prowadząca życie bogatych i uprzywilejowanych, wiedziała o tym miejscu? O czym powinienem pomyśleć?

Moja matka zabiła się. Dwukrotnie. Raz przez utopienie swego bólu w alkoholu, a potem skacząc z balkonu... Może zaszła dalej w ciemność niż ktokolwiek z nas.

Dlaczego, zastanawiałem się, to zrobiła? Dotąd nie poświęcałem temu zbyt wiele uwagi. Była moją matką, a matki robiły dziwne rzeczy. Matki kolegów ze szkoły zachowywały się dziwnie. Matki i ojcowie. Alkohol, samobójstwa nie były obce dzieciom, z którymi się przyjaźniłem. Należało to do życia, nie pytało się dlaczego.

- Matko...

To był szloch prawie bezwiedny, wtedy nagle usłyszałem znowu jej głos, jakby stała obok mnie. Wpatrywałem się w ślady stóp, znowu zasypane świeżym śniegiem, a ona mogła stać żywa w cieniu za mną. Nie powinno być tam śladów stóp, ani mojej matki, ale słyszałem jej głos, tak jak w moich snach. Tym razem było inaczej, słyszałem ją bardzo wyraźnie, nie stłumiony głos na korytarzu w nocy, tym razem słyszałem wyraźnie, co powiedziała do Val i co mówiła do mnie przez tyle lat, i to było całkiem inne, nie to co przedtem słyszałem, to było co innego i znaczyło co innego, zupełnie co innego...

Hugh to zrobił...

To był Hugh...

To był Hugh w ogrodzie...

Hugh. A *nie ty*, tak jak Val i ja słyszeliśmy.

Byliśmy dziećmi. Myśleliśmy, że się na nas gniewa.

A matka mówiła nam, że nasz ojciec zamordował ojca Gouverneau.

Val musiała sobie to też przypomnieć. Pewnie o tym myślała, gdy przyjechała do Princeton i zaczęła pytać o Gouverneau...

Historia rodzinna, rodzinne kłamstwa.

Powoli, nie wiedząc, co u diabła mam zrobić, zaciągnąłem choinkę do domu. Kiedy już byłem na dole, zacząłem się zastanawiać, czy ktoś mnie obserwuje.

Udało mi się wciągnąć drzewko do dużego pokoju. Miało siedem stóp i było bardzo gęste. Idealna choinka. Ojciec przyniósł pudełka ze świecidełkami z pakamery. Pudełka bombek, parę setek kolorowych lampek - czerwonych, zielonych i niebieskich. Przyglądał się, dodawał mi otuchy, podtrzymywał drzewko prosto, gdy ja wkręcałem piekielny stojak na miejsce. Bardzo starał się udawać, że czuje się świetnie, tak jakby to były zwykłe święta Bożego Narodzenia. Ale dość często zatrzymywał się, żeby odpocząć, oddychał chrapliwie, nierówno, a kiedy nalewał sobie i mnie po drinku, butelka drżała w jego osłabłej dłoni. Popatrzył na mnie, spojrzeniem zażawionym, przymrużonym, a jeszcze niedawno potrafił nim zmrozić wodę w szklance.

Hugh to zrobił... to był Hugh...

Drzewo ustawiłem, na zewnątrz zapadły już ciemności. Ojciec wziął kieliszek ze sobą do kuchni, miał przygotować makaron na kolację. Usłyszałem, jak szura w kuchni, postukuje talerzami i garnkami.

Poszedłem do sypialni i wyjąłem kopertę spod koszul, bielizny i swetrów, które spakowałem do walizki na podróż do domku. Usiadłem na brzegu łóżka i wyjąłem z koperty pozaginaną na rogach fotografię. Siedziałem, powoli obracając ją w palcach, próbowałem uświadomić sobie, że moja siostra naprawdę nie żyje, że nigdy nie wpadnie do mojego pokoju, nigdy nie usłyszę jej śmiechu, a co najgorsze nigdy nie usiądę z nią przy kominku i nie będziemy przypominać sobie tych samych przygód, całego życia, które znaleźliśmy tylko we dwoje, tego wszystkiego, co kiedykolwiek do siebie powiedzieliśmy. To nie było łatwe, przekonywanie samego siebie, że odeszła na zawsze.

Patrzyłem na zdjęcie.

Kto sfotografował Torricelliego, Richtera, D'Ambrizziego i Le-Becqa?

Arcyksiążę. Właśnie to nadawało wszystkiemu sens.

Summerhays. To tak zaskoczyło mojego ojca. Cóż, oczywiście, że tak. Jak mogło nie zaskoczyć?

Summerhays, Indelicato i Sandanato współpracowali potajemnie, by ocalić Kościół, *ich* Kościół, na *swój* sposób, co łączyło się z zabiciem mojej siostry.

Miała wiele spraw na głowie, gdy wróciła do Princeton. Na pewno chciała powiedzieć ojcu i mnie co odkryła, o raku toczącym Kościół... Ale również przypomniła sobie, co mówiła matka. *Hught to zrobił...*

Teraz stałem przed własnymi decyzjami. Co mógłbym powiedzieć ojcu? Czy miało sens wspomnienie, co mówiła matka? Czy to była prawda? A jeśli to mój ojciec zabił ojca Gouverneau - co wyjaśniało, dlaczego sprawę zatuszowano - to dlaczego to zrobił?

Oczywiście, miało to znaczenie. Ale nie zmieniało faktu, że nie wiedziałem, co robić?

A ktoś obserwował nas z zewnątrz w zimie, śniegu i ciemności. Czy powinienem mu powiedzieć? Czy wiedziałby, kto to jest? Na miłość boską, chciałbym wiedzieć...

* * *

Kolację zjedliśmy spokojnie. Ojciec grzebał w makaronie, jakby myślał o czymś innym. Udało mu się opowiedzieć mi kilka śmiesznych historyjek o swoich pielęgniarkach, Moreli, o macierzyńskiej trosce Margaret Korder, a nawet o kupce powieści Artie Dunna, które mu zostawiłem. Próbował niektóre z nich przeczytać i stwierdził, że choć nie są w jego typie, to „okładki nie są złe”. Tak mój ojciec żartował. W końcu popatrzył na mnie i stwierdził:

- Chodzi ci coś po głowie, Ben...

- Właśnie ty... - odparłem.

- Cóż, moglibyśmy porozmawiać. Patrzę na ciebie, jak się zwijasz i dostaję od tego niestrawności. Chyba że mam następny atak serca. A jeśli go mam, obiecaj mi jedno - obiecaj mi, że pozwolisz mi umrzeć. - Odsunął krzesło. - Jestem gotowy odejść. A teraz chodź, przygotujemy drzewko.

Oplatałem cholernymi światełkami szeroki ciemnozielony obwód. Mój ojciec podawał mi kolorowe szklane kule, maleńkie renifery, bałwanki i małe lusterka. Gdy próbowałem wymyślić sposób, jak mu powiedzieć to, co muszę, zaczął mówić. Gdy tak przeskakiwał z tematu na temat, pomyślałem, o ile wszystko byłoby prostsze, gdyby mój ojciec nie miał ataku serca. Przyzwyczaiałem się nienawidzić go. Prawie zrujnował mi życie. Kiedyś powiedział mi, że powinienem spróbować skuteczniej popełnić samobójstwo. Wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem, obrażało go, irytowało, upokarzało, złościło. Nie udało mi się zostać księdzem i od tej pory nie witało mnie ani jego serce, ani umysł. Może właśnie o to chodziło D'Ambrizziemu: „Przebacz sobie, że zawiodłeś swojego ojca”. To bez wątpienia dobra rada, ale łatwiej jej było wysłuchać niż skorzystać. A teraz mój ojciec wyrządził mi ostateczną krzywdę: zestarzał się, rozchorował i nienawiść mi minęła.

Zostałem sam z przekonaniem, że go zawiodłem, z moją rozjątrzoną wzmocnioną poczuciem winy nienawiścią do niego. Wiedziałem, że to nie ma sensu i skierowałem tę nienawiść ku sobie. Patrzyłem na

to, co z niego zostało i wspominałem jego obsesyjny chłód, niechęć, pogardę, ostre, niesprawiedliwe oceny, wszystko rozplywało się przed oczami...

- Myślałem, Ben - powiedział, podając mi maleńkiego świętego Mikołaja z zielonymi sankami pełnymi prezentów - o tych interesach - naziści - Kościół, o ich związkach, wzajemnym szantażu, Spisku Piusa, ale to się prawie kończy, generacja tych ludzi już odchodzi. Wymierają, to jest nieuniknione. Czy więc jest to ważne?

- Poza morderstwami... poza arcydziełami sztuki ustawionymi w stosy w piwnicy willi Indelicato. A to będzie trwało jeszcze długo.

- Dobrze. Kościół odniesie korzyść. Naziści nie przetrwają. Sztuka tak. Zapisz punkt dla Kościoła. Widziałem, że zabrnął w ślepą uliczkę, w przeciwną stronę od tego, co było ważne.

- Posłuchaj, tato, nie chcesz dowiedzieć się przyczyn, dla których Val musiała umrzeć? Czy nie po to właśnie jestem tutaj?

- Myślałem, że przyjechałeś spędzić Boże Narodzenie z ojcem...

- Wiedziała wszystko, dokładnie...

- Nie, nie. Nie jestem pewien, czy powinniśmy jeszcze raz przez to przechodzić, Ben.

- Poczekaj chwileczkę, jeszcze trochę. - Skończyłem właśnie zawieszanie kolejnego małego caczka na gałązce i wyprostowałem się. Trzymał niezdarnie świecące łańcuchy. - Rozmawiamy o Val. Nie chcesz wiedzieć, dlaczego Horstmann jechał za nią aż do Princeton? Dlaczego musiał ją zabić? Kto wydał rozkaz? Dlaczego musiał zabić Lockhardta, Heffernana i twoją córkę?

- Ben. - Podał mi garść świecidełek.

- Bo Indelicato i Arcyksiążę bali się jej. Bo bali się tego, co wiedziała, bali się, że powiedziała tobie, mnie i Lockhardtowi... Dlatego próbowali zabić mnie wykorzystując Sandanato, by mnie wystawił, bo mogła opowiedzieć mi wszystko, zanim ją zabili. Zabiliby i ciebie, ale miałeś atak serca, więc musieli poczekać i zobaczyć, co się z tobą stanie... Ale po Irlandii zaprzestali prób zabicia mnie, może nawet przedtem, może dostali polecenie, by mnie już nie atakować po pierwszej próbie. Dlaczego przestali? Chciałbym wiedzieć, jak głęboko jest w to zamieszany Arcyksiążę? Postanowili zabić innych ludzi, którzy mogli im zaszkodzić, *ale nie mnie* - dlaczego?

Ojciec nalał dwie szklanki whisky Laphroaig z lodem i podał mi jedną z nich.

- Na pohybel naszym wrogom! - powiedział, stukając swoją szklanką o moją.

Czekałem, że coś powie, cokolwiek, ale podszedł prosto do drzewka i poprawił łańcuch na gałęzi.

- Czy nie zastanawiałeś się, dlaczego Val zaczęła pytać o ojca Gouverneau? - Musiałem do niego dotrzeć, zwrócić jego uwagę, zmusić go do reakcji. - Czy to nie wydaje się dziwne? Ostatniego dnia jej życia pytała o zamordowanie ojca Gouverneau - bo to było morderstwo, nie ma sensu zaprzeczać. Po prostu nie widziałem związku między tym, czego dowiedziała się o Kościele w przeszłości i teraźniejszości, co sprowadziło ją do domu... A co ona robi, gdy przyjeżdża do domu? Zaczyna pytać o ojca Gouverneau. *Musiał być* jakiś związek. Val nie postępowała głupio, bezsensownie. Zabrało to trochę czasu, ale to wymyśliłem, przynajmniej częściowo...

- Naprawdę? Musisz być bardzo mądry, Ben. Bo ja nie wiem o czym mówisz. A może napiłbyś

się jeszcze trochę i skończył ubierać drzewko? - Opierał się o gzyms kominka i mieszał whisky w szklance. Błysk ognia odbitego w rżniętym kryształce szklanki oślepił mnie ostrymi kolorami tęczy. Zmęczony, jak widniało to na jego twarzy, był naprawdę uosobieniem swobody w szarych spodniach, żółtym polo i perłowo-szarym kaszmirowym swetrze. Życie wracało do jego spojrzenia. Dzięki zmianie mojego podejścia. Moja frustracja nagle odbiła się w jego zimnych oczach. Uwielbiał agresję, którą widział we mnie. Żywił się nią. Dawała mu siłę.

- Val wróciła z pytaniami o Gouverneau, bo przypomniała sobie coś, co nasza matka powiedziała jej i mnie. Po tych wszystkich latach wreszcie zrozumiałem...

- Twoja matka? Wciągasz duszę twojej matki w to? Trzeźwą czy pod wpływem jej demonów? - Trzaskały płomienie, a zimowy wiatr gwizdał w kominie. - Szczekasz na drzewo, na które nie możesz się wspiąć, synu?

- Zabiłeś ojca Gouverneau - powiedziałem. - Właśnie o tym myślała Val.

- Cóż - powiedział mój ojciec po dłuższej chwili milczenia - został zamordowany. - Ton jego głosu był łagodny i spokojny, słyszałem go tylko raz czy dwa w życiu. Światy poruszały się w jego głowie. - Trafiałeś na dobry trop. Zamordowany, ale nie przez twojego świątobliwego ojca. Gdybym zabił biednego drania, przyznałbym się i zostałem bohaterem. Ale nie zabiłem go. Zrobiłem z siebie głupca i ściągnąłem sobie na głowę mnóstwo kłopotów, ale nie mógłbym postąpić inaczej. Powiesiłem go w sadzie - zrozum, byłem na pół oszalały, a na pół zalany w trupa, i wszystko zaczęło nabierać charakteru zaduszek, jak skakanie po dachach... Pociągnąłem za każdy cholerny sznurek, jaki wpadł mi w ręce, by zatuszować prawdę. Możesz mi wierzyć lub nie. Takie ryzyko musi podejmować mężczyzna, Ben. - Wypił łyk whisky i popatrzył na mnie.

- O czym mówisz? Po co tuszować coś, co by nie zaszkodziło i zrobiłoby z ciebie bohatera?

- Rycerskość. Nie bądź tępym chłopcem, Benie. To twoja matka zabiła Gouverneau. Nieźle się sprawiła, naprawdę.

Zadrżały mi kolana. Drzewko wydawało się chwiać. Poczułem, że mi się wymyka ten człowiek, którego nienawidziłem od tak dawna.

- O czym mówisz?

- Twoja matka była dziwną kobietą - mój Boże, jak okropnie i prozaicznie to brzmi! Długo chorowała. To nie tylko chodzi o jej picie i prędzej szlag mnie trafi, niż będę o tym mówił z tobą, jej synem. Zasłużyła na odrobinę godności, a to, o czym mam zamiar ci powiedzieć, nie zostawi jej ani nikogo innego ze zbyt wielką ilością tego cennego towaru. Jeśli chodzi o walenie w głowę ojca Gouverneau, to powiem ci, co się zdarzyło, bo byłem naocznym świadkiem. - Westchnął, zmarszczył brwi. - Wolałbym, żebyś dał temu spokój, synu. Naprawdę. Jesteś moim synem, ale też jesteś czymś w rodzaju potwora, Ben. Sam nie wiesz, kiedy jest ci dobrze, taką masz naturę. Co u diabła w ciebie wstępuje? Nie potrafisz się opanować. Val też nie potrafiła. To jakiś gen recesywny, jak sądzę. Jeszcze się okaże, że to wszystko moja wina. - Dolał sobie whisky. - Tej nocy miało mnie nie być w domu. Miałem spotkanie w Nowym Jorku. Minęło prawie pół wieku, ale wszystko dokładnie pamiętam z najdrobniejszymi szczegółami. W ostatniej chwili spotkanie odwołano. Pojechałem do domu. Dotarłem do Princeton około

dziewiętej trzydzieści. Zima, padał śnieg, mroźno. Na podjeździe stał zaparkowany stary chevrolet, a w kaplicy były zapalone światła. Nie zastanawiałem się nad tym. Wstawiłem samochód do garażu, zapukałem i wszedłem do środka... Cóż, nie usłyszeli, że wchodzę, w domu nie wszystko szło dobrze. Ojciec Gouverneau nie miał nic na sobie poza skarpetkami i podkoszulkiem, jak w starych filmach o rogaczach, a twoja matka była naga - pamiętaj synu, oskarżyłeś mnie o morderstwo, a ja wyjaśniam ci, co się naprawdę wydarzyło, ale sam to wyciągnąłeś i ciebie to zabiło. Odpychała go - walczyła z nim, udawała przede mną, rozumiesz, a on stał w Długiej Sali, podniecony i bardzo zmieszany, bo zobaczył mnie stojącego w drzwiach, patrzył prosto na mnie, nieruchomy jak królik oświetlony światłami samochodu. Było jasne, że leżeli na podłodze przy kominku... a gdy wpatrywał się we mnie, opadający z sił, niewątpliwie próbując wymyśleć, co powie biskupowi, gdy ten się o wszystkim dowie, twoja matka zaskoczyła go bardzo ciężką karafką Waterforda do sherry... Skreśliła jednego, bardzo zdziwionego, księdza uwodziciela. Wyglądasz tak, jakby ci się przydała dolewka, synu.

Skinałem głowę, chlusnąłem więcej whisky do szklanki, upiłem łyk. Słyszałem wiatr i mokry śnieg mlaskający o szybę.

- Próbowwała mnie przekonać, że ją zgwałcił. Leżał tam z rozwaloną głową, ona była naga i bełkotała, do diabła nie była to scena z Burnsa czy Allena. Kazałem jej się ubrać i zapomnieć, że kiedykolwiek otworzyła drzwi Gouverneau. Było dla mnie oczywiste, że trwało to już dłuższy czas. Kazałem jej się zamknąć i napić czegoś. Potem zadzwoniłem do Drewa Summerhaysa w Nowym Jorku i powiedziałem mu, że musi się skontaktować z biurem prokuratora okręgowego w Princeton. Drew jest takim facetem, że wstał, wsiadł do packarda i zjawił się na miejscu o pierwszej. Twoja matka leżała w łóżku, pijana w sztok, a ja opowiedziałem Drewowi, co się stało. Niczego nie dotykałem, dopóki nie przyjechał.

Wypiłem parę kieliszków, a Gouverneau leżał po prostu na dywanie. Drew i ja zdecydowaliśmy, że najważniejsze jest, by za wszelką cenę nie wplątywać twojej matki w to wszystko - była już i tak słaba, i tak pomieszana, by mieć romans, czy zostać zgwałconą przez księdza, bez względu na to, czy to ja, czy ona go zabiła, wykończyłoby to ją na dobre. A więc ubraliśmy ciało, zapewniam cię, że to było obrzydliwe zajęcie. Zastanawialiśmy się, co u diabła zrobić z ciałem. Drew był za utopieniem go gdzieś, ale to trudniejsze niż myślisz i nie mieliśmy żadnej kontroli nad śledztwem, gdyby było takie prowadzone, a mogli dojść do twojej matki... Byliśmy obaj trochę pijani. Kłóciliśmy się, przychodziły nam do głowy różne pomysły i upijaliśmy się coraz bardziej, wreszcie powiedziałem, że chciałbym, by Gouverneau popełnił samobójstwo, a Summerhays powiedział, dlaczego u diabła nie? Zanieśliśmy go do sadu, padało jak cholera... i powiesiliśmy go, żeby później odnaleźć... Nie ma sensu mówić mi, że postępowałem jak szaleniec, Ben, bo to zadziało! Drew odjechał chevroletem daleko na jakąś boczną drogę i zostawił tam. Pojechałem za nim jego packardem, zabrałem go, a on ruszył do domu. Zadzwonił do mnie, by mi powiedzieć, że słońce wstało, zanim dotarł do Nowego Jorku. I to jest wszystko, co powinieneś wiedzieć o tej sprawie. Twoja matka i ja nigdy, powtarzam - nigdy nie rozmawialiśmy więcej o tym. Właśnie tacy byliśmy, cholera! I to jest prawda... Nie wiem, jak się teraz czujesz, ale ja na to patrzę w następujący sposób. Twoja matka była samotną kobietą, ja nigdy nie byłem za dobrym mężem,

no więc miała romans ze złotoustym księdzem. A on za to zapłacił. Gouverneau był winny, nie twoja matka - więc nie chciałem by tego drania pochowano w poświęcanej ziemi! Cóż było to tak dawno temu. - Rzucił garść sztucznego śniegu na drzewko. - Uspokój się Ben. Jest szkielet w szafie. No i co z tego? - Uśmiechnął się rozbawionym uśmiechem na płaskiej, sprytniej twarzy i znowu popatrzył na drzewko. - Jeszcze trochę śniegu. - Poczułem jego rękę na moich plecach, poklepującą mnie. Poczułem we wstydliwych zakamarkach mojej pamięci zapach mokrej wełny habitu zakonnicy, poczułem znowu ulgę, kiedy wyciągnęła do mnie ramiona, by mnie objąć, uwiedzenie, które było tak okrutne i tak fatalne, znowu byłem małym chłopcem. - Zaskoczyłem cię, co synu?

- Tak - odparłem - chyba tak.

Opowieść mojego ojca była pierwszą w naszym życiu, jaką się ze mną podzielił. Idiotycznie poczułem, że oczy wypełniają mi się łzami i odwróciłem głowę. Nie mogłem znieść myśli, że mógłby zobaczyć mnie w tym stanie. Rzucaliśmy sztuczny śnieg na drzewko, gdy skądś z zewnątrz dobiegł nas huk, głośne pęknięcie, ostry dźwięk przyniesiony przez wiatr. Wzdrygnąłem się.

- To gałąź drzewa złamana przez wichur - stwierdził.

- Czy miałem rację, gdy mówiłem o Val? Czy ona też wszystko przekreśliła?

Skinął głową.

- Śmieszne, oboje moich dzieci uważało mnie za mordercę. Oboje moich dzieci myśli za dużo i wyciąga wnioski nie wiedząc u diabła, o czym mówi. - Podniósł głos, a ja zastanawiałem się, czy to przez whisky, czy może coś gorszego. Jego spokój zniknął, pojawił się gniew. Pewnie to był jednak wpływ szkockiej. A może wspomnienia o tej okropnej nocy prawie pół wieku temu. Może przeze mnie.

- Kiedy Val opowiedziała ci o wszystkim? O swoich podejrzeniach?

- Ben, nie muszę znowu przechodzić przez to wszystko z tobą. Straciłem córkę, a jeśli chodzi o syna... Wiele razy myślałem, że lepiej by mi było bez niego. Chryste, przyszedłeś tu i oskarżasz mnie o morderstwo! Chyba powinienem się tego po tobie spodziewać. - Wymruczał przekleństwo, a potem opanował gniew i powiedział: - Potrzebujemy trochę muzyki, Ben. - Pokiwał ręką w stronę wieży stereo. - Nastaw trio Beethovena. Odpowiada mi dziś wieczorem. Wiesz, łączy się z tym trio pewna historia. Spotkałem D'Ambrizziego w Rzymie w trzydziestych latach, wyglądało na to, że wszystko rozwalimy, para nowicjuszy. Pewnego dnia jeden z nas dostał bilety na koncert... Spędziliśmy piekielnie przyjemny wieczór, poszliśmy razem i to było fantastyczne, cudowne granie i słuchaliśmy właśnie tego kawałka. Od tamtej pory kochałem go. D'Ambrizzi kupił mi nagranie. Ech, tamte ciężkie płyty na siedemdziesiąt osiem obrotów. Trio Beethovena numer siedem B-dur. - Uniósł szklanekę do ust.

Podszedłem do stosu płyt i znalazłem tę, o której mówił, pod koncertem wiolonczelowym Kabalevsky'ego.

To była jedyna chwila objawienia - prawie pękło w niej serce - w zmarnowanym życiu. Nie przypominała momentu, gdy patrzyłem na martwe ciało Val, czułem zapach jej krwi i włosów. Teraz poczułem podmuch ognia, piekielnego ognia, nadejście antychrysta. Tamta chwila była prostsza, a ta inna. Jakbym dostał kulę we własny mózg. Odczucie było nowe, subtelniejsze i tak złe, że nie znalazłem na nie określenia w moim słowniku. Nowe, gorsze i nie do opisania, bo sięgnęło mego wnętrza, rozdarło

je i rozlało mą nienawiść, i nienawiść mojego ojca, aż zrozumiałem, że tej nocy w niej utoniemy.

Nagrania dokonało w 1966 roku Trio Suk, w którego składzie znaleźli się Józef Suk, Józef Chuchro i Jan Panenka.

Znane było powszechnie jako trio nr 7 B-dur, opus 97, ale nosiło też inną nazwę. Ten kawałek muzyczny, który mój ojciec i D'Ambrizzi usłyszeli i tak im się podobał tamtego wieczoru przed wojną w Rzymie, zanim ruszyli ku swemu przeznaczeniu - miał dwie nazwy. A tę drugą wyraźnie wypisano na starej zniszczonej obwolucie.

Trio „Arcyksiążę”.

Udało mi się położyć igłę na płycie i włączyłem. Ręce mi się trzęsły.

Odwrociłem się do mojego ojca.

- Val wszystkiego się domyśliła, prawda?

- Powiedziałem ci, Ben. Twoją siostrę oszukało...

- Val wiedziała, że to ty. Jakoś się domyśliła. Wiedziała o wszystkim... - Z trudem łapałem oddech. - Wiedziała, że to ty jesteś Arcyksięciem.

- O czym, u diabła, mówisz?

- Wiedziała, że jesteś Arcyksięciem. Wiedziała, że związałeś się z Indelicato, by nie dopuścić, żeby D'Ambrizzi został papieżem...

- Ty głupcze! Nic z tego nie rozumiesz!

- Przyjechała do domu, by cię ostrzec, że zamierza wszystko ogłosić. *Zobaczyłeś* się z nią w dniu, w którym ją zabito. Nie dałbym złamanego grosza za twoje alibi, spotkanie w Nowym Jorku, nikt go nigdy nie sprawdzał, jesteś przecież Hugh Driskill, na miłość boską, mógłbyś załatwić sobie alibi z prezydentem... Chciała, abyś ją przekonał, iż się pomyliła, że to nieprawda... a ty, pieprzony potworze, upewniłeś się, że Horstmann ją zabił! Ty musiałeś ocalić ten cały brudny spisek!... Więc Val - dusiłem się własną furią, przed oczami miałem purpurowo-czerwoną mgłę, wszystko mieszało mi się w głowie - więc Val musiała umrzeć...

Grała muzyka, a szklanka wypadła z dłoni mojego ojca i roztrzaskała się na kamiennym palenisku.

- Musiałem ocalić Kościół! - Zachwiał się poblady i upadł ciężko na potłuczone szkło. Popatrzył na rękę, umazaną krwią, z kawałkami szkła wbitymi w skórę. - Musiałem poświęcić kogoś, kogo najbardziej kochałem na świecie! To dla Kościoła, Ben, dla Kościoła!

Powiadają, że spowiedź jest dobra dla duszy, ale gdy słuchałem spowiedzi mojego ojca, zacząłem zastanawiać się nad jego duszą. Została sprzedana już tak dawno, że nie potrafiłem sobie wyobrazić, iż cokolwiek mogłoby ją zbawić. Dusza zniknęła, czymkolwiek była, i zobaczyłem, jak przede mną nie ma nic, tylko ruina, człowiek pełen żałoby i smutku, z nieskończoną zdolnością do zdrady, a wszystko w imię jego Boga i wszystko wytrzymującego, cholernego Kościoła. Wyglądało to tak, jakby czcił tygrysa, służył mu, zabijał dla niego, dostarczał mu pożywienia, a na koniec stał się jego żerem.

Siedział na kamiennym palenisku obok ognia, opierał się o ścianę kominka i mówił do mnie, przyciskając swe zakrwawione ręce do brzucha. Wielki Hugh Driskill który mógł kandydować do Białego Domu, panujący nad niezniszczalną, monumentalną fortuną: wykorzystał władzę, którą mu przyniosła i którą nawet powiększył. Wielki Hugh Driskill dopilnował zamordowania swej córki i zdrady przyjaciela, i mój Boże, ocalił życie papieża. Hugh Driskill zatuszował morderstwo popełnione przez własną żonę i zadbał, by ofiarę pochowano w nie poświęconej ziemi. Hugh Driskill patrzył na Kościół rzymskokatolicki i uznał, że wie lepiej, wie, o co chodzi i rozlał wiele krwi po to, by zmierzał w kierunku, który uważał za słuszny. Pogardzał swoim synem, a teraz siedział w kałuży własnej krwi, z dłońmi przebitymi błyszczącymi kawałkami szkła i spowiadał się temu właśnie synowi, który odwzajemniał mu w pełni jego żarliwą nienawiść i zastanawiał się, czy ma dość siły, by chwycić ciężki żelazny pogrzebacz i zatłuc ojca na śmierć...

- Indelicato uznał, że Val za dużo wie... - mówił cicho. Gdy to powiedział, popatrzył najpierw na mnie, a potem na swoje ręce, jakbym to ja potrafił mu wytłumaczyć, co się z nimi dzieje. Twarz miał pomazaną krwią. Wyglądał jak Indianin na wojennej ścieżce, ale już na niej nie był. I już na nią nie miał wstąpić.

- Indelicato - powtórzyłem. Sztylet wystawał z jego piersi, elegancka złota rękojeść. Zobaczyłem ją znowu przed sobą, gdy płomienie strzeliły wyżej na kominku. Mój ojciec pocił się. Wydawał się tego nie zauważać. Miał kłopoty z własną spowiedzią. Walczył ze sobą, bo była słuszna.

- Indelicato i ja, tylko my zostaliśmy ze starych czasów. D'Ambrizzi oczywiście, ale był... niepewny, nie rozumiał Kościoła. Myślał, że mógłby dla niego robić sztuczki... Manfredi i ja wiedzieliśmy wszystko o Kościele, wiedzieliśmy, że był... że jest. D'Ambrizzi nigdy tego nie pojmował. A jego duch zaraził Val - Indelicato powiedział mi, że miała zamiar zniszczyć Kościół, jaki znamy, ona i D'Ambrizzi i Kalikst, który był wytworem D'Ambrizziego, ale Bóg wkroczył i zajął się Kalikstem. Ale mieliśmy czas przeciw sobie, musieliśmy być gotowi przed śmiercią Kaliksta...

Bełkotał dalej, a ja wpatrywałem się w jego twarz, śliską od potu i krwi, odwracałem się od ognia, wyłączyłem się zupełnie i słyszałem tylko szum wiatru i chrzęst śniegu na szybie. Choinka lśniła jak w dziecięcym śnie, idealna i pełna obietnic.

- Wszystkiego się dowiedziała, zrekonstruowała, to było niesamowite osiągnięcie Val, a wiesz, rzucała atutami, których nie było w grze, robiła to przez całe życie...

- Nie musisz mi mówić o Val - stwierdziłem.

- Morderstwa. W czasie wojny, teraz, wszystkiego się domyśliła, o D'Ambrizzim, Simonie, Indelicato, Zbieraczu i o mnie, człowieku, który ocalał papieża, tylko, że uważała mnie za kogoś innego, ona by... och, ona... Kościół przeżył tyle ataków - Indelicato i ja wielokrotnie próbowaliśmy coś wymyślić - ale opowieść Val, dowody, które zebrała, to było za dużo - za dużo w wieku mass mediów, wieku telewizji i dociekliwych reporterów żądnych sensacji, którzy by to podchwycili, wycisnęli i przeżuli i... musisz zrozumieć, Ben, po raz pierwszy w historii pojawił się ktoś, kto mógł zniszczyć Kościół, przewrócić go, ktoś, kto mógł go przeciągnąć przez wszystkie ekrany telewizyjne świata - zakonnica, która była znana w każdym zakątku Ziemi z jej prac, inteligencji, mądrości i pisania, mogła to zrobić.

- Pomyśl o niej, telewizja kochała twoją siostrę, ona by dopilnowała, żeby to się ciągnęło, reporterzy kopaliby, kopali i dokopali się, byłby to koniec wszystkiego, nie rozumiesz tego? Papież umierał, wyszłyby te wszystkie historie o morderstwach Jana XXIII i Jana Pawła I, ale tym razem nie zostałyby zlekceważone, nie byłyby tuszowane i uważane za odrobinę dziwne, ten bałagan w Banku Watykańskim, samobójstwa, morderstwa, defraudacje, jeszcze raz zostałyby wyciągnięte, tyle że tym razem byłaby tam siostra Val, by podsycać płomienie i wszystko wymknęłoby się spod kontroli... - Otarł pot z twarzy, kawałki szkła w dłoni zadrapały go w czoło. Spodobałaby mu się ta symbolika: krwawiące czoło, korona cierniowa, męczennik krwawiący za swoją wiarę, swój Kościół. - To byłby triumf antychrysta, koniec Kościoła Rzymskiego i to przez moją córkę, Ben, przez kogoś, kogo najbardziej w życiu kochałem... ale powiedziałem jej to wszystko, nie mogłem jej powstrzymać, wszystko odkryła, połączyła. Nie wiem, skąd wiedziała, że byłem Arcyksięciem, ale miała tę kiepską fotografię, którą ukradła Richterowi i powiedziała mi: wiem, że to ty jesteś Arcyksięciem... Wiem, że byłeś nim przez cały czas, stary agent BSS, bohater wojenny, wierny sługa Kościoła... - Słuchałem go, ale słyszałem jej głos. Potrafiła być twarda jak zaprawiony w walce bokser, zwarte pięści i szybkie, mocne uderzenia, zapierające oddech. Miała instynkt zabójcy, to leżało w jej naturze, słyszałem ją wyruszającą na łowy. - Powiedziała: to ty, drogi tatusiu, zrobiłeś to zdjęcie, prawda? I zdradziłeś swojego przyjaciela D'Ambrizziego dla tego gówna Indelicato. Nazwała Indelicato gównem - co, u diabła, się działo, Ben? Zakonnica tak mówiąca - co to miało znaczyć?

- To znaczyło, że Indelicato był gównem. Miała rację. - Zastanawiałem się, czy uśmiecham się na wspomnienie Val. Chyba tak. - Była dla niego uprzejma - stwierdziłem - liczyła się z twoją wrażliwością.

- Nie rozumiała ludzi jak Indelicato i Pius - znałem go, Ben - oni mieli dobro Kościoła na sercu. Nie była to jakaś przelotna zachcianka, jakaś tania tymczasowa moralność... Mój Boże, Ben, D'Ambrizzi chciał zabić papieża! Musiał zostać powstrzymany. Byłem dobrym przyjacielem... Mogłem go zabić! Ale kochałem go... więc zdradziłem, jak się wyraziła, spisek - popełniłem błąd ratując papieża! Była szalona, Ben, było w niej szaleństwo! Nic już dla niej nie miało znaczenia, zapomniała o ślubach! Była *dziwką* Lockhardta! Miała zamiar wszystko zniszczyć, nie widzisz tego, prawda? Niczego nie rozumiesz, co do ciebie mówię... Zrobiłem, co mogłem. Kiedy wyszedłem z domu po południu, Horstmann czekał na drodze do Princeton. Moje wyjście było dla niego sygnałem... - płakał. - To była najgorsza chwila w

moim życiu. To było jądro ciemności, Ben i nie potrafisz sobie wyobrazić, czym było...

- Cholera, ale to musiało być dla ciebie ciężkie, tato. Przeszedłeś piekło... - Chęć zamordowania go zalewała mi mózg.

- Jestem w piekle! Mój Boże, nie rozumiesz tego? Jestem w piekle i nigdy z niego nie wyjdę...

- A mówią, że nie ma sprawiedliwości - stwierdziłem. - Chcę się wszystkiego dowiedzieć... To ty dałeś znak Indelicato czy Horstmannowi, by zabili twoją córkę. Nie obchodzi mnie kiedy, ani jak... ale jaką popełniła zbrodnię? Zamordowała kogoś? Przejechała kogoś na drodze i uciekła? Była zakonnica, która kochała swój Kościół, wierzyła w jego zasadniczą dobroć i jego siłę czynienia dobra. Chciała pozbyć się zła - a nie była ani fanatyczką, ani nawiedzoną, miała dowód na to, że jej koledzy prowadzą dom wariatów. Między tobą a Val jest ogromna różnica. Ty nie wierzysz w istotę Kościoła, a ona tak. Wierzyła w dobro, uczciwość, zasady i siłę Kościoła, wiedziała, że przetrwa, rozwinie się i rozkwitnie, kiedy będzie wreszcie oczyszczony...

- Ależ ocalałem cię, Ben! Chcieli cię zabić - leżałem w szpitalu... Chciałem umrzeć przez Val... i zaatakowano cię... Powiedziałem Indelicato, że jeśli umrzesz, to wszystko rozgłoszę, bo już nic mi nie zostanie... bo już Kościół i tak spadnie z krawędzi w nieskończoną pustkę... Czy mnie słyszysz? Ocalałem ciebie i ocalałem Kościół!

- Gratulacje, tato.

- Wtedy ona zaczęła mówić o Gouverneau. Stwierdziła, że morderstwo jest w moim stylu... Wszystko wyszło na jaw... Ciemność ją ogarnęła i wciągała mnie tam za sobą...

- Wiem wszystko o jądrze ciemności. Patrzę w nie. - Zobaczyłem Val, oświetloną płomieniami słońca, małą dziewczynkę w czerwonym kostiumie kąpielowym, podskakującą pod łukami wody wyrzucanymi przez spryskiwacz, słońce odbijało się w kroplach wody na jej małym ciele, tak że wydawała się obsypana diamentami. Ruszyłem w stronę mojego ojca. Nadszedł czas położenia kresu cierpieniu. Nadszedł czas pozbycia się go jak wściekłego psa.

Skulił się. Wiedział, co się stanie. Ojcobójstwo będzie pasowało do dossier rodziny.

Podniósł rękę w obronnym geście. Rękawy i sweter były przesiąknięte krwią.

Usłyszałem jakiś dźwięk. Jakby stukanie, przytłumiony okrzyk wiatru. Obejrzałem się za siebie. W pokoju poza nami nikogo nie było. Drzewko oślepiło mnie blaskiem lampek, lśnieniem ozdób. Światło odbijało się w oczach niedźwiedzia, jak gdyby ożył. Znowu usłyszałem stukanie, potem przechodzące w głośnie uderzenia i wreszcie odgłos pęknięcia nad głową.

Na szklanym dachu leżał mężczyzna z rozrzuconymi ramionami. Pięciami słabo uderzał w szyby, aż szkło i ramy zaczęły pękać.

Spadło niebo. Szklany dach wydawał się rozpadać pod ciężarem ciała. Aluminiowa rama wygięła się i rozłamała z hukiem, szkło pękło, a potem rozleciało na kawałki. Wtem coś jakby błyszczący, szumiący deszcz szkła i metalowych prętów zabłysnął w blasku ognia i jasnokolorowych bombek na choince. Zawiał wiatr i nagle zjawiły się wirujące tysiące śnieżnych kryształków. Mój ojciec krzychał gdzieś daleko, a w środku szkła, metalu i śniegu spadał człowiek jak meteor na pokazie w obserwatorium astronomicznym.

Ciało uderzyło o oparcie sofy, spadło na mały, niski stoliczek i rozciągnęło się twarzą w dół na podłodze pod choinką. Mężczyzna poruszył się, wyprostował nogi, próbował się obrócić. Jego dłonie w rękawiczkach szarpały czarną kominiarkę, jak gdyby się dusił, dławił pod wełną.

Uklęknąłem przy nim. Odwróciłem go. Przód białego kombinezonu był przesiąknięty krwią. Z lewej strony u dołu była mała równiutka dziurka, tuż nad talią, a gdy go odwracałem dostrzegłem poszarpane miejsce wylotu kuli. Było bardzo dużo krwi. Tamten odgłos to nie było pęknięcie gałęzi drzewa. Próbował ściągnąć kominiarkę. Czapka i kombinezon były pełne szkła. Kaszłał pod wełną, starając się coś powiedzieć.

Pomogłem mu zdjąć kominiarkę, ściągnąłem ją z twarzy. To był Artie Dunn.

Popatrzył na mnie, zlizął krew z warg.

- Co za wszawy dzień - wyszeptał. Chichot wstrząsnął jego chudą piersią. - Drań strzelił do mnie. Do mnie... Pilnowałem cię... Ale ze mnie żaden traper, stary... Wiedziałem, że przyjdzie po twojego ojca... Jest tu...

- Wiedziałeś?

- Wiedziałem, że Summerhays nie był Arcyksięciem, na miłość boską... Wiedziałem, że to twój ojciec, musiał nim być i wiedziałem, że nigdy sobie tego nie uświadomisz... O, kurwa, jak to boli... Przepraszam za twój dach... musiałem cię ostrzec... - Oczy stawały się nieprzytomne. Rozejrzał się dookoła, powoli, z wielkim trudem poruszając głową. - Twój ojciec nie wygląda dobrze... Potrzebujesz opiekuna, Ben, klnę się na Boga. - Zakaszłał, oblizwał suche wargi. Jego ślina była różowa. Może z przeciętych warg. - Trochę mi lepiej... Posłuchaj - on jest tutaj. Wrócił i jest tutaj... Wiedziałem, że przyjdzie, czekałem, pilnowałem... - Z trudem chwycił powietrze. Otoczyłem go ramieniem, podtrzymałem. Szybko tracił siły.

Mój ojciec położył głowę na rękach, nadal siedział przy kominku. Bez przerwy ocierał twarz i rozsmarowywał krew z dłoni na policzkach. Pod plamami krwi był szary jak mokry cement.

- Co on mówi? Powiedz mi, co on mówi? Kto tu jest? Kto przyjechał?

Głos zjawił się za moimi plecami, a słyszałem go już przedtem tylko raz. Słyszałem w kościele w Awinionie, mówił mi wtedy, bym wracał do domu. Teraz wiedziałem, dlaczego mnie nie zabił, chociaż miał szansę. Mój ojciec wysłał wiadomość ze szpitalnego łóżka w Princeton. Mój ojciec oszczędził tylko mnie.

Odwróciłem się i spojrzałem w oczy bez dna Augusta Horstmann. Miał na sobie długi, czarny płaszcz i czarny kapelusz z opuszczonym rondem. Spoglądał na mnie zza okrągłych okularów. Pod szyją związał krwistoczerwony szalik. Do płaszcza i kapelusza przyczepił się śnieg. Był całkiem spokojny.

- Mówi ci, że przyszedłem po ciebie, Arcyksiężę. Wiedziałeś, że przyjdę. - Stał tuż przed ogromnym niedźwiedziem, który wydawał się mu zagrażać, a on był tego nieświadomy. Wydawał się dosięgać go.

Zacząłem coś mówić, ale podniósł rękę uciszając mnie. Rękę bez Walthera kaliber 9 mm.

- Nie przyszedłem po ciebie - powiedział z wyraźnym akcentem. Popatrzył na mnie krótko. Zobaczyłem, że światła choinki odbijają się w jego okularach. Poczułem, że dłoń ojca Dunna powoli

przesuwa się za mną ku kieszeni jego kombinezonu. Zakaszła cicho.

- Już czas, Arcyksiążę - powiedział Horstmann. - Czas dla Judasza jest tak nieunikniony jak śmierć. - Mój ojciec wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, które powoli przeradzało się w coś zbliżonego do transu. - Zdradziłeś Simona, wielu umarło przez ciebie. A teraz sprawiłeś, że zabijałem niewinnych... Przyszedłem ich pomścić, Arcyksiążę. Tylu ich było. Są tu teraz. Są wśród nas. Zamknij oczy i zobaczysz ich twarze.

Mój ojciec podniósł się powoli i stanął, wpatrując się w Horstmann. Zamknął oczy.

Strzelił mu w głowę. Ojciec przewrócił się do tyłu, głową i ramionami uderzył o palenisko, iskry wzbily się w górę, płonące drwa zatrzeszczały pod jego ciężarem. Płomienie sięgnęły, otoczyły jego twarz, fale żaru zatarły rysy, jakby się topił. Stopy uderzyły kilkakrotnie o podłogę w paroksyzmie, tańcu śmierci.

Dunn westchnął. Poczułem, że wsuwa mi coś w dłoń, coś zimnego i ciężkiego. Potem opadł znowu na plecy. Jego wargi otaczała różowa plama. Oddychał powoli, ale plama wokół rany od kuli ciągle się rozszerzała. Ścisnąłem kolbę wojskowego colta kaliber 45 i wymierzyłem w Horstmann. Odwrócił się od hipnotyzującego widoku mojego martwego ojca i spojrzał na mnie. Coś skwierczało w palenisku.

- Do ciebie nie mam pretensji - powiedział. Walther był wycelowany we mnie. Horstmann wydawał się nie zauważać wielkiego pistoletu w mojej dłoni.

- Chyba nie powinienesz - odparłem. - Nic ci nie zrobiłem. Ale strzeliłeś do mojego przyjaciela ojca Dunna i zabiłeś moją siostrę... Czy to cię dziwi, że nic mnie nie obchodzi twoje usprawiedliwienie? Oszukano cię - słyszałem o tym. Ale wcale mi nie żal ciebie, nie obchodzi mnie, przez co przeszedłeś.

- Zrobiłem wszystko, by wyrównać rachunki. Pokręciłem głową.

- To nie wystarczy. To nie ty mścisz moją siostrę. To ja mszczę się za nią. Zabiłeś moją siostrę i przysięgłem sobie, że cię znajdę. A teraz mam zamiar cię zabić. Naprawdę nie mam wyboru.

Uśmiechnął się do mnie. - Jeszcze jedna zabawka, panie Driskill?

- Nie - odparłem - jest prawdziwy.

Pierwsza kula rozerwała mu klatkę piersiową i rzuciła nim w objęcia niedźwiedzia, gdzie zawisł, nie mogąc pogodzić się z szokiem, z wybałuszonymi oczami. Może pierwsza kula go zabiła, ale to nie usunęłoby z mojego organizmu całej trucizny. Czekałem piekielnie długo, chciałem, żeby była przy tym publiczność, bo czułem się gotowy złożyć oświadczenie. Pistolet mówił za mnie. Obmywał moją frustrację. Katharsis. Epifania z kalibrem 45.

Druga kula oderwała połowę jego twarzy i czaszki, a także wielki, obrośnięty kawał niedźwiedziego ramienia. Odgłos nie do wytrzymania.

Trzecia kula eksplodowała w jego gardle i wyrzuciła i niedźwiedzia, i Horstmann do holu.

Usłyszałem za sobą słaby głos Dunna.

- Chyba go dostałeś, Ben.

Zadzwoiłem po policję i straż pożarną w Menander, zostawiłem im ściąganie karetki do domku - mówiąc, że to kwestia życia lub śmierci. Potem wyciągnąłem z kominka nadpalone ciało mojego ojca.

Czułem zapach spalenizny. Niewiele mogłem zrobić dla Artie Dunna. Mógł z tego wyjść lub nie. Trzymałem go w ramionach, próbując przekonać, by przeżył. Kazałem mu patrzeć bez przerwy na choinkę nad nami. Czułem lodowaty wiatr i mokry śnieg padający poprzez noc na moją twarz.

W pewnej chwili zacząłem śpiewać cicho do siebie kolędy, a ojciec Dunn poruszył się w moich ramionach i usłyszałem jego szept.

Spoczywajcie w pokoju weseli panowie
Niech nic wam nie przeszkodzi...

Tak nas znaleźli.

Śnieg padał na nas, na wesole i kolorowe światła na choince, na trzech mężczyzn w kawałkach, przewróconego niedźwiedzia i jednego poganina, którego umysł poszedł na długi spacer, wędrując bez celu w ciemności, która ogarnęła nas wszystkich.

Niech spoczywa w pokoju

Śmierć mojego ojca musiała konkurować w prasie i dziennikach telewizyjnych z odejściem Jego Świątobliwości, papieża Kaliksta. Papieski zegar przestał tykać, według mojej wiedzy, jakieś dwanaście godzin po tym, jak Horstmann zabił mojego ojca. Kiedy patrzyłem na wszystko z pewnego psychologicznego dystansu, cała sprawa zaczęła wyglądać, jak jedna z tych angielskich dziewiętnastowiecznych reguł pisania testamentów, według której ostatni żywy członek rodziny bierze wszystko. Wyglądało na to, że kardynał D'Ambrizzi był ostatnim żyjącym wojownikiem. Czy jego nagrodą będzie Tron Piotra?

Po ostatniej nocy w domku można się było spodziewać wyciągania niewygodnej prawdy o przeszłości, nawet gdyby pewne pytania, na które nie było odpowiedzi, były do uniknięcia. Nie przyszło mi nawet do głowy, że mógłbym zwrócić się do kogoś innego, a nie do Drewa Summerhaysa, który, jak podejrzewam, wykorzystał wszystkie możliwe środki nacisku na wszystkie strony sięgając aż do Rzymu, by nie dopuścić do wybuchu. Wyciągnął z łóżka arcybiskupa kardynała Klammera, by zaczął pociągać za sznurki, a reszta pozostała dla mnie całkiem niezrozumiała. Do kogokolwiek zadzwonił, osiągnął swój cel. Zatuszował wszystko tak, że stało się nie do sprawdzenia. Okazało się, że nie jest Arcyksięciem, ale w jego żyłach płynęła krew i Herkulesa, i Machiavellego.

Kiedy zapytałem, po co przyjechał do Awinionu, próbował zignorować moje pytanie. Naciskany powiedział tylko, że obawiał się; że „coś naprawdę zepsuło się u samego źródła i nie byłem pewny, kto za tym stoi. Starłem się powstrzymać lawinę od zasypania cię, Ben. Przykro mi, że tyle zła cię spotkało”. Na miłość boską, próbował mnie ochronić.

Rozpowszechniła się wiadomość, że zawiodło mego ojca serce, ale nie było to zaskoczeniem. Sic transit. Już go nie zobaczymy. Bohater wojenny, ambasador pokoju, sługa Kościoła przez całe życie.

Augusta Horstmanna pochowano po cichu na małym cmentarzu służącym dużej górniczej wsi w Pensylwanii, niedaleko domu opieki nad starszymi, biednymi księżmi. Ojca Dunna umieszczono w prywatnej klinice, w której personel był doskonale wytrenowany w dyskretnej opiece nad bardzo bogatymi, bardzo sławnymi i bardzo potężnymi. Po dwudziestu czterech godzinach wiedzieliśmy, że przeżyje.

Za udział w tej skomplikowanej szaradzie wsi Menander udzielono pewnych gwarancji, które musiały zostać dotrzymane, niezawodnie, z kas kościelnych i głębokich kieszeni anonimowych katolików - miliarderów, ludzi, do których zwracano się w szczególnych sytuacjach. Było oczywiste i spodziewano się, że jako spadkobierca mojego ojca przekażę spore darowizny na cele społeczne, na remizę straży pożarnej, szpital, nowe lodowisko i salę gimnastyczną dla miejscowego liceum. Szelest papierków. I jak powiedział mi Drew Summerhays, nawet po śmierci mój ojciec czynił dobro.

Uroczystości pogrzebowe - jak głowy państwa, przynajmniej tak to wyglądało - Hugh'a Driskilla miały miejsce w katedrze Świętego Patryka przy Piątej Alei. Limuzyny zatarasowały ulicę, konna policja była na miejscu, najlepsi w Nowym Jorku z wyczyszczonymi, błyszczącymi guzikami i spodniach z lśniącymi lampasami, a para buchała z nozdrzy koni. Słońce świeciło jak czyste, idealne światło Boże.

Kamery telewizyjne notowały każdy przyjazd i uszczęśliwiały Klammera, bo dzięki nim stał się gadającą głową w wieczornym dzienniku. Choinka dominowała nad lodowiskiem w Centrum Rockefellera. Kupujący narzekali na zablokowanie ulicy na kilka godzin rankiem w Wigilię. Kiedy ucichł wiatr i skończyły się mowy, zabrano mojego ojca i kilkoro z nas, a reszta możliwych i bogatych wróciła na Wall Street, do Albany, do Waszyngtonu, do Londynu i Rzymu. Wielu z nich miało spotkać się za kilka dni w Rzymie na pełnych pompach uroczystościach pogrzebowych Kaliksta. My pojechaliśmy jedynie do kościoła Świętej Marii w New Prudence.

Brakowało mi Artie Dunna, który potrafiłby ukazać wszystko w idealnej perspektywie. Tęskniłem za moją siostrą, ale ten ból stał się na tyle znajomy, że wiedziałem, że nic go nie uleczy. Miałem nosić ten ból do końca życia. I oczywiście tęskniłem za siostrą Elżbietą. Ale była w Rzymie, należała do Rzymu. Widziałem ją tam, wyobrażałem sobie ten szum i podniecenie, które odczuwa po śmierci Kaliksta i po ostatnich ruchach w grze, w której korona przypadnie zwycięzcy, następcy Kaliksta. Stałem na małym cmentarzyku, rozmyślając, wspominając. Lodowaty wiatr, czyste, zimne niebo ze słońcem zanurzającym się w chmurach ze srebrnym brzegiem, które leżały jak lód na horyzoncie. Cienie szybko wydłużały się na chrupkim śniegu. Morela miała zacząć swój kawałek. Była tam Margaret Korder, kilku starych kumpli ojca, były Sekretarz Stanu, emerytowany naczelny redaktor dziennika, kilku wieloletnich współpracowników i Drew Summerhays, który widział śmierć i pogrzeby tylu swoich towarzyszy. Czekaliśmy na wyciągnięcie trumny z karawanu i przyniesienie do grobu. Summerhays stanął obok mnie. Wydawał się zażenowany, jakbyśmy dzielili jakiś wstydlivy sekret, rzeczywiście tak było, chociaż nie miałem pojęcia, ile Drew wie. Uśmiechnął się do mnie, znajomym chłodnym uśmiechem, który przetrwał wszystkie niepogody.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepnąłem. - Zająłeś się wszystkim, każdym szczegółem. Nie wiem, jak mógłbym ci podziękować. Chciałbym umieć.

- Och, Ben, umiesz, umiesz. - Minęła nas trumna. Morela coś mówił do Margaret Korder. Summerhays wyglądał tak, jakby walczył z pragnieniem zaskutkowania szczątkom mojego ojca. - Pewnego dnia, już wkrótce będzie moja kolej. Zostawiłem list, w którym napisałem, że chciałbym, abyś się wszystkim zajął. Nie będzie to zbyt skomplikowane, ale znajdzie się paru ludzi, którzy będą się upierali, by przyjść i będą potrzebowali specjalnej opieki. W liście są instrukcje. Załatwisz, żeby wszystko poszło gładko. Będę się przyglądał. - Wziął mnie pod ramię i podeszliśmy do świeżo wykopanego grobu. Mój ojciec miał leżeć obok mojej siostry, a matki z drugiej strony. - Zapomnij o wszystkim, zapomnij, co przeszliśmy od śmierci twojej siostry... Czy słyszysz mnie Ben?

- Co mówisz? Czego się teraz boisz?

- Zaszedłem za daleko drogą życia, by bać się czegośkolwiek. O czym mówię? Mówię, że kiedy niewiedza jest rozkoszą, to głupota być mądrym.

- Cóż, jeśli chodzi o Kościół, obecny i dawny, to niewiedza, jest stanem, którego pragnę. To dziwne, Drew. Ale ostatnio zacząłem sobie przypominać... wiarę.

- Niewiedza i wiara. Stworzone dla siebie. Udowadnialiśmy to przez stulecia. Kościół jeszcze nie

jest doskonały, wiesz.

- Właśnie to przypomniało mi o wierze. Jeśli Kościół jest w stanie przetrwać...

- Twój ojciec - powiedział w końcu. - To ma związek z nim. To wyrosło z jego przywiązania do Kościoła.

- To jest skomplikowane, tylko gdy o tym myślisz - odparłem. - Przez resztę życia będę próbował nie myśleć.

- Cóż, skazany jesteś na niepowodzenie, Ben. Twój ojciec był wielkim człowiekiem. A we wszystkim, co ważne, jesteś bardzo do niego podobny. - Wiatr był tak zimny, że poczułem się kruchy, jakbym za chwilę miał pęknąć. - Nigdy nie wybaczył sobie sposobu, w jaki z tobą postąpił. Ale nie wiedział, jak to naprawić.

- To nie ma znaczenia, Drew. Jesteśmy, kim jesteśmy, każde z nas, całkowita suma przeszłości.

Staliśmy przy grobie i myślałem o mojej siostrze, o całej naszej rodzinie, wszyscy już umarli. Zostałem ostatnim żywym Driskillem. To było dziwne uczucie - widok szeregu grobów, widok miejsca obok mojej siostry, gdzie pewnego dnia i ja poszukam spokoju.

Wstrząsały mną dreszcze i wtedy usłyszałem odgłos samochodu hamującego za nami, na drodze, niedaleko grobu ojca Gouverneau. Usłyszałem trzaśnięcie drzwiami, przytłumione, ciężkie uderzenie. Morela mówił coś o moim ojcu, o Driskillach.

Poczułem łzy na policzkach, ale byłem zbyt oszołomiony, by wiedzieć, dlaczego płaczę.

Posługa się skończyła i opuszczono mojego ojca do jego grobu. Wszyscy przechodzili koło mnie, dotykali, mamrotali to wszystko, co się mamrocze przy takich okazjach. Zostałem sam przy grobie. Szybko zbierały się ciemności.

- Ben...

Rozpoznałem głos, oczywiście, odwróciłem się, czując, jak serce tłucze mi w piersi.

Podchodziła do mnie, wiatr rzucał długą wełnianą czapką, sprawiając, że wyglądała jak buńczuczny korsarz. Czubkami butów wzbijała fontanny śniegu. Szybko pokonała dzielącą nas przestrzeń od samochodu zaparkowanego przy drodze. Jej długie, gęste włosy zwiewał wiatr na twarz i odgarniała je ręką w rękawicze. Patrzyła na mnie spokojnie, prosto w oczy.

- Przykro mi, że się spóźniłam... - Tonałem w jej oczach,

654 w jej twarzy, gdy mówiła. Wiedziałem, że tak się stanie i nic na to nie mogłem poradzić. - Wydaje się, że tak niedawno byliśmy tu... dla Val. - Wyciągnęła rękę i wzięła mnie pod ramię. - Jak się czujesz, Ben?

- Dobrze, Elżbieto. Nie musiałaś przyjeżdżać. Taki kawał drogi.

- Wiem o tym.

- Musisz mieć teraz piekło w Rzymie... Pogrzeb Kaliksta... Zjeżdżają się kardynałowie. Powinnaś zbierać zakłady, kto wygra...

Uśmiechnęła się.

- D'Ambrizzi prowadzi, szansę trzy do pięciu. Armia Indelicato jest rozproszona i w panice. Mnóstwo ludzi sądzi, że to pewne jak dwa do jednego, że D'Ambrizzi kopnie w kalendarz tuż przed

konklawe...

- To najlepsza szansa dla Świętego Jasia. Wzruszyła ramionami, wciąż się uśmiechając.

- To naprawdę nie robi żadnej różnicy, prawda? Nie bardzo.

- Nie robi różnicy? Dziwne rzeczy mówisz. Jak długo masz zamiar zostać? - W wyobraźni zobaczyłem ją odchodzącą do samochodu, wracającą na lotnisko Kennedy'ego po skończonej kurtuazyjnej wizycie.

- To tak naprawdę od ciebie *zależy* - odparła.

- A co to ma znaczyć?

- Jestem tutaj, gdzie chcę być, Ben. Jestem tutaj.

- Przemysłałaś to? - Zabrało mi dużo czasu, by wydobyć te słowa z siebie. Bałem się uwierzyć własnym uszom.

- Ben, to jest trochę głupie pytanie. - Wsunęła rękę pod moje ramię i przytuliła się. - A teraz obawiam się, że będziesz musiał sobie z tym poradzić albo zamilknąć. - I następny spokojny uśmiech pojawił się na jej twarzy.

- A niech mnie - powiedziałem raczej do siebie niż do niej. Przyciągnęła mnie do siebie. Jej policzki były zaróżowione od zimna. Usłyszałem świst wiatru w uszach. Między śmiercią wydawało mi się, że wracam do życia. Czyżbym w tym wichrze słyszał bezbożny, radosny śmiech mojej siostry?

- Mam ci tyle do opowiedzenia - powiedziałem.

Było już ciemno. Szliśmy razem do światła i ciepła, do małego kościoła.

Niech spoczywają w pokoju